Biblioteka pisarzy polskich



LIPSK, F. A. BROCKHAUS.

BIBLIOTEKA PISARZY POLSKICH.

TOM XVII.

PISMA

MICHAŁA CZAJKOWSKIEGO.

TOM PIĄTY.

STEFAN CZARNIECKI.

LIPSK:
F. A. BROCKHAUS.

1863.

STEFAN CZARNIECKI,

POWIEŚĆ HISTORYCZNA.

PRZEZ

MICHAŁA CZAJKOWSKIEGO.

WYDANIE DRUGIE, PRZEJRZANE I POPRAWIONE.

LIPSK:
F. A. BROCKHAUS.

1863.

DRAGONOM OTOMAŃSKIM,

WSPÓŁRODAKOM I TOWARZYSZOM WOJENNEJ SŁUŻBY

TO DRUGIE WYDANIE

POWIEŚCI O STEFANIE CZARNIECKIM

PRZYPISUJĘ.

AUTOR.

Polacy od wieków byli szlachetnym, walecznym i rycerskim narodem, tego im nikt nie zaprzeczał i nie zaprzecza. I francuzkie gamerzy wołają po ulicach jak pacierz powszedni, braves polonais. I lazaroni Neapolu, jak ujrzą polaków przy szabli, wołają, bravi polaki. I niemiec nawet, malując Jenerała Dwernickiego w karykaturze lekkiego jeźdca, dodaje ze złością i z westchnieniem, verfluchter braver Pole. — A jednakże historycy i dawni i teraźniejsi, jakby umyślnie przemilczają o wartości a nawet i o imieniu polaków. — Wszystko zrobili obcy, a polacy nie — wszystko obcy wymyślili, a polacy nie — tak jakby nie było tych biednych polaków na tej Bożej ziemi, tylko dla gamerzów, dla lazaronów i dla przedrwiwaczów niemców, a dla potomności w kartach piśmiennych i drukowanych nie masz dla nich miejsca, albo bardzo liche. — Jeszcze żeby to robili pisarze obcy tylko, możnaby powiedzieć, nienawiść, zazdrość są temu powodem, i cieszyć się wzbudzaniem podobnych uczuć, bo tylko je wzbudzają i ludzie i narody pewnej wartości — ale kiedy już swoi, polscy pisarze idą tym torem, to już paskustwo, któremu nazwy znaleść nie można w dykcionarzu Lindego, a nawet i akademji francuzkiej, gdyby był zastósowanym do języka polskiego. —

Niegolewski musiał procesować sławnego historyka Tiersa, żeby wiekopomna sprawa Samosiery została zasługą ułanów polskich i przeszła do potomności w świetle prawdy.

Hempel, adjutant Jenerała Kwaśniewskiego, nie mógł zmusić historyka Segura, żeby siódmemu ułanów nadwiślańskich

pułkowi i walecznemu Jenerałowi, przywrócić na piśmie to, czem się zasłużył pod Smoleńskiem, Borodinem, Mało-Jarosławcem i u przejścia Berezyny.

Ale to byli obcy, francuzi. —

Ale poczciwy Duchyński, o którym dziś dzienniki trąbią, że odmawia Rossianom, czyli Moskalom, rodu Sławiańskiego, a gwałtem przerabia ich na Chinczyków — napisał książkę o Polakach w Turcji, w czasie ostatniej wojny z Rossią — i w tej całej księdze nie masz ani jednej wzmianki o kozakach, złożonych z samych Polaków, którzy byli pod Sylistrią, za Dunajem, nad Prutem — przednią strażą Armii Otomańskiej — i o których naczelny wódz, Omer Pasza, w rozkazach dziennych ogłaszał, że byli okiem, uchem i ramieniem wojska Sułtańskiego. — Ci Polacy więcej zasługiwali na wzmiankę w kartach przeznaczonych do historji, jak ci, którzy gdzieś tam, na tyłach wojska, formowali się, żeby nigdy się nie sformować w czasie wojny, a po wojnie rozwiązać — i podostawali stopnie i ozdoby na naleganie Lorda Redclifa, a nie za żadną służbę. Sławny historyk jak swojemi argumentami nie przedzierżgnął Moskali w Chinczyków, tak swojem przemilczeniem nie wyplenił ze świata rzeczywistości polaków, kozackiego Otomańskiego pułku. —

Jakiś tam Kalinka, redaktor Monitora polskiego, w Paryżu, poświęconego wiadomościom o polsce i o polakach — pisał o urodzinach, o małżeństwach — o klechach i hreczkosiejach — a mianowicie o składkach — a przez trzy lata ani jednej wzmianki nie podał o istnieniu Kozaków i utworzeniu Dragonów z polaków — i Polska cała, która wierzy w tego Monitora, jak w kalendarz Berdyczowski Ks. Karmelitów bosych, nic nie wie o istnieniu Kozaków i Dragonów, złożonych z Polaków — z bronią i na koniach. —

Nareszcie jakaś klaczka, czy jakiś Klaczka, wydawca pism Adama Mickiewicza, powyrzucał z tego wydania wszystkie listy z obozu pod Burgas — gdzie Adam Mickiewicz, jak sam powiadał, przepędził najpiękniejszą chwilę swojego życia, z polakami zbrojnemi, w obozie narodowym — pełen nadziei wkroczenia na ziemię polską. — Listy z pod Burgas były i będą, jeźli je kto wydrukuje, najpiekniejszą kartą dla po-

tomności — jeźli nawet nie dla wartości tego obozu polskiego, to dla słów przekazających duch Wieszcza. — Ale Klaczka powyrzucał, żeby się podobać potężnemu Patronowi, i nie zostać napowrót Kobyłką. —

Taka to jest sumienność pisarzy zbierających plony do historji — i taka to będzie kiedyś historya. —

Przytoczyłem te wspomnienia, które się stały przed naszemi oczyma — o których każdy z nas wie. — Zapewnie że to ani zdrowiu, ani dobremu bytowi Dragonów i Kozaków nie szkodzi, te umyślne przemilczenia Duchyńskich, Kalinek, trzcinek, Klaczek, Kobyłek, ale to są znaki, które kiedyś jakiś Raczyński albo Działyński pozbiera w archiwa, na Argumenta do historji Polskiej. —

I tam nie będzie wzmianki o polakach, którzy z bronią w ręku służyli sprawie ojczystej, służąć wiernie i serdecznie Jej potężnemu Sprzymierzeńcowi, jak nie masz wzmianki w opisach wojny trzydziestoletniej o Lisowskim i sławnym jego hufcu — chociaż w Wirzburgu dotąd pokazują ogromną armatę, świadczącą o jego tam znajdowaniu się — o jego sławie. —

Z takich argumentów potworzone historje zrobiły, że pisarze o sztuce wojskowej sławią Gustawa Adolfa, jako jednego z najpotężniejszych Mistrzów wojny; to mu się należy słusznie. — Jemu przypisują wydoskonalenie i urządzenie piechoty — jemu utworzenie właściwej Dragonji — a o naszym Stefanie Czarnieckim mówią tylko, jako o dzielnym rębaczu — i nie stawiają go między mistrzami wojny — między mistrzami sztuki wojennej, a jednak mu się to należy — sławnym on był nie tylko z przestrzelonego policzka, który mu dawał prawo mówić: — wzrosłem w potęgę, nie z soli, ani z roli ale z tego co mnie boli, ale że tak powiem z istotnego stworzenia Dragonów: on jest tym twórcą, nie kto inny. —

Wazowie włożyli na głowę koronę dwóch wojennych narodów, pieszego i konnego. — Gdyby ta korona była pozostała na jednej głowie, i dwa różnorodne narody mogły się zlać w jedno — byłaby to potęga wojskowa, przed którą świat cały musiałby upaść na kolana, i przyjąć na karki jarzmo

od zwycięzcy — ale tak być nie mogło i tak być nie było powinno. Między Wazami zaczęła się walka o Koronę, i dla ich interesu, nie dla swego, narody wystąpiły przeciwko sobie. —

Gustaw Adolf był duszą, wodzem narodu pieszego. Stefan Czarniecki był wodzem i duszą konnego narodu. Gustaw Adolf przybrał do pomocy niemieckich rajtarów. Stefan Czarniecki nie miał niemieckich knechtów, a szlachta z koni złazić nie chciała. —

Raby pies, bo tak go zwano na Ukrainie, z powodu twarzy poznaczonej ospą — znał dobrze szlachtę Czernobylskiej dzielnicy, gotową da służby pieszej i konnej, i dla tego odziewającej prawą nogę w pestoł, a lewą w but z ostrogą, i z niej wziął wzór do utworzenia swojej dragonji. —

Ze swoją Dragonią, w skokach koni, przebiegał przestrzenie i tam się znachodził, gdzie się go możebnie nie spodziewano. — Spieszona Dragonia stukła roty Skandynawskie, w Częstochowie, w Sandomierzu na przeprawach mostów i rzek — a wsiadłszy na koń i przepławiwszy Wartę, Pilicę albo Wisłę — z szablą w dłoni, siekła w lewo i w prawo tę zawołaną piechotę Dalekarnji — gwoździła działa Upsalskie i jak niespodzianie z błyskawicą przyleciała, tak z błyskawicą odleciała w inną stronę, by zaskakiwać z boków, z przodu, z tyłu wrogowi. — Taką Dragonię stworzył Raby Stefan Czarniecki, i taką chcieli stworzyć francuzi, niemcy, i inne narody — mieli konie, mieli ludzi, ale nie mieli Polaków, — bo Dragonia prawdziwa tylko z polaków, z oczajduszów być może. —

Potworzyli francuzi, niemcy i moskale nawet Dragonów — dziewięciu zsiadało z koni, a dziesiąty trzymał spuklowane konie — przylatywała bomba, pękała między końmi, konie cugle zrywały i pierzchły w pole a spieszeni jeźdce zostawali bez koni. — Nigdy na czas i na miejsce nie mógł powodyr doprowadzić dziewięć koni i trzeba było godziny, nim spieszeni rozpuklowali konie i wsiedli na nie — ztąd niebezpieczeństwo przewłoki i szwanki. — I Dragonów ogłoszono amfibią, ni to piechota, ni to konnica. I jedna i druga nie wiele warta. —

Wielki Napoleon, który przeczuwał ten użytek dragonji Czarnieckiego, wsadzając Dragonów w Egipcie na dromadery, w Hiszpanji na muły, Wielki Napoleon wiedział o Dragonji Polskiej, o Dragonji Stefana Czarnieckiego, bo z Jenerałem Zajączkiem, z bohaterskim Sułkowskim o niej mówił. — Wiedział, że gwardią Królowych Polskich była Dragonia — i do ostatniego rozbioru dotrwał regiment Dragonji Królowej Jadwigi — i dla tego zostawszy Cesarzem, na pułk gwardji Jozefiny dał Dragonów; zwano go albo Dragony Jozefiny albo Dragony Cesarzowej. —

Ale życie tego Wielkiego Wojownika Świata czwałem leciało w przegony z czynami — dawał on dragonom lance, ulegając uczonej opinji doktrynerów wojny, którym nazwa Amfibji bardzo się podobała — ale wrócił im Dragońską broń i ulepszył, zsadzając tylko trzech z koni, a czwarty trzymał konie powodowe spuklowane. Dragoni wsławili się w wojnach hiszpańskich, a mianowicie w 1814 i 1815 pod dzielnym Edelmanem. Oni to pod Wersalem, kiedy już układy podpisywano ze sprzymierzeńcami, na pieszo i na konno walcząc, wytępili co do nogi dwa pułki huzarów Pruskich — niecierpliwych jak stary Blücher — i nie było żadnego z tych pomerańczyków, żeby zaniósł Waser-polakom wiadomość, któraby im przypomniała Dragonię Stefana Czarniekiego.

Po upadku Wielkiego Napoleona francuzcy Wojskowi zawłaszczyli dla siebie berło nauki Wojskowej — przeczuwali oni to, co już przetrawił geniusz Napoleon, a nie chcąc się przyznawać do tego, przybrali na siebie szaty profesorskie. — Wszystkie pewniki tych pajaców Wielkiego Napoleona, tak dobrze jak ordonanse Królewskie — były nicowaniem i przenicowywaniem starych i już zużytych formułek — ale oni wołali, że to postęp sztuki i wierzono im, bo po każdem wielkiem wstrząśnieniu musi być chwila odpoczynku, chwili ogapienia — ta jest najkorzystniejszą dla doktrynerów teorji. Dragoni zostali ani potępieni, ani zbawieni, ale zostali we Francji, dla pamiątki historycznej — w innych

krajach, dla tego że się nazywali Dragonami, Smokami i swojem imieniem, piosnkami o sobie straszyli lud i działali na jego imaginację. —

W Azji, w państwie Rossijskiem zostali podniesieni Dragoni przez Polaka i przez Polaków. —

W Tyflisie był pułk Dragonów Niznonowogrodzki, do którego posyłano samych polaków i rekrutów, i wskazanych do służby wojskowej za karę — po roku 1831 ten pułk napełnił się samemi polakami z jazdy Wielkiego Księcia Konstantego; do tego pułku dostał się Krukowski, były oficer ze strzelców konnych, wojska polskiego. — Ten walecznością dosłużywszy się stopni Pułkownika i Dowódcy pułku, zastósował do swoich Dragonów całą organizację wprowadzoną przez W. Księcia Konstantego do strzelców konnych polskich. Pierwsze i trzecie numera zsiadały z koni, a drugie numera brały konie powodowe, nie już puklowane — ale trzeciego numeru, w lewą dłoń, razem z cuglami swojego konia — a numera pierwszego na łokieć prawej ręki — było to już znaczne udoskonalenie — tylko że jeźdce powodyrą, którzy mogli w przypadku użyć pistoleta — nie mogli używać pałasza, bo byli ciągle przeszkadzanymi ruchami powodnego konia numera pierwszego; prowadząc po koniu z jednej i zdrugiej strony, jeszcze ruch był utrudzanym w przechodzie ciasnych scieżek i w krzakach; jeźdce numerów drugich, przeznaczeni na wiecznych prowadzców, nie nabierali ani ruchawości, ani wyrobienia się tak potrzebnego Dragonom, i stanowiącego całą wartość żołnierza tych broni. Przy wsiadaniu nawet była pewna trudność dla tych, którzy musieli zabiegać na drugą stronę, do swojego konia — było opóźnienie się. A w dragonach szybkość w zsiadaniu i w wsiadaniu jest najpierwszę zaletą — jest siłą — należy tedy wszystko poświecić, aby ten warunek osiągnąć. —

Na ten wzór zostali urządzeni wszyscy Dragoni w Rossji, i Kozacy liniejni na Kaukazie. — Dwa pułki, pułk Dragonów Niznonowogrodzki, i pułk liniejnych Kozaków Grebeński, które były oddane pod dowództwo Jenerała Krukowskiego i na których on urzeczywistniał swoją organizację, okryły się

sławą w ostatniej wojnie, pod Kuru-dere, pod Indze-dere i pod Karsem. — Zginął Jenerał Krukowski na polu bitwy, ale cześć została jego imieniowi wojskowemu, i w Dragonji zapisał on swoje imię zaraz po Stefanie Czarnieckim. —

Przez mnogie lata Rossia walczyła z Szamil Bejem, bohaterem Czeczni. Gołowin, Nejhardt, Grabbe, Worońcow, po całorocznych kampaniach z wielkiemi stratami a bez żadnych korzyści musieli wracać na linie fortyfikacij. — Piechota Rossijska walecznie zdobywała auły i zasieki Czeczeńców i Lesgińców ale zdobywszy je musiała odpoczywać, a temczasem Górale o kilka tysięcy kroków nowe zasieki robili. — Znowu attak — znowu spoczynek; znowu obrona i w końcu kompletne wycieńczenie i konieczny odwrót. — Tym sposobem lata po latach mijały, i reputacie wojskowe zużywały się jedne po drugich. Rossijskie wojsko traciło dzielnych Jenerałów, jak Pasek, Wiktorów. — Polska krew płynęła pod kindżałami tych, których serca polskie chciałyby mieć za przyjacioł, a których Ukaz Carski nakazywał mordować — i ani piędzi ziemi nie mogli zawładnąć namiestnicy Carscy dla Cara, a Szamil rosł w pychę i we wziętość. —

Książe Bariatyński zostawszy namiestnikiem Carskim na Kaukazie, zgromadził kilkadziesiąt szwadronów Dragonów i tyleż kozaków liniejnych, tak samo uorganizowanych jak Dragoni — i na ich czole poszedł przeciwko Szamil Bejowi. Przy każdym aule, przy każdym zasieku, dragoni z koni — i po tyralerce z bagnetem szli do szturmu. Wziąwszy zasiek — na koń i z szablą gonili uciekających i nie dawali robić zasieków; tym sposobem i Szamil Bey został jeńcem, kraj Czeczeńców przebiegnięty wzdłuż i w poprzek — a broń Dragonów, mimo teoretyków francuzkich, uznana została za ważną, za skuteczną. — W Rossji namnożyła się wielka liczba pułków Dragońskich, i polaków szlą do tych pułków. — Dzielna to Jazdo-piechota: i w górach i na płaszczyznach, i w lasach i w miastach; w powstaniach i w wojnach partyzanckich. — I myślistwem, bez noszenia mundura, moż-

na się usposobić na dobrego Dragona — w czwale konia umieć zabić zająca w skoku, ptaka w locie — pchnąć szablą dzika albo wilka, przebiedz w krzakach na przeciw zwierzowi, kulką z konia się spuścić, stanąć na czasie — wypalić, pójść na bagnet, jeźli gruby zwierz postrzelony, a jeźli jeszcze ucieka, piorunem na koń — i w pogoń — taki powinien być prawdziwy Dragon. — Byłoby szlachetniejszem i pożyteczniejszem przepędzeniem czasu, sposobić się na Dragona, jak zgrywać się w karty na kontraktach i na jarmarkach, jak biegać po ulicach za załotnicami, choćby po Warszawie i po Petersburgu, a nawet jak jechać do Paryża, na kurs Juliety o szomierze i balu Mabile, albo na kurs Jenerała Mierosławskiego, sposobiący za sześć miesięcy szkoły na Jenerałów. — Pożyteczniejby było dla Polski mieć takich Dragonów, jakie myślistwo jej dać może — jak takich Jenerałów, jakich już napłodziły owe szkoły doktryny Puf. —

Dragoni Otomańscy są udoskonaleniem Dragonów Krukowskiego; jeden tylko, prawy czy lewy zsiada z konia, a drugi zostaje na koniu — koń powodowy w lewej dłoni razem z cuglami konia pod jeźdcem nie przeszkadza ani do cięcia pałaszem, ani do strzału z pistoleta, szarża nawet może być zrobioną i skutecznie z końmi powodowemi. — Powodyry z końmi jak cień idę, w prawo, w lewo, w tył, w przód za spieszonemi jeźdcami i w mig są na ich zawołanie. — Wszystkie komendy odbywają się na trąbkę, albo na pogwizd umówiony, albo na nieme znaki chorągwi użytecznych, albo jakie inne — żeby nie spłoszyć nieprzyjaciela, kiedy się go podchodzi, jak zwierza. — W galopie koni rozwijają się szwadrony w linie; w mig z koni, na tyralerkę: kupią się, idą na bagnety, rozbijają wroga, konie w czwał im podwodzą, na koń, szable z pochew i marsz i marsz za nieprzyjacielem, czy linią, czy w pogoń, w rozsypkę. —

Aż serce rośnie, widząc tych naszych rotmistrzów Dragońskich; stare smoki wojenne, zdaje się że zmartwychwstali owi rotmistrze regimentu Dragonji królowej Jadwigi. — By-

walce, rycerskie ćwiki, wszędzie ich było pełno, jak świat długi i szeroki: i w Azijskim Kaukazie — i w Afrykańskim Algierze — i w Ameryki Stanach. — I piastun Chorągwi, nauczyciel nasz, mistrz nasz, z medalem Święto-Heleńskim Wielkiego Napoleon, który jest jako wielki buletyn wielkich wojen, Wielkiego Napoleona — cześć tym, cześć po stokroć razy, których pierś ozdobiona taką oznaką. I ta starszyzna zasłużona, i to oficerstwo raźne, ochocze. I Dragonia taka żwawa jak szlachta Czernobylskiej dzielnicy, a taka śmiała, jak ta która przepływała za rabym psem Wartę, Pilicę i Wisłę. I ona by przepływała, będzie przepływać, bo jest w niej duch hulaszczy i serce rycerskie. —

Dragonia Otomańska utworzyła się na tradycji i duchu Stefana Czarnieckiego; rosła na przykładzie Krukowskiego; doskonaliła się i doskonali się sama przez siebie — więc jest czysto Polska. —

Niewielka to liczba tych Dragonów, mała garstka, ale ważna, i dukat niewielki pieniądz, ale ważny; wojskowym językiem mówiąc, są to Kadry, czekają na ochotników. — Kiedy nie macie co lepszego robić, to przychódźcie; oj dalibóg lepiej z nami, z Dragonami — jak z szlufirzami bruków, z paplaczami polityki bez sensu i bez celu. Kiedyś może was kraj zapyta — i zapyta: pocożeście wyszli, coście robili, coście się nauczyli i co umiecie. Wstyd będzie, jak prawdę powiecie. — Włócząc się po ulicach, i krzycząc po kawiarniach i garkuchniach, na Jenerałów sposobiliśmy się: chcemy być Jenerałami, ale bez wojny. — Cóż powiedzą wasze matki, wasze siostry, wasze narzeczone — one Polki. Lecicie, spieszycie, do Włoch, do Garibaldego; na co, po co, żebyście zapomnieli do reszty, czego niestety nie nauczyliście się dobrze, aby być Polakami, pożytecznymi Polsce. —

Ta peregrynacia zupełnie odpowiada bajce o cielętach: a dokąd bieżysz moje ty ciele — odpowiada — biegnę, bo tam pobiegło już wiele. Garibaldi schwytany i uwięziony, i słusznie, bo nie godzi się mężowi jak on, bawić się

z ojczyzną, jak kapryśnemu dziecięciu z cackiem. — Wasz Jeneralissimus wziął się już do broszur, a szablę Poznańską, Badeńską i Sycylijską schował do pochwy; nie wiem czy już go zawezwą na swoje czoło Włochy, Niemcy, a nawet Poznańczycy. — Rząd włoski odmówił Subsydia, i kraj jak ma rozum i jasnowidzenie na przyszłość, to odmówi składek, żeby odjęciem sposobów zwrócić do opamiętania się; czas by się opamiętać. — Kiedyście już raz wyszli z kraju, to służcie czy w Afryce Francuzom — czy w Azji Anglikom, czy w Ameryce Zjednoczeńcom albo Odłonczeńcom żebyście byli przecie na co użytecznymi, zdolnymi do do służenia krajowi: nie czas się uczyć, kiedy trzeba służyć — nie czas psy karmić, kiedy się jedzie na polowanie. — A jeźli nie chcecie być ani Dragonami, ani żołnienami Jargieltnikami, to idźcie lepiej z Królewskim rodem nawracać na katolicyzm bałwochwalcze plemiona; przynajmniej zbawicie i swoje dusze i tyle dusz obcych i będziecie mieli raj po długim żywocie. —

Szczęśliwi i rozumni ci, którzy zostali na ojczystych niwach. Szczwajcie zajęce i lisy, strzelajcie i kólcie dziki i wilki — hartujcie i ciała i dusze wasze, żebyście byli zdolni być Dragonami, podobnymi do tych, jakich wodził ze zwycięstwa na zwycięstwa Stefan Czarniecki. Wtenczas będziecie ludźmi kraju, ludźmi Boga. I Bóg zmiłuje się nad wami, jak się zmiłuje i nad nami. —

Pamięci Stefana Czarnieckiego, ciśnij się głęboko w serca twoich Dragonów, bo oni są twoi. Na twoją cześć, na twoje imię utworzeni. — I im poświęcam dawną moją powieść o Tobie, wojenny bohaterze Polski, jako naukę jak trzeba kochać Króla i Ojczyznę i jak trzeba się bić za Króla i Ojczyznę. —

Boże daj, żebym jeszcze doczekał, czy tu na Farsalskich równinach, czy na Budżaku stepach — czy na czarnym szlaku widzieć, jak moi Dragoni hulają, w imię Boga, na pamięć Stefana Czarnieckiego za Sułtana, naszego Pana, za Ojczyznę naszą Matkę — to wam życzę, i to sobie

życzę — a potem złożycie moje kości gdzieś tam w jakiej stepowej mogile, i duch mój pójdzie w goni do ducha Stefana Czarnieckiego mówić z nim o was i z nim się modlić za was, za Ojczyznę. — A wy moje imię zapiszecie w kronice Dragońskiej, po Czarnieckim i po Krukowskim — i będziecie wspominać o tym, który swoich Dragonów miłuje i sercem i duchem Polaka.

11. Września 1862.
Stambuł.

AUTOR.

STEFAN CZARNIECKI.

I.

Patrzyłem, jak zwinnie, polotnie, wesoło!
Po sali taneczne plątało się koło.
I jabym pohulał, ale w innej dobie.

F. Ż. w Tyg. Lit. Poz.

— Przez Ducha świętego, mój hrabio śpiesz się, już mi cierpliwości zaczyna brakować. — Tak mówił czterdziestoletni mężczyzna przybrany w hiszpański strój; przechadzał się po komnacie, hojdając kibicią wyuczonym ruchem, i jakby w takt ślizgając podeszwą po posadce: to zarzucał na lewe ramię płaszcz z zielonego aksamitu, na próbę jak zgrabniej pochwalić haft lśkniący złotem; to poprawiał kapelusz strojny w strusie pióra; półgłosem jakąś piosnkę nócił; spojrzał w zwierciadło, uśmiechnął się, widać rad z siebie, i znowu zwrócił niecierpliwym wzrokiem na swego towarzysza. Hrabia jakby posąg kamienny nieruchomie siedział na krześle, a człowiek przybrany kuso i opięto, obwieszony ręcznikami i fartuchami, z grzebieniem w ręce jednej a z puszeczką w drugiej, na jego głowie stuburczył i pudrował perukę, jakby na czupieradło do straszenia wróblów z pszenicy. Skończył sztukmistrz fryzjer, a hrabia wstał i jednym susem skoczył do zwierciadła.

— A co margrabio czy mi do twarzy?

— Przewybornie! gdzie idzie o fryzurę tam Pan Clermont, to Arystoteles, to Aleksander Wielki — i poklepał po ramieniu fryzjera; ten skłonił się spuszczając oczy ku ziemi, zwyczajnie jak człowiek co zna swój talent, i skromnością udaną umie mu dodać blasku. Hrabia przyglądał się ciągle w zwierciadle; żal mu się od niego oderwać.

— Wyśmienicie! do zachwycenia! Przez niebo! Clermont, mianuję ciebie pierwszym fryzjerem kuli ziemskiej, a twoją piękną opiekunkę Panią Sandomierskę, Djanną z Poitiers naszego wieku! Co za arcydzieło! co powie Pani Wojewodzina! Mościa Księżno trzeba poddać serduszko! nie ma rady; przepadła teraz Kasztelanówna. — Zamyślił się i po chwili wykrzy-

knął: — Harda Hetmanówno i na ciebie przyszedł czas. Niech żyje Ludwik czternasty! Niech żyje Clermont! obydwaście wielcy, każdy w swojem rzemiośle. — Tymczasem Margrabia się niecierpliwił.

— Mój Hrabio, na miłość Boga ubieraj się. Już Panowie Sarmaci kolasami, dryndulami i konno walą a walą do zamku.

— Dobrze, będę się ubierał, ale pod warunkiem, że będziesz mi mówił kto przyjeżdża. — Szybko zwrócił się twarzą ku komnacie. — Pikard dawaj mi się ubierać — i kamerdyner zwinął się po szaty, a Margrabia stanął przy oknie, i na w pół otworzył szyby.

Obaj ci cudzoziemcy znajdowali się w jednej z komnat zamku królewskiego, przeznaczonych dla francuzkich gości nawiedzających królowę Ludwikę Marję, a tem samem Warszawę i Polskę. Z okna było widać główną bramę od Święto-Jańskiej ulicy, i krużganek zajazdu przed królewskiemi komnatami. Wieczór lipcowego dnia, jeszcze nie obrzucił szarym mrokiem tła niebios, a setne pochodnie i łuczywa smolne pozapalane na zamkowym dziedzińcu, rozświecały powietrze rzęsistą jasnością, jakby na przekorę niknącemu dniowi. Hrabia ubierał się, a Margrabia stał przy oknie.

— Pan Krakowski poszóstną kolasą w prost przed krużganek zajechał, wysiada, bravo! Imość w napiętrzonej fryzurze jak wieża gotyckiego zamku, a Imościanki w mantelach i robronach; czy nie chcą cieszyć eks-Jezuity, jak niegdyś cieszyła piękna Agnieszka naszego Karola w Bourges? Jegomość jeszcze po sarmacku, ale już wysiadając z kolasy podryguje po naszemu, jak pajac kiedy przedrzeźnia skoczka. —

Rozśmiał się Hrabia. — Wybornie prawisz, przez niebo, poczciwy to naród ci Polacy, ale i śmieszny. Byleś im powiedział, tak robią za granicą, zaraz chcą małpować: a te kobiety co to za koczkodany, jak się zaczną stroić i mizdrzeć po cudzoziemsku; żeby to można pozawozić do Paryża te rarogi, jakby się to ubawiły nasze piękne panie!

— Słuchaj. Pan Wojewodzic Kaliski i Pan Starosta Gnoiński, obydwa w hiszpańskich płaszczach, jak niedźwiedzie niezgrabni, pozadzierali głowy strojne w kapelusze z piórami, panoszą się gdyby pawie. Cha! cha! cha! przez ducha świętego Pan Wojewodzic na hajduka po francuzku woła.

— Panie Margrabio to za nadto: Pan Wojewodzic mój wspól-zalotnik; że się na Hiszpana przestroił na to pozwalam, ci panicze polscy djabeł wie jak się poprzestrajają byle po cudzoziemsku: ale żeby do hajduka po francuzku mówił, na to nie pozwalam; mój drogi przesadzasz.

— Na świętego Ludwika ci się klnę, że jak krowa hiszpańska porykuje naszym pięknym językiem. Polak jak się nauczy

cudzoziemskiego słowa, jak papuga owrzeszcza niem na całe gardło. Ale, otóż i Pan Starosta Makowski przyjechał na arabskim rumaku, stanął przed bramą, zsiadł, oddał konia, i idzie przez dziedziniec, karabelą brzęczy, pokręca wąs i czapkę na ucho poprawia, to to jeszcze uparty Sarmata.

— Zwyczajnie szlachcic nie magnat; magnaci już zcudzoziemczeli, z czasem i szlachta się przerobi, choć się teraz niektórzy srożą; nałogiem polskim, co magnat zrobi to szlachcic zmałpuje] prędzej czy później. Z resztą Polak tylko w boju i przy kielichu Polakiem, a w każdym innym razie chce być cudzoziemcem; u niego, co ojczyste choćby najlepsze to tego się wstydzi, a co obce choć by najgłupsze za tem się ugania.

— Tem lepiej dla nas, tem gorzej dla nich — ale przecież się ubrałeś. —

Hrabia miał na sobie rodzaj fraka aksamitnego szafirowej barwy, nad brzuchem w kąt rozwarty, poły kończyły się na kostkach; na szwach i w poprzek na piersiach złote galony; guziki złote upstrzone drobniutkiemi brylancikami, spodnie z grodeturu amarantowego po kolana, szamerowane złotem naszyciem, kamizelka z złotej mory z amatystowemi guzami, za frak o cztery cale wystająca; pończochy białe koło kolan fontazistemi podwiązkami związane, trzewiki z czarnego zamszu spięte na złociste sprzączki, na głowie peruka jak pudło ogromna i usypana cielistym pudrem, pod pachą kapelusz trójkątny z czarnem piórem, przy boku szpada, a w ręku trzcina. Margrabia przypatrywał się jego strojowi, pokręcał swój wąsik i gładził hiszpańską bródkę.

— Przez Ducha świętego, pozawracasz teraz do reszty głowy tym biednym Polkom, ubolewam nad ich losem.

— Nie ubolewaj ale pocieszaj, kiedy ja którą opuszczę — rzekł Hrabia z pewną dumą wychodząc z komnaty. Margrabia idąc za nim przebąknął.

— Niech i tak będzie, zobaczemy kto po kim będzie pocieszać. —

Było to roku Pańskiego 1655. Karol Gustaw potomek nieprawego przywłaszczyciela szwedzkiego tronu, widząc Polskę szarpaną domową wojną i uciśniętą moskiewskiemi najazdami; znając niepokwapność do wojny i serce chciwe pokoju i zgody w Janie Kazimierzu; z chęcią nadstawiał ucho podszeptom i obietnicom zdrajcy Radziejowskiego, i postanowił napadem na polską ziemię, zawłaszczyć dla siebie i dla swoich, dziedziczne prawo Zygmuntowego syna. Polak to, mszcząc widokom dumy, wiódł zgraję Skandynawów na najazd ojczystej ziemi.

Już szwedcy knechci i rajtarowie zawitali w goście do Pomorskiej krainy, i do dawnych siedzib Krzyżackiego zakonu

Już wodzowie szwedzkiego Karola, Wittemberg i Königsmark wkroczyli do dziedziny Wielkopolanów, a Jan Kazimierz miłośnik pokoju, myślał że zgodą waśń skończy, i nic stanowczego nie przedsięwziął do wojny.

Od dawna on wiedział o zamiarach Karola. Polscy posłowie ze Sztokholmu donosili o nich, Szwed ich nie taił; ale Król dobrego serca, nie zaś królewskiej woli, w miejscu rozesłać wici między panów szlachtę, żeby na koń siadali i samemu na ich czele biedz przeciw wrogowi ojczyzny, poprzestał na tem, że dał wiedzieć Hetmanom na Ruś i na Litwę o niebezpieczeństwie Polski, i zawierzył przyrzeczeniu Wielkopolanów obiecujących zajść drogę Szwedowi i zmiażdżyć go na zgniłe jabłko.

Przez gońców doniesiono z Kalisza, że dwadzieścia tysięcy Wielkopolskiej szlachty, pod Wojewodami Kaliskim, Poznańskim, Inowrocławskim i Podlaskim, stanęło zbrojnie w Ujściu, nad Notecią, gotowej poprobować się ze Szwedem.

Wielkopolscy panicze goszczący przy królewskim dworze, uroczyście oświadczali Królowi Jegomości i Królowej Imości, że ani jeden Szwed nie wyjdzie za Baltyk, aby zaniósł wieść o klęsce swoich.

W Warszawie rachowano na pewne zwycięztwo. I Królowa Ludwika Marja, wdowa po królu bohaterze, a małżonka Jana Kazimierza postanowiła obchodzić świetnemi zabawami dzień świętej Anny, dzień patronki jednej z ulubionych polskich panien Anny Sapieżanki, córki Pawła Sapiehy Wojewody Wileńskiego.

W królewskich komnatach zwyczajnie jak w dzień wielkiej uczty, szumnie, dworno, hucznie i jasno — w złocistych i srebrzystych świecznikach, wyginanych i wiązanych w dziwne kształty, tysiącami jaskrawe światła płoną; ścielą się szerokiem łunem po obiciach adamaszkowych obrzuconych lśniącemi się szlaki. Pod ich jasnością rozświeciły się kosztowne sprzęty z hebanu i bukszpanowego drzewa, ozdobne w snycerską rzeźbę i natykane błaszkami z metalu albo z perłowej macicy; połyskują się obicia z tureckiego altembasu i z włoskiej brokadji, a perskie kobierce rozesłane po posadce, pstrzą się barwiastem tkaniem wschodu; w sieni i przedpokojach pełno paziów i hajduków królewskich, i służby polskich panów

W komnatach gości hukiem, kobiety postrojone: jedna w długiej robronie, w fryzurze przetykanej kwiatami jak francuzka przybrana; druga w aksamitnym berecie z perłami gdyby hiszpanka jaka; u tej alszbant z dijamentami ściska szyję gdyby u niemkini; u tamtej po flamandzku popiętrzone kryziki z brabanckich korónek; ta obnażyła pół piersi zwyczajem lubieżnej włoszki; tamta gdyby turczyn jaki oczepiona

złotogłowami i tyftykami. Na głowach kiwiory, bawolety, reginy i Bóg wie jakiego nazwiska stroje; wszędzie pełno zausznic, kanaków, nagłówków z drogich kamieni i złota; rzekłbyś, żeś nie w Polsce, ale w Wenecji, na maszkaradzie. Nie dojrzysz tam kabacika skromnej panienki, ani polskiego kontusika na ramionach hożej niewiasty — darmo byś szukał kołpaka na głowie młodej mężatki, albo sobolowego szłyka na skroniach poważnej matrony, wszystko to wygnane z polskiej ziemi; modną prośbą: ojcze, mężu! pozwól mi się przebrać po cudzoziemsku; a niebaczni mężowie i ojcowie pozwalali, niepomni, że za wygnaniem stroju, pójdzie wygnanie języka, a za niemi dalsze rzeczy.

Między mężczyznami jeszcze mnóstwo kontuszów, jeszcze karabele brzęczą, i wąsy się pomuskują, ledwie tam j a k i t a k i gaszek, albo szaławiła zawiesił na ramiona płaszcz hiszpański, z florencka opięto przystroił się w aksamity, albo przyzwolił polską czuprynę przestroić na fryzurę szpica.

Cudzoziemców było niemało, a ci przybysze choć panoszyli się swoim obcym strojem, i chwalili go na całe gardło, jednak w duszy czuli się być pacholikami przy okazałych i bogatych polskich ubiorach.

Marszałek królewskiego dworu przyjmował gości; ukłony, powitania stosował do godności i wieku przybywających osób; matronom wskazywał miejsca siedzenia, a Franciszka Hrabina z La-Grange niegdyś Ochmistrzyni królowej, dziś pierwsza dama jej dworu, uśmiechem i rozmową bawiła polskie matrony, i dawała rady młodym mężatkom i pannom, jak mają do reszty zagładzać w sobie ślady polskich obczajów. Nagany, pochwały, prześmiewania się nawet, koleją płynęły z jej ust, a wszystko ze słodyczą, dowcipnie, wesoło, zwyczajnie po francuzku. Pani Wojewodzina Sandomirska, córka Hrabiny z La-Grange, znana podówczas pod imieniem pięknej Marysi, otoczona gronem polskiej i cudzoziemskiej młodzieży, rozdawała między nią czarowne słówka, czarowniejszy jeszcze uśmiech, i czarowniejsze nad jedne i drugie rzuty cudnego oka.

Nowi goście wpływali między dawnych, i coraz się zwiększał tłum, a w tem jakiś szmer dał się słyszeć w komnatach; umilkły rozmowy, a ciekawe spojrzenia skierowały się ku drzwiom. Dwaj cudzoziemcy weszli, jeden we francuzkim, drugi w hiszpańskim stroju: pierwszy młody hrabia z Châtre, synowiec hrabiny z La-Grange; drugi Montresor, dawny dworzanin Księcia Orleanu; towarzysz spiskowy nieszczęsnego Cinq Mars, wychodziec z ojczystej ziemi, obsypany teraz łaskami polskiego dworu i obdarzony margrabstwem niemieckiem. Obydwa byli prawodawcami mody, niejako bożyszczem bałwochwalczej czci płci pięknej: za ich wejściem na twarzach

wszystkich niewiast odmalował się wyraz gorącej chęci: żeby mnie się najładniej skłonił, żeby do mnie pierwszej przemówił. Nie jedna wszczęła modlitwę krótką ale szczerą do swojej patronki, aby na nią zesłała tę łaskę, bo ukłon, słówka bohatera mody, jest pożądanym hołdem, jest drogiem zwycięztwem dla niewiasty wielkiego świata.

Hrabia się ukłonił nisko z wyuczonym wdziękiem, powiódł wzrokiem od niechcenia niby po zgromadzonych niewiastach, ale widać było w oku że kogoś szukał, bo z niechętną twarzą odwrócił się do Montresora, który po powitalnych ukłonach chciał puścić się w modne zaloty do panien i mężatek.

— Przez niebo, nie masz jeszcze ani królowej, ani jej dworu, a tyś mnie tak naglił! —

Montresor odpowiedział: — Czyż nie widzisz że wszystkie panie dworskie są tu w tej komnacie? i dodał na ucho z uśmiechem — prawda że dla ciebie braknie kogoś ze dworu. — Wtem nadszedł Wojewodzic Kaliski i witał cudzoziemców. Montresor korzystał z tego zbliżenia się i poszedł do grona otaczającego Panią Sandomirskę, a Wojewodzic pogładzając hiszpańską bródkę, zagaił francuzczyzną chrapawego dźwięku.

— Jakże Panu Hrabiemu nasza Polska się podoba? —

Ludwik z Châtre uśmiechnął się z przygryzieniem ust.

— Dzięki płci pięknej i panom, Polska już na pół się przekształciła na naszą nieporównaną Francję. —

Wojewodzic nisko się ukłonił. — Wszystko tośmy winni wam, nieoszacowani bracia naszego współczucia; nie opuszczajcie nas z swojemi radami, a zobaczycie przez doświadczenie jak dalece jesteśmy ich godni. —

Tu młodzieniec stojący nie daleko, poprawił wyloty kontusza, i mruknął: — Przestałbyś pleść androny; ty i podobne tobie wiercipięty Przerobicie się na francuzów i na djabłów, ale nie my. —

Hrabia popatrzał się na niego, a nie rozumiejąc polskiej mowy z cicha rzekł do Wojewodzica:

— Ten Pan widzę się gniewa, bo coś za głośno mówi. —

Wojewodzic się nie zmięszał, zbliżył głowę do Hrabiego.

— To zwyczajnie szlachetka, synowiec Czarnieckiego, tego tam rębacza — a obracając się do młodzieńca.

— Mospanie Czarniecki pomówimy z sobą jutro. — Staroście dłonią stuknął po rękojeści karabeli.

— Choćby i zaraz mospanie Grudziński, wyjdźmy stąd.

— Do jutra, do jutra! — zaśmiał się Wojewodzic.

— Panie Hrabio, będziesz moim przyjacielem w tej sprawie honorowej.

— Na twoje rozkazy jestem. —

W tem dworzanin królewskiej służby krzyknął: — Król Je-

gomość! Królowa Imość! — I kobiety i mężczyzni z miejsc powstawali, i jak w rzędy poszykowali się na prawo i na lewo.

Królowa już to nie była owa młoda Księżniczka z Gonzagi, za którą szalała cała młodzież dworu Ludwika trzynastego, i polubieńce Kardynała Richelieu, ale jeszcze się ślady jej wdzięków nie zatarły, róż i bielidło jak mogły poprawiały bezlitośne szczerby czasu. Czarne oko jeszcze brylantem błyskało z pod wymuskanej brwi; na gładkiem i jasnem czole, gdzie każdą żyłę przejrzeć można, przewija się duma i namiętne uczucie włoskiej niewiasty, a w drobnej i szykownej kibici widać krew francuzkiego rodu. Na niej szata z różowego atłasu, przysłana w darze z perskiej krainy, w szerokie fałdy spływała ku ziemi; szeroka srebrzysta wstęga przepasywała kibić, przy rękawach sute angażanty z koronek puszyły się jak śnieg w około malutkiej rączki, odzianej w różową rękawiczkę haftowaną w srebrne winogrona. Na nóżce przy białych jedwabnych pończochach połyskiwał różowy trzewik także haftem upstrzony; u spodu suknia potrójną falbaną obrzucona, około gorsu forbony z brabanckich koronek; na szyi kanak z szacownych pereł, a na głowie w ufryzowanych włosach korona z rubinów przewijana brylantami.

Koło Królowej były trzy panny dworskie — dwie strojne po francuzku, trzecia zaś w polskich ojczystych szatach.

Jan Kazimierz przybrany był w żupan z pomarańczowego grodeturu, i w kontusz z błękitnego aksamitu; obuwie z czarnego tebinu, pas lity, ale mało na jego szatach złota i drogich kamieni; przy boku karabela, nie w jaszczur ale w stal misternej roboty oprawna, widać że nie dla boju, ale dla zwyczaju potomek Jagiellonów ją nosi; w ręku czapka bobrowa. Twarz Króla łagodna, poważna, ale nie widać na niej polskiego wąsa, i czupryna nie golona, ale włosy uczesane ni to po francuzku, ni to po polsku. Koło niego szedł ojciec Jezuita Krajewski w czarnej długiej sukni, z bobrową czapką w ręku.

Królowa z powagą i uprzejmością witała zgromadzonych gości. Do każdej znakomitszej matrony, albo piękniejszej panny kilka słów przemówiła, i nie jednemu mężczyznie dostała się ta szczodrota grzeczności; i rzecz dziwna, kiedy Król zbliżał się do cudzoziemców, albo polaków przybranych w strój cudzoziemski, Królowa jakby na przekorę szukała wojennych mężów, butnych Sarmacką odzieżą.

Na rozkaz Marszałka królewskiego dworu, muzyka urżnęła polskiego, Król Jegomość wziął w pierwszą parę solenizantkę.

Solenizantka z książęcego rodu, ale też i krasa u niej książęca; z pod złotej siatki narzuconej drogiemi klejnotami,

ciemne włosy spływały w polotnych kędziorach, na ramiona cudnego kształtu i śnieżnej białości; piwne oko ogniem błyska, gładkie liczko rumieńcem się krasi, słodki uśmiech dobroci po niem się przewija, niebiańska słodycz przepłynęła po czole i zostawiła na nim wdzięk anioła. Kibić okazałej urody strojna, w fałdziastą robronę, z białego muślinu, u dołu suta falbana puszy się troistym kołem; białe trzewiki, białe rękawiczki ze srebrem, a na szyi alszbant błękitny djamentami nasiany, jak pas nieba gwiazdami.

Królowa Imość podała rękę Panu Wojewodzie Wileńskiemu, żeby patrzył na córkę, swoją chlubę, swoją pociechę. A Pan Kasztelan Krakowski podał rękę Wileńskiej Wojewodzinie. — Hrabia z Châtre, Pan Wojewodzic Kaliski, Pan Starosta Gnoiński, i Pan Starościc Czarniecki wszyscy czterej jakby z kopyta, posunęli się do panny dworskiej, co ostatnia przyszła z Królową, i miała na sobie szaty polskie.

Hrabina z La-Grange, gdyby umówiona wzięła za rękę młodą dziewicę.

— Panna Lanckorońska tańcuje z Hrabią z Châtre. —

Dziewica spłoniła się, nic nie rzekła, i oddała swoją rękę, podrygującemu francuzowi; na jej twarzy nie dojrzeć ani radości, ani niechęci; widać że jej młode serce jeszcze obojętne na zaloty. Wojewodzic na pocieszenie się ofiarował swoją rękę Hrabinie z La-Grange, Starosta wziął do tańca Pannę Potocką, a Jan Czarniecki odszedł i stanął pod ścianą. Hrabina to spostrzegła i z uśmiechem obróciła się do Wojewodzica.

— Widzi to Pan, Stryjaszek po buławę sięga ręką, a synowczykowi zachciało się Hetmanówny; do czego to Polska przyszła, drobna szlachta górę bierze, Panowie to znosicie. —

Wojewodzic zmarszczył brwi: — Ani jeden buławy, ani drugi Hetmanówny mieć nie będzie. —

Już się pary uszykowały, i Król z Anną Sapieżanką posunął naprzód.

Długim sznurem idą pary za parami, po prawicy matrony, młode mężatki i dziewice z partesa poważnym krokiem po kobiercach gładko się posuwają, a układ ich kibici i wyraz twarzy zdaje się nakazywać: wielbcie nas, ale i szanujcie zarazem. Po lewicy, mężczyzni wojennym krokiem postępują, w prawej ręce każdy z nich trzyma rękę swej tanecznicy, z niemym znakiem chluby, że go wybrała za opiekuna w tej chwili; w lewej ręce niesie czapkę. Czasem stuknie nogą z radości, na przechwałkę przed widzami, czasem brzęknie karabelą, na znak że w potrzebie jest na pogotowiu oręż, na obronę tej, która zawierzyła jego sercu i ramieniowi.

Sznur tanecznikóꟾw i tanecznic kręci się po komnatach; to

półkole zakreśli i bieży naprzód, to znowu jakiś zygzak po posadce zarysuje i wstecz się sunie, jak igrający wąż po trawie, jak zwydrzony ruczaj pomiędzy skałami; jańczarskie rogi brzmią, skrzypce rypią trelami harmonijnego dźwięku, a tułumbąsy przerywanemi grzmotami huczą i huczą.

Hrabia z Châtre uśmiecha się, przymila do swojej tanecznicy, i oczyma i słowami do niej przemawia. Ona mu grzecznie ale obojętnie odpowiada. Wszystkich widzów oczy na nią się zwracały; oko niebieskie jak błękit krymskiego nieba, a w niem się maluje słodycz i dobroć, i trochę sarmackiej dumy, zwyczajnie jak w dziecięciu bohatera, posiwiałego w bojach; nad oczyma mszy się jak aksamit czarna brew, twarz trochę ściągła, lica białe jak mleko, na nich powleka się rumieniec uroczy, jak pierwotne zwoje polnej róży, nos trochę orli; usta małe, rumiane, roskoszą wioną; kiedy się uśmiecha widać dwa rzędy zębów jednakich, białych jak śnieg; w uśmiechu na licach dwa dołki się odcieniają i anielski wdzięk rozlewają po twarzy. Półbródek zgrabnie zaokrąglony, szyja roskoszna i biała jak puch łabędzi; czoło gładkie, nieznacznie wypukłe i niby przeźroczyste, na skroniach wymuskane czarne włosy lśknią się jak pióra ptaka pod promieniem słońca; we włosach wieniec z bławatków, ale te bławatki z turkusów, na złotych łodygach, a środki z kosztownych djamentów. Kibić rosła, szykowna, w pasie przecięta, tak iż zda się że jedną ręką można ją objąć: na niej kabacik ż białego muślinu pod szyję dochodzący, spodniczka u dołu obrzucona falbanami z koronek, przewijanemi ciągniętem złotem; na ramionach zarzucony kontusik z szafirowego atłasu, podbity karmazynowym tyftykiem, przy nim dwa rzędy guzików z basorkich szafirów oprawnych w złoto, sznur pereł przytrzymywał go na ramionach, i potrójnie owijał się w około szyi; na malutkich nóżkach białe czyżmy złotem i drogiemi kamieniami natykane, a na rękach cudnego kształtu białe atłasowe rękawiczki ozdobne złotym haftem.

Jeden do drugiego powtarzał, co to za piękna ta Panna Joanna; jaki to szczęśliwy Pan Stanisław Lanckoroński że ma taką dziewoję; nie trudno mu będzie o zięcia. Po stroju córki widać że Pana Hetmana Polnego skarb zamożny w dostatki.

Tu Król przyprowadził swoją tanecznicę do Pana Wojewody Sandomierskiego.

— Mości Wojewodo! Waszmość Pan mnie zastąp. —

Wojewoda z powagą poszanowania podał rękę Annie Sapieżance, i rej zawiódł w polskim. Król odszedł — a Marszałek królewskiego dworu zawołał donośnym głosem:

— Mości Panowie! komu wola, odbijanego. —

Migiem Pan Jan Czarniecki wysworował się naprzód, wąsa

zakręcił, postawą się nabundziuczył, zaszedł drogę pierwszej parze, dłonią w dłoń klasnął, i z uprzejmością rycerską ujął rękę tanecznicy. Wojewoda Sandomierski odbił Królowę, i takim porządkiem wszystkie niewiasty zmieniły swoich tanecznikow, a ostatni wyszedł z tańca.

Anna Sapieżanka zarumieniła się jak jagoda maliny, i piwnemi oczami zaiskrzyła; raźny młodzieniec zawinął obertasem w prawo, wziął prawą rękę swej tanecznicy, jakby pokazywał widzom, widzicie jaka piękna; a jej mówił tym niemym znakiem: serce moje dla ciebie bije i szabla jest ku twej obronie. Wszyscy wykonali toż same poruszenie, przeszli kilkanaście kroków tym porządkiem i znowu obertasem powrócili na swoje miejsca. Coraz nowy tanecznik odbijał pierwszą parę, zmieniali się mężczyźni i polski się przedłużał, póki Król nie odebrał swojej tanecznicy, i nie zaprowadził ją ku kanapie do bawialnej komnaty; i wszyscy poszli jego przykładem, podziękowali niewiastom ukłonem i pocałowaniem ręki; muzyka ustała, tylko szmer, śmiechy, gwary, rozmowy, jakby rozgłos po niej, rozlegały się po komnatach.

Hrabia z Châtre z Panem Wojewodzicem Kaliskim zauważyli, że Jan Czarniecki zakończył polskiego z Panną Lanckorońską, i teraz z nią rozmawiał wesoło, swobodnie, jak gdyby panował między niemi jakiś rodzaj poufałości. Hrabina z La-Grange okiem złośliwego uśmiechu wskazała to im, a Montresor czy przez ciekawość, czy przez chęć oddania przyjacielowi, zbliżył się do rozmawiającej pary i słuchał. Piękna dziewica mówiła:

— Pan sobie ze mnie żartujesz, on tu nie przyjedzie, nie porzuci Ukrainy, ja wiem jak on ją kocha.

— Panna Hetmanówna myśli że on nad Ukrainę nic bardziej nie kocha. Ja ręczę, że dziś, jutro go zobaczymy; w ostatnich czasach stał się nieodstępnym towarzyszem mego stryja i ukochanym uczniem.

— Czy Pan myślisz, że on nie odstąpi Pana Kasztelana Kijowskiego?

— Nie tylko myślę ale pewny jestem. Niech mi jednak godzi się zapytać dla czego on tak Pannę Hetmanównę obchodzi?

— Nic dziwnego, razem prawie wzrastaliśmy. Jego ojciec najlepszym był przyjacielem mojego, dla niego opuścił dostojeństwa, dostatki; wreszcie Pan wiesz, że w nieszczęsnej wojnie domowej był ciągle przy moim ojcu, i z takiem poświęceniem się służył Ojczyźnie.

— Szczęśliwy; nie jeden poświęciłby korony, buławy, żeby być na jego miejscu.

— Panie Starościcu, niech Pan porzuci pleść te madrygały, a lepiej patrz Pan na Annę Sapieżankę jaka ładna. — Starościc

Zakroczymski spojrzał na piękną Wojewodziankę, westchnął, ale nie nie powiedział. Montresor zbliżył się do Panny Lanckorońskiej.

— Kto widzi Panią, ten wzroku od jej oblicza oderwać nie może. —

Starościc skłonił się mu rubasznie. — Obowiązany Waszmość Panu jestem, żeś mnie wyręczył.

Panna Lanckorońska odrzekła bez zarumienia się. — Dziękuję Panu Margrabiemu za niezasłużoną grzeczność — a wstając i biorąc za rękę Pannę Potockę dodała: — Zostawujemy Panów; niech też Panowie między inne Panie obdzielą piękne słówka na których im nie zabraknie; nie godzi się żebym sama je zabierała — i nie czekając odpowiedzi poszły między grono niewiast.

Pan Wojewodzic Kaliski zaszedł im drogę, i zaczął witać francuzką rozmową. Panna Potocka chcąc przerwać te długie cudzoziemskie androny zapytała: — Czy Pan Wojowodzic nie odebrał żadnej wiadomości o Szwedach?

— Mój ojciec na czele szlachty wielkopolskiej czeka ich w Ujściu; w tej chwili może już ani jednego przy życiu nie masz. —

Panna Potocka popatrzyła na niego: — Pan tu, kiedy ojciec Pański Pan Wojewoda, mierzy się z wrogiem.

— A któżby bronił płci pięknej, tego drogiego skarbu dla Polaka, gdybyśmy wszyscy do obozu wyruszyli? —

Dalszą rozmowę przerwał jakiś nadzwyczajny szmer po komnatach; już muzyka podstrajała instrumenta do zagrzmienia hucznym węgrzynem, albo skocznym drabantem, tańców podówczas w najpierwszej modzie, kiedy nagle ucichła i nawet pierwszego wyskoku nie zadęła. Jedni drugich ciekawie pytali: skąd wyszedł rozkaz przerwania uroczystości? co za przyczyna rozkazu? Rzuty oczów i ruchy ciała wtórowały ciekawości słów.

Król wyszedł spiesznie z Panem Weslem Starostą Makowskim, dowódcą zbrojnej załogi miasta Warszawy, i z nimi ojciec Jezuita Krajewski.

Kiedy Marszałek nadworny do ucha Królowi szeptał jakieś słowa, Jan Kazimierz pobladł, zafrasował się ale uśmiechem chciał to pokryć.

Marszałek kazał muzyce nie rozpoczynać, a dostawszy się do Królowej kilka słów jej powiedział. Widać w oczach Ludwiki Marji, jak usiłuje udać spokojność, nawet uśmiech przymusu poigrał z jej ustami. Rozkazała Marszałkowi dworu aby muzyka grała węgrzyna, i aby zaprosił jej na tanecznika Pana Jana Czarnieckiego.

Muzyka zabrzmiała, tancecznicy ujęli za obie ręce swoje tanecznice, i w ciągłych obertasach kreślili koło po posadce

komnaty i za każdym obertasem, podwójnym hołubcem, przyklaskiwali w takt muzyce. Za obiegiem drugiego koła Królowa stanęła i jakby wir tańca przyniósł jej jakąś myśl szczęśliwą, uśmiechnęła się do swego tanecznika.

— Pański ojciec dowodzi w Częstochowie, mamy nadzieję że tej warowni nie odda nieprzyjacielowi.

— Miłościwa Pani, żaden Czarniecki nie odbiegł ani odbieży stanowiska, które mu Król i Ojczyzna do obrony powierzyli.

— My też najwięcej rachujemy na Czarnieckich i na im podobnych.

— Póki ducha w piersiach, póki siły w dłoni stanie, póty walczyć będziemy za Ojczyznę i za Króla. —

Królowa podziękowała mu skinieniem głowy, i spojrzeniem, w którem na ten raz zabłysła cała potęga powabu niegdyś młodej Księżniczki Gonzagi. Starościc uczuł w swojem sercu taką dumę, taką hardość, iż sam jeden gotówby uderzyć na całe wojsko Karola Gustawa, z pewnością zwycięztwa. Ludwika Marja obróciła się do stojących kilku z młodzieży, między któremi znachodził się Hrabia z Châtre i Wojewodzic Kaliski.

— Panowie nie tańczą, to nie ładnie dla młodych ludzi. —

Jeszcze coś przemówiła do Hrabiny z La-Grange, i zniknęła z bawialnej komnaty.

Ochmistrzynia Królowej i Marszałek królewskiego dworu, jak mogą podniecają do zabawy, ale na darmo. Oddalenie się Króla i Królowej, ciekawość i jakiś dziwny niepokój nie pozwalają hulać duszom; chociaż nogi skaczą, ciała się mordują, dusze jednak smętne. Wojewodzic spojrzał na Hrabiego z Châtre.

— Ten biedny Starościc oszaleje, Królowa do niego się przymila, Panna Hetmanówna jawnie affekt mu okazuje; żal mi go szlachetkę, już teraz nie poradzą biednej głowie, tak się tam musiało przewrócić.

— Panie Wojewodzicu, możesz go wyleczyć prędzej jak kto inny.

— Prawda mój Hrabio; proszę ciebie przyśpiesz między nami rozprawę. —

Już Hrabia zbliżał się do Starościca Zakroczymskiego, aby zapytać go o przyjaciela pojedynku, o naznaczeniu czasu i miejsca, kiedy wieść się rozeszła że przybyli dwaj gońce z Kalisza. Jedni mówili, że już od dwóch dni zażarcie się biją pod Ujściem, koryto Noteci trupami zawalone, bieg rzeki się zatamował. Drudzy powiadają, że Karol Gustaw okrążył Ujście i wprost do Kalisza poszedł. Byli tacy co twierdzili że Wojewoda Kaliski rzuszył konceptem, wielkopolską szlachtę na statki wsadził i spławił gdyby pszenicę do Gdańska, na przecięcie drogi Szwedowi, i o tem dał wiedzieć do stolicy, pro-

sząc o posiłki: a każdy klnie się że słyszał z ust samego gońca. Niebawem jednak prawda wyszła na jaw; smutna prawda, że dwadzieścia tysięcy wielkopolskiej szlachty zbrojnej, niedotrzymało pola kilkuset szwedzkim rajtarom. Wojewodowie dali przykład, uciekli, a szlachta bez wodza do domu się rozjechała jakby z Sejmików.

Tu w miejscu tańców i zabaw w drugiej komnacie zaczęły się wrzaskliwe zwady i żwawe spory. Jakiś stary Litwin rodem z Kowna Kiejstutowego grodu, mówił do stojącego obok siebie Wielkopolanina:

— Pfe braciszku, dali drała Wielkopolanie, to nie pięknie; tak się dziać nie powinno.

— Litwinie, niedowiarku Boży, co ty tam mruczysz po niedźwiedziemu pod nosem. Wiedz o tem, że my Wielkopolanie zawsześmy gotowi pierwsi za Ojczyznę. —

Litwin nie dał domówić: — Uciekać braciszku, to nie dobrze.

— Bartniku przeklęty, zaraz cię tu nauczę, obetnę uszy, już mi się to nieraz trafiło — i porwał się do szabli. Litwin z przyśmiechającą się twarzą ani na włos gniewu nie okazał.

— Braciszku nie tak żwawo, na Szweda szabli dobądź, jemu zajrzyj w oczy, tu twoje zuchwalstwo nie na miejscu. —

Wielkopolanin się sierdził i byłoby może przyszło do czubów; ale nadszedł Rusin z Kijowskiego Województwa.

— Mospanowie, na bok prywaty, tu idzie rzecz o ojczystą sprawę. Zgoda między sobą, wrogowi nieśmy wojnę; i Litwini i Wielkopolanie wszyscyśmy Polacy, wszyscy brońmy Rzeczypospolitej. — A po chwili dodał. — Jeszcze nic nie stracono, Pan Hetman Polny, Pan Kasztelan Kijowski i Chorąży Koronny ciągną tu z Rusinami, a Mospanowie wiecie, że Rusin to stary popraw; gdzie Wielkopolanin skrewi, Litwin pobałamuci, to tam Rusin dojedzie i swoje zrobi. —

Obadwa obruszyli się na niego i obadwa razem zawrzeszczeli.

Wielkopolanin pienił się od złości: — Wy Rusini chamy, schyzmatycy, wasza to sprawka, wszystko złe od was wzięło początek. Ten obwieś Chmielniczenko, nie wasz że to zalał sadła za skórę ojczyznie? Przeklęte smoki. —

Litwin przygryzał wargi i jak kot złośliwem okiem migotał.

— Braciszku, nie tak się przechwalaj, Litwa was nieraz wojowała, byliście naszymi poddanymi. —

Kijowianin już podniósł rękę na odpowiedź, kiedy Marszałek dworu nadszedł.

— Panowie bracia, proszę o przyzwoitość w królewskiem mieszkaniu, nie zapominajcie gdzie jesteście. — I ten głos uciszył spory, a wtem nadszedł Król i Królowa.

Ludwika Marja była wesoła i poważna, ale Jan Kazimierz był smutny. Wojewodzic choć stoi blisko Panny Lanckorońskiej, jak to mówią, zwiesił nosa na kwintę i nie śmie ani spojrzeć jej w oczy, ani przemówić. Hetmanówna z całą szczerotą dobrego serca, grzecznemi słowami pociesza jego żal, i chciałaby rozproszyć te chmurki smutku, naniesione niepowodzeniem ojca. Hrabia z Châtre i Montresor śmieją i świegocą; nie o ich ojczyznę idzie, a wojny się nie lękają, owszem mężnem sercem jej pragną. Pan Starościc przydany do pomocy Panu Weslowi wyszedł z nim robić potrzebne rozporządzenia dla wojska. Wychodząc, okiem przymilenia spojrzał i na Pannę Hetmanównę i na siedzącą obok niej Annę Sapieżankę, tak iż rzekła Hetmanówna.

— I Pan Jan widzę zaczyna na Francuza się przerabiać.

W jadalnej komnacie gną się mnogie stoły pod srebrnemi i złotemi przyborami; jak drzewa, jak piramidy, jak zamki piętrzą się serwisy, a u ich wierzchołka i po bokach płoną jarzące pochodnie, i jasnem światłem łamią się w różno-kolorowych kryształach. Na postumentach stoją roztruchany i puhary z czystego złota i srebra a na nich rżnięte cyfry Króla i Królowej, białe orły Polskie, Litewskie pogonie, korona Szwedzka, mitry Ruskie, Pruskie, Inflandzkie i Pomorskie, a wszystkie ozdobne różnobarwną emalią i drogiemi kamieniami. Na śnieżnych obrusach półmiski i blaty srebrne, a na nich: tu pieczony indyk przybrany w pawie pióra stoi gdyby żywy; potworny szczupak kameryzowany galaretą barwy i przeźroczystości rubinów i bursztynu; głowa odyńca kłami grozi i skrzy oczyma. Kupami pieczone bekasy, jarząbki, kuropatwy; pasztety z cietrzewi i kwiczołów suto zaprawne korzeniami. Łosoś hojnie oblany szafranem, karpie upstrzone migdałami i rodzenkami; w podlewach pływają sarnie czombry i udźce zajęcze, melszpasy i grzybki rozmaitych kształtów i kolorów. Pośrodku stołu gmach z ciasta, nad nim wieża, nad nią z cukru cyfra A, nad cyfrą solenizantki, J. K. L. M., cyfry Króla i Królowej, nad niemi królewska koroną, a nad koroną ciaściany drzewiec z chorągwią białej barwy z czerwoną, w środku rozpostarł skrzydła biały orzeł Polski, i do pędu się natężył jeździec litewskiej pogoni. A w około tego dziwowiska, pałace, kościoły, twierdze, wieże z ciast cukrowanych, ptiusiowych, toruńskich pierników i cykat; postawy zwierzęce i ludzkie i kwiaty z cukrów brylantowanych i matowych; w srebrnych koszach bakalije, owoce krajowe i zamorskie; w butelkach małmazja, cypryjskie wino, węgrzyn, pontak i ojczysty miód. Sztucce z jasnego srebra, porcelana saska, kryształy czeskie; królewska zamożność i królewski przepych wszędzie.

Służba Króla przybrana w czerwoną sajetę ze srebrnemi naszyciami i srebrnemi łańcuchami na szyjach; dwornia Królowej nosi niebieską barwę ze złotem i złote łańcuchy.

Pan wielki Kuchmistrz koronny zrobił przegląd półmisków; wielki Podczaszy powiódł biegłem okiem po butelkach, puharach i roztruchanach, a Marszałek dworu uśmiechnął się zadowolnieniem z arcy-dzieła wieczerzy.

Kto by widział te wszystkie przybory, ani by mu na myśl przyszło że nieprzyjaciel mnogą liczbą, hardy powodzeniem, już jest pod nosem, a Król ledwo ma kilkaset żołnierzy pod ręką ku swojej obronie.

Jan Kazimierz nierad był z tej uczty, i co prędzej chciałby ją zakończyć, ale Ludwika Marja, ta niejako uczennica ministra kardynała, chciała okazać w grożącem niebezpieczeństwie zimny spokój panującego i uroczystą powagę tronu. Ona wie że to najlepsze sprężyny do wzniecenia zaufania w narodzie i do zakupienia bezgranicznych poświęceń się.

Już muzyka poczynała zadymać polskiego, i miano iść do wieczerzy, już Starosta Makowski i Starościc Zakroczymski wrócili zapewnić Króla, że czaty porozstawiane i zwiady porozsyłane na wszystkie szlaki, kiedy jeden z dworzan oznajmi przybycie dowódcy lekkich chorągwi, Pana Hetmana Polnego. Jan Kazimierz z pośpiechem zawołał:

— Niech przychodzi pożądany gość — i naprzód postąpił. —

Wszedł Krzysztof Wąsowicz Starosta Żytomirski, już podeszłego wieku, włos mu poszpakowaciał na wojaczkach Ukraińskich, Moskiewskich i Tureckich. Z Królem Władysławem świętej pamięci był pod Moskwą, i jasyr Tatarskiego Hana go nie minął. Jana Kazimierza nigdy nie widział, i po raz pierwszy noga jego na dworze królewskim stanęła, a jednak z górą sześćdziesiąt lat przeżył. Skoro wszedł, powitał wszystkich ukłonem wojskowym i rzęsistym brzękiem szabli, i obrócił mowę do Wesla Starosty Makowskiego.

— Miłościwy Królu i Panie! —

Starościc Zakroczymski mruga a mruga na Wąsowicza i okiem wskazuje na Jana Kazimierza, ale Wąsowicz nic nieważa, jak cietrzew zatokował się w mowie. — Jaśnie Wielmożny Hetman Polny Koronny ciągnie z wojskami Waszej Królewskiej Mości. —

Wesel się odwraca i Wąsowicz powraca się za nim. Jan Kazimierz zdziwionym wzrokiem rzuca w koło i sam nie wie co to jest.

Marszałek dworu spostrzegł to, zbliżył się, wziął za rękę Wąsowicza, gwałtem prawie obrócił go ku Królowi.

— Najjaśniejszy Panie, przedstawiam Waszej Królewskiej Mości, Pana Starostę Żytomirskiego. —

W pierwszej chwili Wąsowicz chciał mu wyrwać rękę, ale po jego słowach zafrasował się, pokręcił wąs, uniżenie się pokłonił, aż za kolana ułapił Króla.

— Przebacz miłościwy Królu i Panie prostactwu żołnierza. Małym jeszcze dzieciakiem widziałem Króla Jegomości Stefana Batorego jak szedł pod Wielkie Łuki i Psków, nosił zawiesisty wąs. I świętej pamięci ojciec Waszej Królewskiej Mości pod Smoleńskiem w obozie twarz miał strojną w wąsy. I Król Władysław Pan mój i Dobrodziej za przeproszeniem Majestatu Królewskiego jak sum miał ogromne wąsy; ja myślałem że Król bez nich być nie może; przebacz Miłościwy Panie.

— Panie Starosto, nie gniewamy się: jak pobijemy Szwedów i my zapuścimy wąsy. Ale jakie nam wieści przynosicie od wojska. Panowie Hetmanowie, Pan Kasztelan, zdrowi?

— Na usługi Waszej Królewskiej Mości. Jutro przyjdą przednie straże do Warszawy z Panem Kasztelanem Kijowskim; pojutrze nadciągnie Pan Hetman Polny a niebawem za nim Pan Chorąży Koronny z tylnemi strażami. Pan Hetman Koronny trzyma na wodzy Tatarów, Moskwę i zdrajcę Chmielnickiego.

— Dziękujemy wam Panie Starosto za dobre wiadomości, teraz powieczerzacie z nami — obrócił się do Królowej — Pana Starostę Żytomierskiego ci przedstawiam. Ludwisiu to nasz gość. — Skinął ręką na Marszałka dworu, muzyka zagrała polskiego; Królowa podała rękę Wąsowiczowi, który z rubaszną niezgrabnością i z pewnym rodzajem lękliwości wziął ją i pomyślał sobie: wolałbym iść do szturmu na moskiewskie okopy, albo uderzyć na bisurmański hufiec, jak prowadzić Najjaśniejszą Panię do stołu. —

Parami zaszli do jadalnej komnaty; kobiety i poważni ojcowie zasiedli za stołem, młodzież stojąc za niewiastami posługiwała, odbierając od nich talerze i oddając je służbie dworskiej. Każda z niewiast nie zapominała o swoim słudze i hojnie go karmiła łakociami. Król sam usadowił Pannę Lanckorońskę obok Wąsowicza, aby mogła wypytywać o swego ojca i o znajomych z Ukrainy; Hrabia z Châtre ze zgrabnością i polotem francuza zajął miejsce za jej krzesłem, Montresor ustawił się do posług solenizantki a Staroście Zakroczymski nie z dobrej woli, ale z przymusu obrał sobie za Panię tej wieczerzy Ludwikę z Grosouvre, jedną z francuzkich panien Królowej, i tą razą zazdrościł zwinności francuzów: nieszczęśliwy Wojewodzic posługiwał Hrabinie z La Grange; za krzesłem Królowej dostało się miejsce Kazimierzowi Sapieże, podówczas Chorążemu Litewskiemu a bratu Wileńskiego Wojewody.

Panna Lanckorońska ciągle rozmawiała z Wąsowiczem; a stary wojak jak się rozgadał, to gadał bez końca, śmiał się i cieszył się córką swojego Hetmana jakby własnem dziecięciem.

Hrabiego z Châtre mało djabli nie wzięli, bo ledwie mu tam jakieś krótkie słówko, albo nic nieznaczący uśmiech w jałmużnie grzeczności się dostały; i to nie z dobrej woli. Spijano wiwaty po wiwatach, jednym haustem za zdrowia Króla Jegomości i Królowej Imości, solenizantki, płci pięknej, Hetmanów Polskich i Litewskich, Stefana Czarnieckiego, Kasztelana Kijowskiego, dostojnych ojców Korony i Litwy, wojsk Polskich i Litewskich, Francuzek i Francuzów, Panów Chrześcijańskich sprzymierzonych z Polską, posłów zagranicznych, prawo Jana Kazimierza do Korony Szwedzkiej. Przy końcu Król wypił: niech żyje Pan Starosta Żytomirski co nam przywiózł dobrą wieść, a Wąsowicz za pozwoleniem Marszałka nadwornego podniósł puhar: niech żyje ojczyzna i Majestat Tronu Królewskiego! zginiemy a nie damy się! — i wszyscy powtórzyli to zdrowie wrzaskliwie, ochoczo.

Po wieczerzy jeszcze tańcowano, trunek hulał po rozochoconych głowach, a nogi po gładkiej posadce.

Tylko co Panna Lanckorońska przetańczyła z Wojewodzicem i miała tańczyć z Hrabią z Châtre, kiedy przyszedł Starościc Zakroczymski.

— Panna Hetmanówna zapewnie zapomniała zapytać o — —

Szybko odrzekła — Pytałam, zdrów, jutro go Pan zobaczysz.

— Może i nie zobaczę — obrócił się do Hrabiego i rzekł do ucha.

— Moje mieszkanie na Bednarskiej ulicy u kołodzieja Pawła Smoka. Rano czekam, teraz muszę oddalić się z mojego obowiązku — i odszedł. Muzyka zagrała, taniec się zaczął i po chwili się skończył. Po północy wszyscy się porozjeżdżali.

Po tak wesołej pohulance sądzićby można, że każdy pójdzie jeszcze we śnie marzyć o wieczornych zabawach, i na pół żyjąc, żyć roskoszami bliskiego wspomnienia; ale nie tak się działo, nikt prawie nie spał, wszyscy się do podróży układają. Owa wesołość uczty była udanym szałem, dla zapojenia troski dręczącej serce, dla chwilowego zapomnienia o tem, co trzeba będzie zrobić za kilka godzin. Była to uczta syna rozstającego się z rodzicami i rodziną, uczta wygnańca opuszczającego rodzinną ziemię. Każdy z nich wie, że opuszcza co mu miłe, łakomie chwyta szał wesołości, aby zagłuszyć smutek i troskę, bo wie kiedy jedzie, ale nie wie kiedy powróci. —

II.

Oj na hori, daj żynki żduť
A po pid horoju.
Po pid zełenoju
Laszeńki iduť.

STARA PIEŚŃ UKRAIŃSKA.

Kiedy w Królewskim zamku fraucymer Królowej Imości i służba dworska krząta się koło pakunków: na Święto-Jańskiej ulicy, tuż podle zamku, w zajezdnem domostwie, w izbie dość wykwintnie przybranej, przechadzał się Wojewodzic Kaliski; smutny, nierad, sam do siebie gadał: — Przeklęta szlachta uciekła; czemu nie było się bić? Mój ojciec tam dowodził, na niego by spłynęła sława ocalenia ojczyzny! i Grudzińskich ród stanąłby obok Zamojskich, Tarnowskich, Wiszniowieckich, Chodkiewiczów, Sapiehów, a teraz wszystko przepadło! Bogdajeście sto par djabłów zjedli ziemlacy Wielkopolanie! Oj niezapomnę ja wam tego nigdy! Teraz Panowie Czarnieccy w górę pójdą i Panna Hetmanówna gotowa dostać się temu szlachciurze Staroście — strzepnął palcami, aż koście zaklaskały we wstawach. — Nie, nie na twoje zęby ten chleb: nie dostaniesz jej. Wiem że i francuz na nią czyha, ale mniejsza o to, teraz z nim się sprzymierzę a potem i jego odsadzę. Hetman cudzoziemców nie lubi, a może też i mnie jakiś czyn rycerski się uda; nie traćmy nadziei — zastanowił się chwilę: — Ale ten pojedynek, to sęk! Chciałem mieć na drugiego świadka Sapiehę, Radziwiłła albo któregokolwiek z znamienitych rodzin. Na nieszczęście jeden wyjeżdża a drugi nie ma czasu. Poczciwy Gnoiński sam nie chce; obiecał uprosić Ossolińskiego albo Sanguszkę. Coby to była za przedziwna rzecz! jutro by wszędzie gadano: Pan Wojewodzic Kaliski bił się z jakimeś tam synowcem Stefana Czarnieckiego; świadkami Wojewodzica byli Hrabia z Châtre i Książe Sanguszko; a tego Czarnieckiego, jakiś tam szerpetyna

z pancernego znaku, albo woźny z powiatowego grodu — i każdy by dodał; swój swego znalazł. — Zacierał ręce i uśmichał się wesoło Wojewodzic.

W tem z hałasem zamaszyście wpadł Starosta Gnoiński.

— I dzieciom moim zakażę mieć do czynienia z wielkimi Panami.

— Cóż tam ci się stało Samuelu?

— Jeden przez zęby przecedził, że nie chce się mięszać w tę sprawę i radzi aby Panowie szlachta jak się pokłócili tak i pogodzili. Drugi zaś wyraźniej odmówił, oświadczając iż ma wiele przychylności dla Czarnieckich rodziny. Słuchaj Kazimierzu, póki twój ojciec był na czele dwudziestu tysięcy szlachty, wielcy Panowie w ówczas gotowi byli lizać podeszwy twych butów, a teraz Stefan Czarniecki ciągnie z wojskiem; oni lecą skarbić łaskę nie tylko jego synowca, ale ostatniego z jego ciurów. Nie takiemi byli ich ojcowie! ale ich synowie, wnukowie i prawnukowie takiemi będą po wieki wieków.

— Samuelu, ty ich za skwapliwie sądzisz, wszak i my do nich w części należymy.

— Głupstwem naszem, że cudzoziemców jak oni małpujemy; otrząśnijmy się z tego, jeszcze czas; lepiej przodkować dobrej szlachcie, jak być ogonem magnatów.

— Cóż to oni lepszego od nas! Wszak i nasze rodziny nie bez herbów?

— Idź wytłómacz im, że wieża Grudzińskich, albo Łodzia Czarnieckich, a nawet Warmja Gnoińskich i Jastrzębiec Zborowskich mogą stanąć na równi obok mitr i niemieckich hrabstw. —

Skrzywił się Wojewodzic, nie w smak mu ta mowa.

— Czy byłeś u Sieniawskiego, to mój dobry przyjaciel, nieraz podejmowałem go u siebie, w moim domie był gościem, nieodmówi mi tej posługi. Jego ród piękny i dawny.

— Widziałem jak Sieniawski prosił Wesla aby go przeznaczył do dragonji Królewskiej z jego pocztem, a tą dragonją dowodzi twój przeciwnik, Pan Starościc Zakroczymski.

— Pójdę, zobaczę, on ztąd nie daleko mieszka; spać jeszcze nie muszą. — Wziął czapkę i wyszedł. —

Gnoiński rzucił się na krzesło — Ruszaj głupcze, żabo, co nadstawiasz nogi, kiedy konia kują. Nie dla ciebie Panna Lanckorońska; czubcie się z Czarnieckim, może was obudwóch djabli pobiorą. Prosiłem dziś Wesla, aby mnie oddał w dowództwo chorągiew dragonji, jako dawnemu Rotmistrzowi, jako wnukowi Zborowskich. Bez ogródki odpowiedział hardy Inflantczyk: wola Króla Jegomości jest, aby nią dowodził Pan Starościc Zakroczymski — Poczekajcie, kiedy za Czarnieckiemi już dla nas nie masz miejsca w koronnem wojsku, pójdziemy go szukać gdzie indziej. Wszak dla Polski wszystko jedno, czy

Jan Kazimierz, czy Jerzy, czy Karól będzie jej królować, byle Polska była Polską. Hej Strynża! —

Niebawem wszedł dworzanin Pana Starosty: — Co Wielmożny Pan każe? —

Starosta zrzucił hiszpański płaszcz, kapelusz i inne stroje — Weź Waszeć to dla siebie, zrób co zechcesz; przygotować mi kurtę i szarawary podróżne, posiodłać konie, niech służba będzie gotowa, zaraz wyjedziemy; tylko cicho, nikomu nic nie mówić, a pośpiesznie. — Strynża podziękował ściskając za nogi pana i wyszedł.

Starosta się przeciągnął: — No, chwała Bogu, zrobiłem rozbrat z tą maskaradą cudzoziemską, a teraz co będzie to zobaczymy, i Gnoiński może znajdzie jakie miejsce nie zajęte przez Czarnieckiego — i dumał, a na szerokiej twarzy i w błękitnych oczach wymalowało się twarde i dzikie postanowienie.

Już prawie szarzeć zaczynało na dzień, kiedy w ubogim domku na Bednarskiej ulicy, w izbie, której ściany były pokryte niedźwiedziemi, rysiemi i wilczemi skórami: na których były pozawieszane karabele, pałasze, kindżały, myśliwskie noże, pistolety, szturmaki i strzelby rozmaitego rodzaju — a po pod niemi wisiały i leżały stalowe koszulki, misiurki, uzdy, munsztuki, bogate rzędy, siodła i inne przybory rycerskie; w kącie, na rozesłanym kobiercu, spoczywał już podeszłego wieku mężczyzna; głowę miał opartą na skórzanej poduszce, całkiem przybrany, nawet szabli nie odpasał od boku; nie spał, tylko ciągle przypatrywał się młodzieńcowi opatrującemu broń.

— Bogdajem nigdy na polu bitwy Niemcowi w oczy nie zajrzał, jeźliś Waćpan nie wykapany portret Pana Stefana; takie wysokie czoło, taki nos; a kiedy się Waszmość obrócisz, to przysiągłbym, że Pan Kasztelan Kijowski przedemną stoi, taka kibić; kubek w kubek, a potem coś mi Waszeć mówił o sporze z Panem Wojewodzicem Kaliskim, widzę żeś zawadjaka taki, jakim był stryjaszek za młodu.

— Ależ mości Starosto, ja go nie zaczepiałem, słowa prawdy wyrżnąłem, a teraz niech się dzieje wola Boża.

— O tem ani mowa: dobrześ Waćpan zrobił, gdybyś nawet był gębę ręką zasmarował temu paplaczowi, jeszcze bym tego nie zganił. Co teraz, spuść się na mnie, nie damy sobie w kaszę napluć. Stukniecie się w pałasze, obetniecie się trochę, a zresztą hajda na konie i dalej przeciw Szwedom obadwa; potem o tem. Powiedz mi Waszeć gdzie się obracają córki Pana Kasztelana, Pani Leszczyńska, Panna Aleksandra, nie widziałem je wczoraj, a byłbym poznał; ja dobrze pamiętam jakieście mi figle płatali. Mój Boże, takie pacholęta, a teraz co to się porobiło; jedna ma dzieci, a Waszeć mnie przerosłeś — mów mi gdzie one są.

— Leszczyński wysłany w poselstwie do Szweda, żonę wyprawił w Krakowskie, Aleksandra z nią. Leszczyński nie lubi aby żona była przy dworze. Zawsze powiada: nabierze narowów, zcudzoziemczeje.

— Powiadam Waćpanu że ma prawdę. Nie tak by mi się serce krajało widząc Bisurmana wymykającego się z pod mojej szabli, jak wczoraj, kiedym zobaczył Króla bez wąsów. Bo czy to kto widział na tym Bożym świecie, bez wąsów Król Polski. To nie dziw, że Szwedy, Moskwa i Tatary na nas napadają, i bracia Kozacy się buntują; kto wie, może jeszcze będzie gorzej. Powiadam Waszmość Panu, póki królowie nosili wąsy, póty Polska była zgodna u siebie a groźna sąsiadom, a teraz Król bez wąsów! — porwał się z łóżka — a mężczyzni i kobiety gdyby wertepowe lalki poprzebierane! — Powiedziałby kto że djalog mają grać na widowisko ludowi; mów mi Waszmość co to znaczy?

— Źle znaczy Panie Starosto. Król Jegomość, niech to będzie międzў nami, za nadto dobry do berła, a Królowa Imość choć wielkiego animuszu pani, ale zwyczajnie cudzoziemka, nawiozła z sobą cudzoziemców i ich obyczaje. Za Króla Władysława jeszcze to jakoś było po polsku, ale teraz i młodzież i płeć piękna i starzy nawet się popsuli. Szlachta za baj bardzo ma króla, a panowie magnaci choć mu nadskakują jawnie, pokryjomo bóty mu szyją. Już mówią, że Marszałek Koronny nie bardzo przyjazny Królowi, z resztą Ojciec Krajewski z francuzami rej wodzą u dworu.

— Proszę Waszmości na Jezuitów nie' powstawać, i Pan Kasztelan ma przy sobie Jezuitę Ojca Dąbrowskiego, a on lepiej wie od nas co dobre a co złe. Na cudzoziemców i na magnatów wygaduj co zechcesz, mniejsza o to, kapłanów Bożych nie tykaj. Pana Marszałka Koronnego znam jeszcze Jerzym Lubomirskim z ojcowskim tylko tytułem; dzielny mąż, tęgiej duszy, trochę dumny, chciwy godności, ale Polak nieskazitelny: z resztą niech magnaci i szlachta przed niewodem ryb nie łapią. Jak przyjdą nasi damy my Szwedom i im po tebinkach; bo u nas choć Król bez wąsów, dla całości kraju trzeba szanować i bronić majestat tronu.

— Panie Starosto, przestańmy o tem, a pozwolisz mi się zapytać o dawnych znajomych, o Szandarowskiego, o Teterę.

— Szandarowski rotmistrzuje chorągwiom pancernym Księcia Wiszniowieckiego, zawsze rubacha, dobry żołnierz do szabli, dobry towarzysz do szklanicy, bogdaj tacy ludzie rodzili się i na kamieniu. A co Tetera, powiadam Waszmość Panu, że śliczota nie chłopiec, całą gębą chwat; dosyć powiedzieć, że Pan Kasztelan oddał mu w dowództwo półk kozacki i pozwolił Kozakom nazywać się Semenami, od jego imienia; taka sława rzadko komu się nadarzy. Panowie Hetmanowie Koronny i

Polny jak własne dziecię go kochają, a ja wnosiłem żeby odebrać temu psu Chmielnickiemu Atamaństwo i dać go Teterze; bo choć jeszcze młokos ledwie dwadzieścia pięć lat się doliczył, nie powstydzi krwi tatunia, co tak dokazywał pod Stefanem Batorym i Zygmuntem, ojcem dziś nam panującego, że aż jemu prostemu kozakowi, dano szlachectwo, herb, starostwo i podkomorstwo. Zobaczysz go Waćpan i tutaj i w boju, a powiesz czy nie za mało jeszcze powiedziałem.

— A Pan Hetman Polny czy się postarzał.

— Jak rydz jeszcze krzepki; my na Ukrainie nie tak się to starzejemy jak się Waszmościom zdaje. Wiatr stepowy dobrze zawędza ciało, ale to nic nie znaczy. Waćpan się bierz do Panny Hetmanównej, o posąg się nie frasuj, wyliczy Hetman zapleśniałemi holendrami, będzie z czego żyć, a po śmierci i spadek się dostanie. Wszak Panna Joanna teraz jedynaczka. Hetman się żenić drugi raz nie myśli, chyba z mogiłą.

— Ale Panie Starosto, ja nie myślę wcale o Hetmanównie, to za wysokie progi na moje nogi.

— Co Waszmość Pan gadasz, alboż to są za wysokie progi na szlachcica polskiego nogi. Z resztą ja nie spowiednik, za język Waćpana nie ciągnę, co nie chcesz powiedzieć to chowaj dla siebie; widziałem wprawdzie jakeś się wczoraj mizdrzył do francuzicy coś za nią stał u stołu; ale ja to wiem że u was młodych: piroga chcę, a chleba powszedniego nie porzucę. —

Tu się otworzyły drzwi i wszedł Namiestnik od królewskiej dragonji. — Mości Panie Rotmistrzu: przedstawiam Waszmość Panu, że Pan Samuel Gnoiński Starosta Hrubieszowski, z licznym pocztem swoich dworskich chce wyjeżdżać z Warszawy, czy mam go puścić, czy tu go prosić do Waszmość Pana?

— Mości Namiestniku proś Waszmość tu Pana Starostę na chwilę. —

Po chwili wszedł Samuel Gnoiński z zasierdzoną twarzą — Mosanie Starościcu, od jakiegoż to czasu szlachcie polskiej niewolno wyjeżdżać za zastawy, bez pozwolenia Czarnieckich?

Mosanie Starosto Hrubieszowski, bez przytyków, bo na przytyki znajdzie się u mnie odpowiedź — i wziął za rękojeść szabli — ja spełniam wolę Królewską i zapytuję dokąd Waszmość Pan jedziesz?

— A Waszmości co do tego, kiedy grozisz i ja mam kord — i ręką ujął za karabelę. —

Stary Wąsowicz wskoczył między nich — Mościpanowie, a zgoda? czy na to szable nosicie abyście się tylko między sobą wadzili, kiedy wróg naszą ziemię grasuje. Waszmość Mości Starościcu spełniaj swój obowiązek, a więcej wara; a Waszmość Panie Starosto szanuj wolę Króla, to nasz panujący; a sam jeden tego nie zwalisz; co zrobili wszyscy, daremna pokusa. —

Jędrny głos i widok szpakowatej głowy Wąsowicza, poha-

mowały bundiuczenie się dwóch zawadjaków. — Wąsowicz obrócił się do Gnoińskiego — Panie Samuelu, czyż to waszeć mnie nie poznajesz, czyż to my się z sobą pierwszy raz widziemy — Gnoiński rzucił mu się w uściski, po staropolsku z prawej i z lewej strony w usta się pocałowali.

— Panie Krzysztofie wczoraj jeszcze ciebie poznałem ale myślałem żeś z-Czarneciał i na nas nie zechcesz patrzyć.

— Dałbyś tam czysty pokój tym waszym zawiściom. Choć to obwieś wielki ten Chmielnicki, ale dobrze powiada: wodę warz woda będzie, chciej nieład szlachty w ład wprowadzić, nieład będzie. Ale dokąd że to Waszmość wyjeżdżasz, nie chcesz że być z nami? Wszak z ciebie nielada rębacz?

— Ja jadę do Krakowa, tam mój brat Mikołaj z pułkiem hajduków załogę trzyma, a kiedy mam być pod czyjemś dowództwem, lepiej być pod swojego jak pod obcego; a teraz Mości Starościcu wiesz gdzie jadę i po co, czy ci dość na tem, czy trzeba innego dowodu? — i wskazał na karabelę.

— Dowodu Waszmość Pana się nie lękam, gotowem nań odpowiedzieć; a co wyjechać z Warszawy, możesz. —

Wąsowicz pokręcił wąsa — Jasiu, przepraszam Waszmościa, Mospanie Starościcu, nasi ojcowie nie tak się rozjeżdżali, każ przynieść miodu przynajmniej, jeźli nie masz wygrzyna.

Starościc krzyknął: — Bartłomieju, miodu! — I pacholik wniósł butelki. Wąsowicz ponalewał kubki, a choć Gnoiński zwadzał się długo, nareszcie przystał żeby wypić — Niech się szczęści orężowi naszemu! — wypili. Wąsowicz wniósł drugi wiwat: Niech żyje Król Jegomość — z cicha dodał — choć bez wąsów. —

Gnoiński milczkiem pił, kiedy zgrabnie i fertycznie wszedł młodzieniec w czarnym hiszpańskim płaszczu, w czarnym kapeluszu z piórami, i zagaił łaciną jakiegoś dziwnego brzmienia — Panie Starościcu, upraszam czci waszej o wskazanie mi świadka i przyjaciela swego, abym się z nim rozmówił o wiadomej mu sprawie — a obracając się do Gnoińskiego powitał go — I jakiż to szczęśliwy traf pozwala mi jeszcze raz widzieć Pana Starostę na tem miejscu? —

Starościc odpowiedział — Przepraszam Pana Hrabiego żeś się tak rano trudził, oto jest mój przyjaciel i świadek Pan Krzysztof Wąsowicz Starosta Żytomirski, dowódca lekkich chorągwi Pana Hetmana polnego. —

Gnoiński pożegnał się i wyszedł, a Hrabia z Châtre z Wąsowiczem oddalili się do drugiej izby, dla naradzenia się o czas, miejsce i broń, a kiedy powrócili i Hrabia odszedł. Wąsowicz zawołał:

— Skąd że Waszmościowie wyrwaliście takiego łacinnika szepleńca, ale z resztą niczego człowiek, świadom rycerskiej sprawy, tłumaczy się bez ceregielów, wprost do rzeczy przystę-

puje; naznaczyliśmy na godziną ósmą, trzeba się spieszyć bo niebawem nadciągnie Pan Kasztelan Kijowski, a byłoby źle żeby się dowiedział; zwłaszcza że Waszmość naznaczonym jesteś do pomocy Panu Weslowi. A teraz opatrzmy szable, może i mnie przyjdzie się postukać, bo gdzie drwa rąbią, tam trzaski lecą. — I jęli się obadwa do opatrywania szabel.

Słońce jaśnie, pięknie weszło; ze złotego oblicza szczodrze sypie złotemi promieniami na dobrydzień tym tworom, co mają oczy, aby go witały; na zaweselenie tym co mają pstre kolory, aby niemi się pochwaliły przed okiem słońca i przed oczyma żyjących tworów. Warszawa, Zygmuntowa stolica, zabielała nowemi domami, a Wisła polska rzeka od piaszczystego koryta złocistym połyskiem zalśkniła swoje wody.

W mieście jak w obozie, rycerstwo konno się uwija, ciury wodzą objuczone konie, pacholiki i służba pakują rupiecie na wozy, bryczki, kałamaszki, i do kolas uwiązują tłumoki i skrzynki; stangreci i fornale pasują chomonty, szory, nawiązują szleje, i na próbę nadkońców klaszczą z batów jak na weselne wiwaty. Jegomość zrzędzi na niepośpiech i często gęsto od ucha pociągnie cybuchem po plecach pacholików dla dodania ochoty. Imość i Imościanki wrzeszczą jak oparzone: Kasiu! Basiu! Dorotko! tylko mi stroików nie połam, tylko mi robron, manel nie pognieć! Dzieciaki śmieją się i płaczą, i drapią się do kolasy, na wozy. Młode pacholiki rwą się z kopyta do pakunków i głowy tracą, a stare sługi gderzą i pomaleńku swoje robią. Wszędzie taki ruch, ścisk jak w czasie pogorzeliska miasta; taki szmer, wrzask, jak w dzień szabasowy w żydowskiej bożnicy, a taki strach jak u żydów w wigilją sądnego dnia, kiedy djabeł ma porwać jednego. Zewsząd słychać głosy: Szwedzi już tuż, tuż pod Warszawę rypią, uciekajmy na Litwę w lasy, albo między pińskie bagna.

W królewskim zamku już wszystko popakowano, dziedziniec zastawiony kolasami i podróżnemi brykami. Król w swoich osobnych komnatach zamknął się z Radnymi Panami! Królowa w Królewskich pokojach przyjmuje panów, szlachtę Polski i Litwy; i słowem i uśmiechem i postawą krzepi w nich odwagę, do upartej obrony zachęca, a często nawet stosowne rady daje.

Panie i panny dworu, wysłuchawszy mszy świętej w kaplicy Królewskiego zamku, albo w Bernardyńskim kościele, zgromadziły się w ogrodzie zamkowym i przechadzają się. Ogród ten trzema piętrzeniami się zniżał ku Wiśle; świeżo zasadzone szpalery z lip i brzostów jeszcze nie zacieniały widoku, we środku kwatery w trójkąty, kwadraty, równoległoboki, koła i półkoła powysadzane kwiatami; słonecznik opromieniony jasno żółtemi listeczkami, mszący się trochę ciemniejszym środkiem,

obracał swoją twarz ku słońcu; na bujnych malwach w około zielonych łodyg, różowe, amarantowe, białe i żółte kwiecie tak gęsto błyszczą iż tłumią liście. Z pomiędzy kolców, barwą uśmiechu przymila się róża; przy ziemi piwonja czerwieni się rozłożystym kwiatem, ostróżki majaczeją błękitem, a stokrocie pstrą barwą migocą w oku. Kwatery do koła poobsadzone macierzanką i rutą; ścieszki i ulice pod sznur ciągnięte i wysypane żwirowatym piaskiem. Gdzie niegdzie sterczą altany kwadratowe i okrągłe owinięte gęsto powojem, i gdzie niegdzie pod staremi lipami kanapki z·darni do siedzenia.

Hrabina z La Grange w dezabilku popielatym muchajercwym, w podróżnym berecie na głowie; stara baba szastała się gdyby piętnastoletnia dziewczyna. Wrzeszczy na służebną: Magdaleno pamiętaj żeby mój bonończyk miał miękkie posłanie a papudze nie bardzo zakrywać klatkę, żeby się nie zadusiła. —To przebiegnie się do jednej Panny—tak jesteś ubrana żeby i Szwedzi twego stroju się nastraszyli; popraw kazakinkę, przypudruj lewy pukiel. — Do drugiej: — prześlicznie, szustmanka fałdziasta, szeroka, wygodna, szyniony z gustem. — A potem obróciła się do Pani Sandomirskiej: — Marysiu, nie widać ani Ludwika z Châtre, ani Montresora, co to ma się znaczyć? Posyłałam do Ludwika aby tu przyszedł jak najprędzej. —

Pani Sandomirska zbliżyła się do Matki: — Wszak mama wiesz, że o tej godzinie ma się bić Pan Staroście Zakroczymski z Panem Wojewodzicem Kaliskim; Montresor nam o tem mówił.

— Zapomniałam wiecznie — i z przygryzkiem dodała — o posag warto, ale o pannę nie. Nie będzie ona nigdy naszą.—

Tej ostatniej rozmowy matki z córką nie słyszały inne kobiety, ale już wszystkie zaczynały się zgromadzać koło Hrabiny z La Grange; jedna aby ją powitać, druga aby przed nią pochwalić się ze swoim strojem, a wszystkie aby od niej usłyszeć choć jedne słówko i drugim powiedzieć: mówiłam dziś z tą nieoszacowaną Panią z La Grange; jakaż ona dobra, co by to była za strata dla Polski, gdyby ona oddaliła się od dworu. — Nie jedna może nie tyle widziała klęski dla Ojczyzny z najścia Szwedów, jak ze śmierci albo z odjazdu Hrabiny z La Grange; tak to moda wówczas i zawsze przewracała i przewracać będzie głowy kobietom.

Kilka tylko panien nie zbliżyło się; stały na ostatniem piętrzeniu się wprost przeciw rzeki, i ciekawem okiem rzucały na pola ciągnące się ku Grochowowi. Jeszcze wtenczas nie wiele domów było na Pradze. Na prawej stronie Wisły porozrzucane przylaski za spoczynek służyły oku, a Karczewski szlak jak wstęga piasku bieżał w górę pomiędzy niwami niedośpiałego zboża. To małe grono panien składało się z Joanny Lanckorońskiej Anny Sapieżanki,' Rozalji Potockiej i z francuzki

Ludwiki z Grosouvre; ta ostatnia zapytała: — Czy tędy ma ciągnąć wojsko Pana Kasztelana Kijowskiego?

Panna Lanckorońska odrzekła: — Szlakiem z Karczewia, ale czy widzicie tych czterech jezdców, trzech za lasek pobiegło, a jeden zatrzymał się przy strażach. — I wszystkie wytężyły oczy; trzej jezdce skryli się w lasku, a ten co rozmawiał ze strażami żywo za niemi poskoczył.

— Ja wiem kto to jest — zawołała Sapieżanka — to Pan Staroście Zakroczymski; poznałem jego kasztanowatego konia — i zapłoniła się.

— Wyśmienicie dobre masz oczy — przerwała Panna Potocka — ale ty Joasiu nie poznałaś swojego wczorajszego kawalera.

— Ja patrzyłam na tego hiszpańczyka w płaszczu, w kapeluszu z piórami, to pewnie musi być któryś z Panów francuzów. —

Panna z Grosouvre dodała: — I czemu nie powiedzieć wyraźnie że to Hrabia z Châtre; serduszko pewnie wprzódy odgadło jak oczki, wszak prawda? —

Zaśmiała się Panna Lanckorońska: — Być może, a więc Bogu chwała mam dwóch: Hrabiego z Châtre i Pana Staroście. — Anna Sapieżanka nie bardzo zważała na rozmowę ale ciągle patrzyła w stronę lasku.

— Powiedzcie mnie moje Panie, czy Pan Staroście ma przywodzić dragonji królewskiej, która nas będzie odprowadzać do Krakowa? —

Panna Potocka spojrzała jej w oczy: — Cóż tak Pannę Annę obchodzi Pan Staroście?

— Dla naszego bezpieczeństwa wolałabym być pod opieką tak dzielnego wojownika, jak pod czyją inną.

— Oj nie to to. Polacy wszyscy dzielni wojownicy, ale widzę że Panowie Czarnieccy tak teraz w modzie, jak szyniony Pani z La Grang.

— Proszę ciebie nie mięszaj imienia Czarnieckich z dziwolągami tej cudzoziemki — odezwała się Panna Lankorońska, i w jednej chwili dłonią zakryła sobie usta — wygadałam że się.

— Nie frasuj się Joasiu — rzekła Panna Potocka — Panna Ludwika nie powie tego swojej współrodaczce, ona także woli Czarnieckiego któregokolwiek, choćby nawet Starościca Zakroczymskiego, jak to stare paryzkie czupieradło. Wszak prawda? przepraszam ciebie Joanno wszak to do ciebie należy Pan Staroście i ciebie Anno tyś poznała jego kasztanka; nie kłóćcie się, ja wam pociągnę na węzełki — wzięła chustkę, związała węzełek na jednym końcu, a kładąc inne trzy w dłoń i tylko przepuszczając przez nią same koniuszki — kto z węzełkiem wyciągnie, temu się dostanie Pan Jan Czarniecki, a kto bez węzełka, ten się musi cieszyć Hrabią z Châtre, ciągnijcie. —

Ludwika z Grosouvre i Sapieżanka zarumieniły się, ale nic

nie odpowiedziały, a Panna Potocka sama porwała za koniec chustki.

— No to ja wyciągnę za Lanckorońskę, masz, bez węzełka wzięłaś; trzymaj się teraz z pięknym Hrabią — słuchaj bo Joanno!

— Daj mi czysty pokój, patrz jak kurzy się na szlaku od Karczewia — i zawołała — wojsko idzie, wojsko idzie! —

Wnet wszystkie panie i panny rzuciły Hrabinę z La Grange, biegły ku rzece, i Hrabina kazawszy sobie podać bonończyka i papugę, żeby też i one widziały hufce polskie, poszła za niemi. Niebawem przybyli Król i Królowa i mnoga ilość mężczyzn, nawet służba dworska biegła patrzeć na to widowisko.

Szeroko i daleko rozwijały się tumany kurzu, i grubą mgłą zastawiły zaporę ciekawemu oku. Co raz bliżej się przysuwa ta ziemska chmura piasku, kiedy niekiedy migoce błyskawicami stali, huczy wojenną pieśnią i brzmi dalekiem brzmieniem trąb wojskowych. Już tumany pyłu przywędrowały i nad rzekę, ciągną się na miasto; pomiędzy domami Pragi, ukazały się mnogie hufce na Karczewskim szlaku, ale jeszcze ani twarzy ludzkich ani barwy strojów, ani sierci koni rozróżnić nie można. Lud Warszawy wybiegł za miasto, i radośnie woła: nasi idą! nasi zbawce! Taki natłok, że ledwie dragonja mogła most oczyścić na przyjście wojska; z zamkowego ogrodu wszystkich oczy zwróciły się na ten most.

Po przedzie, na arabczyku białym jak mleko, z czarną grzywą i z czarnym ogonem, jedzie Pan Kasztelan Kijowski; na dżamecie rząd pyszny arabski, z frędzlami, kutasami, ze złotem i kamieniami drogiemi, i na Panu Kasztelanie strój kusy z arabska; katanka karmazynowa, szerokie szarfirowe szarawary, tyftykowym pasem błyszczą bronie, a na głowie rogata czworograniasta polska czapka, na prawe ucho na bakier przewieszona. Zewsząd lud wołał: niech żyje Stefan Czarniecki, nasz zbawca! a Pan Kasztelan wąs podkręcał i pokłonami czapki na wszystki strony dziękował — niech żyje Ojczyzna, niech żyje Król Jegomość! — tymi wyrazy odpowiadał na okrzyki ludu i wojska. Obok Kasztelana po lewicy jechał kozaczy półkowódca na stepowym skarogniadym koniu: a po prawicy w czarnym kubraku i bobrowej czapce, Ojciec Jezuita Dąbrowski, spowiednik i nieodstępny towarzysz Kasztelana. Za nimi ciągnął pułk kozaczy; majaczeją kraśne kołpaki, sinieją kontusze i szarawary, bieleją żupany; przy czerwonych pasach błyszczą krzywe atagany i szable, bez proporców kolczate spisy, płotem w górze sterczą. Wyciągnąwszy szyje, kroczą stępą, konie za końmi, a jezdce kąpią harde czoła w nadwiślańskim powietrzu i głosem zawodzą rodzinne dumy Ukrainy: to dzieci stepu, Dnieprowi wychowańce, ulubieni i doświadczeni Semeny Pana Kasztelana. Dalej szły lekkie chorągwie, przed każdą trę-

bacze gromkim pochodem trąbili, przed każdą Rotmistrz hasał na dziarskim rumaku. Wszyscy jezdce po kozaczemu przybrani, tylko u towarzyszów przy spisach białe z czerwonem proporce powiewają, i polską barwą niosą roskosz polskim oczom, u szeregowców na kruczkach przez plecy zawieszone strzelby; każda chorągiew ma swój sztandar, datek drogi którejś z Królowych polskich. Za niemi postępowały pancerne znaki: Wiszniowieckich, Zbarazkich, Mniszków i Zborowskich; chłop w chłopa silni jak dęby, przybrani w brzeszczotowe koszulki, w misiurkach na głowie, przy boku szerokie i długie miecze, a w prawem ręku ogromne kopje z proporcami; to ostatnie szczątki tego żelaznego rycerstwa, z którem tyle dokazywał Stefan Batory, Jan Zamojski, Stanisław Żółkiewski i Karol Chodkiewicz; a jeszcze ci pancerni wydawaliby się jak dzieci przy olbrzymach, przy husarzach Bolesławów, Łokietka i Warneńczyka. Przy pancernych znakach trębacze trąbią, pałkierze w kotły walą, a sztandarowi rozwinęli na wiatr chorągwie z herbami właścicieli znaków. W końcu szło kilka wozów i ciury z luźnemi i jucznemi końmi; za niemi jeszcze chorągiew lekkiej jazdy, a na samym końcu ku podziwieniu wszystkich, Wojewodzic Kaliski z twarzą obwiązaną chustką, Pan Starościc Zakroczymski, Pan Wąsowicz i Hrabia z Châtre, pod strażą Namiestnika i kilkunastu towarzyszy. Król, Królowa wrócili do komnat, a niebawem wszystkie Panie i Panowie, czy ciekawością czy uczuciem pociągnięci udali się za niemi.

Pan Kasztelan jak zsiadł z konia tak prosto walił na pokoje królewskie. Królowa Imość podała mu rękę do pocałowania a Jegomość witał go uprzejmie — Witajże nam Panie Kasztelanie Kijowski, przybywasz w opłakanym stanie naszej ukochanej Ojczyzny, spieszmy na jej ocalenie. —

Pan Kasztelan Królowę pocałował w rękę, królowi nisko się pokłonił, pokręcił wąsa: — w Bogu nadzieją i w naszej szabli, Miłościwy Królu i Panie, niech jeszcze Polska nie płacze. Póki jej synowie mają ręce i żelaza na wroga, a serca do bitwy, Bóg pozwoli że na szablach wroga rozniesiemy, a waszej Królewskiej Mości tron szwanku nie poniesie. —

Jan Kazimierz spojrzał na Królowę a widząc jak jej błyszczące oko wpatrywało się w postać bohatera ze czcią i uwielbieniem; wojennym zapałem i swoją zasmuconą twarz rozjaśnił: — Panie Kasztelanie, jakże sądzisz czy się okopiemy w Warszawie i czekać będziemy na przybycie Pana Leszczyńskiego któregośmy wysłali do Karola Gustawa; czy też wyszlemy nowego posła z żądaniem, aby ustąpił z kraju, i z doniesieniem że mamy wojska na potrzebę walki? może to go opamięta. —

Pan Kasztelan pokręcił ręką brodę: — Nie Polaka to obyczajem czekać na wroga, albo pytać o jego mnogość; gdzie on

jest tam my chodźmy a szable nasze potrafią go przeliczyć. To polskie posły! i uderzył ręką po rękojeści karabeli — takich tylko posłów do wroga używać przystoi polskiemu narodowi i Królowi polskiemu: tak zawsze robili Waszej Królewskiej Mości i nasi przodkowie i nam należy w ich ślady wstępować. —

Król zdumiał się, i choć w obec wielu Panów nie mógł wstrzymać słów, obrócił się do Ludwiki Maryi: — Ludwisiu chciałbym zgody, ale Pan Kasztelan Kijowski nam dobrze radzi.—

Królowa trochę spuściła oczy: — Nie wielu jest na świecie, co tak umieją myśleć i działać,· jak Pan Kasztelan Kijowski. —

Stefan Czarniecki pokręcił znowu wąsa: — Miłościwa Pani, każdy polak tak myśli i tak gotów działać, gdzie idzie o byt Ojczyzny, o nieskazitelność Królewskiego Majestatu. —

Wszystkie niewiasty patrzały na Stefana Czarnieckiego; choć ospa tak bliznami poznaczyła twarz, iż lud Ukrainy zwał go rabym psem, choć w lewym policzku szram od kuli głęboko się zarysował; jednak w tej twarzy było coś pociągającego powagą i otwartością żołnierską. — Czoło wyniosłe, czupryna podgolona, wąs zawiesisty ku dołowi spuszczony, broda czarna, oko żywe błyszczące, nos ściągły, wzrost w miarę ani przerosły any niedorosły, kibić smukła, ręce małe ale żylaste; taka żywość w ruchach jak gdyby wszystkie członki były na sprężynach; za skórą widać jak tam krew warem kipi i na każde poruszenie gotowa wytrysnąć. Piędziesiąt i sześć lat Stefan Czarniecki przeżył, nie pod dachem, nie na pierzynie, nie na tańcach i biesiadach; ale pod gołem niebem, na gołej ziemi, ucierając się bez przestanku z wrogami Polski; a jednak, ani wiek, ani trudy i znoje, nie sterały w nim ognia młodości. Im dalej w wiek brnął, tem więcej wojennej otuchy przyrastało rycerskiemu sercu. On mógł o sobie powiedzieć: wojna mnie zna i ja ją znam; ona mnie kocha i ja ją kocham; bez siebie byśmy żyć nie mogli. Głos miał trochę dźwięczny, bo podniebienie srebrne; męstwem go nabył pod Monasterzyskami, pamiątka to serdeczna Bohunowej kozaczej kulki. Cała postać męża miłe wrażenie robi na kobietach; bo kobiety umieją z postawy rozumieć bohaterskie serce, i sercem garną się do niego, jak słabe latorośle pod konary wielkiego dębu, przed upałami słońca i przed nawalnicą burzy.

Król przystąpił do Panna Kasztelana: — Cóż to za waszem wojskiem widzieliśmy już jeńców?

— Miłościwy Panie, swawolę zawsze i wszędzie trzeba pokarać; że dwóch szlachty zadość czyniąc swoim widzimisiom, zapomina że ich krew należy Ojczyznie, mniejsza o to; ale że dowódca straży strzegącej osobę Królewskiego Maje-

statu poważa się na takie przekroczenie, to mu ujść płazem nie powinno.

— Panie Kasztelanie, dowiedziawszy się o tem, poleciłem Panu Weslowi, aby zapobiegł złemu i napomniał młodzież; a teraz wstawiam się za Panem Starościcem, wszak jego przeznaczyłem na dowódcę naszej dragonji, która miała nam towarzyszyć do Krakowa.

— Rozkazy Waszej Królewskiej Mości są święte, ale ja z mego obowiązku jako prawy obywatel i sługa Waszej Królewskiej Mości i jako doświadczony żołnierz, nie mógłbym spokojnie patrzeć aby osoba Królowej Jejmości i najdroższe skarby Rzeczypospolitej powierzone były opiece takiego szaławiły. Dla tego błagam Waszej Królewskiej Mości o upoważnienie wybrania dowódcy i oddziału, na tę ważną posługę. Królu i Panie mój miłościwy! ty sam prowadź nas na wroga.

— Przystajemy na wszystko co żądasz, Panie Kasztelanie; ale prosimy o łaskawość dla twojego synowca, a pułkownika naszej dragonji — potem obrócił się do zasmuconej Królowej: — Ludwisiu trzeba się rozstać, wymaga Ojczyzna. —

Królowa powiodła do koła pięknem okiem: — Niestraszne mi żadne ofiary dla Ojczyzny która mnie przybrała. Niech skarby Rzeczypospolitej i Panie dworu udadzą się do Krakowa, ja chciałabym dzielić niebezpieczeństwa i sławę Waszej Królewskiej Mości, i pokazać Polsce że dla niej gotowam wszystko poświęcić.—

Kasztelan Kijowski podziękował schyleniem głowy: — Miłościwa Pani, Polska wie o tem, i umie być wdzięczną. Przytomność Waszej Królewskiej Mości potrzebną jest w Krakowie, w tej starej stolicy Piastów i Jagiellonów. Tam jak matka i męstwem i radą przywodzić będziesz swoim dzieciom, z właściwego sobie miejsca. A teraz Miłościwy Królu pozwól przedstawić sobie wojsko którem przyprowadził z Ukrainy. —

Król i Królowa i wszyscy wyszli z zamku przez boczną bramę wiodącą na Krakowskie przedmieście. Wzdłuż ulicy, na prawem skrzydle, stały cztery znaki pancerne w trzy szeregi; dalej szesnaście lekkich chorągwi, towarzysze w pierwszym szeregu, szeregowce zwyczajnie poczet sowity w drugim, na lewem skrzydle pułk Kozaczy, silny z dwudziestu sotni. — Zaledwie wojsko ujrzało przybywających, wnet zabrzmiały trąby, zahuczały kotły i tysiące głosów zadęło jednym silnym wrzaskiem: — Niech żyje Jan Kazimierz! Król i Pan nasz! Niech żyje Ludwika Marya Królowa i Pani nasza! Jagiellońska krew zagrała w Królu, zawołał: — Niech żyje wojsko Polskie — a Pan Kasztelan Kijowski i za nim wojsko odkrzyknęło: Niech żyje Ojczyzna! cześć Polskiej Koronie.

Potem koleją Kasztelan Kijowski Królowi i Królowej przedstawiał Rotmistrzów, a kiedy przyszedł do kozaczego pułku

rzekł: — Przedstawiam Waszym Królewskim Mościom Semena ze Swiatopełków Teterę, pułkowódcę Kozaków wiernych koronie polskiej. Jest on synem Jwana Tetery, któremu świętej pamięci król Stefan za rycerskie czyny nadał starostwo Cudnowskie, a ojciec Waszej Królewskiej Mości Podkomorstwo Owruckie. Syn godny ojca. Za przyzwoleniem Waszej Królewskiej Mości, Teterze i jego kozakom powierzam straż przy osobie Królowej Imości, i skarbach Rzeczypospolitej; jemu ufam jak samemu sobie.

Słowa te z ust do ust przelatując doleciały do uszów Panien dworskich. Anna Sapieżanka i Panna Lanckorońska obiedwie się zarumieniły, Panna Grosouvre rzekła z cicha: — Otoż i węzełek prawdę powiedział. Panna Anna nie chciała ciągnąć, a tak ani jednej, ani drugiej Pan Starościc się nie dostanie; a co gorsza, w miejsce grzecznego kawalera, będziemy miały dzikiego kozaka. Płaczcie moje Panny. —

Panna Potocka przerwała: — I Pani także nie chciałaś ciągnąć, i straciłaś Starościca, ale nie mamy czeko płakać, ja znam Pana Teterę; nie pozrze nas, grzeczny człowiek; wychował się w domu Pana Lanckorońskiego, razem z Joasią; nie taki on kozak jak ci z Zaporoża, o których Mazury i Litwini powiadają: że połykają ludzi, jak smoki bajeczne. My Ukrainki tym waszym bajarzom nie wierzymy; przypatrzcie się jemu czy nie ładny? Panna Ludwika, Anna i Joasia niech płaczą, ale na to lekarstwa nie ma. —

Panna Lanckorońska rzuciła okiem na pułk kozaczy, Sapieżanka uśmiechem chciała spokojność udać. Ludwika Grosouvre nie taiła swej nieradości. Panna Potocka ciągle się śmiała: — Nie ma złego co by nie wyszło na dobre. Joasiu, będziemy rozmawiały o naszej rodzinie, o znajomych, o Ukrainie, ty się pocieszysz i Panna Anna się pocieszy; wszak tylu paniczów i polskich i francuzkich jedzie z nami. —

Z tyłu za temi pannami Hrabina z La-Grange ze złości się nie posiadała: — Otóż to człowiek z niczego, co wszystko winien swojej szabli. Hrabiego z Châtre szlachcica od czasów Karola Martela aresztował, a nam za straż daje Kozaków? Ten grubiański naród ludożerców; lituję się nad Polską; bogdaj przepadła twoja drobna szlachta. O żeby mnie prędzej ujrzeć błogosławionej brzegi Sekwany, piękną Francję! Z Krakowa wprost odjeżdżam; jużbym to dawno zrobiła gdyby nie moja Marysia. —

Pani Krakowska zbliżyła się: — Uspokój się moja kochana Hrabino. Wszak mój mąż z nami jedzie i Pan Jan Klemens Branicki Marszałek Nadworny; przy nich będzie władza, kozacy tylko do posług dodani.

— Mąż Pani, Pan Kasztelan Krakowski, to nie powiadam; ale Pan Marszałek Nadworny już się zaprzedał Czarnieckim, on

stara się o rękę Panny Aleksandry młodszej córki tego dziwnego szlachcica rębacza. Zobaczysz moja dobra Pani że oni nas gdzieś utopią w rzece, albo zamkną w klasztorze; wolałabym Szwedów jak ten pogański naród; między Szwedami są nasi Francuzi. —

Nadejście Królowej i Króla przerwało rozmowę; po przeglądzie wojska wszyscy do zamku wrócili, a Pan Kasztelan Kijowski poleciwszy Szandarowskiemu Rotmistrzowi pancernych znaków, wyprowadzić hufce za zastawę ku Woli, i tam stanąć obozem na odpoczynek, sam śpiesznie jął się krzątać koło rozporządzeń wojennych.

W mieszkaniu Pana Wesla na Lesznie, w obszernej izbie siedziało czterech mężczyzn, a przededrzwiami w sieniach stało na warcie dwóch towarzyszy z Inflandzkiej chorągwi Pana Starosty Makowskiego.

— Powiadam Waszmościom, że wszystko z kiepska po węgiersku się robiło. Naprzód czego było leść pod Grochów; to Waćpana upór, Mości Staroście, żeby nie odstępować powierzonej ci straży. Otoż masz teraz czego chciałeś; siedzisz po uszy w straży, a potem szczepiliście się jak indyki; ja wołam aż mi gardło boli: jacyś jeźdce kopią ku nam! wyście pogłuchli, a to przeklęte francuzisko wrzeszczy gdyby kawka — naprzód! — dalej! — to nic; jeszcze — i skacze jak opętane koźlę — a tu i Pan Kasztelan! Zdechł pies, ani w oczy mu nie śmiałem spojrzeć. Z początku nic nie mówił, ale jak się dowiedział że Waszmość Mości Starościcu jesteś dowódcą dragonji, i trzymasz straż koło zamku i z prawej strony Wisły, to musiał djable się rozsierdzić, bo kręcił ręką brodę jak gdyby ją chciał urwać; to zły znak, kazał wszystkich aresztować; Waszmość Mości Starościcu i ja pójdziemy pod sąd.

— A ja? — zapytał Wojewodzic z podwiązaną chustką na przepłatanej twarzy.

— Waszmość Pana odeszlą lizać się w Kaliskie; on z paniczami nie lubi się porać. A kto wie, może i każe roztrzelać. Djabli nie śpią, jak się rozochoci Pan Kasztelan to korowodów nie lubi robić.

— Jak to? mnie szlachcica polskiego, syna Wojewody roztrzelać? jakiem prawem?

— Jak roztrzela to go zapytasz Waszmość o prawo. Ja to tylko wiedzieć mogę że Pan Kasztelan przyszedł tu z wojskiem, od Króla może uzyskać prawo miecza. —

Hrabia z Châtre zapytawszy Wojewodzica o co rzecz idzie, zawołał po łacinie: — To i mnie cudzoziemca, gościa waszego, spotkać może jaka kara?

— I Wasza Jaśnie Wielmożność z takiego ciała i kości jak i my; kula się go imie, a sznur utrzyma na szubienicy.

— Przez niebo wasz Pan Stefan Czarniecki jeszcze gorszy jak nasz Kardynał Minister; ten za pojedynki wieszał tylko szlachtę francuzką, ale cudzoziemców się nie imał.

— Panie Hrabio, cudzoziemiec niech palca między drzwi nie sadza, a kiedy zgrzeszył na polskiej ziemi, to niech na polskiej ziemi i odpokutuje.

— Na moją brodę przysięgam że mu oczy wydrę. —

Wojewodzic porwał się z miejsca: — Zgniotę szlachetkę, nim ręką sięgnie po mój włos. —

Staroście Zakroczymski przykoczył do niego: — Co to Waszeć ubliżać będziesz mężowi zasłużonemu w Ojczyźnie, mojemu stryjowi? —

Wąsowicz z zimną krwią roztrącił obudwóch: — Wara Mości Panowie do czubów, zgoda! w areszcie się nie biją. —

Wtem nadszedł Pan Kasztelan Kijowski z Panem Weslem; Kasztelan wąsa potargał, a Wąsowiczowi lżej zrobiło się na sercu, bo nie za brodę się wziął. Wszyscy twarzami obrócili się ku Kasztelanowi i z poszanowaniem bez przerywania słuchali jego słów.

— Mości Panowie, źleście zrobili, ale co się stało, to się nie wróci; wola Jego Królewskiej Mości jest aby wam wszystko było przebaczonem i ja ją wam donoszę. Dziękujcie Jego dobroci, wolni jesteście Mości Panowie. Panie Hrabio z Châtre, przepraszam Pana, za rygor w brew gościnności polskiej, ale na ten raz trudno z nią było pogodzić obowiązek żołnierza. Mości Wojewodzicu, Waszmości radziłbym jako rodak, abyś udał się do swojego ojca Pana Wojewody, i skłonił go aby z Królem się łączył. Waszeć Mości Staroście, że nie jesteś ukaranym, nie moja w tem wina; miałeś mieć zaszczyt na czele dragonji przeprowadzać Królowę Imość do Krakowa, teraz komu innemu godniejszemu ten zaszczyt powierzonym został; a Waszeć pamiętaj późniejszemi czynami zagładzić dzisiejsze przewinienie. I ty stary, mięszać się tobie do zwad młodzieży? Nam zgody i jedności trzeba; idź pociesz stroskane chorągwie po tobie.

— Mości Panie Kasztelanie, to nic, fraszki! przed miesiącem Wojewodzic ani znaku nie będzie miał na twarzy, a to nie zawadzi, ta zaprawa dla młodego człowieka; wszak i myśliwca jak pierwszy raz ufarbują to potem lepiej strzela. —

Hrabia z Châtre i Wojewodzic skłonili się i wyszli z izby nic nie mówiąc. Hrabia myślał: to polski Duguesclin, coś w nim godniejszego, jak w naszym Fabercie. Wojewodzic czuł swoją próżność poniżoną łagodnemi słowami urojonego przeciwnika swojego rodu. Kasztelan z Weslem udali się do drugiej izby, a Wąsowisz odchodząc z Starościcem mówił do niego:

— No, chwała Bogu że się upiekło: nie sądziłem że tak się uda, teraz można śmiało powiedzieć, nie tak straszny djabeł jak go malują. Ale Waszmość Panu nie po myśli, jak z przed nosa porwano Hetmanównę. Co to by było za pole do smalenia cholewek? bo to i na koniu i w podróży wszystko uchodzi, bez owych krygów i ceregielów, jakich wam nawieźli ci Francuzi. —

Staroście zły, zębami zagryzł wąsa — niech djabli wezmą i tego Wojewodzica i ten przeklęty pojedynek.

— A co przyznajesz nareszcie Waszmość, że amor zagifesował ćwieka w sercu. Co ma wisieć to nie utonie; jeźli Waćpanu sądzona Hetmanówna, to jej ani anioł, ani djabeł przed tobą nie uchwyci; jeźli inaczej, to i głowę rozsadź o mur a nic nie poradzisz. Chodź teraz między towarzyszy; przy szklanicy, przy wesołej rozmowie, zaszołomi się w głowie, i stare przysłowie mówi: na frasunek dobry trunek, a harcarki ze Szwedem do reszty ciebie wyleczą; a potem, jak Bóg da po wojnie, wypijemy i Bohdanki waszecinej, i małżonki, i to po staropolsku, z trzewika, inaczej nic. — A dowiedziawszy się od szeregowca gdzie stał obóz, gwałtem do niego poprowadził Starościca Zakroczymskiego.

III.

Albowiem u ciebie jest zlitowanie; i dla zakonu Twego czekałem cię, Panie.
Psalm cxxix.

Z nadejściem kwarcianego wojska z Rusi, mieszkańce Warszawy ochłonęli z pierwiastkowego przestrachu, i Szwed nie tak groźnym się już im zdawał. Magistrat Warszawski wziąwszy na kieł, szablami po ulicach bruk krzesał, i nie mógł się nacieszyć przywilejem noszenia broni; mieszczanie cudzoziemce i tubylce prosili aby zamieniono im trzciny na muszkiety, i pozwolono utworzyć regimenta piechoty; łyczaki nawet z lichych okolicznych mieścin przybiegli, i zalecali się do służb Ojczyzny. Stan duchowny, poczciwe mnichy, gorąco modlili się o pomyślność broni polskiej, o rychłe zwycięztwo nad Szwedami. Żydzi, to przeklęte plugawstwo, i myśli i mówi: czy Polaków, czy Szwedów djabli wezmą, nam wszystko jedno, byle nasza skóra była cała; my służymy temu kto silniejszy i kogo snadniej można oszukać; schowali pieniądze, łachmanami i nie cnotą myślą się bronić i od swoich i od wrogów. Szlachcic polski, to nie dziwota, ujął za szablę i tak jak innych narodów ludzie do zabaw, tak on gotów na boje, z wesołą myślą, z radośnem sercem, a chłopki polskiej ziemi, wołają: zawezwijcie też i na nas, pozwólcie nam pójść z sobą, zobaczycie że prędko wyplenimy tę nierogaciznę, co się wparła w nasz wspólny ogród.

Ojcowie narodu, Przewielebni Biskupi, Wojewodowie i Kasztelanowie Korony i Litwy, podówczas znachodzący się w Warszawie, zebrali się na radę Senatu do nowego gmachu, zwanego Kazimierowskim pałacem. Wszystkich serca płonęły czystą miłością dla Ojczyzny, zwyczajnie jak przystało na ojców polskiego narodu, ale we wszystkich serca powkradały się zawiść, niechęć, urazy jednych ku drugim, i całe obmierzłe plemię tego potworu ochrzczonego w lackim kraju imieniem prywaty. Daremnemi by się stały błagalne wołania o zgodę i

jedność Florjana Czartoryskiego Poznańskiego Biskupa, w niwecz by się obróciły przedstawienia Króla Jegomości, bo już podówczas nie szanowano ani majestatu tronu, ani władzy królewskiej. Senat by się był rozjechał jak nieraz się rozjeżdżały sejmy, strwoniwszy czas na wrzaskach, sporach i kłótniach, a dla Ojczyzny żadnego dobra nie zdziaławszy; ale Stefan Czarniecki, niedawnemi czasy mianowany Kasztelanem Kijowskim po zmarłym Zbigniewie Gorajskim, jako Senator i Wódz przybyłego wojska do Warszawy, szanując wolę swoich współbraci Senatorów, oświadczył swoją wolę, a wsparty przybyciem Stanisława Lanckorońskiego Hetmana polnego korony, Ruskiego Wojewody, który nadciągnął do Warszawy z wojskiem, dokazał, że tak się stało jak oni chcieli, a jak Król i Królowa życzyli sobie.

Wola Senatu postanowiła, że Senat, Królowa Imość, dwór królewski, klejnoty korony polskiej, skarby Rzeczy-pospolitej, miały się przenieść do starego Krakowa. Królowi polecono z Hetmanami i z wojskiem iść przeciw wrogowi; na załodze Warszawy kazano zostawić Wesla, Starostę Makowskiego z dwiestą koni, i upoważnić go do zbrojenia mieszczan i tworzenia z onych regimentów piechoty. Do stanu duchownego odwołano się o pieniądze na wojenne potrzeby; Króla upoważniono do wezwania wszystkiej szlachty na koń, do rozesłania wici na pospolite ruszenie. O chłopkach odroczono naradzić się w Krakowie. Jednem słowem, Senat wypowiedział krwawą wojnę najezdcom Szwedom.

Wieczorem po obradach Senatu, w Ujazdowskim pałacu, w jednej z głównych komnat ociągniętej tureckiemi makatami, od sufitu strojnego w gzymsy i sztukaterje filigranowej roboty, aż do dębowej posadzki, układanej w rozmaite rysunki; w poręczastem krześle siedział starzec przybrany w staropolską granatową czamarę. Na zawiędłej i ogorzałej szyi, koszula spięta na szpinkę kształtu konchy, z której żarzył się djament wielkości wroniego oka, a poniżej niego, poszóstnym półwieńcem błyszczały na złotem tle szmaragdy zmięszane z rubinami. Obok starca, na zwyczajnem krześle, siedziała młoda dziewica, w błękitnym bagazjowym kubraczku; na głowie czworograniasty soboli kołpaczek, ozdobiony dwoma sznurami drogich kamieni, z pod którego w kędziorach spadały czarne włosy na śnieżną szyję. Ciemno-bure starca oko wpatrywało się w lica i postać dziewicy, rodzicielska roskosz blasku mu dodała, a czysta łza radości jak światło brylantuje promienie oka. — Moje dziecię, jakżeś ty urosła? prawda że półtora roku to nie godzina, nie dzień, czas bieży. Jak zwyciężymy wroga, przy pomocy Pana Zastępów, moja jedynaczko, trzeba pomyśleć dla ciebie

o opiekunie. Ja stary, już nad grobem, i mnie się zda podpora, zastępca. —

Dziewica całowała go w rękę, i jej oko kąpie się we łzach czułości. — Ojcze, ja ci będę podporą, ja ciebie zastąpię, pozwól abym pielęgnowała twój wiek sędziwy, jakeś ty pielęgnował moje lata dziecinne; wracajmy do naszego zamku nad Dniestrem, do naszych włości w Bracławskiem, dosyć się już wysłużyłeś Ojczyznie.

— Moje dziecko, nigdy dosyć wysłużyć się nie można Ojczyznie. Ona naszą matką, naszą dobrodziejką, jej wszystko winniśmy poświęcić. Siedmiu synów straciłem w boju; twoja siostra mi odumarła, tyś mi jedna pozostała, ale gdybyś była chłopcem, jeszcze bym i ciebie poprowadził na boje. Inaczej chciał Bóg i ja błogosławię jego wolę. Ty pocieszaj moją starość, a ja będę służyć Ojczyznie, póki siły dozwolą nogom zwlec się na konia, a ręką szablą pomachać.

— Ja bym chciała ciebie nie odstępować nigdy mój Ojcze, ja bym chciała z tobą być zawsze; mnie tu tak nudno, tak smutno.

— Moja jedynaczko, wszak Królowa przyrzekła ci być matką, zastąpić jej miejsce, a to Pani wielkiej duszy, czułego serca. —

Zadumała się dziewica: — Ona dobra, łaskawa na mnie; ale czyż pieszczoty obcych mogą iść na szali z jednem spojrzeniem, z jednem słówkiem swojego? O moja luba matko, i jażbym o tobie zapomniała, i ciebież by kto mógł zastąpić w mem sercu? O nie! nigdy! ty tylko Ojcze tem dla mnie jesteś, czem by ona była, gdyby Bóg jej nie odebrał życia. —

Starcowi duszno na sercu, do oka łzy żalu i rozrzewnienie się cisną. — Moja złota doniu, nie smuć się tak ciężko, bo mnie w sercu nie dobrze; może Bóg da, że po tej wojnie już więcej Ojczyzna mego ramienia potrzebować nie będzie. Pojedziemy nad Dniester do Kitajgrodu, tam sobie osiądziemy z rodziną, przyjaciółmi i dawnemi sługi. Będziemy żyć w błogim spokoju, gawędząc o dawnych rzeczach. Nie smuć się doniu; ale nic mi nie powiadasz o Podkomorzance Podolskiej, córce Pana Mikołaja? wszak to twoja cioteczna siostra, rówienniczka, razem się z sobą wychowałyście.

— Rozalja to moja najmilsza przyjaciółka, bez niej umarłabym z tęsknoty; pojechała z Królową do Pani Wojewodziny Wileńskiej, ale zaraz potem tu przyjedzie.

— Dobrze żeś mi przypomniała. Hej Żeromski! — i wszedł pierwszy dworzanin Pana Hetmana polnego — poszlij Waćpan kozaka do obozu; niech prosi do mnie Pana Starostę Żytomirskiego i Pana pułkownika Teterę i to zaraz, a sam potrudź się do Pana Kasztelana Kijowskiego i powiedz, że czekam teraz, bo później będę musiał pojechać do zamku. —

Żeromski odszedł, a Panna Joanna zapłoniła się żywym rumieńcem, poprawiała włosy, a nawet ukradkiem spojrzała w zwierciadło.

Stary Hetman spostrzegł i zaśmiał się. — Dobrze moja dziewko, choć to Tetera i Wąsowicz dawni znajomi, ale Kasztelan chce mi przedstawić swojego synowca; a Panna Lanckorońska nie zalotnie ale chędogo powinna się okazywać przed gośćmi odwiedzającemi jej ojca. Ja to lubię w kobietach — i pogładził ją po twarzy — bądź wesołej myśli moja doniu, pomyślałem; nie pojedziesz tylko do Krakowa z Królową, a stamtąd do Lanckorony. Już tam na wszelki przypadek kazałem przyjechać Radzikowej z mężem. Ztąd Żeromski pojedzie z wami, nie zabraknie tam na niczem ani tobie ani Pannie Rozalji. Pan Mikołaj gniewać się nie będzie; jest tam załoga moich kozaków, Puksa nie straci głowy, a jakby było źle, to i do Kitajgrodu zaprowadzi. —

Joanna pocałowała w rękę oja; w tem zaturkotały koła powozu na dziedzińcu; jeszcze rozgłos turkotu nie ustał, jak weszła a raczej wleciała do komnaty Panna Rozalja Potocka, a całując starca w ramię: — Uniżona sługa wujaszka; ledwiem się wyrwała od tych królewskich nudów; a ty Joasiu, cóż to jest, w oczach łzy a na twarzy rumieniec, czy znowu opiewałaś treny Jana Kochanowskiego? Mój ojciec, moja matka czy zdrowi, weseli? i jakżeż tam na Ukrainie —? Nie byłoby końca pytlowaniu jej języka, gdyby Hetman ucałowawszy ją serdecznie w czoło, nie był przerwał rozmowy.

— Mnie staremu to się godzi dotknąć ustami tego pięknego czoła; hetmański to kąsek. Pan Podkomorzy, Pani Podkomorzyna zdrowi, Ukraina cała i Podole tęsknią za Panną Rozalją.

— Gdyby tęsknili nie zostawiliby nas między tymi francuzami, gdzie i serce i rozum na opak mogą się przekrzywić; gdzie nie znają ani bojaźni Bożej, ani miłości bliźniego. Tu nie ma nic szczerego, wszystko udane, zwyczajnie jak na królewskim dworze. —

Hetman popatrzył zdziwionem okiem: — Cóż to Panna Rozalja peroruje, a to widzę dziwy się dzieją na tym dworze.

— Gotowambym kazać jak ksiądz z kazalnicy, byle nas stąd wyrwano, wszak prawda Joasiu?

— Ojciec obiecał że do Lanckorony pojedziemy i Pani Radzikowa tam będzie.

— Wiwat! doskonale! Radzikunia — to to będziemy jej psoty robić, ja ją tak kocham — i wziąwszy na stronę Pannę Lanckorońskę — słuchaj Joasiu, Panna Grosouvre ze złości szaleje i na ciebie i na Sapieżankę, że umyślnie odprowadzacie od niej Starościa. Z Sapieżanką nie chciała się dziś witać; czekaj, nauczę ja francuzkę rozumu — i już na zadatek przy-

szłego figla, o którym dopiera miała pomyśleć, śmiała się jak szalona. —

A stary Hetman rzekł: — Wracam należną cześć Pannie Rozalji, jaką była Rozalka taką i teraz jest; nie darmo Podkomorzyna mówiła zawsze: moja Rozalka, to kozak nie dziewczyna. —

Przyszedł Pan Kasztelan Kijowski ze Starościcem Zakroczymskim swoim synowcem, i skłoniwszy się rzekł: — Panie Hetmanie, przypominam Waszmość Panu i bratu, mego synowca Jana Czarnieckiego, proszę go kochać jak mnie; choć trochę pobroił tym pojedynkiem, pokarałem go należycie; jest nadzieja że się poprawi, bo młody.

— Panie Stefanie, bardzo mi miło widzieć twego synowca; pamiętam go dobrze, powinieneś być pewnym że kto tylko do twojej krwi należy, to należy do mojego serca. Nasza znajomość nie od dziś się liczy Panie Stefanie, i przyjaźń nie na biesiadach przy kieliszku się kleiła, ale tam gdzie trochę goręcej. Prosiemy siadać Pana Starościca; ty Joasiu baw gości, a my z Panem Stefanem pomówimy trochę o sprawach ojczystych. Za pozwoleniem Waćpana Panie Starościcu. —

Wyszli obadwa do drugiej komnaty, a Panna Potocka się odezwała: — I jakże się Panu Starościcowi powiodła wczorajsza rycerka? Pan Wojewodzic znikł z horyzontu dworskiego a może nawet z Warszawy, bo go od wczoraj ani oko ludzkie nie widziało.

— Przeklęta to rycerka, nabawiła mnie szczerego frasunku; miałem towarzyszyć Paniom do Krakowa, a teraz muszę pokutować za tego przeklętego Wojewodzica. —

Panna Lanckorońska się odezwała: — A teraz Pan będziesz walczyć z wrogiem pierwej jakeś myślał; wszak i to nie lada rzecz dla człowieka co tak wzdycha za wojną jak Pan.

— I Tetera nie wróg wojnie, a jednak jak się dowiedział o swojem przeznaczeniu, z radości ledwie nie oszalał. Musi to być szczęście nad szczęściami, być tam gdzie są Panie.

— Panie Starościcu, to francuzkie nauki; niech Pan nie przestaje być Polakiem, szczerym bez madrygałów — chciałaby mową pokryć swój rumieniec.

Panna Potocka to dostrzegła: — Joasiu kto wie czy Panna z Grosouvre nie ma słusznej przyczyny do fochów — a potem obracając się do Starościca: — Ale Pan nie wiesz o tem żeś podbił serce Panny z Grosouvre?

— Co mi po podbojach, których ja nie pragnę.

— Otóż masz grzecznego obozowca. Francuz by powiedział: dziękuję Pani za jej dobroć, dziękuję za doniesienie o mojem szczęściu; a Pan bez ogródki: ja nie chcę Panny z Grosouvre. To nie ładnie, ale to widzę, Panowie wszyscy tacy, i Pan Tetera dawniej taki dobry, taki grzeczny, a teraz jak Pan

powiadasz, szaleje, a nie pokazuje się nam. Dziwni ludzie ci obozowce Polscy.

— Prawda, że ten Tetera to dziwny. Szandarowski Rotmistrz Księcia Wiszniowieckiego powiada, że od niejakiegoś czasu zpanoszał, ucieka od ludzi, jednem słowem zdziczał jak kozak. Teraz jakiś niespokojny, rozradowany, a sam nie wie czego chce. Spojrzał złośliwem okiem na obiedwie Panny. Panna Joanna spuściła w dół oczy: — Tęskni za rodzinną ziemią. —

— Tęsknił może za czem innem, a teraz rad i niespokojny z czego innego. —

Wtem szabla brzękła w drugiej komnacie. Panna Joanna zawołała: — Otóż i on — i Panna Potocka powtórzyła: — Otóż on. —

Drzwi się otworzyły i ku wielkiemu podziwieniu weszli Wojewoda Wileński z żoną i z córką; zaczęły się dygi i powitania.

Panna Joanna przystawia krzesła: — Proszę siedzieć Pani Wojewodziny, proszę siadać Pana Wojewody, Anusiu tu na tem krześle. Ojciec zaraz przyjdzie, z Panem Kasztelanem Kijowskim w drugiej komnacie rozmawiają.

— Moja duszko — rzekła Wojewodzina — my do was przyszłyśmy piechotą, bo już nasze powozy wypakowane. —

Wojewoda dodał: — Mam prośbę do Pana Hetmana. —

Panna Rozalja bawiła Pannę Sapieżankę, a Starościc wąs poprawiał, wyloty pogładzał, czupurzył się; jeszcze ani słowa nie mówił, ale jak chart kiedy widzi zająca czeka zemknięcia smyczy, tak jego usta czekają chwili żeby swoje słówko wtrącić do rozmowy.

Na odgłos rozmowy gości, Hetman Polny wrócił z Kasztelanem Kijowskim, i tu się zaczęły nowe powitania. — Jak się mi miewasz Panie Stanisławie?

— Jak się masz Panie Pawle.

— Dawne czasy jakeśmy się widzieli.

— Jeszcze pod Moskwą z królem Władysławem.

— Ceremonja ceremonją a interes interesem; Panie Stanisławie, masz obronny zamek w okolicach Krakowa, moja żona z moją córką zapraszają się w gości do twego zamku. U nas na Litwie Moskwa grasuje, bezpieczeństwa tam nie masz; a mnie uwijającemu się za służbą ojczyzny, trudno by było bronić moich włości i schronienia moich niewiast; z synami jakoś sobie poradzę.

— Wyśmienicie Panie Pawle, niebo mi ciebie przysyła. Moją córkę, córkę mego szwagra, oddaję w opiekę twojej żonie, i teraz spokojnie będę służył krajowi. — Uściskali się obadwa, rozmowa zaczęła się żywa, nawet Pan Kasztelan Ki-

jowski był wesoł, a Staroście Zakroczymski gęsto ciął koperczaki do Panien.

Nowi goście przybyli: to Wąsowicz i Tetera. Pan Hetman powitał Wąsowicza jak starego towarzysza, a Teterę ująwszy w objęcia, w głowę go całował jak własne dziecię. — Mości Wojewodo przedstawiam tobie, Pani Wojewodzinie i Pannie Wojewodziance, pułkownika Teterę syna najlepszego przyjaciela mojego. Pan Starosta Żytomirski już znajomy od kilku dni. —

Po pokłonach zaczęły się pocałowania rąk. Tetera z radością pohożą syna stepu, całował piękne rączki, a Wąsowicz z staropolskim anzacem głośno cmoktał i każdą ręką jak serwetą obcierał sobie wąsy.

Panna Potocka i Panna Lanckorońska rade że zobaczyły dawnego znajomego lat dziecinnych, tysiąc pytań mu zadawały; przemawiały do niego i słowami i oczyma i uśmiechem.

Staroście obrzędem dobrze wychowanego szlachcica, zbliżył się do Wojewodzianki i bawił ją rozmową, a widać że dobrze bawił, bo Wojewodzianka ani spojrzała na resztę ludzi obecnych w komnacie.

Wąsowicz przypomniawszy Wojewodzie jak z Janem Piotrem Sapiehą Starostą Uświackim, biesiadowali w Moskiewszczyznie, Samozwańców wspierali, Carycę Marynę brali pod swoją opiekę, byle Moskwę chłostać i zadawać jej cięgi po cięgach, usiadł na stronie i patrzył na Teterę.

Harda postawa kozaka; na wyniosłem czole pożeniły się godność wolnego człowieka i szlachetna duma. Ciemno siwe oczy błyszczą odblaskiem gorących namiętności serca, ognistej żądzy duszy; twarz śniada od słońca i wiatru; nos orli od czoła nieco spłaszczony, przednia warga trochę podniesiona, ale przykryta ciemnym wąsikiem podstrzyżonym, ciemna czupryna takoż podgolona. Rosły kibicią, ruchami zwinny i czupurny, nie był to ładny chłopiec, ani piękny człowiek; ale w jego twarzy i jego postawie była doskonała harmonja, zwiastunka niepospolitej duszy. Był to człowiek którego obraz lgnął do pamięci, i chował się w niej na długie a długie lata. Strojny był w zaporożkie rodzinne szaty; sine szarawary fałdami spływały na czerwone buty; po białym atłasowym żupanie, pas srebrnolity przewijany karmazynem, przy białym żupanie rubinowe guzy, i koszula spięta na rubinową różę upstrzoną brylantami; po wierzchu siny kontusz na wyloty, przy boku karabela w jaszczur oprawna, za pasem atagan i pistolety, w ręku barania czapka z czerwonym wierzchem spadającym na prawą stronę.

Panna Potocka spostrzegła że Wąsowicz sam siedzi, zbliżyła się i siadła koło niego. — Panie Starosto, Pan widzę cicho siedzisz jak w kościele w czasie kazania.

— Mościa Panno Podkomorzanko, był i ze mnie kiedyś zuch; na wszystko czas. Póki służyły lata, spłatało się nie jednego bałamuta; nie stało zębów, nie ma czem jeść, trzeba posiedzieć z daleka, i z daleka patrzeć na Waćpaństwa Dobrodziejstwa amory.

— Co też Panu po głowie roi się z amorami.

— Roi się albo nie roi. Ja szczwany lis, wiem co to się święci. Waćpanna Dobrodziejka wiesz, że jak furman wozić nie może to kręci bicze.

— To prawda, bo też pan swojemi domysłami kręcisz prawdziwy bicz z piasku; ale mniejsza o to, co oni tam robią. Panie Starosto, zaczynaj do mnie palić strzeliste affekta, wszak ja nie straszydło, podobnam do ludzi?

— O i bardzo podobna — podkręcił wąsa i czuprynę poprawił! — do stu katów żeby to trzydzieści lat nazad odjąć, pokazałbym, że głodnemu psu nie mówi się dwa razy: weź; ale teraz człowiek na nic wart, starość nie radość! Waćpanna Dobrodziejka jeźli nie wiesz, to przynajmniej słyszeć o tem musiałaś, że stary węgrzyn dobry, ale stary kochanek djabła wart.

— A to pięknie, Pan Starosta mnie odkosza daje.

— Moja Mościa Panno, grzech śmiertelny zrobić zawód szlacheckiemu dziecku; trochę cierpliwości i za Waćpanną będą biegać Kozaki i Starościce, bo to słusznie powiedziano, każda Rózia, znajdzie Józia. —

Tu Wojewoda zabrał się do wychodu, i pożegnania przerwały rozmowę. Pan Hetman wyszedł za gośćmi aż do sieni, a Staroście przez grzeczność odprowadzał aż do samego mieszkania Wojewody.

Hetman polny wróciwszy rzekł: — Tetero, Waść pojedziesz z nami do Zamku. Jutro przeprowadzać będziesz z swoim pułkiem Królowę do Solca, tam Pan Chorąży Koronny da straż ze swojego wojska, a Waść wrócisz wprost do Łowicza; tam nas zastaniesz. —

Niebawem nadjechała Królewska kolasa. Hetman, Kasztelan, dwie panny i Tetera pojechali do zamku; Kasztelan siadając polecił Wąsowiczowi aby ze Starościcem udali się do obozu, gdzie on przybędzie dla zrobienia rozporządzeń. Wąsowicz sam zostawszy, rzecze do Żeromskiego: — Żeromsiu, coś to widzę u Waszeciów w Warszawie, w Kitajgrodzie albo w Lanckoronie; na sucho nie jak gości przyjmujecie; to nie po Hetmańsku.

— Czem sobie Pan Starosta każe służyć? wgrzynem, czy miodem?

— Czem chcesz, byle nie wodą; bo powiadam Waszeci, że woda dla gęsi, a wino i miód dla ludzi, nie dla bydła. —

Żeromski zwinął się za winem, a w tem nadszedł Starościc. — A gdzie Pan Hetman, Panna Hetmanówna?

— Mospanie, kto dwóm panom chce służyć, żadnemu nie dogodzi, i obudwóch straci. Z Waszmościa widzę bałamut całą gębą. Na uczcie do Hetmanówny na czysto się bierze, przy wieczerzy do francuzicy oczy zawraca, a teraz jak kleszcz przyczepił się do Wojewodzianki. Dobrze robi Pan Kasztelan że ciebie nie puszcza z Królową, bo byś tam dziewczęta pobałamucił, i narobił psot co nie miara. Panie Janie, jak się nie poprawisz zostaniesz starym kawalerem, ja ci to z doświadczenia mówię; tak i ja broiłem, a teraz muszę pokutować, ale otóż i Żeromsio z winem. Dalej do kieliszka, a potem do obozu! —

Starościc nie słuchał, namarszczył rzęsy na czarne oko i milczał.

— No Żeromsiu w twoje ręce za zdrowie Pana Hetmana polnego! — łyknął wina, przechylił kielich na paznogieć, połknął kropelkę co nań się zcedziła: — powiedz Waszmość Hetmanowi że aż do paznogcia wypiłem za jego zdrowie. —

Żeromski także łyknął: — a Panu Starościcowi, czy będzie wola!

— Daj mu Waszeć pokój, nie kielich mu tam teraz w głowie, biedny chłopczyna już on i tak pijany. Chodźmy Panie Janie, dobranoc ci Żeromsiu! bogdajeśmy się zobaczyli jak najprędzej ale przy winie, nie przy wodzie. — Wziął Starościca za rękę i wyszli. —

Tegoż samego wieczora kiedy w królewskich komnatach Senatorowie, Rycerstwo i różnego stanu ludzie, jak pszczoły zlatywali się po rozkazy, z doniesieniami, by witać albo żegnać osoby Ich Królewskich Mościów, w dolnej części zamku, w izbie dość obszernej, koło okrągłego stołu siedziało dwóch ludzi, już podeszłego wieku w jezuickich sukniach. Na stole zapalone dwie świece, przed każdym złota tabakiera. Obadwa podparli głowy na dłoniach a łokcie na stole i rozmawiali.

— Ojcze Dąbrowski, trudne nasze posłannictwo, ale konieczne; ludzie świata nas nie znają, i dla tego powstają przeciwko nam. My służymy świętemu kościołowi a tem samem i Ojczyznie. My podług słów Chrystusa, chcemy aby Cesarzowi było oddane co Cesarskiego, a Bogu co Bożego. Szanujemy władzę doczesną, ale staramy się o zbawienie wiekuiste.

— Prawda ojcze, i wielka prawda, ale powinnibyśmy goręcej pracować nad zjednoczeniem wszystkich synów Polski, bo tylko tą jednością i siłą królewskiej władzy, Szwedzi będą

pokonani; a nas oskarżają, że stajemy na zawadzie do zgody z Chmielnickim, że my odpychamy ofiary jakie on chce zrobić dla zbawienia Polski.

— Wierz mi ojcze, oskarżenie niesłuszne. Świeckie rzeczy do nas nie należą, a błąd wpuszczać na łono kościoła, było by to wielkim grzechem; było by to dobrowolnie i umyślnie wprowadzać zarazę między zdrowych ludzi. Niech błędu się zaprze, do prawdy wróci, kościół go przyjmie jak syna, my jak brata. Z resztą, czas pokaże co wyjdzie na lepsze dla Polski. My róbmy co nam z góry kazano, bo przedewszystkiem posłuszeństwo dla władzy. Mamy my i tak wiele do roboty.

— O! co mamy, to mamy!

— Przynajmniej mój, rozumny, dobry, prawdę widzi, i prawdzie służy; ale twój ojcze Dąbrowski?

— Mój nielada mąż, prawdziwy szlachcic polski, dzielny w boju, bo własną ręką włada, w radzie mądry, ma wielką cnotę że szanuje władzę królewską; ale z drugiej strony, jak wielu ze szlachty, nie cierpi wyższych, równych nie ze smakiem znosi, a niższych w najsurowszej ryzie trzyma.

— Trzeba mu trochę pokory dodać, i godzić go ze wszystkiemi. Zgoda między dziećmi jednego kościoła i jednej Ojczyzny koniecznie potrzebna.

— Ja nad tem pracuję, bogdaj wszyscy toż samo robili. —

W tem jakieś kroki dały się słyszeć i w krótce drzwi się otworzyły. Ojciec Krajewski powitał przybyłego gościa.

— To ty ojcze Woto, proszę siadać, czem sobie rozkażesz służyć? —

Młody Jezuita miał ciągle ku ziemi spuszczone blade czoło, piękne czarne oko przymglone było rzęsą, a na włoskiej twarzy, której rysy przypominały starożytną rzeźbę mistrza, pokora osiadła miejsce dumy: — Dziękuję ci wielebny ojcze, z polecenia ojca Jenerała przychodzę po twoje rozkazy.

— Zaraz dam list — poszedł do kantorka: — Czy ojciec Canasili jeszcze nie wyjechał?

— Ojciec Jenerał już w tej chwili musi być w drodze.

— Oto jest list ojcze, wprost się udaj do Marszałka Koronnego. Ale powiedz mi ojcze, co to za człowiek świecki, któregom widział wczoraj z tobą?

— To mój rodak Carlo Asario, wczoraj przyjechał do Warszawy. Hrabina z La-Grange dziś mi przyobiecała umieścić go przy dworze Pana Marszałka Koronnego, albo jakiego innego pana.

— Ojcze, czy go znasz? —

Nie, ja go dawniej nie znałem, ale to mój rodak.

— Ojcze strzeż się, kto wie kto on taki, i jakie jego zamiary? Jeźli co złego zrobi, to na nas spadnie; nam trzeba postępować bardzo ostrożnie.

— Dziękuję za radę welebnemu ojcu, ale możesz być spokojnym; to mój rodak, a ja znam jego rodzinę. Uniżenie się polecam łaskom wielebnych ojców — pokornie się ukłonił i odszedł.

Na święto-Jańskiej ulicy, przed zamkiem, przechadzał się człowiek słusznego wzrostu, przybrany w długi neapolitański płaszcz czarnej barwy; w oczach jakaś chorowitość nie cierpiącego ciała, ale dręczącej się duszy; sam z sobą rozmawiał: — Złota mi trzeba, za złoto wszystko dostanę. Przy nim — przy nich — mimo ich wiedzy — mimo ich woli — potrafię zrobić złoto — a — — tu jakiś głos cichy zawołał: — Carlo!

Mimowolnie zadrżał marzący Włoch: — To ty ojcze Woto? —

Ojciec Wota nie słyszał żadnego słowa z dumania Asaria, nie spojrzał nawet na jego twarz: — Chodźmy zaraz, jedziemy! — i poszli na Krakowskie przedmieście.

Brzask dniowy zawitał na niebie, już i słońce złotym czubem wyjrzało z za krawędzi ziemi. Świerkanie konika polnego jakby konało, coraz wolnieje i wolnieje, a natomiast skowronek pośpiewuje dźwięcznym a drgającym głosem; kiedy niekiedy już tylko przepiórka w zbożach się zawabi, ale za to ptastwo rozmaite po polach tłumnie i gwarnie świegocze. Od Wolskiej zastawy złocą się piaszczyste drogi, na równych niwach srebrzą się zboża, i jak fale morskie, wiatrem chwiane kłonią się i wznoszą kłosiste czoła. Rosa perli łąki i gdzie niegdzie w brylanty zaczyna się przerzucać. W dali na lewo już dobrze zamajaczał zielonością las bielański a z tyłu do rzeki, Mazowiecka Warszawa rozrzuciła swoje domy, wszystkie nowe, świeże, kształtne. Nie wiele kościelnych kopuł wystaje nad miasto; nie wiele gmachów olbrzymią postawą odcienia się od zwyczajnych domów; i z tych gmachów mało który pamięta czasy Zygmunta Starego, a jeszcze mniej Książąt Mazowieckich. Za wieńcem miasta na prawo i na lewo lśkni się szeroka wstęga Wisły, a do koła widać Mazowieckie sioła, przylaski, wiatraki i folwarki mieszkańców Warszawy.

Na prawo od Wolskiej zastawy kwarciane wojsko i szlacheckie chorągwie rozłożyły się obozem; stoją rozpięte namioty dla starszyzny. Konie jedne poprzywiązane do sznurów, drugie pasą się po błoniu, a pancerni, szeregowi, towarzysze i kozacy pasują przybory i broń czyszczą; ci jeszcze śpią na trawie, a tamci ranni ptakowie, dumki nucą, podają sobie flaszę z rąk do rąk i krzepką okowitą gardło odwilżają: ogień krzeszą, tytuń kurzą; albo zażywając tabakę, prawią to o bojach, to o miłostkach.

W obozie chodzą mierzonym krokiem piesze warty, na polach porozstwiane konne czaty jak dzikie grusze majaczeją. Zwiady jedne przychodzą, drugie odchodzą. Przekupki Warszawskie z daleka za łańcuchem straży, oczkami, rączkami, jadłem i napojem wabią panów żołnierzy, ale żadna nie poważy się przyjść do obozu, bo zakaz surowy im tego wzbrania. Wszędzie karność i ład; widać że tam Pan Kasztelan Kijowski dowodzi: panowie wojacy nawykli go kochać jak ojca, a bać się jak djabła.

We środku obozu stał namiot z płutna pódbity tureckim muzułbasem, pod nim na rozłożonej opończy siedział Pan Kasztelan Kijowski, a w drugim kącie Ojciec Dąbrowski przybrany w podróżnej rewerendzie, stał oparty o juki. Kasztelan kręcił brodę ręką: — Mości ojcze Kapelanie, i jakże? — posłali po Wielkiego Hetmana Litewskiego. Im by to ubliżało, żeby Lanckoroński albo Czarniecki dowodził wojskom, im trzeba mitry Księcia Radziwiłła.

— Dobrze zrobił Król Jegomość że posłał rozkazy do Księcia Janusza Radziwiłła, do Jerzego Lubomirskiego, i do Pana Hetmana Polnego Gąsiewskiego, aby wychodzili w pole przeciw Szwedowi; wszak to Polacy, tacy jak Lanckoroński i Czarniecki.

— Ja wiem że oni chcą Gąsiewskiego, to służalec panów, pieczeniarz, ale nic z tego nie będzie. Lanckoroński nie pozwoli targać się na swoje prawa. Niech przyprowadzą wojsko Litewskie, my się do niego mięszać nie będziemy.

— Panie Kasztelanie, aleź zgoda potrzebna dla dobra Ojczyzny?

— Ja chcę zgody, ale niech djabli wezmą tych magnatów. Ojcze Kapelanie, ja wzrosłem nie z soli, nie z roli, ale z tego co mnie boli — — i wziął się ręką za twarz — moi przodkowie i ja nie wycieraliśmy kontuszów w przedpokojach pańskich, aniśmy żebrali tytułów po za granicami Ojczyzny. O nie! Czarnieccy nie mazgaje, szablą służyli i służyć będą Ojczyznie i Królowi Jegomości.

— Wszakże to nie Panowie, tylko Król Jegomość wydał rozkazy?

— Prawda, prawda, Król Jegomość, Króla Jegomości trzeba słuchać, bo inaczej źle będzie. Ale ci Panowie?

— Zgoda z nimi! wszakci oni Polacy?

— O nie! z niemi zgoda trudna! — pokręcił brodę, pomyślał trochę — niech ich tam djabli wezmą, z resztą nie teraz czas z nimi się zwadzać, tu idzie rzecz o całość Ojczyzny i o majestat polskiego tronu — wstał: — Mosanie Kunicki! — wszedł Sotnik kozackiego pułku: — powiedzieć pułkownikowi Teterze niech każe Semenom na koń siadać, po całym obozie

trębacze niech otrąbią pobudkę; a dla mnie Hryniewicz niech przygotuje białego. —

Trzykroć razy trębacze w trąbki potrąbili, żołnierstwo wstaje i bierze się do koni i do broni. Semeni na koń siadają, a przed ich szeregiem przechodzi się Tetera z Panem Starościcem Zakroczymskim. Starościc markotny, lewą nogę powłacza po ziemi, widać z gniewu. — No, ty się w czepku urodziłeś Tetero, i boju nie opuścisz, i szczęście ci się garnie do rąk.

— Co za szczęście! kilkanaście mil kłusować po waszych nawidzonych piaskach, duszę wyprzeć z koni, zmitrężyć ludzi, dla tego żeby kilkadziesiąt bab szczęśliwie do Krakowa zajechało? Dziękuję ci za takie szczęście.

— Tylko no nie udawaj zapiekłego kozaka; znamy się my na farbowanych lisach; wiemy że ci oczy dobrze błyszczą do nadobnych buziaków Laszek.

— W czasie pokoju nie mówię, nie porzuciłbym waszej Laszki; ale w czasie wojennym na licho mi się one zdały. Teraz i od czarnobrewy Ukrainki uciekłbym jak od bisa.

— Ale nie od Panny Joanny, nie od Panny Rozalji, wszak prawda Panie Kozacze? Ja myślałem żeś ty się odmienił, ale nie, zawsze po ukraińsku, blichtry lubisz puszczać: nawet przed przyjacielem.

— Serdeczny bracie, u nas na Ukrainie wszystko szczerze, otwarcie; i ja ci szczerze mówię: Panna Rozalja, Panna Joanna, córki dobrych przyjaciół nieboszczyka mego ojca; dziećmi na ręku nosiłem, lubię ich siostry, a szanuję jak córy zacnych Polaków; ale więcej nic. Ty zaś Jasiu, zakrawasz na kozaczą dumkę; co powiada że u wojaka trójcą: gorzałka, lulka i dziewczyna Anulka.

— Któż ci powiedział że ona?

— Kto ona? nikt mi nie gadał, ja nic nie wiem, czego ty chcesz?

— Tylko nie udawaj kiedy wiesz; chodź, powiem ci wszystko — i odciągnął na stronę, ale w tem ukazał się Wąsowicz.

— Hola Mospanowie, czy znowu jaka bójka? a to u sto katów bziki na was ponapadały, nic z tego nie będzie; kładę areszt na Waszeciów i zapozywam przed sąd Pana Kasztelana Kijowskiego. —

Tetera się rozśmiał: — Panie Żytomirski, skądże Panu uroiło się, że między nami mają mieć miejsce bójki. My spokojni ludzie, dawni i dobrzy przyjaciele.

— Łagodni jak trusie, przy kobietach, ale nie tu. Nie z jednego ja pieca chleb jadłem; wiem że gdzie djabeł nie może, tam kobietę poszle, a ona i przyjaźń i dawną znajomość i pokrewieństwo nawet, w proch, w niwecz obróci. Czy to ja

nie widzę, jak się ten zawadijaka marszczy jakby mnie zjeść chciał.

— Uspokój się Panie Starosto, zaręczam Panu żołnierskim słowem, że żadnej zwady między nami nie masz. —

A Starościc dodał: — Mój miłościwy Starosto, pozwól abyśmy z Teterą pomówili, mamy ważne rzeczy między sobą.

— Językiem Waszmość Panowie rozmawiajcie jak chcecie i póki chcecie, ale ręką wara. Ja tu stoję na straży, jeden wasz mig do szabelki, pójdziecie gnić in fundo w więzieniu. Bo też by to była już zgroza nad zgrozami, żeby takich dwóch dzielnych chłopców, podpory i nadzieje Ojczyzny, biło się z sobą za jedną dzierlatkę. Prawda że Panna Lanckorońska i z pierza i z mięsa łakomy kąsek; ależ ten zawadjaka jej strzeże jak smok zaczarowanego skarbu? Wczoraj obciął Wojewodzica, mniejsza o tego czuryłę; teraz szuka przyczepki do Tetery; z tym by nie tak wygodnie poszło, kozak zna krzyżową sztukę, szabelkę nie dla zwyczaju nosi. Zresztą szkoda obudwóch, ja ich kocham jak własnych synów, nie pozwolę. Ale bogdajby nie zgadło moje przeczucie, że ta podróż do Solca na dobre nie pojdzie Teterze, te świegotuszki i z niego gotowe zrobić gaszka albo warjata jak Pan Jan. Dobrze to mówią: jak wojak wlezie w babiniec to się zaraz schyrla. Żalby mi było kozaka żeby mu zaswędziła miłość pod nosem. — I sam do siebie mówił, ręką machał, wąs targał i pilnem okiem pozierał na Teterę rozmawiającego z Starościcem. —

Wtem trąbka zagrała i przed namiotem Kasztelan Kijowski dosiadł białego konia. Tetera żywo przybiegł przed szereg, i jednym susem skoczył na skarogniadego: — Panie Starosto, Janie, do widzenia się!

Starościc jakiś znak na migi mu pokazał, a Wąsowicz poprawił czapkę.

— Mospanie, tylko niedługo każ na siebie czekać, serduszka nie zostaw przy fraucymerze Królowej Imości, bo zaprzedać się kobiecie a djabłowi, to wszystko jedno; człowiek przepadł i dla ludzi i dla Boga.

— Spuść się na mnie Panie Starosto, przy pomocy Bożej i stamtąd wrócimy cali i zdrowi na ciele i na umyśle. —

Tu Kasztelan przyharcował: słowami i zdjęciem czapki powitał Teterę i ukochanych swoich Semenów, i oni go odwitali hucznym krzykiem i razem z nim szeroką stępą poszli do Warszawy.

We trzy godziny na szlaku do Piasecznej, powstał gęsty i długi tuman kurzu, Starościc jak w tęczę w tę stronę patrzył, a stary Wąsowicz uśmiechał się.

— Mospanie, porzuć Waszeć te korowody, na nic się nie

zdadzą, zapadła klamka. Nie trzeba było broić Jasiu. Stryjaszek byłby dał piernika; inaczej się stało, waszeć nagrzeszył, piernik się dostał Teterze a waszeci pstryczek — dula. Nie gniewaj się za prawdę; a teraz chodź do mego namiotu, łykniemy miodu; bądź dobrej myśli, przyjdzie czas i na nas. —

Tuman kurzu oddalał się, bledniał, nareszcie znikł zupełnie, kiedy Hetman polny na złotogniadym koniu, z tylną nogą lewą białą, z miasta przyjechał z Panem Kasztelanem Kijowskim. Żołnierze i starszyzna wojskowa na koń wsiedli, a ciury zebrali namioty na wozy i z jucznemi końmi stanęli na boku. Pan Hetman wojsko sprawił na pułki, dwadzieścia ich naliczył samej konnicy; nie masz ani piechoty ani harmat. Na drogę wyprowadził i linją wyciągnął ku Woli; przednią straż prowadzi Pan Krzysztof Wąsowicz z pięcią pułkami lekkich chorągwi Pana Kasztelana Kijowskiego. Szandarowski z sześcią pułkami pancernych znaków i z dwoma lekkiej jazdy trzyma środek; pułk kozaków Lanckorońskiego przeznaczony do dozoru obozowych wozów i jucznych koni. Dragonja Jego Królewskiej Mości pod Panem Starościcem Zakroczymskim ma mieć straż przy królewskiej osobie, a Michałowi Koniecpolskiemu Podczaszemu Wołyńskiemu powierzono tylną straż z pięcią pułkami kwarcianego wojska. Pan Kasztelan Kijowski mianowany Namiestnikiem Hetmańskim, sam zaś Król Jegomość obejmie naczelne rządy nad wojskiem.

Już po południu w ulicy przed zastawą ukazał się Jan Kazimierz na szpakowatym koniu, w nielicznym poczcie dworskiej służby. Nie widać koło niego synów zamożnych panów, ani samychże magnatów, jak to bywało za dawnych czasów, kiedy Piastowie i Jagiellonowie przywodzili własną osobą wojskom Rzeczy-pospolitej. Teraz młodzi panicze w miejscu na boje pojechali z Królową do Krakowa, a magnaci porozjeżdżali się po swoich domach, pod pozorem że ztamtąd będą Ojczyznie służyć, a w rzeczy samej swego dobra pilnować, i oczekiwać właściwej chwili pospieszenia po dostojeństwa i łaski królewskie, nie przez nich zarobione. Obok Jana Kazimierza jechał ojciec jezuita Krajewski.

Mieszczanie Warszawy tłumnie odprowadzali Króla, i tłumnie wołali: — Miłościwy Panie, nie opuszczaj nas, twoje dzieci. Wracaj do nas, my życia i majątki nasze gotowiśmy poświęcić za Ojczyznę i za Majestat twojego tronu. —

Jan Kazimierz kłaniał się ludowi na obiedwie strony czapką i uśmiechem, a na twarzy przedtem smutnej, zaiskrzył się zapał nieznanego męstwa; widać, że z widokiem wojska i wiernego ludu, z ruchem konia, zagrała w jego żyłach krew Jagiellońska i dodała otuchy sercu. Wtem rzecz dziwna, jaskółka białawego koloru wyleciała z po za domu, i świegocąc żałośnie

trzykrotnym wiankiem okrążyła królewskiego konia, i trzykrotnie ciekawem oczkiem spojrzała w oczy Królowi, jak gdyby chciała z tego zwierciadła duszy wykraść tajemnicę myśli. Koń królewski dzielny, ale wyjeżdżony tak, iż słaba białogłowa i dziecię mogło by nim władać, zchimeryczał, rozparł się i nie chciał iść za zastawę miasta. Lud krzyknął: — Miłościwy Panie i Ojcze nasz zostań z nami, zwróć Królowę z drogi. Zasłoniemy was naszemi piersiami, w oczach waszych będziemy walczyć i zwyciężać wroga. —

Jan Kazimierz nie mógł zatrzymać łzy cisnącej się do oka; tak ciężko kochającemu jego sercu, rozstawać się z kochającym ludem; ale konia śpiął ostrogą i pojechał.

Lud wołał: — Zostań z nami! — ale huk kotłów, brzmienie trąb i powitania jeźdców zagłuszyły wołanie ludu, i wojsko za Królem poszło ku Łowiczowi. Król jechał smutny, ponury, nic nie mówił ani do Hetmana polnego ani do Kijowskiego Kasztelana, ani do ojca Krajewskiego.

IV.

Czmychnąwszy dziurką od klucza,
Dotąd jak czmycha tak czmycha.

Ballada: Twardowski, Adama Mickiewicza.

Połowa Sierpnia mijała, a Jan Kazimierz jeszcze z wojskiem obozuje w Łowiczu. Z dnia na dzień coraz smutniejsze a smutniejsze wieści przybywają: Książe Janusz Radziwiłł Wielki Hetman Litewski, przez niechęć ku katolickiej wierze, ze swojemi odbiegł sprawy prawego Króla Jagiellona; oświadczył się przychylnością ku najezdcy Szwedowi, i sądząc się być gorliwym kalwinem, stał się niegodnym synem Ojczyzny. Gąsiewski z resztkami wiernych Litwinów stawił czoło Moskwie grasującej po Litewskich Ziemiach. Stanisław Potocki Wielki Hetman Koronny, z panami i szlachtą Rusi, jak mógł trzymał na wodzy Chmielnickiego; Jan Sobieski musiał się rzucić w Lubelskie na Wołyń, gdzie Moskwa z uwiedzionemi Kozakami już zaczynała pałamarować. Większa część możnych panów, świadomym obyczajem odstępowała Jana Kazimierza, a leciała płaszczyć się przed zabłysłą gwiazdą Karola Gustawa; podłością i zbrodnią chronić swoje majątki, zaskarbiać łaski wroga Polski. Szlachta Wielkopolska małpując panów, zaciągała się pod chorągwie Szweda; lud sarkał, ale nikt go do broni nie wołał. W innych województwach, polskim nałogiem szlachta mówiła: jeszcze wróg daleko, jak się zbliży pod nasze wrota to się ruszymy, a wszyscy nie szanowali królewskiej władzy. Takie było położenie Polski wewnątrz. Zewnątrz, Król Chrześciański w zaciętej niezgodzie z Katolickim Monarchą i z Rzeszą Niemiecką, wspierał pieniędzmi i przemożną opieką zamiary Karola Gustawa, i kierował go w ślady Gustawa Adolfa; Hrabia d'Anoncourt, Poseł francuzki, towarzyszył przywłaszczycielowi szwedzkiego tronu, a hugonoci francuzcy służą w szwedzkiem wojsku dla przypodobania się Ludwikowi XIV, który u siebie mieczem i ogniem tępił kacerstwo, a za granicami Francji naj-

gorliwszym onych był przyjacielem. Pan Brandeburgu pozierał na nieszczęście Polski; nie może jawnie ani za tą ani za ową stroną się oświadczyć: do Polskiego wiąże dawne powinowactwo, a potrzeba ciągnie do Szweda. Młody Car Aleksy mści się za świeże najazdy Polaków na kraj moskiewski; za sprawą zdrajcy Chmielnickiego, odciąga Kozaków od matczynego łona, i grabieży po polskich województwach. Cesarz Wiedeński choć spowinowacony krwią z Janem Kazimierzem, sprzymierzony z Polską wspólną potrzebą odparcia Szwedów, nie kwapił się z daniem pomocy, a nawet powchodził w jakieś traktaty ze Szwedem. Rakocy Siedmiogrodzki Książe, łechtany nadzieją korony Polski, gotuje się nieść wojnę krajowi któremu chce panować. Jedyna ucieczka Polski w przyjaźni Otomańskiej Porty, i w przymierzu z Tatarskim Hanem; oni choć muzułmanie, ludzie dobrej wiary, szczerem sercem kochają Polskę, i szczerą ręką chcą jej dopomagać, z nimi też Pan Wielki Hetman Koronny rozpoczął rozhowory. Do tych nieszczęść dodać należy brak pieniędzy w skarbie publicznym i oddawna niepłatne wojsko. Jan Kazimierz to widzi i ojcowskie jego serce ciężko się smuci; chciałby zaradzić złemu i odwrócić wojnę od kraju; Kasztelan Kijowski zły na zwłokę, ciągle brodę kręci, Hetman Polny radzi iść przeciw nieprzyjacielowi, ale szanuje wolę Króla Jegomości.

Po długiem wahaniu się Jan Kazimierz wysłał nareszcie do Kalisza Pana Przyjemskiego Podczaszego Bełzkiego, z żądaniem od Karola Gustawa aby ustąpił z Polskiej ziemi. Stefan Czarniecki opierał się temu, ale trudno przeciw wodzie płynąć. Król chciał zgody — a królewskie chcenie to rozkaz. — Hardy Szwed przyjął posła uprzejmie i odpowiedział, że szanuje Jana Kazimierza, ale że zmuszonym jest wojować przeciwko niemu, dla swojego dobra i korzyści Szwedzkiego narodu. Przyjemski jaką odebrał, taką i przywiózł odpowiedź; i dodał, że widział na swoje oczy, jak Wojewodowie Wielkopolscy ściskali kolana Karola Gustawa, zowiąc go swoim panem i dobrodziejem. Doniósł także, że szlachta Wielkopolska zbiera się do Piątka, majątku Pana Andrzeja Grudzińskiego Wojewody Kaliskiego; tam ma tworzyć pułki na posługi Szwedów, i tam mają ucztą obchodzić przytomność Karola Gustawa i zdrajcy Hieronima Radziejowskiego niegdyś Podkanclerzego Koronnego, bannity odsądzonego od czci i wiary.

Słyszał to opowiadanie Kasztelan Kijowski i temi słowy rzekł do Króla: — Miłościwy Królu i Panie; pozwól niech rozpędzę to plugawstwo, i pokażę Szwedom, że Polska ma synów, a ty Miłościwy Panie wiernych poddanych, którzy orężem gotowi się zmierzyć z wrogiem.

— Panie Kasztelanie, znamy twoją gorliwość o naszą sprawę, ale czy nie dobrze by było jeszcze raz upomnieć Wielkopo-

lanów aby wrócili do powinności? — i wyrazem twarzy pokazywał jak mu niemiło przelewać krew polską; Kasztelan pokręcił brodę:

— Szablą trzeba opamiętać występnych i błądzących miłościwy Panie; i ojciec choć najlepszy karze jednak różczką przewinienia krnąbrnych dzieci.

— Ależ braci prowadzić przeciw braciom, bratnią krew przelewać?

— A więc czekać, żeby oni ze Szwedami na nas uderzyli? —

Stary Hetman przystąpił: — Najjaśniejszy Królu i Panie, przełam twoją dobroć, a dla dobra Ojczyzny stań się surowym.

Smutnie odrzekł Król: — A więc jutro pójdziemy. —

Stefan Czarniecki podkręcił wąsa: — Miłościwy Panie, pozwól niech dziś i to zaraz pójdę przodem z Semenami i z chorągwiami lekkiemi przedniej straży; trzeba chwytać czas.

— Dobrze Panie Kasztelanie, ale po nieszporach; Bogu polećmy się w opiekę. My jutro z Panem Hetmanem pociągniemy za tobą.—

Czekać do nieszporów widać nie do smaku Panu Kasztelanowi, ale nic nie powiedział; nie chciał uporem zrażać dobrej woli Króla.

W obozie przed swoim namiotem przechadzał się Tetera, ręce w tył założył, czoło schylił ku ziemi. Czy kroki mierzył i liczył, czy się głęboko zadumał; czegoś mu musi nie dostawać, bo nie chce zetknąć oczów ze światłem, ani głowy wznieść do góry, jak to jego zwyczaj.

Przy ogniskach siedzą Kozacy, i w kociołkach jaglaną kaszę skwarzą ze słoniną, i często gęsto patrzą na swojego Pułkowódcę. W tem jeden z nich się odezwał: — Czy bis przystąpił do Watażki, cóś on niesamowity, jak gdyby go didko nawroczył; a szkoda, chwacki chłopiec i do konia i do szabli.

— Widzisz Korniju, zatęsknił za Ukrainą, bo też to nawiedzona ziemia! laski a laski, piaski a piaski; nigdzie stepu, ani mogiły. A naród jak zacznie gadać, to brzęczy, świszcze i zacina się jak jąkajło; a wszyscy modlą się po łacinie. Gdyby nie Watażka wróciłbym się do domu; u Pana Chmielnickiego znalazłby człowiek służbę.

— Djabli synu milczałbyś — odezwał się stary Kozak z siwym wąsem — Chmielnicki, to przeklęta gadzina, i sam sczeznie i naród na przepadłe zawiedzie. Lepiej by było, żeby był wściekły pieś świata Bożego nie ujrzał. My Polski dzieci, nam Lachów się trzymać, jak koszuli ciała.

— Nie przegniewajcie sie ojcze, ja to tak sobie powiedziałem na żart; gdybym ja miał złą dumkę o Lachach zostałbym na Ukrainie wieszać Lachów, Żydów i Wyzuwitów; ale po-

rzućmy swarzyć się ojcze Owsiju, my dobry ludzie, i Lachy dobrzy ludzie. Niech tylko Bóg da dobre naszej matce Polsce.

— O tak, to lubię! ładny z ciebie chłopiec! kiedyś da Bóg że wywieszamy żydów, taj zrobimy ład; ale co to wy tam gawędziliście o Watażce.

— To my to tak sobie mówili, że jakaś chandra go napadła. Jakeśmy szli do Warszawy, to ptakiem by chciał lecić tam, a jakeśmy przewodzili Królewską żonkę do Solca, to Watażka znachodził się jak przystało na mołodca; z Królową rozmawiał, z Hetmańską córką i z Panną Potocką chychotali jakby za stołem na weselu — a wszystkie niewiasty to aż dziwo! oczyma strzygły, ustami cmokały jak Watażka strybnął koniem. Mówili ludzie, że to wszystko wielkie panie, ale nasz Watażka czepki mołodziec, gdzie powróć to Kozak! Królowa była rada z nas, dobra Pani dała groszy na tytuń taj na gorzałkę, a wszystko to sława dla Watażki. Ale jemu to nie pomyśli; od Solca ani słowa do nas nie przemówił jakby to my byli psy, a tutaj tylko z pułkownikiem dragonji czasem rozmawia, ucieka nawet od naszego starego kuma Wąsowicza. Coś to do niego przystąpiło.

— To fraszka, zwyczajnie ojcowska dziecina, i stary Tetera tak robił, kiedy długo się nie bili. Ale niech się no ze Szwedem zdybiemy, to wszystko to przejdzie.

— Co to za szelmy ci Szwedzi i zkąd oni?

— Szwed a żyd to wszystko jedno; ta sama wiara, ta sama mowa — tu zaczęli się zbiegać do starego Sotnika Owsija.

— To nas na żyda wiedzie Pan Czarniecki?

— A na żyda panowie bracia, tak pewnie jak dziś słońce świeci.

— Kiedy tak — wrzasnęli wszyscy — cześć i sława Polsce i Panu Czarnieckiemu, na pohibel Żydom Szwedom! —

W tem przyszedł Kunicki przyboczny Sotnik Pana Kasztelana Kijowskiego, i oddał rozkaz Teterze aby był gotów do pochodu.

Tetera rozweselił się, przyszedł przed szereg: — No Panowie bracia do koni, taj do broni, dziś pójdziemy na Szweda.

Kozacy krzyknęli — żyj zdrów ojcze! na pohibel Szwedom! — i żywo skoczyli do koni.

A stary Owsij rzekł:

— A co widzicie jak odczadział? taki był i ojciec! jak spoczywali długo w obozie, zły, wszystko mu szło nie w smak, ani przestępuj do niego; ale kiedy krzyknęli na koń, to był wesoły, hulaszczy jak gdyby cztery garnce starego miodu wypił; w dziecku krew ojca zawsze się odezwie prędzej czy później. Jaki djabeł był ojciec, taki djabeł będzie i syn.

W Piątku dziedzicznej majętności Pana Andrzeja Grudzińskiego, dwór, oficyny, folwark, chaty chłopskie, karczmy a nawet stodoły i chlewy pozajmowane przez Wielkopolską szlachtę. Na dziedzińcu dworskim taki tłok szlachty, że ledwo obracać się mogą: rzekłbyś, że jakaś niewidzialna ręka, jak maku jej tam nasiała, a wszyscy wołają: niech żyje Karol Gustaw! niech żyje Król Szwecji! Niech żyje nasz przyszły Pan! i wszystkich usta ku bramie wrzeszczały i wszystkich oczy ku bramie patrzyły.

Z bramy tylko co wyjechało kilkunastu jezdców; jedni są przybrani w hełmy i w płaszcze nakształt rycerzy mieczowego zakonu: tylko nie widać krzyżów na lewej stronie i przyłbice odkryte, drudzy w polskich bogatych szatach. Przedni jeździec miał purpurowy płaszcz, i biały pióropusz przy złocistym hełmie i na nim rytą koronę. Dwustu rajtarów stojących za bramą za jeźdcami się ruszyło, i wszyscy ciężkim kłusem kopnęli drogą ku Kaliszowi. To Król Szwedzki wracał z biesiady od kaliskiego Wojewody; dla pokazania jak dalece zawierza Wielkopolanom, w poczcie dwiestu koni tylko zawitał w gościnę między tysiące szlachty, których Ojczyznę najechał, i z którymi jego żołdactwo obchodziło się jak z podbitym narodem. Szlachta oszołomiona blaskiem korony, wielkością potęgi, przyjęła swojego wroga jak gościa, jak dobrodzieja, jak Pana. Zdaje się że wszystkie te ramiona znikczemniały, wszystkie te serca bić przestały dla Polski.

Przy samej bramie dwóch szlachty żywiej rozmawiało jak inni: — To mi Król, widzieliście jak przy stole spijał kielichy jednym duszkiem; przed obiadem ośm mil konno upalił, i na powrót nie potrzebował kolasy. To nie Jan Kazimierz co gdzieś tam się spowiada, kiedy mu ostatki korony odbierają.

— Panie Stolniku, dajmy pokój temu nieborakowi, nie czerńmy przynajmniej Jana Kazimierza, kiedyśmy się najbardziej przyczynili do jego złej przygody.

— Co mi Waćpan gadasz, on to przyczyną całego nieszczęścia narodu: wywlokł się z księżowskiej sukni, ożenił się z wdową po bracie. Jakże chciałeś żeby z takim człowiekiem na tronie mogła Polska mieć szczęście?

— Jak to, krzyczemy na niego za przekroczenia przeciw prawom kościoła, a prowadziemy na państwo człowieka obcego wiarą, krwią, koronie i narodowi polskiemu.

— Co ci tam po głowie się roją kacerstwa? i Kalwin i Luter to byli chrześcianie tacy dobrzy jak i my, a że z Papieżem się wadzili, to też żaden człowiek roztropny nie ma go za pół Boga.

— Widzę Panie Stolniku, że już zupełnie zaprzedałeś się Szwedowi, a pamiętaj o tem, że Jan Kazimierz ma jeszcze i stronników i wojsko.

— Śmiej się z tego, Panie Łowczy; spytaj Pana Żytkiewicza; on tylko co z Krakowa wraca; on ci najlepiej powie: na swoje oczy widział jak wszędzie i wszyscy są przeciw Janowi Kazimierzowi.

— Daj mi czysty pokój z tym Panem Żytkiewiczem. Panie Stolniku, między nami mówiąc, to istny obwieś, pijannica, hałaburda, kostera, jednem słowem lepsi od niego wiszą na szubienicy.

— Co Waćpan chcesz, za młodu się wyszumiał a teraz się poprawi; wszakże to powiadają, lepiej że wino za młodu się wyburzy, jak ma się burzyć na starość, z resztą widzisz jak Pan Podkanclerz Koronny go afektuje. —

Kiwnął głową Łowczy: — Na biedę przyszliśmy, kiedy tacy jak Pan Hieronim Radziejowski mają nadawać wartość ludziom. Panie Stolniku poczciwy jesteś człowiek, tak kochasz kraj jak i ja, wciągnęli nas w błoto, wybrnijmy póki czas.

Stolnik się nasrożył: — Co Waćpan gadasz? ja trzymam za Karolem Gustawem, swego słowa nie odstąpię. —

Łowczy nic nie odpowiedział, ale prędko odszedł w drugą stronę. W tem zbliżył się jakiś szlachcic, zataczając się i w lewo i w prawo: — Ha! albo kto przeciw Karolowi? — milion pare set bomb! — zaraz mu łeb przytnę — zabetkotał językiem i do szabli się porwał.

— Uspokój się mój szacowny Panie Żytkiewicz — rzekł Stolnik — my tu wszyscy za Jegomością Królem Szwedzkim naszym przyszłym Panem.

— Teraźniejszym! Już Jan Kazimierz zrzucony z tronu, dziś jadę z Krakowa; dziś, jutro albo pojutrze przyjadą posłowie zapraszając naszego ukochanego Karola na tron. Milion pareset bomb! — ex-jezuitę na nowo do klasztoru wpakują. Hej wina! miodu! milion pareset bomb! Wojewodo, wypijemy za zdrowie Karola Gustawa! — bogdaj djabli wzięli ex-jezuitę! —

Szlachta zaczęła się gromadzić, w tem jakiś głos krzyknął:— Żytkiewicz do Pana Podkanclerzego. —

Żytkiewicz wyprostował się, okiem skosił w bok zyza, obtarł ze śliny rudy wąs: — Zaraz — zaraz — poczekajcie tu na mnie — milion pareset bomb — wypijemy razem — i posztykurlał napadając na prawą nogę.

Piećdziesięcioletni człowiek okazałej postawy, twarzy ciągle rozśmiechającej się zmuszonym uśmiechem grzeczności, przybrany z niemiecka, rozmawiał z Wojewodami Kaliskim i Poznańskim i z młodzieńcem strojnym w płaszcz hiszpański, z policzkiem obwiązanym chustką; stanął Żytkiewicz, wyprostował się jak mógł: — Jaśnie Oświecony Kanclerzu Korony i Litwy, mój Mecenasie i osobliwszy dobrodzieju, jestem — i zachwiał się na bok.

— Panie Żytkiewicz.

— Na rany Chrystusa, milion pareset bomb się zaklinam, żem ledwie zakosztował dziś wina, to trudy i bezsenne noce tak mi głowę zamroczyły; jakem Podlasiak.

— Ależ mój Panie, wcale ciebie oto nie posądzam, chciałem zapytać przy Panach Wojewodach o niektóre rzeczy; powiadałeś że Pan Marszałek Koronny gotów z nami się złączyć, a Pan Wojewodzic Kaliski który dziś dopiero przyjeżdża z Warszawy, słyszał z pewnością że Jerzy Ludomirski zbiera wojsko dla Jana Kazimierza?

— Milion pareset bomb, nie we śnie ale na jawie, tak jak dziś z Jaśnie Oświeconymi Panami, takem rozmawiał z Marszałkiem Koronnym; w jego rodowitym pałacu, piliśmy kalmusówkę, tęga jak ogień. Jerzy, za przeproszeniem Jaśnie Oświeconych Panów; bo my to dawni koledzy rozmawiamy z sobą zwyczajnie tak: Jerzy! Julianie! Marszałek Koronny powiedział: Julianie jedź żywo, nie żałuj koni, ani siebie; zapewnij Hieronima, przepraszam Jaśnie Oświeconego Kanclerza, zapewnij niech na mnie rachuje. Milion pareset bomb i dla czegoż by miał co innego mówić a co innego robić? Jerzy, to człowiek szczery. —

Wojewodzic się zapytał: — Nie widziałżeś Panie Pana Gnoińskiego?

— Mikołaja? milion pareset djabłów, to mój przyjaciel szkolny, na jednej ławce nas wyciągano, i jakże? u niego nocowałem, na jednem łóżku spaliśmy z sobą.

— Ja pytam Pana Żytkiewicza o Starostę Hrubieszowskiego Samuela Gnoińskiego.

Radziejowski się zczerwienił, a Żytkiewicz chcąc poprawić swoją postawę, przestąpił z nogi na nogę i o mało nie upadł: — Milion pareset bomb z Panem Samuelem, wszak to mój najlepszy towarzysz. Razem z sobą włóczyliśmy się po jarmarkach i do jednego buziaczka zalecankiśmy cięli. —

Radziejowski zakończył tę rozmowę, odchodząc do ogrodu, i dał znak Żytkiewiczowi żeby szedł z nim. Wojewodowie nic w tem dziwnego nie widzieli. Żytkiewicz sługa podkanclerza, zapewne ten mu wytnie słowa prawdy i napomnienia; natrze uszy za podchmielenie się i łgarstwa.

W szpalerze lipowym Radziejowski się zatrzymał: — Niceś mi nie mówił o bytności Pana Samuela Gnoińskiego w Krakowie?

— Jaśnie Oświecony Panie, przez affekt ku twojej osobie nie chciałem o nim mówić, żeby nie przypominać dawnych rzeczy. Milion pareset bomb, jedne słówko rzeknij, a pojadę i zabiję tego huncwota.

— Na co to się zdało; ja dawne rzeczy zapomniałem i Pan Gnoiński już musiał o nich zapomnieć. Wiem ja poniekąd

o jego myślach, on więcej wart jak wszyscy ci co ich tu widzisz.

— Jaśnie Oświeconego Pana prawda; ja znam Samuela jak swoją kieszeń. Raz, milion pareset bomb, kiedyśmy byli w Piotrkowie —

— Inną razą mi to opowiesz, a teraz trzeba, abyś się wybierał w drogę i to natychmiast.

— A dokąd Jaśnie Oświecony Panie? Czy do Łowicza, do ex-jezuity, czy gdzie indziej, wszędzie gotowem.

— Pojedziesz do Krakowa oto z tą karteczką — wyjął pugilares i ołówkiem po niemiecku napisał kilka wierszy na małym papierku, zwinął go: — Oddaj Rabinowi Aronowi.

— Żytkiewicz obrócił papierek: — Jaśnie Oświecony Panie, czy mam się znosić z Żydem; czy prowadzić całą rzecz? —

Radziejowski się uśmiechnął i dobył sakiewkę pełną złota z kieszeni. To dla ciebie na prowadzenie rzeczy, tylko zaklinam cię nie rób brewerji i żyj w zgodzie z twoimi współkolegami.

— Dosyć Jaśnie Oświecony Panie, spuść się na mnie jak na siebie. —

Tu dał się słyszeć wrzask na dziedzińcu i wołanie: Panie Podkanclerzu! Panie Podkanclerzu! i szlachta nawałem sunęła się do ogrodu, prowadząc z sobą żyda z rozczochranemi pejsami: — Cóż tam się stało moi mili Panowie? — zapytał Radziejowski.

— Co się stało? Jan Kazimierz z ogromnem wojskiem na nas idzie.

— I Kozaków i Tatarów na nas prowadzi; ten szelma Chmielnicki związał się z ex-Jezuitą aby szlachtę wytępić.

— I Moskwę Gąsiewski odmówił przeciwko nam.

— Turcy ciągną od Kamieńca w pomoc Janowi Kazimierzowi.

— Zginęliśmy! sto tysięcy ma wojska!

— Co Waćpan gadasz? Milion! a może i więcej!

— Moi Panowie — odezwał się Radziejowski — pozwólcie mówić żydowi; on widział to wojsko? —

Żyd puszczony z rąk szlachty, drżał z przestrachu, podrapał się w pejsy, zachlipnął się kilka razy: — Jaśnie Oświeceni i Wielmożni Panowie: aj waj, co tego wojska do Łowicza naszło, aż strach! a same Kozaki, ani przystępu do nich, wszystko tylko krzyczą! bij żyda, i biją — i to te Kozaki idą na Jaśnie Oświeconych i Jaśnie Wielmożnych Panów.

— A wieluż ich tam jest?

— Nu sto, dwieście, trzysta, tysiąc, milion; albo to ich tam narachować można jak talary. Nu, albo to ja wiem wielu to ich tam jest, ale jest.

— Jaśnie Oświecony Kanclerzu — rzekł Żytkiewicz doty-

kając ręką kolana Radziejowskiego — pozwól, niech wypytam tego psiawiarę, to szpieg nieprzyjacielski — a nie czekając odpowiedzi: — szelmo żydzie, milion pare set bomb, mów prawdę. — i od ucha trzasnął go w mordę po szlachecku. —

Żyd aż do ziemi się zgiął: — Aj waj gwałtu! rozbój! ratujcie! —

A szlachta krzyknęła: szelma, szpieg, zabić, powiesić! i do szabel się porwała.

Darmo Radziejowski wołał: — Panowie! uspokójcie się! Panie Żytkiewicz co też wyrabiasz, czy to się godzi? — Byliby żyda rozszarpali, ale wpadło kilku nowych szlachty zasapanych.

— Nieprzyjaciel idzie; już na Piątkowskich polach. Pan Wojewodzic namawia przebłagać Jana Kazimierza. Panowie Wojewodowie na koń wsiadają.

— Panie Żytkiewicz, żywo niech mi konia przyprowadzą, pojedziesz w swoją drogę. Panie Sulimowski, ruszaj co tchu do Inowłodza, daj znać Generałowi Wittembergowi że Jan Kazimierz się zbliżył; przed nocą może nie będzie nacierać, z resztą zatrzymamy go: jest nas więcej ośmiu tysięcy, ale proś żeby się nie ociągał z pomocą. Wojewodzica nikt nie usłucha, Polak zmieniać nie umie raz danego słowa, wszak prawda Panowie?

Kilku tylko szlachty krzyknęło: — Niech żyje Karol Gustaw! niech żyje Podkanclerz Radziejowski! — inni zaś cicho wyszli z ogrodu; żyd widząc się sam, zalazł w agrest, i tak się zachował, żeby i sam djabeł go nie wynalazł.

Radziejowski szuka we dworze Wojewodów i Wojewodzica; nie ma, gdzieś zniknęli; siadł na konia, przebiegł miasteczko, i tam ich nie ma — gdzieś czmychnęli, albo się też zaszyli w jakiem ukryciu. Szlachta po jednemu, po dwóch, po trzech wymyka się na szkapach z wioski, i nie oglądając się co tchu sadzi do lasu, ku Kaliszowi, w przeciwną stronę od nieprzyjaciela; a chociaż każdy wyjeżdżając za kołowrot gromkim głosem wołał: na zwiady jadę; pokażemy tym jezuitczykom i kozakom, co to my umiemy! jak przejechał wrota, to tylne go tylko widziały straże.

Żytkiewicz zebrał gromadę podobnych sobie opryszków, i pod pozorem wstrzymywania szlachty aby nie opuszczała Piątka, i robienia ładu, rabował szlacheckie wozy, chłopskie chaty, a gdzie znalazł jakikolwiek trunek, to wychylał z innymi krzycząc: — Pijmy! żeby wróg nie miał co pić. Zabierajmy! żeby wróg nie miał co zabierać! —

Ledwie kilkaset szlachty mógł zebrać Radziejowski, i występny zbrodniarz zatwardziały w swojej zemście, chciał prowadzić na bój tych uwiedzionych braci przeciw braciom. Ale zaledwie wybiegł za kołowrot, przy szarym mroku wieczora, ujrzał przednią straż Pana Kasztelana Kijowskiego, a za nią

tuman kurzu oznaczający ciągnięcie reszty wojska. Obejrzał się na swoją szlachtę, aż ta zwróciła konie w tył i zaczęła czmychać. Podły zdrajca, nie wiele myśląc zwrócił konia i bezwstydnie uciekał za pierzchającemi.

Kłusem weszły Kasztelańskie pułki do miasteczka. Stefan Czarniecki żeby szlachty nie rozjątrzać, Semenom kazał być przy sobie, a kilku chorągwiom Wąsowicza rozbiedz się po ulicach i po za miasteczko. Towarzysze spis nie używali, pałaszów nawet nie dobyli, tylko spędzali obłąkaną szlachtę przed kościoł, a pojmana szlachta wrzeszczała na całe gardło: — Niech żyje Jan Kazimierz Król i Pan nasz miłościwy! Niech żyje Pan Kasztelan Kijowski nasz bohater! —

Kasztelan dowiedział się że Szwedzi są pod Inowłodzem, i rzekł Wąsowiczowi: Mosanie Starosto Żytomirski, zostaniesz tu z dwóma pułkami, zrobić ład ze szlachtą; kiedy chcą się bić ze Szwedem i poprawić zrobiony błąd, niech błagają łaski Króla i idą zaciągać się pod Ojczyste znaki; jeźli im brak serca, niech jadą do domu i siedzą cicho; kiedy się uda złapać zdrajcę Radziejowskiego to go Królowi odesłać — pomyślał — albo lepiej powiesić; ja tu wrócę albo każę Wasmości przyjść gdzie będę. Kozacy Tetery i trzy pułki lekkich chorągwi za mną. — I pochodem ruszyli drogą ku Inowłodzowi.

Wąsowicz pomyślał sobie: jak złapię tego hycla to powieszę, a wysoko, i na tęgiej szubienicy żeby się nie oberwał. Mniej jednym łajdakiem na świecie tem lepiej. Wszystko to na chwałę Bożą, a na dobro ojczyznie — i kazał szukać Radziejowskiego: — Mospanowie towarzysze i szeregowce, dalej w pogoń, kto mi go żywcem dostawi temu dam konia z rzędem i węgierską fajkę; kto głowę jego przywiezie ten dostanie podjezdka i rożek z tabaką; a jeden i drugi napije się ze mną miodu i to starego kapucyńskiego, dębniaku. Dalej wiara! —

Pomaleńku niknęły cienie nocy; od strony świtania ołowiana barwa poczęła przerzucać się na czarnem tle nieba; łuk tej barwy coraz bardziej a bardziej się zwiększa i jaśnieje od spodu, nareszcie ołowiana szata przesunęła się na zachód, a wschód przymglonym błękitem się powlekał; fioletowa łuna słabo zarysowała się na wschodzie, czerwienieje, złoci się; ślad w ślad za zwiastunką dnia wysunęło się jaskrawe oblicze słońca, i potokami złote promienie lało a lało w powietrze. Tło nieba jasne, błękitne, chmury po niem nie wędrowały, tylko gdzie niegdzie biały obłoczek, jak rąbek na twarzy dziewicy, pół tajemnicą dodawał jeszcze wdzięku i tak już pięknej krasie. Na ziemi piaski i zboża złocą się pod promieniem słonecznym, a stawy i rzeki zwierciadlą się pod okiem słońca i służą słońcu za zwierciadło.

Szlakiem do Inowłodza ciągnie Polska jazda. Przodem idą kozacy; piękne chłopy, zamożni wzrostem i siłą, na dzielnych koniach, a tak do siebie podobni ludzie do ludzi, konie do koni, iż zdałoby się że jedna matka rodziła pierwszych, jedna klacz drugich. Za Kozakami idą lekkie chorągwie; Pan Kasztelan Kijowski z Teterą jadą przodem. Jak gwiazdeczka w dali błyszczała kopuła Inowłodzkiego kościoła, i czasem szeroką taśmą zalśkniła się powierzchnia srebrnych wód Pilicy; w tem kozak powodyr przedniej straży zatrzymał się w miejscu, stanął na strzemionach, popatrzył, zawrócił konia i wstecz czwałem kopnął; przednia straż w bok zjechała, skryła się za zboża, i jeźdce głowami przyczaili się ku grzywom końskim.

Kasztelan z Teterą wyjechali na wzgórze, patrzą, aż tam od Inowłodza ciągnie rajtarja Szwedzka; z pomiędzy kurzu, hełmy śmiałym błyskiem miotą się w oczy, a stalowe koszulki migocą rzęsnem i niepewnem błyskotaniem. Kasztelan wąs podkręcił, widać że mu wesoło jak szczwaczowi kiedy zajrzy wilka w stepie, w dali od jarów: — Mój Semenie z przodu na nich uderzysz, tylko dziarsko po swojemu, ja z boku zaskoczę z pułkami. Pokażmy tym Szwedom, że jeszcze Polska ma dzieci, co za nią gotowi i bić i ginąć.

— Dobrze ojcze Kasztelanie, albo zwyciężymy, albo nie wrócimy do domu. —

Wrócili do pułków; Lachy pieśnią Boga rodzica, Kozacy hymnem Święty Boże, święty wielki, święty bezśmiertny, pomiłuj nas: — Boga na pomoc wezwali. Lachy końskiemi piersiami rozpierając fale zboża, niwami w lewo kłusem się kopnęli, a szlak zatętniał, zahuczał pod stukotem kopyt kozaczych koni. Szwedzi to ujrzeli i poczęli się szykować na błoniu w szeroki i głęboki szereg.

Tetera machnął ręką na swoich, i kozacze sotnie w kłus dwójkami w linią dobiegały i rozwinęły się szerokim półksiężycem. Tetera machnął ręką po raz drugi, i wszystkie spisy płotem położyły się po nad uszy końskie. Stary Owsij krzyknął: — Panowie bracia, w oczy kolcie tych psiawiarów, ja ich znam pod kluzynem. —

Skarogniady Pułkowódcy zarżał i parsknął z radości, Pułkowódca wzniósł bułatną szablę do góry, zawołał: — Sława Bohu! — i z kopyta pomknął.

Kozacy tłumnie wrzasnęli: Sława Bohu! i czwałem w przegony sunęli za nim. Ziemia zadrżała i jęczy jakby miała się rozpaść, w powietrzu świszcze, wyje i huczy, jak w czasie nawalnicy morskiej; pył i rodzimy piasek kłębami wzbijał się aż pod niebiosa, a stepowa jazda pędzi na Szwedów, jak trąba burzy.

Szwedzka rajtarja z muszkietów wypaliła. Błysnęło, huknęło, i słychać było donośny głos Tetery: — Sława Bohu! — wrzask

kozaczy — bij, kól, siecz wrażego Szweda — błagalne wołania i jęki niemieckiej mowy.

Kozacy sparli Szwedów, tłoczą szereg na szereg; z brzękiem walą się rajtary z siodeł na ziemię, słupią się konie pozbawione jezdców. Zgiełk, zamięszanie, porwały się szwedzkie szeregi i ku miastu pierzchają.

Aż tam od miasta zaskoczyły Lackie chorągwie: — Hura! w imię Boga! bij Szweda — i tu zaczęły się gonitwy po błoniach i po niwach. I Lachy i Kozacy w obroty wzięli Szwedów; to dźgają spisą, to płatają szablą. Tetera hula, naprzód zabiega wrogom, i szablą na odlew w oczy siecze, a rajtary jak wory z piaskiem walą się o ziemię. Pan Kasztelan nie żałuje ręki i szabli, a biały arabczyk nóg. Ciągle woła: — Bij szelmę Szweda, życia mu nie zostawiaj. Niech giną najezdnicy! —

Po dwugodzinnej gonitwie nie widać Szwedów: tylko konie rajtarskie samopas po zbożach biegają, a Kozacy i Lachy krzątają się koło trupów; wojennem prawem zdobycz zabierają na własność.

Kazał Pan Kasztelan trąbić na zbiór; jeźdce obładowani zdobyczą, wiodąc zabrane konie wracali do pułków, kilku tylko rajtarów szwedzkich i ich pułkownika barona Szteinboka na jeńców zachowano, na pokaz królowi i wojsku. Lachy i Kozacy za zwycięstwo radośnie dziękczynili Kasztelanowi. Kasztelan pokręcił wąsa: — Boże to dzieło, on to nas wsparł swoją opieką. Mój Semenie — ścisnął za ramie Teterę — dziękuję tobie. Ojczyzna i Król Jegomość ci podziękują — obrócił się do wojska: — Mospanowie nieraz ich pobijemy, to Szwedziki, nie Szwedy. —

Wojsko krzyknęło: — Niech żyje Pan Kasztelan Kijowski! wiedź nas na wroga! pobijemy! — I brzmiąc pieśnią na cześć Bogu Stwórcy, szli do Inowłodzia. W mieście we wszystkie dzwony uderzono na gwałt radości. Mieszkańce wyszli na przeciw z chlebem i z solą, i witali radośnemi okrzyki! — Witajcie nasi zbawce! — długie panowanie Królowi Jegomości! Cześć i sława obrońcom Ojczyzny! śmierć wrogom! — We wszystkie serca zawitała namiętna radość, i wszystkie usta wynurzały namiętnie szczere i gorące uczucia dla Ojczyzny.

Kiedy tak Pan Kasztelan Kijowski pierwszem zwycięstwem nad Szwedami obdarzał Polskę, Ludwika Marja, ta Pani nieugiętej woli, przybywszy do Krakowa, skarbiła przyjaciół i stronników Janowi Kazimierzowi, i wołała na szlachtę polską aby biegła do obrony Polski.

W starej stolicy Piastów wszystko dobrze się rokowało dla Ojczyzny; niechętni zapominali uraz do Króla, a Chrobaci, lud

dyszący za wojną, miłujący Ojczyznę, rzeźwo i ochoczo brali się do broni.

Dnia sobotniego w Krakowie w komnatach królewskiego zamku, przeznaczonych na mieszkanie dla Pani Wojewodziny Wileńskiej, zebrało się kilka osób, i rozmowa jak to wówczas bywało zwyczajną potrawą, toczyła się o wojnie. Pani Wojewodzina zapytała mężczyznę w kwiecie wieku, okazałej postawy, wystawnie przybranego: — Czy dotąd jeszcze Pan Marszałek Koronny nie odebrał żadnego gońca z królewskiego obozu?

— Królowa Imość żadnego gońca nie odebrała z Wielkiej Polski, ale za to mamy podostatkiem gońców z Litwy i Rusi, a wszystkie wieści niepomyślne; Chmielnicki ciągnie pode Lwów, a Moskwa w Litwie robi postępy znaczne.

— W cóż mi się obróciemy? od męża nie mam żadnej a żadnej wiadomości.

— Mościa Wojewodzino, trzeba być spokojnej myśli. Pan Wojewoda Wileński jeszcze nie dojechał do Wilna; a my tu jesteśmy aby czuwać i bronić pań bezpieczeństwa. Co dnia nowi ochotnicy przychodzą zwiększać królewskie wojsko.

— Przyznaj mi Mości Marszałku, że tak się nie godzi, jak robi wielu z naszych Panów i szlachty, odstępując sprawy ojczystej i Króla w niedoli.

— Brzydzę się prywatą, która prowadzi do zdrady Ojczyzny; Króla Polski choćby najniechętniejszego mnie osobiście, nie odstąpiłbym w złej przygodzie. Moje ramię i mój majątek na jego posługi, bo jemu służąc, służę Ojczyznie; ale Pani Wojewodzino, trzeba być wyzrozumiałą dla nieoświeconej szlachty, pobłażającą dla lekkomyślnej młodzieży, a często nawet i dla uwiedzionych mężów.

— Pierwsze słowa Marszałka są godne ust i serca Jerzego Lubomirskiego, drugie widać że dyktowało serce człowieka, ale nie surowa powinność syna Polski. Ja słaba kobieta, a jednak byłabym bez miłosierdzia dla wszystkich tych co przeszli na stronę nie przyjaciela Ojczyzny, nie wyłączając nawet synowca mego męża, o którym jak słyszałam, znajduje się w obozie szwedzkim. Wiem że mój mąż nigdy mu tego nie przebaczy.

— My Polacy wiemy, jak daleko Polki posuwają miłość dla Ojczyzny, ale wiemy i o tem że umieją godzić tę miłość z powinnością serca, z pobłażaniem dla winowajców powracających do powinności. Panie umiecie nas karać, ale umiecie i przebaczać; darujesz przeto Wojewodzino, że nie zupełnie chcę wierzyć jej bezmiłosiernej surowości.—

Weszła Pani Hrabini z La Grange i dygnęła uniżenie: — Dobry wieczór moja kochana Wojewodzino, cóż za szczęśliwy traf pozwala mnie spotkać Pana Marszałka Koronnego. Kró-

lowa natychmiast przychodzi do ciebie Pani z odwiedzinami, a razem z pomyślnemi wieściami. —

Wojewodzina wstała, czule powitała Hrabinę: — Proszę siadać Pani Hrabiny, wdzięcznem sercem dziękuję za jej dobroć. —

Jerzy Lubomirski pocałował w rękę Panią z La Grange: — Ja to się czuję za szczęśliwego, że mogę w tej chwili przedstawić moje uszanowanie Pani Hrabinie.

Stara francuzica zmrużyła oczy: — Pan Marszałek zawsze taki dobry jesteś — a potem obróciła się do Panien: — Panna Anna i Panna Joanna zapomniały o mnie; od rana ich nie widziałam. —

Panny się skłoniły: — Ale ja Panią Hrabinę już kilka razy dziś odwiedziłam — odezwała się Panna Potocka.

— Bardzo wdzięczna jestem Pannie Rozalji, ale przyznaj prawdę, że przyczyną tych odwiedzin była chęć widzenia czarnoksiężnika Drogonia.

— Ja kocham szczerość, i przyznaję się do prawdy że tak jest.

— Jak to? albo Pan Drogoń był u Pani Hrabiny — zapytał zdziwiony Jerzy Lubomirski.

— Nie, ale Hrabia z Châtre przyrzekł mi go sprowadzić; napróżnośmy czekały, odmówił tego zaszczytu.

— Mnie by też dziwiła mocno grzeczność Drogonia; od sześciu lat, zaręczają, że nie wyszedł za bramę swego domu, a chcąc się do niego dostać, trzeba mieć wstawienie się tych, których on nazywa swojemi dobrze znajomymi.

— Czy Pan Marszałek jesteś w liczbie dobrze znajomych? — rzekła Wojewodzina.

— Mam ten zaszczyt Mościa Wojewodzino.

— Więc prosiemy o opiekę; ale naprzód powiedz nam proszę, kto to jest ten dziwny człowiek? —

— Pan Innocenty Drogoń czyli Inocencius Drogonius jak sam siebie nazywa, jest od naddziadów mieszkaniec miasta Krakowa; po kądzieli idzie od Wierzynka, owego sławnego polubieńca Kazimierza Wielkiego; po mieczu czyli raczej po piórze od Archiwistów krakowskiego magistratu. Ojciec jego człowiek bogaty, ale zawsze Archiwista, jak sam powiadał że to miejsce droższem mu było nad wszystkie korony świata, wysłał młodego Inocenciusza do Włoch, aby go uczynić jeszcze godniejszym piastowania urzędu Archiwisty. Inocencius zwiedził Rzym, Bononję, Florencję i Padwę, wszędzie w naukach celował; tam zaprzyjaźnił się z Mikołajem Żorawskim dzisiejszym professorem Jagiellońskiego Uniwersytetu i Łysińskim, i była to trójca nierozdzielnych przyjaciół; wieczna tajemnica pokrywa ich podróże. Powiadają wieści ludzkie że zaprzedali się złemu duchowi, zwiedzali wszystkich czarnoksiężników i gwiaz-

dziarzy i ćwiczyli się w ich naukach: to są baśnie ludzkie; jednak jest rzeczą pewną, że Inocencius umie wiele rzeczy, ale nie chce przepowiadać co się stać ma, nawet pod przenośniami. Kiedy wrócił z podróży, ojciec chciał go ożenić, ale on okazywał niezwyczajny wstręt ku płci pięknej. Chciał mu zapewnić archiwistostwo, ale uczony Inocencius wręcz odmówił urzędowania. Stary ojciec z rozpaczy że archiwistostwo dostaje się w inny ród, umarł nagłą śmiercią; a Inocencius cały swój majątek rozdał między siostry, krewnych i ubogich, a sam zostawił sobie lichy domek na Kleparzu, i tam mieszka z Włochem niemym, którego wywiózł z sobą z Florencji; ciągle zajęty czytaniem starych ksiąg, topieniem kruszczów, smażeniem ziół; powiadają, że złoto robi, i może być, bo żydzi ciągle do niego chodzą; z resztą pełno rozmaitych naczyń, szkieł optycznych, piecyków i innych przyborów w jego izbach. Brama od ulicy zawsze zamknięta, ale jest przy niej dzwon, trzeba weń kołatać, i wtenczas Inocencius sam otworem z pod dachu wyziera i każe niememu Włochowi wpuścić albo nic nie odpowiadać. —

Opowiadanie przerwanem zostało przyjściem Królowej. Ludwika Marja z wesołem licem powitała Wojewodzinę i przytomne Panie i Panny, a podając rękę do pocałowania Jerzemu Lubomirskiemu rzekła: — Jestem zwiastunką pomyślnej wiadomości, Szwedzi pobici pod Inowłodzem przez Pana Kasztelana Kijowskiego. Odebrałam listy królewskie do Pana Marszałka Koronnego i do Senatu. —

Jerzy Lubomirski schylił czoło z poszanowaniem, ale nie z uniżonością: — Najjaśniejsza Pani, z radośnem sercem przyjmujemy pomyślne wieści i radzibyśmy wstępując w ślady Pana Kasztelana Kijowskiego dowieść, że i my wszystko gotowiśmy poświęcić w obronie Ojczyzny i Waszej Królewskiej Mości. —

Królowa dodała z uśmiechem: — I Króla Jana Kazimierza, monarchy i szczerego przyjaciela Pana Marszałka Koronnego. —

Lubomirski skłonił się, ale nic nie odpowiedział.

W tejże samej chwili Panna z Grosouvre oddała list Joannie Lanckorońskiej, który był przywiezionym z obozu razem z listem królewskim. Kiedy Królowa z Księżną Wojewodziną i z Paniami dworu rozmawiała o Inowłodzkiej bitwie, Panny zebrały się w drugiej komnacie, i na pół uśmiechały się z Joanny Lanckorońskiej, która czytając list rumieniła się i błyskała okiem: jak gdyby słuchała zalecanek z ust grzecznego młodzieńca, albo jak gdyby czytała to słowo miłości tajemnicze, o której nie przed wszystkiemi się mówi, a jednak to był po prostu list ojca.

— Moja Joasiu — rzekła Panna Potocka — o zakład bym poszła, że Pan Starościc musiał się przypisać w liście Pana Hetmana, albo może i kto inny — naprzykład Pan Wąsowicz.

Anna Sapieżanka spłonęła rumieńcem a Ludwika z Grosouvre z ciekawością zbliżyła się do Lanckorońskiej i usta otwierała do zapytania, kiedy Potocka zawołała: — Wyśmienicie! Anusia raka upiekła, jakiego świat i Korona Polska nie widziała, a Panna Ludwika ślinkę ciekawości połyka; wiwat Pan Starościc Zakroczymski! Joasiu nie męcz że nas dłużej, powiedz co tam piszą: bo mnie świerżbi ucho z chęci dowiedzenia się co się tam dzieje z naszymi wojakami.

— Masz list i czytaj.

— Proszę siadać, cicho siedzieć a słuchać pilnie, bez przerywania, bo inaczej porzucę czytać choćby w pół perjodu. — Otworzyła list, krząknęła, nastroiła minę mówcy: — «Moja jedynaczko! Bogu dzięki dotąd wszystko nam pomyślnie idzie. Król Jegomość w dobrem zdrowiu. Pan Stefan Czarniecki pobił Szwedów pod Inowłodzem, i wczoraj pod Sulejów przyprowadził nam jeńców; powiada on że to są Szwedziki nie Szwedy, a te słowa w jego ustach to dobra wróżba dla Ojczyzny. Tetera dzielnie się popisywał pod Inowłodzem. Król Jegomość nadał mu Starostwo Babimowskie, i o potwierdzenie tego nadania pisze do Senatu. Jeźli tak dalej rzeczy pójdą, jak dotąd idą, to prędko się zobaczymy moja Doniu. Żeromski wrócił, pocieszył moje serce doniesieniem o szczęśliwej podróży Królowej Imości, i o twojem zdrowiu. Ja zdrów jestem, jeszcze mój gniady nie bardzo górę bierze nademną. Wszyscy tu zdrowi, często mówiemy o tobie. Donoszą nam że Szwedzi pociągnęli ku Warszawie. Pan Wesel powinienby ich przyjąć jak się należy: — Prosimy Króla aby ciągnął na odsiecz stolicy. Bądź zdrowa i dobrej myśli, moje drogie dziecko; niechaj ciebie Bóg zachowuje w swojej opiece, i niechaj jej udzieli naszej biednej Ojczyznie. Jeszcze raz całuję ciebie serdecznie kochający ojciec.» Stanisław Lanckoroński. — Post scriptum: Poleć mnie pamięci Jaśnie Wielmożnej Wojewodziny Wileńskiej, Panny Wojewodzianki i wszystkich Pań i Panów na nas łaskawych. Pannę Rozalję ucałuj za mnie a serdecznie. — Drugie post scriptum: Pan Starościc Zakroczymski zdrów ale nie domaga na humorze: — Wąsowicz powiada: że Starościc kocha, się ale w kim nie wiadomo. Tenże sam Pan Wąsowicz co na tem rzemiośle zęby zjadł, twierdzi że trochę w tobie, trochę w Pannie Wojewodziance, a trochę w pięknej Pannie z Grosouvre.

— To Panny Rozalii koncept, w liście ani słowa nie masz o Panu Starościcu, proszę pokazać list. — Ludwika z Grosouvre sięgnęła po list rękę.

— Naprzód moje panny, dobra wiara, a potem kto wie, czy by Joanna pozwoliła komu innemu czytać list ojca niż mnie.

— Pozwalam go przeczytać Pannie Ludwice.

— Otoż masz, spisałaś się Joasiu; ale cokolwiek bądź, listu nie dam, a zaklinam się na miłość moją ku Pani z La Grange, że najdokładniejszą prawdę przeczytałam o Panu Starościcu.

— Po zaklęciu wiemy jak trzeba wierzyć tej prawdzie — rzekła wzdychając Panna z Grosouvre, a Wojewodzianka dodała: —Ale też Pan Hetman nic nie pisze o zdrowiu pana Kasztelana Kijowskiego.

— To prawda, odezwała się Panna Potocka, ale powiedzcie mi moje Panny co dalej z wami będzie; ten Jan Czarniecki pozawracał wam głowy. Chciałabym was widzieć między sobą zawsze dobremi przyjaciółkami, i dla tego radzę, ułóżcie się kto ma dostać Starościca; bo zobaczycie że będzie źle. Pan Wąsowicz mówi: im dalej w las tem więcej drzew; im dalej się brnie w miłość, tem trudniej od niej odwyknąć.

— Moja Rozalko, co też ty plecisz, ani ja o Panu Starościcu ani on o mnie wcale nie myślemy.

— Anusiu, nieszczerość grzech śmiertelny; widzisz, Panna Ludwika i Joanna przynajmniej milczą. —

I ja wcale nie myślę o Panu Starościcu Zakroczymskim; że go chwalę jak grzecznego człowieka, to to nie ma znaczyć że go kocham.

A więc tak, Starościc dostaje się Joannie, czy przyjmujesz go?

— Z chęcią — niech przy mnie zostanie.

— O czasy o obyczaje! gdzież tu teraz znaleść szczerość?

— Rozalko, przestańmy gadać o tych miłościach, a powiedz czy będziemy widzieć tego Inocenciusza. Hrabia z Châtre nic nie wskórał; Pan Lubomirski obiecuje, ale może i zapomnieć; jego głowa czem innem zajęta. Przez kogoby to trafić?

— Czekajcie, ja wam powiem. Przez Pana Starostę Hrubieszowskiego. On w wielkiej przyjaźni razem mieszka z doktorem Żorawskim jedynym przyjacielem Drogoniusa; poprosiemy pięknie a on nam wszystko zrobi.

— Ja nie chciałabym go prosić — rzekła Lanckorońska.

— A więc my będziemy prosiły — odezwały się wszystkie — może też i dla nas Pan Starosta zrobi jaką grzeczność. —

Na rogu Grodzkiej ulicy przy samym rynku, stała obszerna kamienica o trzech piętrach; na pierwszym piętrze, w bogato i gustownie przybranych komnatach znachodziła się sama jedna niewiasta. Już z jej lica uleciały powaby dziewiczej krasy, przeminęły dla niej te chwile lubych marzeń, słódkich chceń, i nieodgadnionych a roskosznych niepokojów. Już na wspomnienia tych marzeń, tych chceń, tych niepokojów, czoło u niej nie mgli się półdziecinną skromnością, oczy nie zwracają się ku ziemi, a rumieniec wstydu nie pociąga się po licu. Już wie-

kiem minęła połowę lata, ale jeszcze piękna, jeszcze upały namiętności żarzą się na gładkiej twarzy i w czarnych oczach.

Na pół siedziała, na pół leżała na miękkiej sofie, z niechcenia; zwyczajnie jak niewiasta zmęczona trudami ciała albo cierpieniami duszy, rzuca się szukać spoczynku, i ciało spoczywa, ale dusza nadarmo go błaga. Piękną głowę wsparła na dłoni, sploty czarnych włosów bezładnie rozrzuciły się na śnieżne ramiona, i spływały na pół obnażone piersi, a wznoszone ciągłemi westchnieniami łona, lubieżnie muskały roskoszne ciało; na twarzy głęboki smutek się wymalował, a w oczach błyszczą łzy.

— Ja go tak kochałam, dla niego wszystko poświęciłam, i teraz bym wszystko poświęciła, ja go kocham nad życie, nad dobre mienie, nad wszystko, a on ani myśli o mnie. — Podniosła się, rękoma oczy zakryła, i spłakała się rzewnemi łzami. Czyli to łzy rozpaczy, miłości serca, czyli też obrażonej miłości własnej? niewiadomo; dość że płakała. Wstała z sofy, odłożyła ręce od oczów i splotłszy je palcami, nad głową zacisnęła. — Ja córka Wojewody; wdowa po Kanclerzu, żona Podkanclerzego! Dla niego, dumnego szlachcica, z rodziną się pogniewałam, męża porzuciłam — a może i do zbrodni go pchnęłam. Dla niego między ludźmi nadwątliłam dobre mienie, a on od kilkanastu dni przybył do Krakowa, wie o tem że ja tu jestem, on ani chciał mnie widzieć, ani zapytał o mnie. Ah! i ja nie chciałabym go była znać nigdy! nigdy widzieć. — Łzy się zatrzymały, a wyniosła kibić i urodziwe lice ociągnęły się barwą dumy, i była zachwycającą; ale ta duma niewiasty krótką chwilkę trwała.

Znowu rzuciła się na sofę: — On mnie zgubił, a ja go kocham; nigdy nie zapomnę! Niech przyjdzie, do nóg mu się rzucę: — Łzy się wezbrały i znowu płakała.

Jakiś ruch się zrobił w komnatach poprzednich, weszła Panna stołowa Pani Podkanclerzyny: — Pan Marszałek Koronny czeka, czy mu Jaśnie Wielmożna Pani pozwolisz wejść!

Zerwała się z sofy Pani Podkanclerzyna (rozwiedziona z Hieronimem Radziejowskim): — Zaraz podaj mi Waćpanna siatkę. — Poprawiła ingiernina, nałożyła siatkę na głowę, sploty włosów zarzuciła w tył, otarła chustką łzy z oczów, przejrzała się kilka razy w zwierciedle, przystroiła twarz w zalotny uśmiech, siadła na sofie — Prosić Pana Marszałka, niech wnijdzie. —

Jerzy Lubomirski ukłonił się, pocałował rękę, popatrzył na twarz, spostrzegł ślady łez, poznał udany uśmiech: — Czyż zawsze nieszczęśliwy Kraków oglądać będzie w smutku i we łzach piękną Elżbietę?

— Mości Marszałku, proszę siadać, i nie dziwić się łzom i smutkowi nieszczęścia.

— Ja mu się wcale nie dziwię, ale ubolewam nad nim; chciałbym mojem poświęceniem się, moją przyjaźnią, odegnać od

Pani wszystko co jest smutnem. Błagam pięknej Elżbiety niech nie zatyka ucha pociechom, radom przyjaciela; niechaj otworzy przed nim swoje serce.

— Odkrywać przed przyjaciołmi nawet swoje cierpienia, jest to rozdzierać jeszcze niezagajone rany serca. Szukać pociechy u ludzi nie podobna; pociecha dla nieszczęścia, tam, na tamtym świecie, ona w ręku Boga. —

Lubomirski zbliżył swoje krzesło, wziął za rękę Panią Radziejowskę i ucałował: — Przez miłość Boga, zaniechaj Pani tych smutnych myśli; na kolanach ją błagam — i chciał klękać. Pani Radziejowska wyciągnęła swoją rękę z jego ręki i przytrzymała go.

— Panie Marszałku przestańmy o tem, a proszę mi powiedzieć co słychać u dworu? — i twarz jej przybrała zimną powagę nakazującą poszanowanie.

Jerzy Lubomirski z wytworną znajomością wielkiego świata, nie dał poznać, że zauważał najmniejszą zmianę w twarzy pięknej gospodyni domu, poprawił włosy i rzekł: — U dworu smutno, głucho tak jak wszędzie gdzie nie masz nadobnej Elżbiety. Królowa i wszystkie Panie dworu włożyły na mnie obowiązek, proszenia Pani abyś raczyła ożywić swoją bytnością nasze towarzystwa.

— Ukazanie się na świecie dla mnie byłoby smutnem, a dla wielu nieprzyjemnem. Imię jakie noszę, w dzisiejszych wypadkach źle by brzmiało w towarzystwie polskiem, i dla tego choć na tak zaszczytne dla mnie rozkazy i wstawienie się, zmuszoną jestem nie przyjąć zaproszenia, za które nie przestanę być wdzięczną.

— Rzuciłaś Pani imię więcej obłąkanego, niż występnego. Z resztą, Królowa wie że są ludzie, którzy na rozkaz Pani stanęli w obronie praw Jana Kazimierza.

— Ale ja wcale o nich nie wiem; i nie sądzę, aby słowa moje mogły wpłynąć na wskazanie powinności jakiemu Polakowi?

— Ja jestem ów nawrócony przez nią.

— Mości Marszałku, proszę nie żartować; wiedzą wszyscy, że serce i powinność nakazały Jerzemu Lubomirskiemu stanąć w obronie Ojczyzny.

— W obronie praw Ojczyzny, zawsze i wszędzie bym stanął; ale w obronie praw Jana Kazimierza to jedynie zrobiłem na rozkaz pięknej Elżbiety.

— Temu nie wierzę, z resztą, zwyczajem to grzecznych ludzi wielkiego świata przyznawać kobietom dzieła, do których one wcale nie wpływały. Ja żywię dozgonną wdzięczność dla Króla, który mnie osłonił swoją opieką wtenczas kiedy mnie wszyscy odbiegli; ale Jerzy Lubomirski broni Jana Kazimierza jako Króla Polski, nie zaś jako opiekuna osieroconej niewiasty.

— Teraz i jednego i drugiego, a dawniej? kto wie? — Sło-

wem, Panie cudów dokazujecie. Jeden z moich dawnych znajomych, uparty, zawzięty, zwyczajnie szlachcic polski, przyjechał tu rozżalony na Jana Kazimierza za łaski któremi obsypuje rodzinę Czarnieckich; chciał zrobić rokosz przeciwko Królowi, a nawet był gotów rzucić się w ręce Szweda, a teraz dla błękitnych oczów, które ani równać się mogą z cudnem okiem pięknej Elżbiety, na jedno słówko Królowej, już skłania się do służby Jana Kazimierza.

— Widać że do Polski zawitały dawne bohaterskie czasy, ale któż jest ten oczarowany Rynaldo i ta czarodziejka Armida, jeźli godzi się wiedzieć?

— Rynaldo jest Pan Samuel Gnoiński Starosta Hrubieszowski, a Armida Panna Lanckorońska. —

Podkanclerzyna zbladła, usta jej zsiniały.

— Co Pani jest? — i chciał jej kibić powstrzymać ręką. —

Ona powstała: — Nic mi nie jest, to tak, zwyczajna słabość. Przepraszam, że się udaję na chwilę spocząć. Będę u dworu, kiedy Pan Marszałek zechcesz. — I odeszła chwiejącym się krokiem do sypialnej komnaty.

Lubomirski siadł do kolasy i kazał się wieść co żywiej do gmachu Jagiellońskiej Akademji. W drodze myślał: jeszcze też w życiu mojem o żadną kobietę tak długo się nie starałem, ale bądź co bądź, musi mnie kochać. Pojedzie do dworu, rzuci samotność, a wtenczas zobaczymy. Rzecz by była dziwna żeby trzy miesięczne moje zabiegi rozbiły się o cnotę rozwódki. Ale z tego nic nie będzie! Albo nie byłbym Jerzym Lubomirskim, przed którego chęcią dotąd jeszcze się nic nie ostało. Tak dumał możny Pan, dzielnej duszy, ale zepsutych obyczajów, jak to było już i w owym czasie nałogiem między możnemi i u dworu.

Kiedy kolasa zatrzymała się przed akademickim gmachem, dworzanin Marszałka Koronnego zapytał o Lekarza Żorawskiego, i wnet podał rękę Panu do wysiadania. Lubomirski spiesznie się udał do gmachu, a wszedłszy do jednej z komnat, zastał Żorawskiego rozmawiającego ze Starostą Hrubieszowskim. Powitał ich i opowiedział słabość Podkanclerzyny; kiedy powtarzał ostatnie słowa swojej rozmowy, Samuel Gnoiński namarszczył szerokie czoło i wąs targał, a Żorawski nisko się kłaniał: — Wasza Marszałkowska Mość pozwolisz mi chwilkę czasu, abym zabrał potrzebne narzędzia i apteczkę.

— Idź mój Żorasiu, tylko nie baw się długo: — Kiedy sam został ze Starostą: — Mości Starosto, czy znasz Waszmość Pan Panią Podkanclerzynę?

— Mości Marszałku, widziałem ją w Trokach jeszcze panną, w rodzicielskim domie Pana Wojewody Służki, później zamężną, za Adamem Kazanowskim, nareszcie za Radziejowskim. Rozwódkę spotkałem parę razy w Warszawie.

— Ale prawda że piękna kobieta, Mości Starosto.

— Jak się komu podoba, Mości Marszałku, mnie się zdała niczego.

— Powiedz mi, między nami, po przyjacielsku, czy prawda to że mężulkowie mieli słuszne żale do niej?

— Nie wiem, ludzie gadali; ale też ludziom nie zawsze trzeba wierzyć.

— Powiedz mi Mości Starosto, czy dobrze ją znałeś?

— Nie bardzo, ale dosyć.

— To jednak rzecz dziwna, że na twoje imię tak się strwożyła. Widać bała się nieboraczka abyś przedemną nie odkrył dawnych rzeczy. Wszystkie to kobiety takie.

— Być może. —

W tem wszedł Żorawski w czarnym płaszczu doktorskim, ze skrzyneczką w ręku, a z teką pod pachą: — Gotów jestem na usługi Waszej Marszałkowskiej Mości.

— Dobrze, zaraz jedziemy. Mości Starosto Hrubieszowski, proszę jutro do siebie na obiadek przyjacielski; do widzenia się — i wyszli.

— Gnoiński spojrzał w okno a zobaczywszy że kolasa odjechała, tupnął nogą: — Ha! na przyjacielski obiadek! o dałeś ty mi dobrą przekąskę twojem paplarstwem. Myślałem że djablica o mnie zapomniała, ale widzę że nie tak łatwo wyleść z błota jak wleść w nie. Dobrze mi przychodzi płacić młodociane miłostki. Cóż bym ja robił z tą rozwódką. Za kilka lat zeszkapieje na kościelną babę, wtenczas kiedy człowiek będzie jeszcze w kwiecie wieku. Teraz przeklęta rzecz wszystko popsuje. Znam ja babę, wszędzie wlezie, i wszędzie potrafi kabałować. Chciałem już i Janowi Kazimierzowi służyć, niechby tam sobie rozdawał buławy, regimenta Czarnieckim, mniejsza o to, byleby mi dostała się Lanckorońska z posagiem, z czasem znalazłaby się i buława. Wszystko dobrze szło, tylko Francuz kręcił się koło Panny, a to liche stworzenie, nic mnie nie obchodziło; teraz baba jak upior będzie mnie prześladować, oklewocze, nie da nic zrobić — przeszedł się kilka razy po pokoju ze złości: — Ale czy dla tego mam się powiesić i wyrzec moich zamiarów? — Nie — i z Czarnieckiemi nie będę i jak się uda to pannę dostanę — znów się zamyślił: — Z Marszałkiem Koronnym ani warto gadać nawet; teraz siedzi pod pantoflem u baby. Królowa i dwór już go oczarowały; ale jest jeszcze Karol, trzeba sobie zapewnić tę drogę — stanął, napisał list, zapieczętował: — Strynża — dworzanin wszedł: — Przygotować mi świąteczne szaty, sam się ubiorę, a Waść wsiądziesz na siwka i pojedziesz na Kazimierz z listem do Rabina Arona, w ręce mu go oddasz. A wara mówić komu, by to nie było zkąd dokąd i po co jedziesz?

— Rozumiem — rzekł Strynża i wyszedł.

— Pojadę do zamku. Pani z La Grange mną się opiekuje,

myśląc, że ja służę jej siostrzeńcowi, a sam do Sapieżanki tnę zaloty. Trzeba korzystać póki djablica słaba, a gdybym zobaczył że mi nie w skład idą rzeczy, to poprobujemy innym sposobem. — Ale objadek przyjacielski u Marszałka? zobaczemy kto kogo wyspowiada. To prawda że szlachcic przy winie gotów wszystko wyśpiewać, ale Pan Samuel Gnoiński tego nie zrobi. —

We trzy godziny później, na rogu Grodzkiej ulicy stała dworska kareta, i służba przybrana w barwę Królowej Jejmości. Hrabina z La-Grange przyjechała odwiedzić Panią Podkanclerzynę Radziejowskę a z nią młody Włoch Carlo Asario; ten został w bawialnej komnacie, a Hrabina poszła do sypialnej. Zwyczajem rodzinnym sobie, Włoch jak kot na palcach podkradł się pod edrzwi i słuchał, ale na nieszczęście nie wiele mógł zrozumieć z tej rozmowy. Dosłyszał tylko te słowa: — Moja Hrabino, darmo boicie się Czarnieckich. Starościc ani myśli o Lanckorońskiej.

— A któż taki?

— Samuel Gnoiński, drżącym głosem wymówiono, i tu długo a długo tylko same szeptanie dochodziło, i głos Hrabiny często powtarzany — czy podobna?

— Hrabino, masz całą moją taiemnicę.

— Bądź pewną że ją zaniosę do grobu, ale teraz radźmy złemu, bądź dzisiaj u dworu.

— Nie mogę, słaba jestem.

— Wieczorem, na chwilkę — i znowu cicha mówiła i dodała głośniej — wszystko się tym sposobem zniweczy.

— O Boże! dodaj mi siły; będę — choćby mi przyszło zaraz umrzeć.

— Ach zapomniałam ciebie prosić, abyś przedstawiła i poleciła łasce Marszałka mego Włocha.

— Zrobię, co każesz Hrabino.

— Mój Włoch jest tu w drugiej komnacie.

— Przepraszam że go teraz przyjąć nie mogę, ale tego wieczora będę mówić.

— Do widzenia się moja droga Podkanclerzyno.

— Do widzenia się Hrabino — odrzekła słabym głosem. —

Asaryo prędko wrócił do krzesła, usiadł, złożył ręce na piersiach, spuścił oczy w ziemię jakby głęboko dumał, albo się modlił.

Weszła Hrabina: — Panie Carlo jedziemy, Pani Podkanzlerzyna przyrzekła.

Carlo wstał jakby z ocknięcia się: — Dzięki składam Pani Hrabinie, niech Bóg sprzyja jej zamiarom.

— Jaki młody, a jaki pobożny; będziesz kiedyś księdzem a może i świętym — i wyszli.

Tegoż samego dnia już koło godziny dziesiątej z wieczora, jakiś szlachcic w polskim stroju, wybiegł z zamku królewskiego i piorunem wyleciał za bramę, o mało czapki nie zgubił. Twarz jego była blada jak kość, a oczy błyskały dziwnym ogniem. Czy to z gniewu czy to z przestrachu; nie musiał jednak żadnej zbrodni popełnić, bo służba dworska i hajducy straży ze czcią przed nim się rozstępywali i miejsce mu robili.

Niebawem kareta dworska z zamku szybko wyjechała na Grodzką ulicę. Kto w niej był nie można było dojrzeć, próżna kolasa Marszałka Koronnego takoż ruszyła z miejsca, a dworzanin marszałkowski krzyknął: — Do Jagiellońskiej Akademji.

W pół godziny później z bramy akademickiego gmachu wyjechała kolasa Marszałka Koronnego; w niej był doktor Żórawski i dwóch jeźdców wybiegło na ulicę. Po kierunku rozgłosu widać że ku stronie Kazimierza jeźdcy biegną, a musi być im pilno, bo jak zasłychać tak ciągle kopyta czwałowem tętnieniem rozbijały powietrze.

V.

Myśmy Piasta twego syny,
Bądź nam ojcem litościwym.
Pieśń Ludu Juliana Ursyna Niemcewicza.

Na Kleparzu, w domku lichego pozoru, w wysokiej izbie, gdzie na ścianach i po sklepieniach pozawieszały się słojami cienie okopcenia, stało kilka piecyków żelaznych i glinianych rozmaitego kształtu i rozmaitej wielkości; w nich na kominie silny ogień gorzał. Przed ogniskiem na kominie i na piecykach posypanych piaskiem, stały retorty, tygle metalowe i gliniane, i rozmaite naczynia alchemiczne, jedne na trójnogach, drugie na dnach, wszystkie szczelnie poprzykrywane; we wszystkich coś wrzało i kipiało i opar ledwie gwałtem czasem mógł się z nich wydzielać; a tak gorąco w izbie że wagowy zegar przyśpieszył biegu, jak puls człowieczy w gorączce, coraz gęściej i mocniej dygotał. Na stolikach rozłożone korzenie, kwiaty i liście rozmaitych ziół, rzędami koście, kamienie i metale. Dalej ryby, płazy i robaki, a nawet szczątki skieletów może ludzkich, a może zwierzęcych. W szafkach na pułkach, rzędami stoją butle, alembiki i słoje rozmaitej wielkości, a w nich płyny i ciała zsiadłe różnokolorowej barwy. Na kamiennej posadce cebry z wodą i popiołem, tu i owdzie szczypce, łyżki, obcężki i inne narzędzia potrzebne do alchemicznego aparatu. Koło tego wszystkiego jeden człowiek tylko się porał, nie bardzo urodziwej postawy, mały wzrostem, ale przerosł karła; nogi krótkie, korpus długi, nos zadarty, twarz ospą poszpecona, włos bezładnie rozrzucony; ale w jasno siwych oczach błyszczy ogień życia, a bystrym polotem i jaskrawym blaskiem dziwnie odbija przy niepowabnem ciele, przy bladej twarzy. Fartuchem opięty, z łyżką w ręku, odchylał pokrywy; z pod jednej zakosztował warzenia końcem języka, z pod drugiej zapachem zawąchał, a najczęściej tylko popatrzył. Tu miechem poddmuchał ogień, tam tygiel od ognia odsunął; niektóre warzenia studził w wodzie, niektóre w popiół wstawiał; do jednych przyrzucał rozmaite ciała ze stołu, do drugich przy-

lewał płyny z szafki, a palce mu tak szybko i tak składnie przebiegały po wszystkiem, jak palce biegłego harfiarza po strunach instrumentu, jak czółen tkacki po wieci osnowy. Czasem ręce zatarł: — Uda się! — czasem uśmiechnął się: — Głupi rodzie ludzki i ty myślisz że my złoto robimy? — tak, złoto, ale z twojej kieszeni, twoją pracą nabyte! uderzył się w czoło: — Tu złoto siedzi! kto tam ma, będzie miał złoto, będzie go miał i w szkatule — trzy razy klasnął w dłonie, i wszedł chudy i wysoki człowiek. Widać, że u niego w zwadzie skóra z kośćmi, bo one gwałtem chcą ją przebić, a ona ciśnie się do kości; oczy zapadłe gdzieś daleko w głowie jakby się siliły przejrzeć przez tył czaszki. Mały człowiek coś mu pokazał rękoma na migi, i zaczęli obadwa odstawiać od ognia tygle i rynki i gasić ogień. Skończyli uporządkowanie i wyszli: mały człowiek zamykając drzwi potrójnem zawierceniem klucza w zamku, powiedział sam do siebie: — Mój Paoli jedyny towarzysz, najlepszy przyjaciel, bo i niemy i głupi.

Wszedł do górnej izby, tam ściany, sufit i posadzka czarnym suknem ociągnięte, i łoże nawet przykryte czarną obsłoną. Na kantorku, po stolikach, we framugach, stoją głowy trupie, i oparte skielety nagich kościotrupów, a nigdzie nie widać wizerunku Syna Bożego, ani obrazów Świętych Pańskich. Inocencius Drogonius, bo to był on, wszedłszy, zatrzasnął drzwi za sobą, i rzucił się na skórzane krzesło, jakby na odpoczynek. Zwrócił oczyma na skielet oparty o poręcz łóżka, i na czaszkę stojącą obok na postumencie z szarego marmuru: — Byłaś najpiękniejszą między najpiękniejszemi; na moje oczy widziałem, jak nieraz niebo włoskie zazdrościło nadludzkiej przeźroczystości twojego czoła; apenińskie śniegi płowiały przy białości twego lica; tyberyjska róża pełzła, kiedy rumiana krasa zawitała na twoją twarz; słońce się ćmiło kiedyś ty błysnęła z czarnego oka miłością, dumą albo i gniewem nawet. Nie tak silny war lawy Wezuwiusza, jak było silnem kipienie namiętności w twojem łonie, i nie tak gorący wybuchowy otwór Wulkanu, jak był namiętnym i gorącym pocałunek ust twoich. Tyś była skarbem piękności, arką ziemskich roskoszy! A teraz czem się stałaś? — Skieletem, podobnym do skieleta najohydniejszej istoty! — Wstał. — Nie! — jest w twoim kościotrupie coś szlachetnego, coś wyższego nad gmin pospolity! — Wziął w rękę czaszkę — kość zsiadła, ciężka jak złoto! — Oh i ja kiedyś wierzyłem w wiele rzeczy, ale widzieć piękne dzieło w niwecz obrócone, czyż można nie powątpiewać? — Jakiś wyraz czułości przewinął się po jego twarzy. — Julieto, ja ci wiernym będę po wiek mego życia. Jak relikwje tu przywiozłem twoje kości; od kobiet uciekam, bo czyż można patrzeć na mierność, kiedy się widziało, kiedy się posiadało piękność! Teraz złoto robię i złotem

wichrzę ludźmi dla mojej zabawki; dwóch tylko mam miłych ludzi na tej ziemi, i to dla tego, że ciebie widzieli, że byli świadkami mojego szczęścia i mojej rozpaczy! — Wrócił do krzesła i zamyślił się głęboko.

W dzwon przed wrotami zadzwoniono nie trzy, ale siedem razy. — Wybija litery jej imienia! to on! Mikołaj — nie — Łysiński, ten ztąd — daleko — ale czego chce o tej godzinie? Drzwi się otworzyły, i wszedł doktor Żórawski, niemy Włoch go wpuścił bo taki był rozkaz Pana. — Inocenciuszu, musisz mi zrobić jedną łaskę.

— Czego chcesz: złota, rady, ramienia — wszystko dla ciebie.

— Rady twojej potrzebuję i to zaraz.

— Mów!

— Inocenciuszu, trzeba żebyś ze mną pojechał.

— Ja z mego mieszkania? — czy świat się wali?

— Nie świat się nie wali, ale piękność obumiera.

— Mikołaju, ty bluźnisz! piękność już dawno umarła.

— Na pamięć Juljety, zaklinam ciebie, jedź ze mną!

— Nie pojadę. Mów co jest, a ja powiem co trzeba robić!

— Gdybym ja wiedział co jej jest, może bym i sam poradził; ale są węzły w naturze ludzkiej do których rozwiązania trzeba takich rąk jak twoje. Godziny drogie, Inocenciuszu jedź.

— Nie pojadę.

— Pamiętasz kalabryjską chatkę; ten skielet w ówczas był życiem obumierającem, gasnącą pięknością. Ja dnie i noce przy niej trawiłem, życie bym moje oddał, żeby jej życie uratować, a wszystko to dla ciebie. Ty teraz odmawiasz mojej prośbie.

— Czy ty ją kochasz?

— Kocham. —

Spojrzał Drogoń w oczy Żorawskiemu: — Nieprawda! ty jej nie kochasz! zwodzisz mnie po raz pierwszy, ale ja w to nie wchodzę, pojadę. Zobaczę kobietę; ale zaklinam ciebie, niech podobne żądanie po raz ostatni wychodzi z twoich ust, tyle byś razy mi śmierć zadawał. — Wziął kapelusz pyłem czasu porośnięty, płaszcz pozginany w składach w głębokie basamany. Włoch rozdziawił gębę widząc wychodzącego Inocenciusza samemu Inocenciuszowi zrobiło się dziwnie i mdło i miło.Przeszedłszy za bramę, zatrzymał się, Żorawski go podprowadził, a raczej zaciągnął po stojącego o kilkadziesiąt kroków powozu i pojechali.

Podkanclerzyna cierpiąca, słaba, leży na łożu; kilka służebnic koło niej czuwa, i Jerzemu Lubomirskiemu nawet po-

zwolono wejść do sypialnej komnaty. Możny zalotnik zafrasowany, szczerze się zatrwożył o zdrowie pięknej Elżbiety; przytem okazywaniem smutku i trwogi objawiał swoją miłość, i sądził skarbić na przyszłość łaski jej serca. Chora nic nie mówi, nie skarży się, nie płacze nawet; obłąkanem okiem, obłędnie rzuca na strony, piersią bezustannie westchnieniami pracuje; twarz jej blada jak alabaster i usta blade; a gdyby nie ruch oczów i westchnienia, i sploty kruczych włosów, możnaby ją wziąć za posąg spoczywającej piękności, wydłutowany z białego marmuru.

Lubomirski nadarmo do niej przemawia, nadarmo służebnice podają jej napoje, ona nic nie słucha, na nic nie uważa. Wtem wszedł Żorawski a za nim Drogonius. Służebnice przed czarownikiem powynosiły się do drugiej komnaty, i z za pół przymkniętych drzwi ciekawie patrzały. Drogonius wydał jakiś niezrozumiały krzyk podziwienia, zatrzymał się i oczy zabłysły wyrazem dziwnego, niepojętego uczucia. Niewiadomo, czy się uląkł chorej, czy też odludek z przyjemnością pogląda na cierpienia; ale wnet jakby się wstydził pierwszego wrażenia, rzekł: — To to chora! — i z doktorską powagą wziął ją za rękę, palcami szuka pulsu, znalazł; liczy myślą jego bicia i jego siłę, patrzy w oczy, na usta, przyłożył rękę do ust, ucho zbliżył i pilnie słucha tchnień oddechu. Odjął rękę, do skroni ją przyciska, nareszcie z lekka odchylił prześcieradło i dłoń swoją z lekka przyłożył do serca cierpiącej. Twarz Drogonia poczerwieniała, siwe oczy jakby polorem się pociągnęły tak błyszczą, a ręka pod prześcieradłem drży, i chora nic na to nie uważa. Żórawski widzi w tem wstręt swojego przyjaciela do płci pięknej, a Lubomirski obawia się czy to nie jest oznaka straconej nadziei o uratowanie drogiego życia.

Elżbieta taka była zajmująca, taka piękna, że możny Pan nie z próżności, ale szczerze ją kochał w tej chwili, przynajmniej, tak mu się zdało. Ruszył głową Drogoń, wstał, wziął na stronę Żorawskiego i długo z nim z cicha rozmawiał. Żorawski coś opowiadał, a on głową potakiwał, ramiona wznosił, i ręką machał. — Zwyczajne lekarstwa nie pomogą, trzeba zerwać struny życia, albo życie uratować. —

Lubomirski usłyszał te słowa i przystąpił ku nim: — Inocenciuszu, ocal jej życie, błagam ciebie o to.

— I bez błagania ocalę ją albo zabiję — i zbliżył się ku łożu: wzdął piersi i głośno zawołał: — Elżbieto! Samuel Gnoiński odjechał, już go nie zobaczysz, on ciebie nie kocha! — Po tem wysileniu się rzucił się w krzesło. —

Chora zadrżała i przeraźliwie krzyknęła: — Samuel! — kilkakroć razy rzucała się konwulsyjnemi ruchami, załamywała dłonie, włosy targała: — On mną pogardza, on mnie nie kocha!

Zmogła się, łzy się puściły. — Ja nieszczęśliwa! nigdy go nie zobaczę! — I oczy zakryła rękoma.

Przez tę krótką chwilę przesilenia się choroby Inocencius jak w tęczę w nią patrzył, a kiedy zobaczył łzy, wstał: — Będzie zdrowa, to przejdzie — i wyszedł.

Lubomirski wyprowadził Żorawskiego do drugiej komnaty. — To Pan Starosta Hrubieszowski szczęśliwy kochanek Pani Podkanclerzyny?

— Tak jest Mości Marszałku, dawno się znali.

— Tem lepiej; ani do głowy mi to wczoraj wieczorem nie przyszło, a gdzież Starosta?

— Odjechał z Krakowa.

— Przyznam się że to wcale niezalotnie. Mości Żorawski bądź dobrym, jak ci czas wystarczy, daj wiedzieć do mego pałacu jak się będzie miała Pani Radziejowska; obiecałem Królowej zdać sprawę o tem; teraz muszę odjechać, już późno — i pożegnał Żorawskiego z miną uśmiechającą się ale kwaśną. —

Na Kazimierzu w Żydowskim zajezdnym domie, po szabasie, żydzi się wzięli do szynkowania a szynkarze chrześcjanie zdawali rachunek z odbytej jedno-dobowej posługi. W osobnej komnacie pod strychem, siedział stary żyd, przy dębowym stole; szarafan na nim tak wytarty, że z czarnego zrobił się jasno-szpakowaty; na łokciach białe łysiny, a mankiety postrzępione jak fręzle ze starości i z użycia; kaftan tak załojony, iż zda się lakierem pociągnięty, a na nim żółte, zielonawe i czerwone plamy od sosów i nieochędóstwa. Na głowie jarmułka aksamitna przerobiona wytarciem na skórę: siwe pejsy i siwa broda wysieczone, oczy buro zielone jak u kota, kaprawe i czerwoną obwódką obwiedzione; na nosie złamane okulary, a w ręku kredka. Na półce leżało kilka ksiąg hebrajskich, a w komorze skrzynie pełne rupieci, łachmanów, pobitych czerepów i połamanych drzew. Na stole w mosiężnym złamanym świeczniku kopciła się łojówka. Stary żyd miał przed sobą kilka kartek. — Aj waj, Pan Bóg stoi nad naszym ludem, ta Polska to prawdziwa obiecana ziemia; te goimy to takie głupie jak owce, dają się postrzygać, kto ich zechce, i mechesy nierozumniejsze od chamów — wziął jedną kartkę. — Pan Starosta pisze: — Wiem o tem że masz związki ze Szwedami i z Hieronimem Radziejowskim; daj im wiedzieć że przejdę na ich stronę, i wystawię moim kosztem pułk, jeźli mi Karol Gustaw zapewni dowództwo w swojem wojsku, i nietykalność mojego majątku. Jak mi ten interes zrobisz dam ci trzysta czerwonych złotych holenderskich, a w każdym razie milcz, bo

ciebie każe powiesić szelmo żydzie. Nie podpisuję, ale oddawca listu powie kto ja jestem. —

— Nu szelmo żydzie, sam szelma zdradza, a jeszcze grozi! i ten goim sługa i także groził! mniejsza o to zapisać: Starosta Gnoiński trzysta czerwonych złotych holenderskich — i zapisał na stole. Wziął drugą kartkę, i czytał: — Mój Aronku zbliż się do Pana Starosty Hrubieszowskiego i namów go na naszą stronę; dostaniesz za to sześć tysięcy talarów Szwedzkich. Werbuj nam krakowiaków, odmawiaj od służby Jana Kazimierza kwarciane wojsko, pieniędzy nie żałuj, skarb Króla Pana naszego wystarczy; posyłam ci przy niniejszem Żytkiewicza, używaj go do werbunku, ale do niczego więcej, bo pjannica, łgarz i szaławiła; gdyby go powiesili to nie wielka szkoda. —

— Pan Podkanclerzy przynajmniej grzeczniejszy, to widać człowiek jak powinien być, ale ten Żytkiewicz to to kłopot na moją głowę, pije a pije jak smok. Nu, ale mniejsza oto, zapisać dwieście dukatów, za Pana Gnoińskiego — i pisał — na werbunki, nu dwa, trzy, cztery tysięcy i pięćdziesiąt cztery dukatów. Żytkiewicz napije za sto dukatów — nu to mało; dwieście. Teraz Drogonius ten Husyt, chce wiedzieć co się u Szwedów dzieje, nu za to dwieście dukatów. Ja wziął w Gdańsku za jego te roboty czarnoksiężkie dwa tysięcy czerwonych złotych, pokwitujemy się — a teraz trzeba dać opiekunom dziesiątą część, bo bez nich to gotowi powiesić. Ten Włoch przy jezuicie to nie goim, to meremorejne, włoch to łepski, każdy z nich wart być rabinem — on zrobi, żeby oni powiedzieli Królowi, temu Janowi Kazimierzowi, że my żydkowie dobrzy ludzie, i nas by używali na szpiegów, a tak byśmy służyli i jednym i drugim, zwyczajnie po naszemu: a teraz rachujmy co to będzie. — I mazał kredą po stoliku, a oczy mu się iskrzyły z radości; zapomniał o utarciu zatabaczonego nosa, tak się zanurzył w rachunki; od Mojżesza żaden żyd tak głęboko nie wczytał się w Talmudy, jak Rabin Aron w dodawanie holenderskich czerwonych złotych. —

W szynkowej izbie szum, hałas, tartas, harmider. Żytkiewicz rej wodzi, tylko co kwartą pełną miodu wyrżnął w łeb miejskiego drabanta, wykoczył na środek i dobył korda: — Miljon pareset bomb, ty psia duszo łyczaku, będziesz przytyki dawać mnie szlachcicowi od stworzenia świata a może i dawniej! —

Mieszczanin podniósł kwartę, obtarł się połą od ferezyi. — Ja Jegomości przytyków nie daję, ale tak sobie powiadam, że coś tak Jegomości z oczów patrzy, jakbyś od Szweda powracał, co to powiadają że tam gdzieś nasze ziemie poniewiera.

— A parszywa jucho, znasz ty kto ja jestem? przyjaciel

Stefana, a ty wiesz milion pareset bomb, kto to jest ten Stefan? Pan Kasztelan Kijowski.

— A któż tam zna Stefana, Jana, albo Kasztelana Kijowskiego? My jesteśmy z marszałkowskiej straży, i Marszałka Koronnego tylko znamy, a Jegomość tak nie hucz.

— Widzisz go łyka — i posunął się do drabanta: — Sądy marszałkowskie w głowie temu psu; Jurko to mój kochanek, każe was wszystkich wywieszać jak tylko słowo pisnę, a na dowód że się was nie boję, milion pareset bomb! — Jak urżnie drabanta płazem korda przez łeb, to drabantowi aż iskry z oczów się posypały, siedem świec gorejących zobaczył, powalił się na stół.

— Ratujcie panowie bracia, wiązać tego zboja.

— Hej kto szachcic do mnie tu, wygarbujmy skórę tym łykom! — kilku szlachty stanęło przy Żytkiewiczu z dobytemi kordami, mieszczanie i drabanci do lasek się porwali.

— Hura naprzód, milion pareset bomb, pokażmy żeśmy szlachta. — I szlachta z kordami w oczy sunęła się mieszczanom, mieszczanie bronią się; stoły, ławki, stołki walą się o ziemię; kwarty, garnce, szklanki, kieliszki, butelki jak szalone latają po izbie, krew się leje, łamią się laski, brzęczą żelaza, dźwięczą tłuczone szyby w oknach. Szlachta krzyczy: — bijmy, milion pareset bomb — i bije. Mieszczanie wrzeszczą: — brońmy się — i przez okna uciekają. Żydówki, żydziaki na całe gardła drą się — aj waj! gwałt! gwałt! — Stary Aron porzucił rachunki, zbiegł na dół, krzyknął: — Panie Żytkiewicz co Waćpan wyrabiasz — i uciekł nazad. Zgiełk, krzyk, wrzask, zamięszanie, jak gdyby karczma się waliła, albo ludzie poszaleli. Wtem zatętniały kopyta końskie na drodze; któryś z mieszczan zbiegłych już krzyknął: — Uciekajcie, nowa szlachta jedzie! — I łyczaki jak mogli, tak się wynosili; rad ten któremu tylko pyska nadpłatano, albo kawałek ucha urżnięto. Szlachta zwycięzka jeszcze głośniej wrzeszczy, a na przechwałkę rozbija do reszty okna, i druzgocze sprzęty. Żytkiewicz choć obity kijami jako pies i pokaleczony szkłem, woła: — Tęgo, milion pareset bomb, daliśmy bobu tym hunctwotom. Jurko nam przysyła pomoc, mówiłem że tak będzie; to mój najdroższy przyjaciel. —

Dwaj jeźdce przyjechali i zsiedli z koni; ten co był ubrany po pańsku zapytał: — Gdzie Aron? — żydziak mu wskazał i on poszedł. Żytkiewicz zajrzał go tylko w przechodzie: — Znam go, to Florek Kulikowski, mój syn rodzoniuteńki, milion pareset bomb, pamiętam jak dziś: mamunia była dziarska niewiasta, pożal Boże i grzechu, a tatunio imienny zwyczajnie wolarz, tabacznik. Nic dziwnego że Imość pokochała wojaka, bo też to człowiek umie i na bandurce zagrać, i zaśpiewać i potańczyć; jednem słowem przed kobietami się nie powstydzę:

ale też przyznajcie że podobny do mnie jak kostka w kostkę, jak mastka w mastkę. — Zbliżył się do sługi trzymającego konie: — Jak się Waści Pan nazywa?

— A idź go Waść zapytaj.

— Milion pareset bomb, cóż to Waść mnie Waścią nazywasz? ja Julian Żytkiewicz podlaski szlachcic.

— A ja Hermenegild Strynża z Litwy, dobry szlachcic.

— Przepraszam Waszmość Pana, jakżeż miano jego towarzysza czy pryncypała?

— Nie mam polecenia wymieniać go, ale mój pryncypał nie odmówi Waszmość Panu odpowiedzi. — Żytkiewicz machnął ręką, poszedł na górę.

Kiedy wszedł do komórki widział wyraźnie niezadowolnienie na twarzy nowo przybyłego szlachcica, ale nie tracąc butnej postawy, wziął się w boki i naprzód jedną nogę wysunął: — Żydzie, milion pareset bomb, dopóki będziemy kota ogonem wywracali? już mi się sprzykrzyło siedzieć w twoim szynku i udawać jakiegoś tam charłaka; przy tym zacnym szlachcicu ci mówię, mniejsza o to czy z Janem Kazimierzem czy z Karolem trzyma, porzucę to udawanie, idę do Samuela Gnoińskiego, my z nim wszystko to lepiej zrobiemy. —

Szlachcic nowo przybyły zapytał: — Czy Waszmość Pan znasz Samuela Gnoińskiego?

— I jakże nie. Samuelek to mój towarzysz szkolny; ostatnich zapust dokazywaliśmy z sobą, co to aż ha! Milion pareset bomb, przed tygodniem popiliśmy się z sobą w Radomiu jak dziki. Z resztą przyznaje się Waszmość Panu, my z sobą swojacy, za młodu zrobiło się figla z siostrą Samuelka. —

Żyd mruga z pod okularów na Żytkiewicza; a szlachcic zmarszczył czoło: — Pan Samuel Gnoiński siostry nie ma, Waszmość o innym musisz mówić.

— Jak to, milion pareset bomb, Pan Starosta Hrubieszowski ma siostrę Teklusię. Cóż to u licha, czyśmy się nie znali z sobą jak łyse konie?

— Otóż powiadam Waszmości że nie znasz; ja jestem Samuel Gnoiński, Starosta Hrubieszowski.

— To, to, to — znam, brat Pana Mikołaja, Samuel z pod Leszna z Poznańskiego, znam doskonale, a Frania.

— Jaka Frania? co to jest za warjat?

— Frania, milion pareset — mam zaszczyt przedstawić siebie Waszmość Panu, jestem Julian Żytkiewicz, przyjaciel Karola Gustawa, brat broni Hieronima Radziejowskiego, przyszły Wojewoda.

— Dość tego Mospanie, idź Waszeć się prześpij, wytrzeźwij, a potem przyjdziesz.

— Milion pareset bomb, ja nie pijany. Od czasu jakem się dobył z rąk kwarcianych eks-Jezuity w Inowłodzu, ledwiem

kwartę miodu wypił; bo też muszę opowiedzić Waszmość Panu nasz kochany Panie Samuelu, jak się rzecz miała. —

— Daj mi Waszeć pokój z temi opowiadaniami. —

A żyd dodał: — Panie Żytkiewicz, wyjdź Waćpan, zostaw nas samych, tak chce Pan Starosta.

— Psie żydzie, gdyby nie uszanowanie i przyjaźń jakie mam dla czcigodnej rodziny Gnoińskich, nauczył bym ciebie. Milion pareset bomb, ja tu pełnomocnik Herubka, nie ty. Ty mój faktor i po wszystkiem. —

Wtem gwar zrobił się w sieniach, wpadł żydziak: — Drabanty marszałkowscy naszli! aj waj!

— Milion pareset bomb, ja nauczę tych łyków — i piorunem zeskoczył do sieni. —

Ale tu hajducy capnęli go za kołnierz i ujęli w swoje łapy, a woźny marszałkowski zawołał: — Z mocy prawa marszałkowskiego kładę areszt na Waszeci Julianie Żytkiewiczu, oskarżony o bójkę w obrębie marszałkowskiej władzy, i zapozywam przed marszałkowski sąd. —

Tu Żytkiewicz spuścił nosa na kwintę, ale chciał to pokryć junakierją: — Prowadźcie! prowadźcie! zobaczycie jak wam natrze uszy jutro Jurko, chyba że to on chce sobie ze mną pożartować; między przyjaciołami wszystko wolno. Milion pareset bomb! alboż to ja nie wierny poddany Jana Kazimierza Króla i Pana naszego? dziesięć dni temu jak przysięgałem na wierność w Inowłodzu. — Hajducy go ciągnęli, a on jeszcze kończył: — Do widzenia się Samuelku, Aronie bądź spokojny, jutro powrócę.

Starosta kończył rozmowę z Aronem domawiając po cichu: — Tylko pamiętaj żebyś mnie jak najdokładnej donosił gdzie się będzie obracać. Masz jeszcze dwieście dukatów, a dam i więcej jak się dobrze sprawisz

— Niech Jaśnie Wielmożny Starosta spuści się na mnie; ja dla Jaśnie Wielmożnego Pana wszystko gotów. Już ja na nią nasadzę cymesa.

— Tylko nie tego kpa i łgarza Żytkiewicza.

— Nu to prawda, że on i kiep, i dureń, i błazen, i łgarz, co Jaśnie Wielmożny Pan chce; ale on jak świnia, co to biją a biją, a ona lizie i lizie i wszędzie wlezie. I jak jego marszałkowski sąd nie każe powiesić, to najlepszy cymes! a jak powieszą to znajdziemy drugiego.

— Rób sobie jak chcesz, byle było dobrze, bo jak będzie źle z rzeczą, to będzie źle i z tobą.

— Niech Jaśnie Wielmożny Pan spuści się na mnie; na cherym przysięgam że pójdzie wszystko dobrze.

— To będziesz miał dukaty. Bądź zdrów! — wsiadł na konia i pojechał, a Strynża za nim. —

W królewskim zamku przygody wczorajszego wieczora ciekawością opętały wszystkich myśli. Imiona Pani Radziejowskiej, Koronnego Marszałka i Pana Starosty Hrubieszowskiego, we wszystkich ustach począwszy od Najjaśniejszej Pani, a kończąc na najlichszej służebnicy królewskiego fraucymeru. Już zamkowy i kościelne zegary dziesięćkrotnem uderzeniem wybiły dziesiątą godzinę, i z dzwonnic jęczenia spiżu zwoływały na summę; lud pobożny jak powódź płynął ulicami i tłoczył się we drzwi kościołów.

W tej chwili w komnacie królowej, w tejże samej, gdzie niegdyś nadobna Jadwiga, ostania córa z panującej gałęzi Piastów, poświęcając uczucie serca dla szczęścia Ojczyzny, przystrajała się w ślubne szaty, szaty smutku dla siebie, a wesela dla Polski, i skąd się udała do świątyni Bożej, oddawać swoją rękę dzielnemu Jagielle, kojarzyć na wieczne czasy Polskę z Litwą, nadawać wielkiemu ludowi potężny ród na panów, coby go wodził do sławy, do wielkości, a kiedyś może wydźwignął z nieszczęścia: w tej komnacie, przed zwierciadłem siedziała Ludwika Marja, a na kanapach i krzesłach Panie, Panny i Panowie dworu. Fryzier trefił włosy Królowej a Panny służebne stały z różnemi przyborami przy gotowalni. Królowa zwróciwszy mowę do Koronnego Marszałka rzekła doń z uśmiechem: — I jakże zdrowie Pani Podkanclerzyny?

— Dziś doktor Żórawski mówił memu dworzaninowi, że ma się lepiej.

— Czy Pan Marszałek dziś nie odwiedzał chorej?

— Najjaśniejsza Pani, nie miałem dość czazu, z resztą Pani Radziejowska już jest uratowaną z niebezpieczeństwa.

— Czy tym tylko co są w niebezpieczeństwie, z taką skwapliwością pomoc niesiesz Pan Marszałek?

— Tym moja pomoc jeżli może się na co przydać, należy przedewszystkiem.

— A po niebezpieczeństwie?

— Oddalam się, żeby mnie nie oddalono.

— Nie korzystnie sądzisz o ludziach. Ja mniemam że wdzięczność nie wygasa nigdy w szlachetnych sercach.

— W takiem jakiem serce jest Waszej Królewskiej Mości. Ale inni ludzie, póty cenią ludzi póki ich potrzebują; tak bywało, tak jest i tak będzie na tym świecie. —

Królowa zamilkła, widać żeby nie słyszeć czasem wymierzonych zarzutów przeciw Janowi Kazimierzowi, przeciw któremu Koronny Marszałek już i wtenczas żywił złe myśli. W tej smutnej chwili dla korony polskiej, trzeba było ani wiele mówić, ani wiele słuchać; Królowa ten dar posiadała w wysokim stopniu. Obróciła ucho ku stronie Montrezora, opowiadającego dość głośno o wczorajszym wypadku Pani Wojewodzinie Wileńskiej i Hrabinie z La-Grange. Jerzy Lubomirski widać

nie chcąc słuchać mowy drażniącej jego próżność, siadł koło Panny z Grosouvre i rozmawiał z nią o sztukach pięknych, zwyczajnie jak znawca i opiekun nauk w Polsce. Wtem Montrezor podniósł głos: — Powiadam Paniom że właśnie staliśmy z Panem Starostą Hrubieszowskim koło Panny Lanckorońskiej, kiedy oznajmiono przybycie Pani Podkanclerzyny, ja się zwróciłem zobaczyć tę tak zachwaloną piękność. Gnoiński zwyczajnie z swoją rubasznością obrócił się plecami do przychodzącej. Pani Podkanclerzyna, widziałem że bladła i zmieniła się. Myślałem że tą niegrzecznością polskiego szlachcica znieważa umyślnie rozwódkę po Hieronimie Radziejowskim; trącam Starostę, on się obejrzał, a Podkanclerzyna krzyknęła, omdlała, padła na ramię Koronnego Marzałka. Szukam Gnoińskiego: jak szalony, mało mnie nie wywrócił, wybiegł z komnaty. Przez ducha świętego się zaklinam że dla mnie to rzecz niepojęta.

— Dla mnie nic dziwnego — rzekła Pani z La-Grange z złośliwem przygryzieniem ust.

— Pan Starosta Hrubieszowski znany ze swojej niegrzeczności, i ze swoich więcej jak burzliwych słów i postępków. Biedna Podkanclerzyna, zna go; mogła tedy ulęknąć się takiego człowieka. Mnie się zdaje że takich ludzi należałoby w obozie trzymać, a do dworu nie bardzo przypuszczać.

— To też stało się zadość życzeniom Pani Hrabiny, Starosta Hrubieszowski wyjechał do obozu.

— Jak to? — zapytała Królowa. — Pan Starosta Gnoiński opuścił Kraków?

— Tak jest Najjaśniejsza Pani — rzekł Hrabia z Châtre — ja odebrałem list pożegnania.

— Cóż to jest takiego czy znowu jakie kłótnie?

— Żadnej kłótni nie miałem z Panem Starostą Hrubieszowskim, i nic tego nie rozumiem; oskarża mnie i moją ciotkę o jakieś kabałowanie przeciwko niemu, grozi spotkaniem się. Przez niebo ja tych pogróżek nie lękam się wcale; ale nic z tego wszystkiego nie pojmuję. — Na twarzy Królowej widać wyraźne niezadowolnienie.

— Pani Hrabino proszę mi powiedzieć co te wszystkie rzeczy znaczą.

— Pierwszy raz się dowiaduję o liście pisanym do mego siostrzeńca; to tylko powiedzieć mogę Waszej Królewskiej Mości, że Pan Starosta musiał wczoraj oszaleć; wszak Pannie Lanckorońskiej jakieś słowa powiedział, że aż zachorowała nieboraczka.

— Jakto? albo Panna Lanckorońska chora?

— Trochę chora — odpowiedziała Wojewodzina Wileńska — została z moją córką i z Panną Potocką, ale to mała rzecz, niech się tem dobroć Waszej Królewskiej Mości nie frasuje. —

Jerzy Lubomirski słysząc to wszystko, rzekł do Panny z Grosouvre: — Pan Starosta wcale na kupidyna nie wygląda, a widzę że na prawo i na lewo pociski porozrzucał.

— Czy też żaden z tych pocisków nie zasmucił Pana Marszałka?

— Kto ma szczęście widzieć pociski oczów Pani, tego nie obchodzą zupełnie pociski zadawane albo odbierane przez drugich. — I rozmowa coraz ogólniejszą, coraz żywszą się stawała, póki nie pojechano do kościoła.

Panna Lanckorońska siedziała w oknie swojej komnaty; pięknem okiem goniła po niebieskim błękicie, po błoniach ścielących się pod Wawelu górą, i zatrzymywała się na szczytach Karpatów, zdala szarawo majaczących jak za rąbkiem przezroczystego muślinu; a myślą goniła za ojcem, za rodzinną Ukrainą, a może jeszcze za czem innem. Chwilowy niepokój, czy też chwilowa słabość przeszła, twarz się rozzdrowiła, umiliła dumaniem; lubo to młodemu wzrokowi rozglądać po przestrzeni świata! — Słodko to młodej duszy dumać, i myślą marzeń snuć złote siatki przyszłego losu, szczęścia. Takie życie odpędza tęsknotę, nawet tłumi trwogę jeźli się ona zakradła w serce, i Joanna zapomniała w tej chwili o słowach które ją tak zatrwożyły wczorajszego wieczora.

U drugiego okna stały Sapieżanka i Potocka: — Moja Anusiu — rzekła Potocka, dziwna to Joasia chorować dla tego że szalony Starosta powiedział: Waćpanna musisz być moją albo nie będziesz niczyją! Jabym mu powiedziała: zobaczemy, i kwita.

— Ani wątpię żebyś to zrobiła; ale ja ci się przyznam, że ten Pan Samuel Gnoiński taki straszny, taki odpychający, żebym i ja jego się bała.

— U was zakochanych wszystko od przywidzenia, wszystko na zawołanie. Powiedz że mi czem jest straszniejszy Pan Gnoiński od Pana Jana Czarnieckiego? Obadwa mają wąsy i obadwa mają podgolone czupryny, tylko Pan Jan umiał zyskać względy Panny Anny, a Pan Samuel tego nie potrafił, otóż i cała rzecz.

— Daj mi pokój z temi względami; ale zapytaj kogo chcesz, czy można porównać Pana Czarnieckiego z Panem Gnoińskim? słyszałaś co wczoraj mówiła Hrabina?

— Hrabina przez całą drogę z Warszawy chwaliła Gnoińskiego, a nie było rzeczy którejby nie wymyślała na Starościca, bo mniemała że Starościc pretendent do ręki Joasi; teraz dowiedziała się że nie, i Starostę posądza. Widziałaś toby co mu wykrzywiań narobiła wczoraj jeszcze przed przyjazdem Podkanclerzyny.

— Moja Rozalko, powiedz mi szczerze, Joasia nie myśli o Starościcu?

— Moja droga, niby to ty nie wiesz; porozumieliście się już wy dobrze ze Starościcem; ja ci przysięgam, że on się w tobie zapamiętale kocha.

— Ale nie wiedzieć co, zawsze sobie żartujesz; ale powiedz, czy on także co mówił?

— Ciekawość na co, kiedy ty o nim ani myślisz.

— Gdyby mama się dowiedziała, to by gniewała się za to.

— A toż za co; czy Starościcowi nie wolno się kochać, byle Panna Anna się nie kochała.

— Ale skąd że ty o tem wiesz?

— Duchem Bożym; powiadam ci że ty Starościca kochasz a on ciebie; tak jak i to powiadam, że Joasia teraz myśli o Staroście a może i kocha Starostę.

— Biedna Joasia! Jak to Starostę Hrubieszowskiego?

— Starostę!

— Jeźli wszystko taka prawda jak to, to niebardzo zgadujesz.

— Zapytajmy — i skoczyła do okna gdzie stała Lanckorońska: — Joanno, ty myślisz o Staroście? —

Lanckorońska odstąpiła od okna, popatrzyła jej w oczy: — Co ci jest?

Potocka coś szepnęła jej do ucha: — A co nieprawda? nie zgadłam że o Staroście?

Lanckorońska zczerwieniła się: — Jaki z ciebie trzpiot, gotowaś wypaplać to co nigdy nie było, ani będzie — i westchnęła.

— Samą prawdę mówię. Joasia nie cierpi Starostę, Joasia kocha Starostę. Joasia boi się Starosty, Joasia pragnie Starosty. Anusia, to co innego; ona kocha Starościca i pragnie Starościca.

— Nie byłaś u Drogoniusza a już samemi przenośniami gadasz; cóżby to było gdyby ci się udało dostać do niego?

— Pewnie bym tak jak ty nie myślała o ciemnosiwych migdałach.

— Czemuż nie o niebieskich?

— Bo nie wiecie co to znaczy, i dla tego gadacie o niebieskich migdałach.

— Nauczże nas! — rzekła Sapiżanka.

— Wiecie że najpiękniejsze oczy, te których oprawa jest migdałowego kształtu. Jakaś Panna dawno tam kiedyś, miała błękitne oczy oprawne kształtem migdała, cała młodzież myślała o jej oczach, i stąd poszło przysłowie: myśli o niebieskich migdałach.

— Skądże tyle wiadomości?

— A zwyczajnie od Pana Wąsowicza.

— Jak widzę Pan Wąsowicz tyle posiada umiejętności co i Drogonius; żeby też prędzej go można zobaczyć.

— Ja temu wierzę, bo i Staroście tam będzie gdzie Wąsowicz. Joasiu, czy już przeszedł strach słów Pana Starosty.

— Nie gadaj mi o nich, bo mi zaraz i smutno i niemiło.

— Nie bój się moja luba. Starosta żartował z tobą. Pani z La-Grange mi mówiła dziś, że on zaręczony z Panią Podkanclerzyną.

— Ach! dałby to Pan Bóg!

— Ale, ale, Hrabina mi mówiła że Hrabia z Châtre niespokojny o twoje zdrowie, i chciałby mieć pozwolenie widzenia ciebie.

— Moja droga Anusio i Rozalko, powiedzcie że ja słaba; już mię tak znudzili ci francuzi, że jednej chwili chciałabym oddalić się ode dworu.

— Wojewodzina mówiła, że za parę dni wyjedziemy do Lanckorony.

— Żebyż te parę dni jednej minuty przeszły!

— Tam dopiero będziecie marzyć obiedwie o ciemno-siwych i o czarnych migdałach. No siedźcież tu i radźcie o waszych przyszłych, a ja pójdę, powiem Hrabinie i Hrabiemu że posłuchania nie daje Panna Hetmanówna — i wyskoczyła za drzwi. —

Jedna rzecz długo zajmować ludzi nie może; przygody ciągłemi gośćmi na tym świeci: jak do zajezdnego domu jedne odjeżdżają a najeżdżają drugie, a żadna długo nie popasa, miejsca nie zagrzeje; ledwie wytchnie, w dalszą drogę rusza, a wieść o nowej tuż w tropy za nią przylata, i posypuje pyłem zapomnienia to co przeszło. Przybiegli gońce z Wielkiej Polski; złe wieści przynieśli. Choć Pan Kasztelan Kijowski po swojemu wytrzepał Szwedów pod Opocznem, choć sam polny Hetman nad Drzewicą z pułkami kwarcianemi dzielnie sparł się ze Szwedem, i pokazał że co Polacy to nie Niemcy: Kienigsmarka, Forgiela zabrał na jeńców i koło samego Wittemberga było kuso. Ale na nieszczęście, Pan Wesel choć miał wąs potężny i minę sarmacką, ale brakło mu polskiego serca. Inflantczyk nie dotrzymał placu, nastraszył się zemsty zdrajcy Radziejowskiego, bo tam kiedyś z sobą mieli zajścia sąsiedzkie, rozpuścił miejską piechotę, a z konnicą drapnął z Warszawy haniebnie', bez wystrzału, zostawiwszy nieprzyjacielowi stolicę Polski. Karol Gustaw wszedł do niej jako Pan; na rządach w niej zostawił Hieronima Radziejowskiego i Oxenstierna i sam ruszył przeciw Janowi Kazimierzowi. Szlachta już zbałamucona, mimo przysięgi w Piątku, na nowo poczęła odstępować prawego Króla i garnąć się do Szweda. Miasta przy-

kładem Warszawy jedne po drugich poddawały się nieprzyjacielowi, a na większą zgrozę część kwarcianego wojska z Michałem Koniecpolskim przystała na służbę do Szwedzkiego Karola. Na sromotę polskiemu imieniowi widziano w nieprzyjacielskim obozie pułki Koniecpolskiego, Radziwiłłów, Koryckiego, Grudzińskiego i innych przestępnych polaków i litwinów.

Jan Kazimierz widzi że królewskiej władzy nie szanują, zabolało mu serce; nie poparł korzyści odniesionej nad Drzewicą, nie zdołał się mierzyć z Karolem Gustawem; z Włoszczowy z ojcem Krajewskim, z nielicznym dworem, jaki mu pozostał i z pułkiem dragonji ruszył do Krakowa; Lanckorońskiemu i Stefanowi Czarnieckiemu zlecił prowadzić odwrot wojska, zaklinał aby przynajmniej szczątki ocalili, i co prędzej spieszyli za nim ku obronie starodawnej stolicy.

Między te kwarciane wojska popłoch i rokosz zaczęły się wkradać. Darmo stary Hetman prośbą i przykładem zachęca do odwagi i do ładu. Oni wołają: zapłaćcie nam zaległy żołd, a będziemy się bili. Kasztelan Kijowski nie słyszy tych słów między Semenami, ani między lekkiemi chorągwiami Wąsowicza; u niego krótka groźba do krnąbrnego żołnierza: — Ściąć łeb zuchwalcowi, a drugi to zrobi, to i drugiemu to będzie. Wolę zostać z dziesięciu posłusznymi, jak ze stoma tysiącami wrzaskliwej hołoty. — Jegoż to tylko pułki stawią czoło Szwedom i zasłaniają odwrót. Smutnie i ponuro cofa się polskie wojsko, a wróg jak szarańcza rozłazi się po polskiej ziemi i tam mości się na gniazdo.

Niebawem za wieścią i Jan Kazimierz przybył do Krakowa; w nocy wjechał do miasta, i do zamku w nocy zajechał, nie jak król potężnego narodu, ale jak smutny Pan opuszczony od swoich; nie chciał się we dnie pokazać Krakowskiemu ludowi, chociaż ten lud krew Jagiellońską więcej jak swoją własną kocha, bo to krew prawych jego królów i ojców. Obawiał się Jan Kazimierz zasmucić żonę, chociaż ta samodzielna Pani gotowa życie, szczęście, wszystko poświęcić, dla wielkości i sławy polskiego tronu, na którym ona zasiadła. Król na dobitkę nieszczęścia zastał wieści, że Moskwa opanowała Litwę i weszła do Olgierdowej stolicy; Gąsiewski i Maltański kawaler Judycki uwięzieni przez szlachtę, biegnącą na oślep poddać się Szwedowi. Chmielnicki obległ Lwów, a Buturlin grasował na Ukrainie z hordami Moskwicinów; Hetman Potocki i Jan Sobieski jak mogli to im starczyli, ale słabe ich siły choć mężne serca; i Siedmiogrodzianin ze swej strony gotował się wkroczyć przez Bukowinę do Czerwonej Rusi. Przy tych jednak niepomyślnych wieściach zastał dobrą wolę u Królowej, i jego męztwo nie zmalało choć cierpiało ojcowskie serce nad niedolą kraju. W pierwszej chwili zawołał: zakopię się

w murach Krakowa, zginę z moim ludem, ale go nie opuszczę — i te słowa były godne polskiego Króla, potomka krwi Jagiellońskiej. Przestano w Krakowie i myśleć i mówić o przygodzie Podkanclerzyny Radziejowskiej, o Samuelu Gnoińskim, bo wszyscy co żywią w łonach serca polskie, zajęci nieszczęściami Ojczyzny, trapią się jej niedolą, i proszą Boga o opiekę nad nią.

Wtorkowego dnia z rana, już przed królewskim zamkiem, stały kolasy Prymasowska, Marszałka Koronnego i innych Senatorów. Król z rzewnem sercem odbierał te oznaki pozornej czyli też szczerej przychylności.

W tymże samym czasie w jednej z komnat królewskiego zamku, zeszedł się Ojciec Wota z Ojcem Krajewskim. Twarz Ojca Krajewskiego przyoblekła sie w surową powagę.

— Ojcze Woto — rzecze — nie ganię ja dobroci twojego serca, ale po coś z taką usilnością wypraszał u Marszałka Koronnego, od kary tego szlachcica Żytkiewicza, wszak go nie znasz?

— Carlo, ten mój rodak o którym wiesz Wielebny Ojcze, tak mnie prosił za tym nieszczęśliwym iż mu nie mogłem odmówić.

— Skądże ten Carlo przybyły nie dawno do Polski, zna tego szlachcica?

— On go nie zna, ale jego serce czułe lituje się nad cierpieniami drugich; on wyszukuje nieszczęśliwych żeby mógł im pomagać.

— Ojcze, powinnością naszą jest ratować nieszczęśliwych, podawać dłoń pomocy potrzebującym; ale to pomaganie tego twego Carla temu szlachcicowi, to mi tak dziwne, że go nie pojmuję. Z resztą i ten twój Carlo jest dla mnie niezrozumianym człowiekiem. Przyznam ci się, że mi się jego twarz, i to oświadczenie czułego serca wcale nie podoba.

— Wielebny Ojcze, to poczciwość chodząca; im więcej go poznaję, tem więcej go kocham. Jego rodzina od dawnych lat przyjazna z moją, ja mu jestem jedynym opiekunem.

— Bądź jemu opiekunem, przeciw temu nic nie mam; ale strzeż się żeby ten twój rodak nie zrobił czego takiego za coby odpowiedzialność spadła na ciebie. Ja przestrzegam. I teraz temu szlachcicowi Marszałek Koronny daje wolność, ale za twoją poręką.

— Ojciec Canazyli pozwolił na to abym starał się o wolność tego biedaka.

— Ojciec Jenerał zezwoli na każdy dobry uczynek, ale ty Ojcze strzeż się, żeby twojej dobroci nie uwiedziono. Nosisz suknię zakonu, który ma mnogich przyjaciół, ale i mnogich nieprzyjaciół. Przyjm tę radę doświadczonego i życzliwego brata. —

Ojciec Wota skłonił się: — Ja przyjmuję radę i dziękuję za nią; ale bądź spokojny Ojcze, mój Carlo nie zrobi nic takiego za co bym miał się wstydzić. —

Pan Starościc Zakroczymski częstym gościem w komnatach Wileńskiej Wojewodziny; Król Jegomość szczególniejszym affektem go obdarza; Królowa Imość na niego łaskawa, ztąd możni panowie po bratersku go witają, a klamkowi dworzanie baki przed nim świecą. Starościc jawnie się zaleca do Panny Wojewodzianki Wileńskiej; Panna Anna nie unika grzeczności, ani okazuje najmniejszej chęci stronienia od grzecznego młodzieńca. Wojewodzina nie bardzo zważa na to, że nie mitrowy człowiek nadskakuje córce; może przez chęć nieobrażenia Ich Królewskich Mości, a może przez uczucie prawdziwej Polki, że wojenne czyny, że zasługi dla Ojczyzny Stefana Czarnieckiego zrobiły jego i jego ród godnym stanięcia obok mitrowych głów. Hrabia z Châtre cieszy się z pewności, że w Panu Starościcu nie ma współ zalotnika. Piękna Ludwika z Grosouvre w uczonej i miłej rozmowie Koronnego Marszałka zapomina, że niedawnemi czasy Starościc jej wpadł w oko; Pani Podkanclerzyna ma się lepiej, ale już jej nikt do dworu zaprosić nie zdoła. Panna Joanna z Panną Rozalią ciągle rozmawiają o Hetmanie, o jego towarzyszach, i ciągle wyglądają w te stronę skąd ma przyciągnąć wojsko.

Tak przeszło dwa dni od przyjazdu Króla. Trzeciego dnia Król, Królowa, cały dwór i Radni Panowie wyjeżdżali przeciw idącemu wojsku. Król mniemał, iż pokazując się otoczony ludem i ojcami narodu, upoi zapałem wojsko i zatłumi pochop do rozterków i rokoszu, który już począł w niem się objawiać. Król miał przy sobie Marszałka Koronnego, a Królowa siedziała w odkrytej kolasie z Wojewodziną Wileńską, mając przed sobą na przedniem siedzeniu Hetmanównę Lanckorońskę i Ludwikę z Grosouvre.

Na ulicach, na rynku, pełno ludu; na dachach sukiennic gmachu tyle się naczepiało dzieci ile gont pokrycia; nawet wieża odwiecznego kościoła Najświętszej Panny Marji pokryła się ciekawym ludem. Z góry patrząc na tę część Krakowa, od stóp Wawelu aż do Florjańskiej bramy, zda się że bruk i budynki ludźmi poobrastały, a skoro się Jan Kazimierz ukazał, gradem sypały się wieńce, kwiaty na niego i pod nogi jego konia; na raz tysiącami brzmiały huczne głosy: — Niech żyje nasz Król i ojciec, niech żyje potomek Jagiełłów! — Starce, dzieci, niewiasty dzielili ten szał upojenia, to objawienie się serdecznej miłości dla Jagiellońskiej krwi, wyssanej z mlekiem u łona matek, przekazywanej w spuściźnie dzieciom. Ten szczery lud Krakowa, nie zraża się niedolą Króla, nie obracho-

wuje przyjść mogących nieszczęść; dość że widzi w pośród siebie Jagiellona; z całym światem gotowy walczyć, o prawo do polskiej korony swojego prawego Pana. Jan Kazimierz wita lud, dziękuje mu szczeremi znakami, rozrzewnił się jego przywiązaniem, dwie łzy zawiesiły mu się w oczach, a na twarzy wymalował się wyraz gotowości poświęcenia się za swój lud.

Wyjechał na Kleparz, pod kościół Świętego Florjana. Cechy flisów, bednarzy, i handlarze zbożowi przyjmowali Króla; wszędzie w kościelne dzwony bito podzwonem radości, i Księża przed kościołami śpiewali hymny na cześć Boga, na uproszenie u Matki Dziewicy opieki dla polskiego kraju.

Na całem przedmieściu jeden tylko domek zamknięty, przed bramą nikogo nie widać, i na dachu nie masz żywej istoty. Król się zdziwił i zapytał Marszałka Koronnego: — Cóż to za pustka?

— To mieszkanie nauki, Najjaśniejszy Panie.

— A to jakim sposobem?

— Tu mieszka Inocencius Drogonius, znamienity a nie głośny mędrzec Krakowa.

— Gwiaździarz, czarnoksiężnik; mówił mi o nim Ojciec Krajewski.

— Ludzie zawistni oskarżają go o czarnoksięstwo. Ja Waszę Królewską Mość zaręczyć mogę, że on głębokim naukom winien swoją umiejętność, nie zaś natchnieniu duchów, jak utrzymują ludzie słabego umysłu albo złej wiary. —

Król się zaczerwienił trochę: — Słyszałem że przepowiada przyszłość, to jednak nie ludzka umiejętność.

— Z przeszłości rzeczy ziemskich zastanowieniem i rozpamiętywaniem rozumu można przewidzieć onych przyszłość; z przeszłych czynów człowieka prawie zawsze można wyrokować jaka jego przyszłość będzie.

— Uczony mędrzec wymownego ma obrońcę, można mu powinszować a nawet pozazdrościć.

— Ani jednego, ani drugiego. Wasza Królewska Mość wie, że nie wielka zasługa bronić dobrej sprawy. —

Król zciszył głos: — Czy nie moglibyśmy i my uzyskać przepowiednią, dla nas i dla kraju?

— Wasza Królewska Mość nie zechcesz udać się do mieszkania Drogoniusa, a on nigdy nigdzie nie chce wychodzić.

— Jednak przed kilku dniami uratował zdrowie Pani Podkanclerzyny.

— I zaprzysiągł swojemu przyjacielowi Żórawskiemu, że odtąd już nie wyjdzie z swojego mieszkania, gdyby nawet i świat się zapadał.

— Nie chcemy być przyczyną zerwania przysięgi, a więc

przez Pana Żórawskiego należy szukać przepowiedni; prosimy abyś uskutecznił to nasze żądanie.

— Wola Waszej Królewskiej Mości, będzie spełnioną. — Całej tej rozmowy nikt nie słyszał, bo Król z Marszałkiem oddalili się naprzód na kilkanaście kroków, a powietrze grzmiało ciągłemi okrzykami ludu.

Drogą od Miechowa ciągnęło wojsko, smutnie, powolnie, muzyka grała, pałkierze tarabanili jakby za napaść. Pan Hetman Polny witał Króla ze smutną twarzą, i Pan Kasztelan Kijowski nie wąs ale brodę podkręcał, powiadając: — Szwed tuż tuż za nami idzie, Semeny Tetery ciągle się z nim ucierają, a Wąsowicz z lekkiemi chorągwiami w odwodzie staje Semenom. —

Niemo przechodziło wojsko przed Królem i stawało na miejscach wytkniętych przez obożnych. Kolasa Królowej podjechała do miejsca gdzie stał Król. Hetman witał Ludwikę Marję, a kiedy spojrzał na swoje dziecię, markotnie mu się zrobiło: — Najjaśniejsza Pani, przed niewielu dniami myślałem, że zwycięzcami powitamy Waszą Królewską Mość, inaczej Bóg, inaczej zrządziły koleje losu.

— Jeszcze nic nie stracone, kiedy Ojczyzna ma takich obrońców, a Król takich przyjaciół i sług jak wy zacni Panowie.

— My się też nie oddajemy rozpaczy — rzekł Pan Kasztelan Kijowski — póki jeden Polak zostanie przy życiu, póty Polska nie upadnie. Niech się wróg nie cieszy chwilowem powodzeniem, prawi synowie chwycą za broń na głos potomka krwi Jagiełłów, a opamiętani przyjdą do siebie. Polakowi błądzić, wykraczać zdarza się, ale w występku trwać długo nigdy.

— Bogdaj słowa Pana Kasztelana były słowami przepowiedni — odpowiedziała Wojewodzina Wileńska — ale czy Szwedzi za naszem wojskiem następują?

— Nastepują, ale moi Semenowie na wodzy ich trzymają. Tetera zaklął się na imię Króla, za Miechów ich nie puścić, a ci ludzie stepu, jak co przyrzekną to dotrzymają w boju. Można spokojnie i bezpiecznie spoczywać pod skrzydłem wojennego ich słowa. —

Panna Lanckorońska zaczęła coś mówić do Ludwiki z Grosouvre, i zdało się że nie uważała słów Pana Kasztelana Kijowskiego. Król objeżdżał stanowisko wojska z Koronnym Marszałkiem i Polnym Hetmanem. Lud biegł witać swoich braci zbrojnych, i przelewać w nich swój zapał, ale to wszystko nic nie pomagało.

Wtem na Miechowskim szlaku zerwały się tumany kurzu, ale nim jeszcze oko mogło się przedrzeć za ich mgłę, już jeden

jeździec przodem wyskoczył, i dereszowatym koniem błyskał po drodze; sokolim okiem zajrzał Stefana Czarnieckiego, tam pędził i osadził szkapę: — Mospanie Kasztelanie, wytrzepaliśmy skórę Szwedowi, nabiliśmy, nałapaliśmy, a reszta uciekła gdzie pieprz nie rośnie; sprawiliśmy im łaźnię: z ruski miesiąc popamiętają.

Królowa śmiała się i wszystkie Panie się śmiały, a Krzysztof Wąsowicz w zapale nie widział nawet kolasy; spostrzegł się, zdjął czapkę: — Najjaśniejsza Królowa Imość przebaczy, nie widziałem.

— Panie Starosto, my byśmy chciały co dnia, co godziny słyszeć takie słowa: nie przebaczenie, ale podziękowanie należy się Panu Staroście. —

Starosta Żytomirski muskał wąs: — Najmiłościwsza Pani, prawda nie kłamstwo, zwycięztwo się należy Teterze i jego kozakom; on to tym rabusiom kurtę skroił, ale i ja z moimi nie spóźniłem się na same kości, dostała się i nam dobra odrobina szwedzkiego mięsa do smagania; wszystko to na chwałę Bożą i na chlubę majestatu Waszych Królewskich Mości. —

Sam Kasztelan rozśmiał się z tego obozowego wysłowienia się: — Gdzież się to stało, w co się obrócili Szwedzi, i gdzie jest Tetera?

— Pod Miechowem Mości Panie Kasztelanie ta dyszkiepcja spotkała Szwedów; dali drała w stronę Kielc, dwie czepki mile na karkach im siedzieliśmy, a potem stósownie do rozkazu Waszmość Pana nie mając kogo bić, szliśmy do Krakowa; oto moje chorągwie, a za niemi pułk Kozaczy. —

Wrócił Król, z radością słuchał o tem małem zwycięztwie, ale zawsze zwycięztwie. Nadeszly lekkie chorągwie i ochoczo krzyknęły: — Niech żyje Król Jegomość! Królowa Imość! Niech żyje Ojczyzna! —

Nadciągnął pułk kozaczy i gromkim głosem powitał Króla. Tetera śmiało podjechał, skłonił się składnie, wesoło, i skarogniady choć zmęczony, przysadził się na zadzie, i kilka lekkich skoków uciął. Panna Lanckorońska zawołała: — Pan Tetera ranny. —

Tetera się zarumienił, i iskrzącem okiem podziękował za jej pamięć, a Wąsowicz się odezwał: — To nic Mościa Panno Hetmanówno, to szwedzki pocałunek, liznął po buziaku, i dobrze zrobił, bo też kozaka liczko było za gładkie na wojaka; jak tak dalej pójdzie zrabieje jego twarz jak Pana Kasztelana. —

Król, Królowa, grzecznemi słowami obsypywali Teterę, on poprawił kołpak na ucho: — Radbym z duszy do stóp Waszych Królewskich Mościów przyprowadzić ostatniego wroga Polski. —

Panna z Grosouvre rzekła do ucha Joannie Lanckoroń-

skiej: — Jakże dobrze jest ten kozak, a wszyscy powiadają że tam taka dzicz na waszej Ukrainie. —

Lanckorońska odpowiedziała słodkim półuśmiechem; właśnie w tej chwili ruszono na powrót do zamku.

Przybycie zwycięzkich pułków wlało otuchę w serca wojska, a ujęci braterskiem przyjęciem mieszkańców Krakowa, pogodzili się z powinnością, z męztwem okazanem tylekrotnie w bojach, i gotowi byli walczyć za Ojczyznę, za Króla.

W klasztorze będącym przy kościele świętych Piotra i Pawła, wystawionym przez Zygmunta III dla Jezuitów, w refektarzu za stołem przed kuflem wiszniaku, siedział szlachcic rudy, zyzowaty i kuternoga; nalewał sobie w szklankę, rozglądał po portretach Ojców bractwa Lojoli i pił: — Milion pareset bomb! w pięknem że mnie gronie zostawili? — Wiszniak dobry, ale te bohomazy, ani gęby do gadania, ani uszów do słuchania nie mają; żaden nawet nie powie: łżesz Julianie. Przyznam się, że weselej było w ciupie; przynajmniej draby słuchały kiedym im gadał, a może i wierzyły. Bo milion pareset bomb! na wszystko jak na ewangielią się kląłem, ależ tam mówiono że szubienicą pachnęła sprawka. Jak to mówią, kto ma wisić to nie utonie; mnie widać na odlew przysądzono; no gdybym teraz i lata Pana Cześnika Metuzala żył, miałbym o czem gadać. Jeszcze parę tygodni nie upłynęło, a już się było u Króla Jegomości Szwedzkiego; posłem do Krakowa; przyjacielem, milion pareset bomb to lepiej brzmi jak sługą Radziejowskiego; wiernym poddanym Jana Kazimierza, wspólnikiem żyda, marszałkowskim więźniem, a teraz kto wie czy nie zostanę Jezuitą? Cóż robić? na czyim wozie człowiek jedzie, trzeba żeby tego piosnkę śpiewał; ależ ten Gnoiński fanaberja, panicz ani przystępu. Poczekaj przyjdzie koza do woza i zawoła me-kie-kie! — Nalał w szklankę wiszniaku i łyknął: — Milion pareset bomb, cóż powiemy Herubkowi i jak się przyjdzie spotkać; górą z góra się nie zejdzie ale człowiek z człowiekiem zawsze. No powiem; że wzięto mnie za Karola Gustawa — nie — za Niemieckiego Cesarza. Ale jak Jurko mnie poznał? w prawdzie na życiu mojem nie widziałem Koronnego Marszałka, mniejsza o to. Za zdrowie Jurka; ale dno przeziera w kuflu, przyjdzie się znudzić na śmierć. —

W kamienicy przypierającej tuż do klasztoru Jezuickiego, w dolnej izbie dość porządnie przybranej, przed oknem, stał młody człowiek, bladej twarzy, niepogodnego wzroku. Na nim strój florencki kusy i opięty, przy boku szpada, a na ramieniu płaszcz. Stał, i na przemiany to w okno spozierał, to

ogryzał paznokcie: — Miałżeby mnie zawieść? — o nie! on mnie potrzebuje, a ja tylko jego złota! — Pomyślał: — złota wszystkich; ojcowie, wyście przebiegli ale i we mnie kalabryjska krew płynie. Wyście światem matali i matacie, nie dla siebie; a ja przez was i mimo was, będę matał dla siebie. O nie darmo dzieci tych, co tu zbogacieli przy Medjolance, powiadają: tam w Polsce nie ma złotych ani djamentowych kopalni, ale każdy cudzoziemiec jak zechce, to nazbiera złota. — Zaśmiał się paskudnym, zdradzieckim uśmiechem: — Ależ ten człowiek tak mnie przyjął jak brata, a ja go zdradzam? O nie! ja go nie zdradzam, ja tylko nim się posługuję. Niech na Boga się skarży kiedyś, nie na mnie — zagryzał paznokcie: — Ale nie ma, nie widać: — Spojrzał w okno: — Idzie przecie — odwrócił się od okna, i siadł w krześle.

Drzwi otworzyły się zcicha, jak lis ukradkiem wsunął się stary żyd.

— Kłaniam Wielmożnemu Panu. —

Włoch udał niby się ocknął z marzenia: — To ty Panie Becalu, proszę siadać — i wskazał na krzesło.

Aron Becal niziuchno się ukłonił, i przysiadł na koniuszku krzesła, jak gdyby dla tego, żeby prędzej mógł wstać, oczyma wodził po twarzy włocha. — Nu panie Carlo, a co?

— No Panie Becal, a co?

— Mój szlachcic?

— A moje pieniądze?

— Ja mam — i z pod szarafana wydobył spory skórzany worek. —

Oczy włocha zaiskrzyły się, jak oczy kota kiedy zajrzy gdzieś w dali wysuwającą się mysz: — Szlachcic w klasztorze, wieczorem go będziesz miał.

— Nu Panie Carlo, my się mało znamy, ale dobrze znamy; ja Panu wierzę, i dla tego proszę przyjąć — wstał i dał mu worek. —

Włoch otworzył worek, okiem liczył złoto, pieścił oko złotem, a żyd po jego obliczu wodził wzrokiem, i przyśmiechał się; potem coś na ucho gadał włochowi, i oglądał się na wszystkie strony, niby bał się ścian i sprzętów izby. Carla uwaga roztargniona: złoto potrząsa na nie ciągle; ale wstając chować dukaty odpowiedział: — Jakże to zrobię, kiedy dziś mam udać się do Marszałka Koronnego i być przy nim?

— Cóż tam wielkiego nie chcieć. —

Przypadkiem spojrzał Carlo w okno i żywo porwał żyda, wtrącił go do drugiej izby, drzwi za nim zatrzasnął i klucz wyjął: — Siedź cicho, bo zginiemy: — Żyd przestraszył się, ale nie pisnął.

Zaledwie Carlo miał czas klucz schować, kiedy drzwi się

otworzyły i wszedł ojciec Woto: — Carlo, co ci jest takiego? czyś chory czy jakie nieszczęście ciebie spotkało?

— O nie chory ja jestem, ani nieszczęście mnie żadne nie spotkało; ale serce moje cierpi.

— Cóż ci jest takiego?

— Ja nie śmiem.

— Mów Carlo jak przed przyjacielem, przed rodakiem, przed kapłanem Bożym.

— Opiekunie! przyjacielu! bracie! nie śmiem powiedzieć żebyś mnie dzieckiem nie nazwał.

— Mów!

— Mnie tęskno z tobą rozstawać się; ja czuję że bez ciebie mnie na obcej ziemi będzie najokropniejsze życie. Tyś rodak, ty znasz jakie nasze uczucia; jabym przy tobie chciał być zawsze.

— Poczciwy Carlo. Ależ przy Marszałku Koronnym czeka cię piękny los, a przy mnie ubóstwo; a kiedyś może suknia jaką ja noszę.

— Co mi po losie kiedy serce moje obumierać będzie w tęsknocie — westchnął, i zasmucił się.

Ojcu Wocie łzy stanęły w oczach, wziął za rękę Carla: — Poczekaj, ja o tem pomyślę; będę prosił ojca Canasilego abym mógł cię zabrać z sobą. Poczciwy Carlo! —

Carlo rzucił się w objęcie Woty: — Mój rodaku! mój opiekunie! — i z jawnem wzruszeniem żegnał odchodzącego Jezuitę.

Już wieczor szarym mrokiem owionął budynki Krakowa; ciekawe światełka z okien wyzierają złocistym pobliskiem, już nawet kilka ranniejszych gwiazdek weszło na niebo, kiedy dwóch ludzi idąc ulicą tak rozmawiało z sobą: — Widzisz psie żydzie że mi się nic nie stało, milion pareset bomb! — te draby Jurkowe wzięli mnie za Niemieckiego Cesarza, ale kiedy Jurko mnie poznał tośmy we dwójkę wychylili z sobą dwa tuziny butelek węgrzyna; przeprosił, uściskał, a drabom kazał wyrżnąć łozy.

— Nu te draby pięknie by Cesarza uraczyli? — A ten że Woźny co Waćpana zapozwał przed sąd, takoż Cesarza zapozywał?

— Milion pareset bomb żyd żydem! ty nic nie rozumiesz, tabaczkowy mam kontusz, i to to narobiło wszystkie te nieporozumienia.

— Nu ja jeszcze nic nie rozumiem, a skąd się Waćpan wziąłeś u Jezuitów?

— Parchu, to do ciebie nic nie należy, milion pareset bomb! ty tego nie wiesz że Jurko, Jezuici i ja, to jedna ręka.

— To Waćpan znasz ich Jenerała?
— I jakże nie? to mój szkolny towarzysz.
— On włoch tam się uczył w swoim kraju.
— I cóż z tego, milion pareset bomb? wszakci Włochy nie na niebie ale na ziemi.
— Alboż Waćpan tam był?
— Pytaj mnie gdzie ja nie byłem? Ale cóż to psie, my nie na Kazimierz idziemy.
— Za Kleparz, do obozu, Panie Żytkiewicz; a cóż Waćpan zapomniał o werbunku?
— Daj ty mi czysty pokój, milion pareset bomb, już nie mam ochoty drugi raz szubienicy szukać.
— Jakto, to wino u Jaśnie Wielmożnego Marszałka a szubienica, to wszystko jedno.
— To tak mi się wypsnęło; ale Jurko powiedział: Julianie nie wdawaj się do żadnej roboty póki nie przyjdzie czas; ja ci powiem.
— Nu, Jegomość Pan Żytkiewicz teraz tchórzy już.
— A bestjo, parchu, co to ja żyd żebym tchórzył? Milion pareset bomb, dawaj mi tu kogo chcesz, a zobaczysz czy cofnę kroku, czy zmrużę oko.
— Nu, co to gadać, lepiej pokazać że tak jest; ja wiem że Jegomość Pan Żytkiewicz odważny człowiek, tylko tak sobie żartuje. Waćpan pójdziesz na harmaty, i na samego Jana Kazimerza z tym rabym Kasztelanem.
— Tak mi gadaj to ciebie rozumiem: ty mnie znasz Becaluniu; wiesz że Julian Żytkiewicz i samego djabła się nie boi; niech się tam co chce dzieje, idę do obozu, a cóż tam im gadać?
— Nu, weź waćpan to — i dał mu garść złota — znasz jak tego użyć potrzeba, a ciągle im gadać że Szwedzi płacą a Jan Kazimierz bankrut, groszów nie ma, i nikt mu pewnie nie poborguje.
— Spuść się na mnie, milion pareset bomb, usłużę eksjezuicie.
— Tylko Waćpan Panie Żytkiewicz nie wiele tam junakierji dokazuj, a nie długo się baw, bo ja Waćpana wyszlę gdzie indziej.
— Psie żydzie, cóż to ja twoj najemnik?
— Przepraszam Waćpana Dobrodzieja, ja chciał powiedzieć że Waćpan pojedziesz, tam gdzie będzie mu pilniej, a teraz Waćpan idź a ja powrócę na Kazimierz.
— Idź parszywcze, a nagotuj tam miodu i wiszniaku, a takiego jak u Jezuitów; ja ci tam gości naprowadzę milion pareset bomb, zabawiemy się z twoimi kwartami. —

Aron sam pozostał i patrzy to na Żytkiewicza, to na bramę domku koło którego stoi; a kiedy już stracił z oczów kuternogę

szlachcica, podszedł do bramy i pięć razy stuknął z cicha w dzwon. Nikt nie odpowiada, odszedł, wrócił się drugi raz, poprobował znowu, milczenie: — Nu czy nauczny Drogonius umarł, czy jaka niesłychana rzecz się zrobiła: — Wtem coś zaszeleściało w bramie i brama się otworzyła, a nim Rubin podszedł, dwie niewiasty w czarnych płaszczach, w czarnych zawiciach na głowie, wyszły z bramy, a prędko i bokiem ulicy, wracały ku miastu. Aron zastanowił się, pomyślał sobie — nu koniec świata, kobiety u Drogoniusa — wrócił do bramy, zadzwonił i wpuszczono go.

Tą razą zastał Inocenciusa nie w czarnej komnacie, ale w drugiej obszernej, której ściany przybrane były w olejne obrazy, arcydzieła włoskiego pędzla, oprawne w złociste ramy, sprzęty kosztownej roboty, natykane błyskotkami, obite złotogłowem aksamitami, popiersia i całkowite postacie ludzi i źwierząt z alabastru z marmuru i z bronzu, a wszystko rzeźby najbieglejszych snycerzy. Książki oprawne w pargaminy ozdobne złocistemi blachy. Żyd patrzał zdziwionem i chciwem okiem nie na dzieła sztuki, ale na błyszczące kruszce.

Drogoniusza twarz była zapłomieniona i oko jaskrawe: — Rabinie, jak się masz, siadaj, cóż tam nowego słychać?

— Nauczny Doktorze — dobył papiery — oto listy z Lubeki, Bremu, Gdańska, Hamburga, Amsterdamu.

— Daj mi je tu, za kilka dni wszystko będzie gotowe; cóż tam więcej?

— Z Gdańska przysłano pieniądze.

— Mniejsza oto, potem zrobiemy rachunek. —

Rabin o mało się nie pokłonił: — Szwedzi coraz dalej a dalej w kraj włażą, kwarcianych przemówili.

— O tem drugą razą mi powiesz; mam do ciebie jedną prośbę.

— Co nauczny doktor rozkaże, ja na wszystko gotów.

— Czy nie znasz ty czasem Samuela Gnoińskiego Starostę Hrubieszowskiego? — zatrząsł się głos Drogoniusa.

— Znam i bardzo dobrze.

— Słuchaj ja chcę wiedzieć gdzie się on obraca i gdzie się będzie obracać, możesz na to użyć pieniądze przysłane z Gdańska, jak zabraknie dam więcej. —

Rabin o mało nie dał susa z radości: — Nu on teraz w obozie Szwedzkiego Króla, godzi się i brata z Radziejowskim, bo to oni tam kiedyś o żonkę mieli kłótnię. On takoż myśli o Hetmanównie z Lanckorony; ja naucznemu doktorowi donosić będę, co każdej godziny co każdego dnia robi, albo zamyśla robić. A kiedy mam przychodzić?

— Kiedy zechcesz Rabinie, zawsze z chęcią cię przyjmę.

— Ściskam stopy naucznego doktora — pokłonił się, a odchodząc myślał: co się stało temu Drogoniowi, taki słodki,

taki grzeczny, nu co to za kobiety u niego były? a ten Gnoiński to nieoceniony skarb! Jak tak dalej pójdzie, to on lepszy jak najlepsza dzierżawa a nawet probostwo w całym polskim kraju. —

Inocencius przechadzał się po komnacie: — Co za bóstwo! co za kobieta! i Włochy nic podobnego nie miały. Daruj Julieto, ja ciebie nie zapomniałem i nie zapomnę; ale ona ciebie mi przypomina. O jeszczem ja nie obumarł, moje serce żyje, moje oczy żyją! Cóż ja temu winien że ja widzę i czuję! Obrazy, dzieła mistrzów; czemże wy jesteście obok niej? Czy macie choć jeden wdzięk taki jak ona? nie! — Wy jesteście martwem płótnem, mamidłem farby i pędzla, ułudą oka, a ona krasą życia, życiem piękności. Wy dzieła snycerskie, chwalą wasze rzeźby, podziwiają ale niech was nie stawiają obok doskonałej rzeźby życia jak ona. Jak na nią patrzę, dawne, ulubione myśli do głowy wracają. O tak jest, obrazy rzeźby myśl ludzka poczynała, a ręka ludzka kończyła, a ją myśl Boża utworzyła, i wola Boża na świat rzuciła. Julieto przebacz, tyś mnie kochała! a ona jak do wieszcza jak do gwiaździarza przychodzi się radzić o swoim losie, i pytać o los miłego. Pruć nożem po mojem sercu, po sercu tego wieszcza, któryby u nóg jej, chciał o wyrok na siebie błagać — u jej nóg umierać! Nauki, dostatki, sława, czemże wy jesteście? niczem — jedno spojrzenie piękności w niwecz was obraca, a jedno słowo miłości z jej ust, w wieczne zapomnienie by was pogrążyły. —

Tu drzwi się otworzyły i wszedł Żórawski: — Inocenciuszu co ci jest, tak biegasz?

Drogoń się zatrzymał: — Mikołaju, którędyś ty się zjawił, czy przez dach, jak przyjaciele Twardowskiego tu przybyłeś.

— Drzwiami jak zawsze, twój Paoli mnie wpuścił.

— Ja nie słyszałem.

— Widzę, ale ja znów mam do ciebie prośbę.

— Czy znów do jakiego anioła, do jakiej czarodziejki chcesz mnie prowadzić? Ona zdrowa? —

— Nie o kobietę tu rzecz idzie, Jan Kazimierz Król Polski chce twojej przepowiedni. —

Zaśmiał się Drogoń: — Mikołaju ty wiesz jakie nasze przepowiednie, ja między ludzi nie pojadę.

— Ja też ciebie o to nie proszę, ale powiedz co myślisz o wypadkach teraźniejszej wojny Lubomirski tego żąda, a ty wiesz że bez jego opieki już dawno Jezuici zatłumiliby nasze nauki, a ludzi nam podobnych by potępili; oni chcą żeby światło za ich zakon nie przechodziło.

— Dla Lubomirskiego nic nie mam do odmówienia, przepowiadać nie umiem, ale radę dać mogę. Powiedz Janowi Kazimierzowi niech jak przystoi na Jagiellona stanie na czele wojska i ludu, niech pobrata cały naród polski; a pobije nie

jednego ale dziesięciu nieprzyjaciół. Niech słabym nie będzie, zausznikom ucha nie nadstawia, przestępnych surowo karze, cnotę i zasługę nagradza, a przedewszystkiem niech obcym monarchom nie wierzy i na obcą pomoc nigdy się nie spuszcza. Z takiem postępowaniem, nie tylko dziś Jan Kazimierz ale w późnych wiekach najpóźniejszy potomek Jagiellońskiej rodziny zbawi Ojczyznę i posadzi jej potęgę.

— Inocenciuszu dla nas to przepowiednia i rada, ale dla nich trzeba innej. —

Inocencius otworzył księgę Liwiusza, na papierku wypisał tę parę wierszy — Wypadki temu zwycięztwo dadzą, przy czyjej stronie znachodzi się prawo i słuszność — przeczytał Żorawskiemu — zanieś im to.

— Dziękuję ci, bądź zdrów Inocenciuszu.

— Mikołaju ja ci dziękuję, tyś we mnie wlał chęć życia, nadzieję szczęścia. —

Żórawski już był na ulicy, a jeszcze ciągle powtarzał: — Dziwny człowiek, niepojęta istota; takim był zawsze, takim zawsze będzie.

VI.

Wspomnienie tylko, wspomnienie.
KAROL SIENKIEWICZ.

Siódmy raz słońce przyświeciło polskiej ziemi, od uroczystego dnia, w którym lud Krakowa szczerze i huczno wywnętrzał swoją miłość, swoje przywiązanie ku potomkowi krwi Jagiellońskiej. Przed siedmiu dniami, wesoło było w starej stolicy Piastów, wesoło było w Wawelowej siedzibie polskich Królów; zdało się wówczas że potomek Jagiełłów i lud polskiej stolicy, uczuciem serca, głosami serca przytwierdzali jeszcze i tak już zawarty pakt na wieczne czasy, między polskim narodem, a krwią Jagiellonów i zaprzysięgli w obliczu Boga, przyzywając na świadectwo Matkę Bożego Syna niebieską królowę, że razem zwyciężą albo razem zginą. A teraz, w cóż się to urocze święto radości obróciło? W mieście mieszkańcy smutni, ponurzy, jakby zaniemieli chodzą po ulicach i nic do siebie nie mówią; a z oczów niewesoło im patrzy. W zamku nie masz królewskiego dworu, nie widać krasnolicych niewiast; po dziedzińcach zbrojne żołnierstwo snuje się bezustannym ruchem a w królewskich komnatach rozgościła się starszyzna wojskowa. Lud Krakowa nie opuścił rodzinnego miasta, ojczystej ziemi, ale król praprawnuk krwi Jagiełłów opuścił krakowski lud, a może będzie musiał opuścić cały polski naród.

U spodu Senatorskiej wieży wzdłuż muru, przechadzało się dwóch ze starszyzny wojskowej.

— Wiesz Waszmość że ten wyjazd Ich Królewskich Mościów do Szląska, nie na rękę pójdzie ani im ani nam? Po co to tam się tryndać po niemieckich krajach cygańskim taborem, i wyciągać rękę o pomoc do niemieckiego Pana, jak gdyby to nas wszystkich już wybito? Cóż u licha czy w Polsce nie masz już polaków, coby ostatnią kroplę krwi przelali za Ojczyznę i majestat tronu polskiego? Aż mnie staremu jak dziecku na płacz

się zbiera, kiedy wspomnę na ten czyn Jana Kazimierza. Krew z krwi, kość z kości Jagiellona!! —

— Mości Starosto nie winujmy tyle Króla, ile tych co mu doradzali; okoliczności co go zmusiły do tego kroku. —

— Prawda, że nie moja ani Waszmościna rzecz, winować Króla pana naszego miłościwego; ale Bóg świadkiem mojej myśli, ja go kocham więcej niż siebie, bo to Król Polski. Boże mnie zachowaj od potępiania królewskich czynów, a Boże odpuść jeźli się co powiedziało przeciw majestatowi tronu; ale tak mi żal, że ni ztąd, ni z owąd, Królestwo Ichmość, Prymas, większa część Senatu i dwór królewski wyjechali do Sącza a ztamtąd do Głogowy. I Królowa Imość nie zdołała ubłagać woli Królewskiej, ona, to szczerze chciała tu zostać. O mój Boże! świętej pamięci Król Władysław tegoby nie zrobił; on by nie dbał o tych Panów, a z narodem by pozostał; bo gromada to wielki człowiek.

— Przecież pozwalasz na to Mości Starosto, że są ludzie co złe robią Polsce.

— Nie chciałbym i teraz na to pozwolić, bo to Polacy; gdyby wszyscy byli dobrzy, dobrze by to było, ale są djabły co musieli się zwąchać z cudzoziemcami; biada teraz nam osieroconym!

— Jeszcze nie ma co rozpaczać. Król w Bielanach, jak powiadają zatrzymał się, może powrócić, a Pan Kasztelan Kijowski mianowany rządcą miasta; póki z nim, póty dobrze wszystko pójdzie.

— Bogdaj to Waszmościna prawda była, ale coś to nie na to się święci, co z woza spadło to przepadło; zabrali nam Króla; możni Panowie znaki królewskie i skarby Rzeczypospolitej w swoje ręce zacapili. Czyś nie widział Waszmość jak to wszystkie te bogactwa i drogie pamiątki powieziono wczoraj do Łańcuta? Przeciw Marszałkowi Koronnemu nie mam nic do zarzucenia, ale tym sposobem podłechtuje się jego chrapkę na królewską władzę; z resztą czyż niewłaściwiej było złożyć skarb narodowy, pod strażą narodowego wojska? Hetmanowi powierzyć go w pieczę; niechby go strzegł w Krakowie tu, albo w swoim obronnym zamku w Lanckoronie?

— A prawda!

— Tak nie zrobiono; Stary Hetman ze szlachtą trzyma, do Panów niewielki ma pociąg, bo już ich sprawki uszami się mu nalały. Matacze, żeby nie ubliżyć hetmańskiej godności, wysyłają starego aby zasłaniał podróż Królestwa Ichmościów; Pan Stefan Czarniecki mniej ma powagi z urzędu, to nie obrazi ludu że nie jemu ale Marszałkowi Koronnemu powierzają znaki królewskie pod straż; i zdaje się im iż tak zrobili że i wilk syty i koza cała.

— Prawda! prawda!

— A teraz, patrz Waszmość; nie pozwolili Panu Kasztelanowi, przedziesiątkować kwarciane wojsko, ciągle powtarzając: łagodnością trzeba do ładu przyprowadzić, i cóż się zrobiło? Najlepszych pięć pułków kwarcianych, obrały sobie za Marszałka Tyrawskiego, i w miejscu bić się z wrogiem, poszły po królewszczyznach zaległy żołd wybierać. Powiadam Waszmości że serce z bólu się kraje, kiedy o tem myślę; stokroć razy wolałbym na Tatarszczyznie o głodzie i mrozie wojować, jak tu wleźć w to bezładzie.

— Tak jest Mości Starosto.

— To jeszcze nie wszystko. Za Namiestnika Hetmanowi dodali Aleksandra Koniecpolskiego wtenczas, kiedy jego braciszek Michał już ze Szwedem za Panie bracie trzyma. Moim lekkim chorągwiom, twoim kozakom kazano robić służbę piechurów i bronić miasta, wtenczas, kiedy tam jakicheś ciurów zbieraninę, na konne harce wysyłają. Powiadam za prawdę Waszmości że to sądny dzień.

— Prawda że sądny dzień. —

Wąsowicz popatrzył w oczy Teterze, pokręcił wąsa: — Cóż u licha, ja do Waszmości gadam a gadam, aż mi gardło boli, a słowa moje na Waszmościnych uszach tyle sprawują, co groch rzucony o ścianę. Waszmość mydlane bańki myślą puszczasz!

— Mości Starosto, ja wszystkiego słuchałem.

— No dajmy tam temu pokój, mój Panie mołodcze, już ja teraz jestem w domu; wiem czego Waszmość tak sumujesz; hulało się po Ukrainie, bałamuciło się kraśne buziaki: — Nagła zmiana rozmowy zrobiła nagłą zmianę na twarzy Wąsowicza i już się rozweselił.

— Wiesz Waszmość starą przypowiastkę: nosił wilk barany lat kilka, poniosą też i wilka. Nie ma rady mój Mości dobrodzieju, zakochałeś się po same uszy.

— Może!

— Nie może, ale tak jest; co ty mnie starego wygę chcesz w pole wyprowadzić? I Staroście Zakroczymski tak mi zaskakiwał. Ja pytam: kochasz się Jasiu? on powiada: w cale nie myślę, może, niebardzo; a ja zaraz poznałem, że Jegomość za hetmanówną przepada. Kiedyś z Warszawy szedł odprowadzać Królowę, to go mało djabli nie brali, i teraz toż samo słowo w słowo się powtórzyło, kiedy Paniczowi trzeba było jechać do Szląska odprowadzać Królowę, a Panna Hetmanówna z wojewodziną Wileńską udały się do Lanckorony. —

Tetera śmiał się serdecznie. — Ani słowa, że go dziarsko podłapałeś Panie Starosto; wyśledziłeś.

— Nic dziwnego! zęby się na tem zjadło. Nie wiesz o co to Starościcowi chodziło; ten młody sowizdrzał francuzki, siostrze-

niec tej starej kwoki z La-Grange, takoż cholewki smali do Hetmanówny. Francuzica jak zaczęła się porać, potrafiła swego siostrzeńca wkręcić do przybocznego orszaku Hetmana. Francuz Bóg wie za co leci szukać guza, a Starościc mało nie wściekłnie się ze złości i z zazdrości. —

Twarz Tetery schmurzała; wąsik zębami zagryzł: — Cóż to i Waszmość za Starościca się sierdzisz?

— Niech się sobie kochają, ja im nie przeszkadzam?

— Dobrze Waszmość mówisz, niech się kochają, byle mnie drogi nie zachodzili; ale przyznam się Waszmości że tak po Ukraińsku mydlisz iż dotąd zgadnąć nie mogę na kogo zęby ostrzysz: czy na francuzkę z Grosouvre, czy jak tam jej miano, czy też na Sapieżankę. —

Wypogodził twarz Tetera — którą zechcesz Mości Starosto tę mi daj; a ja wezmę.

— Tuman z Waszmości i to stepowy, ale poczekaj, dowiemy się i my kiedyś; wszystko to wyjdzie jak oliwa na wierzch. — Wtem ukazał się na dziedzińcu poważny człowiek całkiem uzbrojony: — Widzisz Waszmość Pana Stolnika Lubelskiego; to Mikołaj Gnoiński brat Samuela tego zdrajcy, co tam jest Jenerałem Szwedzkim. I Samuel Gnoiński takoż, jak powiadają, kocha się w Hetmanównie, i dla tego przeciw Hetmanowi gotów walczyć, to jego zwyczajny sposób robienia zalotów. Męża obić kiedy żonkę mu rozkocha; z ojcem się wadzić, kiedy się stara o córkę.

— Dałbym konia z rzędem żebym co prędzej z tym psem mógł się spotkać w boju.

— Nie długo będziesz czekał, bo to choć łajdak, ale za piec się nie chowa, zawsze na przedzie. A teraz powiadają że z pułkiem swoim w przedniej straży Szweda. Urżnij że go, ale po swojemu, po kozacku. — Zaczęło nachodzić mnóstwo mieszczan na dziedziniec zamkowy, i szli prosto do zamku; Wąsowicz z Teterą poszli tam także.

Burmistrz, Ławnicy Krakowa i Krakowskich przedmieść, zebrali się w komnacie gdzie przed niewielu dniami zasiadała rada Senatu. Pan Kasztelan Kijowski otoczony kilkoma ze starszyzny wojskowej wszedł takoż do tej komnaty. Wąsa podkręcił: — Mościpanowie bracia, z woli Króla Jegomości miłościwego nam Pana, mianowany zostałem rządcą miasta, i dowódcą straży tej odwiecznej stolicy naszego narodu. Nie taję przed wami że liczny i dobrze uzbrojony wróg nam grozi; i tego nie taję, że wielu z naszych współbraci uwiedzionych występnemi widoki, albo ulęknionych strachem poniżającym polaka, odstąpili prawego naszego pana, zawinili Ojczyznie, i nikczemnie przyjęli złużbę u najezdnika. Mościpanowie bracia, serca nie traćmy! nie liczba bije ale męstwo; przy dobrej woli w poczciwej sprawie, nie masz rzeczy którejby człowiek nie-

dokazał na tym świecie. Ale Mościpanowie bracia, Ojczyzna za tyle datków nam danych dziś ofiar wymaga; dla zabezpieczenia stolicy, kazałem wszystkie domy przedmieść przytykające do murów miasta porozwalać i popalić; waszej pomocy potrzebuję do napraw murów, a z resztą w Bogu i w naszej szabli nadzieja, że wszystko dobrze pójdzie. —

Bez namyślenia się wszyscy tłumnie odpowiedzieli: — Niech wszystko nasze ginie, byle Ojczyznę ocalić, byle stolicę naszych Królów od świętokradztwa wrogów zachować. Jaśnie Wielmożny Kasztelanie, myśmy gotowi na twoje rozkazy. —

Jeden tylko ławnik pobladł i milczał, był to bogaty niemiec ze Stradomia; ale krakowiak obok niego stojący szturchnął go pod bok: — Niemcze pludrze, nie bój się; jak Szweda pobijemy, to ci wystawiemy za jeden, pięć takich domów jaki teraz masz. —

Na rabej twarzy Kasztelana uśmiech zagrał, ale on nie chąc pokazać że to uważa, stuknął szablą: — Dziękuję Waszmość Panom braciom, imieniem Ojczyzny, imieniem Krola Jegomości.

— Gdyby to Król Jegomość był nas nie opuszczał — odezwał się inny z Ławników — kijami, ożogami byśmy bili Szweda, i my i nasze żony i dzieci. A to pojechał do Niemców, Bóg wie na co i po co.

— Potrzeby kraju zmusiły Króla Pana nam miłościwego do wyjazdu, ale on powróci między swoje dzieci; a co do Szwedów, Bogu chwała, cześć polskiemu orężowi, pokazaliśmy że to Szwedziki nie Szwedy, i teraz Boga wezwawszy na pomoc, pokażemy im to samo; nie turbujcie się Mościpanowie bracia, Bóg dał, Bóg da. —

Niskim pokłonem mieszczanie pożegnali Kasztelana Kijowskiego i wyszli, a wychodząc jeden drugiemu powtarzał: — Król powróci. — Ta wieść zdjęła ciężar smutku z ich serca, i raźnej otuchy dodała.

Kasztelan obrócił się do Starszyzny: — Mościpanowie, dzielny lud, wszystko dla Ojczyzny poświęcić gotów; taki lud, taka szlachta na całej Wielkiej Polsce. Nie oni winni, ale te psy przeklęte co ich na złe poprowadzili. —

Jeszcze jedna godzina nie upłynęła, a już mieszkańce krakowskich przedmieść własne domy palili i rozwalali; żony zaś i dzieci biegły z taczkami i z koszami naprawiać zaniedbane wały miasta, i wszyscy nieśli tę posługę Ojczyźnie ochoczem sercem, skwapliwą ręką.

Nad Stradomiem, nad Piaskiem, nad Kleparzem wznosił się zwolna kłębiasty dym, i rozwlekał się po powietrzu: na tem burem tle iskry poczęły migotać i przepadać; nareszcie setne płomyki buchnęły, strzeliły w górę, jedne ku drugim się słaniały, w końcu pożar rozwinął się jednem szerokiem jaskrawo

czerwonawem łunem. Gorą przedmieścia; na dalekie okolice pożar kłębami domu i błaskiem płomieni popłoch i trwogę roznosił. Jan Kazimierz to widział z okien Bielańskiego klasztoru; ojcowskie jego serce zabolało, łzy zrosiły oczy, chciał wracać między swoje dzieci, których sądził być w niebezpieczeństwie, ale niebaczni doradce na klęczkach uprosili Króla, aby w dalszą podróż się puścił przez Tarnów ku Szlązkowi.

W chwili pożaru, Szwedzi z Promnika przyciągnęli pod Kraków, a hrabia Salzbach i Samuel Gnoiński dowódcy przedniej straży zajęli swojemi pułkami niepopalone domy na Kleparzu. Sam zaś Karol Gustaw puścił się w pogoń za Janem Kazimierzem.

Kilka dni ledwie upłynęło, kiedy Tetera na czele kilkuset konnych mołodców wracał ze zwiad od strony Bochni. Silny wiatr dął od Karpatów, niebo zasunęło się czarnemi chmurami, nie widać ani księżyca, ani gwiazd; w dali gdzieś na Węgierskiej krainie gromy po gromach huczą stłumionym i przedłużonym rozgłosem, i błyskawice migocą przerywanym wężykiem po za stromemi szczytami gór. Kozacy patrzą na to zbliżanie się burzy i tęskno im za rodzinną Ukrainą. Tam na stepach, nago i jaśnie, widać błyski gniewu bożego; głośnie i dobitnie słychać gromy niebieskiego głosu. Tam burza może sobie roskosznie, swobodnie pohulać; jak daleko, jak szeroko, tak nie znajdzie zapory swojej pohulance. A tu? ani oku ludzkiemu, ani niebiańskiej burzy, nie ma gdzie się rozhasać. W którą stronę się obrócić,, wszędzie kres, wszędzie tama, jak w więzieniu; nawet duszno kozaczym piersiom. Zdaje się że nie mogą się rozdąć szeroko, boby zabrakło przestrzeni na pęd ich odetchnięcia. Jakże to gorzko synowi stepu pomyśleć, że może sie nie doczeka, aby raz jeszcze przed śmiercią zakrólować okiem bezgranicznym przestrzeniom rodzinnej ziemi?

Głęboko się zadumał Tetera; zadumał się i skarogniady. Skarogniady pewnie marzy o ukraińskich stepach, o tabunowych braciach; bo wnurzył głowę ku ziemi, i kiedy niekiedy, zadzwoni wędzidłem i wstecz spojrzy po za siebie. Tetera pogląda ku Karpatom okiem i nic w ciemnościach nie widzi, ale myślą zajechał do Lanckorony; przebiega po komnatach zamkowych, wita urodziwą hetmanównę, podziwia jej krasiwe wdzięki, rozmawia z nią o dawnych ubiegłych dziecinnych czasach, a Dniestrowe brzegi, Pobereże, Ukraina, obrazem życia wymalowały się w jego pamięci. Przypomina sobie, jak w Kitajgrodzie, on młody chłopczyna, nosił na ręku malutką Joasię, dla niej cacka dostawał, słodycze znosił, rwał jagódki i ptaszęta z gniazd wydzierał. Szczęśliwy uśmiechem, pieszczo-

tami drobniutkiej siostrzyczki, tak mu wtenczas Hetman pozwolił nazywać swoją dziecinę. Pierwsze przebąkiwania ust Joasi były dla niego; dziecina na pierwszą próbę swoich kroków nieśmiałem i drobniutkiem stąpaniem biegła do młodego braciszka, rączęta do niego wyciągała i za nagrodę czepiała się mu na szyi; później dla młodziutkiej dziewczynki, po łąkach zrywał kwiatki na wianki, nócił dumki ukraińskie, i nieraz dla jej zabawy, po dziedzińcu harcował konikiem; dla niego pierwotny rumieniec niewinnej radości szczerego podziękowania krasił twarzyczkę dziewczynki, dla niego pierwszy krzyk przestrachu z jej piersi się wydobył, kiedy on już mołodziec zaczął susami i zwrotami miotać koniem po szalonemu. Na śpiew jego, serce jej się rozczulało, a łza rosiła błękitne oczy. Na jego opowiadania o dawnych ukraińskich dziejach, odzywała się w niej krew Przecława Lanckorońskiego pierwszego Attamana Zaporoża, i oko już nie dziecinnym ale dziewiczym blaskiem połyskało. Na przemiany w niem się przebijała duma ze wspomnienia o rycerskich czynach przodków, to słodycz w hołdzie dawnemu szczęściu, ubiegłej swobodzie Ukraińskiego ludu, to smutek serdeczny na objawienie żałośnego współczucia cierpieniom jakich doznawali nieraz kozacy od braci Lachów. Czasami zaś w tych błękitnych oczach, błyszczała pokorna prośba do Boga, o ostateczne pobratanie synów jednej matki. Lubił patrzeć wtenczas, a teraz przypominać sobie tę grę uczuć na twarzy, w oczach młodocianej dziewicy; lubił słuchać jej śpiewu, patrzeć na postać wzrastającą w krasę i urodę; podziwiać serce anielskiej dobroci, i duszę zamożną we wzniosłe myśli, w nieskazitelne cnoty. Pamiętał, jak Hetman cieszył się tem i powtarzał przyjaciołom — kochają się jak brat z siostrą, i ja ich tak kocham jakby oboje byli mojemi dziećmi: — Potem, przypominał jak z Hetmanem wyjeżdżał na wojenne wyprawy, a Panna Joanna dawała mu obrazki świętych, święcone paciorki, pierścionki, szkaplerze, aby go broniły od śmierci i przypadku; a kiedy przyjeżdżał, jaka radość swobodna w powitaniu? — On jej opowiadał o wojennych sprawach, o dziwnych przygodach, a nadewszystko, o ciągłej myśli o niej. Ona mu wzajem się zwierzała, ile dni przeliczyła w niepokoju o ojca, o niego; ile pacierzy, ile nowem odmówiła za ich życie, za ich zdrowie, jak często dawała pieniądze na mszą świętę i na jałmużny ubogim, aby swoje prośby do jej próśb łączyli. Nawet i to mówiła, jak ulubionego charta Tetery piastowała, jak doglądala jego sokoła. Końca nie było tym rozmowom; nigdy nudów, zawsze słodko, lubo, a jeźli czasem mała zwada, nic nieznaczący dziecinny spór, zamąciły dobrą zgodę, to oboje wracali do niej po krótkiej chwili, z równem upragnieniem, z równą skwapliwością. I dalej a dalej pędzili godziny wsród tego uroku

czarownego życia, jeszcze z większą swobodą, z większem wylaniem się uczucia, zwyczajnie jak ludzie co biorą na powrót puhar ze słodyczą po chwilowem zmaczaniu ust w goryczy.

Słodko to snuć myślą złote przypomnienia miłości takiej siostrzyczki. Teterze słodko było na sercu, a w duszy lubo, roskosznie, choć trochę smutno; bo natrętna myśl się nawija: może Panna Joanna nie będzie już taką siostrzyczką.

Syn stepu marzył nie o dzikiej wojnie, nie o bogatych zdobyczach, jak to obyczaj ukraińskiego człowieka; ale o błogich chwilach życia, o miękkich uczuciach serca. Wtem jakiś koń koło jego konia się otarł, głos gromki zabrzmiał mu nad uchem: — Ojcze Watażko już Podgórze.

Ocknął się Tetera jakby ze snu, myślą przeklął starego Owsija, za to że mu przerwał czarodziejską nić marzeń; ale ręką jakby z nałogu baranią czapkę poprawił: — Most już musi być dawno zwiedziony, zejdziemy nad Wisłę i tam przenocujemy.

Kilku jezdców skoczyło przejrzeć przedmieścia, a cały hufiec spuścił się nad rzekę i tam na noc stanął. Sam Tetera czaty rozstawił, i baczność nakazał. Konie jak w takt chrupocą zębami owies, a mołodce założywszy cugle uzd na ramiona śpią snem smacznym, i śnią o jednej a tejże samej dumie — o rodzinnej Ukrainie.

Teterze na sen się nie zbiera; przerwane marzenia, jak pożądani goście znowu zawitały do myśli. Wstał i zbliżył się ku korytu rzeki; z tamtej strony w Krakowie, gdzie niegdzie jeszcze światła w oknach błyszczą, i ogniska straży silnym wiatrem głaskane po nad ziemią ścielą sie płomieniem. Wisła jak czarna wstęga płynie, a jej wody środkiem koryta warzą się i kipią; w kilku miejscach przy bladawym płomyku ognisk, cienie murów olbrzymiemi kształty kładąc się na wodę, malują się czarniejszą barwą od wstęgi rzeki; jak duchy widać przechadzające się straże po wałach, ciemne ich postawy czasami tylko odblaskiem ogniska migną, słychać ich mierzone kroki, i często powtarzane — kto idzie? Słychać warczenie wody, szum jej, rozbijania się o nadbrzeżne skały, i polizywanie piaczczystych brzegów. Z dala dolatuje rozgłos grzmotów, a czasem błyskawica zabłyśnie i na mig jeden myśli, rozświeci Kraków, Podgórze, stanowisko kozacze, koryto rzeki i całą okolicę. Tetera na to wszystko patrzy, swoje marzy, i idzie brzegiem, bo nogi jego chcą gwałtem iść drogą myśli bieżącej w krainę przeszłości; nadszedł do jakichś skał, i przypomniał sobie że to katedra Twardowskiego, miejsce gdzie ten mistrz czarnoksięzkiej sztuki miewał swoje posiedzenia z djabłami. Serce Tetery stu ludzi zbrojnych by się nie ulękło, a jednak koło tego djablego harco-

wiska, mocniejszym ruchem zastukało w piersiach, i włos na głowie trochę się podjeżył. Wtem błysnęło, i w oczach mu zamajaczały trzy czarne postacie; jedna krzyknęła — uciekajmy — to głos ludzki, głos kobiecy; mimowolne zatrwożenie się, głos niewiasty, takie zrobiły wrażenie na Teterze że skoczył we tę stronę, myślą poleciwszy się Bogu, a ręką dobywszy szabli. Drugi raz błysnęło, i już nie widział postaci; czy między skały się skryły, czy w ciemię zapadły, niewiadomo. Tetera po trzykroć razy krzyżem się świętym przeżegnał, jakby czarta od siebie odganiał; coś zachlupało po wodzie, znowu błyskawica mignęła, ujrzał czółen na Wiśle, jak mknął z pędem wody, i wyraźnie rozeznał w niem trzy czarne postacie. Kilka głosów z wałów zakrzyczało: — Kto idzie? — żadnej odpowiedzi z czółna. Na wałach nagle kilka ogników zabłysło, kilka strzałów huknęło, i kule zapluskały w wodzie, ale z czółna ani głos, ani krzyk słyszeć się nie dał. Nieprędko nowy blysk zawitał, ale tą razą już nie było widać, tylko jakby czółen zamajaczał przy lewym brzegu Wisły, w miejscu gdzie jeszcze stały domy Kleparza, i gdzie nie było ani polskich ani szwedzkich straży. Te postacie, ten głos niewieści zaprzątnęły myśl Teterze; boi się, czy to nie przepowiednia złej wróżby: nie dla niego, bo on o to nie dba, ale dla siostry jego młodocianych lat. Jakby na zapewnienie się spojrzał w stronę ku Lanckoronie — tam ciemno. Westchnął, i dalej dumał aż do białego dnia, a wszystko o siostrzyczce swojego serca, i zagniewał się nawet na dzień że mu miłe dumanie przerwał. Popatrzył na piasek, nie kurze nogi, nie koźle stopy, ale wyraźnie ślady ludzkie. Jeden ślad kobiecych stóp przybranych w małe obuwia. Tetera pokręcił głową, ruszył ramionami i wrócił do stanowiska mołodców; tam spostrzegł nowo przybyłego jeźdca, spojrzał mu w oczy: — Żeromski co tu robisz? co tam słychać?

— Źle słychać, rozbito nas pod Wojniczem; Koniecpolski zdradził, przeszedł na stronę Szwedów z połową kwarcianych.

— A Hetman?

— Ledwie życie uniósł z pola bitwy; w okolicach Sanoka kazał zbierać się niedobitkom.

— A w Lanckoronie co się dzieje?

Przebiegałem tamtędy, zamek cały, i wszyscy zdrowi: — Nie pytał dalej Tetera, ale widoczna trwoga z twarzy jego ustąpiła miejsca smutnemu zadumaniu się. Po chwili znowu zapytał: — A Hrabia z Châtre z Hetmanem?

— O nie, to licho gdzieś tam zaginęło; musiał się Szwedom dostać: — Zarumienił się Kozak i zaweselał, kazał na koń siadać i wracał do Krakowa. —

Już dzień na dobre zajaśniał, słońce mocarz światła powiedziało ludziom patrzcie i żyjcie. Od dawna też ruch zapanował w szwedzkim obozie. Od Kleparza wzdłuż polskiej Wisły, stały porozbijane nie polskie namioty, koło nich przechadzał się skandynawski knecht, albo przejeżdżał ciężkim koniem, rajtar najemny z Niemiec. Ale jakież to konne znaki dalej widać było na polu? to polskie znaki, polskich panów, bez czci i wiary, co odstąpili ojczystej sprawy, zaparli się prawego króla i nikczemnie służą za złoto, za obietnice i ze strachu obcemu panu, zawłaszczycielowi polskiej ziemi; to kwarciane wojsko wciągnięte do zdrady, przez wodzów zdrajców. Ci ludzie patrzyli na Kraków, stolicę Piastów i Jagiellonów, którą lada chwila mieli wydzierać matkobójczą dłonią prawym dzieciom Ojczyzny; a głos sumienia nie zagadał do ich serca słowami żalu i pokuty. Nie — bo jeszcze łaska Boża nie spłynęła na te dusze pjane występkiem którym go uraczyli możni zbrodniarze. Sromota tym zbrodniarzom! Radziwiłły, Koniecpolscy, Korycki, Gnoiński i inni im podobni panowie i szlachta polscy, podle korzą się obcemu panu, nie śmieją dobrze sobie znajomem spojrzeniem dumy odeprzeć wzroku urągania się i pogardy najlichszego Szweda. A oni Jaśnie Oświeceni i Jaśnie Wielmożni? biada im — zbrodnia i podłość przyćmiły starodawną jasność ich rodów, skarliły godność jaką żywili niegdyś w sobie, póki się nie rozwiedli z dobrą czcią, z prawem sumieniem.

Ze wszystkich tych występnych Polaków, sam tylko Samuel Gnoiński nieprzybrał niemieckiego stroju, i dumę bezczelności stawiał do walki przeciw dumie pogardy. Zuchwały szlachcic, zawzięty w swojej nienawiści ku Czarnieckich rodowi, bo mu się przyroiło że na raz dowództwo pułku i pannę mu wydarli, ani przypuszczał w swojej myśli aby on był zdrajcą, spodlonym człowiekiem. Z dobrą wiarą chciał Króla Jagiellona zepchnąć z tronu a innego na jego miejsce posadzić, całą gębą chciał używać przywileju szlachcica polskiego, którym od dzieciństwa karmiono jego ucho. Masz prawo do korony, boś szlachcic polski, ale lepiej rób królem kogo ci się podoba; mniejsza o to czy zły, czy dobry będzie dla Ojczyzny, byle dogodził twojemu widzimisię. Przechadzał się po swojem mieszkaniu i mruczał pod nosem: — Ha, Panowie Czarnieccy, zobaczymy, nie długo i wam i eks-Jezuicie podzwonne zadzwonią; waszem wodzeniem reju kościąście nam w gardle stanęli, teraz my wam staniemy kością w gardle. Ale ta przeklęta baba, czarownica! — gdyby nie ona, wszystko było by dobrze poszło. Cóż robić? stało się — gdzie nie można po dobrej woli, tam trzeba użyć gwałtu: — Stuknął ręką w szerokie czoło — co Gnoiński chce to i zrobi.

Wtem drzwi się otworzyły i wszedł mężczyzna po niemiecku

wykwintnie przybrany, silił się twarzą udawać słodycz, uśmiechem przymilenie. — Panie Starosto, przychodzę tobie podać rękę zgody, zapomnijmy dawne rzeczy, teraz jednemu Panu służymy.

— Mości Podkanclerzy mylisz się, ja żadnemu Panu nie służę i służyć nie będę.

— Przepraszam, omyliłem się, chciałem powiedzieć przeciw jednemu Panu walczymy.

— Tak, Waszmość Pan słowem, a ja szablą.

— Ale to słowo wznieciło wojnę, i to słowo wiele jeszcze dokazać może. Porzućmy te niepotrzebne przymówki; a pomówmy z sobą szczerze. Możemy sobie nawzajem być użytecznymi, ale naprzód trzeba abyśmy zapomnieli, że ja jestem Radziejowskim mężem wiarołomnej żony, a ty Panie Starosto jej kochankiem; ja z mojej strony wszystko zapominam.

— I ja chciałbym zapomnieć że ta kobieta żyje na świecie; ale dajmy pokój temu Mości Podkanclerzy, siadaj i mów czego odemnie żądasz?

— Przymierza. Wiesz że Czarnieccy i Jan Kazimierz tak mnie nienawistni jak i tobie. Prowadziłem Króla Szwedzkiego na tron Polski, dotąd wszystko szło pomyślnie; ale przed kilką dniami syn Kaliskiego Wojewody, poduszczył szlachtę do napadnięcia na straż szwedzką w Kościanie, gdzie wszystkich w pień wycięli, nie przepuszczając nawet Fryderykowi z Nassau pokrewnemu Karola. Mniejsza o śmierć kilkuset ludzi: groźnym listem napisanym w imieniu Króla szwedzkiego, zgromiłem Wielkopolskę szlachtę, znów do posłuszeństwa wrócili, ale to zły znak, i dla tego tu przybyłem.

— Mości Podkanclerzy nic z tego nie rozumiem; szlachta poszalała, Waszmość ją uspokoiłeś; trzeba było ukarać. Cóż to ma za związek z naszem przymierzem?

— Ma związek, i wielki. Wielkopolska szlachta pokazała że można ją obałamucić, znękać nawet, ale ujarzmić trudno albo i niepodobna. Dla człowieka co wiele rzeczy widział, zna ludzi i wypadki, ta Kościańska przygoda jest nieomylną wskazówką że nie przyjmie się w Polsce narzucony Pan, choćby tylu miał żołnierzy ile jest ludności w naszym kraju. I raz, i drugi, i dziesiąty można powstrzymać szlachtę, ale jak się kiedyś rozhuka na dobre, to zrobi koniec obcemu panowaniu; i dla tego wątpię aby Karol się utrzymał.

— To obierzemy innego Króla.

— Obierzemy, albo raczej obiorą. Jan Kazimierz którego dziś Karol Gustaw zbił i wypędził, nie widząc nawet, może wrócić do korony, a wtenczas Czarnieccy staną się jeszcze przemożniejszymi, a skojarzywszy się pokrewieństwem i zagarnąwszy skarby Hetmana Lanckorońskiego, dopiero się dadzą we znaki. —

Gnoiński porwał się z miejsca: — Na to nie pozwalam, Jan Kazimierz nie wróci do Polski, Czarnieccy nie podniosą głowy, choćby mnie przyszło moją głową nałożyć.

— Łatwo nie pozwalać słowem, można i życie stracić w obronie tego słowa: ale to nie jest sposób zrobić swoje.

— A jakiegoż mamy użyć?

— Przygotować nowego współubiegacza do korony, i to tak, aby on w to wierzył, że nie kto inny tylko my go robimy Królem.

— Czyż mamy Niemca albo Moskiewskiego cara do kraju wprowadzać?

— Tak daleko szukać nie potrzeba; i z resztą wszczynając wojnę między dwóma obcymi współzawodnikami, moglibyśmy usłużyć mimowolnie Janowi Kazimierzowi. Nasz człowiek jest bliżej nas. Mówmy bez ogródki, Panie Starosto, ty masz wstęp do Marszałka Koronnego.

— Miałem, ale może teraz i nie mam po tem co zaszło.

— To mała rzecz, wielcy panowie nie gniewają się za odstąpienie Króla, z resztą żyjesz w przyjaźni z Drogoniusem, z Żórawskim. Marszałek usiłuje uchodzić za uczonego człowieka, za opiekuna nauk; trzeba wmówić w dwóch krakowskich mędrców, że raz Jerzy Lubomirski na tronie, Polska zakwitnie w światło i nauki, wszyscy jej mieszkańce staną się filozofami; oni rozdmuchają w nim i tak już zapaloną chętkę do korony. W takim razie gdyby się z Karolem nam nie udało, stawilibyśmy na harc Jerzego. Czy jeden, czy drugi, zawsze by nam był obowiązanym.

— Mości Podkanclerzy a wiesz że o tem, że Jerzy Lubomirski zalecał się do twojej rozwódki?

— Słyszałem o tem, to nam nic nie zaszkodzi, ale pomoże; moje imię nosi, wywyższenie moje będzie jej pochlebiać. Zresztą kiedy zechce gotowem ją przebłagać; ja nie jestem zawziętym, moje rady byłyby może nieraz użytecznemi dla niej. Ciebie Panie Starosto ona kocha jeszcze, Jerzy Lubomirski choć w pierwszej chwili udał obojętnego, nie wierz temu: u wielkich panów im co trudniejsze, tem ponętniejsze; żeby się pozbyć współzalotnika natychmiast ciebie ożeni z Lanckorońską. —

Widać że ta mowa trafiła w myśl Gnoińskiego bo trochę rozpogodził czoło: — I cóż chcesz Panie Hieronimie abyśmy zrobili?

Uśmiechnął się Radziejowski: — Oto naprzód Panie Samuelu, abyś mnie zaprowadził do Drogoniusa i dopomógł rzucić pierwszą myśl naszego zamiaru, a potem naradzimy się o reszcie.

— Dobrze, a kiedy chcesz?

— Dziś wieczorem.

— Zgoda, czekam ciebie.

— Bądź zdrów, muszę iść i czekać przyjazdu naszego dzisiejszego Króla. — Uściskali się jakby najlepsi dwaj przyjaciele. Gnoiński to wykonał ze szczerą myślą, ale Radziejowski pomyślał sobie: poczekaj paniczu, powetuję ja za swoje; jak Szwed zostanie panem, potrafię ciebie zaprowadzić gdzie ani się spodziewasz; jeźli Lubomirskiemu dostanie się korona, to ty nie wiesz mój panie szlachcicu, że się nie mszczą nad mężem oszukanym, odepchniętym, pomiecionym, mają dla niego litość, ale inaczej się dzieje z kochankiem kochanym a wiarołomnym. —

Tylko co Gnoiński zaczął rozpamiętywać nad temi dziwnemi odwiedzinami człowieka, który powinien był być zaciętym i śmiertelnym jego wrogiem, kiepy nowy widok przedstawił się jego oczom. Kuternogi szlachcic, prowadził na sznurze starego rabina Becala, gdyby hycel psa wołokitę złowionego koło jatek. Żyd niby się ociągał, a szlachcic podkręcał rudy wąs i bundziuczył się. — Jaśnie Wielmożny Panie Jenerale i Starosto, milion pareset bomb, na rozkaz pański przyprowadziłem tego parcha; ale niech mi tyle łask Jaśnie Wielmożnego Pana towarzyszy, ile miałem kłopotu z tym psem, jak z tabuńskim koniem.

— Co Waćpanu się stało, oszalałeś, ani mi się śniło żadnego rozkazu dawać, a to mi licho wsadziło Waścia na kark. —

Żytkiewicz się wyprostował: — Jaśnie Wielmożny Panie, ja spełniłem rozkaz, milion pareset bomb, jak przystało na żołnierza.

— A przeklęty łgarzu, nie pójdziesz że mi ztąd precz — i Starosta podniósł w górę żylastą rękę. —

Becal zawołał: — Niech się uspokoi Jaśnie Wielmożny Pan, ja powiem jak to było, tylko Żytkiewicz niech ztąd wyjdzie, a na mnie czeka w sieniach.

Starosta odstąpił parę kroków w tył: — Wyjdź Waszmość ztąd.

— Słucham Jaśnie Wielmożny Jenerale, milion pareset bomb, będę stał na warcie w sieniach. Niech Jaśnie Wielmożny Jenerał spuści się na mnie, jakem Julian Żytkiewicz, nie wymknie mi się żyd, zaprowadzę go gdzie rozkażesz choćby i do piekła — a spostrzegłszy marszczenie się szerokiego czoła Starosty, wyniósł się za drzwi. —

Gnoiński zżymnął ramionami: — A to mi kara Boża z tym łgarzem; cóż on tam nawyrabiał?

— Nu, Jaśnie Wielmożny Panie, on teraz doskonale się popisał; ja miałem coś pilnego pogadać Jaśnie Wielmożnemu Panu, a tak samemu z Kazimierza przyjść, to niebezpiecznie; bo i Szwedzi gotowi obić i obedrzeć; i raby Kasztelan co z nas

żydków, nieboraczków, wyciska a wyciska pieniądze, tak iż niezabawem zostaniemy bez grosza, goli jak po narodzeniu matki: jakby się dowiedział że rabin Aron Becal, sam dobrowolnie poszedł do szwedzkiego obozu, tego by mu tylko było potrzeba; jużby on mnie przydusił po swojemu. Nu, tak ja mówił do Żytkiewicza: Słuchaj Waszmość Mosanie Żytkiewicz, weź mnie niby to gwałtem i zaprowadź do Jaśnie Wielmożnego Starosty Gnoińskiego, bo to idzie o rzecz. On Julian Żytkiewicz, to taki łgarz, jak co z siebie albo z drugiego zełże; to wierzy że tak było, i dałby się zabić za to. Nu, naprowadził takich szubrawców jak on, narobił krzyku, harmideru, aj waj, i tu mnie jak ciele na postronku przyprowadził. Na całym Kazimierzu, wszyscy uwierzą że to gwałty szwedzkie, i do rabego Kasztelana pewno to dojdzie, że biedny Becal tak cierpi za Polskę, i za Jana Kazimierza. —

Starosta, choć to nie jego nałogiem rozweselać surową twarz, tą razą nie mógł wstrzymać się od śmiechu: — Komu by to do głowy przyszło? cały pies z ciebie; dobrałeś sobie tego Żytkiewicza, nie ma co mówić, wybornie! Ale cóż tam powiesz? gdzie hetmanówna?

— No, właśnie o tem przyszedł ja mówić: ona w Lanckoronie z Wileńską Wojewodziną. Stary Hetman dużo tam nasłał swoich kozaków na obronę, i nikogo tam nie puszczają ani przybliżyć się. A gdyby to można tam zajechać?

— Trudno. Zamek obronny, hetmańscy kozacy nie z kata się biją, znam ich dobrze; zresztą jak powiadasz i ptaka tam nie wpuszczą.

— No, ale ja tam kogoś mam co wszystko dla mnie zrobi; gdyby do tego kogoś jeszcze kogoś posłać, możeby się i udało.

— Cóż to za ktoś?

— No to ktoś taki, mój dobry przyjaciel, człowiek co dla mnie i djabła gotów w nogi całować.

— I kogóż tam poślesz i po co? Nie wiesz czy Hetmanówna mnie kocha; a listu nie mam potrzeby posyłać, a ten ktoś twój i jeden i drugi panny nie wykradną.

— Już Jaśnie Wielmożny Pan mnie to zostaw, ja to wszystko ułożę. Co potem trzeba będzie zrobić? tylko jeden mały warunek?

— Cóż tam znowu za warunek?

— Mały warunek; taki. Ja przedał Wojewodzie Sandomirskiemu Panu Zamojskiemu do jego tej fortecy Zamościa, trzy tysięcy korca owsa i dwa tysięcy pszenicy; a mój syn przyrzekł dostawić Szwedom do Lublina pięć tysięcy korców owsa, i trzy tysięcy przenicy, i na wszystko my pobrali już zadatek. Niech Jaśnie Wielmożny Pan wyda mnie kwity do

swoich ekonomów w Hrubieszowskim, aby mnie to wszystko dostawili.

— Zapłać a ja kwity wydam.

— Nu, ja zapłacę panną Hetmanówną, Jaśnie Wielmożny Pan ją będzie miał.

— Szukaj sobie drugiego Żytkiewicza ale nie mnie, żeby ci uwierzył.

— Jak Jaśnie Wielmożny Pan chce, ja klnę się na cherym, na moją Surę, na bachury, że co przyrzekam, to dotrzymam.

— Dajże ty mnie pokój; nie twój rozum, ani twoje sposoby, na takie rzeczy.

— Czasem malutki człowiek ani z pierza, ani z mięsa, a więcej zrobi, jak jaki wielki i potężny mocarz; proszę Jaśnie Wielmożnego pana się nie gniewać, ja kłaniam i wychodzę. —

Starosta przeszedł się po izbie: — I jakież to te twoje sposoby rabinie, powiedz?

— Nu ja jeszcze sam tego nie wiem, ale dosyć że zrobię; ale już się rzecz skończyła. Jaśnie Wielmożny Pan tego nie chce, ja wychodzę, kłaniam.

— Zaczekaj, a jak nie zrobisz?

— To Jaśnie Wielmożny Pan zrobi ze mną co zechce; można mnie wbić na pal, na kawałki poćwiertować, ja wtenczas nic nie powiem.

— Starosta przechadzał się po izbie, a żyd za nim okiem wodził, i ile razy szlacheckie plecy zobaczył, to tyle razy chytrze się uśmiechnął i lewą dłoń podrapał jakby na znak że będą się liczyć pieniądze. —

Starosta się zatrzymał: — Aronie i jakąż mi dasz pewność z twojej strony?

— Moje słowo. Cóż to, czy my ostatni interes z Jaśnie Wielmożnym Panem robiemy?

— Czy ostatni, czy nie, ja ci przyrzekam że dam coś żądał, dwa i trzy razy tyle jak będę miał hetmanównę. Moje słowo szlacheckie więcej przecie warte jak twoje żydowskie.

— Nu ja to wiem, niech pejsachu nie doczekam jeźli inaczej myślę; ale mnie potrzeba owsa i pszenicy zaraz, a Jaśnie Wielmożny Pan masz mnie zawsze w ręku, na każde swoje zawołanie. Czyż to biedny żydek, śmiałbym oszukiwać takiego wielkiego mechesa, jak Jaśnie Wielmożny Pan?

— To prawda że w każdym razie mogę ciebie powiesić. —

Siadł przy stoliku i pisał. Kaprawe oczy żyda zaiskrzyły się radością, Starosta napisał, odczytał, przyłożył swoją pieczęć: — Aronie, masz, ale pamiętaj. —

Rabin schwycił za kartkę, jak zgłodniały pies za kość, nie czytał nawet, on wierzył szlacheckiemu słowu: — Niech Jaśnie Wielmożny Pan śpi spokojnie, wszystko pójdzie jak po mydle; teraz kłaniam. Jutro albo pojutrze przyjdę; niech

mnie Jaśnie Wielmożny Pan każe odprowadzić temu Żytkiewiczowi, za straże Szwedzkie, a stamtąd już ja niby to ucieknę. —

Hej Mosanie Żytkiewicz! — i kuternogi piorunem przed Starostą stanął: — Milion pareset bomb, co Jaśnie Wielmożny Jenerał rozkażesz?

— Odprowadzisz Rabina i zrobisz to co ci on powie, a to masz dla Waści na miód — i dał mu w rękę kilkanaście tynfów. —

Żytkiewicz ścisnął garść a drugą ręką za kolana Gnoińskiego ułapił: — Upadam do nóg Jaśnie Wielmożnego Jenerała, milion pareset bomb Becaluniu, to prawda że kto ma pobrzękacze to ma i posługaczy, a teraz wybierajmy się, hajda w drogę — i ręką sięgnął do karku żyda.

Rabin niziutko się kłaniał: — Pod stopy Jaśnie Wielmożnego Pana się ścielę, wszystko dobrze pójdzie.

— Pamiętaj, bo inaczej to będzie źle z nami; ja nie zwykłem żartować. —

Wyszli żyd z Żytkiewiczem, a Gnoiński znowu chodził po izbie, ale tą razą weselszej myśli, jak po rozmowie z Radziejowskim. To mi pewniejsze, jak te zaskoki Radziejowskiego. Jak żyd nie zrobi, to djabeł by tego nie zrobił. Z resztą mając hetmanównę w ręku, łatwiej będzie o reszcie gadać; bo to sęk, o co wszystko by się rozbijało — niech Radziejowski kluczy po swojemu i z tego może się uda co wycisnąć. Drogonius dla mnie wszystko zrobi, dawny znajomy i przyjaciel; teraz ochroniłem jego dom szwedzkiego posterunku. Może sobie bezpiecznie topić złoto i robić złoto, a ludzie jego gatunku wdzięczni za każdą posługę. Gdyby Lubomirski został Królem, nie byłoby źle; Czarnieccy by raz na zawsze w łeb wzięli, a i ta djablica zostawszy kochanką królewską odczepiła by się przecie odemnie. Zaprowadzę Radziejowskiego do Drogoniusza, oni się z sobą zrozumieją; muszę też pójść powitać zwycięzkiego Szweda — zamyślił się: — Brzydka to rzecz dla polaka — i znów zrobił kilka kroków: — On się bije przeciw Janowi Kazimierzowi, a tem samem przeciw Czarnieckim? — koniec końcem nie czas się cofać, już się stało. — Wziął czapkę i wyszedł.

Wieczorem Samuel Gnoiński i Hieronim Radziejowski obadwa wychodzili z pod namiotu Szwedzkiego Króla. Podkanclerzy rozważny, przebiegły, dwa razy zawsze myślał nim co postanowił: a robiąc zostawiał zapas do nowej roboty gdyby się ta nie udała. Waśnił się i godził z ludźmi, a nawet im sprzyjał albo szkodził, stosownie do potrzeby swoich zamiarów. U niego wszystko głowa pracowała, a serce nic nie miało do

roboty. Starosta przeciwnie, burzliwy, bezhamulczej woli, nie słuchał, tylko głosu namiętności; przewidywać, układać nie umiał, jeźli mu się czasem przymarzyło, że on rozważał: to się na dobre łudził. On szedł na oślep za popędem namiętności, albo za radą tego, który umiał poddmuchać jego chęć. Zgoła że u niego złe czy dobre uczucie serca, przemocną przewagę miało nad rozumem głowy, i takich to dwóch ludzi wiązało się przymierzem dla chęci wyniesienia się i dla żądzy zemsty.

Szary mrok nastał, kiedy dwaj występni polacy przeszli pierwszy łańcuch szwedzkich straży i skierowali się do Drogoniusowego domku. Postukali umówionym obyczajem, a jednak nieprędko im się drzwi otwarły. Paoli ich wprowadził do czarnej komnaty i tam na nich czekał Drogonius.

Dziwny wyraz twarzy Inocenciusza; policzki rozrumienione, zda się że w każdym dołku wyżłobionym ospą krew się zapiekła, oczy błyszczały gdyby gwiazdy. Witając Gnoińskiego zadrżał, ale nie drżeniem radości; a kiedy mu ten wymienił Radziejowskiego imię, Drogonius pobladł nagle, wskazał swoim gościom aby siadali i sam usiadł; a przyoblekając siłą powagę i spokojność mędrca na swoje oblicze, zapytał: — Cóż panów o tej godzinie sprowadziło do mieszkania samotności?

Radziejowski pomyślał: i on człowiek nauki pogardza zdrajcą, ale on nam potrzebny, nie trzeba mu okazać że się poznało jego uczucie, spokojnie tedy odpowiedział: — Chęć poznania mędrca, przyjaciela ludzkości, tego który życie swoje poświęcił na to, aby ją oświecać a tem samem dać jej prawdziwe szczęście i dobro. — Drogonius milczał, szyderczy uśmiech pogardy jak cień jaki przemknął mu po ustach, a Radziejowski udawał i twarzą i dzwiękiem głosu że wpada w zapał podziwienia: — Sława mędrca cicha, nie brzmi szumnym rozgłosem w uszach świata, ale zasługa jego wielka, większa jak ziemskich bohaterów. Kiedyś świat na niej się pozna i będzie ją podziwiać, ale są ludzie co jej za życia umieją oddawać należną cześć. Inocenciuszu my umiemy zgadywać twoje chęci, oceniać twoje zasługi; szczerze bolejemy nad tem, że Polska nie jest jeszcze w stanie przyjąć ziarna, którebyś chciał posiać w sercach jej mieszkańców. Mędrcze, my mamy ramiona i chęci do posługi twojej woli, a przychodzimy szukać twojej rady do odbudowania Polski, a może i ludzkości.

— Stój człowieku zuchwały! ja nie mędrzec. Tam wysoko, w niebie, mędrzec, co rządzi i rozkazuje wszystkiemu. My przed jego obliczem okruszynami prochu, nijakością jesteśmy bez jego natchnienia. I ty byś chciał odbudowywać świat? jego dzieło? Nie takie umy jak nasze stajałyby w tej robocie. — Jak On powie: zmień się ludzkości! odbuduj się świecie! i ludzkość się zmieni, i świat się odbuduje. Wielki, nieśmiertelny

rzemieślnik, nie mędrców, nie ludzi umu do tej pracy użyje, ale ludzi serca. I wy co do mnie przychodzicie, zajrzycie w wasze serca i przypatrzcie się czy pełnią one powinność? —

Radziejowski nie spuścił w ziemię czoła, bo już wstyd dawno przestał zwierciedlić się w jego oczach: — Święte twoje słowa, uczony Drogoniuszu, ale ten Bóg powiedział: człowiecze, dałem ci wolę i rozum; wolę abyś robił, rozum abyś nią kierował. Czyż mamy z założonemi rękoma patrzeć i we wszystkiem spuszczać się na Boga?

— Ale ten wielki, niepojęty Twórcą, nie powiedział: używaj rozumu i woli do służenia swojemu dobru ludzkości. Nie nakazał i samych siebie i jego oszukiwać. Ludzie, sami siebie przemieńmy, odbudujmy, to nam dozwolono a nawet przykazano. Wtenczas, może nieśmiertelny w nagrodę naszej poprawy, zeszle na świat natchnienie i powoła nas do wielkiej pracy. —

Gnoiński się niecierpliwił, to marszczył szerokie czoło, to brwiami ćmił jaskrawe oko, nie mógł wytrzymać: — Mości Panowie, nie przyszliśmy tu na uczone rozprawy, ani na kazania religijne. Oto rzecz tak się ma. Waszmość Mości Drogoniuszu i Mikołaj Żórawski dobrze jesteście z Marszałkiem Koronnym. My widząc nieszczęścia Polski pod panowaniem eks-Jezuity, chcąc dobrowolną ugodą zakończyć wojnę z Królem szwedzkim, ofiarujemy koronę polską Jerzemu Lubomirskiemu, i chcemy was mieć pośrednikami naszej chęci.

— Ja, a zapewnie i Mikołaj, nie myślemy robić ofiary z rzeczy która do nas, ani do Waćpanów wcale nie należy.

— Jak to do mnie nie należy? — Ja szlachcic polski, mam prawo obierać króla!

— Ale nie zrzucać już obranego?

— Kiedy taka moja wola, tak chcę. Jan Kazimierz już nie Królem! — Radziejowski mrugał chcąc uhamować jego popędliwość, ale ani słowa sam nie mówił. Inocencius odrzekł z zimną powagą.

— Panie Starosto Gnoiński, oświadczam że na nic jego gniew się nie przyda; ja nie zrobię nic wbrew mojemu sumieniowi.

— Mniejsza o to, nie rób; nie odmówisz mi przynajmniej oddać ten list Żorawskiemu; on może nie będzie dziwaczyć — i wręczył Drogoniusowi list już zapieczętowany.

— List oddam, ale zapowiadam, że Żórawski człowiek sprawiedliwy.

— To zobaczemy czy Waszmościna sprawiedliwość nie jest istnem dziwactwem. Panie Hieronimie chodźmy. —

Radziejowski z uśmiechem spojrzał na Drogoniusa: — Zasmuciłeś moje serce, odmówieniem mojemu przyjacielowi,

ale w niczem to nie zmieniło mojego podziwienia dla twoich zdolności, mojego szacunku dla twoich cnót, i pozwól mieć nadzieję że kiedyś może znajdziemy się na jednej drodze.

— Inocencius Drogonius zawsze będzie na jednej drodze z ludźmi prawdy, albo z tymi co się na nią nawrócą — ale w tej chwili, jakby nagle sobie coś przypomniał: — Panie Samuelu Gnoiński mam z tobą do pomówienia i to zaraz. —

Radziejowski skłonił się: — Ja odchodzę, żegnam ciebie uczony Drogoniusu. Panie Samuelu, zobaczemy się w obozie. — Wychodząc, na Gnoińskiego rzucił wzrokiem zachęty, aby popierał swoje; Drogoniusa obdarzył spojrzeniem udanego poszanowania.

Skoro sam na sam został Drogonius z Gnoińskim, niepojęte jakieś uczucie go ogarnęło, zdało się że podrósł. Gniew czy też twarde postanowienie roziskrzyło oko, rozpłomieniło mu twarz; przystąpił do dumnego Starosty i ujął go za rękę, ale nie ściśnięciem przyjaźni: — Panie Gnoiński uwiodłeś, zdradziłeś anioła niewiastę. Zmaż twój występek, sumienie ci to nakazuje.

— Co ci jest? kogo zdradziłem?

— Elżbietę Radziejowską.

— Tę obmierzłą, te przeklętą kobietę? — precz mi z nią! — i odmachem ręki odtrącił rękę Drogoniusa. —

Drogonius biegł do ściany gdzie była szpada: — Podły, rozprawmy się, twoje życie albo moje! —

Starosta pośmiewał się z tego, jak ogar z pustego dziwkania kundyska.

Wtem za ścianą dał się słyszeć jęk jakby niewieści. Drogonius nie po szpadę skoczył, ale poleciał w prost we drzwi do drugiej komnaty zawoławszy: — Ona cierpi.

I Starosta takoż nagle wyskoczył, ale nie do komnaty za Drogoniusem, tylko z domu Drogoniusowego: — Piekło za mną goni, poczekaj, nauczę ciebie, w perzynę dom twój obrócę. Czyż się od niej nie odczepię? — I jak szalony biegł do obozu.

W kilka dni później, w Krakowie, po mszy świętej odprawionej w kościele świętego Wacława; na dziedzińcu zamkowym, Pan Kasztelan Kijowski dawał jakieś rozkazy Teterze Bobimowskiemu Staroście, kiedy nadszedł Krzysztof Wąsowicz. Kasztelan po zamaszystym kroku, po junackim wyrazie twarzy starego wojaka, poznał że mu coś pilnego ma powiedzieć: — Mości Żytomirski, a cóż tam Waszmość nam powiesz nowego?

— Mości Panie Kasztelanie, jucha Szwed wlazł do Kazimierza i do Stradomia; w Bernadyńskim klasztorze już nie

bure mnichy z okien wyglądają, ale garłate paszcze szmigownic; jak one zaświegoczą to to będzie kazanie, że aż nie jednemu w piętach podstygnie. Moście Panie Kasztelanie, mnie się zdaje, wyjdźmy z miasta i urżnijmy na nich. Niech będzie jak to mówią albo Starosta albo kapucyn. —

— Stefan Czarniecki się zaśmiał: — Panie bracie, będzie to jakoś. Mospanie Kunicki — duchem przybiegł sotnik kozaczy przyboczny Kasztelana. — Bież Waszeć do Wolfiusza, niech wszystkie harmaty ściągnie ku stronie Stradomia i Kazimierza, bomby i sztuczne ognie z sobą niech zabierze. Mnie każ przyprowadzić białego. — Kunicki skoczył żywo spełniać rozkazy: — Semenie, z swoimi pójdziesz za mną, może i trzeba będzie Szwedzikom napędzić strachu, a ty stary towarzyszu zabierz swoje chorągwie i pilnuj od Kleparza, aby te bisy ztamtąd jakiego figla nam nie spłatały. —

Stary Wąsowicz pokręcał wąsa, widać że mu nie wsmak ten rozkaz; on chciałby z blizka posłyszeć kazanie z Bernardyńskiego kościoła, ale nie ma rady: trzeba słuchać, kiedy Stefan Czarniecki każe; ani mru mru, zwłaszcza kiedy pokręca brodę, a już zaczął ją podkręcać.

Godziny jeszcze nie upłynęło, a już zahuczały harmaty; ziemia stęknęła, zajęczała i drży w ciągłych drganiach jakby taniec febry na nią napadł. Powietrze grzmi dziwnym a brzmiącym rozgłosem; to jakby stoma gromami na raz huknie, to pojedyńcze gromy po gromach liczy: jakby umówionym porządkiem wali huk za hukiem; to znowu zagrzmi tłumnie, rozgłośnie, a czasem zahurkocze gęstem wrzawliwem pukaniem, podobnem do hurkotania tarabanów. Nad Krakowem widnokrąg zamglił się, poszarzał, zczerniał; nie widać miasta, nie widać słońca i niebiosów, tylko w ciemnym przestworze od dołu, jakby tysiączne żmije i żmijki z paszcz ogniem zieją; u góry bezprzestannem krzyżowaniem się latają ogniste smoki, i jaskrawe jaszczurki z długiemi ogonami, a gdzie padną ztamtąd ognik buchnie, rozściela się nad ziemią i rozpłomienia w górę. Przed okiem czarno i jaskrawo błyska, w uszach gwiżdże i wyje, huczy i jęczy; w sercu cierpko, straszno; rzekłbyś że sądny dzień, albo że złe duchy na przekorę Bogu, z ziemi szlą burze i gromy ku niebiosom. Nic — nie złe duchy to robią, ale ludzie za sprawą djablą, a djabli tylko chichoczą na obrazę Bożą.

Po kościołach i zakonni i świeccy księża, modlą się o pomoc polskiemu orężowi; w ulicach lud się gromadzi, a niewiasty powszednym obyczajem w Polsce wołają na mężów, na braci, na dzieci: idźcie bić Szweda! idźcie walczyć za Ojczyznę! a sercem gotowe ująć słabemi dłoniami za oręże, i nadstawić pierś za kraj luby. Pan Kasztelan już na wałach pomiędzy kłęby dymu i błyski harmatnie, wprawnem okiem roz-

gląda. Raba twarz jego nie przeciągnęła się trwogą ani nieufnością w samym sobie, zaweseliła się wojenną otuchą rycerskiego serca. Koło uszów świszczą kule pogwizdem śmierci, i do słuchu dolatuje gwarna i wrzaskliwa śpiewka niemieckiego hop! hop! hura! Widzi jak liczne roty Szwedów, puklerzą się domami Stradomia, leją się ku bramie i ku wałom Krakowa. Krzyknął — z harmat ognia! palić domy! — i wnet puszkarze z lontów ognia skapali na panewki i harmaty ryknęły. Czerwone kule łukiem przepruły powietrze i zagwoździły się po dachach przedmieścianych domów. I Szwedzi temu rykowi odgadali hucznym i rzęsistym ogniem z harmat i ze strzelby. Kasztelan zchwycił się za policzek: — To nic! Semeny i Hajduki za mną! — i ruszył ku bramie, choć krew z policzka kapie; ale to krew za Ojczyznę, a Stefan Czarniecki nigdy jej nie skąpił i nie poskąpi dla Polski.

Już pisnęły wrzeciądze bramy i podwoje na rozcież się rozwarły. Raźne hufce z Kasztelanem ochoczo biegły zwyczajnie jak na wojenne tany. Tetera na pieszo, bułatnym mieczem po nad kraśnym kołpakiem błyska; jakby tym niemym znakiem powoływał: za mną! za mną młodź kozacza! tam wrogi naszej matki Polski! zahulajmy a po swojemu.

Wtem czerwone kule wykrzesały ognia z gąty, płomyki buchnęły i poczęły się rozścielać po dachach, i niebawem silnym pożarem zagorzało całe przedmieście. Szwedzi co prędzej się ztamtąd wynoszą i cofają ku obozowi. Kasztelan swoje hufce w miejscu zatrzymał. Grożą się i sierdzą wojownicy, ale rozkaz wodza hamulcem ich męstwu; a on choć szczodry krwi swojej, oszczędny krwi dzieci Polski, bez potrzeby nie marnotrawi aby w potrzebie miał czem czafować. Zna miarę, bo z żołnierza wyszedł na Wodza. Z wałów tylko Wolfiusz z harmat ryczałtem brzmi strzałami, już nie sztucznemi kulami na dachy ale rodzimym ołowiem pluje między Szwedzkie szeregi.

I Chrześciaństwo i żydowstwo z przedmieść w pole zmyka i po powietrzu popłoch i jęki rozgłasza. Szwedzi jak mrówki się mięszają i po psiemu giną na polskiej ziemi. Pożar dmie, rozrywa domy i ogniste szmaty dachów w powietrze wyrzuca, jaskrawemi łuny razi oko, a trzaskiem i łomotem skwarczy w uszach. Wiatr mu przybiegł ku pomocy i zapalone głównie ciska na miasto, a choć już wieczor mrokiem szarzał i bury dym gęsto się kłębił, jednak niebiosa czerwone, i na ziemi jasno choć szpilki zbierać.

We Franciszkańskim kościele, mnichy pobożnie śpiewali: ciebie Boże chwalimy — a niewiasty i starce pokornie błagali o wytępienie wroga, kiedy na dworze krzyknięto: pali się! pali się! Zagorzał Franciszkański klasztor i biskupi pałac. Lud zbiegał się ratować, a mnichy nie przestawali się modlić

gorącą myślą, niepokalanem sercem, nie o swoje mienie, ale o pomyślność Ojczyzny; o ocalenie grodu Piastów i Jagiełłów. I nie było popłochu między mieszkańcami. Wtem ktoś doniósł że Pan Kasztelan Kijowski ranny, i wszyscy rzucali ratunek pożaru i biegli ku bramie od Stradomia. Trwoga! — gorzki żal w ich oczach i na twarzy, a niewiasty i dzieci nawet płaczą. Już dobrze w noc strzały ucichły, pożar przygasał, i lud widział jak Pan Kasztelan, do zamku na białym arabczyku powracał; koń niechromał i jeździec nie jak niedołęga na nim siedział, a jednak lud tłumnie gromadził się pod zamek, i ciekawie wypytywał o zdrowie wodza, i tak w frasunku i niepokoju przestał aż do białego dnia.

Rankiem, po pierwszej mszy, Pan Kasztelan otoczony gronem pułkowodców i wojskowej starszyzny wyjechał na miasto. Bundiuczył się pod nim koń w bogaty rzęd przybrany, a on sam przywdział co najokazalsze stroje; lud go powitał radośnym odgłosem: niech żyje nasz Wódz! nasz zbawca! a Kasztelan ludowi na podziękę czapką kilka razy się skłonił, wąs pokręcił i zawołał: niech żyje Ojczyzna!

U wałów małe dzieci, na igraszkę zbierały szwedzkie kule, i niosły je puszkarzom z prośbą: — Panie ojcze, weźcie no to, a wyrzućcie po swojemu na tych hyclów Szwedów. — Kasztelan się uśmiechnął: — Z takiem pokoleniem kraj nie zginie. —

Dano znać że trębacz Szwedzki przybył z wysłanikiem Karola Gustawa, i niebawem stawiono ich przed Kasztelanem. Szwedzki pułkownik opowiadał potęgę swego pana; wyliczał siły szwedzkiego wojska, groził gniewem jeźli szturmem przyjdzie brać miasto, a obiecywał łaski dla mieszkańców i dla wojska, jeźli dobrowolnie oddadzą miasto Karolowi Gustawowi, którego już większa część Polski przyznała za pana: — Stefan Czarniecki słuchał mowę do ostatka tylko to wąs to brodę podkręcał, a kiedy skończył Szwed, chrapawym głosem zadzwonił w srebrne podniebienie.

— Mospanie Szwedzie, my mamy Króla pana nam miłościwego, potomka krwi Jagiellońskiej, waszego nie potrzebujemy. Kiedy chce z nami zgody, niech sobie idzie za morza skąd przyszedł. Groźby i obiecanki wasze dla mnie fraszki, jam zrósł w obozie, wychował się na wojnach, a to czem dziś jestem, nie soli, ani roli, ale winienem temu co mnie boli. Wczoraj widzieliście, czy nie zabawką dla nas wasze ognie. Patrz, dzieci zbierają wasze kule i igrają niemi. Patrz czy nie spaliłem Stradom i Kazimierz, tak spalę Kraków a wam go nie dam — powiedz swojemu panu niech innych idzie straszyć nie nas. Powiadam że są zdrajce i obłąkani między polakami co zdradzili Króla: prawda; ale są i tacy co do ostatniej kropli krew swoją wytoczą, za Ojczyznę i prawego Pana. Idź i zanieś

moją odpowiedź Karolowi Gustawowi; boju się nie lękamy, a układów z wrogiem najeźdcą nie chcemy. — Obrócił się koniem Kasztelan i odjechał, a Szwedzi nie spyszna poszłapali ku obozowi. Dzieci za nimi kamykami rzucały, wrzeszcząc: damy my wam bobu szelmy hycle szwedzi. Poczekajcie jeno podrośniemy.

W kilka godzin później Wąsowicz sam jeden przechadzał się po dziedzińcu zamkowym i pomrukiwał pod nosem: — Prawdziwa to gadka, starość nie radość, jeszczem się u licha tak nie zestarzał jak wybój psisko co to go na jatki wywożą, już Pan Kasztelan wysyła mnie tam gdzie się nie biją; z młokosami się naradza, a mnie ani każe zawołać! — Cóż to dalej będzie kiedy ręka do korda a nogi do konia nie przydadzą się? — Zamyślił się i targał strzępiasty wąs; ale znowu podniósł głowę: — Nie smućmy się przed czasem, jeszcze Bogu chwała paraliż w łokcie nie wlazł, a pedogra do nóg się nie dostała; jeszcze się wilgoci i wiatru niekoniecznie człowiek wystrzega, a węgrzyna za kołnierz pewno nie wyleje; jeszcze nie z kata wywija się szablą i młynkiem i krzyżową sztuką, i choćby tam jaka szkapa musi podemną basować, nawet i bez pieprzu. —

Kiedy tak Pan Starosta Żytomirski w gawędce sam z sobą, ktoś z tyłu na niego zawołał: — Mości panie Starosto, cóż to Waszmość Pan tak sumujesz?

— A to Waszmość Panie Bobimowski, i cóżeście tam uradzili z Panem Kasztelanem?

— Żadnych tam nie było narad.

— Dobrze robisz Waszmość; w wojsku jak w szkołach choćby cię smażono i pieczono w smole, nie mów co się dzieje w szkole. Cnota nad cnotami trzymać język za zębami, o tem co się słyszało na naradzie.

— Mości Panie Żytomirski, co tam nam po gadkach! oto ja jadę i przyszedłem pożegnać Waszmość Pana; zachowaj dla mnie twoją starą przyjaźń. Bóg to święty wie czy się zobaczemy prędko. —

Wąsowicz popatrzył na Teterę i zapomniał o zrzędnej niechęci do Kasztelana. — Cóż u stu djabłów, czy znowu nawarzyli aby i ciebie od nas oderwać? Jak widzę zostaniemy tu z samemi babami i księżami. I jedne i drudzy dobrzy ale nie w boju. Cóż? czy z pułkiem ciebie wyprawia?

— Nie, sam jadę, pułk zostaje z Kunickim i z Owsijem!

— Nie godzi się pytać dokąd jedziesz, ale niech cię Bóg szczęśliwie prowadzi. Pamiętaj tam o starym Krzysztofie, a nie baw się długo; wracaj do nas, bo mi przykro bez ciebie; a teraz chodź, odprowadzę ciebie choć do stajni, wypijemy po-

stremienne tak jak robili nasi ojcowie. A w Bogu nadzieja że się może tobie mój mołodcze i uda; bo to dziś piątek, a jak mówią starzy ludzie: piątek dobry początek. — I poszli do stajni, gdzie stał pułk kozaczy.

Październikowe słońce zachodziło za Karpaty, i nad siwawemi szczytami gór zazłociło krawędzie nieba. Wiatr miecie po ziemi zeschłym liściem, szeleści miedzy badyle, i w jednę stronę przygłaskuje srebrzystą trawę. Wiślane wody zalśkniły się szmelcem od słońca, a pomarszczyły się w karpią łuskę od wiatru. Na polach od Krakowa ku Wadowicom, pusto i głucho. Mieszkańce z dobytkiem pouciekali w góry, czasem tamtędy jak wilcy włóczą się Szwedzkie rajtary za zdobyczą, albo jak charciani myśliwi sugłówkami przesunie się polski podjazd. Już tam po szlakach nie klaszczą z biczów fornale, nie turkoczą wozy; bitym gościńcem na kiermasz nie spieszą niewiasty i dziewoje. Koło karczmy parobczaki ani reju, ani bójki zawodzą; na przedsieni skrzypki nie rypią, nie krzeszą podkóweczki ognia, ani pasiki kołeczkami brzęczą! Za stołem panowie ojcowie i panie matki piwka nie spijają, i nie rozprawiają gadu gadu o starych rzeczach. Żyd niechrzczona psiawiara nie służy i nie waruje jak legawiec na chrześcijański grosz. Szwed jucha wszystko powystraszał nawet ptaki i zwierzęta.

Teraz na tych pustych polach w poprzek zagonów, bezdrożem po za wzgórza i jałowcowe krzaki przesuwał się parokonny powóz. Czworo ludzi, dwie niewiasty i dwóch mężczyzn przybrani w mieszczańskie stroje siedzą na nim, a parobczak w krakowskiej sukmanie za woźnicę służy. Nie śmie po swojemu huknąć; wista, wiha, hola! tylko cichaczem po udach zacina szkapy, i zrywa licem, a szkapy dyrdają kłusem; wóz skacze po zagonach i turkocze równem polem. W wozie milczenie, nie słychać słów ani śmiechu, tylko smutne i ciężkie wzdychania.

Młoda niewiasta, piękna czernobrewa, łzą myje czarne oko, i często rąbkiem chustki ociera lice. Starsza, to na nią patrzy, to wznosi oczy ku niebu i myślą modli się do Świętego Stanisława na Skałce o opiekę. Młodszy mężczyzna niepoczesnej urody, wlepił oczy w lice pięknej niewiasty, zdałoby się iż lęka się utracić przelotne gry tej cudnej twarzy, a choć oko jego ogniem płonie, jednak na czole i po twarzy wila się smutek i niespokojność. Drugi mężczyzna silny i rosły, jakby kamienny posąg, siedział nieruchomy, twarz jego napiętnowana nijakością, bezczuciem, ani się zasmuca ani się zawesela.

Już pół mili ujechali, kiedy woźnica przypadkiem spojrza-

wszy na tył, zawołał: — A czy to skaranie Boże, a dyć to szelmy Szwedzi gonią? — i zaczął nie tylko chłostać, ale biczyskiem szturchać konie. Niewiasty krzyknęły z przestrachu, oczów nie śmiały zwrócić na tył, przygięły się do środka wozu jakby w nim chciały się pochować; młodszy mężczyzna porwał do rąk jakiś kawałek żelaża, podobny niby do szpady, niby do rożna, a starszy siedział nieruchomie, jakby nic nie słyszał i nic niewidział, chociaż oczy miał obrócone ku Bocheńskiemu szlakowi, skąd tuman kurzu gonił ku nim.

Już słychać ciężki tentent koni, już widać żelazne zbroje szwedzkich drabów, woźnica pogania batogiem i krzykiem dziarskość w konie wmawia, już blisko lasek a tam rozdróż i krętych dróg pełno, świsnął biczem — wista wihi: — Matko Częstochowska ratuj nas! — targnął lejcem — wihi! Jezu Kalwaryjski, zmiłuj się nad nami! — Wtem podsobni bułanek utknął na łeb i przewrócił kozła i wóz się zatrzymał, parobczak chlaszcze batem — nu wstawaj jucha! Święty Bartłomieju módl się za nami! nu! — bułanek schwycił się, aż tu szwedzcy rajtarowie, zagrzmieli nad uszyma pogańskim głosem.

Halt! halt! — do koła wóz obstąpili, i niemiecką mową i ręką chcą po obozowemu poumizgać się do niewiast. Niepoczesnej urody mąż jak gadzina skoczył do starszego z rajtarów. Rajtar z zimną krwią jakby muchę odganiał, machem szablicy gdzieś, het w powietrze zarzucił rożenek, a drugą ręką samego męża za kołnierz ułapił, i podniósł do góry jak gdyby chciał go do siodła troczyć. Wrzask i płacz na wozie, woźnica pod wóz się schował, Szwedzi z koni złażą do rabunku.

Wtem dowódca wrzasnął — na koń! — rzucił o ziemię już charkoczącym człowiekiem; widać chciał ręką chwycić z wozu czy piękną niewiastę, czy jaki łup, bo się schylił; ale już nie czas, jacyś jeźdce z blizkiego lasku w czwał wypadli, z pistoletów wypalili, i trzech Szwedów nosami ziemię zaryło, a reszta bezładnie pierzchnęła w pole. Aż miło patrzeć, tak zmykają, co tchu w koniach prą, bo się im zdaje że ćma Lachów za niemi goni. Lachów było trzech, popędzili trochę, jeszcze kilka drabów z koni zsadzili i wrócili do wozu.

Woźnica poprawił uprząż: — Nieżal, dali im nasi bobu, popamiętają Szwedziska z ruski miesiąc, ale też zrobili drała — roześmiał się — bo też to co polak to nie pludra. Święty Boże pomagaj naszym. Matko Najświętsza Skawińska wstaw się za nami! —

Mały mężczyzna uspakajał niewiasty: — Bądź spokojna Pani, mamy obrońców, oni nas nie opuszczą: — Piękna niewiasta odpowiedziała — jedźmy — a jej towarzyszka zaniosła do Boga modlitwę dziękczynienia.

Nadjechali Lachy i jeden zapytał — a skąd wy dobrzy ludzie, i dokąd jedziecie?

Woźnica skoczył od koni do niego, i pokłonił się nisko: — Panie starszy, powiem prawdę jak na spowiedzi, niech tak Bóg odpuści mojej duszy: Maciek Szczuka, rybak z podgórza, Pan starszy musi go znać, najął mnie żebym tych państwa zawiózł do Wadowic — zbliżył się do konia i dodał z cicha — bo to nie mieszczanie ale jakieś Jaśnie Wielmożne państwo; co tam na wozie mają, byłoby za co kościoł wybudować — i głośno zakończył — tak mi Boże dopomóż, jakem Janek Kurczaba, takem prawdę szczerą powiedział. —

Lach przybrany w podróżnej opończy, spojrzał na drugiego, który miał na ramionach kozaczą burkę, i baranią czapkę z kraśnym kołpakiem, i zdawał się być starszym między niemi nie wiekiem ale godnością, ten skinął głową: — Dobrzy ludzie jeźdcie z nami, my was będziemy bronić póki nam możność pozwoli. —

Niewiasty dziękowały mu spojrzeniem. Mały mężczyzna uprzejmie skłonił głowę, drugi zaś ciągle nie objawiał żadnego uczucia, jakby z martwego głazu był ukowanym. Wóz ruszył drogą do Wadowic przez lasek, a trzej jeźdce jechali koło niego.

VII.

Pamiętacie noc klęski, tę noc niepogodną;
Noc tak straszliwie ciemną, tak okropnie chłodną.
Szanfary Kasyda, Adama Mickiewicza.

Stary to zamek w tej Lanckoronie; jak pomnik jaki zasiadł na wysokiej mogile. U spodu chrobacko-ruska ziemica połamana we wzgórza i doliny; po obu bokach mogiły opodal, za parowami jak na straży dwa sosnowe gaje zielonemi liściami połyskują; po nad krętym ruczajem, bezładnie się rozrzuciły sielskie chaty; w dali pieni się czarny Dunajec, i swobodnie płynie Zatorska Wisłoka; w dali szczyty Tatrzańskich gór ołowianemi rąbkami cienią się na jasnem tle nieba. W takim to kraju praojciec dzisiejszego Hetmana wystawił obronny zamek, jakby na godło, żeby ród Lanckorońskich zasłaniał od napadu wroga tę ziemię, a czynami swojemi gonił do szczytu sławy.

Tatarscy jeńce imani na pohulankach Zadnieprzańskich, z twardego kamienia, w krwawym pocie ten gmach lepili, a wojenne zdobycze Przecława Lanckorońskiego, co pierwszy zlaszył Kozaków, dostatnio uposażyły zamek i w broń i w bogate przybory. Takim obyczajem można szlachta wznosiła i zbroiła twierdze na polskiej ziemi, ku obronie Polski.

Głęboki przekop okrążał do koła spód mogiły, w nim lśniła się woda nieruchoma i gęsta, gdzie niegdzie przymalowana zielonawą pleśnią; nad przekopem piętrzył się wał spochowisty i gładki jakby wylizany; u góry wznosił się mur z płytów opoki; na rogach cztery baszty podobne do kozaczych palanek, u każdej z nich widać rzędy otworów, w każdym rzędzie po pół tuzina; i z każdego otworu wygląda gardło tureckiego działa, co to huka i grzmi jak grom Bożego gniewu; wzdłuż muru z rozpadlin jak gadziny powyciągały szyje szturmaki i szmigownice, od rdzy poczerwienionem okiem poglądają w pole, radeby co prędzej zasyczyć, prochem odwilżyć pyski, a pa-

szczękate moździerze pozalegały na wierzchu muru, i jak bajeczne smoki pobłyskują miedzianym szmelcem.

Od północy z framug tłustego muru, wyziera wjazdowa brama, zbita z dębowych dylów, gęsto oszamerowana sztabami żelaza, jak husarska brandebura, i ostrogłowe ćwieki jak guzy sterczą; na zwarciu oddzwierzów we środku blacha jak pancerz przykrywa serce bramy; po sześć żelaznych łap z każdej strony za zawiasy służy; przed bramą grube łańcuchy podtrzymują most zwodzony. Na wierzchach baszt złote krzyże wyciągają ramiona na wschód i na zachód, przyjazne wiernym wyznawcom Chrystusowej wiary, groźne niewiernym; to znaki prośby o Bożą opiekę nad twierdzą, w której muzyka moździerzy i armat, szmigownic i sturmaków, nie pogrywa tylko w imię Boże, w obronie Chrystusowej wiary i Lackiej wolności.

Za murem, podziemne drogi i kręte włazy na mury i do baszt, u spodu każdej baszty mieszkanie dla załogi; z tyłu bramy odwach dla straży; po obu stronach w murze furtki, przejścia wychodowe do furtek w ślimak pokręcone, a tak ciasne, że dwóch ludzi w poręcz przejść niemi by nie mogło; na murze nasypy poczynione z piasku a wzięte w kluby tarcicami, dla przykrycia straży i ręcznych strzelców; po pod murem w wale zaczeluścione strzelnice, do których wiodły z podziemnej drogi ciasne wynijścia pokręcone dziwnym ładem, wstecz i naprzód, w prawo i w lewo.

Wewnątrz twierdzy obszerny dziedziniec: na środku wznosił się zamkowy gmach, kamienne cielsko rumieniło się ku dwóm stronom jakby wiatry chciało brać w uściski. Trzy wysokie wieżyce wystrzelały nad zamkiem, każda u wierzchu zasklepiona kopułą; na prawej nad kopułą błyszczał krzyż pański, na znak że u spodu pod wieżycą dom Boży, kaplica zamkowa; na lewej powiewa nad wieżą chorągiew pół czarna, pół błękitna przeszywana złotem: to barwy herbowe Lanckorońskich rodziny, to znak że przebywa w zamku hetmański ród. We środku wieża z gładką miedzianą kopułą i cały dach miedzią ociągnięty. Dwanaście ciosowych kolumn zdobi krużganek, jakby było potrzeba ich olbrzymiej siły do podparcia wystawy, na której był wyrzeźbiony herb Lanckorońskich, Zadora; na tarczy, na błękitnem polu, czarna głowa lwa bucha pięcią złotemi płomieniami; nad tarczą złota korona, a nad koroną znowu czarna głowa lwa z paszczy w górę zieje pięć złotych płomieni; do koła na krzyż składane miecze i spisy, a między ich wiązaniem buławy hetmańskie, pancerze, misiurki, hełmy i kozacza czapka z kołpakiem; wszystko to rzeźbione w kamieniu, a dla krasy osrebrzone i ozłocone. Zamkowe okna duże, od spodu czworokątem w górę pędzą, a u góry dwoma łukami w kąt się schodzą; w nich pełno różnokolorowych szy-

bek, nie jednostajnego kształtu w ołów poosadzanych. Kiedy słońce pocznie po nich ślizgać złote promienie, oko ludzkie z dalekiego świata, bo aż do Babiej góry, dopatrzy odblask różnobarwnej łamaniny, zda mu się że to odrywki tęczy wypolerowane słońcem. U spodu zamku widać żelazne kraty, któremi przeciska się światło do podziemnych sklepów.

Właściciele nie często gościli w tym zamku. Od czasów Przecława, przywyczką Lanckorońskich nie długie nocy sypiać pod rodzinnym dachem, ale po kozaczemu harcować z Turkiem i Tatarzynem, albo nieść wojnę Moskwie. Zapytaj czerwonorusina albo chrobata: znasz ty Lanckorońskich? odpowie: — Słyszał ja o nich, to wielcy panowie naszego kraju, bez liku mają dóbr w ruskiej ziemi, ale oni tu nigdy nie siedzą; gdzieś tam het, za granicami wojują. — Zapytaj Otomańca, Perekopca albo Suzdalskiego bojara: znasz ty Lanckorońskich? zaraz ci zagada: — Kiedyby Bóg dał mi tyle lat żyć, ile razy ja ich widział, jak siekli szablami naszych, jak na czele Lachów i Kozaków grasowali po naszych ziemiach. — Bo takie to było podówczas nałogowe życie polskiego szlachcica.

I teraz w Lanckoronie Pana Hetmana nie masz, ale jest w zamku jego jedynaczka, czarnobrewa dziewoja, są mnodzy goście; i wszystko tam tak się odbywało jakby pańskie oko patrzyło, pańska gęba rozkazy dawała. Pan namiestnik Radzik, burgrabia Lanckorońskiego zamku, stary sługa Lanckorońskich rodziny, serdecznie baczy, aby wygadzać pańskiemu dziecku i pańskim gościom, a Zawierucha Puksa pułkowódca hetmańskich kozaków, stokroć razy więcej jak swego oka w głowie, strzeże bezpieczeństwa zamku.

Już dzień się rozjaśnił, a jeszcze słońce nie wyjrzało; taka mgła w powietrzu, widać, że piekielne bisy musiały całą noc harcować i porozmiatać tumany kurzu, przekorę Bożej jasności; nawet na dziedzińcu zamkowym mglisto, o kilka kroków ledwie dobrze można rozpoznać. Koło stajen z tyłu zamku, jakiś kozak przybylec, bo w krągłej czapce z kraśnym kołpakiem, płatem wycierał zbłocone nogi wronemu koniowi i na ukraińską nótę nucił.

A kto chocze Handziu znaty,
Proszu mene popytaty;
Ja wam skażu prawdu szczyru,
Tylko proszu was o wiru.
Ona harna, jak jahoda;
Myła, jak w wesni pohoda;
A w rumeńci taka syła,
Szczo wsi ćwity pohasyła. —

W około, w czwororogatych czapkach snują się hetmańscy kozacy. Wtem nadszedł jakiś starszy, dostatnio przybrany,

z siwym strzępiastym wąsem i z siwą brodą aż po pas; a z twarzą na której pozarastały pokiereszowane szramy na szramach, i zawołał: — Zdrowe dzieci! — a obróciwszy się do kozaka czyszczącego konia: Panie Saku Bohodarenko, co za licho was w nocy rozgorało?

Kozacy odpowiedzieli: — Zdrowi ojcze, i wam ojcze na zdrowie.

Sak przestał czyścić konia: — Ojcze Pukso, skacz wraże jak pan każe. Ataman nocznica, po nocach mandruje; a gdzie on, to tam i ja.

— To dobrze synu, służ panu wiernie, nie wiele zaglądaj co on tam robi; teraz powiedz mi co to wyście nam nawieźli; mołodyca niczego, i na Ukrainie nie pożal się Boże, wartaby była grzechu; ale to czortynia, małe, rabe, pohane, czysty bis; i ten niemy takiż; skąd wy to wzięli?

— Czort że to wie, skąd się to wzięło. Ojcze, my wyjechali z Krakowa, nadybali Szwedów, po naszemu napłoszyli; a co zabrali to wam w gościńcu przywieźli.

— Ładny gościniec; pozawczoraj przyjechał tu Ksiądz Wyzuwita z wrażym Włochem, a teraz wy przywieźli djabła. Nu trafże z nim do ładu; będzie nam licho; ja myślał że wy tu zostaniecie, aż mi lżej było na sercu.

— O nie ojcze; Tetera powiedział, jak tylko dzień, konie przygotować, pojedziemy.

— A dokąd?

— Bóg święty wie i Ataman. On jedzie, a ja za nim. —

Stary Puksa pociągnął wąsa, chrząknął i splunął jakby na zatarcie że z nie wojskową ciekawością wyjechał na harc, i zamówił: — A Pan Czarniecki co tam robi w Krakowie?

— Raby pies po swojemu łupi Szwedów szablą, a żydów dusi i ciśnie z nich grosze; to chwacki rycerz, szkoda tylko że często go napada chandra na kozaków; kiedyby nie to, to pierwszy człowiek w Polsce, a może i na świecie; bo to, co prawda to prawda, i na Ukrainie drugiego takiego jak on nie ma teraz. Nasz Tetera może będzie taki, ale jeszcze młody. — Naschodziło się kozaków, a Sak Bohdarenko rozpowiadał im o wojnie ze Szwedem, rękoma wymachiwał, nogami tupał, zwyczajnie kozacki mówca, co to kiedy językiem zacznie obracać, to jakby na wtór, rękoma i nogami tańczy.

Jeszcze o świcie pokojowa hetmanówny, Marta Sękowska, przybiegła z obieścinami o przybyciu gości. Panna Joanna zaraz wstała, i rano już była ubraną, ale nim się przybrała, wiele strojów przerzuciła. Pokojowa się dziwiła skąd te wymysły: — Marto dostań mi ingiernin muchajerowy — nie chcę — wolę grubrynowy kubraczek — włożę kołpaczek na głowę — może włożę czepiec — nie, najlepiej we włosach zostanę, w kosy wplotę wstążki po ukraińsku, i wezmę kasiatkę

z błękitnego tahinu podbitą gronostajami, co to ojciec mi sprawił jeszcze w Kitajgrodzie. Pamiętam jak Pan Tetera ją chwalił.

Marta ruszała ramionami: skąd pannie te fochy? tego nigdy nie bywało, i teraz ani markotna, ani gniewna, owszem wesoła, uradowana, ciągle się przezierała w zwierciadle i uśmiechała. Marta w swojej prostocie pomyśliła: zgadnijże, co to na panny napada?

Weszła Radzikowa, dawna ochmistrzyni Panny Joanny, a teraźniejsza Burgrabina zamku; w kuczbajowym kabacie, w czepcu na głowie, a za pasem pełno kluczów rozmaitej wielkości i kształtu. Panna Joanna postąpiła przeciwko niej: — Moja Radzikuniu, cóż tam Żeromski powiada o ojcu? — i zatrzymała się w mowie; widać coś jeszcze chciała powiedzieć, bo głos jej zadygotał krótko, ucinkowie, nie zaś jak zwyczajnie koniec mowy zaokrągla się pełnym spadkiem.

Pani Radzikowa pokręciła głową: — Bogu chwała, Jaśnie Wielmożny Hetman, Pan nasz i dobrodziej, zdrów, jest w Sanoku — zatrzymała się trochę — ale nasz Panicz Pan Tetera, coraz to piękniejszy się robi; samam go piastowała, takie to małe było, com to ja się nim nabiedziła. Panie Boże mnie wspomóż! a teraz już Starosta! i jaki! — aż łzy radości stanęły w oczach staruszce. Hetmanówna skraśniała twarzą, ale jakby chciała zakryć to gwałtowne wzruszenie, zapytała: — A też kobiety i ci mężczyzni co przyjechali z Panem Tetera i Żeromskim, kto są i skąd?

— Zaprowadziłam kobiety do Wileńskiej Wojewodziny, jedna z nich to rozwódka tego zdrajcy Radziejowskiego, a druga jej służąca, a mężczyzna to małe czupiradło, to Drogonius czarnoksiężnik. Panie Boże mnie wspomóż, pięknych że nam gagatów nawieźli.

— Moja Radzikuniu, ależ Pan Tetera temu nic nie winien; on ich obronił od Szwedów, a teraz oni naszemi gośćmi.

— Panie Boże mnie wspomóż, przeciwko paniczowi Teterze ja nic nie mówię; on taki dobry, za każdego narażałby życie, i tym gościom nie żałuję naszego chleba; tak to mi się wymknęło z ust nie wiedzieć co; ale ja chciałam zapytać panny czy by może nie poprosić księdza kapelana, żeby przyśpieszył ze mszą; oni nieboraki całą noc nie jedli.

— Jak to, to dotąd żadnego śniadania nie jadł Pan Tetera?

— A jużci, o świcie samam mu zgotowała doskonałego piwa, ale coś nie smakował. On jak zapamiętam jeszcze dzieckiem, byle skąd dostał jakie łakocie zaraz biegł z Joasią się dzielić, a nawet gramatyki nie lubił bez niej jadać. Panie Boże mnie wspomóż, taka to dobra jego natura.

— Idź moja Radzikuniu, proś księdza kapelana o mszę albo ojca Wotę.

— Wolę naszego starego, bo księdza Jezuitę nie śmiem. —

Wychodziła Burgrabina potrząsając kluczami, a hetmanówna jeszcze raz przejrzała się w zwierciedle: — Przyjdę do kaplicy, tylko wprzód dobrydzień oddam Pani Wojewodzinie. —

W kaplicy przed obrazem Świętego Michała Archanioła patrona kozaczyzny msza się prawi; możne polskie panie padły na kolana, schyliły czoła, kornie słuchają słów kapłana, i gorąco się modlą do Boga. Modli się zamkowa dwornia, modli się rycerski lud wojennej załogi. Tetera splótł ręce przed piersiami, i wzrokiem zarzucił ku ołtarzowi. Tam klęczy hetmanówna, nadobna krasą wdzięków, ale stokroć nadobniejsza pobożną myślą, zwierciedlącą się w oczach. Zdaje się że jasność niebiańska tleje nad jej czarnemi włosami, to błogosławieństwo pańskie owionęło głowę ziemskiej dziewicy. Kozakowi stanął w pamięci Kitajgrodzki kościół i młode lata; przypomniał sobie jak się wtenczas modlili z siostrzyczką i począł się modlić za siostrzyczkę, a nie myślał o żadnem innem ziemskiem uczuciu.

Po mszy ksiądz kapelan unita, dostojniejszym osobom, koleją godności, zasług i wieku, dał do ucałowania patynę; przed ołtarzem padł na klęczki, i zabrzmiał hymnem sławiańską mową: Święty Boże! Święty Wielki, Święty bezśmiertny! pomiłuj nas! To hymn gorącej prośby o ocalenie Ojczyzny, o pokonanie wrogów Chrystusowego kościoła.

W zamkowej sali, Panna Joanna jak przystało na Hetmańską córę, z grzecznością ale z powagą przyjmowała gości w ojcowskim domu. Tetera parę słów przemówił do niej, popatrzył na nią i westchnął. Trudno mu nagiąć kozaczą dumę do światowych obrzędów, on pomyślał: już to nie Panna Joanna z Kitajgrodu. Wojewodzina wypytuje go o powodzenie wojenne; panna Anna za pośrednictwem panny Potockiej badała co się dzieje z Królem i z Królową i z temi co ich otaczają. Urodziwa Radziejowska pięknemi słowami mu dziękuje za wybawienie z rąk wrogów; nawet niemy Drogonius ruchem głowy, i błyskiem oczów potakuje tej mowie; ojciec Wota z cicha przystąpi, ręce zatrze i kilka słów z uśmiechem przemówi, a włoch Carlo po kociemu zyrka na hetmanównę. Wszyscy jakby się wzięli oszołomić zapytaniami kozaka, on odpowiada krótko, bezładnie, ni w pięć ni w dziewięć; brwi namarszczył, markotny, czegoś mu nie dostaje, a patrzy na Pannę Joannę.

Wtem jak to się dzieje powszechnym obyczajem na świecie, że tego słuchają kto chce mówić, rzucili Teterę a obstąpili Panią Radziejowskę opowiadającą: jak wieszczym duchem natchniony, obawiając się gniewu Gnoińskiego, Drogonius wyniósł się z Kleparza, zabrawszy co miał drogich skarbów; jeszcze Wisły nie przepłynęli, kiedy już słyszeli wrzask Szwedzkich zbirów wpadających do Drogoniusowego domu, i niebawem ujrzeli płomienie pożaru.

Korzystając z tego opowiadania, Panna Joanna zbliżyła się do Tetery i zaczęli z sobą rozmawiać: zapewne po dawnemu i o dawnych rzeczach, bo twarz kozacza rozpłomieniała, a oczy mu się żarem brylantu zaiskrzyły, i dziewica mile się uśmiecha i twarzą i oczyma. Nie jednokrotnie kozakowi cisnęła się na język chęć powiedzenia Pannie Joannie że ją kocha; nie tak jak siostrę, ale serdecznie, gorąco, więcej nad siebie i nad sławę wojenną. Lecz jakby znienacka spojrzał po ścianach; tam malowane wizerunki Lanckorońskich rodziny: Hetmani, Kasztelani i Wojewodowie, a on kozak, tylko nie dawno Starosta i syn Starosty Podkomorzego! — potajkiem westchnął — i o miłości nic nie powiedział.

Po oczach panny Joanny widać, że chciałaby się pozbyć jakiejś tajemnicy z serca, i usta wdzięcznie się składały, jak gdyby chciały wyrzucić tę tajemnicę na jaw; ale czy wstydliwość dziewicza chęci na drodze zaporą stanęła; czy też się ulękła wzroku Carla, który niby słuchał uchem rozmowy Pani Podkanclerzyny, a okiem nie przestawał z ukosa strzelać na młodą parę, i Panna hetmanówna nic nie powiedziała. Kilka godzin rozmawiali to o tem, to o owem; dla nich te rozmowy były i ciekawe i rozumne, a ktoby je z boku słyszał, powiedziałby, że nie wiedzieć o czem, i że w nich nie ma ani składu ani ładu.

Skończyło się zaś wszystko, że przy odjezdnem Tetera ogniście ucałował i uściskał rękę Hetmanówny; Hetmanówna drobną rączką z lekka jego rękę odścisnęła, i dała mu w podarku szkaplerz przez siebie wyszyty, i poświęcony w Krakowie na Skałce; z podarkiem wyrzekła te słowa: — Niech on Pana Starostę zasłania od złego i niebezpieczeństwa, i co prędzej wróci do nas zdrowego — zarumieniła się, i Tetera pokraśniał przy pożegnaniu.

Zaskrzypiały wrzeciądze, brama się rozwarła, z trzaskiem spadł most zwodzony. Tetera nie pogładzał wąsika, nie poprawiał czapki, ani zabasował koniem po swojemu, po kozacku, jak to jego obyczaj; ku krużgankowi zamkowemu się obracał, zapomniał że siedzi na koniu, koń tylko bundiuczył się i za siebie i za niego, a Sak Bohodarenko cuglem zbierał szkapę, obcasami szturchał w boki i szkapa jak koza strybała i w prawo i w lewo, torby koło troków gdyby szalone latały.

Stara Radzikowa na dziedzińcu stanęła; na błogosławieństwo krzyżem świętym żegna Teterę, a gniewnem okiem pogląda na szalejącego Saka: — Boże Wszechmogący prowadź go i wyprowadź szczęśliwie. Panie Boże mnie wspomóż, ten opętaniec wszystko porozbija, pomiazdży: kalmusówkę, pierogi, małmaziję, pieczyste. Matko Najświętsza opiekuj się nim. Stój wisusie, pomału, całą noc piekłam, przygotowywałam a wszystko będzie na nic. Jezu Chryste przyczyń się za nim. Saku czy ty u licha dendery się objadł: — Tak Burgrabina zarazem modliła się za wypiastowanym przez siebie Teterą i klęła Saka co groził zniweczeniem wszystkim łakociom, danym na drogę wypieszczonemu wychowańcowi.

Zatętniał most pod kopytami, zaskrzypiały wrzeciądze, brzękły zwodowe łańcuchy i brama się zawarła. Panna Potocka zbliżyła się i rzekła do ucha hetmanównie: — Przecieżście sobie wszystko powiedzieli — a potem dodała głośniej — chodźmy na wały — i wszystkie trzy panny na wały pobiegły.

Już dawno wiatr mgłę porozganiał, gdzieś tam het za góry i za lasy; jaskrawe słońce hardo na świat patrzy; na ziemi złocą się ściernie i lśknią się jesienne pajęczyny. Lwowskim szlakiem jechał Tetera i za nim wierny kozak, obadwa jechali stępą, a Tetera ustawicznie twarz obracał ku zamkowi. Wszystkie trzy panny stały na wale, błękitne oko hetmanówny zapłynęło powstrzymywaną łzą, i błyszczy jak dyament w odbryzgach światła; na licach tylko słaby rumieniec się powlekał, jak zwój palnej róży. Wiatr igrał splotami kruczych włosów, i jakby niemym znakiem wołał na kozaka: powracaj! powracaj! Skryli się jeźdce w sosnowy gaj, widać że go w czwał przeskoczyli bo migiem wybrnęli na drugiej stronie; i znowu jechali stępą; czy żeby dłużej paść oko widokiem Lanckorońskiego zamku, czy też wiedzą że czyjemuś oku miły ich widok. Długo, długo jechali, nim zniknęli w czystem polu, a hetmanówna jeszcze patrzy i mami oczy obłędami wzroku.

Któraś z panien zawołała: — Wracajmy, nic nie widać, a zimno — wracały, i Joannie się zdaje, że we śnie widziała Teterę, we śnie przyjechał i odjechał; otarła oko, poprawiła włosy i smutnie westchnęla jakby chciała powiedzieć tem westchnieniem: i życie snem! —

Kilka dni ubiegło od odjazdu Tetery, i w Lanckorońskim zamku wszystko wróciło do dawnej jednostajności, zwyczajnie jak na zaciszu, w jesieni, w warownej twierdzy, gdzie bezustannie baczą i lada chwila spodziewają się napaści wroga. Nadszedł dzień ósmy października, przed wigilią rocznicy zwycięztwa pod Chocimem odniesionego na Bisurmanach, za panowania Zygmunta, Ojca dzisiejszego Króla. Dzień ten uro-

czystej pamiątki dla Polski, był dniem pamiątki i obchodu religijnego dla Lanckorońskich rodu. W kronice rodzinnej Lanckorońskich, złożonej w Lanckorońskim zamku, nie dawne podanie tak zapisano: — Roku Pańskiego 1621 Wielmożny Piotr Lanckoroński, towarzysz Zaporoża, przyboczny Jaśnie Wielmożnego Piotra Konaszewicza Sahajdacznego, Atamana wszej Ukrainy i Zaporoża; pamiętnej nocy w której Kozacy zgnietli potęgę Bisurmańską, pięć razy ranny, ze wszech stron otoczony wrogiem, wezwał Jezusowego imienia na ratunek, ocalił życie i okrył się sławą. Po powrocie z wyprawy Piotr Lanckoroński całą zdobycz wojenną złożył w ofierze w Kalwaryjskim kościele, na ozdobę cudownego obrazu Jezusa Chrystusa Odkupiciela i Pana naszego, a testamentową wolą upraszał swój ród, aby każdy Lanckoroński, i każda Lanckorońska, jeżeli im tego służba Ojczyzny, albo inno ważne obowiązki nie wzbronią, dziesiątego października słuchali mszy świętej w Kalwarji w kościele, przy cudownym obrazie Jezusa Chrystusa Syna Bożego. — Lanckorońskie i Lanckorońscy wiernie spełniali testamentową wolę jednego ze swoich przodków, i teraz w Lanckorońskim zamku, rozkazano robić przygotowania do jutrzejszego wyjazdu hetmanówny.

Zaledwie ranni ptaszkowie, oświegotali światu świt dzienny, na dziedzińcu zamkowym ruch i gwar, a w zamku cichość, choć i tam wiele osób nie śpi. Hetmanówna całą noc niespokojnie spędziła, bezustannie przewracała się na łożu, jakby tam ciało nie mogło znaleźć spoczynku, we śnie płakała i przez sen wymawiała głośno odrębne słowa. Kilka razy się budziła i modliła się po cichu, a potem znowu wpadła w szamotanie sennych mar. Marta, pokojowa, nie jeden raz pytała: co Pannie jest? czy Panna nie słaba? ale żadnej odpowiedzi nie wydobyła; dręczona troskliwością, cichutko wysunęła się z sypialnej komnaty, i poszła dać znać Pani Radzikowej że Panna chora.

Opowiadała ze szczegółami, co się działo w nocy, a Radzikowa ciągle przerywała jej opowiadanie: — Panie Boże, ratuj nas! rumianek lekki uspokoi gorączkę. Matko Najświętsza, wstaw się za nami! — miętowego olejku trzeba na otrzeźwienie. Jezu Chryste zmiłuj się nad nami! — to niestrawność, dzięgielowa wódka najlepiejby rozgrzała żołądek — a kiedy Marta dodała:

— Czy nie dobrzeby było poprosić Pana Drogoniusa, wszak on doktór? — Radzikowa cofnęła się parę kroków, przeżegnała się krzyżem świętym: — Święta Urszulo, patronka moja, zachowaj mnie w swojej opiece! Co też Waćpanna pleciesz? tego czarnoksiężnika, a może szatana? gubić duszę mojej Joasi. Panie nad pany, Twórco nasz, zachowaj mnie od tego; bądź Waćpanna spokojna, poradzimy jakoś przy pomocy Bożej.

Nieboszczka Imość zawsze mnie posyłała do chorych, kazała dawać jednemu to, drugiemu tamto; i przed wszystkiemi powtarzała: Urszula, to mój doktór. I Jegomość nieraz powiada: Radzikuniu, w krzyżach mnie boli, w nogach wierci, stryka w uchu, nie domagam, daj mi no Waćpani co na to; ja dalej po rumianek, po pigułki, po materacyki, i Jezu chwała, Jegomość zdrów; a Joasia w Kitajgrodzie, jak rybka była zdrowa, a tak mi Boże dopomóż, jeźli jaki doktor ją tknął oprócz mnie. —

Tak prandyczyła Pani Radzikowa, dostając z apteczki rozmaite łakocie jak to mówią przyrządzane w łacińskiej kuchni: — I teraz kto, jeźli nie ja, zalewa krople kozakom, jeźli który się skarży, a Waćpanna wiesz że trzeba djablej choroby żeby kozaka zmogła; u nich żołądki jak u strusiów i żelazo strawią, ale kiedy tam co się popsuje to trzeba mocnego szpigineru żeby poprawić, a dzięki Michałowi Archaniołowi patronowi Zaporoża, daję radę temu wszystkiemu, bez waszych Drogoniusów, i na ten raz obejdę się bez nich. — Nakładła w kieszenie szarafana kilka słoików i paczek, Marcie kazała pójść po wodę wrzącą i imbryczek, zamknęła szafkę apteczki i wyszła, na przemiany gwarząc głośno o leczeniu i lekarstwach, albo z cicha szepcząc pacierze.

Panna Lanckorońska już od pól godziny się przebudziła i smutnie rozmyślała o sennych marzeniach, kiedy się drzwi otworzyły i weszła Radzikowa: — Niech Bóg święty ma nas w swojej opiece, moja złota Panno co ci jest takiego? może zażyjesz kropelek miętowych? — i sięgnęła do kieszeni po flaszeczkę — może napijesz się rumianku? — Panna Sękowska zaraz przyniesie ukropu; a może dzięgielówki? — dalibóg że to pomocne lekarstwo.

Hetmanówna się uśmiechnęła: — Dziękuję ci moja droga Radzkiuniu, ja nie jestem chorą, ale takie okropne sny miałam tej nocy, że aż mi jeszcze strach.

— Mój aniołeczku pomódl się do Boga, to ci wróci spokojność, odpędzi strach. Sny zwyczajnie sny. — Po twarzy widać że Burgrabina nie wierzyła ostatnim swoim wyrazom: — Nieboszczka Imość ile razy miewała straszne sny, to przebudziwszy się spojrzała w okno, przeżegnała się i o wszystkiem zapominała; trzeba było tak zrobić, to najlepszy sposób i Bóg za to się nie gniewa.

— Moja Radzikuniu, siadaj tu koło mnie, ja ci opowiem mój sen, a ty mnie go wytłómaczysz.

— Ale moja kochana Panienko, to grzech sny tłomaczyć; to rodzaj czarnoksięstwa. Jezu przebacz mi — i siadła na krześle.

— Ale to nie grzech, tyle razy mi tłómaczyłaś sny, jak mnie kochasz powiedz mi teraz co to ma znaczyć? — Radzi-

kowa nic nie odpowiedziała, ale nadstawiła ucho i oko rozjaśniła ciekawością. Panna Lanckorońska mówiła głosem słabym i trwożliwym: — Oto byłam z ojcem i Teterą na łące pełnej kwiatów, ja zbierałam kwiaty, a ojciec i Tetera coś rozmawiali z sobą; wtem nie wiedzieć zkąd przybiegł pies wściekły, ziajany i zapieniony: skoczył na mnie, ja krzyknęłam i obudziłam się; znowu zasnęłam i przymarzyło mi się iż byłam w zamku, na dziedzińcu zapalił się ogień i z płomienia wyskoczył kot, iskrzącem okiem wodził po mnie, odwróciłam się: aż znowu tenże sam pies wściekły skoczył ku mnie i tą razą ukąsił mnie za rękę, rana zabolała, ja obudziłam się. Chciałam już nie spać ale sen znowu skleił powieki; tą razą byłam na wysokiej górze; u stóp góry płynęła rzeka, a za rzeką ojciec z Teterą liczyli perły i nizali na sznurek; mnie nie widzieli, ja na nich zawołałam, a na mój głos przybiegł pies wściekły z roztwartą paszczą; uciekłam od niego i w ucieczce natrafiłam na dziecko całe krwią zlane, dziecko przeraźliwie krzyknęło, ja się obudziłam i już więcej nie zasnęłam. — Panna Joanna patrzy w oczy Radzikowej, a ta milczy, tylko rusza głową i twarz powlekła smutkiem: — Moja Radzikuniu powiedz że co to wszystko ma znaczyć? tylko mów prawdę, ja się nie boję. —

Burgrabina westchnęła, ręką nosa potarła jakby na znak, ja wiem co to ma znaczyć. — Święta Trójco, miej nas w swojej opiece. Dalibóg że nie wiem co z tego wszystkiego ma się wyświęcić; ale sny to zwyczajnie sny, niekoniecznie trzeba im wierzyć. — I zmrużyła okiem, jawna poznaka że tą razą znowu powiedziała w brew swojemu przekonaniu.

— Tak pięknie ciebie proszę moja Radzikuniu — podniosła się na łożu, wzięła za rękę burgrabinę — powiedz, powiedz jak mnie kochasz! — I tak mile popatrzyła w oczy, że burgrabina wstała z krzesła, i jak przed laty całowała i pieściła malutkę Joasię, tak teraz hetmanównę pocałowała w czoło, i muskała ręką po jej włosach.

— Moja jedyna, moja brylantowa królewno, co ty chcesz odemnie? Co ty ze mną wyrabiasz? Jezu Nazarański, przebacz mnie. Oto nie trzeba jechać jutro do Kalwarji.

— I dla czego moja Radzikuniu? —

— Oto — wszyscy Święci Pańscy módlcie się za mną, na Boga się zaklinam moja Joasiu, że przez miłość dla ciebie to robię. Oto kwiaty, znaczą zmartwienie; pies wściekły, nieprzyjaciel, prześladowca; ogień to gość; a kot zdradliwy człowiek; ukąszenie psa wściekłego tryumf nieprzyjaciela; leźć na górę to biedz do swojej zguby; woda to droga; perły łzy; a dziecko i krew to wielkie nieszczęście. Boże mój Boże, karz mnie, a broń moją Joasię — i zamilkła.

Hetmanówna pilnie słuchała; na twarzy widać że całą siłą

umysłu walczy aby nie pokazać zmięszania, przymusem uśmiecha się, i głosowi nadaje dźwięk spokojności.

— Dziękuję ci Radzikuniu, Bóg mnie nie opuści. Jego opieka wielka. Jakże ja nie mam jechać do Kalwarji, kiedy takie było wotum świętej pamięci nieboszczyka stryja; taka wola ojca.

— Święta Marjo królowo korony polskiej, prawda że wotum rzecz święta; a co Jegomość pisał?

— Ojciec pisał że jeźli sprawy Ojczyzny i służba Jego Królewskiej Mości pozwolą, na jutrzejszy dzień będzie w Kalwarji. Prosi Wojewodzinę aby tam pojechała ze mną. Puksa ma rozkaz nas przeprowadzić.

— Święty Stanisławie, Święta Kunegundo, módlcie się za nami! niech Bóg od nas odwróci złe: — Wtem drzwi z hałasem się otworzyły, i obcesem z głośnym śmiechem wpadła Panna Potocka.

— Cha! cha! cha! Moja Joasiu to sceny! Radzikuniu, żebyś to ty wiedziała! — Zachodziła się od śmiechu, aż do ziemi się przyginała. —

Radzikowa skoczyła ku niej: — Święty Aniele stróżu! co jest Pannie Rozalji? —

Hetmanówna zerwała się z łóżka, uchwyciła na siebie żużmankę: — Rozalko co ci się stało?

Panna Potocka rzuciła się na krzesło: — Bądźcie spokojne, jeszczem ja nie oszalała, ale tu w zamku szaleją. Wczoraj wieczorem Anusia mnie powiedziała, iż dowiedziała się od Panny Wolskiej powiernej swojej matki: że Pani Radziejowska po całych nocach biega po swoim pokoju, i jakieś djalogi wyprawia, a Drogonius czarami się bawi. Przyznam ci się Radzikuniu, że nas strach brał ale ciekawość przemogła; dziś przededniem wziąwszy Anusinę Agatkę i moją Oksanę, poszłyśmy we cztery na wyprawę. Wyobraź sobie, cichutko jak myszy podkradamy się pode drzwi pokoju Pani Podkanclerzyny; nie śpi, przechadza się a światła nie masz w pokoju, i woła: Samuelu! zdrajco! wiarołomny! zgiń! przepadnij! — i ciągle takie wołanie, a zgrzytała zębami jakby miała robaki. Podchodziemy pode drzwi pokoju Drogoniusa, światło miga przez szpary i przez dziurkę od klucza; patrzemy; klęczy koło jakiejś skrzyneczki, wymawiał jakieś włoskie imię, zdaje się Juliety, a potem: przebacz, ona taka piękna, taka nieszczęśliwa! — nareszcie wydobył ze skrzynki — zgadnijcie co? — trupią głowę. —

Pani Radzikowa krzyknęła: — Jezus, Marja, Józef!

— I myśmy narobiły krzyku, i w nogi. Szczęściem, że nie obudziłyśmy Pani Wojewodziny. Ledwieśmy się trochę uspokoiły aż tu nowa awantura. Oksana przybiegła nam powiedzieć że djabeł na pstrokatym koniu przyjechał do zamku. —

— Radzikowa pobladła· — Święta Urszulo! święty Janie Nepomucenie! ratujcie nas! Co Panna Rozalja gada? otóż to sen moje Panny!

— Radzikuniu nie bój się; już kozacy djabła obstąpili i ojciec Wota tam wybiegł.

— Moje Panny, ja mówię że to wszystko ten sen narobił: — Tu dał się słyszeć gwar na dziedzińcu. — Święty Antoni Padewski, bierz nas w swoją opiekę, chodźmy do Pani Wojewodziny. — I szła przodem otwierając drzwi i ciągle mówiąc: — Kyrie elejzon, Chryste elejzon, Kyrie elejzon! — Lanckorońska, milcząc szła za nią, a Potocka śmiała się do rozpuku: — Otoż i Radzikunia zwarjowała. — Na dziedzińcu jakiś człowiek w szlacheckim kubraku już bez czapki, a do koła niego kozacy z pobundiuczonemi postawami, zapyrzone twarze, ręce wzniesione do góry. Jeden wołał: — Bisie przeklęty co ty za jeden? co to ty nasz Pan a my twoje sługi? — a psiawiaro! — Drugi krzyczał — patrz jego co za fanaberja, a trzysta by cię djabłów piekło. — Trzeci co czapkę zrzucił, do czupryny sięgał: — Rudy psie, ja ciebie nauczę z partesa gadać do hetmańskich kozaków. —

Szlachcic nie tracił miny, choć bez czapki, junacko się stawił: — Milion pareset bomb, czego wy odemnie chcecie; ja przyjechałem do mojego Stasia, do waszego Pana. Ja Julian Żytkiewicz najlepszy jego przyjaciel; prowadźcie mnie do niego.

— Milcz suczy synu, nasz Pan takich charłaków za przyjaciół nie ma! porwał za kołnierz i młynka wykręcił szlachcicem. Szlachcic zakuternożył ale utrzymał się na nogach, łypnął zyza.

— Czegoż Waćpanowie u milion pareset bomb do mnie się przyczepili?

— Aha, patrz, już Waćpanowie, będzie i Panowie jak my ciebie wraży mospanku nauczemy po naszemu. —

Byłoby może źle koło szlachcica, gdyby nie nadszedł Puksa.

— Hola Panowie chłopcy! a to co za djabeł?

— A to jakiś Laszek przyjechał z Krakowa, taj nas przezywa chamami, a myśmy go trochę poturbowali. —

Puksa popatrzył na szlachcica, osełedec poprawił: — Zyz rudy, kuternoga, wart szubienicy.

— A to ojcze, powieśmy szelmę, mniej będzie jednym psiawiarą na świecie. —

Żytkiewicz już zapomniał języka w gębie, kiedy pokazał się ojciec Wota, prowadzony przez Carla, odetchnął szlachcic.

— Ojcze Jezuito, mój senjorze włoski, ratujcie mnie od napaści, milion pareset djabłów, oni mnie gotowi rozerwać na

kawałki te — zajęknął się, i nie domówił, bo mu stusaka w kark wyrżnął jeden z kozaków; ale Puksa nahajem zgromił swawolę, a kiedy ojciec Wota dał świadectwo że zna Żytkiewicza, puszczono go: kozakowi zaś co się przy starszym poważył zelżyć człowieka, kazał Puksa, choć to widać dla przykładu tylko, zaprowadzić do stajni pstrokatą koniakę na której przyjechał Żytkiewicz, oporządzić ją i nakarmić. —

Kozak burczał pod nosem: — Skacz wraże, jak pan każe; poczekaj psiawiaro Laszku — i ze złości to wąs, to osełedec targał a wiódł konia do stajni.

Żytkiewicz do zamku poszedł za ojcem Wotą, Radzikowa widząc że idzie za księdzem, pewna że nie djabeł; ale po myśli u niej kręci się sen panny Joanny, zbliżyła się do Puksy: — Święty Janie Chrzcicielu, otóż to i ogień i kot Ojcze Pukso, czy znacie wy tego człowieka, może to jaki łotr?

— Dziwo że łotr, Mościapani ta że i wy widzieliście że zyz, rudy i kuternoga; a już to z takiego człowieka nie ma dobra. Ale cóż tu robić moja Imość, Jegomość nasz Pan, napisał kartkę: Puksa szanuj ojca Wotę — i ja szanuję. I jakby nie dosyć było tego panka włocha, panicz Tetera przywiózł znachora i czarownicę i niemca; teraz i wyzuwita sobie sprowadził kuternogę. Już to u nas w zamku jak na rozstajnej drodze, djabli harcują, a dobrym ludziom moja Imość będzie kiepsko. — Pokłonił się i poszedł ku stajni, a Burgrabina rzekła do siebie: — Trójco jedynego Boga, broń nas od nieszczęścia i sideł szatańskich. Aniele Stróżu nie odstępuj mojej Joasi. —

Ojciec Wota wziął jakiś list od Żytkiewicza i odszedł; a Carlo zaprowadził kuternogę, a zamknąwszy drzwi komnaty na klucz, coś długo z nim rozmawiał; nikt nie poważył się przykładać ucha do drzwi, ani oka do szpary oddźwierza; bo w zamku szanowano oja Wotę jako kapłana Bożego, a stąd bano się Carla jako jego polubieńca. Po dobrej godzinie otworzyły się drzwi, i Carlo wyprowadzając Żytkiewicza mówił doń: — Chodź Waćpan za mną — poproszę Panią Burgrabinę o śniadanie dla Waćpana, a potem trzeba jechać i to zaraz.

— Senjorze, mój osobliwszy Dobrodzieju, milion pareset bomb, śniadanie się zda; bo jakem Julian Żytkiewicz dziś oprócz kwarty wódki nic w gębie nie miałem, a szlachcic polski jak głodny to zły; z resztą spuść się na mnie, wszystko jak z płatka się wywinie. Milion pareset bomb, będziesz ze mnie zadowolniony i Jaśnie Wielmożny Jenerał — ciszej dodał — i Becalunio. Ot tęgośmy wywiedli w pole twego Wotunia. —

Carlo skinął żeby milczał.

Godzina już upłynęła, na zamkowym zegarze dziesiąta do-

chodzi, a Żytkiewicz jeszcze śniadał, okowitę jak najęty łykał, bigos hultajski i kiełbasę nie żartem obracał, a na zaprawę apetytu, znalazł dawną znajomę, starą pannę Dowmuntównę służebnę Pani Podkanclerzyny: — Milion pareset bomb, kopa lat jakeśmy się z sobą widzieli. Waćpanna panno Marcianno jeszcześ nie spaszowata, ale i mnie też niczego — i przysztykurlał do Panny: — Jakem porzucił tego szelmę Herubka, wyszedłem na ludzi, ze Stefusiem, z Canazylkiem jak bracia żyjemy; zobaczyłabyś gdyby tu Staś był jakby on mnie przyjął. Milion pareset bomb, moja Marcesiu, dajże mi buziaczka na powitanie — i chciał pocałować.

Dowmuntówna go odepchnęła: — Daj mi Waćpan pokój, nam nie myśleć o całusach.

— Daj mi pokój! świętoszka? widzisz ją! — milion pareset bomb, w starym piecu djabeł grzeje; a myśmy to jeszcze nie tak starzy. Po co te ceregiele, po prostu daj buziaka. Teraz nie jedna wielka pani chciałaby mnie cmoknąć, ale ja jak ten cygan: daj mu mejszpasy, on woli słoninę. Marcesiu cmoknijże mnie — i nadstawił się.

— Potem o tem, panie Julianie; powiedz mnie wprzódy, coś tu przyjechał robić i od kogo?

— Aha Marcesiuniu, ciekawaś, chciałabyś Pani co szepnąć o Samuelku; otoż ja wiem, a dasz budziaka?

— Może i dam, ale wprzódy powiedz; ja z góry nie płacę.

— Milion pareset bomb, nie ma rady z tobą Marcesiuńku; tłuściutka jak wielkanocne prosiątko; powiem ale pocałuję — zbliżył się jeszcze bardziej: — Tylko cyt o tem co usłyszysz, bo zginiemy. Milion pareset bomb, ja od Samuelka. — Wtem drzwi się otworzyły, Żytkiewicz odskoczył na bok, Dowmuntówna obróciła się twarzą do ściany. —

Carlo spojrzał pochmurnie: — A Waćpan jeszcze tu?

— Jaśnie Oświecony Senjorze, to nic, to dawna znajomość. Milion pareset bomb, jeszcześmy się dziećmi znali, a potem różnie bywało.

— Co mi Waćpan prawisz? nie potrzebuję tyle wiadomości; jedź Waćpan, bo czas nagli; oto list do Krakowa — i wręczył mu go.

— Jeszcze nie późno, przed wieczorem będę w Myślenicach; milion pareset bomb, Samuelek. —

Żywo przerwał Carlo: — Daj Waćpan pokój z tem gadaniem, a jedź zaraz.

— Zaraz, zaraz — chwycił za czapkę — bądź zdrowa Marcesiu, milion pareset bomb, zobaczemy się; stopy ściskam Jaśnie Wielmożnego Senjora, łasce się jego polecam. —

Carlo nie odstąpił Żytkiewicza, póki nie siadł na koń, wyprowadził go nawet do bramy. Szlachcic przejechał zwodzony most cicho, kłaniając się czapką w prawo i w lewo, ale kiedy

ubiegł drogą ze trzysta kroków, poprawił do góry poły kubraka, odwrócił się i krzyknął: — Chamy kłaniam uniżenie — i pstrokatą szkapą dernął w czwał.

Kozacy wąsa przygryźli: — Psiawiara laszek, popadniesz się ty w nasze ręce. — Żaden jednak nie gwiznął ze szmigownicy, bo przy bramie stał stary Puksa, a przy nim wara swawolić.

Carlo wróciwszy do siebie, z radości zacierał ręce: — Będę panem; o złoto tu nie trudno. Ten szlachcic i ten żyd dziwne wikłania rzeczy! A ci dobrzy Ojcowie! — zamyślił się. — I także to wypłacam dług wdzięczności? — on mnie braterskie serce daje, a ja na niego podejrzenie ściągnę, a może i kaźń — zagryzł paznogcie — ale ja chcę być bogatym, i mogę być bogatym — z temi słowami szkaradny uśmiech zawitał na twarz Włocha.

Dziewiątego października słońce dobrze z rana się schwyciło, ryczałtem bryznęło na świat złotemi promieniami, potem czy z gniewu że na ziemi smutno, czy ze wstydu że ono nie może przewrócić porządku rzeczy, skryło oblicze za chmury i zaczął rosić deszczyk drobny a gęsty, co to ludzie zowią kwaszanicą jesienną albo kapuśniaczkiem. Mimo niepogody, o jednastej godzinie, po mszy i po rannym objedzie, zwodzonym mostem wyjeżdżała z bramy poczwórna kolasa, kształtu łodzi, zawieszona na rzemiennych pasach, z złoconem pudłem wyrzynanem w dziwne figlasy; z wierzchu pokryta jak namiotem zielonym tahinem, wewnątrz wezgłowia wyłożone perskiemi kobiercami. Z tyłu stało dwóch hajduków, w błękitnych czuhajach szamerowanych złotem i czarnym jedwabiem, w czarnych matniastych szarawarach, w juchtowych butach, i w baranich kuczmach z żółtemi wierzchami na głowach. Na koźle nisko zaczepionym a podobnym do jaskółczego gniazda, siedział woźnica: na nim kusy a okolisty żuk, dostatnie szarawary, cholewiaste buty i wysoka kuczma, a wszystko barwy herbowej Lanckorońskich; w rękach trzymał lejce i bat długi niby rybacka wędka; sześć ogierów tarantowatych ciągnęło kolasę, w podłuż po dwa zaprzężone, drążki zawieszone na wąsach musztuków grodziły ich od siebie; na nich pyszne szory, różyczkami mosiężnemi gęsto natykane, pod kapicami błękitne czapraki po rogach szyty herb Zadora, nad kapicami jak rogi wysokie klucze, przez główki nizał się rzemienny lejc; naczółki, nachrapki, napryski i łańcuszki od wędzideł ze świecącego mosiądzu. Oczy ognistych ogierów zasłaniają czworograniaste klapki z rzemienia, ozdobione różyczkami. Na podsobnim przednim koniu siedział foryś, tak przybrany jak furman, tylko w miejscu bata, tatarską nahajkę miał

w dłoni, przodem przed cugiem biegł raźny kozak na białym koniu.

W kolasie z prawej strony, siedziała Wileńska Wojewodzina, w sobolowej szubie i w sobolowym podróżnym szłyku. Po lewej stronie Hetmanówna, we środku panna Anna a z przodu ojciec Wota. Za kolasą szła ładowna bryka z babińcem i kuchnią, cug gniado-pstrokatych wałachów dobrze naciągał pasy, żeby ją toczyć; bo choć to pojutrze miała wrócić Hetmanówna z świętobliwej pielgrzymki, Pani Radzikowa opatrzyła podróżnę spiżarnię jakby na miesiąc ciężkiego oblężenia.

Już na drodze, za przekopem stało na koniach stu kozaków, w hetmańskiej bramie, zbrojnych w spisy i palną broń. Stary Puksa zdał dowództwo zamkowej straży Radzikowi i Żeromskiemu, a sam na myszatym koniu, co tu już nie raz i nie dwa bywał w tatarskich, tureckich i moskiewskich obrotach, przywodził zbrojnemu orszakowi; to pokręcał siwy wąs, to klepał po szyi konia, a oczyma rzucał na wsze strony, jak stary sokoł. Skoro kolasa i bryka most przeminęły i wjechały na drogę, duchem dwudziestu kozaków przodem skoczyło, i powodyr daleko odjechał; na każdą stronę powozów po dziesięciu rotami się wysunęło, a z resztą stary Puksa szedł z tyłu w odwodzie.

Na dziedzińcu zamkowym z wału Burgrabina ręką krzyż święty kreśli po powietrzu w stronę gdzie pociągnął podróżny tabor: — Boże Wszechmocny zeszlij anioła, aby ich prowadził, aby ich zasłaniał. Oj ten sen z głowy mi wybić się nie może! —

Mimo deszczu panna Potocka stała koło niej. — Bóg wie czego ta Podkanclerzyna tu zajechała, muszę dla niej zostawać na gospodarstwie. Moja Radzikuniu gdyby jej nie było i ja bym się trochę przewietrzyła; a teraz na frasunek, chodźmy do Drogoniusa, niech nam kabałę pociągnie.

— Święty Jezu, pannie Rozalji tylko figle w głowie; a ta biedna Joasia?

— Oj prawda że biedna Joasia; dziś taka była smutna, taka blada, cały ranek ze mną gadała o Teterze, czy go jaki przypadek nie spotkał?

— Święci Apostołowie i Ewangieliści wstawcie się za nami! Chodźmy Panno Rozaljo modlić się o szczęśliwą drogę i prędki powrót Joasi; zmówić pacierz i za mego Semenka: — Popatrzyły jeszcze raz w pole, przez dżdżystą mrakę nie dobrze było widać kolasę i jeźdźców, wkrótce zajechali za jałowcowe krzaki i już nic niewidno; Burgrabina i Panna Potocka wróciły do zamku, Burgrabina modląc się swoim zwyczajem, a Panna Rozalja nie swoim, smutna i zadumana. —

Ledwie kilka godzin upłynęło, aż tu nowi goście jadą do zamku. Drogą od Karpatów ciągnie orszak pancernych, na stalowych misiurkach kaptury, na brzeszczotowych koszulkach bure opończe. Po przedzie jechał wódz na złotogniadym koniu, na ramionach czerkieska burka, na głowie sobolowa czapka z modrym wierzchem. Złotogniady, jakby dobrze był świadom miejsca, tak pewną i sporą stępą szedł wprost do zamku, i jeździec zdawał się pociągać wzrokiem po dobrze znajomej okolicy. Na kilkaset kroków surmacz dziewięć kroć razy zadął w surmę, dziewięć-krotnie powietrze zabrzmiało chropawym porykiem, i dziewięć razy stłumiony rozgłos przedrzeźniał po starym zamku brzmienie surmy.

Wiadomy to znak dla załogi zamkowej; wnet się rozwarły podwoje bramy, spadł most zwodzony, na wiwat palnięto z moździerza. Kozacy zbrojno się sypnęli przed bramę, czapkami w górę rzucili i radośnie krzyknęli: nasz ojciec! nasz Pan! żyj długie lata, w szczęściu taj w sławie!

Stary Hetman, bo to był on, witał ich po ojcowsku, jak rodzonych dzieci. Jeszcze z konia nie zsiadł, kiedy wydał rozkazy, aby mu przywiedziono świeżego wierzchowca i kozactwo żeby na koń siadało; potem wszedł do zamku, witał gości otwartem i szczerem sercem, zwyczajnie po staropolsku; witał domowników nie nadętym i suchym głosem niemieckiego, pana, ale poufałą przychylnością sławiańskiego szlachcica; pocałował w czoło czarnobrewą Rozalkę, o Joasię się wypytywał z ojcowską troskliwością czy zdrowa, czy nie zmizerniała i czy często tęskniła za nim; a na dziwotę Pani Radzikowej z Czarnoksiężnikiem Drogoniusem bez wstrętu rozmawiał.

Burgrabina żywo się krzątała, dając rozkazy służbie, i znosząc łakocie na przekąskę Panu, wprawdzie przytem wszystkiem, na przerwy wygadała od deski do deski całą litanję do Świętych pańskich, ale stół był sowicie zastawionym; ksiądz kapelan modlitwą pobłogosławił i jadło i ludzi; a Hetman ze starszyzną pancernych pożywali i spijali dary Boże.

W tej samej chwili, w jadalnej izbie służby, nie skąpiono szeregowcom ani mięsiwa, ani miodu i wódki; a wszyscy jedli nie pół gębkiem, pili nie pół gardłem, ale uczciwie jak się należy; bo kto przez noc ośm opętanych mil na szkapie upalił, u tego i żołądek i gardło łaknie.

Już koń dla Hetmana pod krużgankiem nogą ziemię kopał, jak to powiada jarmarkowe posłowie: talary z siebie liczył; już Hetman rozczulony serdecznem przywiązaniem domowników, starym węgrzynem przepijał dostrzemienne; już kozacy koni dosiedli, zwijali się po dziedzińcu, wesoło pohukiwali, i po swojemu się czwanili, radzi nadzieją że może w drodze bój się

nadarzy, chlubnie że sam Pan ich powiedzie, a pewni że dogodzą jego oku rycerskiemi czynami, kiedy nagle w zachodniej baszcie dzwon zajęczał, raz dwa, trzy; duchem ze wszech miejsc sypnęli się puszkarze i rusznicziarze, i duchem wleźli na wały i do baszt, każdy na swoje miejsce. Kozacy w szereg się uszykowali i silniej dłoniami ujęli ratyszcza. Radzik i Żeromski pobiegli rozpoznać czy wróg, czy swój się zbliża; sam Hetman wyszedł z zamku, serce mu się ścisnęło i duszno na piersiach; pomyślał o jedynaczce, czy zła przygoda nie napotkała kochane dziecię, chciał wskoczyć na koń i na oślep lecić przeciw wroga, nie wiedzieć po co; czy żeby córkę bronić? czy żeby wrogowi nie dać gnać za nią? Ojcowska obawa zagrała mu po sercu, krew wiekiem przystudzona, zakipiała młodocianym warem; zapomniał o doświadczeniu starego wojaka.

Stanął przed nim Radzik: Jasny Panie jakieś wojsko ciągnie od Zatora, muszą być Szwedzi bo szłapią lizą jak wieprze, ale trzysta by djabłów zjedli, takie mnóstwo tej nierogacizny jak szarańczy.

Odetchnął Hetman, ulżyła duszność na piersiach, pomyślał: od Zatora idą, to nie droga którędy pojechała moja jedynaczka i zawołał: — Hej, niech kozacy z koni zsiądą, harmaty na wroga wyrychtować, ja tam sam idę — i poszedł na wały.

Z za wzgórza suną a suną, to rajtary, to knechty, nawet ciągną szturmowe działa; ćma tego wojska, ale i jezdni i piesi, zmitrężeni mrocznym deszczem, pozwieszali uszy i leźli jak za napaść. Stanęło wojsko na trzy strzały harmatnie od zamku; to ciągnęło się w prawo, to w lewo, to się gromadziło w ciasne koło; tak wrony, gawrony, kawki i cały podły motłoch drapieżnego ptastwa, zdala szybuje po powietrzu albo skacze po ziemi, kiedy siry orzeł, siądzie na ścierwie, rozprostuje szpony, i dziobem poklekocze.

Ile razy posuneła rajtarja w lewo, tyle razy zakłuło w sercu Hetmana: chciał zejść z wałów i z kozakami wypaść z zamku, ale na powrót zakrążyła rajtarja i on na miejscu pozostał. Sędziwy wojak dręczył się tak długie godziny; serce krzyczało: idź z zamku, może twoje dziecię wyciąga ręce do ciebie, pomocy żebrze, a powinność wodza i Lanckorońskiego nakazywała: broń zamku, gniazda twojego rodu, ojczystej twierdzy.

W tejże samej chwili, zamkowe wieżyce zapełniły się niewiastami i ludźmi domowej służby. Choć to dawna gadka powiada: ciekawość nałogiem niewiasty, ciekawość pierwszy stopień do piekieł, jednak i mężczyznom nie brak na ciekawości, a na tym bożym świecie, każdy leci sycić swoją ciekawość, gdyby nawet i strachał się piekieł. Burgrabina drapiąc

się po schodach zmówiła Ojcze nasz i Zdrowaś Marja, a wylazłszy, głośno wołała: — Przenajświętsza trójco, przez nieograniczone miłosierdzie twoje! — ach co tu tych Szwedów, czerwone bestje gdyby smoki, a paszcze porozdziawiane! Zmiłuj się nademną i nad wszystkiemi mojemi; patrzcie już lecą na zamek gdyby komety ogniste! — i nad wszystkiemi rzeczami stworzonemi! — Moja Joasiu co też tam z tobą się dzieje! otóż to sen! jak wiesz chcesz i możesz. Gdyby tu przynajmniej był Semenek, on by im dał — a daj łaskawie uczuć nam całą słodycz twojej Boskiej miłości; te bestje heretyki Bóg wie co gotowi zrobić! I znowu zaczęła Ojcze nasz i zdrowaś Marja, i tym sposobem odgadała całą koronkę do Opatrzności Boskiej.

Widać że Panna Dowmuntówna coś dużo naszeptała Pani Podkanclerzynie o wczorajszem widzeniu się z Żytkiewiczem; widać że posnuto z tego jakieś domniemywania, bo zaledwie dano znać o zbliżaniu się wroga pod zamek, piękna Elżbieta ustroiła się w ten wielomożny pół-uśmiech, którym zwykle niewiasta czarowna włada ludźmi jak niewolnikami, i zaniosła prośbę albo raczej rozkaz Drogoniusowi. Uczony czarnoksiężnik, jak go zwano, zapomniał powagi, z niezwyczajną sobie skwapliwością poszedł spełniać wolę kraśnej rozwódki. Wziął jakieś pudło pod pachę, wdrapał się na wieżycę, otworzył pudło i stawiał w oknie na podnóżku jakąś lufę mosiężną, w otworach szkłem zaczeluścioną; przyklękał, przez lufę okiem celował, powracał nią to w prawo w lewo, to w górę podnosił, to na dół opuszczał. Wszyscy przytomni w przeciwną stronę się odsunęli, bo z djabłem trudna sprawa, a jednak nikt nie wyszedł, bo ciekawość i z djabłem oswoi.

Na stronie stojący psiarczyk rzecze z cicha do kuchcika — patrz bracie, czy to trąba żeby wystraszyć Szwedów, czy strzelba żeby z pół kopy na raz zwalić? —

Kuchcik skrzywił okiem: — Co tobie w głowie to rożen na upieczenie najstarszego Szweda. —

Jakiś tam starszy wyjadacz przebąknął pod nosem: — Mospanie, ciekawa rzecz jak się djabeł ze Szwedem za łby wezmą. —

Burgrabina modliła się ciągle, spuściła czoło ku ziemi, a oczyma za podełba strzygła na Drogoniusa. Nadeszła Pani Radziejowska, przystąpiła do okna, schyliła się, patrzy i długo patrzy w mosiężną lufę, twarzy jej nie widać, tylko słychać słowo rzucone słabym głosem — to on! — tu jedzie! — to on! Wtem z baszty wypaliło kilka dział na raz; Podkanclerzyna boleśnie krzyknęła — to on! to on! oparła się ramieniem o mur a rękoma i oczy i twarz zakryła.

Spłoszona zgraja poczęła uciekać z wieży, po schodach zbiegali na łeb na szyję, a wszyscy wrzeszczeli: djabeł! djabeł! —

tylko głos Burgrabiny wołał: — Święty Michaele! Święty Gabrielu! Święty Rafaelu! ratuj nas! —

Podkanclerzyna i Drogonius zostali sami w wieży; więcej żadnego strzału już nie słychać; ciekawa gawiedź spłoszona rozbiegła się po zamku. Podkanclerzyna stoi w miejscu z założonemi dłoniami na twarzy, jakby osłupiała; Inocencius patrzy na nią, twarz mu pobladła, w oczach tli niespokojność, a nie śmie przemówić do niej; nareszcie ona zaszlochała: — Samuelu! to on! on już nie żyje! —

Inocencius chciał ją ująć za rękę: — Piękna pani uspokój się. —

Ona go odtrąciła: — Dajcie mi pokój! ja nieszczęśliwa! — Ręce odrzuciła na suknię i piękna była rozpaczą a dziwnej krasy była jej rozpacz; oko łzą zmyte błyszczało niepojętym połyskiem i twarz łzami zlana obudzała współczucie boleści w patrzącym. Drogoniusa wzrok podziwieniem i zachwytem pałał; a smutek uciskał mu serce, że nie mógł jej pocieszyć.

Kiedy się to dzieje, wpada do baszty panna Potocka a za nią Dowmuntówna. Wesoła Ukrainka swoim obyczajem żywo zapytała. — Co jest Pani Podkanclerzynie? czy Pan Drogonius panią oczarował? — ale ujrzawszy łzy na jej twarzy, przestała mówić, a spostrzegłszy teleskop ustawiony w miejscu perspektywy, spojrzała w szkiełko otworu: — Jak doskonale widać! trzynastu Szwedów leży trupem, dziewięć koni, na przodzie kasztanowaty z latarnią, biało-nogi. —

Podkanclerzyna znowu nagle zawołała: — To on! to jego koń! Samuelu! Samuelu! — i rzuciła się na ramiona Dowmuntówny. Ta ją wspiera a nie śmie cieszyć; Panna Potocka przestała patrzeć, skoczyła na ratunek Podkanclerzynie, i obiedwie z Dowmuntówną wyprowadziły ją z wieży.

Drogonius sam pozostał, zacierał ręce: — Ach! jak ona go kocha! — tak mnie kochała Julieta, a ja złamałem wiarę jej pamięci! — Spojrzał przez teleskop — może nie żyje? — marna nadzieja! — niewiasta pełna czucia jak ona, raz tylko kocha — i ja kochałem, byłem kochanym i znowu kocham! — O zbrodnia! Julieto! przebacz! ucieknę od niej; dziś jeszcze ucieknę. — Ręką rękę łamał i przechadzał się szalonym krokiem.

Przez ten cały czas Carlo wyrzekał słowa smutku i rozpaczy o los Ojca Woty, swego dobrodzieja i opiekuna.

Na wałach mnóstwo zbrojnego ludu, chychocze i drwi ze Szweda, że raz tylko pokusił się zbliżyć pod zamek, a jak dostał serdeczny pocałunek, to się już przysuwać nie waży, nawet trupów swoich nie zbiera. Lachy krzyczą: — Wara bestjo, tam tobie stać z daleka, znaj psie mores; co Polak, to nie Szwed pludra! —

Kozacy takož po swojemu łają: — Suczy synie, djabla psiawiaro, chodź no tu, my z tobą poigramy po kozacku: — Darmo wołali; jeszcze przed zmrokiem Szwedzi zaczęli się cofać za wzgórza, o zmroku zupełnie zniknęli.

Hetman stary bywalec, jak na palcach zna sztukę wojennę; wie że już pod zamek nie wrócą. Długo rozmawiał z Marcinem Polanowskim rotmistrzem pancernych; widać że mu straż zamku powierzał. Radzikowi polecił aby równo z dniem pogrzebiono Szwedzkie trupy, choć to wrogi ale ludzie, niech się nie walają po psiemu ich ciała; potem kazał kozakom na koń siadać i sobie przyprowadzić konia.

Ciemno było na niebie, jakby kto sadzą wysmarował obłoki; ani księżyc, ani żadna gwiazdka półoczkiem nawet niezamigotała, a deszczyk rosił i szemrzał, całując przekopową wodę. Wiatru ani słychać: cicho do koła, tylko w zamku gwar i ruch. Bez huku otworzono bramę, i most jak najwolniej spuszczono; ruszyli kozacy a na ich czele Hetman; nie kopnęli z miejsca jak to ich nawyczka, z szumem stada pardw porywających się z odłogu; nie zawiedli w głosy kozaczej dumki w pochodzie; ale głucho, po wilczemu, wyszli z zamku, i milczkiem po wilczemu wlekli się drogą. W drodze ni żywej duszy zdybali, ni żywego głosu zasłyszeli; tylko na rozstajnym szlaku po pod Babim lasem, nie daleko Kwiczołowej góry, konie przedniej straży zachrapały i po koziemu w bok się żuchnęły; a poproszone nahajką, wszystkie konie przechodziły chrapiąc i lękliwie stawiając nogi, jakby przepaść przed nimi była; a jednak to wiadoma droga, gładka jak po stole. Hetman rzekł: — Wilcy musieli tędy się włóczyć, to ich zwyczajny przechód — a któryś stary kozak powiedział z cicha do towarzysza: — Krew świeżą czują — ale na to nikt nie uważał, poszli dalej pochodem.

Rankiem przybyli do Kalwarji. Jeden z kozaków przodem w czwał skoczył do gospody, gdzie od dawnych czasów miała zwyczaj zajeżdżać na popasy i na noclegi Lanckorońskich rodzine. Hetman niebawem przyjechał za kozakiem. Niecierpliwość z oczów mu błyskała, a siwą brodę rozwiał wiatr, znak że nie pożałował konia. Nikt w Lanckorońskich barwie nie wybiegł na przeciw niego, kozak kręcił się na koniu po pod sienią, o coś musiał się rozpytywać. W karczmie zaś takie wrzaski i swawole, iż pewnie tam hetmańska córka ani była, ani jest. Mało zważał Hetman na pokłony i uniżone powitania karczmarza; zrozumiał że tam jego jedynaczki nie było, zawrócił koniem i pojechał do Komissarji, a ztamtąd do klasztoru. Kozacy rozskoczyli się po miasteczku, od domostwa do domostwa, od chaty do chaty szurowali, i pytali po swojemu z hałasem i harmiderem; ziemia się rozstąp, ani słychu, ani

wieści o hetmanównie, jak to mówią: jak w wodzie potonęła tak przepadła.

Hetman był w kościele; organista, kościelne dziadki i baby, dobrze znali Lanckorońskich rodzinę, a jednak wszyscy na jedno się godzą, że ani pozawczoraj ani wczoraj, ani dziś, nikt nikogo z Lanckorony nie widział w kościele. Hetman wrócił do miasta; czy tam się czego nie dowie. Po domostwach pełno okolicznej szlachty, bo to był kiermasz w dzień świętej Placydy Panny. Ten się chwalił, że Szweda jak dudka okpił: za niemieckie talary z czystego srebra, przystawił żyto z kąkolem, owies z groszkiem, i wódkę uczciwie przymięszaną wodą; tamten powiada, że za pięć czerwonych złotych, kupił trzydzieści szkap u szwedzkiego rotmistrza, i tuszył sobie że za każdę weźmie po dziesięć czerwonych złotych, jak odpasie; inny wykrzykiwał: dziej się wola Boża! i ci Szwedzi to ludzie, choć szwargoczą po niemiecku, ale butelczynę suszą po polsku; pozawczoraj podhulaliśmy sobie w Bochni, jak za dobrych czasów; ten znowu wołał: precz z eks-Jezuitą, co się obżenił z bratową, nasi panowie dobrze zwąchali, stanęli przy Szwedzie, a my po jakie licho mamy się bić? żyjmy w zgodzie i pijmy; tamci znowu byli tego zdania: siedźmy cicho, czekajmy lepszych czasów; a ledwie jaki taki poważył się oświadczyć: Jan Kazimierz z krwi Jagiellońskiej prawy pan Polski; Szwedzi wrogi, a ci co z nimi trzymają to zdrajcy! — bo zaraz ich zakrzyczono, jak gdyby bluźnili przeciw Bogu, albo lżyli Ojczyznę.

Hetman strapiony swojem nieszczęściem, mocno się zasierdził na tę lichotę niegodną szlacheckiego miana: — Wstydźcie się Mości panowie samych siebie. Bezcześcić Króla Pana nam miłościwego, obojętnem okiem patrzeć na zajazd i niedolę Ojczyzny, bratać się z wrogami; tak się nie godzi. Mości panowie, nie poszanowaliście imienia polskiego! — Byłby ich skuteczniej zgromił Hetman, ale głos serca wołał go w inną stronę.

Szlachta milczała i pozierała po sobie. Czy hetmańskie słowa jak to mówią w sedno trafiły, czy też hetmańscy kozacy groźną postawą strachu napędzili, i doradzili milczenie; i jedno i drugie; bo kiedy Hetman z kozakami odjechał, jedni drapali się w czupryny i targali wąsy, drudzy w głos wydziwiali na Hetmana: — Widzisz stary, gadać umie jak kaznodzieja, pod Wojniczem trzeba było bronić Ojczyzny — oho! tam mu Szwedzi tęgo zerżnęli kurtę; gdyby nie Kochowski i Bidziński nie dawałby nam teraz morałów Pan Hetman. — Jaki junak! sroży się, bo Szwedzi baj bardzo o niego stoją — dajmy mu tam pokój, niech wojuje, a my chodźmy taj zapijmy sprawę. — Podobała się rada, i chętni i niechętni wzięli się do butelek i do kieliszków i pili; jakby w Ojczyźnie jednego

wroga nie było, a Polska była groźną sąsiadom, a poważaną od nie sąsiadów, jak za czasów Bolesławów i Batorego. Niebaczni! jedli, pili i weselili się wołając: nie jedno złe minęło i to minie — jakoś to będzie — nie troszczmy się, co tam kiedyś będzie, a godźmy się z tem co jest dziś; może jutro nas djabli wezmą, póki żyjemy hulajmy! — I hulali.

Z miasteczka wyjeżdżał Hetman, ważąc w myśli, gdzie w której stronie córki szukać, kiedy podjechał ku niemu stary kozak: — Ojcze serdeczny, w nocy koło Kwiczołowej góry, konie nasze zwąchały krew, już to tam nie djabli ale ludzie się bili. —

Hetmanowi jakby mróz przeszedł po za skórą, głową kiwnął: — Ha! — i konia skiercwał na szlak ku Lanckoronie. —

Oh! jakaż niepewność dręczyła ojcowskie serce, kiedy dochodzili do Kwiczołowej góry. Widać strome boki kiędzierzawe jałowcem; widać łysinę szczytu, rozsochate czeremchy i gałęziste lipy Babiego lasu. Oko Hetmana wytężyło się w tamtą stronę, pragnęłoby wszystko przepatrzyć, a trwoga czy nie dowie się o złej przygodzie goryczą zaprawia pożądaną chęć, tak aż mu duszno na piersiach.

Słońce jakby na przekorę smutkowi jaśnie wzeszło, i niebiosa się wypogodziły, jakby miały patrzeć na jakieś ziemskie wesele. Zbliżali się kozacy do rozstajnej drogi, konie żywo stąpały na ostatnie wzgórze, co kryło przed okiem błonia ścielące się koło Kwiczołowej góry i Babiego lasu. Już na nim — czegóż tak nagle Hetman twarz odwrócił, pobladł, zadrżał, znowu popatrzył, konia targnął, ścisnął i czwałem spuścił się w dół; tak stary Hetman nie zwykł robić, coś mu doskwarzyło w serce? Kozacy popatrzyli na Hetmana, popatrzyli na pole. Hetman skakał koniem; na polu trupów ludzkich i końskich takie mnóstwo jak na bujnej niwie snopów. Rabieją rodzinne barwy Lanckorońskich domu na poległych kozakach; połyskują stalowe pancerze na pomordowanych Szwedach. Po pod lasem coś ogromnego czernieje i błyszczy, tam przyskakał Hetman i tam konia osadził. Kozacy tuż tuż, za nim przydążyli: to kolasa hetmańska i bryka, ale próżne; koło nich trupy pokotem leżą jeden na drugim; tam kozacza ręka zaklęsła na szwedzkiem gardle; tu kozak w kłębek się zwinął pod szwedzkim kolanem; tam koń swoim trupem zmiażdżył głowę ludzką; tu trup ludzki śmiertelnym uśmiechem opasał ramiona koło szyi końskiego trupa. Koło kolasy stał trup bez rąk, jakby przyczepiony do krawędzi pudła, zębami się tam zaczepił i zęby mu w drzewie zaklęsły, ręka lewa obcięta po za łokieć, jeszcze trzymała za budę, palce pijawką się wpiły w zielony tahin; ręka prawa zrąbana przy

samym kikciu jak kurczaba objęła sprychę tylniego koła; siwe włosy krwią skołtunione, twarz jak jedna blizna; kozaczy kontusz szablami na kłapcie podarty; to trup starego Puksy; dowodne świadectwo jak bronił pańskiego dziecka. Pomiędzy trupami ani jednego rannego, już ze wszystkiemi się bratały kruki i wrony, nim nadbiegł Hetman z kozakami. Za ich przybyciem żarłoczne ptastwo odleciało i obsiadło krajne drzewa Babiego lasu i ztamtąd kracze, jakby przepowiadało jeźdcom, i z was będzie ścierwo!

Hetman stał i nic nie mówił, tylko ręce przyłożył do piersi, a oczy wzniósł w niebo; oj! gorzkie tam musiały być męki w ojcowskiem sercu, a gorące prośby do Boga w chrześcjańskiej myśli. Połowa kozaków sami bez rozkazu rozbiegli się po okolicznych futorach i siołach, aby powziąć jakąś wieść o smutnej przygodzie, a Hetman w miejscu stał, ani głosem przemówił, ani łzy uronił, ani westchnął nawet; jakby zkostniał, jakby zmartwiał, tak siedział na koniu; zdawało się że i koń na tę chwilę w nieruchomy kamień się przemienił; ani rzucił głową, ani nogą ruszył, choć się inne konie koło niego kręcą.

Kolejno jedni po drugich przyjeżdżali kozacy, a żaden nie pewnego nie przywiózł; po siołach słyszano liczne strzały, ale nikt nie biegł na ich odgłos. Później widziano hufce szwedzkie ciągnąca w różne strony, ale to z daleka, bo katolik krył oczy, na widok psa Szweda; nie miałby u licha lepszej roboty, jak im się przyglądać albo liczyć, albo drogę zachodzić: a to by był grzech śmiertelny, gorszy jak poskromić się w adwencie, lub nie pójść do kościoła i mszy świętej nie słuchać w Wielkonocną niedzielę.

Czy słuchał, czy nie słuchał tych doniesień Hetman, nie wiadomo, bo nic nie odpowiedział, tylko po chwili rzucił dzikim wzrokiem na Żeromskiego: — Wasze jedź do Sanoka, niechaj Kierszniowski co nazbierał ludzi zaraz prowadzi do Lanckorony; a ty Opanas dmuchnij do Krakowa, a po swojemu; powiedz Kasztelanowi że przyjdę na odsiecz, niech się trzyma.

Wszystkim dziwno dla czego Hetman z suchem okiem i żwawym głosem daje rozkazy co do służby Ojczyzny, a o córce ani słowa mówi.

Wtem przybiegli kozacy co plądrowali las i tam żywej duszy nie znalezli. Hetman spojrzał boleśnym wzrokiem do koła, machnął ręką na Klima Czernysza, ulubionego kozaka, od czterdziestu lat będącego na usługach Lanckorońskich: — Chłopcze wybierz dziesięciu, dwudziestu, i ruszaj wziąść opyt o moim dziecku: — Dalsze słowa zatkały mu się w piersiach, twarz mu się skrzywiła jakby do łez, ale wnet konia ruszył z miejsca: — Za mną! — i pokłusował drogą ku Lanckoronie

Czy zapłakał trochę, czy może pozłorzeczył, tego nikt nie widział, nikt nie słyszał; bo czepko kłusowali, kulbaki rypią a rypią, kozacy jak to mówią pieprz tłuką, a w oczach im się iskrzy i bałamuci od ciągłego kłusa.

Przybyli do Lanckorońskiego zamku. Hetman zaledwie ujrzał biegące przeciw sobie pannę Rozalią, i stara Burgrabinę, oczy mu łzami zaszły, duszno w piersiach, zsiadł z konia i zawołał: — Moja jedynaczka, moja Joasia! ósme dziecko tracę — i padł na ziemię jakby paraliżem rażony. Domownicy niosą Pana na łoże, panna Rozalja śmiech na płacz zamieniła; Burgrabina wszystkich świętych i wszystkie święte ku pomocy wzywa, rozpacza, klnie sen złowieszczy, a krząta się koło apteczki, aby nieść ratunek Jegomości. A tu jak na biedę ten Drogonius rankiem z swoim sługą i z włochem Carlo wyjechali z zamku, niewiadomo gdzie, i jak na długo. Burgrabina byłaby w złym razie na pomoc wezwała czarnoksiężnika, a teraz sama się musi porać i lekarzyć tak jak ją nauczyła świętej pamięci nieboszczka Pani Hetmanowa.

Wszyscy tak stroskani chorobą Hetmana, że zapomniano nawet o cierpiącej Pani Podkanclerzynie od owego wypadku na wieży. Na drugi dzień po pokazaniu się Szwedów przed zamkiem, Pani Podkanclerzyna prosiła rotmistrza Polanowskiego, aby przejrzał trupy szwedzkie czy między niemi nie ma Polaków; rotmistrz spełnił rozkaz pięknej pani, ale nie znalazł trupów ludzkich, nawet rzędy końskie były porabowane, zapewne przez chłopstwo; tylko koło zabitego kasztana, leżała reksyna oderwana od czapraka, Rotmistrz przywiózł ją do zamku i oddał Pani Podkanclerzynie; ta skoro ją zobaczyła, wrzasnęła: — To haft mojej ręki, to on! to on! — zemdlała, zapadła na zdrowiu i od tej chwili nie wstawała z łoża. Chuchano ją jak gościa, a teraz nikt nie zajrzy do niej, tylko Panna Dowmuntówna czuwa u poduszek swojej pani; to rozmową chce rozerwać jej smutek, to z niewywczasu zdrzemie się na krzesełku. Podkanclerzynie wszystko jedno: ona na nic nie uważa, tylko się wciąż trapi a trapi.

Przez cztery krągłe doby, stary Hetman na przemiany to w gorączce jak szalony się rzucał i Bóg wie co wygadywał, to jak bóbr rzewnemi łzami płakał i swojej Joasi wołał; to zmożony chorobą leżał jak bez czucia. Przyjechał Opanas i nie stawił się przed pańskiem obliczem, bo przywiózł niedobrą wieść, że Pan Kasztelan Kijowski układa się ze Szwedem; tak słyszał od ludzi, do Krakowa sam dostać się nie mógł. Przyjechał Klim Czernysz z mołodcami, i nie poszedł do komnaty pańskiej, bo opytu o hetmańskiej dziecinie z niskąd nie zachwycił. Przyjechał Żeromski i sromał się spojrzeć w oczy staremu Hetmanowi; wojacy polscy splamili się wieczną hańbą;

z bronią w ręku, nie parci od wroga, mnogiemi hufcami pouciekali do Szlązka, podle kłaniać się obcym ludziom aby im wrócili Polskę, wtenczas kiedy oni, dzieci Polski, mieli ręce i żelazo, ale brakło im na sercach. Król i Panowie radni, ciężko zawinili przed Bogiem i ludźmi, opuszczając ojczystą ziemię, i z bezwstydem szukając schronienia za granicą; zbrojna szlachta i naród, przez małpiarstwo, głupotę i popłoch, jak cielęta biegli jedni za drugiemi, i jeszcze wołali: tam Król, tam Panowie, tam nasze miejsce! sąsiedzi się za nas upomną; przy cudzej pomocy wypędzimy wroga, odzyskamy Ojczyznę! — Biedna Polsko! czemuż ci Bóg na teraz za pana nie dał Batorego, albo którego z Bolesławów.

Tak przeszedł dla Hetmana dzień świętej Jadwigi, imieniny nieboszczki żony; tego dnia jakby życie w nim obumarło leżał w otrętwieniu, ani razu nie wspomniał o Joasi, choć Burgrabina krzątając się koło chorego, mało piętnaście kop razy wymówiła: — Święta Jadwigo, Święta Joanno, wstawcie się za nami! Święta Jadwigo módl się za nami! Święta Joanno przyczyń się za nas! — i tym podobne prośby. Dopiero wieczorem jakby z męczącego snu obudził się, ciężko westknął, i smutnie spojrzał; potem mdlejącą ręką odganiał zmary od oczów, i słabym a drżącym głosem zapytał Burgrabiny: — Który dziś dzień mamy?

— Święta Jadwigo przyczyń się za nami! piętnastego Października, Jaśnie Wielmożny Panie, Sobota — i przycięła usta. —

Hetman pochwiał głową: — To imieniny mojej żony! — w oczach łzy stanęły i obrócił twarz do poduszki.

Dziewiątego dnia zwlókł się stary Hetman z łoża i rozpytywał, to o córce, to o sprawach ojczystych; połowę prawdy tylko mu gadano, ale i w tej połowie było czem rozdzierać serce ojca, serce syna ojczyzny.

Dwudziestego drugiego Października, w chwili kiedy stary Hetman powłóczając nogi po posadce, jeszcze nieusilonym głosem dawał rozkazy pancernym i kozakom, aby przed wieczorem byli w gotowości do pochodu, dokąd? tego nikt nie wiedział — wpadł do komnaty Żeromski zadyszany.

— Jaśnie Wielmożny Kasztelan Kijowski jedzie. —

Hetman wzdrygnął się, popatrzył: — Co Waćpanu jest? —

Aż tu skrzypnęły podwoje otwierającej się bramy, zastukotał spadający most, po kamieniach zatętniały kopyta mnogich koni, i już na dziedzińcu Pan Kasztelan Kijowski, na białym arabczyku; obok niego Ojciec Dąbrowski i kilkunastu butnej szlachty w pysznych przyborach, i kilkudziesięciu tylko

Semenów. Zsiedli z koni i weszli do zamku panowie szlachta, a kozacy za konie ujęli.

Wszedł Pan Kasztelan do hetmańskiej komnaty, kręcił brodę jakby ją chciał urwać; Hetman złożył ręce jak do modłów i przytulił one do piersi i obadwa milczeli. W twarze nawet sobie nie popatrzyli, Hetman miał wzniesione oczy do góry, Kasztelan wnurzył wzrok w dół; z przybyłej szlachty nikt nie śmiał perzerwać milczenia, ani Pan Wojewoda Łęczycki, ani Pan Starosta Żytomirski, nareszcie Pan Kasztelan zawołał.

— Panie Hetmanie — i uciął mowę. —

Hetman się odezwał: — Panie Stefanie — i westchnął; zdało się jakby temi słowami wiele sobie powiedzieli, bo Hetman po staropolsku rzucił się w objęcie Kasztelana.

— Córkę stràciłem. —

Kasztelan rzekł cierpko, chrapawym głosem: — Ojczyźnie zawiniłem. —

Hetman cofnął się w tył: — Co Waszmość powiadasz?

— Tak! tak! ja stolicę Piastów i Jagiellonów dobrowolnie odddałem wrogowi. Tak, tak — i kręcił brodę: — Te łyki szwaby, mieszczanie, pokoju mi nie dawali, żebym wchodził w układy z wrogiem, i ja wszedłem; djabeł mnie opętał. Pies Szwed wiele naprzyrzekał, nic nie dotrzymał; wojsko rozbroił, a ja jak sromotnik jaki w kilkadziesiąt koni ledwie uciekłem. Tak, tak, zmarnowałem to wojsko, z którego najostatniejszy ciura nigdy nie wymówił: nie chcę się bić. Zawiniłem przed Ojczyzną, ciężko zawiniłem. Układać się, kiedy broń miałem w ręku; poddawać stolicę państwa, kiedy tyle było polskich piersi na jej zasłonę. Wielki występek, czemużem nie zginął pod Monasterzyskami, albo gdzieś tam w Moskiewszczyźnie? Waszmość Panie Hetmanie, jesteś mój starszy, skarz mnie na głowę, niech taki występek nie uchodzi bezkarnie; niech kara na mnie wymierzona będzie nauką późnej potomności, żeby Polak w układy z najezdcą Ojczyzny nigdy a nigdy nie wchodził; żeby do ostatniego bił się z wrogiem. Stokroć lepiej zginąć, jak się poniżać. —

Widać że na sercu wolniej Kasztelanowi, kiedy się wyspowiadał z całej winy, bo śmielej patrzył, ale brodę jeszcze kręcił.

Hetman załamał ręce: — Ojczyzna nasza. Panie Kasztelanie — nie my siebie, ale Bóg nas pokarze. —

Ojciec Dąbrowski się odezwał: — Kto ze skruchą przyznaje się do winy, kto szczerze pragnie się poprawić, temu Bóg dopomoże — i wszyscy jakby namówieni razem wyrzekli:

— Żałujemy! żałujemy! Boże nam dopomóż! Boże dopomóż Polsce! —

Hetman po raz drugi uścisnął Kasztelana: — Panie Stefanie Bóg nam dopomoże. — Obecna szlachta rzewnemi łzami szlochała.

Dziwne to powitanie szlachty polskiej, na polskiej ziemi! Nie złotawy węgrzyn nalewano w kielichy, ale łzą smutku skrapiano posadzkę. Nie wykrzykiwano szumnych wiwatów, tylko pokornie wołano: Boże dopomóż nam! Boże dopomóż Polsce!

VIII.

> Hej kozacze w imia Boha,
> W że hołosyt' w cerkwi dzwin.
> Komu myły dym neboha
> Za proklatym na wzdohin
> Dalej chłopci na wraha,
> Ura ha! ura ha!
>
> Padura. *Pieśń jazdy wołyńskiej.*

Na biedę i sromotę przyszło Polsce. Szwed nieproszony gość, najezdca, rozgnieździł się jakby na wieczne gospodarstwo w siedzibie Lachów. Pomorze, ziemie odebrane Krzyżakom, posady Mieczowego Zakonu, Wielkopolska, część Litwy, Chrobacja, Żmudź i kawał Rusi, bezwstydnie poddały się zabaltyckiemu przybyszowi, za pana uznały jakiegoś tam Skandynawa. Moskwicin choć nie w wojnie z Polską, najechał Biało-ruskie i Czarno-ruskie województwa, a nawet wkroczył w granice Giedyminowego państwa, powiadając suzdalskim obyczajem: że to jedynie robi przez przyjaźń, ażeby Szwedzi tego nie zabrali. Od południa Siedmiogrodzkie Książe Rakocy, skuszony występną żądzą Jagiellońskiego berła, podłechtany giermańskiemi namowami, podniósł świętokradzką rękę, na matkę, na przewodniczkę Sławiańskiego plemienia. Na kozaczej Ukrainie Bohdanko Chmielnicki, antychryst kozaczy, pozbroił raźne pułki mołodców, i błaźnił godność Atamańską, przemawjając: Lachy dacie mi wszystko co żądam, pójdę bić wroga; nie dacie: pobratam się z wrogiem, będę was bił. Występny! tak się targował z braćmi; tak chciał korzystać z nieszczęścia Ojczyzny! Niebaczny! nie pomyślał o tem, że bez matki Polski nie masz kozaków.

Nie tak się to działo w Polsce, kiedy Bolesław Chrobry sławiańską szablicą gromił giermańskie plemiona, bił żelazne słupy w Sali, Odrze i Dnieprze, na znak żelaznej potęgi Polski, na znak że Polska powinna naczelniczyć Sławianom. Nie tak się działo, kiedy Batory, z orężem w ręku, chciał wygnać z sławiańskiej ziemi tatarskie samowładztwo, i sławiańskich odszcze-

pieńców nawrócić do prawego kościoła, i posłuszeństwa Świętemu Ojcu. Nie tak się działo, za niedołężnych rządów Zygmunta ojca; Jan Zamojski pokazał co to Polacy. Żółkiewski Suzdalom napędził dobrego strachu; Chodkiewicz dzielnie oćwiczył Szweda; a Konaszewicz Sahajdaczny nieoślednio dał się Bisurmanom we znaki. Ale wtenczas pod wielkimi królami, wielkimi wodzami, inaczej się święciło w Polsce; panowie szlachta swojego dobra, nad dobro Ojczyzny nie przekładali; nie targali się na królewską władzę; nie naśmiewali się z majestatu tronu; nie płaszczyli się przed wrogiem, aby podłością pozyskać jego względy; nie chowali się za piec aby tchórzostwem ocalić swoją skórę; lecz rzucali rodziny, dostatki, nie dbali o życie, a biegli na bój, tam gdzie szło o obronę Ojczyzny, o majestat tronu, albo o walkę za ojczystą sprawę.

Teraz, szlachta, nie ołowiem, nie żelazem, ale winem i mięsiwem częstuje Szwedów; Polacy i Szwedzi biesiadują przy jednych stołach; z jednych kilichów wiwaty spełniają, na cześć najezdcy. Możni panowie, jedni uniżone pokłony biją przed Szwedem, drudzy u Szweda przyjęli służbę i uzbroili matkobójcze dłonie przeciw Ojczyźnie. Najlepsi, niby cicho siedzą po domach, szwedzkie rozkazy ze ślepem posłuszeństwem spełniają, a chyba czasem i to we śnie pomarzą o biedzie i sromocie Polski. Ledwo kilku jest takich co się nie odrodziło od przodków, nie zaparło się imienia Polaka, i z przydwornem żołnierstwem broni ojczystych zamków.

Panowie Hetmani, ojcowie narodu, dostojni urzędnicy Korony i Litwy, oprócz tych co z królem za granicę kraju się powlekli, poprzysyłali pokorne a bezwstydne uznania Karola szwedzkiego, za pana Polski; pułki kwarciane, jedne z swoimi przywódcami stanęli w szwedzkich szeregach, drugie rozbrojone i rozpuszczone do domów, włóczą się po kraju grabieżąc królewskie i duchowne dobra; inne zaś, ale to w lichej liczbie, na dalekich leżach spokojnie stoją; jak gdyby nieprzyjaciel był za morzami i za górami, a ani nawet wieść o nim dolatywała do Polski.

Chłopki Bogu duszę winni, o niczem nie wiedzą, powiadają: panowie za pana przyjęli Szweda; choć to pies cudzoziemiec, musi to tego być potrzeba: oni starsi od nas, więcej mają rozumu, wiedzą co robią. Mieszczanie oprócz Gdańszczan, skwapliwie spieszyli się uznawać władzę cudzoziemca, bo oni choć z Polski i na polskiej ziemi spanoszeni, nie zapomnieli niemieckiego pochodzenia. Duchowieństwo, nieśmiało i kryjomo służyło sprawie polskiej, i odpierało wkradające się złe na łono prawego kościoła; ale byli i tacy z pomiędzy księży i mnichów, co pełniąc obowiązek kapłana świętej wiary, a nie zapominając że są Polakami, z kazalnic i ze spowiednic, wołali

na synów polskiej ziemi, aby wzięli się do oręża, na obronę Ojczyzny i świętego kościoła; nawet w Częstochowie błogosławionym grodzie, cudownego obrazu Matki Dziewicy, Opiekunki Polskiego ludu, Ksiądz Kordecki przełożony zakonu świętego Pawła, z zakonnikami i z garstką rycerstwa polskiego, dzielnie odpierał wieloliczne napady Szwedów.

Do tego nieszczęścia dodać i to, że Król osierocił państwo; z licznym dworem siedział w Szląsku, żyjąc niejako z jałmużny i nadarmo czekając obcych panów zmiłowania. Taka to była zła dola Polski pod koniec tysiąc sześćset pięćdziesiąt piątego roku.

W województwie Lubelskiem, w lichej mieścinie Tyszowcach, co to przerosło niezłą wioskę, a nie dorosło miernego miasta, mieszkał Pan Jan Służewski Starosta Horodelski; herbowy szlachcic od prapraojca, przyjętego do rycerskiego koła za któregoś tam Piasta. Niemajętny z rodziców, za pomocą naciągniętego podobieństwa rodzinnego miana Służewskich do Służków, wśrubował się do dworu Pana Służki Wojewody Trockiego; jak przystało na dworzanina uczciwie się zachowywał, żwawo i bez namysłu potakiwał słowom pańskim, klął się na imię Boże i na imię djable, że każde łgarstwo Pana jest świętą prawdą: nieraz nadstawił łba, za cześć albo widzimisię pańskie; nieraz za te same rzeczy gracko szerpetyną przepłatał łeb bratu szlachcicowi. Jednem słowem, Pan Jan Służewski za młodu był praworny i zuchowaty. Wojewoda Trocki go polubił, pozwalał wypasać podjezdki na skarbowym obroku, robić przysiewki z kmiotkami, a nawet często gęsto dawał nieskąpe datki. Dworzanin z kredką i główką, rzecz rzadka między Lachami, grosz składał do kalety swojej, nie arędarskiej, poszedł na dzierżawy, potem kupił małe dziedzictwo, a nareszcie za łaskawą opieką Panna Wojewody, został Starostą Horodelskim i dziedzicem Tyszowiec.

W sąsiedztwie, w powiecie i w województwie znano Pana Jana Służewskiego za skrzętnego gospodarza, ale staropolskiej gościnności; za dostatniego Pana, ale nie puszącego się ze swego bytu. Kochał Ojczyznę, czcił Króla Jegomości dla tego że to Król Polski, a na rozkaz Panów Służków, gotów był ze wszystkiego się wyzuć, z torbami pójść, a nawet dać gardło. Szweda nie cierpiał, bo kraj najechał, króla wygonił, a najbardziej za to, że między Szwedami jest Hieronim Radziejowski, co się nie umiał podobać, a umiał sprzeciwiać pańskiemu dziecięciu Pannie Wojewodziance.

Szlachta okoliczna szanowała Pana Służewskiego i lubiła go nawiedzać każdej niedzieli i każdego święta czerwono drukowanego w kalendarzu; po mszy świętej w parafialnym

kościele, hukiem goście walili się do drewnianego domu Pana Starosty Horodelskiego.

I teraz, Pan Służewski musi się spodziewać gości; z rana dobrze przed świtem, nadział szarawary, juchtowe buty, kubrak z pakłaku baranami podbity, włożył na głowę lisią czapkę z uszami, i poszedł po gospodarstwie. Nawykły wierzyć w stare przysłowie: że pańskie oko konia tuczy, nie było dziury gdzieby nie zajrzał, do obor, do stajen, do chlewów, do sadu; a nawet i do kurnika; wszędzie trochę pogderał, a czasami i lagą pogroził.

— I waść w jasła napakowałeś samej owsianki, idź mi zaraz po żytnią, tylko z rozboju, nie bierz z okłotów — na czczo bydło głodne wszystko zje, od samej owsianki dostanie biegunki — a to kara Boża z tymi ludźmi! trwonią dar Boży — człowiek sam na wszystkie strony rozerwać się nie może a tu trzeba samemu wszystkiego dopilnować — i poszedł dalej.

— Hultaju, to dopiero teraz obrok dajesz koniom, do tej pory powinny były zjeść i oblizać się — psia wełno, a siano pod nogami? czy to siano ma służyć na podtrząskę? — Porwał za widła, i sam wybierał siano: — skurczybyki, niech no drugi raz tak będzie to baty. — Odszedł a parobcy się śmieli.

— Niechaj stary swarzy, tylko niech nie bije. —

W sadzie parę razy po plecach lagą ściągnął świniarza, za to że osep zaparzony był letnią a nie wrzącą wodą, po zapachu to zaraz poznał; w kurniku sam pozaplatał łoziną dziury, ażeby pies albo kot nie wlazł do drobiu; klucznicę i baby ofuknął, ale nie łajał, bo to było jego przypowiastką: z babami w języczne korowody się nie wdawać.

Nałogiem to u Pana Służewskiego te obchodziny po gospodarstwie; ale dziś choć patrzał, wiele nie dopatrzył; i nie tyle gderał co zawsze, a nawet nie koniecznie często lagi używał; widać jakaś inna rzecz w głowę mu wlazła i serce naciska. Popatrzył: zaczyna świtać — przeżegnał się, zmówił: Pod twoją obronę uciekamy się — i Święta Marjo Matko Boża, ja Jan Służewski Ciebie dziś za patronkę i pośredniczkę moją obieram. — Nic dziwnego! on Sodalis-Marianus, a jutro dzień Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Panny Marji — i wracał, ale nie do domu, tylko przez ogród tylną furtką, jakby się wykradał, poszłapał na plebanję do księdza proboszcza. Tak rano? to rzecz dziwna!

Tam ksiądz proboszcz od dawna już nie spał, tylko koło kominka rozmawiał z dwoma gośćmi, tak przybranymi, jak gdyby nie z łóżka ale z sanek wysiedli. Jeden z gości był sędziwy starzec, łysy i z resztkami bieluteńkiego włosa; drugi choć ze

szpakowatym wąsem, ale rydzowaty, bundiucznej i wojennej postawy.

Stary mówił: — Księże proboszczu, właśnie dziś dzień, wigilja świętej prawdy, której Szwedzi nie chcą uznać. My Sodalisi, słudzy Marji Panny, powinniśmy ten dzień jakimeś uroczystym aktem uczcić.

Drugi gość targnął wąsa: — Już ja widzę, Waszmość Panowie nagadacie się, popijecie się i na tem koniec; według mnie, akt, to szabla. Szelmy Szwedzi nie chcą wierzyć w Niepokalane Poczęcie Marji Panny, najechali naszą Ojczyznę, ta za to karać huncwotów żelazem; niech psy bestje wierzą w co kościoł przykazał i niech precz uciekają z Polski.

— Do tego przyjść musi, ale nim przyjdzie, trzebaby jakoś porządnie przystąpić, a nie tak na hała na bała. Wszak przecie Mości Pułkowniku, wysłany na to jesteś przez starszych, żebyś wyrozumiał, pozbierał i wszystko przygotował, a dopiero wtenczas coś zrobić.

— Mości Skarbniku, mnie powiedziano: ruszaj! niech szlachta do broni się bierze; więc konfederujmy się w imię Ojczyzny, Króla Jegomości i Wiary, i bijmy.

— Dalibóg że z tego nic nie będzie; coś te hajda na konia i huż, bardzo po kozacku. Prawda że ja stary już na konia nie siądę, ale radzę: przygotujmy się, ułożmy się, a wtenczas panowie starsi godnością, niech zrobią czy konfederację czy co zechcą.

— Jak nie zaczniemy jak Waszmość pan mówisz po kozacku, to ja gardło moje daję że nic z tego nie będzie.

— Księże proboszczu, proszę, powiedz że choć kilka słów, bo widzę nie przekonam; a dalibóg szkoda ni tem ni owem sponiewierać rzecz. —

Ksiądz proboszcz spojrzał na około jakby się chciał zapewnić że nikt nie podsłuchuje; było to zwyczajem owego czasu, nałogiem ostrożności, bo Szwedzi wszędzie szpiegów wysyłali: — Ja jestem zdania Pana Skarbnika, a przytem muszę Waćpanom Dobrodziejom powiedzieć szczerze i otwarcie: My z góry mamy polecenie, każąc dziś i jutro o Niepokalanem Poczęciu Najświętszej Marji Panny; zarazem jednoczyć Polaków przeciw wrogom Polski. Waćpanowie resztę dokończycie, ale ostrożnie; bo jeszcze wczoraj odebrałem wiadomość od księdza Oficjała Trzeciaka z Lublina, że Waćpana Panie Pułkowniku już Szwedzi szukają.

— Mospanie, chować się nie będę; tu nie będzie można, pojadę gdzie indziej.

— Ależ Mości pułkowniku, pozwól, ksiądz proboszcz mówi taką prawdę jak Ewanielja. Dzień Niepokalanego Poczęcia będzie zbawieniem Polski, ale poczekaj trochę, to wszystko się zrobi.

— Róbcie Waszmość panowie, ja ani słowa nie bąknę. Naprzód powiadam, że i to się skończy tak, jak te wszystkie wasze zjazdy coście mieli, nimem ja tu przyjechał. —

Spojrzał w okno Skarbnik: — Cyt, Służewski idzie. Nie spierajmy się księże proboszczu, nie mów nic o tem że pułkownika szukają, bo Pan Jan gotów by nam skrewić.

— Nie skrewi, ja ręczę. —

Służewski powiedziawszy: — Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — powitawszy księdza proboszcza, witał obydwóch gości, jak dawnych znajomych: — Ranniście ptaszkowie, sprawy nie zasypiacie — i westchnął.

— Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje; i nam Pan Bóg da Mości Starosto, a cóż czy zgoda?

— Tażeż zgoda, ksiądz proboszcz zaprosił całe sąsiedztwo na mszę i na kazanie, a ja na objadek. Moja panna o tem nic nie wie, bo to nie kobiece rzeczy.

— Zapewnie tak potrzeba; ale czy zrobimy co?

— Ja nie wiem; mnie się zdaje, że nieźleby było zaczekać nim co z góry przyjdzie. —

Pułkownik targnął wąsa, stuknął szablą, ale zagryzł usta i nic nie powiedział.

Ksiądz proboszcz wziął na stronę Służewskiego i coś z cicha mu naszeptał. Służewski oczyma zaiskrzył, nawet tupnął nogą: — Ja nie dam — jakby się pomiarkował, obrócił się: — Mości panowie bracia, co ułożycie z księdzem proboszczem, to ja wszystko zrobię, a teraz darujcie że muszę pójść przygotować się, bo nie czas psy karmić, kiedy trzeba iść na polowanie. Do zobaczenia się — i żywo wyszedł.

— Cożeś mu szepnął do ucha księże proboszczu? — zapytał Skarbnik.

— Nic to, tak sobie. — I dalej zaczęto gadać o uświęceniu dnia Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Panny, i Pułkownik widząc jaki skutek zrobiły słowo księdza proboszcza na Służewskim, już pilniej słuchał rozmowy, nie tak się zrywał; ale nic nie gadał. —

Pan Starosta Horodelski wróciwszy do dworu Podstarościemu przykazał żeby wszyscy z czeladzi i dworni byli w kościele na mszy, a potem żeby żaden nie odchodził do domu; nawet już miał na języku rozkaz, żeby ze wsi parobków zwołać, ale pomyślał sobie: to przedwcześnie. Z gumiennym coś długo rozmawiał, i wnet gumienny zamknął się w lamusie i tam opatrywał strzelby i jakieś zastarzałe żelazca. Pan Starosta sam nie myśliwy, syna nie miał, a zatem i zbrojownia u niego nie koniecznie w porządnym stanie.

Służewski jeszcze przechadzał się po dziedzińcu i pomrukiwał: — Może to z tego jeszcze nic nie będzie ale nie dam, włosa jej nie tkną. Z wielkiej chmurki najczęściej mały

deszcz; ale nie trzeba tego pokazywać przed ludźmi, i przed moją panną. Tak udawać jakby nic nie było; bo to najgorsze te zwody przed czasem. — Wrócił do dworu i przywołał do siebie stawniczego, i na twarz przybrał zwyczajną spokojność.

Stawniczy stanął, i jedną ręką wziął się w bok, a w drugiej czapkę trzymał.

— A wiele tam ryby wczoraj złowiono?

— Półtora korca Wielmożny Panie.

— To nie bardzo dobrze.

— Mroźno Wielmożny Panie, ryba w kołbanie się pochowała, bałem się zapuszczać głęboko niewodu, żeby nie porwać wiązania i tak ledwieśmy dostali przędzy na załatanie pozawczorajszej szkodki, co to Wielmożny Pan wie.

— Dobrześ zrobił, konopie tego roku nie urodziły. A wiele szczupaków i czy wielkie?

— Ośmdziesiąt i dziewięć sztuk; pięć jest takich, co po siedm ók ważyć będą, a jeden taki żeby i liszkę połknął. —

Uśmiechnął się Pan Służewski: — Każ Waść zawołać Judkę, daj mu tę twoję liszkę, i co przedniejszych ryb pół korca, tylko wszystko przeważyć na oka, przeliczyć na sztuki, niech z tem jedzie do Zamościa. Pan Wojewoda Sandomirski katolik w suchednie z mięsem nie je, a teraz o ryby mu trudno. Szwedzi jak mówią zewsząd otoczyli Zamość, ale Judka tam się dostanie; tylko patrz, żeby za wszystko gotówką zapłacił, a jeźli nie, to przynajmniej niech da dobry zadatek; za resztę wziąść w zastaw rupiecie. Słyszysz Waść, psu żydowi nigdy nie wierzyć. Z pół korcem wysłać Mateusza do Hrubieszowa; Szwedzi choć nie katolicy lubią nasze ryby, tylko niech nie borguje; daj mu Waść kartkę przepusną tego szwedzkiego półkownika Izraela, i szwedzkie talary z dobrego srebra; reszta może i tu się sprzeda; a do kuchni dać dwa szczupaki pięciookówki, półkopy okuniów, karasiów i linów; miarkę płoci i lichoty dasz Waść dla czeladki, niech też i oni skosztują, tylko nie marnotrawić daru Bożego. —

Poczem przyszedł do pokoju żony, gdzie już na niego czekało piwo grzane ze śmietaną i z serem, upstrzone krajankami chleba: — Dobry dzień moja Panno, a jak ma się nasza Pani?

— Jeszcze śpi, wczoraj wieczorem mocno cierpiała, jakeśmy poszli; kazałam zrobić polewkę ze starego wina, tego co ze Stołpców i ze świeżych jaj tylko co dziś zniesionych, nie żałowałam też i cukru.

— Dobrze, dobrze moja Panno, nic nie żałować, wszystko oddać, choćby i Tyszowce. Magdeczko to nasza Pani.

— Widzi Jegomość, ja wszystko robię jak każesz. Mój Ja-

sienku, prędzejbym co pożałowała dla naszych córek jak dla niej; a Bóg mi świadkiem że kocham nasze dzieci.

— Widzisz moja Panno, bo to ona — —

A wtem drzwi się otworzyły, i wszedł kucharz przepasany fartuchem w szlafmycy na głowie, z kupą rądelków w ręku. Wyprostował się jak żołnierz, a nie czekającą zapytania, donośnym głosem zawołał: — Co Imość każe zrobić dziś na obiad? —

Pan Służewski usiadł i zaczął zajadać piwo, a sama Pani zamyśliła się na chwilkę: — Kochanku czy będą dziś goście na obiedzie?

— Zapewnie sąsiedzi przyjadą do kościoła, dziś wigilja Niepokalanej Najświętszej Marji Panny, wielkie nabożeństwo. Moja Panno, trzeba wystąpić uczciwie, ale bez marnotrawstwa.

— Wystąpić, ale nie wiem czy jest ryba? —

Kucharz się odzwał: — Warwiński przyniósł dwa szczupaki, siedem okóniów, dziesięć linów i trzynaście karasiów.

— Mój Macieju cóżbyś ty dziś zrobił? —

Maciej podrapał się w głowę: — Może Imość każe rosół z lina z krupkami zacieranemi grzybowym smakiem.

— Dobrze, jakże ci się zdaje Jasiu?

— Jak chcesz moja Panno; tylko patrzcie żeby było co łakociów dla — dla chorej.

— A juści mój kochanku. No, to rosół z lina, szczupak z szafranem, słyszysz Macieju? a co dalej?

— Szczupak z szafranem Imość. — Spojrzał w górę: — Okonie z kapustą, Jegomość to lubi.

— Dobrze, ale teraz łakocie jakie? naprzykład: łamańce z makiem, tylko w miejsce miodu weźmiesz cukru.

— Nie można, bez miodu nie będą się trzymać; ale cukier zmięszać z miodem to nie zawodzi. —

Pan Służewski zatrzymał łyszkę w talerzu: — Ale bez marnotrawstwa, dwa grzyby w jeden barszcz, bez tego się obejdzie.

— Ależ mój kochanku, nie wiesz czy Pani — czy chora będzie lubiła z samym miodem.

— Dawaj, dawaj wszystko moja Panno; miód i cukier i co zechcesz. Macieju, tylko żeby było dobrze.

— Niech Jegomość będzie spokojny, ostatnią razą Pan Miecznik Karsznicki przysłał swojego dworzanina do kuchni, aby się dowiedzieć jak robić łamańce — i dumnie potrącił rądlami: — Możeby mleczko zrobić z gwoździkami i muszkatołową gałką?

— Zrób mój Macieju ale to z jaj, skrumne, mniejsza o to, to dla niej — rzekł Jegomość.

— A co w miejsce pieczystego? — przerwała Pani Służewska.

— Karasie smażone w lnianym oleju, a do nich czerwone buraczki.

— Macieju, usmaż dwa w maśle, ciasto migdałowe zrobić, tylko dołożyć pracy.

— Niech Jegomość będzie spokojny; a co z drugim szczupakiem zrobimy?

— Urządź go Waść na hauszpik; może kto na wieczerzy zostanie, z resztą tak się nie zepsuje. A przygotować tam na śniadanie marynaty z węgorza i linów z trzęsionką i czosnkiem, a dla chorej bakalji moja Panno; to pańskie dziecko na bakaljach wychowane. —

Maciej donośnym głosem wyliczał wszystkie dania obiadu, a potem jakich mu przypraw potrzeba. Imość otworzyła szafkę z apteczką i kosztowniejszemi korzeniami i łakociami. Maciej brał i ciągle się domagał; jeszcze trochę, to mało. Pan Służewski parę razy się odezwał: ale nie marnować, dosyć tego.

Maciej nie bity w ciemię, wiedział jak trzeba się powrócić i zaraz rzekł: — Ale jasny Panie, to dla chorej.

— Bierz Macieju. — Wstał i sam ze słojów brał ręką różne korzenie i łakocie i przysypywał w rondelki a kiedy Imość wychodziła z Maciejem do spiżarni, powtórzył kilka razy: — Moja Panno nie marnotrawić, ale nic nie żałować. —

Maciej już przy stolnicy płatając ryby, i poglądając jak stróż kuchenny rozpala ogień, rozmyślał sobie: — Co to u licha za jedna ta chora? Jegomość tak każe dla niej wszystkiem szafować, tego nigdy nie bywało; pamiętam kiedy starsza panna, panna Salomea, szła za mąż za pana Cześnikowicza Orpiszewskiego z Kujaw gdzieś tam, to Jegomość dał mi stusaka za to, żem wziął trochę więcej imbiru jak potrzeba, a teraz nadawał sam tyle, że byłoby czem cztery obiady zakorzenić i zacukrzyć. Co to za jedna? — Trzy dni temu jak tu przyjechała; oprócz Jegomości, Jejmości i księdza proboszcza nikt do niej niechodzi, nawet pannom niewolno przybliżać się do jej pokoju. Ludzie co ją przywieźli natychmiast odjechali, a jej pokojowa już trzech-tuzinowych latek, jakby języka i ucha nie miała: nic się od niej nie można dowiedzieć; ona sama jej posługuje i nosi nawet półmiski. Jakóbek jednak raz zajrzał przez szparę i powiada że bardzo piękna Pani, jakiej on nigdy nie widział. Jakóbek mniema że to musi być Królowa polska, albo narzeczona Szwedzkiego Króla: — Tak myśląc uderzył się w czoło, aż klasnęło po całej kuchni: — O! to Maciej robi jeść dla Królowej. Hej! chłopcy! żywo ognia i rądli — i jął się do roboty.

W Kościele prawi się Msza święta. Ksiądz proboszcz w świąteczny ornat przybrany wywodzi Dominus vobiscum; w chórze organista ciśnie w miechy, kalikuje, po klawiszach przebiera, i organy brzmią przeciągłemi trąbami. W ławkach jak makiem nasiano, siedzą niewiasty, i poważni starcowie; w kościele stoją panowie szlachta, i lud pobożny — a wszyscy modlą się, Pana Boga chwalą z książek i na pamięć. Już Ite Missa est kapłan prześpiewał i pobłogosławił wiernych znakiem krzyża świętego i zaczęto śpiewać Oratorium Sodalisów, jak to zwyczaj w wigilją dnia, w którym Bóg zesłał świętą łaskę na Dziewicę Matkę: kiedy Pan Służewski jako prefekt bractwa, przed ołtarzem ukląkł, i pierwszy rospoczął śpiew. Wszyscy uklękli i chórem odśpiewali na chwałę Matki Dziewicy. Po prefekcie Pan Skarbnik Błotnicki, jako podprefekt zaczynał drugi hymn, i śpiewano. Te Sodalisowskie godności nadawały wielkie znaczenie Panu Staroście i Panu Skarbnikowi, u wszystkiej szlachty z okolicy.

Ksiądz proboszcz dobrą godzinę kazał o Niepokalanem Poczęciu Marji Panny, o tej łasce Bożej; nieraz duchownym sposobem omówił o światowej Ojczyznie, a z takim zapałem, z taką wymową rzecz prowadził, że w kościele oprócz jego słów, ani szerknięcia nogi, ani oddechu ust słychać było; a kiedy wychodzono z kościoła, jeden do drugiego mówił: — A to ci Szwedzi, to szelmy — ten woła — hunctwoty, niedowiarki Boże! nie wierzyć że im w niepokalane poczęcie Najświętszej Marji Panny; tamten dodał — psiajuchy! najechali Ojczyznę naszą. — Jedni już przebąkiwali; drudzy w myśli tylko mieli, ale wszyscy jedną i tęż samą dumkę: wymordować przeklętych Szwedów; to psy, wrogi Polski.

Po mszy świętej nawaliło się gości do domu Pana Służewskiego, Miecznik Karsznicki z synem już wyrostkiem. Pan Komornik Podhorodeński z żoną z bratem i dwóma córkami; czterech braci Podczaszyców Rudnickich, towarzyszów pancernego znaku pana wielkiego Hetmana koronnego nie dawno przybyłych z Ukrainy na urlop; Pani Woźnina Poletyłowa z synem już wąsalem, i trzema córkami choć dziś do zamęścia; Pan Skarbnik Błotnicki z mężczyzną o szpakowatym wąsie i szpakowatej czuprynie, ale krzepkiej i zawadjackiej postawy; Pan Skarbnik przedstawił go gospodyni, jako pułkownika i Starostę, ale miano rodzinne jakoś nie wyraźnie wymówił i coś szepnął na ucho Służewskiemu. Panowie Rudniccy widać że znali gościa pierwszy raz przybyłego do Tyszowiec, bo spojrzeli po sobie, ale ten Pan Pułkownik podkręcił wąsa, mrugnął na nich z ukosa i oni cicho. W końcu przybyła Pani Krajczyna Sienkiewiczowa i ksiądz Proboszcz Białobłocki.

Przy śniadaniu gracko łykano gorzałeczkę, i to nie jednego

rodzaju. Sprobujmy dubelt kminkówki kordybanówki, jeden woła; drugi wziął za kieliszek: do Waćpana tego żółtego djabła z pomarańczkami; tamten podniósł sztof do góry: w ręce twoje Komorniku czystej okowity; a wszyscy wychwalają wysoką zdolność Pani Służewskiej w przyprawianiu wódek. Pani Służewska kłania się a kłania, i prosi gości żeby jedli i pili; a Pan Służewski powtarza: — Prosimy na dar Boży. — Przez czas jakiś rozmowa ustała, tylko brzęczały sztućce, czasami zaskrzypiał talerz pod widelcem, a gęby mlaskały i stukały zęby; potem kobiety wyszły do pokoju bawialnego, a przyniesiono miodu, wiszniaku i kielichy. Mężczyzni dalej do nich. Już się im twarze porozpyrzały, a języki poczęły się snadniej obracać, i jak to polski starodawny obyczaj, przy kieliszku wszczęto rozmowę o ojczystych sprawach.

Sarkano na Szweda. Skarbnik pogładził łysinę: — Widzicie Waćpanowie jak Szwed coraz gorzej a gorzej dmie; z początku łagodny, gadał że będzie naszym opiekunem tylko, a teraz podatki nakłada, żeby karmić swoich zbirów, opłacać zdrajców i szpiegów; jak to wilczysko co to uprosiło się żeby jednę łapę położyć na wóz, potem drugą, nareszcie całkiem wlazło i powiedziało gospodarzowi: idź precz, ja tu pan; tak i z nami się stało. —

Służewski przerwał: — Podatki, podatki, to to sęk; tego nigdy nie bywało, żeby szlachcic polski opłacał podatki z swojego własnego majątku. Sejmowe uchwały jak zapamiętam razowej tylko żądały ofiary i na tem koniec; a tu powiadają, że podatek każą nam płacić zawsze. Ale czy nie słyszeliście Waszmość panowie o zbieraniu się obywateli w naszem Województwie? —

Starszy Rudnicki stuknął w rękojeść szabli: — Zbierają się, gadają i nic nie robią; byłem już na takich kilku zbiorach; próżna rzecz, co tu pomogą gadaniny? bić trzeba.

— I gadania pomogą — odezwał się Skarbnik: — Jak zaczną coś gadać to i wygadają. A wiecie Waszmościowie o tem że Król Jegomość ze Szląska wzywa nas abyśmy przeciwko Szwedowi powstawali, i nie dali się targać na nasze przywileje? chcecie Waszmościowie abym wam przeczytał to wezwanie: mam je przy sobie.

— Dziękujemy Waszmość panu, wszyscyśmy czytali: — Drugi Rudnicki się odezwał: — Czemu to Król Jegomość między nas tu nie przybędzie, wybilibyśmy Szweda i podatku nie zapłacili.

— Słuchajcie panowie bracia — znowu rzekł Skarbnik: — podatek, to jeszcze fraszka; z Błotnicy rodzinnego naszego gniazda, donoszą mi, że tam Szwedzi szlachtę już jak poddańczuków traktują; bez kartki z wioski do wioski nie puszczają

jeździć; po domach pałamarują jak po swoich. Powiadam Waszeciom, że podatek fraszka.

— Fraszka podatek! — wszyscy zawołali — nic z tego nie będzie, podatku płacić nie będziemy, niech się dzieje wola Boża! —

Służewski wyjął rękę z kieszeni, i kilka sztuk pieniędzy na stół rzucił: — Ani tynfa nie zapłacę.

Podhorodeński wziął w rękę pieniądz, obracał, przypatrywał się, jakoś zbladł na twarzy, i uderzył się w czoło.

— Co Waszmość Panu jest takiego?

— Ha, co mi jest takiego? nie widzisz Waszmość? J. C. R.

— No, to i cóż?

— To Waszmościowie tego nie pamiętacie, że jeszcze za naszych ojców, gdzieś tam na Litwie, przepowiadano, iż ukaże się znak, czy na niebie, czy na ziemi, z godłem Incipit, Calamitas, Regni, i od tego zaczną się nasze nieszczęścia. A to wyraźne J. C. R. a że też na te pieniądze nigdy baczenia mego nie zwróciłem? —

Wszyscy przypatrzywali się pieniążkowi, i chmurzyli się; widać że przypomnienie i rozmyślanie z pantałyka ich zbijało.

Tylko Panowie Rudniccy nie łacinnicy zapytali: — Cóż to ta łacina ma znaczyć?

— Widzicie Waćpanowie: Incipit poczęcie, Calamitas nieszczęść, Regni królestwa. —

Poprztykali ustami, może z niedowiarstwa, a może też i z wiary, kiedy Skarbnik widać namyślił się i tak zagaił: — J. C. R. to znaczy Joannes Casimirus Rex, ale to druga rzecz. Żyłem na święcie kiedy ta przepowiednia się zjawiła, było to wtenczas kiedy złe do polskich głów zaczęło się czepiać. To też to kara Boża w tej przepowiedni, a dziś, po takiem kazaniu jakie nam Ksiądz Proboszcz powiedział, my Sodalisi słudzy Najświętszej Marji Panny; na przebłaganie Boga weźmy się za ręce, i przysiężmy walczyć kto czem może i umie przeciw wrogom Polski. — Na takie zagajenie, pomaleńku, pomaleńku szlachta zaczęła przychodzić do siebie i znowu gadać.

Pan Komornik utrzymywał, że nie ma rady przeciw Szwedowi się porywać, i radził, żeby cicho siedzieć i czekać co Bóg da. Panowie Rudniccy nastawali na Mikołaja Potockiego, Wielkiego Hetmana Koronnego, po co wojsko na granicy Tureczyzny trzyma, a sam jak to wieść niesie ze Szwedem się układa. Powiadali, że choć to mała garstka tego wojska, ale takie dzielne że potrafiłoby Szweda pobić, i zapędzić het za morza.

Miecznik się odezwał: — A Waćpanowie z tego wojska?

toć to każda liszka swój ogon chwali; ale ja temu wierzę co mówicie. Co do Pana Hetmana, jaki pan taki kram; Król zdradził Ojczyznę i dał drała, i Hetman idzie w jego ślady. —

Pułkownik Starosta, co w ciągu całej rozmowy słuchał i pił, nie mógł wytrzymać wydziwiania na Króla Jegomości, pokręcił wąsa i przystąpił do Miecznika: — Mospanie Mieczniku, za przeproszeniem Waszmość Pana, Król Jegomość ani mnie ani Waćpanu brat, to nasz pan, szanujmy majestat tronu, bo bez tego djabli nas pobiorą.

— Co mi Waszeć będziesz bronił Króla zbiega? zresztą ja szanuję dom gospodarza, ale nie wiem kto Waszmość jesteś, przepraszam że z nim nie będę się spierał — i chciał się odwrócić, ale pułkownik go złapał za rękę.

— Mospanie Mieczniku, kto ja jestem? — Ja jestem Krzysztof Wąsowicz, Starosta Żytomirski, dowódca lekkiej jazdy Pana Hetmana Polnego. Ja z Waćpanem kłócić się nie myślę, tylko powiadam: szanuj Króla, to Jagiellon, nasz Pan. — Na wymienienie imienia Wąsowicza, starzy po sobie spojrzeli, a Miecznik go wziął za rękę.

— Mosanie Starosto Żytomirski, przepraszam; na Króla nic już nie będę mówił, kiedy on ma takich obrońców jak Waszeć, ale pocóżeś taił przed nami swoje imię, wszak my Polacy nie Szwedzi? gotowiśmy ciebie piersiami swojemi zastawić.

— Nie taję przed wami mojego imienia, Panu Skarbnikowi podobało się zrobić mi tę psotę. —

Skarbnik przygładził łysinę: — Psotę albo i nie psotę. Szwedzi powiadają że Waszmość po Lubelskiem się kręcisz, podburzasz szlachtę żeby ich wyrżnęła; szukają Waszmościa, obiecują nagrodę za jego głowę. Bóg mi świadkiem że nie przymawiam nikomu tu z pomiędzy nas, bo wszystkich szanuję i kocham jak braci, ale po co to otrąbiać że Waszmość Wąsowicz? Ostrożność nigdy nie zawadzi, a Waszmość Panowie na mnie się nie gniewajcie.

— Nie gniewamy się, nie gniewamy, ale wypijmy: kochajmy się: — Duszkiem wychylali stary dębniak z kielichów i serdecznie się całowali starzy i młodzi. —

Skarbnik znowu do Sodalisowskiego związku nakręcał, a Miecznik żeby to zamydlić rzekł: — Powiedzcie mnie Mospanowie co to się święci. Powiadają że Pan Hetman Polny z Panem Kasztelanem Kijowskim od czterech niedziel siedzą w Zamościu u Pana Wojewody Sandomirskiego.

Wąsowicz targnął za wąs: — Tak jest, aż serce mi się kraje, jak gdybym konia stracił w chwili boju, że takich dwóch mężów, siedzi jak w klatce zamkniętych; to to bieda.

— Waszmość wiesz o tem zapewne; powiedz nam jak to się stało, że oni wleźli do tego Zamościa?

— Oto tak Mościpanowie, szelmy Szwedzi Hetmanowi skradli córkę o czem już wiecie. Skądeś urosła wieść że ją uwieźli w Lubelskie. Hetman z Kasztelanem na czele pareset kozaków puścili się w te strony, żeby można i córkę odszukać i dla Ojczyzny coś zrobić. Ale jak to mówią: człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi. Naparci przez Szwedów, bili się jak mogli a potem cofnęli się do Zamościa.

— To dziwna rzecz, to wykradzenie Hetmanówny i co się z nią zrobiło?

— Co tu dziwnego. Hetmańska córa i hoża i posażna, nie jeden na nią ostrzył zęby; i Szwed sobie pomyślał że to dobry kąsek. Wiele by to o tem było gadać. Teterę to djabeł opętał; powiadam Waćpanom że Niemcy na dudka wystrychnęli kozackiego chwata; słyszeliście jaki z nim harc wyprawili żeby wprowadzić do Lanckorońskiego zamku czarownika i rozwódkę po tym psie zdrajcy; djabeł z babą jak się sprzysięgli, postawili na swojem, teraz Hetmanówna musi być za morzami u Szweda, bo tu o niej ani opytu powziąść nie można. —

Przez czas tej mowy Pan Służewski to bledniał, to czerwieniał i zagryzał usta. Nikt na to nie uważał a Miecznik dalej pytał.

— Powiedz że nam Waćpan Dobrodziej, co się zrobiło z Drogoniusem i z Panią Radziejowską.

— Czarnoksiężnik nie czekał poranku, zwyczajnie djabeł czmychnął, szukajże teraz wiatra w polu. Hetman dobroduszny, uwierzył słowom tej umizgalskiej, i wypuścił ją z zamku nie na łopacie, ale w kolasie, gdzieś musi znowu robić licho, albo ze Szwedami się weselić; jabym tę szkaradnicę na pierwszej gałęzi powiesił. —

Służewski posiniał, zaiskrzył okiem, przystąpił z podniesioną ręką: — Mości Dobrodzieju, to Służkówna — jąkając z gniewu, wymawiał to słowa.

Wąsowicz się nie załąkł: — Mospanie Starosto Horodelski, czy Służkówna, czy kto inna, mniejsza o to, a co prawda to prawda. — Byłoby może przyszło do zwady, ale pokojowy Pana Służewskiego wleciał obcesem do pokoju.

— Jaśnie Wielmożny Panie, Mościpanowie, Szwedzi najechali.

— Skąd? po co? wszyscy zawrzeszczeli. Ale nim pokojowy odpowiedział, już zaszczękały szable, zabrzęczały ostrogi, i wparło się do pokoju sześciu szwedzkich rajtarów, zbrojnych od stóp do głów, a na ich czele polski szlachcic z szerpetyną przy boku, w rogatej czapce na rudej czuprynie, zakocił się na bok sztukarlając jak gdyby był po pięciu garncach wódki, albo wymyślał jakiś nowy taniec.

— Milion pareset bomb, skurka na buty, Mości Horodelski, to i Waści przykrzy się spokojnie w domu siedziesz przecho-

wywać w swoim domie! hej! — obrócił się do rajtarji: — Za mną, zaraz my tu znajdziemy ptaszka. —

Rejtarowie się nadstawiali i coś po indyczemu zabełkotali. Wąsowicz wysunął się naprzód, a Skarbnik ujął go za wylot od kontusza i mruknął: — Ja mówiłem po co to gadać? —

Pan Służewski nie wiadomo dla jakiej przyczyny, zastawił sobą drzwi od gościnnych pokojów, i ujął dłonią za rękojeść karabeli. Panowie Rudniccy zrobili pół obrotu w prawo żeby szable odsłonić, a Pan Podhorodeński człowiek spokojny; Bogu duszę winien, ni ztąd ni z owąd wysworował się do szlachcica przybyłego ze Szwedami.

— Waćpan mój cioteczny; najeżdżać na dom szlachecki z wrogami, taki wstyd robić naszemu rodowi? Tażeż to Waćpana i mnie porodziły Ziembińskie rodzoniuteńkie siostry; łgałeś, łgałeś i przełgałeś się. Julianie opamiętaj się, zostałeś łgarzem, nie bądź że húncwotem. —

Żytkiewicz kręcił głową i pocmokiwał, słuchając przemowy swojego ciotecznego: — Skończyłeś, chwała Bogu, milion pareset bomb, schowaj swoje kazanie dla żaków nie dla mnie; ja Julian Żytkiewicz powiernik Karola, naszego króla i pana, przyjaciel Samuela, spełniam co mi kazano; przewrócę dom do góry nogami a swoje znajdę; hej za mną!

Ale Wąsowicz lewą ręką schwycił go za piersi: — Stój! jeźli szukasz Krzysztofa Wąsowicza, to mnie masz, a rejwachu w domu szlacheckim nie rób, bo cię zmiażdżę na zgniłe jabłko. —

Szwedzi mieczów dobyli, a szlachta wychwyciła szable z pochew i spojrzeli sobie w oczy.

Żytkiewicz przypomniał że już w Piątku niedawnemi czasy widział Wąsowicza, spuścił z głosu: — Wielmożny Mospanie, puść mnie Waszmość milion paneset bomb, ja tu szukam Zuzuli.

— Co! ty mnie dúlą przezywasz? — jak go pchnął w piersi kułakiem, to aż jasne świece stanęły mu w oczach; pochylił się i kozim głosem wrzasnął.

— Brońcie mnie. —

Szwedzi się posunęli, Wąsowicz piorunem wydobył szablę i zamigotał nią jak błyskawicą przed oczy Szwedów: — Hejże! kto szlachcic, kto Polak, za mną na Szwedów!

Panowie Rudniccy i młodzież duchem skoczyli za nim, i starzy z dobytemi szablami tuż posunęli. Na krzyk, z sieni nowi Szwedzi się cisną. Wąsowicz szablą przeżegnał do siebie i na odlew, i dwóm Szwedom pyski przepłatał, i szlachta natarła, Szwedzi się bronią, szable brzęczą, i stukoczą; szkło, fajans, porcelana, z dźwiękiem tłuczą się o ziemię. Stoły, stoliki walą się i z trzaskiem druzgoczą; ludzie rąbią się i kolą, a krzyczą — rąb, siecz Szweda.

Szwedzi wołają, szwargotem: — Her Got, der tajfel — w babieńcu kobiety wrzeszczą z przestrachu i chowają się gdzie mogą. Ranni walą się na podłogę a zdrowi depczą ich nogami; zdrojami cieknie wiszniak i miód; pociekła też jucha. Krzyk, wrzask, brzęk, jęk, matanina, czysta biesiada djabła.

Żytkiewicza gdzieś w kąt wdeptano, Szwedzi cofają się na dziedziniec. Wąsowicz na karku im siedzi, gdzie popadnie to chlaszcze szablą, i woła na szlachtę przez okno, od bramy zastąpić, niech żaden szelma nie wyjdzie. Zadzwoniły szyby w oknie, i już szlachta zaskoczyła od bramy.

Na dziedzińcu przestronniej; Szwedzi do pamięci przychodzą, ale tam na nich z hałasem i zajadłością gończaków z psiarni wypuszczonych, wypadła i dwornia i czeladź. Pan Maciej rożnem dźga Szweda, stawniczy z góry oszczepem tnie, stajenni widłami ściągają przez plecy; a parobcy walą na oślep cepami, i ze strzelbami już nadbiegli. W pół godziny nie stało Szwedów; z trzydziestu, ośmnastu zarąbanych, albo pobitych cepami, pociągnięto za tok w oparzeliste błoto, dwunastu rannych powiązano i zamknięto do lochu, konie zawiedziono do stodoły; na dziedzińcu tak wytuptano, wytłoczono, tak juchą zafarbowano śnieg, iż z białego jakim był przed godziną, teraz żółcieje, czerwienieje i czarnieje.

Żytkiewicza nie spyszna związano i wiedziono do ciupy; a Pan Służewski wyrzucał mu: — Wstydź się Waćpan być posługaczem Radziejowskiego zdrajcy i Szwedów.

Lecz on widząc że go nie wieszają, jeszcze się srożył: — Ja posługacz Radziejowskiego, milion pareset bomb, tego Marymonta co chciał zucha udawać pod Lanckoroną, siadł na kasztanka mojego Samuelka, a jak mu go zabito, to tak się przeląkł że ledwie go otrzeźwili? i ja takiemu miałbym służyć? Milion pareset bomb! Służewski, tak mnie nie krzywdź; ja przyjaciel Karola waszego i mojego króla; wypuść mnie, bo Samuel Gnoiński mój brat broni, pomści się za mnie, i zabierze ci 'Zuzulę; ty go znasz. Jasiu, nie żartuj ze mną a wypuść: poskarżę się Jurkowi: — Tak wykrzykiwał, a tu go prowadzono, z cicha szturchańcami popychając.

Kiedy ustało niebespieczeństwo, kobiety zwyczajnie kobiety, powybiegały przypatrywać się temu widowisku, a między niemi była pokojowa, owej Pani przybyłej do Tyszowiec o której nazwisku nikt we dworze nie wiedział; ta skoro spostrzegła Żytkiewicza, krzyknęła jak gdyby go poznała i wróciła do pokoju swojej Pani. Inne zaś niewiasty polskim obyczajem, z zapałem i radością winszowały szlachcie że tak gracko pobili Szwedów. Ani jeden ze szlachty nie zginął, a jeźli którego Szwed naznaczył, to w zbytku radości, ani myślał o ranie, zżutym chlebem ją założył i szedł cieszyć się z bracia szlachtą.

Po chwili Wąsowicz głos zabrał: — Mospanowie, Bóg nam tych Szwedów tu zesłał; teraz nie ma rady, trzeba się brać do szabli i to natychmiast. Taką im kurtę urżniemy i wszędzie i zawsze, tylko niech będzie nasza wola.

Skarbnik pokręcił łysą głową: — Przypadek na Waszmościnym postawił, dałby to Bóg żeby to na lepsze wyszło; teraz zapewnie że już nie ma rady gotować się, trzeba na koń siadać i bić się.

— Tak, tak — szlachta mówiła. —

Służewski z proboszczem na stronie cicho rozprawiał, potem głośniej wyrzekł: — Dobrze doniesiono; ale też i przyjęcie znalezli — i tak się rozochocił, że kazał izbę oczyścić, zamieść i do stołu nakrywać, a ludziom dać wódki piwa i ryby co zjedzą: i tą razą przy rozkazach nie dodawał; nie marnotrawić. Szlachecka dusza po swojemu w nim zagrała.

Kiedy z pierwszego zapału szlachta ochłonęła i poczęła rozpamiętywać, naprzód komornik się odezwał: — No, Pan cioteczny nawarzył piwa, a nam przyjdzie je wypić; mówiłem zawsze, że z tego Juljana nic nie będzie, bo od dzieciństwa łgał i brewerje robił; nie chciano mi wierzyć, wszyscy mówili: wyszumi się wyszumi, otóż się i wyszumiał — a na dobitek przyszła Pani Służewska z pół-płaczem do męża.

— Kochanku przepadną Tyszowce, już to tego nam Szwedzi nie darują. —

Służewski musnął wąs i z cicha szepnął żonie: — To dla niej — a potem zawołał: — Moja Panno, bierz ich tam djabli, jakoś to będzie; każ dawać do stołu. Jak pojemy to się poradziemy; póki żołądek głodny to i głowa nie mądra.

Przy stole chciano udawać wesołość, ale jakoś wszystko nie w skład szło; gadano jak tu się wziąść do roboty, ale każdy oprócz tego swoją osobnę dumkę marzył; na pół tylko słuchano co kto mówił, a nawet niezważano, że pokojowy półmiski naprzód nosił do gościnnego pokoju, chociaż wszyscy goście siedzieli przy stole. Co gorsza, nie pili, tylko cedzili przez zęby wino, aż nieładnie. Wtem Wąsowicz głos zabrał: — Mospanowie co z wozu spadło to przepadło, Szwedów nie wskrzesimy, prosić się brzydko, ale oto tak: zawiążmy się w wigilją Niepokalanego Poczęcia. W imię Boga i Ojczyzny, Króla, powołajmy do broni wszystkę szlachtę przeciw Szwedowi i basta, a wtenczas zobaczemy kto pójdzie górą.

— Dobrze! dobrze! — wszyscy krzyknęli — dawaj wina, Niech żyje Ojczyzna! Niech żyje Król Jegomość Jagiellon! Niech żyje i krzewi się Tyszowiecka konfederacja! niech żyje Krzysztof Wąsowicz Starosta Żytomirski! śmierć Szwedom! szubienica zdrajcom! Zdrowie gospodarstwa! Zdrowie płci pięknej! Zdrowie braci szlachty! wieczna pamięć dzisiejszemu dniowi! Duszkiem te zdrowia wychylali, a kielich wytrząsali

do paznokcia, na znak że szczerze i serdecznie pili, bo i kropelki na dnie nie zostawało. Twarze poczerwieniały jakby je burakiem pofarbowano, a z czupryn się kurzyło, jak wiosenny opar po nad zbożem.

Już po obiedzie; Skarbnik wystąpił naprzód: — Mościpanowie skonfederowani bracia, trzeba akt spisać; bo jak to mówią: słowo wiatr, pismo grunt.

— Dobrze mówi Pan Skarbnik, piszmy, Mospanie Komorniku prosimy do pióra, Waszmość piśmienny człowiek. —

Komornikowi już krzepko zaszołomiało w głowie; czasami mu się zdało że jeszcze Szwedzi skaczą po izbie, ale trzymał się na nogach. Na Służewskim, ani znaku że pił, choć gospodarz, oszukaństwa nie robił, bo od dawien dawna przywykł lać w siebie trunki jak w bezdenek; wzdłuż jednej podłogi przeszedł dla sztuki, przyniósł papier, pióro, kałamarz i wszystko to złożył na stole.

Komornik usiadł, umoczył pióro, raz, drugi, na próbę zakryślił esa na bibule, es czarno się wymalował ale coś niegłaźnie, o szarawary otarł pióro, popatrzył do światła. Młody Poletyło, widać że niedawno z retoryki wyszedł, bo podkocił kontusz, sięgnął do kieszeni szarawarów, i podał scyzoryk jeszcze szkolny. Komornik skinął głową na podziękowanie, nosek pióra przyciął na paznokciu; probuje, pisze, ale rozmazuje się, znowu obtarł pióro, i zaostrzył nosek, napisał: proba pióra, i zdaje się trochę lepiej, tylko litery jak do tańca krzywulami się poprzeginały; widać że u pisarza jeszcze nie prosto w głowie. Szlachtę nudzi ta zmudność, ale milczą jak w kościele, ani mru, mru, bo boćkowskie kańczuki ojców Jezuitów nauczyły ich i w proformie i w gramatyce, że pisarzowi, gadaniem nie potrzeba myśli przerywać.

Nareszcie zaczął pisać; cicho w izbie, tylko pióro szasami skrzypnie po papierze, albo stuknie noskiem w kałamarz. Pan Miecznik przez ciekawość podniósł się na palce i zajrzał przez plecy Komornika; u Miecznika choć trochę pożółciało w oczach, widzi jednak czarne na białem: — Co Waszmość piszesz? «Działo się na gruncie, roku pańskiego.» — Cóż to Waszmość wizję komornikowską robisz? a tóż nam na co? my nie myślemy sporzyć z nikim o kopce graniczne, tu o Ojczyznę chodzi.

Komornik rzucił pióro: — To piszcie sami; dajcie mi Waćpanowie czysty pokój.

— Ale prosimy, Panie Komorniku.

— Nie chcę, nie będę — i wstał od stołu. —

Miecznik zatarł ręce: — Co to prosić? nie chce, to niech nie pisze. Ja Waszmościom tę posługę zrobię; znam alwar, nieraz robiło się okupacje, i przy kratkach stawałem w Piotrkowie, nim świętej pamięci Król Jegomość, brat dzisiejszego,

mianował mnie Miecznikiem: — Siadł i pisał szparko, po adwokacku, pióro latało; szlachta myśli: to to wypali; będzie gracko. Skończył, wstał, nastawił się jak do kratek i zaczął czytać: — Anno millesimo — szlachta spuściła nosy, wargami prztyknęła i pokręciła głowami — sextuagentesimo. —

Tu nie wytrzymał najstarszy Rudnicki: — A po co nam u licha ta łacina? po polsku chcemy bić, po polsku mówmy i piszmy.

A szlachta mu zawtorowała — po polsku, po polsku, precz z łaciną!

Spylony Miecznik, rozgniewał się, zmiął papier i podarł co napisał: — Z Waszmościami ładu dojść nie można. —

Komornik się uśmiechnął: — Oto masz Waćpan, niech sami piszą.

Tu dopiero robota. Skarbnik przysięga że nie dowidza, Służewski oprócz regestrów nic nigdy w życiu nie pisał, nawet w listach Imość zawsze go wyręcza. Panowie Rudniccy wszyscy czterej z proformy prosto do wojska powychodzili, przegłoskować drukowaną książkę to jeszcze, ale pisać ani weź; Wąsowicza nie śmiano prosić bo staremu coś pisarstwo z oczów nie patrzyło; ksiądz proboszcz wymawiał się; bratu pana Komornika od dawnych czasów piątej klepki brakowało; Pan Miecznikowicz i Pan Potetyło smarkacze. Jużby może udano się do babińca, do Pani Krajczynej Sienkiewiczowej, bo ona z piśmiennej rodziny od dziadów i pradziadów, a mówią ludzie że kurki rodem czubate; kiedy Wąsowicz stuknął karabelą o podłogę.

— Mościpanowie bracia, po co tu tyle zwodów i korowodów; ot tak, księże proboszczu, siadaj Waszmość i pisz, a ja podyktuję. Szczerze się przyznam Waszmościom, że tyle lat się machało szablą, z Turkiem, Tatarem, Moskalem, iż ręka zupełnie odwykła od pióra. —

Ksiądz proboszcz siadł, i sam zaczął pisać.

— Co? Waszmość sam będziesz pisał?

— Nie, ja tylko napisałem nagłówek — w Imię Ojca i Syna i ducha Świętego. Amen.

— Wyśmienicie! tak lubię! Kto z Bogiem to i Bóg z nim. Przyznam się Waszmość Panom, że ja jestem Sodalis Marianus i to dawny; patrzcie, oto forma, i krzyż Niepokalanego Poczęcia, dany mi przez nieboszczyka Króla Władysława za zasługi wojenne — tu łzy mu stanęły w oczach: — Dobry to był Pan z wąsami, Sejm zaprzeczył woli Króla — nie dobrze — i tu wyjął z kontusza puszeczkę i położył na stole. —

Skarbnik wziął puszkę, otworzył i wyjął drukowaną formę Sodalisa, i krzyż złoty Niepokalanego Poczęcia z obrazem Matki Dziewicy, kiedy jej się objawia wola Boża: — Na tem

będziemy przysięgać. Ale Mości Pułkowniku, dyktuj że Waszmość.

— A prawda? pisz Waszmość księże proboszczu — nastawił się: — W wigilją dnia Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Marji Panny; my szlachta polska w mieście Tyszowcach przytomni — napisz Waszmość księże proboszczu miesiąc, liczbę dnia i roku. — W obronie czci Matki Chrystusa Pana Naszego, w imię Boga i Jego świętego kościoła, w Imię Ojczyzny i Króla Jegomości z krwi Jagiellońskiej, wiążemy się w konfederację, na wytępienie i wypędzenie z granic Polski hunctwota Szweda, co bluźni na Najświętszą Marję Pannę, w dni postne nie pości, w kościele nie bywa, i każdego wroga Ojczyzny naszej. — Powołujemy wszystkich braci szlachtę do tejże konfederacji. Kto szlachcic, kto Polak, niech za broń bierze, na koń siada, bije, tępi, gnębi wroga; a kto nie dopełni tego, niesława, przekleństwo, kaźń na niego i najpotomniejszy ród jego. Przysięgamy przed Bogiem, i Jezusem Chrystusem Odkupicielem rodu ludzkiego, i Najświętszą Marją Pannę, że póty do domów nie wrócimy, nie zawiesimy na ścianach oręża, póki w granicach Polski, co do jednego wszystkich wrogów nie wytępimy, albo nie wygonimy precz za morza, za góry; póki Pan nasz Król Jegomość nie zasiądzie w swojej stolicy, na rodzinnym tronie. Boże słyszysz naszą przysięgę. Boże nam dopomóż w jej wypełnieniu. Boże nasz skarz, jeźli ją złamiemy. Chwała nieskończona Najświętszej Marji Pannie, potęga naszej Ojczyznie, cześć Królowi Jegomości krwi Jagiellońskiej. Śmierć i zagłada huncwotom psom Szwedom. — Wypoczął. —

Przez cały czas dyktowania, postawy szlachty rosły jak na drożdżach; ciągle potakiwali podkręcaniem wąsów, postukiwaniem podkówek i szabel, a kiedy się skończyło tłumnie i gwarno zawołali:

— Cześć Najświętszej Marji Panny! — Niech żyje Ojczyzna! Niech żyje Król Jegomość! Krew Jagiellońska! Podpisujmy i przysięgajmy! —

Nie dali odczytać księdzu proboszczowi napisanego aktu, jeden przez drugiego rwał się do podpisu, i gryzmolił jak umiał, i jak mógł.

Pan Służewski przyniosł krucyfix, Pan Skarbnik położył krzyż Niepokalanego Poczęcia i Sodalisowską formę, a Wąsowicz dodał jeszcze szablę wydobytą z pochowy, mówiąc: — Dodaj Waszmość: Konfederujemy się w imieniu na rozkaz i z woli Króla Polski, Wielkiego Księcia Litewskiego, Ruskiego, Pruskiego, Żmudzkiego, Kijowskiego, Wołyńskiego, Podolskiego, Inflantskiego, Smoleńskiego, Siewerskiego i Czernichowskiego, Króla i Pana naszego.

— Mościpanowie i ta szabla pochodzi od Stefana Batorego,

z obrazkiem Świętego Michała Archanioła, z napisem jak Archanioł karcił szatana; tak my karcmy nieprzyjaciół Ojczyzny. Mam ją w spadku po nieboszczyku Hetmanie Mieleckim. —

Ksiądz Proboszcz ubrał się w komżę, i każdy szlachcic przykląkł przed ukrzyżowanym Chrystusem, dotykał ręką formy sodalisa, krzyża Niepokalanego Poczęcia i szabli, i przysięgał że dotrzyma co podpisał. A potem dawaj ściskać się z Wąsowiczem, z Księdzem Proboszczem, i między sobą, dawaj pić miód, wino i co było wszystko na kupę.

W czasie tej pohulanki radzono, i nim się niektórzy z nóg powalili, uradzili: porozumieć się z Wojewodą Sandomirskim; ofiarować naczelnictwo konfederacji Panu Hetmanowi Polnemu Koronnemu; wysłać Pana Starostę Horodelskiego do Króla na Szląsk, aby przystąpił do konfederacji; ta cześć mu dana jako gospodarzowi i dziedzicowi Tyszowiec. Reszta szlachty natychmiast miała się rozbiedz po wszystkich województwach, do kwarcianych wojsk, do obozów nawet szwedzkich, i powoływać wszystkich do konfederacji, bez względu na osobiste niebezpieczeństwa, albo utratę majątku. Ksiądz Proboszcz podpisał na akcie konferacji, przyrzekł stan duchowny do niej powoływać, i lud wzburzyć przeciw wrogom ojczyzny. Także tam postanowiono: że Pan Służewski z Wąsowiczem udadzą się dzisiejszej nocy jeszcze do Zamościa; Starosta Horodelski ztamtąd pojedzie w dalszą drogę, a Starosta Żytomirski będzie ofiarował naczelnictwo Panu Stanisławowi Lanckorońskiemu. W ciągu rady pili, a po radzie jeszcze raźniej wzięli się do kieliszków, krzyczeli i hałasowali jak gdyby już Szweda ani na nasienie nie było w Polsce; do kobiet poszli z butelkami, tam gwałtem zdzierali trzewiki z nóg i z trzewików pili za zdrowie Polek, co dają przykład jak kochać Ojczyznę, i synów i mężów sposobią do posług Ojczyzny; w ręce, w nogi całowali aż odczepić się od nich nie można. Jeden z kieliszkiem w ręku, w prysiudy kozackiego wycinał; drugi szumkę śpiewał i przygrywał sobie klepiąc po brzuchu dłoniami; ten sam na sam w zakotach węgrzyna się obrabiał, podkówką w podkówkę dzwonił i szablą stukał; tamten podparłszy ścianę plecami, żydowskie majufes przedrzeźniał; ze dwóch zalazłszy w kąt chrapało; dwornia i służebne, a nawet i ludzie miejscy, przeze drzwi przez okna patrzyli na to widowisko i chychotali z całego serca.

Temczasem Pan Służewski wybierał się w drogę, goście mu pozwolili oddalić się, on w swoim zastępstwie obrał Pana Miecznika, i kazał dawać wina i czego zechcą. Pani Służewska smutna a nie śmie płakać: — Mój Jasieńku, ty jedziesz? —

— Moja Panno, tak Ojczyzna każe; zrób mi zawiniątko i włóż parę koszul, a nie zapomnij: żupan pomarańczowy z atła-

su, i kontusz z sajety, i pas słucki; bo to przed królem moja Magdeczko trzeba się będzie stawić.

— Bądź spokojny mój kochanku, nie zapomnę nic; ale w cóż my się obrócimy?

— Uproszę Skarbnika; on stary, już na koń nie siądzie, zabierze was do Uchań. Moja Magdeczko nie trap się, Bóg jakoś da. Sreberka i kosztowniejsze sprzęty zabrać z sobą, a resztę pochować z gumiennym, to poczciwy człowiek; a teraz poszlij po stawniczego i po Judkę, jeźli nie pojechał, a ja muszę pójść do niej — i odszedł przez boczne drzwi.

Pani Służewska wysłała dziewczynę po kogo mąż kazał, a sama otworzyła szafy, dostawała ubiory mężowskie i bieliznę, starannie pakowała w mały tłómoczek, a łzy gwałtem kapały z oczów, jak gdyby umyślnie chciała wyprawić z mężem ten upominek żoninego żalu.

Wrócił Pan Służewski, ale czegoś bardzo zachmurzyła się twarz jego.

— Moja Panno, wiesz czego chce, żebym dał wolność temu Żytkiewiczowi, temu łgarzowi, szaławile, co narobił tyle licha; powiada, że on nam na coś bardzo wielkiego się przyda, a nie chce powiedzieć na co. Co tu robić moja Magdeczko? ona koniecznie tego chce, a szlachta gotowaby posądzić, że przez niego chcę układać się ze Szwedem; a broń mnie Boże od tego! Co się rzekło i podpisało to święte; już nie ma rady — podrapał się w głowę: — Niech wszystko przepada, na marno pójdzie, a bić Szweda.

— Całej biedy narobiła Marcjanna — ozwała się żona — ciągle się tryndała do ciupy tego Żytkiewicza, powiadając, że to jej dawny znajomy. Wiesz Jasieńku, powiedzmy wszystkim, że ona tego chce, że ona za niego ręczy.

— Niech mnie Bóg od tego zachowa, moja Panno; ona w żaden sposób nie chce aby kto o jej imieniu, albo o pobycie w naszym domu wiedział; nawet patrz Magdeczko, trzeba Panu Skarbnikowi powiedzieć że to twoja siostrzenica Pani Żarczyńska z Podola, z resztą ona chce zaraz z Uchań jechać do Lanowiec do Pana Kasztelana Jełowickiego, nawet akt konfederacji obiecuje mu zawieść, a to dobrze. Pan Kasztelan Wołyński to zuch, pójdzie z nami i pociągnie za sobą całą Wołyńską szlachtę. Magdeczko, ty masz rozum, pomyśl no, jak to zrobić żeby wilk był syty i koza cała. —

Pani Służewska pomyślała: — Co kochaneczku, Pan Komornik jako swego ciotecznego niech go prosi na porękę.

— Ba, słyszałaś jak wygadywał na ciotecznego, chciał żeby go zaraz powiesić bez wysłuchania, bez sądu.

— Co to znaczy? spuść się na mnie, ja wszystko to zrobię.

— Magdeczko niech ciebie ucałuję — i pocałował żonę: —

Złoto nie kobieta, co to za rozum, i u Ojców Jezuitów o taki trudno. Ruszaj moja Panno, a rób co żywiej, ona tego chce. —

Kiedy żona już zatrzasła drzwiami, zatarł dłonie, potem włożył rękę w kieszenie kontusza. — Są — jeden kazała oddać wprost do rąk Hetmanowi Polnemu, drugi Pani Sandomirskiej; zrobię święcie, ona tak chce; bo też to Mości Dobrodzieju — wtem tylne drzwi się otworzyły i wszedł Judka ze Stawniczym.

Poczęła się narada jak tu dostać się do Zamościa. Usłużny żydek za pół korca ryby przyrzekł wszystko załatwić; popatrzył na tłómoczek: — No nie wielki, no i szable i strzelby i wszystko zabierzemy w sanie na spód pod słomę; tylko Jaśnie wielmożni Panowie przebiorą się po żydowsku — zbliżył się do Służewskiego, i na ucho mu szepnął — no, my wszyscy mamy karty od Szweda, nas przepuszczą, nic złego nie zrobią, broń Boże, my jasnym Panom zawsze gotowi służyć — odstąpił — a kiedy Jaśnie Wielmożny Pan każe być gotów?

— Jak tylko zmierzchnie; ale słuchajno Panie Rebe, Warwiński ciebie na krok nie odstąpi, bo to Waszeciom bardzo wierzyć nie można.

— No, ja tego chcę, my się o to nie gniewamy że nam nie wierzą, to nie dziwota. Pan Warwiński niech idzie ze mną, nu, ani słowa nie powiem do Sury i bachurów, zabiorę suknie i tu przyniosę; Jasnego Pana konie forwarczne zaprzęgą i pojedziemy; ale trzeba żeby szkapy były najgorsze, bo jak dobre to Szwed i żydowskie zabierze.

— Ruszajcie. Warwiński, jak przyjedzie Judka i przywiezie znak że dobrze się sprawił, każesz mu dać dwa półbeczki pozaprzeszłorocznego miodu.

— Słucham Panie — odrzekł stawniczy, a żyd lisią czapką dotknął buta Służewskiego.

— Upadam do nóg, jaki Jaśnie Wielmożny Pan hojny; nu, ja jeszcze coś powiem, kiedy Jaśni Panowie zechcą, to my żydkowie dostawiemy broni, koni, prochu, kul, wszystko od Szwedów. Na cherym, my to zrobiemy dla Jasnych Panów, bo my Polskę kochamy. —

Pan Służewski wchodził do gości, kiedy żona go tam powitała.

— Kochanku, Pan Komornik chciałby wziąść na porękę swojego ciotecznego brata Pana Żytkiewicza, ale że siada na koń, Pan Skarbnik przyjjmuje to na siebie, wszyscy się godzą, tylko twego zezwolenia potrzeba.

— Ja na wszystko przystaję, co Panowie bracia konfederaci chcą. —

Wąsowicz podkręcił wąsa: — Mościpanowie tak chcecie, niech tak będzie, wszakci to prawda: cioteczny współ-konfede-

rata, ale niech mi tak Pan Bóg pozwoli pierwszemu Szwedowi co napotkam głowę odrąbać, jakbym z przeproszeniem twoim Mości Komorniku, twojego ciotecznego na kruku od studni obwiesił, a tych Szwedów co mamy w lochu potopił, bo to mniej jednym zdrajcą, jednym wrogiem, to lepiej, chwała Bogu. —

Pani Służewska bojąc się żeby ta mowa nie zrobiła jakiego wrażenia, podchwyciła prędko: — Ale Pan Skarbnik przyjmuje na porękę.

— Przyjmuję Mościa Dobrodziejko. —

Komornik dodał: — Tylko patrz Mości Skarbniku, żeby ci się nie wyłgał i nie uciekł, bo to choć mój cioteczny ale ptaszek. —

Miecznik zabrał głos: — A z jeńcami Szwedami co zrobimy?

Panowie Rudniccy się odezwali: — My ich zabierzemy na porękę — i jeden drugiemu szepnął — potopimy szelmów w pierwszej opłonce w Huwszczy. —

To szepnięcie wszyscy słyszeli, ale widać że się to podobało, bo zawołali: — Panom Rudnickim ich oddać, niech z niemi robią co chcą. —

Wino i miód jakoś trochę przeszumiały, jak to przysłowie mówi: klin klinem wybijając, przetrzeźwili się, nawet młodzi Karsznicki i Poletyło, co jeszcze nie ułożeni do trunku, pospali się w kącie, teraz przebudzili się, i stanęli w gronie, prostując się i przecierając oczy.

Jeszcze gadano, radzono, pito i gotowano się do drogi. Pani Służewska porała się, aż pot lał się jej z czoła; a dwornia wynosiła różne sprzęty jak gdyby pożar już był tuż koło domu. Żytkiewicz przyprowadzony, łgał ni w pięć ni w dziewięć jak najęty, o Szwedach, o swoich przyjaźniach i o różnych dziwolągach; widział jak w Lublinie Karol szwedzki biesiadował z Cesarzem niemieckim, z Carem moskiewskim i z Szachem perskim, umyślnie tam przybyłemi pod obcemi imionami. Powiadał, że Karol szwedzki mówił do niego: mój Julianie pojedziesz do Sakatamusy, siądziesz na okręt darowany mi przez Szacha na Kaspijskiem morzu, i przypłyniesz wodą na Czarne morze do Oczakowa, tam się zobaczemy; ale już był pokorny, jak Skarbnik utrzymywał, potulny gdyby trusia, przysiągł że nigdy łgać nie będzie, a nawet chciał dać cerograf na siebie, lecz Komornik go zatrzymał.

— Panie cioteczny, stój, gdybyś dawał cerograf na to że nigdy prawdy nie powiesz, pozwoliłbym, ale na to że nie będziesz łgał, nie pozwalam.

I starzy i młodzi słuchali łgarza i serdecznie się śmiali, Wąsowicz tylko pomrukiwał: — Błazen, obwieś, wart szubienicy. —

Po wieczerzy, po gęstych jeszcze wiwatach, wszyscy ruszyli w drogę. Panowie Rudniccy zabrawszy na dwie fury powiązanych Szwedów, wziąwszy sobie do pomocy sześciu tęgich parobków pojechali pierwsi, krzycząc na woźnicę: — Huwszczą jedź lodem — za niemi i reszta sąsiedztwa siadała do sani; woźnice palili z biczów, dzwoneczki przy chomontach dzeń, dzeń, dzwoniły, a płozy skwirczały po śniegu, bo było mroźno.

Zaszły sanie Panie Służewskiej, z pokoju wyszła jakaś pani; kibić wysmukła, śliczniutka jakby wytoczona, kłęby się powabnie wystawiały z pod ferezji zielonej aksamitnej, podbitej sobolami; kołpaczek sobolowy nasunięty na czoło, w około szyi i przez twarz owinięty szal kaszmirski, tak iż nic nie widać, tylko trochę oczek, tak błyszczących jak brylanty. Nóżka choć w buciki futrzane przywdziana, malutka i zgrabniutka gdyby cacko; rączka w rękawiczce taka kształtna, że Wąsowicz aż cmoknął ustami i ślinka mu popłynęła z chęci pocałowania tej ładniutkiej dłoni. Otworzył oczy i patrzy a ani zajrzeć twarzy; ona pożegnała kiwnięciem głowy; Służewski pocałował ją w rękę, i z wielkiem uszanowaniem razem z Wąsowiczem podsadzili ją do sani. Wąsowicz kiedy dotknął dłonią przez aksamit i futro i bławaty, jej ramienia, to mu krew po wszystkich żyłach młodzieńczym warem zakipiała; aż zagapił się, i dopiero się ocknął, kiedy go żegnała Pani Służewska. Za temi saniami pojechały drugie ze służebnemi, i trzecie z pakunkami, a na końcu Pan Skarbnik z Żytkiewiczem.

Wrócili do izby Ksiądz Proboszcz, Służewski i Wąsowicz. Kiedy przebierali się w żydowskie szarafany, Wąsowicz rzekł: — Ależ Waszmość masz siostrzenicę? musi być ślicznota, jakiej i Sułtan turecki nie ma w całym swoim haremie; przepraszam Księdza Proboszcza, ale na Boga się zaklinam, bogdajem na konia nigdy nie siadł, jeźli mi nie wróciło dwadzieścia ośm lat nazad, kiedym ją dotknął przez ferezję, a mam teraz czterdzieści ośm z okładem. Czyż to się godziło Panie bracie Konfederacie nie pokazać nam jej buziaka?

— Chora teraz, ale piękna co się nazywa, pani Żarczyńska podobniutka do nieboszczki siostry naszej żony Salomei Krzyżanowskiej.

— Coś słyszałem o Żarczyńskich i Krzyżanowskich, znałem nawet kilku kiedyśmy szli przez Podole przeciw Turka, ale Waszmościnej siostrzenicy takiej pięknej jak ta nie widziałem.

— No już czas, księże Proboszczu błogosław nas. —

Dziwni w tych strojach żydowskich, przyklękli, a ksiądz przeżegnał i pobłogosławił.

Wąsowicz wstał: — Z husarza przerobiłem się na meremo-

rejne, na kapcana, na parcha; ale to nie tak dziwno, jak to że ksiądz proboszcz błogosławi żydom, krzyżem świętym. —

Proboszcz się uśmiechnął: — Służcie ojczyznie i świętej wierze, a w jakikolwiek bądź strój się przebierzecie, kapłan Boży i Polak zawsze was pobłogosławi, zawsze za was i za Ojczyznę modlić się będzie: — Uściskali proboszcza, Służewski pożegnał się jak z dziećmi z czeladzią, i czeladź jak ojca go żegnała; siedli do sani, Judka pokręcił biczem, targnął lejcem szkapy i ruszyli.

Ksiądz proboszcz wracał do plebanji, złożył ręce i modlił się: — Boże miej ich w swojej opiece. Boże zbaw Ojczyznę od wroga. Boże zmiłuj się nad Polską. —

Ku północy trochę mróz zelżał; śnieg zaczął polatywać, pod płozami nie tak skwirczy, konie zleniwały, a żyd już nie wali dłoniami w ramiona dla zagrzania się, ale batogiem ćwika po pod ogon szkapy. Na brunatno-ołowianem niebie kilka gwiazdek świeci, jakby na pociechę podróżnym, że jeszcze z nieba patrzą na nich; na ziemi gdzie spojrzeć wszędzie śnieg a śnieg bieleje, nie widać ani pagórka ani doliny, zdaje się wszystko równo a równo; zdala gdzieś laski i sioła obłędnie majaczą, i tak się miga oku podróżnego, że chaty i drzewa jedne biegną ku nim, drugie uciekają od nich; po nad drogą na polu kiciasty lis sznurkuje za myszami, przy nocnym cieniu wyrósł na olbrzyma; zająca nigdzie nie zajrzeć, czuje ponowę, na żyr nie poszedł, jak kamień siedzi w kotlinie.

Już, już dojeżdżali do wilczych łóz, kiedy w karczmie ujrzeli ogień a pod karczmą kilkunastu jeźdców. Wąsowicz krzyknął: — Szelmo żydzie, zdrada! zabiję — i sięgał ręką po szablę.

— Nu, jaśni panowie, to nic, to Szwedzi; na miłość Boga niech panowie do niczego się nie biorą, bo zginiemy. —

Służewski zawołał: — W bok z drogi, omiń karczmę.

— Nie można, wprost na nich najlepiej jechać; pokażemy że my się nie boimy. Nu ja wszystko na siebie biorę; tylko na miłość Boga żadnych krzyków. Ja sam będę gadał; ja powiem, że Jaśni panowie to rabini, husyci.

— Szelma, bierze nas na siebie; ja ciebie tu zaraz wezmę — i szukał szabli, ale go Służewski wstrzymał.

— Mości Pułkowniku siedźmy cicho. Matka Najświętsza nas obroni. —

Już nie było czasu rozmawiać, bo śniegiem kilku rajtarów kopało ku saniom, a żyd gnał konie ku karczmie. Rajtarowie z dobytemi szablami w mig obskoczyli sanie i zaszwargotali. Żyd im odszwargotał, a Wąsowicz pod szarafanem ręką pocisnął nóż i pomyślał: nie dam się.

Koło karczmy, Judka zlazł i szedł do izby. Na zapytanie czemu jego towarzysze nie złażą, zdjął czapkę: — Nu panie Komendancie, oni tacy rabini, że ich nogi tykać nie mogą śniegu, to naucznі. — Szwedzi fajki palili, chodzili koło sani, ale żaden nic nie tknął. Zapytywali, a szlachta nic nie odpowiadała. Służewski pocił się, aż mu parno i duszno: a Wąsowicz gryzł język, żeby ze słówkiem jakiem się nie wymknąć.

Wyszedł Komendant i zagadał, a oni nic; drugi raz powtórzył zapytanie, oni jeszcze nic. Judka podchwycił: — Nu jasny Panie Komendancie, to husyci piśmienni, u nich taki wielki rozum że przez takie małe usta przecisnąć się nie może; oni zawsze milczą, ale wiele umieją. —

Szwed się zaśmiał, a Judka wyjął z sani kilka szczupaków i dał mu w podarunku; siadł, i za pozwoleniem pojechał.

Już byli dwieście kroków za karczmą a Wąsowicz jeszcze mruczał: — Szelmy, żebym miał z pięciu pancernych tobym to ich natłukł. —

Służewski dopiero o cwierć mili odetchnął: — To cud Matki Najświętszej.

— Nu, widzę jaśni panowie, że my żydkowie umiemy się wykręcać; kilka szczupaków, i obiecanka że mu powiem co tam w Zamościu się dzieje, wszystko zrobiły; bogdaj on tak do jutra dożył jak ja mu powiem. —

Tu na rozstajnej drodze nowe niebezpieczeństwo; z prawej strony pokazało się czterech rajtarów. Żyd zwątpiał: — Nu, to gorsza; tu nie ma Komendanta. —

Ale Wąsowicz odrzekł: — Czterem się nie damy, ja na siebie dwóch biorę. — Aż wtem z lewej strony ukazało się kilku jeźdców. Spostrzegli się wzajem, zatrzymali się, i dernęli nazad wstecz od siebie, każdy w stronę skąd przyjechał. Wąsowicz w śmiech: — A to co, czy oszaleli bestje; po postawach, po koniach poznałem że i to i to Szwedzi.

— Nu, co jasny panie, nic dziwnego na złodzieju czapka gore, jak w cudzej komorze. —

Służewski się przeżegnał krzyżem świętym: — Ja wiem że to wszystko cud Najświętszej Marji Panny. —

Przecięli wielki szlak z Hrubieszowa do Tomaszowa, i już wjeżdżali w las, kiedy żyd zakrzyczał: — Aj waj! aj waj! gwałtu — i koziołkiem przewrócił się z deski między nogi panom.

Wąsowicz sięgnął znowu w słomę ręką po szablę: — Szwedzi! —

Służewski złapał za lejce nim się konie zżachnęły: — To wilcy; kpie żydzie i cóż dziwnego? — Kopnął go nogą w plecy.

Żyd wrzeszczy — gwałtu! zjedzą! ich tam jest tysiąc!

Wąsowicz spojrzał: — Błaźnie parchu, widzisz jeden skacze po drodze, wilczycy szuka; jutro dopiero się gromadzą; a nu, ja palnę do niego — i chciał wziąść strzelbę.

— Daj pokój, Szweda byśmy ściągnęli — temczasem wilk wytarzał się po drodze, wstał, zjeżył sierć, podniósł kitę do góry, błysnął oczyma, skoczył aż zadrapał śnieg do ziemi i sunął w las. —

Przez ten czas Żyd, ledwie nie umarł, ale kiedy wilk zniknął, siadł na deskę, wziął się do lejców i do batoga, i zaczął poganiać koni dodając sobie otuchy; wrzeszczał: — Aj waj, hutin hu ha! wilk aj wej! —

Służewski trącił go w kark: — Milcz szelmo żydzie, sprowadzisz Szwedów. —

Żyd nawykły do podobnego gościńca zamilkł, ale obrócił się: — Nu niech jaśni Panowie się nie gniewają, Szwed w taką zawieruchę nie wyjdzie, i on człowiek; teraz to tylko wilcy, lisy i jaśni panowie się włóczą. —

Śnieg coraz gęściej pruszył, w lesie już nie widać jak o kilka kroków; na kożuchach pełno śniegu i w sanie śnieg się nawalił. Służewski się odezwał: — Wiesz Waszmość że zdybanie się z wilkiem to dobra wróżba, wszystko dobrze pójdzie.

— Mospanie, jak wszystko dobrze pójdzie to nie wilcza sprawa, ale księdza proboszcza co nas pobłogosławił; ja choć stary wojak, nie zawsze mogę bywać w kościele, jednak w to wierzę: że kto do Boga się ucieka temu Bóg daje. —

Maleńką dróżynką okołowali Łabuńki, bo Judka wiedział że tam Szwedzi stoją, i w poprzek zamarzłego bagna rżnęli się do Zamościa; żywej duszy nie zdybali.

Zamojskich zamek przez przetak śniegowych płatów, cienił się gdyby olbrzymia skała, z rozszczepionym wierzchołkiem i rozszczepionemi bokami; po wałach błyskały ognie, i w wieżach i w oknach światło migotało. Podróżnej szlachcie stanął w pamięci Jan Zamojski, ten wielki Polak, ten doskonały szlachcic; obadwa go dobrze znali, obadwa pod nim zaprawiali się do wojny. Zdało się im, ze cień męża Polski stanął nad zamkiem Zamościa; przypomina Byczynę, Moskiewszczyznę i Wołoszę, i woła do broni Polską szlachtę, polski lud. Obadwa jakby się zmówili, powiedzieli razem: — Gdyby on był żył, Ojczyzny nie dałby na poniewierkę, a Króla nie puściłby na żebraninę do obcych mocarzów. —

Wąsowicz dodał: — Tu w Polsce Król Jagiellon by siedział, i tu za Polskę by się bił.

A Służewski pomyślał sobie: — Jabym nie porzucał Tyszowiec, nie marnował dobra nabytego w ciężkim pocie. —

Przyjechali przed przekop ale choć hukali na cało gardło, musieli czekać jak psy pod chatą na zamieci, aż do białego dnia. Chwała Bogu że biały dzień był nie daleko.

Z białym dniem, po dobrym przeglądzie wprowadzono ich do zamku: Pan Bystrzonowski Rotmistrz pancernego znaku Zamojskich, dzisiaj dowódca twierdzy, śmiał się do rozpuku, poznawszy Wąsowicza w żydowskim ubiorze, i sam Wąsowicz się śmiał: — Śmiej się śmiej panie bracie, a dawaj wódki. Na naszą dawną wojenną przyjaźń ci się zaklinam, że moje stare kości przemarzły aż do szpiku, zimno jak na Moskiewszczyznie, przynajmniej tam było na czyich karkach się zagrzeć, a tu u licha ani tego zrobić nie można było: — Łyknąwszy wódki, ogrzawszy się, strojno się przybrali obadwa Panowie, bo Pan Bystrzonowski oświadczył, że dziś dzień imieniu pani Wojewodziny Sandomirskiej.

W zamku Pana Wojewody choć oblężonym, nie brakło ani na przepychu, ani na dostatku; pełno dworzan, służby, synów pańskich i szlacheckich, a w komnatach takie bogactwo, jakiego pewnie nie masz u żadnego niemieckiego mocarza. Kiedy wprowadzono Wąsowicza i Służewskiego do komnaty, gdzie był Pan Wojewoda Sandomirski, Pan Hetman polny Koronny, Pan Kasztelan Kijowski, i jeszcze kilku możnych panów; Wojewoda przyjął ich uprzejmie we drzwiach; Służewski pokłonił się i przypomniał się pańskiej znajomości, a Wąsowicz powitał wszystkich rubasznie po wojskowemu, i bez żadnych przedstępów przystąpił wręcz do rzeczy. Kiedy po swojemu opowiadał o zapale szlachty, o bójce ze Szwedami, smutna twarz Hetmana trochę się uśmiechnęła, a Stefan Czarniecki przestał kręcić brodę, a podkręcił wąsa. Kiedy Służewski podał akt konfederacji, Wojewoda przebiegł go okiem, zaśmiał się, a potem skrzywił się czytając imiona zawiązujących; wręczył go Hetmanowi, a sam rzekł z cicha do stojącego obok siebie Sanguszki: — Uprzedzili nas. Szlachta bryka, nie czeka na nasze rozkazy, ale nam je daje. —

Hetman przeczytał, porwał za pióro i podpisał. — Kto kocha Ojczyznę ten z nami; uściskał Wąsowicza i Służewskiego: Panowie bracia, wiążmy się przeciw wrogom. —

Na taką przemowę nie było co robić, zwłaszcza że Pan Kasztelan Kijowski swój podpis przyłożył i rzekł: — Kto nie z nami, ten wróg Ojczyznie. —

Pan Wojewoda i za nim reszta możnych paniątek choć z niesmakiem ale podpisywało. Oni dobrzy Polacy, chcieli się bić za Ojczyznę, lecz niemiło im było podpisywać swoje jasne imiona pod podpisami imion prostej szlachty. Postanowiono, że akt w oryginale złożnym zostanie w aktach zamku Zamościa, a inny manifest porządny spisać i zaoblatować w grodzie Bełzkim. Ojciec Dąbrowski przeznaczonym został do słuchania przysięgi. Po czem Służewski i Wąsowicz ofiarowali naczelnictwo Lanckorońskiemu a Hetman z całą szczerotą odpowiedział: — Dziękuję Waszmościom za zaufanie jakie

we mnie pokładacie, ja służyć będę Ojczyznie póki ducha stanie, póki krew nie zakrzepnie, ale starość nie radość panowie bracia, nie grzech powiedzieć że się nie czuję na siłach przewodzenia tak wielkiemu dziełu, ale grzechem by było przyjąć a potem pokazać nieudolność; ale jako konfederat głos mój daję na Pana Kasztelana Kijowskiego, i proszę Waszmościów abyście poszli za moim przykładem. On nas powiedzie do zwycięstwa, on w ciężkim razie zbawie Ojczyznę. —

W głosie jego, brzmiała prawda nieskalana, nieprzybrana skromnością, albo udawaniem. W oku jego błyszczało poświęcenie się i dobra wola. Wszyscy przystali na wniesienie starca, i prosili Kasztelana Kijowskiego aby przyjął dowództwo nad zbrojną konfederacją. Stefan Czarniecki ani trochę się nie wymawiał, żadnych warunków nie zakładał, tylko krótko odpowiedział: — Przyjmuję — i oburącz wąsy podkręcił. —

Po skończeniu tej ważnej sprawy, Służewski przystąpił do Hetmana i oddał mu list. Hetman czytał, załzawiło się jego oko, widać że zapał Polaka dał miejsce ojcowskiemu uczuciu: — Będę miał córkę, moją jedynaczkę; gdzie ona jest, powiedz mi Waszmość?

— Jaśnie Wiemożny Mości Hetmanie ja nic nie wiem.

— Przynajmniej powiedz mi Waszmość skąd ten list? —

Służewski coś powiedział na ucho Hetmanowi a on kiwnął głową: — Piętnaście dni, czekać długo — westchnął — ciężka to dola — splótł ręce na piersiach i stał zadumany. Wszyscy szanowali zadumanie ojca, sędziwego starca, nikt nie śmiał je przerwać.

W drugiej komnacie, Wojewoda przedstawiał żonie nowoprzybyłych braci konfederatów. Wąsowicz wypalił z kopyta powinszowanie; jak z za rękawa sypał szczęściem, pomyślnością, długiemi latami, mnogiem potomstwem, sławą, i wszystkiem tem co się w podobnych obrzędach zwykło używać, ale wszystko po polsku. Francuzka ledwie piąte przez dziesiąte, a może nie zrozumiała ani słowa, jednak uśmiechała się i dygała. Wąsowicz skończył, i wracając między szlachtę powiedział: — Udało mi się, jak z płatka wywinąłem. —

Służewski zwyczajnie dworak, po łacinie winszował, i w końcu oddał list; piękna Wojewodzina przeczytała, twarzyczkę skrzywiła na znak użalenia się: — Biedna, czemuż tu nie przyjechała, jabym ją tak rada widzieć u siebie. —

Wąsowicz zauważał to skrzywienie się: — Dobrze ci tak, spylony łacinnik, po co tu na harc wyjeżdżać z łaciną, kiedy mamy polską ojczystą mowę, a któż nią będzie gadał jeźli nie Polacy. Wojewodzina to to mi pani, aż lubię. —

Szlachta podpisywała się na akcie. Ojciec Dąbrowski w kaplicy zamkowej mszę świętą odprawił i przysięgi słuchał. Stefan Czarniecki dawał rozkazy, wyprawiał gońców, nawet

żyda Judkę użył do jakiejś posługi. W zamku i w koszarach żołnierskich przykrywano stoły do sutej biesiady; z piwnic wytaczano żelazno-obręczne beczki z węgrzynem, antały z pikardem, pontakiem i małmazją; kufy z miodem i wódką. W kuchniach całemi ćwierciami warzono woły, barany i wieprze: rożny gięły się pod drobiem i zwierzyną, a zapach rozmaitych korzeni i przypraw, jak obuchem z razu walił w nos przechodzących, a potem ślinkę smaku na usta wydobywał. Na wałach i w basztach sto i jeden razy z moździerzów i harmat wypalono na wiwat Tyszowieckiej konfederacji, na wiwat Stefanowi Czarnieckiemu jej naczelnikowi, a cała załoga wrzeszczała: — Niech żyje Ojczyzna! Niech żyje Król Jegomość! Konfederaci niech żyją i Szweda biją! — Tak obchodzono w Zamościu dzień Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Marji Panny.

IX.

Gdzie prowadzisz tych mołojców,
Dzielny Dońców Atamanie.
«Wielkie Łuki» duma Gustawa Kraszewskiego.

Wieść o konfederacji w czwał rozbiegła się po polskiej ziemi; nie kryjomo, nie cichaczem, ale jawnie, z hukiem, z hałasem, wpadał szlachcic do szlachcica: — Nasi skonfederowali się w Tyszowcach, podpisuj panie bracie; Stefan Czarniecki naszym wodzem; do broni, na koń, w imię Ojczyzny, w imię Króla Jegomości, dalej przeciw Szwedom! — I wszystko się ruszało. Szlachta na wyścigi zbroi służbę, chłopów sadza na koń, a sama stanąwszy na czele, rusza bić, mordować, tępić Szweda, gdzie ją oczy wiodą a konie niosą. Zapomnieli że przededniami Szwed im nabawił strachu, zapomnieli o rodzinach, domach i majątkach. Konfederacja szlachecką krew rozpaliła; żony krzyczą na mężów: siadaj na koń, ruszaj na Szweda; matka w ojcowską broń zbroi syna, i woła: bierz ojcowską szablę, siecz Szweda; córka wynosi rodzicowi spisę, i prosi: ojcze nakłujże tych Szwedów; kochanka się przymila kochankowi i mówi: jak pobijesz Szweda to się pobierzemy; a wszystkie szyją chorągiewki ojczystej barwy, i stroją we wstęgi i ulubione znaki swoich rycerzów. Stary niedołęga skołatany wiekiem i chorobą, a rozumny doświadczeniem, daje rady, nauki, jak podchodzić, jak mordować Szweda. Malec zgrzyta zębem, tupcze nogami, i łzę złości roni, że go nie zbroją, że go na koń nie sadzają, drobną rączką grozi Szwedowi, a dziecinnym głosem swarzy na Szweda. Od podrostka co ledwie szablę podźwignąć, do strzemienia nogą dostać może, aż do starca co rozwłóczywszy nogi wdrapie się na siodło, rozmachawszy rękę tnie mieczem, wszystko ruszyło w pole, do boju. Szlachta przypomniała sobie prawdziwie polskie czasy, kiedy u szlachcica dom był w obozie, majątek w koniu i szabli, a Ojczyzna wszystkiem.

W grodzie Bełskim złożono akt Tyszowieckiej konfederacji i zaniesiono manifest potężnie długi, którym szlachta polska skonferowana oznajmiła Polsce i światu całemu, iż za żadne uważa nadania, przywileje, i ustawy porobione w Polsce przez szwedzkiego Karola, Szwedów uznaje za wrogów, a tych wszystkich którzyby nie stanęli w obronie praw Ojczyzny i majestatu tronu Króla Jegomości Jana Kazimierza, potępia i ogłasza za zdrajców Ojczyzny, niegodnych nosić imię Polaka, dostojność szlachcica.

Suchednie się zbliżają a panowie szlachta robią zapusty; jeden czerkieską burkę przez plecy zawiesił, drugi w węgierski dołman suto się przybrał; ten w rysiej szubie jak bojar moskiewski jedzie, tamtem w kusym kożuchu, w wyporkowej krymce gdyby tatar jaki; u tego siedmiogrodzki buzdygan, u tamtego na głowie praojcowska misiurka. Dziwna zbierania ludzi i koni, dziwna mięszanina strojów; wszyscy suną kulikiem do Szwedów. Oj nie mili to goście, niemiły to dla Szwedów kulik; nie bardzo im w smak słuchać skrzypek i pójść w taniec z panami zapustnymi. Choć nie katolicy, stokroć woleliby cicho i spokojnie odprawiać suchednie.

Jeszcze dziesięć dni nie upłynęło, a już szlachta napłoszyła tęgo Szwedów; napadała w nocy na ich posterunki, kłuła, paliła; gdzie tylko nadybała Szweda, albo do Szwedów należącego, to zaraz bez sądu i oprawcy, powieszono na pierwszem drzewie, albo zanurzono w płonkę, żeby jadł muł na dnie, nie chleb polski. A do tego kwarciane wojsko, choć zapisało się na szwedzki jurgielt, i na zadatek wzięło żołd na rękę, pojedyńczo i kupkami zmykało do konfederatów. Popłoch między Szwedami; do wielkich miast zmykają i tam się okopują, albo się zbierają w wielkie oddziały. Otucha między szlachtą.

Pan Stefan Czarniecki ponaznaczał dowódców, i miejsca zbioru. Jednym kazał na urwisz wojować w rodzinnych okolicach, drugim stawić się do pocztu wojska. Sam z Hetmanem Polnym udał się do Lwowa. Słuch doleciał, że Książe Czartoryski zbiera górali w Karpatach, i posłał zaciągać żołnierza na Wołoszy; że Tetera Starosta Bobimowski wali z Zaporożcami przez Wołyń w Lubelskie; do Czerwonej-rusi przybędzie Król Jegomość jeźli go Pan Służewski uprosi; Jerzy Lubomirski da pieniędzy i żołnierza, bo to dusza polska. Ztamtąd łatwiej przyciągnąć kwarciane wojsko Wielkiego Hetmana Koronnego, jeźli się uda, nawrócić Chmielnickiego Bohdana. Ztamtąd porozumieć się z Turkiem i Tatarzynem jedynymi przyjacielami Polski; ztamtąd nareszcie postawić zaporę Rakocemu. Tam tedy Pan Kasztelan Kijowski obrał miejsce zbierania i tworzenia wojska. Pan Kasztelan Kijowski i wojownik i mąż stanu, powiada: — Niech jedni w rodzinnym obrębie

dławią pojedynczo na urwisz wroga i sposobią zapasy; drudzy potworzeni w większe albo mniejsze oddziały, będą przebiegać kraj polski z krańca w kraniec, tępić wroga, żyjąc i krzepiąc się tem co ich bracia miejscowi uzbierali. Obejdziemy się bez pieniędzy i cudzej pomocy; przy dobrej woli zbawimy Ojczyznę. —

Kiedy tak od Baltyku aż do Karpatów; od Moskiewszczyzny po lenne ziemie Brandeburga; od Sławiańszczyzny zawłoszczonej Habsburskim domem, po Budziackie bezludzia i wody Czarnego morza, na rozległym obszarze polskiego państwa wieść Tyszowieckiej konfederacji huła i woła na synów Polski: do broni! na koń! w Krupie, dziedzicznej wiosce Samuela Gnoinskiego dziwne się rzeczy działy.

Krupa niegdyś własność Zborowskich wyszła z posiadania ich rodziny z posażnem wianem Kunegundy Zborowskiej oddanej za mąż za Hieronima Gnoińskiego, matki Mikołaja i Samuela Gnoińskich. Samuel Zborowski ojciec Kunegundy, jeszcze przed owem nieszczęsnem zabiciem Wapowskiego, żył w sąsiedzkich sporach i kryjomej nienawiści z Janem Zamojskim dziedzicem Krasnegostawu. Choć był bogaczem mnogich włości na Ukrainie, na Rusi, w Polsce, a nawet i w Litewskiem Polesiu, na przekorę Zamojskiemu wzniósł zamek w Krupie, półtory mili od Krasnegostawu, taki warowny jakich mało w Polsce. Widać że dzika i ponura była myśl twórcza w stawianiu tego zamku. Na iłowatym wzgórzu wznosił się duży gmach podobniejszy do więzienia zbrodni, niż do okazałej siedziby polskiego pana. Siedmiogrodzkim zwyczajem, siedem baszt półkołowemi cielskami z okręgu muru wystawało, a mur tak wysoki iż krył przed okiem i zamek i czubiaste wieże. W jednej z baszt od południa brama ciasna i wsunięta we framugę; przed murem w okrąg potrójny przekop i potrójny wał; w przekopach wiecznie drzemała woda pod skołtunioną pleśnią, a teraz przyskorupioną lodem; na wałach i murze badyle zeschłego zielska brudziły białość śniegu. Na kopułach wszystkich siedmiu baszt, kamienne tarcze, na każdej wyżłobiona podkowa barkiem na dół, w niej we środku krzyż; nad każdą tarczą hełm z koroną i nad nią jastrząb mający skrzydła do lotu wzniesione, obrócony w prawą stronę; na nogach dwie pęciny, w szponie prawej takoż podkowę z krzyżem trzymający. To jastrzębiec, godło starej szlachty. Zborowskich rodzina miała go swoim herbem; przez pamięć na matkę, przez chlubę z takiego pochodzenia, Gnoińscy zostawili te znamiona.

W tym to zamku Samuel Zborowski banita, odsądzony od czci, i wygnany z Ojczyzny, przemieszkiwał bezprawnie wró-

ciwszy do niej. I gdyby był z niego nie wyjeżdżał, pewnieby marszałkowska władza na nim gardłowych kar nie wykonała; byłby umarł swoją śmiercią, bo ani Zamojski, ani nikt w świecie nie pokusiłby się dobywać Krupiańskiego zamku.

Samuel Gnoiński dostawszy w dziale Krupę, nie mieszkał w zamku; czy to dla tego że nosząc ze chrztu imię dziadka, przykro mu było słuchać lud i szlachtę zowiącą ten zamek zamkiem banity; czy też dla tego że niewesoła była okolica, bo na Ukraińską gonę w około zamku, nie widno ludzkiego mieszkania, nie słychać nigdy gwarnego śpiewu ptastwa, a w murach gnieździły się sowy, puszczyki i kawki; jednak zamek był starannie utrzymywany, i małą załogą strzeżony.

W końcu Września, z Hrubieszowskiego starostwa i z Krupiańskich włości nazwożono warzywa, leguminy i rozmaitej żywności dla ludzi i koni, napędzono różnego bydła i drobiu. Przez kilka dni mnodzy robotnicy pracowali wewnątrz zamku, potem przyszło dwie roty niemieckiej piechoty, każda po sto niemców knechtów, i pięćdziesięciu rajtarów takoż niemieckich. Ci obcy przybysze stanęli załogą i odbywali służbę w zamku; dawni żołnierze prawie wszyscy osiwieli, towarzysze pamiętający jeszcze nieboszczyka Zborowskiego, musieli opuścić stanowisko, do którego już nawykli, a powlec się na starość na nową jakąś służbę. Z całej załogi pozostał tylko na miejscu Węgier Berzewiczy dawny chłopak Samuela Zborowskiego, później piastun jego wnuków Gnoińskich, a teraz Burgrabia Krupiańskiego zamku.

Pan Starosta Hrubieszowski przyjechał do Krupy, obejrzał wszystko, urządził służbę i wyjechał. Za kilkanaście dni powrócił, ale nie sam. W pośród nielicznego ale doborowego orszaku jeźdców, wjechały do zamku dwie kolasy całkiem zakryte.

Od tego czasu Samuel Gnoiński często nawiedzał Krupiański zamek; nie długo bawił, bo obowiązki szwedzkiego Jenerała powoływały go bezustannie do Lublina, gdzie stał na zimowych leżach pułk jego dowództwa. Z zamku zaś żaden niemiec z załogi ani wyszedł za trzeci przekop, ani nikogo nie przypuszczano pod wały. Lud sielski Krupy, Bóg wie co wygadywał o tych kolasach, ale między sobą, i to pod tajemnicą; za granicę Krupy nie wyszły domniemywania, mieszkańce straszliwie się bali wnuka banity; wiedzieli o tem dobrze, że on szczodry na łozy i batogi, a w potrzebie nie poskąpi drzewa na szubienicę, powrozu na szyję.

Zawieja na bożym świecie, ryczałtem śnieg z góry sypie, i z dołu do góry tumany śniegowe się wznoszą, kręcą się wirami, rozsypią się i pylą po zleżałym śniegu, ślizgnąc się błyskawicą

na wsze strony. Śniegowe kiście zamgliły obszar; nic na przestrzeni ziemskiej nie widać; drogi zasypane, wszędzie zdymki i nakoty; człowiekowi nie chciałoby się wyjrzeć z chaty, pies z sioła nie pobiegłby do padła, a Samuel Gnoiński w taką szarugę przyjechał do Krupiańskiego zamku. W bramie nie oddał powitania straży, zsiadł z konia, na ganku rzucił o kamienie węgierską opończę napuszoną śniegiem; zawołał — Berzewiczy! — i wszedł do komnaty zwanej myśliwską. Tam na kominie, jak w hutniańskim piecu ogień się palił, podle komina stało krzesło skórą obite. Gnoiński rzucił się na nie, z butów strzepnął śnieg w komin, czapkę cisnął na ziemię, palcami obtarł wąsy, dłonią pociągnął po szerokiem czole i wyrazistej twarzy. Berzewiczy podniósł czapkę, położył na dębowym stole stojącym po środku komnaty, poczem stanął przed Panem i wyprostował się jak świeca.

Berzewiczy był to człowiek sążnistego wzrostu, wychudły jak skielet, żółtawo-białe wąsy jak u świerszcza rozpierzchały się na strony; głowa łysa gdyby kolano, oczy siwe drobne jak u cietrzewia z czerwoną obwódką, twarz śniada zawędzona; na nim wisiała z wypłowiałym haftem czamara niegdyś błękitnej barwy a teraz Bóg wie jakiej; miasto szpinki przy koszuli widać głęboką jamę w miejscu gdzie się poczynają piersi a kończy szyja; badylowate nogi przybrane w jałowicze hajdawary; buty z rzęsistemi ostrogami, nosy w pół-trąbkę zakrzywione w górę. Gnoiński trochę się zadumał; czy się znużył drogą i szarugą, czy też szukał w głowie od czego zacząć zapytanie, nareszcie spojrzał w oczy Berzewiczemu.

— No i cóż to u ciebie słychać?

— Wszystko dobrze, Jaśnie Wielmożny Panie; i brząknął ostrogami, potakiwanie to żołnierskie.

— Cóż dobrego? czy panna płakać przestała? czy też się udobruchała nareszcie?

— Panna płacze i rozpacza jak dawniej; ale to minie.

— Minie — musi minąć, trzeba raz skończyć z temi szlochami; a stara z córunią?

— Płaczą; a nawet Pani Wojewodzina grozi zemstą męża.

— Mniejsza o te babie pogróżki; jak potrzeba to się wyrąbię w szable z Wojewodą, i na proces pieniędzy mi nie zabraknie; a tenże ksiądz?

— Coraz bardziej się gniewa. Narzeka że jest oszukanym, zdradzonym.

— Oho! Jezuitę oszukać! Stare baje — a wzbroniłeś że im się widywać.

— Rozkaz Jaśnie Wielmożnego Pana wypełniłem, wszyscy na klucz pozamykani w swoich pokojach, nawet obiedwie służące zamknąłem osobno; moja żona usługiwała Paniom.

— Nie można łagodnie, trzeba musem; pójdź, przyprowadź mi księdza. —

Węgier odszedł, a Starosta Hrubieszowski podniósł się z krzesła, i powiódł okiem po dębowych ścianach, obwieszonych bronią, skórami i głowami zwierzęcemi: — Będzie moją żoną, musi być. Joanna Lanckorońska będzie Samuelową Gnoińską, albo ja nie Gnoiński, nie wnuk Zborowskiego. — Przeszedł się wzdłuż, jakaś nowa myśl nasunęła mu się do głowy, uderzył dłonią w czoło: — Ta djablica tu się przywlekła; tu mnie pod bok, prześladować i dręczyć? znam ja ją, gdzie djabeł nie potrafi, to ona zrobi, wszędzie wlezie; ale poczekaj! i Żytkiewicz choć łgarz, ale także djabeł, zrobi swoje. Wmówił w siebie, że cię tu przywiezie żywcem albo trupa twojego. Jutro, pojutrze będziesz patrzyła na mój ślub z Lanckorońską. Znowu usiadł w krześle. A ty kozaku chamie, tobie do szlachcianki, do Hetmanówny posuwać? baty psie, baty, szubienica. —

Drzwi się otworzyły i wszedł ojciec Wota. Na twarzy jego widać że się silił wydobyć na usta uśmiech, nałogowy obyczaj Jezuitów chcących nawracać na dobrą drogę możnego Pana; ale skoro ujrzał dumne czoło Gnoińskiego, wzrok gniewny i ponury, przybrał całą surowość kapłańskiej powagi. Gnoiński skinął ręką wskazując na drugie krzesło: — Siadaj księże. —

Wota stanął, podniósł czoło, na którem się bratały: zuchwała wola dawnych Rzymian, i szydercze uczucie wyższego rozumu, cecha uczniów Lojoli: — Panie Starosto czego żądasz?

— Żebyś przestał ze mną grać komedje, i szczerze się roz mówił. Czego chcesz, mów.

— Panie Starosto, twojego opamiętania się. Wróć córkę ojcu, przebłagaj obrażonych, powróć do cnoty i do powinności względem Ojczyzny, i Króla pana twego. —

Gnoiński zatrząsł się ze złości: — Mnichu, klecho, czyś nie ty z żydem pomógł mi do porwania Hetmanówny, a teraz mnie fałszami chcesz łudzić?

Wota uśmiechnął się łagodnie: — Panie Starosto szanuj siebie, szanuj moją suknię. Raz mówiłem, że rodak, którego przyjąłem jak brata, i dla którego miałem braterskie serce — niech mu Bóg to przebaczy, służył twojemu występkowi. Jabym powinien się uskarżać na podstęp z twej strony. Zmusiliście jednego z ojców, zostającego w waszej mocy, aby do mnie list pisał, a tym sposobem uzyskaliście bezpieczeństwo i przystęp do zamku posłowi waszej zdrady. Panie Starosto, opamiętaj się, popraw się, Bóg przebacza pokutującemu, ludzie winę zapominają temu, kto błąd naprawia. —

Starosta słuchał i milczał, uderzył się w szerokie czoło: —

Księże, ja zdrady nie robiłem. Żyd i Radziejowski wszystko układali, ja szczerze i otwarcie postępuję, i teraz ci powiadam: jutro albo pojutrze musisz ślub mój błogosławić z Joanną Lanckorońską.

— Nie, nie będę błogosławił, bez jej dobrej woli, bez zezwolenia jej ojca.

— Musisz księże! — i podniósł się z krzesła.

— Nie, nigdy — zimno odpowiedział Wota.

— Księże, pamiętaj żem wnuk Samuela Zborowskiego.

— A ja kapłan Boży. —

Zgrzytnął zębami Gnoiński. Suknia kapłańska ciebie nie ochroni, pomyśl księże, pomyśl; ja mam władzę.

— A ja powinność. —

— Mnichu, klechu, ja ciebie nauczę powinności. Jutro albo pojutrze, musisz nas pożenić, albo zobaczysz co mogę i co zrobię. — Cały w złości zbliżył się do Woty, ale widać że trąciło go w serce poszanowanie dla kapłańskiego stanu: — Księże, zrób, proszę, nagrodzę, pomyśl. — Nie czekając odpowiedzi wyszedł; bał się żeby gniew nie zdeptał ostatku mocy nad sobą.

Ojciec Wota za odchlodzącym rzucił jeszcze słowami: — Nie — nie zrobię. Panie Starosto upamiętaj się, błagam ciebie. —

Gnoiński jeszcze z gniewu nie otchnął, zawołał na Berzewiczego: — Prowadź mnie do niej. —

Przeszli sześć komnat, bogato przybranych w adamaszki, w kobierce, w srebro, w złoto, w bukszpany, w hebany, ale trącących odludziem; ale smutnych jak grobowe pałace trupów bogaczy ziemskich. Burgrabia idąc przodem, podzwaniał kluczami, a Gnoińskiemu dzwoniły w uszach słowa ojca Woty. Kiedy we drzwi siódmej komnaty klucz wsadził i zawiercił po zamku, Gnoińskiemu dreszcz nieznany przebiegł po ciele, i jakaś lękliwość do której on nie nawykł, wkradła się w serce.

Drzwi się roztworzyły, Gnoiński wszedł a Berzewiczy został przededrzwiami. I czegóż Pan Starosta zrobiwszy parę kroków naprzód, nagle stanął i spuścił ku podłodze szerokie czoło? — Bo tam w rogu komnaty dziewica tylko co z klęczek wstała; jeszcze łzy perły, znaki gorącej prośby do Boga, spadały po bladem i niby przeźroczystem licu; jeszcze drobne rączki złożone dłoniami do modłów, znaki pokory przed Bogiem: a już błękitnemi oczyma cisnęła wzrok pogardy na Starostę, a już twarz przyoblekła w dumę dziewicy pani.

Tu uderzenie w serce dziewicy zarazem troistego uczucia, pogardy, dumy a może i gniewu, ubarwiły całą jej postawę w jakąś nadludzką krasę, w jakąś nadludzką okazałość: kibić całkiem przyodziana w czarne szaty; krucze włosy bez splotów

bujnie ściekały na ramiona i na plecy, a blada twarz i czoło odbijały przy tym stroju, jak nowotny księżyc na kirze żałobnego nieba.

Milczenie było w komnacie ale nie nieme, bo dusze zagadały przez twarze, przez oczy. Nareszcie Gnoiński podniósł głowę, a co mu może po raz pierwszy w życiu się przytrafiło, twarz miał pokorną. — Panna Hetmanówna przebaczy — zbliżył się, i chciał ją w rękę pocałować.

Lanckorońska w bok zeszła, spojrzeniem obrazy pohamowała śmiałość szlachcica, ale też zarazem zniweczyła jego pokorę; zagryzł usta i wąs Starosta. — Panno Hetmanówno, czas by koniec położyć tej niechęci; zmuszony byłem do kroku za który czuję dziś żal; proszę mi przebaczyć to chwilowe więzienie.

— Wolność i więzienie w Waćpana zamku to mi jedno; każ mnie Waćpan stąd wypuścić.

— Nie mogę; ja pannę Hetmanównę kocham nad życie, nad wszystko; nie masz ofiary której bym dla niej nie zrobił; a tej — —

— Oddaj mnie Waćpan ojcu; ja gniew jego przebłagam, zemsty się Waćpan nie obawiaj. —

Dolna część czoła namarszczyła się u Gnoińskiego; nad nosem między oczyma nabrzękły dwa fałdy zmarszczonej skóry, widać że już tam i we krwi i w duchu u niego się burzy; jednak słowa dobitnie, wolno cedził przez zęby jakby przez gęsty przetak. — Panno Hetmanówno, powtarzam że cię kocham, i że chcę cię pojąć w śluby małżeńskie; razem przebłagamy gniew ojca: wszak mój ród w niczem nie ustępuje rodowi Lanckorońskich, ani dawnością, ani bogactwy, ani pokrewieństwem. Twoje słowo Panno Hetmanówno, a staniesz się Panią moją, tego zamku, i wszystkich moich dostatków. — Tu się zatrzymał i wodził wzrokiem po obliczu dziewicy.

Ona nie zmieniła ani postawy ani wyrazu twarzy: — Lanckorońska nigdy nie będzie Gnoińską.

— Nigdy nie będzie Gnoińską! — zęby o zęby stuknął, a w oczach mu się zaiskrzyło: — Cóż to Gnoiński? za Piastów jeszcze, moi przodkowie szlachtą byli i wysokie urzędy piastowali. Mnie Zborowska rodzi; i mnąż to mają pomiatać, dla jakiegoś chama kozaka? Mościa panno, wiem co się to święci; córka Hetmana, naczelnika rycerskiego koła szlachty, pokochała się w kozaku, w chamie; wstydzić się tego. —

Rumieniec barwiasty zakraśniał na bladem licu Lanckorońskiej; w błękitnem oku zatlił ogien duszy, tem świetniejszy że błyszczał z za przeźrocza łez: — Przestań Waćpan; ja się nie wstydzę; kocham Pana Teterę; nie chłopa, nie szlachcica, ale syna Polski w nim widzę; tu przysięgam przed Bogiem, że jeżi nie Pana Tetery, to niczyją małżonką nigdy nie będę. —

Oczy podniosła ku niebu, jakby na chlubę z tego wyznania miłości, po raz pierwszy w życiu uczynionego, na ukaranie zbrodniczego człowieka; z tej przysięgi, co w nieszczęściu i w cierpieniu rozlała nieznaną słodycz po jej duszy.

Gnoiński przez czas jakiś zaniemiał, tylko twarz mu poczerwieniała i usta drgały. Po chwili uderzył nogą w posadzkę: — Moją Waćpanna będziesz, moją, jeszcze dziś przed ołtarzem — i chciał za rękę wziąść Hetmanównę. Przestrach już ją opanowywał, myślą modli się do Boga, postawą nadrabia odwagę, a nogi klękną w kolanach, i serce jak młotem stuka w piersiach.

— Zostaw mnie Waćpan spokojną. —

Wtem trzykroć razy trąbki zabrzmiały w bramie; to albo wróg zbliża się pod zamek, albo jakiś ważny gość przyjechał. Gnoiński zasłyszał brzmienie trąby: — Jutro, jutro, staniemy przed ołtarzem; gotuj się Waćpanna — wyszedł z komnaty i zamknął drzwi za sobą.

Lanckorońska upadła na kolana: — Boże ratuj mnie! może to mój stary ojciec przybywa wybawić mnie z więzienia i nieszczęścia, może to on! — Coś huknęło jakby strzał, słucha, nic już więcej nie słychać; widać drzwiami jakiejś komnaty mocniej stuknięto jak zazwyczaj; wstała, patrzy przez kraciaste okno, śnieg pada a pada; ociężałe knechty załogi niezgrabnie podskakują na dziedzińcu i bawią się w śnieżki, a do broni się nie biorą. Co się dzieje od strony bramy nic nie widać, bo okna komnaty Hetmanówny wychodziły na tył dziedzińca. Usiadła na krześle, załamała białe rączki, zapłakała niebieskie oczki, i poczęła dumać; nie o swojem nieszczęściu, ale o Teterze: — On może mnie nie kocha, on mi nigdy o tem nie mówił, a ja go kocham. O nie! on mnie kocha, w jego oczach, w jego twarzy to widziałam. —

Biedna dziewica! dotąd oprócz jej własnego serca nikt nie wiedział o jej miłości dla Tetery; choć czasem to uczucie tajemnicze obce oko odgadło, ona o tem nikomu nie mówiła, a bała się nawet i myśleć; teraz po raz pierwszy przyznała się do swojej miłości przed człowiekiem, który nikomu tego nie powtórzy, a jednak jej się widzi, że cały świat wie o tem. Nie smuci się z tego, owszem temu rada, bo już nabyła wolności myślenia o kochanku; i teraz przed grożącem nieszczęściem, myśli o nim, dla niego chce żyć; marzy, że on ją ocali, i nadzieja zawitała do jej duszy, że Bóg ją wybawi na to aby kochała i była kochaną. Takie to dziwne serce dziewicy.

Gnoiński nie rad z przybyłego gościa; to Izrael pułkownik szwedzkiego Karola, przyciągnął ze swoim pułkiem i z pułkiem Gnoińskiego do Krupy, z doniesieniem, że konfederacja się zawiązała, i panowie konfederaci już buszują w Horodle, w Drohiczynie i w całej Hrubieszowszczyznie. Samuel Gnoiński

zgniewał się tą wieścią, ale jako Jenerał szwedzki musiał iść na uspokojenie rozruchu. Przed wyjazdem zawołał na osobność Berzewiczego: — Słuchaj stary, tak jak było, tak niech i będzie, na klucz zamykać wszystkich. Pamiętasz dobrze tego Żytkiewicza?

— Pamiętam Jaśnie Wielmożny Panie, tego rudego, zyzowatego, kuternogę szlachcica.

— Tego samego; jak tu przyjedzie, zrobić co on ci powie; tylko słuchaj, wszystko co ci powie — i wyszedł, bo Izrael na niego czekał.

Berzewiczy pokręcił głową, widać nie w smak mu to zaufanie pańskie w szlachcicu kuternodze, zyzie i rudym, ale on nawykł od dawna do służebniczego przykazania: że co pan każe sługa musi; nie rzekł ani słowa, i przeprowadzał Pana aż do bramy, i choć już bramę zamknięto, patrzał przez dyle jakby tamtędy mógł widzieć Pana, którego piastował dziecięciem.

Dwie doby upłynęło od nagłego przyjazdu i jeszcze naglejszego wyjazdu Pana Starosty Hrubieszowskiego ze swojego zamku; dwie doby upłynęło, a w losie krupiańskich więźniów żadnej zmiany. Panna Joanna tęskni, duma, marzy, drży przed nieszczęściem, a wygląda końca nieszczęścia. Słowa nie przemawia do starej Węgierki, łzami oczki zalewa, piersią ciężko wzdycha, a ciągle modli się do Boga za sobą, a może więcej za drugich.

Wileńska Wojewodzina ośmiotygodniowem więzieniem gryzła się i niecierpliwiła, ale nie upadała na duchu. Jak pani do poddanego, rozkazującym głosem przemawia do Berzewiczego i jego żony. Przez nich Gnoińskiemu grozi zemstą męża i swojego rodu; ale Węgier i Węgierka jakby zamówieni czarem jakim, jakby z polskiego języka tylko trzy słowa umieli, ciągle odpowiadali: niewiem, dobrze, nie można; i więcej nic. Posluga szła swoim torem, bez najmniejszej zmiany; co było wczoraj, to jest dziś, i to będzie jutro. Panna Anna choć smutna, jak może to pociesza matkę, i sama się pociesza myślami o ubiegłych czasach, i o tych co kiedyś tam przyjdą, a w jedne i w drugie czy mimowolnie czy umyślnie zawsze się nasuwał Staroście Zakroczymski. I matka i córka nie wiedziały o ostatniej bytności Gnoińskiego w zamku; one z okien komnaty więzienia, nie widziały tylko płaty prószącego śniegu, tylko obmarzłe sople na żelaznych kratach okna; nie słyszały, tylko lekkie potrzepywanie śniegu w szyby, tylko w godzinę odwilży jednostajne pluskanie kropel wody, spadających z dachu na kamień dziedzińcowy.

W duszy Ojca Woty cierpko i gorzko, boli go zdrada ro-

daka, boli nawet podejrzenie, jakie na niego spada, ale niewinność sumienia wlewa odwagę; postanowił, że nie złamie kapłańskiego obowiązku, nie wzdryga się przed katuszami i śmiercią; gotów gromić, potępiać, przebaczać i nawracać, byle służyć kościołowi, a obyczajem jezuickim choć sam na sam ze czterma ścianami w komnacie, przy dręczących myślach, zmusza twarz do układnego uśmiechu i postawę stroi pokorą, choć może resztki dumy do duszy od czasu do czasu zaglądają.

Dwie służebne zamknięte w wygodnej izbie, nie bardzo się smuciły tą rekolekcją; było co jeść, co pić, czasu dość do próżnowania, a nic do roboty; rozmawiały, jak w drodze z Lanckorony do Kalwarji napadali na nich Szwedzi, co to był za bój okropny, że aż ze strachu pomdlały; po otrzeźwieniu ujrzały się na koniach w objęciach Szwedów; jak przyjechał Pan Samuel Gnoiński i niby ich od Szwedów odbił, dostarczył dwie kolasy i zawiózł do tego przeklętego zamku. Jak z początku przyjmował suto, obiecywał za pierwszą możnością odprowadzić sam do Lanckorony; i grzecznościami chciał pozyskać serce Panny Joanny. Po kilkunastu dniach skądeś przyjechał chmurny, służebnej Panny Hetmanówny wypytywał o Teterę, kto on taki? — skąd? — jakie jego związki z Hetmanem? rozmawiał coś długo z Wileńską Wojewodziną i z Panną Lanckorońską, ale nie przy służących; widać że tam się mocno zagniewał, bo dla gości z zamku swojego kazał zrobić więzienie, i od tego czasu coraz gorzej a gorzej. Wnioskowały co to będzie, a na przeplatanie rozmów, za każdą wydarzoną zręcznością wyrządzały psoty starej żonie Berzewiczego.

Nad wieczorem drugiego dnia tak zelżało na dworze, iż śnieg pod stopami tajał; w około zamku i zabudowań woda strumykami ciekła, a krople deszczu mięszały się do płatów śniegu. Przed północą śnieg ustał, niebiosa się wypogodziły, księżyc zasrebrzał, zaiskrzyły się gwiazdeczki, i wziął mróz krzepki, mróz moskiewski; drogi i ścieszki lodem się poskuwały, śnieg się pokrył skorupą szronu, drzewa i badyle obmarzły gołolodziem. O świcie zając z żeru jak sankami po wierzchu sunął, słupił, dwójki, trójki, zaskoki robił, a na skorupie śniegowej nigdzie ani śladu łapki nie zostawił. Objedzone wilczysko wlekło się do boru, rozczepierzając palce, gdzie nie gdzie tylko jak w żelazo w szron złapał łapę, żywo wyciągnął i szerść aż do skóry nadszmulał. Liszka wykacza się po śniegu, pyskiem w górę koziaki wyrzuca, ogonem jak wiewiórka się pokrywa, ludzi i psów się nie boi, zbliska się im przypatruje, a spłoszona pomknie w bok kilkaset kroków, stanie, obróci się i nasroży. Kuropatwy ćwierkając drypczą truchcikiem pod stodoły i do dróg; i drobne ptastwo hurmami pod mieszkania

ludzkie się zlatuje. W lesie cietrzew kamieniem przypadł w szuwar; sarna w miejscu stoi i gryzie łozę. Dzik ryje pod kępiną, śnieg rozgarnia, kroku nie ruszy, a łoś na trzęsawinie chrupocze skistniałe chmyzy. Myśliwy zamknął w psiarnie charty i gończaki, a jął łatać siatki na ptastwo, rychtować narty, strzelbę nabijać, i krzesać dębową pałkę.

Ze świtem powiał wiatr mroźny od północy, smolił w oczy i w uszy podróżnych; słońce weszło błyszczące, czerwone, jak gdyby się świeżą krwią oblało, albo rubinem przystroiło oblicze, ryczałtem rzuciło na świat miotły promieni; gdzie spojrzeć okiem wszędzie brylanty, wszędzie się łamią i migocą różno-barwy lśkniącego światła. W taki to dzień brylantowy, a taki mróz trzaskący, przed przekopy krupiańskiego zamku zajechały parokonne sanki.

Na nich siedziały dwie niewiasty, kierezje z szarego sukna podbite lisami, i na głowie czepce wiewiórczem futrem okładane, a tak zakryte, że ledwie oczy widać. Szlachcic co powoził, miał na sobie opończę z wilkami, i baranią kapuzę z uszami; szkapy podereszowaciały od mrozu, a choć po zapadniętych bokach widać że nie jedną milę bez popasu upaliły, podkowami zmarzły śnieg nakuwały, i parły się w cugle żeby prędzej do bramy się dostać. Szlachcic z za pazuchy wydobył róg i zadął po swojemu, brama wnet się otworzyła i obmarznięty most na śnieg klapnął, szkapy w kłus wciągnęły sanie na dziedziniec, przed zamek.

Szlachcic krzyknął na niemieckiego knechta: — Milion pareset bomb, hir szpicu, nem pferdę — i ręką pokazał żeby wziął konie za lejce, sam wyskoczył z sani, wysadził obiedwie niewiasty, a widząc że go Berzewiczy wita z jakimś rodzajem poszanowania, kapuzę poprawił: — Jak się masz stary madziarze, milion pareset bomb, Jaśnie Wielmożny Jenerał Starosta gdzie jest?

— Wyjechał Wielmożny Panie.

— Samuelek skrewił, nie dopisał — pocmokał ustami — a kiedy przyjedzie i co ci mówił?

— Nie wiem; kazał to wszystko zrobić co Wielmożny Pan powiesz.

— No, to dobrze — i z partesem w sztykurlawych ukłonach wprowadził obiedwie niewiasty do komnaty, a sam jeszcze wrócił do Węgra: — Milion pareset bomb Madziarze, jeść i to gwałtu; jakem wczoraj jeszcze powieczerzał z Duglaskim, wiesz tym Jenerałem Karolka, od tego czasu nic w pysku nie miałem. Myślałem że Samuelek na mnie ze śniadaniem czeka; tylko wystąp mój madziarku, million pareset bomb — dodał ciszej — to wielkie osoby może i królowe.

— Zaraz Panie — i chciał odejść.

— Czekaj madziarku; konie napaść, bo to kto wic czy jeszcze dziś nie wypadnie za Samuelkiem gonić. —

Kiedy wszedł do komnaty, jedna z niewiast siedziała przy ogniu, druga stała przy ścianie i wpatrywała się w karabelę wiszącą na niej; była to ozdobna karabela, z herbem Warnia, i z drogiemi kamieniami, starodawny klejnot rodziny, wiodącej swój początek od czasów, kiedy Gnoińscy zwali się Nasalami; jak wieść niesie pierwszy ją nosił ów sławny Żegota Burgrabia Krakowski, jeden z najznamienitszych przodków Gnoińskich. Starosta Hrubieszowski przypasywał tę karabelę w dnie wielkich uroczystości, kiedy był u królewskiego dworu i kiedy jeździł w zaloty. Czy misterność roboty, czy drogie kamienie, czy też przypomnienie jakie, tak zwabiły uwagę owej niewiasty, iż wcale nie dawała baczenia na rozmowę Żytkiewicza z drugą niewiastą: — Panie Juljanie przyrzekło się, trzeba dotrzymać.

— A coby było gdybyśmy tu zastali Samuelka?

— To byśmy siedzieli.

— Oj nie byłaby to śliczota z nim siedzieć, milion pareset bomb, to djabeł — i dodał zcicha: — Marcesieńku, a będzie buziaczek?

— Zobaczemy.

— Panno Marcjanno, będziesz ze mną szczęśliwa, jak dziś dzień, Herubek wyrobi dla mnie u Karolka kasztelaństwo jakie zechce; a gdybym nawet milion parest bomb, pokłócił się z niemi przez tego Samuela, co mi całe moje mienie zabrał, to mi Jurko wszystko zrobi.

— Co ci jest Panie Julianie? cóż Pan Gnoiński ci zabrał?

— Co? — jeszcze się o to pytać; sto tysięcy cekinów przysłanych dla mnie przez Sułtana ze Stambułu zabrał i jeszcze mnie podpisał; nie zapomnę mu ja tego. Milion pareset bomb, złodziej, okradł mnie, oszukał. —

Na te wykrzykiwania niewiasta wglądająca się w karabelę Żegoty, obróciła się i przystąpiła do komina; w jej białej i pięknej twarzy, dziwne uczucia zarazem się malowały, smutek osiadł na gładkiem czole, krasa lica niepokój serca objawia, pół-uśmiech ust znamienuje lube przypomnienie, a piwne oczy czasami błyszczą ogniem namiętności. Żytkiewicz z uszanowaniem jak mógł wyprostował się przed nią. Ona słodkim głosem przemówiła: — Panie Żytkiewicz a cóż, może już czas?

— Jasna Pani zaraz, milion pareset bomb, ten madziar nie daje do stołu.

— Obeszlibyśmy się bez jedzenia.

— Jasna Pani, ja zaraz skończę, milion pareset bomb, przewrócę dom tego Samuela — i wyszedł. —

Po chwili milczenia starsza niewiasta wzięła młodszą za

rękę: — Pani! nie narażaj się na niebezpieczeństwo, jedźmy ztąd, zaklinam Panią.

— O! nie, ja żyć nie mogę, niech co chce się stanie, zrobić muszę co postanowiłam. Ale ten Pan Zytkiewicz żeby nas nie zdradził?

— Niech Pani będzie spokojną, on już wmówił w siebie ze Pan Gnoiński zabrał mu pieniądze i chce się mścić. —

Wrócił Żytkiewicz, zapraszał do stołu, i dodał: — Już mam, milion pareset bomb, co się przyrzekło, to się dotrzyma. —

Po przekąsce Żytkiewicz kazał Berzewiczemu dać sobie klucz do komnaty Panny Lanckorońskiej. Węgier ze ślepem posłuszeństwem wypełnił rozkaz, bo tak mu przykazano. Kuternogi szlachcic zaprowadził tam młodszą niewiastę, sam kazał konie zakładać, i baraszkował z dobrą połgodzinę to z Węgrem, to ze starą niewiastą przy kominie.

Konie już zaprzężone stały przed gankiem, kiedy wróciła młoda niewiasta; krok jej był nieśmiały i lękliwy, twarz obwinęła gęstym rąbkiem, czepiec nasunęła na oczy, widać żeby się od zimna ochronić, oddała klucz Żytkiewiczowi drżącą ręką. On powiedział — jedźmy, już gotowe. — W saniach dał klucz Berzewiczemu: — Masz, milion pareset bomb, w takie zimno gonić za tym Samuelkiem to to nie smaczno, ale cóż robić, kiedy tak potrzeba. — Wsadził niewiasty do sani, sam siadł i popędził konie.

Berzewiczy w myśli do djabła go odesłał i rad że się pozbył kuternogi, a skoro bramę zawarto poszedł do drzwi komnaty Panny Lanckorońskiej, popróbował czy dobrze zamknięte: — Dobrze — odemknął drzwi, spojrzał w komnatę: biedna dziewica w czarnej szacie jak zawsze, klęczy przed łożem, i twarz na łożu skryła.

W parę godzin później żona Berzewiczego przyniosła jadło i napój, zastała Pannę Lanckorońskę klęczącą, nakryła do stołu i odeszła; przed wieczorem jeszcze raz wróciła, jadło było tknięte, woda nadpita, a Panna Lanckorońska jak klęczała, tak klęczała. Nic to Węgierkę nie zdziwiło: przyszedłszy do męża powiedziała: — Klęczy, płacze i modli się jak zawsze. —

Stary Węgier nie słuchał tego gadania, kręcił głową, zacierał ręce: — Basam teremtem! co ten kuternoga zrobi z temi kobietami, gdzie on u licha poleciał?

Wieczorem mnodzy jeźdźce bezładem przybyli do zamku; to Pan Samuel Gnoiński, starszyzna szwedzka i kilkuset rajtarów, cały dziedziniec zawalili. Popłoszone Szwedy szwargocą — der tajfel, der konfederat, der kozak — i Bóg wie jakieś

miana swarliwego brzmienia; jakby się między sobą kłócili, i za lada chwilę mieli się wziąść za łby. Kilku Polaków ze służby Gnoińskiego opowiadało, że konfederaci złączyli się z jakimiś kozakami, i pod Horodłem uczciwie wytrzepali skórę Szwedom, a choć i sami dostali po tebinkach, jednak się cieszyli, bo i w winowajcach odezwała się krew polska. Zcicha nawet urągali się ze Szwedów: — Znaj psie co to Polak. —

Ze starszyzną przyjechał jakiś Ksiądz, czy gwałtem, czy dobrowolnie przyprowadzony; nie wiadomo, dosyć że przyjechał. Samuel Gnoiński nim z konia jeszcze zsiadł, porozsyłał podjazdy na różne drogi, kazał co żywiej knechtom załogi wziąść oszczepy i rozbijać zmarzły śnieg w przekopach: widać spodziewa się napadu na zamek. Potem wszedł do zamku, gości zapraszał do komnat, kazał dawać jadła i napoju, a sam długo na stronie rozmawiał z Berzewiczym, tylko słychać było głośniej wymawiane słowa: — Opętany — co on z niemi porobi — bierz go djabli, byle ich się pozbył — po co u licha tam chodził? — Wypuścić — niech przybiera panią — znieść weselne szaty nieboszczki matki — oświecić kaplicę. — I wiele innych słów których nie słychać było brzmienia.

Spojrzał szybko za odchodzącym Węgrem, jakby rzutem oka chciał mu dodać pośpiechu, i wrócił do gości: — Panowie towarzysze, spotkała nas zła przygoda, poprawimy się. Dziś zapraszam was na mój ślub z Panną Lanckorońską. Księże Proboszczu Horodelski, nie będziesz żałował swojego trudu, Gnoińscy nie skąpi. —

Odpiął od boku szablę, a na jej miejsce przypasał karabelę Żegoty: — Jutro może po dzisiejszem zwycięztwie, Tetera Starosta Bobimowski, zechce nam do dobry dzień zagrać; pokażemy chamowi, kozakowi co to Gnoińscy Nosale. — I szeroką dłonią tłukł w karabelę, aż jaszczur pochwy zachrzęszczał a klinga zadzwoniła. Szwedzi porozdziawiali gęby, Ksiądz Proboszcz Horodelski pozierał na strony i myślał jakby tu się wykręcić.

Wrócił Berzewiczy i na ucho powiedział Panu: — Ubiera się. —

Rozjaśniało ponure lice Gnoińskiego: — Prędziej, prędziej, powypuszczaj wszystkich, proś niech będą świadkami mego ślubu, jeźli chcą; jeźli nie, to się obejdę; tylko żywiej, czas drogi. Księże, do kaplicy — i spojrzał księdzu w oczy, ale tak, że już ksiądz drugiego proszenia nie czekał, wstał i poszedł do kaplicy.

Gnoiński niecierpliwy nie przysiadł; chodził po komnacie, nie odpowiedział na to co Szwedzi do niego mówią, i stukał w karabelę, jakby ślub chciał wystukać prędzej. Nie mógł dotrzymać, zwrócił się i szedł do komnaty narzeczonej ofiary;

w samym progu zdybał służebnę panny Lanckorońskiej, ta mu rzekła: — Już ubrana. —

Gnoiński zdjął z palca sygnet złoty z brylantami i dał jej w odpowiedzi.

Wszedł do komnaty; stoi dziewica cała w bieli, powiewna szata w fałdach spływała ku ziemi, śnieżna zasłona kryła oblicze, na głowie biały wianek, i z pod śrebnej siatki krucze włosy w splotach spadają na ramiona; i tylko w kącie jedna lampa w alabastrowej urnie, mdłem światłem płonie, i słania się po komnacie tą półjasnością lubą miłości, słodką roskoszy. Gnoiński ujął za rękę dziewicę, ona mu jej nie wzbrania, tylko drży jak liść osiki; ucałował ją i rzekł: — Panno Joanno będziemy szczęśliwi, zrobię co każesz. —

Ona drgnęła i wyrwała mu z ręki swoją rękę, on jej podał ramię: — Chodźmy, na miłość Boga chodźmy — i prowadził przez komnaty; dumny, szczęśliwy, nie widział nic przed sobą i koło siebie, tylko oblubienicę gwałtem wiedzioną.

Darmo Wojewodzina Wileńska zachodzi mu drogę: — Panie Starosto opamiętaj się, nie dodawaj zbrodni do zbrodni. —

Darmo panna Anna woła: — Joasiu! Joasiu, wyrwij się, uciekaj! —

Na darmo ojciec Wota surowy głos podnosi: — Człowieku bez wiary i czci, potępienie na ciebie. —

Po komnatach rozlegają się wyrazy potępienia, a on idzie, stukiem karabeli je głuszy: czy siła jego, czy strach ciągnie oblubienicę, bo i ona tak szybko zda się kroczyć jak on. Przeszli na półoświecone komnaty, Szwedzi i służba zatrzymali księdza Wotę i Wileńską Wojewodzinę z córką. A ślubna para weszła do kaplicy, a za nia liczni świadkowie.

Proboszcz Horodelski stał przy ołtarzu, w żałobnym ornacie; na prędce ten dostano, i w pośpiechu nikomu na myśl nie przyszło aby go zmienić; twarz księdza była blada, przestraszona, jak gdyby z przymusu miał oddawać ostatnią posługę zadżumionemu panu. We drzwiach kaplicy dwóch dworzan Gnoińskiego, dobrych herbowych szlachty nieżonatych ludzi podało rękę oblubienicy, a pokojowa Marta wzięła ramię Gnoińskiego; to wszystko, aby nie chybić starodawnemu zwyczajowi, i tak przyprowadzono oblubieńców przed ołtarz.

Klękli na kobiercu; już ksiądz kończył czytanie przedślubnej modlitwy; z lekkim szmerem oblubienica odchyliła połowę zasłony, oblubieniec spojrzał jej w twarz — i czegoś tak nagle zadrżał, poczerwieniał, pobladł i zerwał się z kobierca — przeklęta! — silną ręką pchnął oblubienicę.

Ona osunęła się na kobierzec: — Samuelu! Samuelu!

Gnoiński skoczył jak szalony, w Bożym domie dobywał karabeli — zdrada! przeklęci! —

Wtem strzały ręcznej broni huknęły przed bramą; to niespodziane wiwaty ślubne; na dziedzińcu zawrzeszczały krzyki polskie i niemieckie: — Konfederaci! Konfederaci! — to piosnka ślubna.

Gnoiński gromkim a ucinkowym głosem zawołał: — Pilnować przeklętą; za mną, za mną! — Wyskoczył z kaplicy, za nim Szwedzi i dworzanie jego służby.

Księdzu proboszczowi z rąk wypadła księga modłów, drżał i stał jak w osłupieniu.

Oblubienca zbielała na twarzy jak jej szaty, nie mogła się podnieść z kobierca, omdlałem okiem wodziła po kaplicy i słabym głosem wymawiała: — Samuelu! Samuelu!

Węgier z Węgierką stali w miejscu jak dwa słupy, nie wiedzą co robić, co myśleć nawet. Na szczęście drzwi się otworzyły i wpadł ojciec Wota z Wojewodziną, a za niemi panna Anna, wołając: Joasiu! Joasiu!

Wszyscy troje stanęli przy oblubienicy, zdziwienie na ich twarzach: — Pani Podkanclerzyno, a panna Joanna?

— Ocalona! ratujcie mnie — gdzie on jest? prowadźcie mnie do niego. —

Podnieśli ją i prowadzili do komnat; tam dawali ratunek niewieście pięknej w rozpaczy, nawet godnej użalenia przez swoją namiętność i swoje nieszczęście; tam służebna panny Lanckorońskiej opowiadała, jak zastawszy w miejscu swojej Pani Panią Radziejowskę, przybierała ją w ślubne szaty, i jak na jej prośbę zachowała aż do końca milczenia o tem.

Na dziedzińcu ruch i zgiełk; podjazdy dały znać, że Konfederaci zajęli Krupę i ciągną ku zamkowi; podjazdy ledwie uciec zdołały strzelając po za siebie. Gnoiński wściekły, szalony, chciałby co prędzej swoją złość, swój gniew spędzić na kim bądź: niewolnik rozburzonej krwi, dosiadł konia i z rajtarami i z konną służbą wyskoczył w pole. Klął djablicę, babę, rozwódkę, zaprzysiągł Żytkiewiczowi szubienicę, a konfederatów wszystkich przyrzekał co do nogi wyplenić. Szwedzki dowódca załogi, wzdłuż murów kazał gęsto łuczywa pozapalać, przyciągnąć sześć harmat pod bramę, żeby swoim cofanie się zabezpieczyć i pracować koło przerębu śniegu. Silnie knechty oszczepami, siekierami rąbią skorupę śniegu, a robota tępo idzie, setnej części nie zrobili, a co zrobią to śnieg marznie, tak iż po wierzchu chodzić snadno; a takie zaspy od północy nawaliły się pod mur, iż na nie wdrapać się można, jak pod strome wzgórze.

Przy blasku łuczywa, przy bieliznie śniegu, przy księżycowem świetle, widać daleko na wsze strony; długim sznurem po drodze od zamku kłusuje rajtarja; pod Krupą po polach, czernieją mniejsze i większe kupy, jakby gaje jakie: zdaje się że ruchome; czasem z nich niby jeden albo dwóch jeźdców na

bok odskoczy, i przy księżycowem świetle, zarysują się olbrzymią postacią na śniegu, to złudzenie oka.

Tu z sielskich wrót wysunął nie bardzo liczny orszak, ale w czwał drogą sadzi; rajtarja ku nim z kopyta posunęła, starli się, strzały pukają, widać jak machają jeźdce szablami, jak się tłuką. Konie zepchnięte z drogi chlustają po śniegu, jeźdce z koni zlatują, walą się konie przez łeb, tłumnie się mięszają i czubią. Wszystko to widać.

Przyparła rajtarja konfederatów, bo cała czereda wczwał posunęła do sioła, taszczy się jak kometa ogoniasta, i gubi za sobą jeźdców bez koni, konie bez jeźdców; zostawia na drodze trupy ludzkie końskie, nareszcie skryła się w siole i omamione ucho zdaje się słyszeć ztamtąd wrzawę krzyku i jęków, szczęk broni, koni tentent.

Tymczasem owe gaiki rozrzucone po polach, z miejsca ruszyły, i leniwemi skokami, kopały się śniegiem ku drodze, a dostawszy się tam, w czwał w przygony sadziły ku zamkowi.

Szwed dowódca zrozumiał co to ma znaczyć, kazał bramę zawrzeć, działa wyrychtować, knechtom wziąść się do broni, ale jeźdce stanęli w oddali armatniego strzału, coraz nowe kupy się okazywały, nawet od północy z za lasu wysunął liczny hufiec, i ciągnął drożyną; tam nie tylko jeźdce ale i parokonne sanie, może armaty ciągną. Szwedzi się zalękli, dowódca kazał z dział wypalić na hasło że zamek w niebezpieczeństwie.

Jakiś jeździec na ciemnym koniu uwija się przed hufcami, ręką rozmachuje, widać rozkazy daje; wnet dwa oddziały jeźdców nazad zwróciły się ku siołu, z tysiąc kroków poskoczyły, stanęły jakby ztamtąd czekały wroga. Jeździec wódz pomknął w pole, choć po zaszronionym śniegu, koń dziarskiemi susami sadził, i wtenczas kozaczy kołpak ulatywał nad czapką, a burka z ramion w powietrze się zrywała. Stanął na małym wzgórzu i twarzą obrócił ku zamkowi: rozpoznaje skąd ma uderzyć na mury.

Niemce szmigownice tam wyrychtowali, palnęli kilkanaście razy: on się schylił jakby splunął, postał trochę, zawrócił koniem i żywo przyskakał do hufcu; musiał w swojej głowie wszystko ułożyć, bo migiem jeźdce złazili z koni, odpasywali szable i zaczepiali za kule siodeł, coś za pasem poprawiali, widno atagany i pistolety, bo to kozacza wiara; jedni potrząsali w ręku długiemi spisami, drudzy wzięli z sani tarcice, drabiny i kawałki drzewa, podzielili się na cztery hufce, i idą czterema stronami.

Śniegiem szli pod zamkowe mury, szli cicho bez wrzasku, tylko śnieg chrupotał, mocował się, pękał i miejscami łamał. Sam wódz wiedzie hufiec od północy, po przodzie idzie, ma-

chami szabli znaki daje, a za każdym machem, burka się odwija i pływa po rosłej i gibkiej postaci. Choć twarzy nie widno, musi to być młodzieniec krasiwy, bo zwinny i czepki jego ruch, bo śmiała i pohoża jego postawa. Mróz tęgi a Szwedom gorąco, w piętach cierpnie; przed oczyma kozacy suną, a z za pleców strach dmucha; pod hełmami włosy się jeżą, pod pancerzem zlęknione serce skacze; a jednak palą z armat, ze szmigownic i ze szturmaków: hukiem dodają sobie otuchy, a dowódca każe rozdawać miód, wódkę i wino między knechtów, by w nich rozognić ochotę do boju. Piją i strzelają.

Już kule zaczęły dolatywać do hufców kozaczych, nie jeden w śnieg się zwalił i burką obwinął jakby zabierał się spać na nocleg; nie jeden spluwał, śniegiem zakładał ranę, i wlókł się jak mógł za hufcem; ale kozacy idą, ze śmierci drwią po swojemu, po kozaczemu. Już są nad przekopami. Szwedzi bezprzestannym ogniem walą, kozacy rzucili na przekop deski i drabiny i jak po kłodach przeszli; nie jeden z nich ołowiem pocałowany, prysnął w śnieg, albo tacza się po szronie.

Duchem zebrali drabiny i deski i duchem przeszli drugi przekóp: już Szwedzi nie palą z harmat, tylko do ręcznej broni się wzięli, a kozacy tuż pod murami, drabiny podstawiają i drapią się.

Od północnej strony wódz kozaczy, po zaszronionym zdymku na mur skacze, utknął się i podniósł, i już na murze; krzyknął: — Sława Bohu! — w prawo, w lewo, siekł szablą; miecze knechtom z rąk powytrącał, i jednego tak po pysku zamalował że aż się przewrócił z muru w śnieg do góry nogami.

Za przewodem wodza, i kozacy na mur wskakiwali; krzyczeli: — Sława Bohu! i dźgali spisami.

Szwedzi się bronią, uciekają i szwargotem wrzeszczą; kokozacy nie rozumiejąc czy grożą czy się proszą: kolą, sieką, a wódz woła: — Hej mołodcy po naszemu! i jednem cięciem szabli Szwedowi łeb odmiótł z karku.

Już ze wszystkich hufców kozacy na murach, o ziemię rzucili spisy, a ataganami się porają. Szwedzi widzą że nie masz rady z kozakami, na dziedziniec do zamku, baszt się kryją. Wódz znowu zawołał: — Bramę rozsadzić, w zamku szanować niewiasty, starce, i sam ruszył do zamku.

Na ganku zamkowym przed zawartemi podwojami, jak posąg kamienny, jak kościotrup żołnierz ztamtego świata, bez czapki, z łysą głową, z dobytą szablą, stał Berzewiczy. W jego oczach po pod gankiem Szwedów kłuto, a on ani się ruszył, ale kiedy zobaczył że wódz kozaczy do drzwi pędzi, szablę nastawił jak do cięcia; wódz machnął, i szabla Węgra na dwoje

bryznęła. Węgier nogi rozkraczył przed drzwiami i złomkiem szabli się zasłonił. Wódz kozaczy tylcem szabli złomek mu wytrącił; lewą ręką porwał za piersi, podniósł trochę, szamotnął i cisnął z ganku między kozaków, wołając: — Dawaj kłucz. —

Węgier ani pisnął, ani ust otworzył, skonał w uściskach kozaczych, nie dawszy klucza; darmo przy trupie szukali, musiał gdzieś dobrze zachować.

Kozacy piersiami, kułakami naparli we drzwi, z trzaskiem i ze skrzypem podwoje wyrwały się z zawiasów i runęły w sień.

Wódz kozaczy skoczył do pustych komnat, za nim kozacy; w czwartej komnacie zdybał ojca Wotę. Wota go poznał, bo zawołał: — Pan Starosta Bobimowski! a za drzwiami odezwały się kobiece głosy: — Pan Tetetera! Pan Tetera! nasz zbawca! —

Tetera kazał stanąć kozakom, a sam wszedł do komnat. Zdziwiony i rozradowany widokiem Wileńskiej Wojewodziny, zapytał: — A panna Hetmanówna? — Jedno słowo — nie ma — w niwecz obróciło całą radość kozaka, o mało go z nóg nie zwaliło. Słuchał gwarnego opowiadania o tem co się się stało, ale chmurzył czoło, nawet na słowo nadziei nie zaweselił oka, klął w myśli siebie, czemu nie odgadł i przedwczoraj nie dobywał zamku.

Bramę rozsadzono; widziano jak z sioła Krupiańskiego jakiś hufiec wybiegł, nie starł się z kozakami, ale po bratersku się połączył i razem ciągnął do zamku; dano znać o tem Teterze, dano znać i o tem, że jeszcze garstka Szwedów broni się po basztach; Tetera odpowiedział. — Wykłuć kiedy się bronią! — On teraz nie w stosie przebaczania. Kozakom też tego trzeba, szatnęli się i wszystkich wykłuli, i tych co się bronili, i tych co broń rzucali; a dla uczczenia dowódcę szwedzkich knechtów, na pół żywego powiesili na kruku od studni.

Hufiec co przybył z Krupy, był złożony z panów szlachty, samych Konfederatów; na ich czele jechał stary wyga wojenny, Krzysztof Wąsowicz Starosta Żytomirski, podkręcał zmarzły wąs, bundiuczył się na koniu: — Dobrze panowie bracia, tęgoście się popisali, nie powstydziłbym się was pokazać i panu Kasztelanowi Kijowskiemu. Nie w jednej rozprawie byłem z bisurmanem, z niemcem, i z moskalem, a jak mi Ojczyzna miła, nie widziałem żeby się gdzie lepiej bili jak Waćpanowie, i nie chcę widzieć lepiej; bo to być nie może.

Szlachta po zaprawie w boju, rosła w dumę pochwałą naczelnika, i przyrzekała sobie w myśli: popiszemy się jeszcze lepiej. Wykryta to prawda przez Bisurmanów, że chwaląc polskiego szlachcica, snadno się robi z niego bohatera.

Wąsowicz pochwalał dalej: że dobrze na zasadce w siole stali, że ci co na zaczepkę poszli dobrze zrobili, tylko za nadto w bój się wdali, i zmykali nieszczerze. Wróg się zacietrzewił, to nam posłużyło, bo Waszmościowie djable ociągaliście się, widać że nie w smak wam pokazywać plecy nieprzyjacielowi; potem kiedy z opłotków wypadliśmy, i rozbiliśmy chwała Bogu to szmatłajstwo, Waćpanowie goniliście i biliście na przepadłe, a ja krzyczałem stój! a nużby tam była zasadzka na nas. Waćpanowie wiedzcie o tem, że jak dowódca krzyknie stój! to w duch stanąć w miejscu, choćby dziesięciu Szwedów z pod Waścinej szabli się wymknęło; taka powinność żołnierza, ale to fraszki. Z Waszmościów całą gębą żołnierze. — Tak szczwany wojak, między pochwały wtykał nauki, a szlachta ciesząc się, słuchała i brała na rozum, żeby tak robić, jak naczelnik mówi; a potem z kolei konfederaci opowiadali kozakom, jak wystrzelali i wysiekli rajtarów szwedzkich; ledwie kilkunastu na nasienie uciekło, gdzieś tam ku Lublinowi.

Większa część dworzan Gnoińskiego, posłyszawszy krzyk ojczystej mowy, przeszła do konfederatów i z nimi razem biła Szwedów; mówiono, że Pan Starosta Hrubieszowski ranny, uprowadzonym został przez Szwedów.

Wjechali do zamku po spuszczonym moście; szlachta kozakom, kozacy szlachcie, winszowali wzajem zwycięztwa, z serdecznemi i hucznemi okrzykami.

Wąsowicz zapytał o Teterę i wszedł do zamku. Zastawszy go w komnacie z tylą niewiastami, tak się zdziwił stary, iż zapomniał wąsa pokręcić. Na powitanie pocałował w rękę Wojewodzinę, Wojewodziankę, Panią Podkanclerzynę nawet, której nie znał; byłby cmokał w łapy i służące, ale te pochowały się w kąt: — Jaśnie Wielmożna Mości Wojewodzino, nie szukaliśmy skarbu, a znaleźliśmy skarb. My po prostu, dla prochu i kul dobywaliśmy Krupiańskiego zamku, a tu widzimy złoto, brylanty, nieoszacowane klejnoty, a gdzież jest Jaśnie Wielmożna Hetmanówna? —

Tu kobiety, zwyczajnie kobiety, nie skąpe na słowa, rade kiedy się trafi gratka mówienia, od deski do deski wszystko opowiadały. Wąsowicz targał wąs, kręcił głową: — Ten Żytkiewicz to szaławiła, istny szubiennik, ale w Bogu nadzieja zawiezie do Zamościa; jeszcze bym się bardziej cieszył z dzisiejszego zwycięztwa, gdybym wiedział, że Jaśnie Wielmożny Hetman odzyskał swoją jedynaczkę. — Uważał Wąsowicz, że Tetera był czegoś chmurny i zły. Kiedy kobiety odeszły przybierać się do podróży, on rzekł do niego: —Panie mołodcze, coś Waszeć nie w swoim sosie; czy nie ten ładny buziaczek Pani rozwódki Waszmości głowę zaszołomił; bo to wy kozacy, jak proch zapalacie się do kobietki, byle była niczego.

— Daj mi tam pokój Panie Starosto, ja o czem innem myślę. Czemużeśmy tu pozawczoraj nie wpadli, bylibyśmy ocalili Hetmanównę; i ten pies Samuel Gnoiński, byłby może wpadł w nasze ręce. Oj dałbym ja mu, dał.

— O ho! ho! panie kozacze, teraz jestem w domu; Hetmanówna Waszeci w sercu i w głowie. Bądź spokojny, znaleźliśmy trop, znajdziemy i zwierzynę; ja będę twoim swatem do Hetmana — podał rękę Teterze: — Czy zgoda panie kozacze? pójdę z kurką i kołaczem do Pana Hetmana. —

Tetera nic nie odpowiedział, ale uściskał Wąsowicza.

— Dobrze, dobrze chłopcze, tyś wart Hetmańskiej dziewki; tyś chwat taki jakich mało i u was na Ukrainie. Spuść się na Boga, będziesz miał Hetmanównę za żonkę, a kiedyś może i atamański buńczuk. Ciebie wsadzimy na miejsce Chmielniczenka; tyś polska dusza i krew, i kość polska; a tamten tuman, perekińczyk. Chodźmy teraz trochę pogospodarować. — I poszli dawać rozkazy.

Z białym dniem szwedzkie trupy w przekop zwalono; śnieg się przebił, lód załamał, a cielska do dna się zanurzyły; muszą być grzeszne bo ciężkie. Kozackim i Lackim trupom, choć w mroźnej ziemi, wykopano dół, i nad ich grobem wzniesiono mogiłę. Każdy z Lachów i z Kozaków garstkę ziemi położył; Ojciec Wota hymn pogrzebowy zaśpiewał, święconą wodą grobowisko skropił, i własną ręką krzyż drewniany na mogile postawił; i wszyscy się smucili ich śmiercią, i wszyscy się modlili za ich dusze.

Po pogrzebie, Ojciec Wota, i Ksiądz Proboszcz Horodelski dwie msze odprawili, jeden żałobną za dusze poległych, drugi weselną za odniesione zwycięztwo; potem Wąsowicz najstarszego z Panow Rudnickich mianował dowódcą Krupiańskiego zamku, zostawiwszy mu trzysta konfederatów tymczasowie, nim się zrobi zaciąg piechoty; nauczył, opowiedział jak się obchodzić ze wszystkiem. — Będziesz Waszmość rządzić tym zamkiem i bronić go przeciw nieprzyjaciołom Ojczyzny i Króla Jegomości Jana Kazimierza Pana naszego. —

Była ranna biesiada dla szlachty i kozaków; nie mały uszczerbek zrobiono staremu lochowi Gnoińskich. Co było kosztowniejszego w zamku, pakowano na sanie, zabrano też wielką część zasobów wojennych.

Do dwóch krytych sani zaprzężono konie dla pań i służby. Węgierka, żona Berzewiczego w żaden sposób nie chciała opuścić zamku; pozwolono jej pochować trupa męża w grobach kaplicy, ona za to dziękczyniła ze łzami: — Ja stara, z nim przebyłam moją młodość, przy jego zwłokach zakończę moją starość. —

Przed południem wyruszono w drogę; Tetera z kozakami miał odprowadzić do Zamościa Wojewodzinę z Wojewodzianką

i Panią Podkanclerzynę pogrążoną w ciężkim smutku, w głuchej rozpaczy. Wąsowicz miał obiedz okolice i urządzić konfederackie powstanie, nim z młodzieżą uda się na Czerwoną Ruś do wojska. Przy odjezdnem wypili postrzemienne i jeszcze raz zakrzyczeli: — Niech żyje Tyszowiecka konfederacja! Niech żyje Jan Kazimierz Król i Pan nasz! Niech żyje Ojczyzna! — a krzyczeli gromko i tłumnie, tak iż zamek Zborowskich w swoich posadach się zatrząsł, a rozgłos gwarnie się poniósł na dalekie pola i lasy.

X.

> I wzrok zmierzyła
> Z błękitnym obłokiem,
> I myślą strzeliła:
> Daleko za okiem.
>
> MICHAŁ BUDZYŃSKI.

Właśnie w chwili, kiedy w Krupiańskim zamku na dobre gospodarzyli konfederaci, Żytkiewicz świadomy okolicy jakby się w niej urodził, nałożył ze sześć mil drogi; ale tak gracko się wywijał manowcami, przylaskami, iż w oczy nie zdybał ani Szweda, ani konfederata. W drodze, nie przekraczając swojemu zwyczajowi ciągle łgał do zadumanej Hetmanówny, wypalił długą mowę o swojej przyjaźni z Krzysztofem Wąsowiczem: — Jasna Pani nie wie, a to z tym Krzysztofkiem z korzec soli razem się zjadło; od błazenków w szkołach razem z sobą jak pies z kotem; bo to ten Krzysztof to czmut; udawał, a my się z sobą znamy jak łyse konie. —

Hetmanówna, czy słuchała czy nie, nie wiadomo; ale nic nie odpowiadała. Panna Dowmuntówna widząc, że już noc zapadła, a konie biją się po śniegu bez drogi, rzekła: — Panie Żytkiewicz, gdzie jedziesz? Waćpan błądzisz.

— O ho! milion pareset bomb! nie po takich się jeździło krajach, a nigdzie się nie błądziło. Słuchaj mnie Panno Marcjanno: raz w czasie moich podróży po świecie, było to w Sakatmusie, Han Krymski powiada do mnie: Julku, jutro rano pocztą pojedziesz do Chin, przywieziesz mi ztamtąd funt herbaty, tylko nie później jak na piątek na śniadanie; a to był wtorek jak dziś pamiętam. Waćpanna wiesz co to herbata? ale tego nie wiesz, że z Sakatmusy do Chin, tysiąc pięćset pięćdziesiąt i dwie mile i ćwierć; lecz ukraińskie z ogonami, a step taki, że do końca świata, nie ma ani wioski, ani futoru, ani nawet żydowskiej karczmy.

— Panie Żytkiewicz, gwałtu, wywracamy się! — I sanie zaczęły się przewalać na jedną stronę. —

Żytkiewicz poszarpał lejcami, batogiem namachał: — Wi hi! wi ho! to nic, to pień; a djabli go widzieli pod śniegiem; ale słuchaj Waćpanna dalej. Milion pareset bomb, trzeba było jechać, bo to Han, choć mój przyjaciel, lecz żartować nie lubi. Jechać, myślę sobie, ale jak? na koniu, niepodobieństwo; choć tęgiego miałem szłapaka, żmudzkiego kasztanka, od nieboszczki ciotki, po nieboszczyku wuju: sto mil możeby upalił, ale z popasami; lecz taki świat nie wytrzyma. Suszę sobie głowę, chodzę niesamowity, a nic wymyśleć nie mogę; aż tu jeden stary bisurman przychodzi: Jaśnie Wielmożny Panie szlachcicu, co Waszmość tak sumujesz? Ja mu opowiadam całą rzecz, bo poczciwe było jakieś człowieczysko, dobrze mu z oczu patrzało, choć po rusku jak chłopi mówił.

Zaśmiała się Panna Dowmuntówna: — Co Waćpanu jest, czyż Turki po rusku mówią? —

— A to Waćpanna tego nie wiesz, że szlachta po turecku mówi jak my po polsku; a chłopi wszędzie gadają po chłopsku. Otóż to mój staruszek, milion pareset bomb, musiał być albo zchamiony pan, jak jest wielu naszych na Ukrainie, albo też i cham: mniejsza o to: dał dobrą radę. Jedź Jaśnie Wielmożny Pan na strusiach, u nas inaczej pocztą nie jeżdżą tylko strusiami. Zdziwiłem się. — Wiesz Waćpanna co to struś, cybaty ptak, siwy.

— Ale wiem, przecież nasi panowie noszą pióropusze ze strusich piór.

— O to, to samo; doskonale mi opowiedział, jak trzeba się obchodzić ze strusiami. Nazajutrz dzień raniuteńko, wziąłem w torbę dwa sztofy wódki, ale tureckiej, mocniejszej jak nasza okowita, bochenek chleba prosianego to łakocie, i dwa kółka kiełbasy z czosnkiem, i ruszyłem w pole. Ledwiem sto kroków uszedł za miasto, aż patrzę, pod kamieniem coś siwieje, i wiatr poddmuchuje piórka. Podkradam się, struś śpi, chrapie a główkę pod skrzydło schował. Miałem w ręku patyczek, siadam na strusia jak na konia, główkę wyjąłem z pod skrzydła, struś na nogi się podniósł, ja go patyczkiem po szyi: jak się pomknął, to żaden koń tak nie leciał, i wiatr nieszybszy. Nie liczyłem wiele mil ubiegł, ale zaczął ustawać; patrzę, aż drugi struś leży, patyczkiem machnąłem, mój wierzchowiec stanął i ukląkł na kolana, ja z niego na drugiego i dalej w drogę; tym sposobem piętnaście strusiów odmieniłem i stanąłem w Chinach. Co to te Chiny!!

— Mniejsza o Chiny; herbatę przywiózł Pan Żytkiewicz?

— W piątek o północy wróciłem do Sakatmusy. Han mnie ściskał, mało nie zadusił i mówił: — Mój ty Julku, moje ty kochanie, zrobię ciebie trzytulnym Baszą Angielskim; bo to Waćpanna o tem nie wiesz, że Han i Sułtan chcą zbisurmanić świat cały, może i dobrze zrobią.

— Jużci Waćpan pleciesz jak na mękach, i myślisz że ja temu wierzę.

— A wiesz Waćpanna, milion pareset bomb, kto rodzi Pana Skarbnika Błotnickiego?

— Daj mi Waćpan pokój. Patrz przed siebie, na górę jakąś jedziemy.

— Góra to nic; to żebyś Waćpanna widziała piramidy nad Nilem w Egipcie, tam daleko, za Francją. To to wysokie! dwadzieścia cztery dni i nocy trzeba się drapać aby dojść na wierzchołek, a ja tam byłem. To ztamtąd i Polskę widać.

— I jakże? nie jedząc, nie śpiąc, Waćpan się tam dostałeś?

— Jakto? wszędzie są gospody, pełno jadła, napojów, ptaszego mleka tylko nie dostać; a wszędzie żydzi arędarze, takie meremorejne, co to aż strach! Piramida z jednostajnego kamienia każda, bo to wiesz Waćpanna te Niemcy z Egiptu wymyślili taki olej, że nakładą stosami kamieni, posmarują tym olejem, jak dogrzeje słońce, kamień topi się gdyby wosk, rosa spadnie i wszystko skamienieje, i potem ani rady ułupać tego kamienia. Milion pareset bomb, na swoje oczy to widziałem.

— Patrz Panie Żytkiewicz, chwała Bogu droga, i coś czernieje przed nami.

— To Uchanie! Wi ha, hota — popędził konie.

Pannie Hetmanównie trochę wolniej na sercu, bo choć całą drogę myślała, to o ojcu, to o Teterze, to o Lanckoronie; jednak strach nie odstępywał od niej: bała się tego Żytkiewicza, mimo zaręczeń panny Dowmuntówny, że się poczciwie i dobrze sprawi kuternogi szlachcic.

O północy zajechali przed Uchański dwór. Pan Skarbnik i pani Służewska nie spali, oczekiwali na gości, a nawet nie wiadomo dla jakiej przyczyny, dwoje krytych sani całkiem upakowanych stało przed gankiem, i koło stajni przy otworzonych drzwiach porali się jacyś ludzie z latarniami. Pan Skarbnik stary, bezżenny, wprowadzał Hetmańską jedynaczkę do domu, chciałby ją wszystkiem co ma najdroższego uraczyć, godziwie przyjąć w szlacheckiej chacie. Pani Służewska wypytuje, co się stało z Panią Radziejowską. Ona wiedziała o zamiarze Podkanclerzynej wykradzenia panny Lanckorońskiej, a nie wiedziała o tem, że sama miała zostać na jej miejscu, frasowała się biedna niewiasta: — Co mój mąż na to powie; ja pozwoliłam, a wszak to Służkówna?

Żytkiewicz ją pocieszał: — Niech Pani Starościna będzie spokojną. Herubkowa zna się nie od dziś z tym Samuelkiem, złodziejem, łotrem; nie pogryzą się dalibóg że. Milion pareset bomb, to to moja skóra była w tarapacie. Dla nikogobym tego nie zrobił, com zrobił dla tego kochanego Krzysztofka.

Dowmuntówna trącała Żytkiewicza aby zaprzestał te gadania. Wtem zbliżył się Skarbnik. — Już to my tego nie przerobiemy, co zrobiła Pani Podkanclerzyna, a tu siedzieć dłużej nie można. Lada chwila gotowi Szwedzi najechać; na Lubelskiem będą się mścić Konfederacji i do Zamościa ani myśleć się dostać, żydek karczmarz wczoraj wrócił z Grabowca, powiadał że ściąga się Szwedów pod twierdzę jak ćmy. Łaska Boża mam tu kartkę przepustną tego Szwedzkiego Jenerała Szlipenbacha, z nią dostaniemy się w Sandomirskie do Błotnicy, do mego brata, albo do Warki, do mojej siostry, Pani Cześnikowej Duszyńskiej, a nawet do Warszawy, do mojego drugiego brata, drążkowego kanonika przy Warszawskiej kapitule. I tam bezpieczniej jak tu; ja stary, do broni niezdatny, przynajmniej was będę strzegł Jaśnie Wielmożne Panie, jak oka w głowie.

Żytkiewicz żywo przerwał: — I ja z Wielmożnym Skarbnikiem pojadę; nie ma mnie co tu robić. Milion pareset bomb, ja się nikogo nie boję, ale ten Krzystofek tak mnie serdecznie prosił: Juljanie ty mnie nie skrewisz, nie odstępuj Hetmanówny; co się przyrzekło, to trzeba i dotrzymać.

— Pojedziesz Waszmość ztąd z nami, a potem postaram się umieścić go w pewnem miejscu.

— Milion pareset bomb! Ja za Janem Kazimierzem trzymam; to nasz Król i Pan; bierz djabli Szweda. Poczekaj, dam tobie Samuelku. —

Pani Służewska przestraszona, przyzwoliła na wszystko, a Panna Joanna szczerze chciała do ojca się dostać; może do kogo innego, jednak nie śmiała odkryć swojego zdania; choć wielka pani z rodu i z majątku, nie umiała się sprzeciwiać starszym. Uprosiła tylko, aby posłańca wyprawiono do ojca, napisała list, a potem jeszcze przededniem pojechano w Sandomirskie na Janow i Opole, lasami. Pan Skarbnik wsiadając do sani, znakiem krzyża świętego przeżegnał na cztery strony swoje gospodarstwo, i ze skruchą rzekł: — Niech się dzieje wola Boża. —

Czas bieży, nie stoi w miejscu, nie spoczywa, bo on dziełem Bożem; ale i ludzie Boże twory, jak się wezmą do roboty w imię Boskie, przy Boskiej pomocy, to także nie leniwo idą. Czyny na czyny pakują, jak to mówią jak z za rękawa niemi sypią, sami siebie potem kiedyś spytają: gdzie się znalazło czasu, żeby tyle rzeczy narobić.

Tak się w Polsce działo, bo nie masz rady, kiedy się naród rozhula, kiedy na kieł weźmie; u niego wtenczas nic zwyczajnie, wszystko inaczej. Nie wiele tygodni upłynęło jak się zaczął rok pański tysiączny sześćsetny pięćdziesiąty szósty, ale

wiele zmian narobiło się w Polsce. Mimo rady i namowy Habsburskiego domu, Jan Kazimierz dobry Pan i ojciec ludu, dał się nakłonić prośbom Królowej Jejmości, pani woli i rozumu; po bohatersku w trzysta koni wyruszył z Opola do Żywca, ztamtąd do Łańcuta.

Marszałek Koronny, choć to mu już tam marzyło się o koronie, choć mu nieraz pochlebcy i ludzie nieładu szeptali: czemu Jerzy Lubomirski, polskie panię, nie miałby siedzieć na tronie, na którym siedział Książe Siedmiogrodzki? — za przybyciem Króla w progi domu, zapomniał o podszeptach, szczerze i hojnie uraczył Pana, i rzekł: Potomku krwi Jagiellońskiej, rodzie nam miły! Nasza krew, nasze życie, nasze dostatki, wszystko dla ojczyzny i dla ciebie. Królu i Panie, tyś przybył międy nas, ratujmy ojczyznę, a ty nam panuj, jak panowali twoi praojcowie. — Bóg świadkiem, ani trochę fałszu nie było w tych słowach, tak serce czuło jak głos mówił.

Z Łańcuta przybył Król do Lwowa, akt Tyszowieckiej Konfederacji i jej postanowienia podpisem stwierdził, i zaprzysiągł bronić i służyć ojczyznie. Szlachta na wyścigi do obozów się zbierała; kwarciani odstępowali Szweda, występni panowie wracali do cnoty, zrzekając się obydnej służby u najezdcy, biegnąc do posług ojczyzny i prawego pana. Księża znosili złoto i srebro z kościołów na krajowe potrzeby, kozacy mimo opor niewiary Chmielnickiego rwali się do boju za Polskę, Turek i Tatarzyn sami kwapią się z ofiarą pomocy; bo to krew z krwi, kość z kości Jagiełłów, prawy Pan i król Polski stanął na czele zkonfederowanego narodu i zawołał: — Walczmy wroga! oswobodźmy Ojczyznę! Ja z wami, a wy ze mną; śmierć albo zwycięstwo! —

Karol chytry Szwed, choć zawarł przymierze z Panem Brandeburgu, na odgłos Tyszowieckiej Konfederacji, na odgłos przybycia Jana Kazimierza, ze złości pienił się jak pies wściekły; skakał jak gadzina i jak dziecko płakał, w szatańskich szamotaniach się, wołał: — Pomszczę się, pomszczę, popamiętasz ty mnie Polsko. —

Musiał opuścić niezawojowane Prusy, Szteinbokowi polecił zwalczyć Weyhera Malborskiego Wojewodę, co z garstką mężnych silny opór stawił Szwedom, pamiętając że Inflantom Polska matką nie macochą.

Wielkopolska szlachta nie biegła przeciw Karolowi jak dawniej z uniżonemi powitaniami, ale witała jego wojska żelazem i ołowiem po nieprzyjacielsku, jak przystało na lackie plemię starego gniazda.

Stefan Czarniecki z szlacheckiem wojskiem, które wrogi zwali ruchawką, przebiegał Lubelskie i Sandomirskie mordując Szwedów; piorunem latał z miejsca na miejsce; tam przybiegł gdzie go się najmniej spodziewano, a tam gdzie go

szukano na pewno, już dawno po nim miejsce zastygło. Aż strach co szlachta dokazuje: dniem i nocą na koniach, w czwale konia biegną do wroga, wpadną, wykolą, wysieką, i Bóg wie gdzie uciekną. Oszołomieli Szwedziki, sami nie wiedzą co mają robić; wodzowie pogłupieli, a strach opętał żołdactwo.

Pod Gołębiem Pan Kasztelan Kijowski dobrze się dał we znaki Duglasowi; szlachta nakłuła, nasiekła Szwedów do licha, resztę rozproszyła po krzakach i na złamanie karku naspychała na wiślany lód. Brat szwedzkiego Króla nogę złamał, duński Książe Waldemar, i najemnik Anglik Wilkinson głową nałożyli w tym boju. Za zbliżeniem się Karola z wojskiem i armatami, szlachta konie zawróciła i drynęła w inną stronę. Karol poszedł pod Zamość ale i tam nic nie wskórał; Jan Zamojski Podczaszy Koronny i Wojewoda sandomirski, nieodrony potomek wielkiego męża Polski, posłał Karolowi do obozu skrzypki, ażeby się nie nudził, powiadając, że się Zamojscy umieją obchodzić z obcemi Książętami. Krasnostawski zamek gotów na przyjęcie Karola, ale zamek Zamościa to nie. A kiedy Karol grzeczność za grzeczność odpłacając, przysłał Forgela z oświadczeniem, że każe przestać strzelać do zamku, byle mu wolno było przejść drogą koło okopów, Zamojski posłowi rzekł: — Wasze strzały nie wiele mi szkody narobiły, dotąd zabiły jedną świnię; powiedz twemu panu niech strzela, a jak tędy będzie przechodził, to mu nastrzelać każę szwedzkiej nierogacizny. —

Z pod Zamościa Karol ruszył przez Jarosław ku Lwowowi, ale Stefan Czarniecki drogę mu zaskoczył, Duglasa napłoszył z pode Lwowa, a pod Przemyślem po tatarsku z zasadzki wpadł na jazdę Konenberga, zniósł ją do szczętu, srebra i sprzęty królewskie zabrał, a Karol z za Sanu patrzał na to, i bał się swoim iść na pomoc powiadając: lód kruchy; a to serce najezdcy kruche, widział że Polacy po swojemu za Ojczyznę się biją.

Za dobrym przykładem Kijowskiego Kasztelana szli i inni wysocy urzędnicy Korony i Litwy. Lanckoroński, Lubomirski, Potoccy, Gorajscy, Załuscy i inni panowie już walczyli pod rozkazami Stefana Czarnieckiego. Pod ojczyste konfederackie znaki z Litwy ciągnęli Sapieha, Gąsiewski, Pacowie; z Wołynia i Ukrainy bieżał Kniaź na Wiszniowcu i Jan Sobieski, a Książe Czartoryski Podolaków prowadził. Rzucili obóz szwedzki, a przyszli przebłagać prawego Króla, i służyć krajowi, Koniecpolscy, Grudziński i inni występni. Król jak ojciec przebaczył, a Ojczyzna czekała żeby czynami zagładzili ciężką winę.

Ze wszech stron szarpano Szweda; pod Przewalskiem napadnięty, zmykał bezładnie i swoich siła trupem na polu bitwy

zostawił, w Rudniku Szandarowski Rotmistrz pancernych Wiszniowieckiego o mało samego Karola nie schwytał. Pod Leżańskiem i Zaleszanami Kasztelan Kijowski z Teterą i Wąsowiczem na rozbój Szwedów wykłuli. Synkler namiestnik szwedzkiego Króla, ze strachu wysadził w powietrze Sandomierski zamek, a sam z załogą uciekł. Sandomierscy mieszczanie choć straty ponieśli wiele, przy okrzykach radości i wesela zatknęli na zgliszczach zamkowych chorągiew ojczystą, wołając: Niech żyje Ojczyzna! Niech żyje Jan Kazimierz Król i Pan nasz miłościwy! — Tyle się to rzeczy narobiło, a ledwie co śnieg wytajał i z lodów oczyściły się wody.

Nadszedł pierwszy Kwietnia. Słońce tak jaśnie jak zawsze, ale milej jak zawsze błyszczy obliczem i ciska ziemi w powitanie niezliczoną moc złotych promieni: i ziemia otrząsnąwszy się ze śniegowej bieli, wdzięczy się i mili do słońca; w powietrzu tak lubo, rzeźwo, że aż miło oddychać, chce się wiatr łykać całemi piersiami, roskosznie patrzeć na to pierworodztwo wiosny, dreszcz bierze na myśl o powrocie zimy, nie chce się nawet przyjścia lata, a pragnie się szczerze, aby tak długo było.

Choć wojna grasowała po wszem polskim kraju, choć nikt nie mógł się domniemywać co jutro, co za godzinę, co za chwilę się przydarzy? — jednak z wiosną otucha wstąpiła w serca ludzkie, taka, iż kiedy strach nie stoi przed oczyma, chciałoby się nawet i trochę poweselić.

Miasteczko Warka podówczas majętność Michała Koniecpolskiego, wydzierżawioną była Maciejowi Duszyńskiemu Cześnikowi Trębowelskiemu. Pan Cześnik dawno już podtatusiał, i Pani Cześnikowa Błotnicka z domu, należycie na babę wyglądała; dwóch synów już żonatych nie od dziś jak to mówią, chodziło po dzierżawach na swoją rzecz, trzeci wyzwolony z pod ojcowskiego batoga, bo już trzydzieści lat na święty Roman skończył, wojskowo służył w znaku Koniecpolskich; dwie zaś córki Honorata i Ewa dziewy dorosłe, nie ze zmyśloną chęcią czekały na gachów. Póki Pan Koniecpolski trzymał ze Szwedem, póty Szwedzi nie śmieli tykać dóbr Pana Cześnika; ale kiedy Pan Koniecpolski rozbrat zrobił ze Szwedem i wrócił do powinności, Cześnik cieszył się z tego, bo był dobrym Polakiem, co rzecz nie trudna w Polsce. Lecz nieraz na dzień pomyślał sobie, jak tu te rabusie przyjdą, to dadzą mi łapnia. Nie chodziło mu o chudobę i dobytek, ale bał się o dzieci, o żonę, bo to te draby wielkie łotry. Na domiar kłopotu z tej strony, szwagier Pan Błotnicki przyjechał w gościnę do Warki, z Panią Służewską i piękną Panną Joanną, która uchodziła za córkę Pani Starościnej Horodelskiej.

Państwo Cześnikowstwo musieli wiedzieć o całej tajemnicy, bo przyjmowali Pannę Hetmanównę ze zwykłem uszanowaniem jakie oddawała szlachta pańskiemu dziecięciu; a Cześnikówny rade były z nowej towarzyszki, bo choć pańskie dziecko, nie po pańsku ale po szlachecku wychowana; nie dzika, nie dumna, nie nudna; lecz dobra, rozmowna i przystępna.

Stary Hetman już wiedział gdzie jego córka się obraca, odebrał parę listów od niej, i sam już trzy razy pisał do swojej jedynaczki. Pannie Joannie wiadomem było wzięcie Krupiańskiego zamku przez Teterę; nieraz westchnęła i serdecznie pożałowała czemu ona tam nie była; lecz nie podobna przerobić co się stało, trzeba się godzić z Bożą wolą, czy też z wypadkiem ślepego trafu. Na pociechę, wie o tem, że ojciec zdrów i gorąco pragnie uściskać lubą córkę, a Tetera w sławę wojenną i we wziętość między szlachtą rośnie; ale czy gorąco i serdecznie pragnie ją widzieć, o! tego odgadnąć nie może; i ta niepewność rodzi nie jedną godzinę frasunku, nie jedną godzinę smutku. Ona zakochana dziewica w Krupiańskim zamku wyznała swoją miłość, i zda się jej że świat cały o tem wie, a od pana swojego serca nie słyszała nigdy: ja ciebie kocham. Chyba w dawnych latach, gdzie wszystko było dziecinną igraszką, marzeniem sennem, miłem wspomnieniu duszy, ale niedostatecznem chceniu serca.

O tych to dawnych czasach dumała Panna Lanckorońska, kiedy wszedł Skarbnik z listem w ręku, uśmiechnął się: — Jaśnie Wielmożna Mościa Panno, zdaje się nie prima aprilis, bo papier zwyczajnie jak papier, i atrament czarny, a człowiek co go przywiózł to nasz dawny znajomy.

— Bardzo dziękuję Panu Skarbnikowi; pewna jestem żeby Pan mnie nie zwodził.

— O niech mnie Pan Bóg od tego zachowa! Ja śmiałbym zwodzić Jaśnie Wielmożną Hetmanównę? nie, nigdy. —

Lanckorońska jeszcze raz dygnęła na podziękowanie, a kiedy Skarbnik odszedł, wzięła się do czytania listu. List to był od Panny Rozalji Potockiej pisany ze Lwowa dnia ośmnastego Marca. Panna Lanckorońska czytała go:

Moja kochana Joasiu!

«Całuję twoje oczki, twoją buzię, to od siebie. Jaśnie Wielmożny Hetman twój ojciec kazał mi być swoim pisarzem, ucałować ciebie od niego, i oświadczyć że ma nadzieję wkrótce się z tobą zobaczyć, ponieważ nasze wojska zamierzają iść do Warszawy. Och, gdyby mnie zabrali z sobą, jakbym ja rada z tobą być razem; wiele a wiele rzeczy mam ci do opowiedzenia; ale nasi panowie wojacy ani myślą o kobietach, kiedy idą na wojnę. Nie pozostaje mi więc nic więcej, jak po-

lecić się twojej pamięci, i choć listownie uściskać ciebie po stokroć razy.»

Twoja przywiązana przyjaciółka i siostra,
Rozalja Potocka.

Post scriptum pierwsze. Rudzikunię zostawiłam zdrową w Lanckoronie, ale ciągle modli się za tobą; powiada, że to ten sen o dziecięciu i perłach, wszystko złe narobił. Wojewodzina Wileńska z Anusią przybyły od kilkunastu dni do Lwowa, razem z niemi mieszkam w klasztorze Panien Sakramentek; co też one nie wypowiadają o tym Krupiańskim zamku, aż strach bierze. Jaśnie Wielmożny Hetman Polny pisał do Kitajgrodu, aby żonom, dzieciom, siostrom i rodzicom kozaków, którzy polegli w twojej obronie, wypłacono po sto złotych, i dano po parze wołów i jednej krowie. Rodzinie Puksy zapisał Szlamówkę i obiecał wyrobić szlachectwo na przyszłym sejmie. Ojciec Wota bardzo smutny, a Włocha Carla nigdzie odszukać nie można, musiał zostać Szwedem. Jakiś tu francuz Desnoyer astronom czy astrolog, przepowiedział, że tego roku będą wielkie upały. Królestwo Ichmość bardzo hucznie żyją, dwór tak wielki trzymają jak w Warszawie. Król ma ośmiu karłów, trzydzieści i trzy piesków różnego gatunku, i ptaków co nie miara. Królowa zaś zawsze zajęta z posłami tatarskimi, tureckimi i kozackimi, albo z senatorami naszymi. Pani Radziejowska bardzo piękna, wszystkim głowy zawraca, ale smutna; powiadają, że rozpacza za Panem Samuelem Gnoińskim, drudzy, że za Drogoniusem który zniknął bez słychu i wieści o sobie: to ostatnie przypuszczenie musi być na śmiech zrobione, bo gdzież można kochać taki potwór jak ten Drogonius? Na Jezuitów wielki wrzask, czemu nie chcieli dawać sreber kościelnych i pieniędzy na potrzeby Ojczyzny. Nuncjusz papieski chciał ich wykląć, ale to się uspokoiło. Rakocy grasuje po Podolu, Bóg wie co będzie: wszystkich oczy obrócone na Pana Kasztelana Kijowskiego, w nim cała nadzieja. Widziałam go, jak witał Króla; mnie się zdaje, że Pan Stefan Czarniecki pobije i Szwedów, i Siedmiogrodzian, a gdyby potrzeba, to to samo zrobi i Moskalom i Niemcom.

Post scriptum drugie. Moja Joasiu, jak my tu się bawiemy! Pan Starościc Zakroczymski jak kot kocha się w Anusi, zdaje się, że Anusia musi go kochać, ale ją trudno odgadnąć. Pan Wojewodzic Kaliski przybył od niedawna na dwór królewski, w braku ciebie tnie zaloty do Anusi; jemu trzeba koniecznie za żonę Hetmanównę albo Wojewodziankę. Wąsowicza widziałam raz tylko, zaczął mi gadać o tobie i o Teterze,

ale Wojewoda Wileński zawołał go na wódkę, nie skończył co zaczął, a potem jak mi mówiono, pojechał do obozu. Wielki tu był śmiech z Marszałka Koronnego, który wziął Wesla za jednego z bohaterów Litewskich, dawnych towarzyszy Gąsiewskiego, prawił mu o bojach i kadził jego męstwu, a tu ktoś na ucho szepnął, że to ten sam co drapnął z Warszawy przed Szwedem. Koronny Marszałek rzekł: przepraszam, wziąłem Panna za kogo innego; i odszedł. Pan Wesel tak się tem zgryzł, iż przyrzekł w pierwszej potyczce zrąbać tuzin Szwedów, albo utopić się w pierwszej studni. I ja też mam gachów moja duszko, jakiś wielki Mirza tatarski, nazwiskiem Szeryf Kazy Aga, powiedział Królowej, że mu się najlepiej podobam, bom najtłuściejsza i najzażywniejsza ze wszystkich panien; a kiedy się dowiedział, żem Potocka, rzekł: że Tatarzy mają wielki chrap na wszystkie dziewice z Potockich rodu. Drugim moim gachem Kozacki pułkownik Pan Głębocki, brat cioteczny Tetery, bo obudwu rodzą Wychowskie rodzone siostry Pana Pisarza kozackiego. Pomimo krzyku Jezuitów i krzywień się lizusów dworskich, Królowa Imość bardzo dobrze go uważa; ma lat dwadzieścia pięć, słusznego wzrostu, pięknej twarzy, podobny trochę do Tetery, kto wie co to będzie. Nie myśl jednak żebym się już w nim kochała, to tylko tak sobie żart. Twoja Marta zdrowa, powiada: że lepiej było w Krupie z tobą jak tu bez ciebie.

Post scriptum trzecie. Ale, ale, zapomniałam ci powiedzieć: dwa razy widziałam Pana Teterę, wszyscy go tu uważają jak bohatera, a on biedny chłopiec smutny i zły, przyznał mi się, że nie widząc ciebie żyć nie może. Oh! moja duszko, on ciebie bardzo kocha, jak to mówią na zabój. Joasiu strzeż się; wprzódy go zobaczysz jak ja, on teraz dowodzi przednią strażą Pana Stefana Czarnieckiego. Joasiu strzeż się! —»

Panna Lanckorońska czytała, i rozmaite uczucia przebijały się na jej twarzy, po samym liście smutek, czemu tak krótki; w czytaniu pierwszego przypisu łza wilżyła jej oko, i śmiech rozmilał usta; drugi przypis więcej ciekawości budził, bo tam imię Tetery wspomniane dwa razy; za trzecim serdeczna roskosz krasą i weselem wystąpiła na lica, a żywym blaskiem zabłyszczała w błękitnych oczach. Dziesięć razy go czytała, z cicha wyrzekła: on mnie kocha. Och! jakże lube to wyrzeknięcie dla serca; znowu się brała do nieskończonego odczytywania, kiedy drzwi się otworzyły i wpadły obiedwie Panny Cześnikówny.

Jedna woła: — Pali się! pali!

Druga wrzeszczy: — Szwedzi naszli.

Panna Lanckorońska porwała się z krzesła; tem silniej przestrach nią owładnął, im mniej dusza do tego przygotowaną była. Zbladła, list ręką do serca przycisnęła: — Boże ratuj! — a Cześnikówny w śmiech.

— To pryma aprylis! tóż to nam się udało! — Ale ten śmiech nie długo trwał, widząc bladość Panny Joanny. Skwapliwie biegły ją uspokoić; ona się uśmiechnęła łagodnie: ani twarzą, ani słowem nie zrobiła żadnej wymówki, i na ich żądanie poszła z nimi do pasieki będącej tuż za dworem, szukać konwalji i lnu, pierwszych kwiatów wiosny; prosiły Joanny żeby nic o swoim przestrachu nie mówiła nikomu, bo Pani Cześnikowa pod surowym zakazem wzbroniła raz na zawsze robić podobne figle; w gniewie nie tylkoby dała burę, ale by nawet klepaczką mogło się dostać po plecach. —

Cześnikowstwo, Starościna Horodelska, Panna Dowmuntówna, Skarbnik i Juljan Żytkiewicz, który się przyczepił do Skarbnika, jak to mówią kleszczem, poszli do pasieki. Troje małych dziewcząt i dwóch chłopczyków kredensowych zabrano do zbierania smarżów, a stary kredencerz z lagą w ręku, w towarzystwie rabego wyżła bekasa, i czarnego mucyka żuka, udał się niby na strażnika, żeby czasem jaki djabeł cichaczem nie wpadł do pasieki. Pyszny ze swego obowiązku, poświstywał na bekasa strychującego za muchami, a na żuka wołał: do nogi.

Zwyczajem wielu zabudowań dworskich w Polsce, z dziedzińca szło się przez sad owocowemi drzewami w linje zasadzony, ozdobiony krzakami agrestu, porzeczek i malin, do czarnego lasku; tam między rozłożystemi lipami na haławie ogrodzonej chruścianym płotem, była pasieka, drewniane ule przykrywane słomianemi czapkami, jak żołnierze stały uszykowane w rzędy; trochę na boku była spiczasta buda olepiona gliną, z niej kurzył się dym; to mieszkanie pasiecznika, podle niej szopa z chrustu pleciona, pokryta słomą, w niej pełno próżnych ulów, a przed nią siekiera, obuch, strug i kupy podstruganych obręczy; widać że pasiecznik bednarką się bawił, co jest zwyczajną rzeczą w Polsce. Pasiecznik sędziwy starzec, nalewał sytę w koryta, kiedy państwo przyszli; dwa pieski rude będące przy nim zadziawkały na całe gardło, lecz bekas z podniesionym do góry ogonem jak pasternak wpadł między nich, warknął, zjeżył sierść na karku i zrobił ład; pieski piszcząc łasiły się koło niego, do góry brzuchami się przewracały i przebierały łapkami na znak uniżonej pokory.

Cześnik ze Skarbnikiem po powitaniu chrześcjańskiem pasiecznika kosztowali sytę, czy dobrze zaprawiona, i czy dobrze przeczyści pszczółki z wysiedzianej zimy w stebniku; potem przypatrywali się jak robocze muchy wysuwały się z otworów,

lśkniącemi skrzydełkami w powietrzu trzepały i obsiadywały koryta.

Cześnikowa ze Starościną siadły na ławce pod szopą, na słoneczku się wygrzewają; Starościna wyciągnęła pończochę i poczęła drutami dzierzgać, nić z kłębka rozwijać, a Cześnikowa nałożyła okulary na nos, wydobywszy z kieszeni książkę, dobrze już podszarzaną, czytała w głos życie Świętego Stanisława Szczepanowskiego, patrona Polski. Panny za płotem zbierają kwiatki; Cześnikówny i Panna Dowmuntówna psoty robią Żytkiewiczowi, a on im prawi: jak w Sakatmusie po majowym deszczu w jednej chwilce grzyby wychodzą z ziemi i wyrastają na takie wielkie jak najogromniejszy harbuz, jak Han miał taki kamyk że za potarciem nim po ścianie, po drzewie, albo po czem kolwiek bądź, natychmiast tam wyrastały pieczarki i smarże jak najbujniejsze.

Kiedy panna Dowmuntówna sadząca się na wytworną mowę, mięszaniem łacińskich wyrazów do polszczyzny, przeczyła mu: — Ależ to kompozycja?

— Milion pareset bomb, czy to była kompozycja, czy prawdziwy kamień, tego nie wiem; ale to pewna że pieczarki i smarże po nim rosły. —

Nareszcie pokazywał, jak turcy się modlą, krzyżem świętym po chrześcjańsku się żegnał, padał na kolana i śpiewał jakieś: Bismillach rachem manir.

Cześnikówny się śmiały: — Pan Żytkiewicz to wszystko na pryma aprylis i gada i robi. —

Dowmuntówna za niego odpowiedziała: — Pan Juljan na pryma aprylis to by prawdę powiedział pewnie, ale z tego nic nie będzie. —

On cmoknął ustami, i pokręcił głową: — Ale wie Panna Marjanna kto rodzi Pana Zabokrzyckiego z Podlisianki? Zwyczajny to jego wykręt kiedy go złapią na uczynku łgarstwa. —

Przez cały czas Panna Joanna oddalała się w stronę; zerwie konwalję i obrywa dzwonki kwiatów licząc myślą: przyjedzie — nie przyjedzie — przyjedzie — nie przyjedzie. — Ile razy ostatni dzwonek przyjazd zazwiastuje, tyle razy oczy wzniesie ku niebu na dziękczynienie a uśmiechem ozdobi lice; ile razy nie przyjedzie, zakończy kabałę, tyle razy westchnie, zwiesi czoło ku ziemi, nowy kwiat zrywa i znowu liczy. Tak kabałuje o przyjazd ojca i jeszcze o czyjś drugi, w końcu wzięła kwiat, i już nie liczy: przyjedzie, nie przyjedzie; ale kocha, nie kocha. Wypadło kocha; serdeczna radość wstąpiła w serce; więcej kabałować nie chce, i wesoła jak dawnych czasów, szczęśliwa jak dawniej, śmiała się i bawiła z Czesnikównami; tak to jedno nic rodzi chwilowe szczęście, albo nieszczęście zakochanemu sercu.

Wtem bekas zaskowytał, jak na żyda, albo na wilka; a żuk mu powtórował cieniutkim głosikiem jak dzwonek, i obadwa z lasku biegli w pole ku drodze.

Panny uciekły do pasieki, Żytkiewicz przestał mówić o Sakatmusie: — Milion pareset bomb, co tu się bać? jeźli to Karolek, to mój serdeczny przyjaciel, i Herubek przy nim jest, włos nam z głowy nie spadnie. Jeźli to Samuelisko, to go zabije jak psa — i pobiegł.

Skarbnik darmo wołał: — Stój Panie Żytkiewicz. Waćpan znowu tam coś zmalujesz. — Ale kuternogi szlachcic nie słuchał; od dzieciństwa nawykł łgać nie tylko słowem, lecz i czynem: choć strach zakradł się do serca, po junacku się nadstawiał.

Kobiety zebrały się pod szopą, trochę się zalękły. Skarbnik łysinę muskał: — To nic zwyczajnie, pies zaszczekał — a Cześnik dodał:

— Wrazie niebezpieczeństwa w kościele pochowamy niewiasty, i Waszmościa z niemi; mówiłem o tem z księdzem proboszczem; ja sobie dam rady choćby i ze Szwedami. Zostańcie tu, ja pójdę:

Wtem turkot dał się słyszeć na drodze; ustał, tylko krzyk ztamtąd doleciał. Cześnikowa złapała męża za kontusz: — Maciusiu, daj pokój! — on się wyrwał.

— Moja Kundziu zostawże mnie, ja wiem co robię. —

A tu Żytkiewicz na cale gardło tarabanił głosem: — Szelmo szpiegu, milion pareset bomb! powieszę, zastrzelę, rozrąbię: — Wkrótce się ukazał, prowadząc żyda za siwe pejsy, jak cielę za ucho. Żyd blady jak glina, ani krzyczał, ani się ociągał; tylko chlipał gębą, a nogami przebierał, jak czapla do podlotu.

— Milion pareset bomb, złapałem tego huncwota; to szpieg, wierutny łajdak, Samuela posługacz; powiesić szelmę. —

Cześnik popatrzył na żyda: — Wszak to pan Aron Becał? — Panie Żytkiewicz, puść go Waćpan, ja go znam, to fantny kupiec, Krakowski rabin.

— Milion pareset bomb, to szelma żyd. Jego dziad tam jakiś ukrzyżował Chrystusa Pana, a on parch, ojczyznę naszą przedaje. Dalibóg że powieszę — i tak silnie targnął za pejsy żyda, że aż żyd wrzasnął: — Aj waj! gwałtu! — Odetchnął jednak widząc iż ma obrońcę: — Panie Żytkiewicz, co Waćpan chcesz odemnie; ja sobie kupiec, do niczego się nie mięszam. Przyjechałem tu kupić u Jaśnie Wielmożnego Cześnika przaśnego miodu, bo nam teraz pilnie potrzeba do Gdańska. —

Na te słowa, Cześnik nabrał woli: — Puść go Waćpan, ja za niego ręczę; tu na moim gruncie chcę i będę panem. —

Choć stary, ale silną ręką wyrwał żyda z Żytkiewiczowej łapy. Żytkiewiczowi w garści zostało nie mało siwych włosów z posieczonych pejsów Becala.

— Bądź Waszmość panem u siebie, ale milion pareset bomb, pożałujesz tego. Szpiega przechowujesz; pojadę, powiem Krzystofkowi, powiem Stefusiowi. Nasz Kazimirek będzie o tem wiedział; bądźcie mi zdrowe Jasne Panie, i żegnał niewiasty całując wszystkie w rękę, jedną po drugiej. —

Cześnik machnął ręką: — Jedź Waćpan sobie do djabła — ale Skarbnik zastąpił mu drogę: — Mości Żytkiewicz, zostań z nami; jeszcze w drodze gdzie Szwedzi złapią.

— Nie zostanę, pojadę, ja przyjaciel Stefusia, polubieniec Kazimirka naszego, brat broni Krzysztofka! Milion pareset bomb, i mnie tu nie chcą słuchać? — Lepiej wierzą parchowi, jak szlachcicowi podlaskiemu? Pojadę — odwrócił się i poszedł.

Panna Dowmuntówna się zaśmiała: — Pan Juljan wszystko to na pryma aprylis robi. —

Becal lisim wzrokiem przepatrzył wszystkie niewiasty, i paskudna żydowska twarz, jakby szatańskim uśmiechem się zmarszczyła: — No, to nic dziwnego, Pan Żytkiewicz zawsze taki hałaburda. Ja szpieg, ja tego Szweda tak jak panowie nie lubię; ale Jaśnie Wielmożny panie, ja kupię wszystek miód, i z góry zapłacę.

— Dobrze Panie Becalu, skończymy z sobą. Waćpan kupiec, znajomy nam wszystkim, poczciwy człowiek; któżby tam wierzył takiemu szaławile? —

Wracając do dworu ułożył się Cześnik o sprzedaż; we dworze wziął zadatek ważnem holenderskiem złotem. Wisniakiem uraczył Becala na mahorycz, a Becal poszedł do miasta Bogu się pomodlić, podwód szukać między żydkami na jutro, bo bez dostawy kupił. Jutro także miał wszystkie pieniądze zapłacić. Wychodząc za wrota pomyślał sobie: — No ten Żytkiewicz nie taki głupi jak się zdaje, dobry ma nos, przewąchał. Jeźli w ich ręce nie wpadnie, to powiem, że on nie darmo łgarz. —

Cześnik wesół, zaciera ręce: — Nie darmo mnie wczoraj lewa dłoń świerzbiała, to pewny znak że będę liczył pieniądze. Skarbnik wróciwszy ze stajni z dziesięć razy raz po raz pogładził łysinę. — Pojechał, na dzisiejszy pryma aprylis prawdę powiedział. Jeźli prawdę mówił o żydzie, byłoby źle. Jakkolwiek Waszmość, panie bracie, znasz tego rabina, ja jemu nie wierzę: coś on patrzył na nas wszystkich jak szpieg. Zresztą żyd żydem, zawsze szelma, i dla tego ja zaraz z niewiastami idę na plebanję, on może tu naprowadzi Szwedów.

— Idź panie bracie, kiedy tak chcesz; ostrożność nie za-

wadzi: — Ja go znam, zawsze u mnie kupuje, ale ręczyć za kogo, a jeszcze za żyda, to trudno.

Nie długo czekając Skarbnik, z wszystkiemi niewiastami przez tylną furtkę od dziedzińca poszedł na plebanję będącą nie daleko dworu, a Cześnik liczył dukaty i ważył na szalce: — Dobre, ważne, nieoberżnięte. Niech się przez dziś przechowają, ostrożność nie zawadzi. Nie mogłem pozwolić na bezprawie w moim domu, jeszcze z takim nieoszacowanym gościem w teraźniejszych trudnych czasach. Ale ten łgarz pojechał; żeby on czasem mi jakiej psoty nie narobił. Ja o niego się boję. —

Mrok wieczoru tylko co przyciemnił niebiosa, aż tu rajtarja Szwedzka trzema szlakami przywaliła do Warki, i natychmiast rozbiegła się po mieście zajmować domy dla swoich starszych. Psy najeźdcy, bez miłosierdzia, bez żadnego względu, zwyczajnie jak w zawojowanym kraju, gospodarzom i gospodyniom precz każą wynosić manatki, a stroić izby dla swoich Jenerałów, pułkowników i Bóg wie jakich tam opilców. Nie dość że psim, nie ludzkim językiem łają, ale tłuką gospodarzy, siłą się zalecają do żon i córek, rabują i trwonią w poniewierek domowy dobytek. Naród cierpi i milczkiem przemyśla jak tu się pomścić.

Pan Cześnik, jak mógł i trunkiem i ukłonami dobruchał Szwedów, ale to nic nie pomogło; precz z domu, na folwark wyforowali gospodarza, a sami tam gospodarują. Patrzy Pan Cześnik jak z sadu wyciągają karmne wieprze, co miały pójść do Szląska; rzezą pasne woły przeznaczone na pekeflejsz do Anglji; łapią i biją gałaguńskie kury, czubate i nie czubate kapłony, szurpy, gęsiory, kaczki, prosięta; wszystko na kupę. Odbili spichlerz i spiżarnie, do lochów się dobrali; po toku i stodole uwijają się z zapalonemi łuczywami. Cześnik kłania się, prosi, a oni mu szwargotem niemieckim krzyczą: — Milcz polaku, bo cię Fryderyk Margrabia Badeński każe powiesić. —

To samo się dzieje na plebanji; ale tam ksiądz pleban staruszek, sam jeden; powiada: bierzcie co chcecie — róbcie co chcecie, niech się dzieje wola Boża. — Niewiasty i Skarbnik Bóg wie gdzie się wynieśli, ani śladu żeby byli na plebanji. Jeden z rajtarów polską mową rzekł przystępując do plebana, i zciszając głos: — Księże nie bój się, nasz Jenerał polak, nic ci złego nie zrobi; tylko go nie gniewaj.

— Polak a służy wrogom przeciw Ojczyźnie, to już mi większego złego zrobić nie może.

— Nie mów mu tego księże, ja ciebie przestrzegam — i wyszedł, bo mnogie i gromkie trąby zagrzmiały w mieście, a kopyta koni zatętniły na dziedzińcu plebanji. Ksiądz pleban głęboko marzył; zarazem bolał nad tem, że polak

zdrajcą Ojczyzny, i prosił Pana nad Pany aby go nawrócił.

Otworzyły się drzwi i wszedł Samuel Gnoiński, po węgiersku w czamarę przybrany, bo już wstydził się polskiego kontusza, marszczył szerokie czoło i wzrok miał ponury. Nie zważał nawet na witającego go księdza, tylko cierpkim głosem rzekł do idącego za nim rajtara: — Po co u kroćset djabłów stawiasz mnie zawsze u tych klechów? Kiedy ich tak kochasz, trzeba było zostać u licha mnichem, nie żołnierzem: — Rajtar milczał: — A gdzie izba dla mnie? — Rajtar odemknął drzwi do drugiej komnaty; dopiero wtenczas Gnoiński spostrzegł plebana, i skinął głową.

— Zawołać Strynżę — i wszedł do komnaty. —

Tu dopiero zaczął szerokim krokiem przechadzać się po komnacie, myślić i gadać sam do siebie: — Albo głową nałożę, albo będę ją miał. Dałem złota, i dam złota. Nie pożałuję, niech mi tylko ją wynajdzie. Choć by w piekle, to ją dostanę. Trzy dni jak zaręczył, że tu gdzieś jest, a żyd wszystkiego się dowie. Tego Badeńczyka osła namówiłem, żeby tu przyszedł licho wie po co; żeby mnie służył. O Panno Lanckorońska, jak w moje ręce się dostaniesz, to już ci się nie uda jak w Krupiańskim zamku; a ty djablico bezczelna, przepadnij, zgiń; bogdajeś nie ujrzała sądnego dnia, niech cię piorun roztrzaska. Dałbym ci ja w Krupie weselne gody, ale djabeł chciał inaczej. Ha! ci Konfederaci! ha! chamy kozaki! Gdyby nie moje rany wtenczas, dałbym ja wam, dał. Ja, wnuk Zborowskiego, takbym miał zostać? o nie! pomszczę się na nich, pomszczę się na niej. A ty hetmańska córko, będziesz moją! A potem — niech wszystko ginie, niech się świat zapadnie. Wszystko mi jedno, byle Gnoiński zrobił swoje. — Wtem przyszedł Strynża.

— Znalazłeś żyda?

— Znalazłem jasny panie; czeka tu.

— Niech wnijdzie. —

Stary Becal na pół zgarbiony, potrząsając lisią czapką, jak lis, pomalutku wkradał się do komnaty, i choć kaprawem ale błyszczącem okiem spozierał na Gnoińskiego.

— No i cóż zrobiłeś?

— Nu, Jasny Panie, wszystko dobrze; ona tu jest.

— Jakto? gdzie?

— Nu, tu w Warce. Niech jasny Jenerał poczeka, ja wszystko opowiem. Nu jak ja Jasnemu Panu mówił więcej jak miesiąc temu, że ona z tym Błotnickim z Uchań; ja wtenczas domyślał się że ona tu gdzieś wyjechała. Pojechał ja do Błotnicy do brata Uchańskiego; tam nie ma. Ja zaraz dorozumiał się, ona musi być w Warce u siostry Skarbnika, i dla tego jasnemu Panu mówił: tu jest. Dziś zrana sobie jadę, aż tu

pod samą Warką, już ten Żytkiewicz, ten szelma, goim, co to jasny Jenerał wie.

— Ten szelma tutaj!

— Czekaj jasny Pan; on mnie z wozu, za pejsy, natargał, nabił, i zaprowadził do pasieki; aż tam patrzę, ona jest. Ja ją widział w Krakowie. Na cherym, na Sorę, na bachurów przysięgam, to ona.

— Gdzież ta pasieka? prowadź mnie.

— Nu, ona we dworze; ale jasny Jenerale, ja tak się stracił, mnie to tyle kosztowało. I temu Cześnikowi ja dał trzydzieści dukatów, żeby mnie nie powiesił ten szelma Żytkiewicz. —

Gnoiński wydobył sakiewkę: — Masz sto dukatów; jak ją będę miał, to ci wypuszczę w arendę darem darmo, wszystkie karczmy mojego Starostwa, na trzy lata.

— Jasny Oświecony Jenerale, ona jest; dziękuję, zaraz ją wziąść. —

Gnoiński na stronę zawołał Strynżę i dał mu jakieś rozkazy, potem trochę poprawił swój strój i poszedł do dworu.

Cóż to nowego przydarzyło się między Szwedami? — Fryderyk Margrabia Badeński, opasłe i leniwo Niemczysko, zawsze powolny spełniać rozkazy Gnoińskiego, teraz wzbrania mu dopełnić gwałtu na obywatelskim domie; wtenczas kiedy Gnoiński wyraźnie i dobitnie mu powiada, że tu się przechowuje Konfederat, i przeniewierca Żytkiewicz (o pannie Lanckorońskiej zamilczał). Badeńczyk na wszystko odpowiada: — Nie, nie można. W Gnoińskim zagrała krew Samuela Zborowskiego: — Pludrze niemcze, nie chcesz, potrafię ja zrobić sam bez ciebie: — Stuknął szablą o podłogę, aż zabrzęczało w uszach niemcowi. Niemiec się zastraszył i z ust nie wypuścił wyrazów, które chciał powiedzieć wychodzącemu.

Gnoiński przechodząc drugą komnatą, spostrzegł między Jenerałami Szwedzkiemi Hieronima Radziejowskiego. Zdziwiło go mocno zjawienie się człowieka, o którym wiedział, że przed kilkoma dniami był w Warszawie. Rad że znalazł sprzymierzeńca, zbliżył się do niego i chciał go po przyjacielsku powitać; ale Radziejowski ukłonem dworskiej układności ten pochop powstrzymał, przez zęby przedził zwyczajnie, nic nie znaczące powitanie, i dodał. — Przepraszam, jestem zatrudniony — a z cicha mruknął — uciekaj — i rozeszli się z sobą.

U Radziejowskiego na twarzy był słodko-szyderczy uśmiech, objawienie się jakiejś nowej zdrady, albo nowego wykrętu: u Gnoińskiego w oczach gniew pałał, a na czole osiadła duma, i

pogarda dla ludzi, a może w tej chwili dla jednego tylko człowieka.

Zasapany, przyszedł na plebanję, wołał Strynżę, dąsał się, gniewał. — Poczekajcie psy, zobaczemy kto do kogo pierwszy przyjdzie — a kiedy wszedł Strynża, groźno na niego spojrzał:
— I cóż Waść zrobiłeś?

— Jaśnie Wielmożny Panie, ona tu jest, ale. —

— Jakież tam znowu ale? — Tu dały się słyszeć mnogie stąpania na dziedzińcu, i brzęk ostróg.

— Jaśnie Wielmożny Panie, nasz cały poczet otoczyli Szwedzi i wzięli pod straż.

— Kto śmiał? biegnij Waść, na koń niech siadają. Bić! mordować! ja ich nauczę. — Dłonią spróbował czy jest szabla przy boku, i wybiegł z komnaty. W samych drzwiach spotkał Hrabiego Falkenstejna i zatrzymał się. Przez krótką chwilę stanęli i popatrzyli sobie oko w oko. Szwed spuścił czoło ku ziemi, a szlachcic polski nastawił się i podrósł postawą.

— Panie Hrabio, co cię sprowadza do mnie w tak licznym orszaku? — bo widział w sieniach i na dziedzińcu mnóstwo szwedzkich drabów.

— Panie Jenerale, znasz mój szacunek dla ciebie; wiesz ile cenię twoje męstwo, i poświęcenie się dla sprawy naszego Króla Pana, ale smutna powinność żołnierza nakazuje wypełniać wolę starszego.

— Panie Hrabio, bez tych korowodów, wprost do rzeczy, czego żądasz?

— Z rozkazu Jaśnie Oświeconego Margrabiego Badeńskiego, w imię Króla i Pana naszego Karola Gustawa, przychodzę Pana Jenerała aresztować.

— Mnie aresztować? — mnie? —

— Panie Jenerale, uspokój się. Król Jegomość dziś przyjeżdża; wszystko się wyjaśni. Musi to być jakieś fałszywe doniesienie, ale teraz tylu Polaków odstąpiło Króla, któremu raz przysięgli wierność: Król musi być ostrożnym. Panie Jenerale, my bolejemy nad tem. —

Gnoiński gryzł wargi, aż krew z nich wydobył. — Mnie szablę odebrać, tego nikt nie dokaże. Nie ucieknę, czekam na waszego Króla; stawiaj straże ale do szabli wara. — Odwrócił się, wszedł do komnaty i zatrzasnął za sobą drzwiami. —

I zaczął rozmyślać. — Dokazałem wiele, gniew pohamowałem. Ja wnuk Zborowskich przed Szwedem się upokorzyłem; ale bez tego cóżbym dokazał? Zrąbałbym z dziesiątek tych drabów, zginąłbym, albo musiałbym ztąd się wynosić. I tak, i tak, wymknęłaby się mi znowu Hetmanówna, a ona musi być moją, musi. Ich Król! — cóż on ma do mnie? — czyż moja szabla nie farbowała się krwią polską? — Na tę myśl o polskiej

krwi, wyrzut sumienia tknął go w serce. — Tak Zborowscy nie robili. Wadzili się ze swojemi, ale nie służyli wrogom. — Ale ten wyrzut sumienia tłumił myślą: — I ja chcę Polski, lecz nie chcę eks-jezuity Króla, Czarnieckich na Hetmanów, Kozaków na współ-braci. —

Kiedy tak Gnoiński na plebanji męczył się różnemi a różnemi myślami, a Szwedzi do koła obstawiali mnogie straże; w miasteczku, w lichym żydowskim domku, w izbie na zatyłku, było dwóch ludzi: jeden opięto, po niemiecku przybrany, na ramionach zarzucony hiszpański płaszcz, drugi w żydowskich łachmanach; obadwa stali i rozmawiali z sobą z cicha, chociaż w izbie nikogo nie było, a z nadworu żaden szmer nie dolatywał, bo domek był w zaułku, odsunięty od rynku, a co bardziej nie zajezdny. Na przypiecku w glinianym świeczniku skwarczała łojowa świeca, i słała na izbę tak mdle światło, jakby lada chwilę miała zgasnąć. Żyd gadał, mrużył kaprawe oczy, chlepał połykając ślinę, i nosa palcami ucierał, widać wpadł w zapał: — Jego Jasność widzi, jak ja służę; co tylko my wiemy to wszystko ja jego Jasności zaraz donoszę, a my wszystko wiemy. Oto tak było, z przeproszeniem jego Jasności, niech się o to nie gniewa. Żonka Jasnego Pana, ta rozwódka, ona coś takiego miała z Panem Jenerałem Starostą, ja tego nie wiem co to było, tak ludzie mówią, niech Jasny Pan mnie daruje.

— Mniejsza o to, ale cóż ona zrobiła?

— Ona pisała do samego Króla Karola list, że Jasny Pan i Jenerał Starosta prowadzą na Króla Koronnego Marszałka, i przysłała papiery co mówią że tak jest. Król Karol tak się zagniewał, że chciał zaraz jechać, i byłby wiele licha narobił, ale na szczęście ten raby Kasztelan drogę mu zajechał; a tak ja mógł Jasnemu Panu wszystko donieść, a jego Jasność pewnie już tak zrobił, że wszystko dobrze pójdzie.

— Dziękuję ci Panie Becalu, jakoś to teraz temu wszystkiemu poradziemy. Samem oskarżył Gnoińskiego.

— Nu, żeby tego Żytkiewicza byli złapali, jegoby można tak nafortować, żeby on powiedział wszystko na Starostę Jenerała.

— Stało się, teraz trzeba żebyś jechał do Krakowa, do uczonych, i z niemi zrobił tak aby milczeli. Możesz być pewnym że wynagrodzę przyzwoicie twoją pracę.

— Ja znam jego Jasności wspaniałość; ja mam maleńką prośbę o kupno tych sreber kościelnych w Warszawie, ja tam syna poszlę.

— A prawda? — masz oto list do Wittemberga; a teraz nie trać czasu. —

Żyd pokłonił się, schował list, i podrapał się w pejsy: —

Upadam do nóg jego Jasności. Ja nie śmiem: trochę na drogę, bo wszystkom wytracił.—

Sięgnął do kieszeni Radziejowski: — Na, masz Panie Becalu, tylko mi się dobrze spraw. Bądź zdrów — i odszedł.

— Upadam do nóg, niech Pan Bóg ma w swojej opiece jego Jasność; niech Jasny Pan będzie spokojny. — Kłaniał się aż do ziemi i zamykał drzwi za Radziejowskim; potem liczył złoto, ważył na palcach: — No, te goimy głupie jak owce, kto chce to ich doi; no, to obiecany kraj ta Polska, i Szwedzi płacą, i Polacy płacą i wszystko płaci. Niech się kpy biją, a my bierzmy złoto, za złoto wszystko nasze; ale szkoda mi tego Starosty, dobrze płaci, i on taki dobry człowiek. Nahuka, nakrzyczy, ale zawsze się da oszukać, zwyczajnie Polak. Już ten Radziejowski to cymes, z nim trzeba ostróżnie. Ja zapomniał powiedzieć Staroście, że jego brat Pan Mikołaj odstąpił Jana Kazimierza, i poszedł służyć Rakocemu, możeby i on tam poszedł. Ja sprobuję do niego przekazać o tem, dobrzeby było żeby on się wykręcił, on bogaty jeszcze. — Żyd myślał o Samuelu Gnoińskim, a raczej o jego złocie.

Nazajutrz dzień przybył do Warki Karol Gustaw w poczcie nielicznej jazdy. Już to nie ten zuchwały Szwed, co po wejściu do Krakowa obchodząc groby królów, na słowa Księdza Starowolskiego, iż Władysław Łokietek trzy razy tracił i trzy razy odzyskiwał berło polskie, odpowiedział: Wasz Jan Kazimierz raz uciekłszy, już nie powróci. Wtenczas Ksiądz Starowolski słowami: — Moc Boża wielka, a los ludziom nie stały — upokorzył dumę najezdnika. Ale teraz Stefan Czarniecki szablą pokazał prawdę słów wieszczych. Zachwiała się Karolowa nadzieja posiadania Polski, ale złość i gniew popędliwy w nim się nie zatarły. Złościł się, że mu szczęście nie dopisuje; miotał się gniewem na to, że Polacy jedni po drugich odstępywali jego znaków i powracali do służby Ojczyzny, do służby prawego Pana. Chciałby spędzić swój gniew na kim, ale na takim coby mu się hardo nie śmiał stawić. On obyczajem wszystkich ciemiężców ludu, przywłaszczycielów cudzej własności, zuchem dla tchórzów, tchórzem przed zuchami.

Gniewny był Karol, jasne oko krwią zaszło, śniada twarz aż pożółkła tak się po niej żółć rozlała; usta krzywiły się szyderczą goryczą. Z niecierpliwości targał jasne włosy kuczmiastej czupryny, a rosłą postawą chciał wszystkich strachem nabawić. Nie wyglądał on na króla władcę, co wspaniałem i pogodnem obliczem pociąga serca ludu ku sobie; co uroczą powagą a nie przechwalczą grozą nakazuje posłuszeństwo dla siebie. On był zwyczajnie starszy knecht Germańskich knechtów, co w nic na świecie nie wierzy, tylko w złoto i

w kułak; złoto ludziom wydzierać i za nie ludzi kupować; kułakiem zmuszać do miłowania i do słuchania siebie. I przed takim to panem drżeli Książęta i Margrabiowie niemieccy, Skandynawi, praszczurowie dawnych towarzyszy Odina? Korzyło się podle kilku panów polskich, którzy jeszcze bezcześci z siebie nie zmyli. Radziejowski zdrajca, nikczemnem płaszczeniem się i pochlebstwem uchodził gniew Karola, i stwierdzając dawną gadkę: że dzikiego zuchwalca pochlebstwem i uniżonością można zawieść na kraj świata, tak nastroił Szweda, jak sam chciał. Wymógł na nim, że nie sąd kazał zwołać na Gnoińskiego, ale postanowił sam go wysłuchać.

Ledwie kilka godzin upłynęło od przyjazdu Karola do Warki, kiedy na rozkaz jego stawił się przed nim Samuel Gnoiński. Wnuk Zborowskiego śmiało wszedł do komnaty, jakby naumyślnie brzękał szablą, i hardem okiem zmierzył od stóp do głowy szwedzkiego króla. Karol tego spojrzenia znieść nie mógł, spuścił czoło ku ziemi, i palcami bawił się z rękojeścią miecza. Radziejowski stał koło okna, pół twarzą obrócony ku szybom; niby przypatrywał się zachodzącemu słońcu, a temczasem ciągle strzygł w bok oczyma, i ukradkiem chwytał każde poruszenie, każdy niemy znak Starosty i Króla. Margrabia Badeński i Flamandczyk Potter, jak dwa kamienne posągi podparli ścianę przy drzwiach, i obadwa Niemcy myśleli, że szlachcic polski przychodził pytać Króla o rachunek z jego czynów, a nie przed nim zdawać rachunek ze swoich.

Czas jakiś było milczenie, nareszcie Gnoiński potarł ręką szerokie czoło: — Najjaśniejszy Królu i Panie, twoi słudzy mnie znieważyli.

Widać że ta mowa zagniewała Karola, bo prędko odrzekł: — Ja kazałem.

— Ty Królu? I takaż to nagroda u Waszej Królewskiej Mości dla tych, którzy swoje z jego losami związali? którzy poświęcili tylekroć razy mienie i życie w jego sprawie? —

Karol ledwie uhamował wybuch gniewu, wziął w rękę jakiś list i dał Gnoińskiemu: — Czytaj. —

Radziejowski zbladł, a Gnoiński czytał, ale żadnego zmięszania się na jego obliczu dostrzedz nie można było; oddał list obojętnie: — Ja pisałem. —

— Jak to? w mojej służbie będąc, mnie zdradzać!

— Królu, ja tobie nie służyłem, ani ciebie zdradzałem. Stając się twoim sprzymierzeńcem, Najjaśniejszy Panie, nie stałem się sługą; nie przestałem być Polakiem. Nie chciałem eks-Jezuity na Pana, ofiarowałem koronę Marszałkowi Koronnemu, ofiarowałem tobie Królu szwedzki, i dziś jako szlachcic polski mam koronę do dania, albo i do wzięcia.

— Jakto? wy macie koronę do dania? Czyż nie ja waszym panem przez oręż?

— Najjaśniejszy Panie, ten Królem Polski, kogo szlachta obwoła, kto zaprzysięgnie Pacta conventa. Dopełń jedno i drugie a będziesz naszym Panem.

— Ja was nauczę buntownicy! ty zuchwalcze! — i podniósł rękę do góry.

— Królu, nie groź, bo i ja mam szablę — i dłoń przyłożył do rękojeści. —

Radziejowski rzucił się między Króla i Starostę: — Panie Gnoiński, na kolana! —

— Ty na kolana, nie ja. Królu panuj nad takiemi, ja ciebie żegnam — i zwrócił się do odchodu.

Król zajęknął z gniewu: — Zabić! zamordować! rozstrzelać! — ale już Gnoiński odepchnął Pottera odedrzwi i wyszedł.

Radziejowski padł na kolana przed Królem. — Najjaśniejszy Panie, hamuj twój sprawiedliwy gniew. Surowością nie odstręczaj do reszty Polaków sobie poddanych. —

Karol nogą odepchnął nikczemnika, krzyknął na Margrabiego Badeńskiego: — Zamordować go tam — wszystkich wymorduję, wytępię — i drżał ze złości jak w febrze.

Na dziedzińcu zgiełk, wrzask, nawet kilka strzałów słyszeć się dało. Jakiś tam Szwed krzyknął: — Polacy się zbuntowali. —

Karol z dobytą szablą, mimo zaklinania Radziejowskiego wyskoczył na dziedziniec; jeszcze mu na sercu nie brakło kiedy gniew krwią zakipiał.

Na niebie ciemny mrok, i na ziemi ciemno. Słychać tylko krzyki trwogi szwedzkich straży. Tu kopytami zatętnią pojedyncze konie, i pojedyńczym brzękiem zadzwoni pochwa szabli; tam musi cały hufiec walić, bo ziemia jęczy i stęka, jakby się miała rozpaść. Słychać ciężkie stąpania knechtów, wrzaski szwedzkich i polskich głosów. Słychać kiedy niekiedy strzały palnej broni, i zadźwięczenia uderzonej stali o stal, a wszystko to się odbywa po ciemku, nic nie widać. Szwedcy dowódce ogniów nie pozwolili zapalać, ani w obozie, ani mieszkańcom, bojąc się umówionego napadu ze strony Polaków. Tak przeszła cała noc w ruchu i strachu.

Nazajutrz dzień, swoim zwyczajem Król szwedzki zapłakał ze złości. Gnoiński wyszedł z Warki i wyprowadził z sobą wszystkich Polaków co byli jeszcze przy szwedzkiem wojsku Margrabiego Badeńskiego. Karolowi nie zostawił tylko kilka trupów polskich, i kilkunastu zrąbanych Szwedów. Karol nałajał, nagromił swoich wodzów, czemu dali się wymknąć po-

czetowi Gnoińskiego z aresztu, i czemu nie porąbali w kawałki Polaków; nareszcie zostawiwszy Margrabiego Badenu w Warce z dziewięcią tysiącami knechtów i rajtarów, sam w poczcie kilkuset jazdy powracał do Leżańska, gdzie się spodziewał połączyć z posiłkami dzisiejszego sprzymierzeńca Brandeburgu. Siadając na koń w gniewie zapowiedział: — Krwią zleję, zasieję kośćmi polską ziemię, szlachtę wywieszam; powywożę w lodowate kraje, a będę panem Polski. Zniszczę, spustoszę wszystko, a pustki i bezludzia osadzę skandynawskim rodem. —

Zbrodniarzowi Radziejowskiemu i wstydno i smutno się zrobiło, bo wyrzut sumienia jak młotem walił mu w ucho myślą: tyś naprowadził Szweda na Ojczyznę. —

Kiedy te wszystkie rejwachy działy się we dworze i w mieście, Cześnik w izdebcze klucznicy, nie kłamiąc przypowiastce: że jak trwoga, to do Boga, klepał Ojcze nasz, Zdrowaś Marja, Litanje i Koronki, co chwila wysyłał na zwiady dziewki i małych chłopaczków, żeby się dowiadywali, co tam się dzieje na plebanji. Dopiero po wyjeździe szwedzkiego Króla odważył się wyjść na folwarczny dziedziniec; lada knechtę albo ciurę szwedzkiego uprzejmie witał, a widząc że mu stryczka na szyję nie zarzucają, nabrał otuchy.

Już zmierzał ku dworowi, kiedy mu zaszedł drogę Aron Becal; zadrżał na widok żyda. Pomyślał sobie: szpieg, szelma; prawdę mówił Żytkiewicz. Zmusił siebie do uśmiechu przywodząc na pamięć co starzy mawiali: do Pana Boga się módl, a djabła nie obrażaj.

— Jak się Waćpan masz Panie Becalu?

— Nu, jako tako. Chwała Bogu jeszcze żyję; ja przyszedł do Wielmożnego Pana za miód zapłacić. Ja słowny człowiek, a gdzie odliczemy pieniądze?

— Daj Waćpan pokój temu, Szwedzi gotowi i miód zabrać, i pieniądze mi odebrać. Ot ja Waćpanu wrócę zadatek; inną razą tę rzecz skończemy — i leniwo ręką do kieszeni sięgał.

— No, ja tego nie potrzebuję. Niech zadatek przy Wielmożnym Panu będzie, zostawię pieniądze Ickowi Koziennickiemu, on Panu zapłaci i miód zabierze, bo ja muszę jechać: — Zbliżył się do ucha: — A co Wielmożny Pan myśli o dzisiejszej nocy?

— Nic nie wiem co to było.

— Nic. To ten Starosta Gnoiński wszystkiego narobił; wybił Szwedów i ze wszystkimi Polakami porzucił Króla Karola. — Obejrzał się na wszystkie strony: — Nu ja jego kocham, on tęgi zuch. Ja polak, tego Szweda niech djabli wezmą; jego ludzie już pod aresztem siedzieli; ja kogoś posłał do nich żeby

swego pana bronili, i dziwnie się dobrze zrobiło. Co Wielmożny Pan mówi na to?

— Ja nic nie mówię, to do mnie nie należy.

— A Pan Polak?

— Ja stary, do niczego się nie mięszam.

— Dobrze Wielmożny Pan robi; ale gdzie Imość i córeczki; bo to te Szwedy to psy, gotowi. —

Przerwał Cześnik: — One się niczego nie boją, jeszcze wczoraj ztąd wyjechały. —

— A dokąd? jeźli się godzi Wielmożnego Pana zapytać. Ja sługa pańskiego domu, ja tak kocham pańskie dzieci.

— Dziękuję, one pojechały do — do Warszawy.

— No, tak daleko, same z panem Skarbnikiem? to niebezpiecznie. A którędy? bo ja znam wszystkie drogi, która bezpieczniejsza a która nie. —

Przyjście szwedzkiego oficera przerwało rozmowę. Ten z ociężałą grzecznością Niemca prosił Cześnika do swojego wodza, a Becal pożegnawszy Cześnika, drapał się w głowę i mruczał pod nosem: — Do Warszawy? — coś on zatrzymał się, może zełgał. Do Warszawy? — Wojsko szwedzkie zaraz za mną przyszło, jakby ich ztąd przepuścili? — ale może. Szlachcic to każdy głupi, zawsze się wygada, ale którędy? — ten szelma Szwed przeszkodził. — Pan Starosta ztąd musi być nie daleko, on by dobrze zapłacił, i tak zapłaci. Do Warszawy — niechaj szuka. — I prędko pobiegł aż pantoflami klapał.

W plebanji białym dniem kiedy się wszystko już uspokoiło, ksiądz pleban z koszem pod rewerendą wszedł do kościoła. Obejrzał że tam nie masz żywego ducha, bo jeszcze wierni nie przyszli na mszę świętą, a Szwedzi już wczoraj obejrzeli, iż tam nie masz ani srebra, ani złota; tylko cyna na świecznikach i niecenne malowidła w ołtarzach. Otworzył drzwiczki i zamknął za sobą, wązkiemi schodami wdrapał się na kościelną wieżę, postukał dziewięć kroć razy w drzwiczki, otworzono mu i z dobytą karabelą Skarbnik go powitał. On choć stary, gotów w obronie niewiast swoją krew przelać a cudzej utoczyć.

Tu dopiero przestraszone niewiasty otoczyły plebana i pytały: co to był za rozruch? On im wszystko opowiedział, jak mógł zaspakajał, zostawił skromne pożywienie dla ciała, pobłogosławił i prędko odszedł.

Pannę Joannę dreszcz strachu przejął, kiedy się dowiedziała że tak blizko był od niej Gnoiński. Cześnikowa i Starościna Horodelska o mężów się trapią. Panny Cześnikówny smucą się więzieniem, boją się Szwedów, a wszyscy się modlą, cieszą się jak mogą i jak umieją.

Leniwo czas płynął; w tem więzieniu i smutno, i nudno a straszno; nawet i myśli, te pocieszycielki smutku zniechęciły się, odtrącają marzenia o przeszłości i od przyszłości, a ciągle strach przed oczy stawiają. Zrana, słuchali jak jęczy spiż kościelnego dzwonu, niby płacze nad niemi; w dzień jakieś gwarne a niezrozumiałe wrzaski dolatują przez powietrze, albo kawki na przedrzeźnianie kraczą im w uszy; w wieczór znowu dzwony łkaniem zapłaczą. W nocy wśród dalekiej i szerokiej ciszy, na kopule puszczyk dziko pohucze, a na dole przed kościołem, knecht jeszcze dziczej chrapawem — Werda! — się odzywa. Biedne niewiasty, biedny Skarbnik, nawet rozmową zabawić się nie mogą. Ledwie coś pocichu zaczną rozmawiać, aż tu coś szerknie na schodach, zadzwoni w szybę; wtenczas jeszcze ciszej wszyscy sobie powiadają: — Jezus, Marja, Józef, ratuj! — i milczą. Za całą wolność, wolno im przez wązkie okienka patrzeć na okolice. Miło to i lubo, dać pohulankę oku, kiedy człowiek może sobie powiedzieć: jak zechcę, to tam będę, ale tęskno, i smutno patrzeć, kiedy za każdem spojrzeniem, trzeba sobie powtórzyć: ja tam być nie mogę.

Tak przeszło pięć dób długich i przewlekłych jak wiek. Szóstego poranku słońce świetnie zajaśniało, w mieście w tarabany jak na gwałt biją, brzmią chrapawo trąby, brzęczą bronie, konie tętnią i wszystko to gwarnym a zmięszanym rozgłosem dolatuje do wieży. Panna Lanckorońska pierwsza do okna się rzuciła i zawołała: — Nasi idą! wszyscy stanęli przy okienkach i patrzą.

Widać, widać jak na dłoni. W mieście niby mrówki w rozsypanem mrówisku, uwijają się knechtowie szwedcy, i ciągną ku rzece nad most; z wrót dziedzińcowych hurmami wysuwają się rajtarowie, przez ulice 'kłusują, i w lewo miasta szykują się po nad Pilicą. Za rajtarami ciągną armaty, ciągną i przed most armaty. Wodzowie szwedcy szykują wojsko; prawe skrzydło w mieście rotami knechtów obstawili, na skrzydle lewem za miastem, na rozległem błoniu, czołem ku rzece, rozwinęły się liczne chorągwie rajtarji, w środku przy samem mieście, w odwodzie i konne i piesze hufce. Nad mostem i na wzgórzu tuż podle jazdy ustawiono armaty. A widać tak pewny Margrabia zwycięstwa, że ciurom z wozami pozwolił stać na rynku w mieście.

Za rzeką, szlakiem od Kozienic ciągnie jazda długim a długim sznurem; ciągnie raźno i ochoczo, tumam kurzu ją nie otacza, bo wczoraj deszcz jakby umyślnie hojnie skropił ziemię. Po nad głowami jeźdców migają barwiaste proporce; pod jeźdcami rabieją różno-mastne konie, za wzgórek zaszli, i znowu wyszli na błonie; jak wężyki błyskawic, tak broń przylśkniona promieniami słońca migoce

w oczach, wybiegają chorągwie za chorągwiami i do szyku stają.

Jakiś jeździec na białym jak mleko koniu przebiega szeregi; tam ręką machnie, tu coś szablą pokaże, i na ten niemy znak chorągwie zabiegają w lewo i w prawo, w kłus, w czwał i do szyku stają, musi to wódz sprawiać swoje wojsko! Już sprawił, dwanaście chorągwi ciągnie wprost drogą ku Warce, dwanaście chorągwi w prawo zwróciło i błoniem kłusuje ku rzece.

Widać jak na dłoni; bitym szlakiem bieży jazda lekkich chorągwi; przed nią rotmistrzuje jeździec na dereszowatym koniu, za nią tuż, tuż walą pancerni z proporcami; pancernych wiedzie mąż na złoto gniadym koniu, koń się rwie jakby przywykły powodyrować. Panna Joanna krzyknęła: — To on! — i patrzy.

Błoniem kopią się jeźdce bez proporców, konie w kłusie tak przeplatają nogami że aż w oczach się bałamuci, nad jeźdcami sterczy las spis, groty błyszczą jak promyki śmierci, burki z ramion jak do lotu się zrywają, kołpaki czerwoną krwią majaczeją; to kozacza wiara, dzieci Ukrainy. Przodem nich, sam wódz na białym koniu bieży, obok niego jakiś jeździec; pod nim skarogniady koń w szczupakach sadzi, jakby się chciał z pod siodła wyrwać, jeźdca szabla wzniesiona do góry błyska po nad kołpakiem, burka aż na lewe ramię zalatuje i trzepie konia po szyi, musi to być pułkowodca kozaczy. Panna Joanna znowu krzyknęła: — To on! to on! — krasa wystąpiła na jej lice, a serce jak młotem zakołatało; i patrzy.

Widać, widać jak na dłoni; rzeka płynie okazale, płynie bystro; prądy koło prądów rysują się na lśniącej wodzie, przykłusowała kozacza jazda nad rzekę i w miejscu się zacięła. Wódz na białym koniu coś musiał przemówić, bo kilka razy szablą wywinął nad głową, i już hurmem jeźdcy w rzekę skoczyli; woda zburzyła się, zakipiała, w setnych miejscach jak strumieniami trysnęła. Konie biją się nogami po fali, i hulkają w skokach.

Słychać — słychać — huknęły Szwedzkie armaty, tak razem i hucznie, jakby się ziemia rozpękła; a potem nieprzerwanym ciągiem jak grzmoty walą jedne po drugich; na gwałt w tarabany tarabanią, aż w uszach terkocze; na rozdęcie piersi otrąbują w trąby, aż w gardle drapie; a w powietrzu taki dziwny huk, turkot, brzmienie, jakby koniec świata nadszedł.

Widać — widać — po ziemi błyski i dym. Szwedzka rajtarja w miejscu stoi; chłopy z wzniesionemi szablami, konie naprężone, jak na wylocie czekają niemieckiego hop! hop! hura! — Polscy jeźdce raźno wyskakują z rzeki i w czwał

tatarskim obyczajem w półksiężyc się szykują; już kozacze spisy przyłożyły się nad uszy końskie i żmijem okiem grotów zabłyszczały w oczy Szwedom; obiedwie jazdy z kopyta pomknęły ku sobie, ziemia rwana podkowami gradem ku niebiosom się wyrzuciła, powietrze zawrzało niemieckiem hop! hop! hura! — Chrześciańskiem: Sława Bogu — tatarskim: Ałłach — i kozaczem: bij! kól! siecz! — Szeregi z szeregami się zwarły, koń o konia się trącił, jeździec starł się z jeźdcem, szeregi zmięszały się z sobą, jak wirem zakręcili, porwały się na drobne kawałki.

Szwedzi zmykają w pole ku lasowi i do miasta, a Polacy spisami dźgają w plecy i przez łeb koński na złamanie karku, walą Szwedzkich drabów na ziemię, jak dwa stada wron i kawek, kiedy w powietrzu się zdybią i uderzą na siebie, po całych obłokach się rozsypią i osobnemi kupkami gonitwy zawodzą; tak po błoniach ugania się jazda, a tak szybko migają przed wrogiem, że okiem ciężko zachwycić konia, albo jeźdca; tylko wszędzie za sobą gubią, trupy ludzkie, końskie, jeźdców bez koni, koni bez jeźdców.

Armaty szwedzkie w miasto uciekły, a tu w mieście bój. Jazda lekkich chorągwi most przeskakała, choć szwedzkie kule w rzekę na prawo i na lewo nazrzucały zadość i jeźdców i koni; rozparła pierwsze roty knechtów, towarzysze spisami zapruli po Szwedzkich łbach i piersiach, szeregowcze z góry szablami siekli pieszych drabów, konie kopytami miesiły trupów i rannych.

Pancerne znaki tabunem wczwałowały do miasta; proporczystemi spisami pokotem waliły przed sobą, co tylko im się nawinęło; miażdżyły wszystko co im drogę zaległo. Szwedzi, jedni broń rzucali i błagali o życie; drudzy uciekali pod płoty do domów; i tam jeszcze bronili. Armaty ucichły, strzały palnej broni kiedy niekiedy hukną, tylko zewsząd słychać straszliwe krzyki, i jęki przeraźliwe; ziemia jęczy i stęka; w powietrzu brzmi i jęczy: taka mięszanina, taki bój, że aż ckliwo i straszno patrzeć.

Niewiasty od okien pouciekały. Panna Lanckorońska, cała drży, oko błyszczy, rumieniec się krasi, łza na źrenicy, uśmiech na ustach. — To oni! to mój ojciec! to on! — i więcej mówić nie może: tak nią miota radość i trwoga; chciałaby biedz ku nim, a nie śmie; chciałaby mówić o nich, a nie może: pierś się wzdyma, nogi klękną w kolanach. Inne niewiasty ze strachu w kąt się cisną, Skarbnik tylko patrzy.

Przed kościół uciekło kilka rot Szwedzkich knechtów i szturmują do drzwi, żeby tam się schronić; wtem kilkudzie-

sięciu pancernych przypadło i uderzyło na nich. Jeździec bez czapki ze srebrnym włosem na głowie, na złoto-gniadym koniu, pierwszy wskoczył między knechtów, a pancerni za nim. Knechci zapamiętale się bronią; już koń starego wodza, i sam wódz w niebezpieczeństwie; wtem z boku od dworu przyskakało kilku kozaków, na ich czele kozak na skarogniadym koniu. Widać spostrzegł, że wódz w niebezpieczeństwie, konia nogami ścisnął, koń jak sparzony dał pięć susów i już między knechtami. Jeździeć się przechylił, w prawo, w lewo szablą płatał, i w prawo, w lewo knechtów rozpierał. Do starego wodza się dostał właśnie w chwili, kiedy knecht mieczem godził w jego pierś, a on nie mógł odbić cięcia bryźniętą karabelą; kozak jednym machem szabli, gładko jak brzytwą, odmiótł knechtowi rękę z mieczem, a sobą zasłonił starego wodza. Ale niebawem Szwedzi broń rzucili, i ze wszech stron otrąbywano polskie zwycięstwo.

Młody kozak zsadził starego wodza z konia, a ten oparł się na jego ramieniu jakby na synowskiem. Pancerni zawołali: — niech żyje nasz Hetman!

Nadjechał na białym koniu mąż w rysiej szubie, a wszyscy i z nimi stary Hetman, zawołali: — Niech żyje Kasztelan Kijowski, nasz wódz! niech żyje Stefan Czarniecki! —

Kasztelan zawołał, a za nim wszyscy — niech żyje Ojczyzna!! — Zsiadł z konia i pytał Hetmana: — Czy nie ranny? — Hetman skinął głową.

— Nic mi nie jest Panie Stefanie: on mi ocalił życie — i wskazał ręk na kozaka.

Kasztelan wziął za rękę Teterę: — Mój Semenie, tyś chwat! —

Tu kościelne podwoje się rozwarły, wyszedł ksiądz przybrany w świąteczny ornat, z panem Bogiem w ręku, i zaśpiewał hymn: Ciebie Boże chwalemy!

Polacy i kozacy, ci co byli na pieszo padli na kolana, ci co na koniach, głowy odkryli. Wszyscy wznieśli dobyte szable do góry, i gromko a serdecznie śpiewali: Ciebie Boże chwalemy!

Po tej czci oddanej Bogu, Kasztelan dawał rozkazy: niewolników sprowadzać, łupy ściągać w jedno miejsce. Lud polski witał polskie wojsko, a niewiasty wyszły z kościoła; panna Joanna rzuciła się w ręce ojca: — Mój ojcze! mój ojcze!

On ją ciśnie do łona, staremi ustami całuje czoło, skronie, oczy. — Moja jedynaczko! moja jedynaczko! Jemu dziękuj, że masz ojca! — i prawie rzucił ją w ramiona Tetery.

Ona nieśmiałym głosem rzekła: — Semenie, mój bracie! — — i trochę ustami dotknęła jego lica. On ją w rękę pocałował, zrumienił się aż do uszów, i stał jak niemy.

Wąsowicz co przed chwilą przyjechał, i patrzał na powitanie Tetery z panną Lanckorońską, ruszył ramionami i sam powiedział do siebie. — To mi gracz! Na armaty, na kule, na miecze leci jakby na taniec; a tu przed jedną białą spodniczką, stoi gdyby żak spylony; trzech zliczeć nie umie. Ja stary, a dalibóg takiej dyszkiepcji nie zrobiłbym pańskiemu dziecięciu.

Piękne to było zwycięstwo w Warce. Margrabia Badeński ledwie w pareset koni uciekł w Czerskie lasy, z górą trzy tysiące Szwedów i Niemców zaległo trupem okoliczne pola i ulice miasta; z górą cztery tysiące jeńców polakom się dostało, a pokiereszowauych i nadkłutych pełno po chałupach i po karczmach. Armat, broni, koni, sprzętów szwedzkich; nagrabionych w polskich kościołach, po obywatelskich domach, co nie miara nabrano; siedmiu jenerałów w polskiej niewoli. I to wszystko, zrobił naród co przed tygodniami nie miał ani wojska, ani skarbu, ale miał serce powiedzieć: chcemy być Polakami, uznajemy królewską władzę, bijmy, mordujmy wroga. Przy dobrej woli i mężnem sercu znalazły się szable, konie i ludzie; znalazł się Wódz co do zwycięstwa wodzi, co wrogow wytępi, wypędzi, i odda Polskę niepodległą ludowi wolnemu, prawemu Królowi.

Państwo Cześnikowstwo hojnie zostawili stoły smaczną szlachecką strawą, i dobornym szlacheckim napojem. Miłych gości raczą szczerze, od serca po staropolsku. Pan Kasztelan Kijowski rad, wąsy pomuskuje, i powiada do Wąsowicza: — Mościpanie Krzysztofie, mówiłem że co Polak zechce to zrobi; pokazaliśmy że te psy nie Szwedy ale Szwedziki. Pan Starosta Bobimowski, za stotysięcy mi dziś stał. Powiadam Waszmości że chwat; na wielkiego wojaka wyjdzie. — Wąsowicz już po tuzinie kielichów podkręcił wąsa.

— Mości Panie Kasztelanie, co prawda to nie grzech. Po kozacku się bije to prawda, ale do czego innego to nie po kozacku się bierze. — I spojrzał z ukosa na Teterę stojącego obok Panny Lanckorońskiej, i coś tak nieśmiało rozmawiającego, jakby sią jąkał.

Stary Hetman podziękował Skarbnikowi, Pani Służewskiej i gospodarstwu, za opiekę nad swoją jedynaczką, a czując jakąś niemoc, poszedł spocząć.

Przez troskliwość Panna Joanna poszła za ojcem, a niebawem Tetera, wiedziony czy tąż samą troskliwością, czy też

innem uczuciem, poszedł także dowiedzieć się o zdrowiu Hetmana.

W drzwiach hetmańskiej komnaty spotkał Pannę Joannę wychodzącą na palcach; skinęła na niego ręką: — Śpi — i zamknęła drzwi za sobą. Tetera stanął, coś chciał powiedzieć, i nic nie powiedział.

Ona spuściła oczy ku ziemi, zarumieniła się dziewiczą krasą, westchnęła nie ze smutku, ale z nieśmiałości: — Jak ja wdzięczną Panu jestem. —

On ją wziął za rękę i całował i cisnął z lekka, i zdało mu się, że uczuł lekkie uściśnięcie swojej ręki: — Panno Joanno, czemu my nie w Kitajgrodzie? tam było lepiej! —

— Czyż tu przestałam być dla — zająknęła się — dla Pana siostrzyczką, czyż ja nie ta Joasia, co dawniej? — tak się uśmiechnęła rozkosznie, słodko, tak lubo spojrzała oczyma, że aż serce Tetery w górę skoczyło, jakby z łona do niej się wyrywało.

— O nie! nigdy! moja siostrzyczko! Panno Joanna, ja ciebie kocham, nad świat, nad wszystko, nad siebie! O! kocham! kocham — i całował rękę, jakby chciał zacałować.

Ona spuściła czoło ku jego głowie, i ustami z cicha szepnęła — ja ciebie kocham, Semenie.

W kozaku krew warem zakipiała: — Ty mnie kochasz? — Dziewica się osunęła na jego ramię jakby z puchu była zwiana; on ją całował: — Moja Joasiu, moja jedyna! — ona półcałunkiem go odcałowała, szepnęła — kocham. — On jej rękę ciśnie do serca, a jego serce aż topnieje ze szczęścia: — Joanno, ty moją będziesz!

— Niczyją nigdy, tylko twoją! —

Wtem trąby zabrzmiały na dziedzińcu. To Pan Kasztelan każe na koń wsiadać. Tetera jeszcze raz pocałował Joannę i powtórzył. — Ty moją będziesz. —

— Twoją, mój luby! ty odjeżdżasz? — i załamała ręce.

On już nie trzyma jej ręki, ale stanał; napanoszył się postawą, zhardział twarzą: — Ojczyzna woła, sława wojenna woła. Słuchaj luba: jam nie Pan, nie Książe, alem więcej niż Pan, niż Książe. Mam twoje kochanie, mam szablę; przez szablę mitry, buławy dostanę i tobie pod nogi rzucę, boś ty moja Pani.

— Nie chcę ja ani mitry, ani buławy, tylko ciebie jednego, mój luby. Ty powracaj, a wszystko niech przepada. —

— Nie płacz, nie płacz, moja miła. Ja powrócę, ja zwyciężę, bo ty mnie kochasz: — Jeszcze raz się pocałowali: — Bądź zdrowa! bądź zdrowa! —

— Bądź zdrów! powracaj! — Łzy stanęły jej w oczach, ręce opuściła, ciężko westchnęła i główkę zwiesiła ku piersiom.

Tetera już za drzwiami na dziedzińcu, i na koniu harcuje przed kozaczym pułkiem. Choć mrok ciemny już zapadł, Stefan Czarniecki z połową jazdy w pochód rusza; bieży na nowego nieprzyjaciela. On po zwycięztwie nie lubi spać, ani długo odpoczywać na miejscu; kiedy bić, to bić. Jednego wroga uporał, to i z drugim to samo trzeba zrobić; a jak żadnego nie będzie na polskiej ziemi, wtenczas biesiadować i wylegiwać się pod gościnną strzechą. Pancernym polecił jeńca odprowadzić na Czerwoną-ruś; lekkim chorągwiom kazał na wodzy trzymać Karola, i tak go zbałamucić, żeby nie wiedział gdzie gonić, skąd się spodziewać polskiego wojska? Starego Hetmana uprosił, żeby do Lwowa się udał, w Króla wojennego ducha poddmuchnął, objął dowództwo nad wojskiem i tu je prowadził na Szweda; a ciągle powtarzał: — Pobijemy Szwedzików, tylko bijmy bez przestanku, bijmy; a słuchajmy władzy królewskiej. —

Nazajutrz dzień o wschodzie słońca, po pożegnaniu z Cześnikowstwem, Panna Joanna, Pani Służewska, Skarbnik, i Panna Dowmuntówna, siedli do poczwórnej kolasy i jechali za pancernymi.

Stary Hetman sprawił szyk pochodu, podjechał do kolasy, cieszyl się swoją jedynaczką, i pieścił lube dziecię spojrzeniami oka i słowami ojcowskiej troskliwości i radości ojcowskiej.

Ona chce udać uśmiech, a smutek obleka lice; chce patrzeć wesoło, a łza ciśnie się do oka; chce rozmawiać z rodzicem, a westchnienia rwą słowa; jednak w sercu choć tęskno, ale lubo, ale roskosznie: wie, że jest kochaną.

Stary Hetman myśli: to resztki wczorajszego przestrachu. A Wąsowicz, co tą samą drogą czas jakiś szedł, inaczej w głowie kmetował: — Oto pańskie dziecko porozumiało się z kozakiem. Ja widzę co to się święci. Mnie starego w pole nie łatwo wyprowadzić. Jadałem to i ja kiedyś z misy kochania! — smaczne to rzeczy, smaczne, ale czasem i cierpkie.

Kiedy stary Hetman trochę przyzostał, on się zbliżył do kolasy ze strony Panny Joanny, koniem zawodził, wąsa podkręcił, czapkę poprawił, twarz do kolasy zwrócił: — Jaśnie Wielmożna panno Hetmanówna, przyjedzie, przyjedzie; co ma wisieć, to nie utonie. Jeszcze ja stary na we-

selu drabanta wyskoczę, a daj Boże na chrzcinach wydudlić węgrzyna za zdrowie wnuka Jaśnie Wielmożnego Hetmana. —

Panna Jadwiga rumieńcem spłonęła. Wąsowicz spostrzegł się, zagryzł usta — przepraszam, przepraszam — pomknął konia naprzód i pomyślał sobie: — Kto wiele gada, zawsze się wygada. Kto puści cugle językowi, zawsze głupstwo powie: — I dalej czerwono-ruskim szlakiem jechali.

XI.

Chata bez dwer, bez wikonyc,
Bo wże pryszow jemu koniec.
Pieśń ludu Ukraińskiego.

W nie wiele niedziel po zwycięztwie w Warce, we Lwowie na Halickiem przedmieściu, w domie Armianina Serbinowicza, hurtowego kupca wełny, w małej izbie, koło dębowego stołu, na dwóch stołkach ciesielskiej roboty siedziało dwóch mężczyzn już poważnego wieku. Jeden przybrany w sieraczkowy czekman, i w grubrynowe szarawary jak do podróży; drugi w sutym kontuszu z czerwonego falendyszu, z zielonemi wyłogami; z pod wylotów wyzierał biały żupan; pas słucki litemi strzępami spadał na brzuch, a na nogach buty z żółtego tchinu; musi się ocierać koło wielkich panów albo i sam być panem; gawędka odbywała się nie polskim obyczajem, bo na stole nie masz ani szklannicy, ani dzbana, ani sztofa; nawet nie widać śladu rozlanego trunku; obadwa pospierali brody na rękach i widać, że ciekawe rzeczy gadają, bo żaden nie ziewa, nie krząka i nie spluwa. Szlachcic w czekmanie pomaleńku a dobitnie mówił:

— Mości Starosto Horodelski, i któżby to powiedział, że Pan Hetman Polny tak prędko z tym światem się rozstanie? — Trzech dni nie chorował: ani Żórawski, ani Drogonius, ani ten Włoch Doktór nic nie pomogli; a chociaż dwaj sławni lekarze, a trzeci, jak to mówią ludzie, czarnoksiężnik. Wiesz Panie Janie, że dobrze nasi ojcowie mówili: jak Pan Bóg dopuści, to tego ani człowiek, ani djabeł nie odwróci.

— O! nasi ojcowie i dobrze mówili i dobrze robili; Panie Boże, święć nad ich duszą; ale powiedz mnie Waszmość Panie Skarbniku, co to się działo przy śmierci Hetmańskiej. Wszak Waszmość Pan byłeś przy nim ciągle aż do samego skonu?

— Długo to o tem mówić, ale że już przyrzekłem, to ci powiem Panie Janie; tylko proszę, niech to będzie między

nami. Ja prosty szlachcic na jednej wiosce, z panami nie chcę się wadzić, a zwłaszcza że już mi nie wiele lat zostaje do życia.

— Możesz na mnie rachować, Mości Skarbniku; co powiesz, to jak w studni utonie, nikt o tem ani wiedzieć będzie.

— Słuchaj Mości Horodelski. Wiesz o tem, że od czasu, jak Hetman przybył do Lwowa, wszyscy na wyścigi biegli mu oświadczać swoj afekta, bez różnicy, i szlachta i panowie. Król Jegomość i Królowa Imość radziby go byli udarować, ale czem u licha? on starostw nie potrzebował, a Wielki Hetman Koronny żyje i wielka buława nie do dania. Panowie stryjeczni Hetmana Polnego jak Waszmość wiesz, zbiegli się do Lwowa, i oburącz dla siebie i swoich brali urzędy i starostwa. Nieboszczyk Hetman na to krzywo patrzał i między nami mówiąc, nie bardzo hołubił do siebie panów stryjecznych, a kiedy się dowiedział, że ci Ichmościowie związawszy się z tą francuzką Hrabiną z La-Grange, forytują jakieś zamęście dla Hetmanówny, zagniewał się mocno. W tym właśnie czasie przybył nasz stary Wąsowicz z doniesieniem o zwycięztwie pod Gnieznem, i z jakiemiś tam ważnemi poruczeniami od Pana Kasztelana Kijowskiego. Waćpan wiesz o tem, że nieboszczyk Hetman przyjął był do swojej służby tego Żytkiewicza, i bardzo go polubił.

— Że mu wyrobił przebaczenie królewskie i że przyjął do swojej służby, to nie dziwota; bo też Żytkiewicz narażał swoją głowę, żeby wyrwać Hetmanównę z Krupiańskiego zamku. Choć wszystko to się stało za przewodem Jaśnie Wielmożnej Podkanclerzynej, Służkówny z domu, ale że polubił takiego łgarza, to mi się w głowie pomieścić nie może.

— Widzisz Waćpan, to taki lizus, tak się umie ułożyć jak legawiec. Nieboszczyk Hetman, Boże, przyjm go do siebie, był poczciwego i wdzięcznego serca. Wszak wiesz, jakie podarki porobił mnie i Waćpana żonie Pani Starościnie, i mojej siostrze, za to żeśmy się jego jedynaczką opiekowali?

— O! wiem Mości Skarbniku, niech mu Bóg na tamtym świecie nagrodzi, to było panisko na całą gębę, taki jak nieboszczyk Służka Wojewoda Wileński — pokręcił smutnie głową Służewski. — Mów dalej Mości Skarbniku.

— Już nieboszczyk Hetman niedomagał, kiedy przybył Wąsowicz; był to piątek, tylko cośmy śniadanie zjedli. Nie mając co robić, grałem z Żytkiewiczem w marjasza, a Hetman rozmawiał z Wąsowiczem, o czem, tego nie wiem. Potem przywołano Pannę Hetmanównę, ojciec coś długo z nią gadał i całował córkę, w końcu wyszedł i kazał Żytkiewiczowi, żeby się udał, i to zaraz, po Vices-Rejenta Lwowskiego grodu. Za jego

przyjściem natychmiast spisanym został testament. Zawołano nas i czytano go w głos. Ostatnią wolą Hetman naznaczał Stefana Czarnieckiego Kasztelana Kijowskiego i Pawła Sapiehę Wojewodę Wileńskiego wykonawcami testamentu i opiekunami córki, i wyraźnie powiedział: że zezwala i chce, aby jego jedynaczka Panna Joanna wyszła za mąż za Semena ze Światopełków Teterę, Starostę Babimowskiego.

— To dziwna! taki wielki pan, za kozaka wydawać córkę? —

— Tak mu się podobało, z resztą ten kozak wart i mitrowego pana. Otóż na tym testamencie po podpisie Hetmańskim, podpisał się Wąsowicz, potem ja a na końcu Żytkiewicz, przyłożyliśmy rodzinne pieczęcie. Hetman przykazał nam ani słowa o tem nie gadać, sam swoją ręką złożył testament, obwinął w papier, włożył do szkatuły, zamknął na klucz, i klucz wziął do siebie: — Zatrzymał się Błotnicki, a po oczach Służewskiego widać, że ciekawość jego się zdwoiła.

— Dalej Mości Skarbniku.

— Jakby przeczuł Hetman pisząc testament, bo tak go podagra zmorzyła, iż w łóżko się położył. Nazajutrz gorzej a gorzej. Panna Joanna płacze, Panna Potocka ją cieszy, a sama łzy ociera z oczów. My po lekarzy, nawet po tego czarnoksiężnika. Wtenczas to właśnie Pan Wojewoda Wołyński sprowadził jakiegoś Włocha lekarza. Hetmańskie mieszkanie napełniło się panami stryjecznemi, synowcami, siostrzencami, dworskiemi, kiężmi, wojakami, i temi wszystkiemi ze szlachty i z panów co byli we Lwowie; nawet Król Jegomość i Królowa Imość często odwiedzali Hetmana, a ciągle się dowiadywali o jego zdrowie. Ale co to pomogło? Lekarze zwątpili; Hetman spowiednika zażądał. Jak przystało na chrześcianina wyspowiadał się, przyjął ciało i krew pańską i ostatnie namaszczenie: córkę błogosławił, żegnał przyjaciół i domowników. — Tu łzy stanęły w oczach Skarbnika. — Ledwie mógł mówić, kiedy przybył Król Jegomość; jeszcze ruszył głową, mdlejącą ręką wskazał na buławę, i z wysileniem się rzekł drżącym głosem — Stefanowi — do Wąsowicza odwracając się wrzekł — Stary — Tetera — mój syn — Joasiu — i skonał. Myśmy z Wojewodziną Wileńską nieśli ratunek szlochającej Hetmanównie; aż żal bierze pomyśleć, co ta biedaczka cierpiała. Domownicy, przyjaciele, wszyscy płakali. Podczas tej ostatniej nocy ten Włoch lekarz siedział przy chorym, i Żytkiewicz także. Z rana obadwa znikli, ale w takiem rozgardjaszu nikt na to nie zważał; dopiero później znaleziono w zaułku ciało zarąbanego Włocha. Ludzie hetmańscy poznali, że to był ten Carlo, o którym Waćpan Dobrodziej wiesz.

— O! wiem, ten łotr, szpieg, co to go Szwedzi nasadzili na Ojców Jezuitów; ale jakże go nie poznano?

— Przyprawił sobie brodę i wąsy; ale w końcu musiano go poznać, bo zarąbany był pałaszami. I to zdaje się przez kilku ludzi, bo tęgo był posiekany.

— Mniejsza o szpiega, ale mów mi Waszmość, co się dalej u was działo.

— Nadszedł Pan Marcin Lanckoroński, niegdyś Daniczewski Starosta, a dziś Wojewoda Wołyński. Jako najstarszy ze stryjecznych braci nieboszczyka Hetmana, zażądał, aby sądownie wszystkie sprzęty i komnaty były opieczętowane, co też i dopełniono. Widziałeś Waszmość jaki był obrzęd pogrzebowy?

— Widziałem Mości Skarbniku. Oh! nie zapomnę tego nigdy, z jakim przepychem wieziono ciało do Lanckorony.

— Otóż, po wywiezieniu ciała przystąpiono do odpieczętowywania. My z Wąsowiczem mówimy że w szkatule testament; otwierają, a tam ani śladu gdzie się podział. My się odwołujemy do świadectwa Żytkiewicza i Vices-Regenta. Wszyscy powiadają: musieli coś skraść obadwa i uciec. Samo z siebie Pan Wojewoda Wołyński został opiekunem sieroty i majątku. O w ręce Królowej Imości i Hrabiny z La-Grange oddał opiekę nad Hetmanówną, a sam podjął się opiekować majątkiem do czasu zamęścia synowicy. O Teterze ani słyszeć nie chciał, mówiąc, że się nam przyśniło o testamencie. Gdyby nie Ojciec Krajewski, Pan Starosta Żytomirski byłby rozrąbał Wojewodę Wołyńskiego, tak się rozgniewał. Chciał przysięgać, i jabym poszedł za nim, bo pewny jestem, jak to że Waćpana widzę przed sobą, iż skradziono testament.

— Powiedz że mi, czy ten Żytkiewicz skradł pieniądze? czy to nie bylo co ukartowanego z tym Carlem?

— Na Carlu nic nie znaleziono; jego śmierć to sprawka hetmańskich dworzan, z resztą Bóg to święty wie. Dworzanie przysięgają, że ani szpilka złamana nie przepadła: jakaś to w tem kozera!

— Cóż myślisz robić Mości Skarbniku?

— Jadę do Uchań, tu na mnie krzywo patrzą. Wiem o tem, że panowie jak żydzi z sobą się trzymają, a jak zechcą to zgnębią szlachcica. Usunę się im z oczów a kiedy przyjdzie czas, gotowem stanąć do przysięgi.

— Dobrze robisz; z panami się nie zarywać nam szlachcie. Wiesz, wczoraj u Pani Podkanclerzynej Słuzkówny z domu, gadano o śmierci Hetmana, a o tem testamencie ani słowa, nawet o śmierci Carla bardzo mało; tylko powiadano, że Wąsowicz podochocił sobie i chciał gospodarować w hetmańskim domie, ale Pán Wojewoda Wołyński nosa mu przytarł.

— Widzisz Waszmość jakie klewoty. Wąsowicz podochocił sobie? — czysta bajka; byłby on łeb przytarł Wojewodzie, gdyby nie Jezuita. A o mnie co też mówiono?

— Nie, tylko o Żytkiewiczu, że drapnął, nakradłszy pieniędzy.

— Musiałeś słyszeć Panie Janie, gdzie jest Hetmanówna, czy jeszcze z Wojewodziną Wileńską?

— Ba! jeszcze pozawczoraj Hrabina z La-Grange przywiozła ją do Królowej Imości; co gorsza, wczoraj Pannie Rozalji Potockiej nie pozwolono z nią się widzieć, dla tego że przy niej był Wąsowicz, bano się, aby harmideru nie narobił.

— Otóż masz, mówiłem, że jakaś kozera jest w tej sprawie. —

Wtem rzęsisty chód dał się słyszeć podedrzwiami, szabla kilka razy zamaszysto brzęknęła, jakby się zrywała z pendenta, drzwi otworzyły się z hałasem i wszedł Pan Starosta Żytomirski. Widać gniewny, bo na twarzy burakiem poczerwieniał, a siwem okiem tak błyskał, jakby tamtędy sypał iskry rozsierdzonej duszy. Nawet nikogo nie przywitał: — Mospanie, zadrwili z nas te skurczybyki!

Służewski się podniósł: — Mości Starosto, jak się miewasz, proszę siadać — i przystawiał mu stołek.

— Źle się mam, daj mi Waszmość pokój z siedzeniem, już te wiercipięty przystawili nam dobry stołek.

— Któż taki?

— A któż, jeźli nie ci Jaśnie Oświeceni, i Jaśni Wielmożni próżniacy, co przed Królem, Boże miej go w swojej opiece, baki świecą, pokłony biją; co Królowej pokoju nie dają; dworacy! Psia krew, jak trzeba się bić to do grób się chowają, a teraz kiedy naszemi szablami wrogowi napędziliśmy strachu, to oni wichrzą i gospodarują. Lizi łapy! małpy! pudle!

— Cóż oni zrobili Mości Starosto?

— A to Waćpanowie o tem nie wiecie? Buławę polną dano Marszałkowi Koronnemu, a naszemu Stefanowi Czarnieckiemu dulę pod nos. — Mospanie któż to wart buławy? — Czy ten co dzień i noc na koniu, często bez chleba i wody uganiał się i ugania za Szwedem; bił i bije Szweda? — Czy ten co w Łancucie w roskoczy i zbytku opływał, a dopiero wyruszył w pole, kiedy nieprzyjaciel już spuścił nosa na kwintę? —

— Prawda że Pan Kasztelan Kijowski wart buławy, ale Lubomirski dobry Polak.

— Ja mu tego nie przeczę Mospanie; tylko to mu w oczy powiedziałbym: że do buławy nie przez umizgi i trefnisiostwo, ale przez znoje i bitwy dostawać się powinno. Że kto się urodził Księciem albo jakim tam Jasnym Panem, to nieko-

niecznie buława mu się należy. Paskudne to plugastwo ci dworacy! —

Skarbnik się odezwał. — Ależ Mości Pułkowniku, gdyby Król nie zezwolił, dworacy by nic nie zrobili.

— Nie mów Waćpan nic o Królu, to majestat tronu, Jagiellon po kądzieli. Ja go nie winię, człowiek nie Pan Bóg; jak mu te lizi łapy zaczną klektać głowę, to żeby się od nich odczepić, zrobi, co nie myśli. To tej szarańczy żeby się pozbyć, a tych cudzoziemców, co to także nosa wtykają w nasze sprawy! —

— Jakto Panie Pułkowniku, to na Królowę powstajesz? —

— Daj mi Waćpan czysty pokój, to pani wielkiego animuszu; ale kobieta, a do tego cudzoziemka; rzecz jasna, że Jaśnie Oświecony, albo Jaśnie Wielmożny, lepiej brzmi jej uszom, jak Wielmożny albo urodzony; ale Mospanie Skarbniku, chciałbym z tobą pomówić o ostatniej woli nieboszczyka Hetmana: — Westchnął stary pułkownik.

— Pan Służewski wie o wszystkiem.

Mospanie, ja z tego tajemnicy przed nikim nie robię. Wiedzcie o tem moi panowie bracia, że jeźli ten szelma łyk Żytkiewicz skradł, to nie za swoim powodem, tylko za tych panów stryjecznych. Przed wami powiem, że oni podobni do nieboszczyka Hetmana jak pięść do nosa. Bogdaj ich dzieci nie szli w ich ślady, inaczej na Stanisławie skończyłaby się sława Lanckorońskich rodu. Niech mi tak Bóg pozwoli jeszcze z dziesiątek lat posłużyć Ojczyźnie, jak ci panowie stryjeczni gotowi wrogom się zaprzedać, byle im zapłacił; bo dalibóg że, jakaś zła krew przymięszała się do ich krwi: — Zatrzymał się trochę: — Otóż wiesz Waćpan że ja jadę?

— Dokąd? nazad do wojska?

— Do wojska; ale do Pana Hetmana Wielkiego Koronnego, bić się przeciw Rakocemu. Mianowano mnie Obożnym.

— Winszujemy Panu Staroście Żytomirskiemu, Obadwa się odezwali.

— Nie winszujcie; to te psy mnie tam wyprawiają, żeby się ztąd pozbyć, i pomału od Stefana Czarnieckiego pooddalać wszystkich jego dawnych towarzyszów. Mospanie, musi się kiedyś skończyć to panowanie liziłapów! Otóż ja jadę, a Waćpanowie oddajcie mi przyjacielską posługę.

— Co chcesz panie Obożny, wszystko zrobiemy.

— Waćpan Mospanie Skarbniku, jedź zaraz tam gdzie jest Pan Kasztelan Kijowski; trudno go zdybać, ale chcącemu nic trudnego. Powiedz mu wszystko co tu się stało. Ja mam nadzieję, że mnie djabli nie wezmą; po wojnie przed trybunał Lubelski albo Piotrkowski wytoczę testamentową sprawę, a zobaczemy, czy tam co liziłapy dokażą. Powiedz Teterze, nie

chaj nie traci serca; dziewczyna go kocha, ojciec przy śmierci synem go nazwał, będzie miał za żonę Hetmanównę. Ciebie Mospanie Starosto Horodelski, proszę, abyś przez Panię Podkanclerzynę doniósł Hetmanównie, że stary Wąsowicz zawsze i wszędzie gotów na jej usługi. Niech się nie daje bałamucić tym francuzicom, tym dworskim trutniom. Biedna dziewczyna! choć ją jak w więzieniu trzymają, nie potrafią uchodzić, bo to krew Hetmańska. —

Skarbnik w łysinę się pogładził: — Ja pojadę, zrobię, co będę mógł. —

Służewski odchrząknął. — Tak się Polacy nie rozjeżdżają, przynajmniej butelczynę węgrzyna wysuszmy na rozjezdne — i chciał pokojowego wołać, ale Wąsowicz go za rękę zatrzymał. — Daj Waćpan pokój, choć to ludzie powiadają: że na frasunek dobry trunek, ja utrzymuję, że jak człowiek zły, to i węgrzyn w gardło nie lizie. Kiedy powrócę, bo mnie djabli nie wezmą, to w Tyszowcach wypijemy na powitanie, teraz bądźcie mi zdrowi Mospanowie bracia. Sprawcie się tu dobrze, mnie trzeba jechać; przed kim droga, temu czas. Król Jegomość kazał, a to majestat tronu, trzeba spełniać jego wolę.

Po staropolsku serdecznie uściskali się i Wąsowicz odszedł.

Skarbnik ciągle dłonią pocierał łysinę: — Mówiłem, że z tym testamentem jest jakaś kozera. Ależ to buława mimo zasługi Stefana Czarnieckiego, mimo wolę nieboszczyka Hetmana dana Koronnemu Marszałkowi? — to to sęk.

— Wiesz Waszmość, że ten Wąsowicz ma za sobą prawdę. Ot i ja naprzykład: poseł od Tyszowieckiej Konfederacji; w Głogowie to mnie cackano, skakano koło mnie, a tu kiedy się przyjdzie z uszanowaniem do dworu, za tymi jak Wąsowicz nazywa liziłapami, ani docisnąć się można do Królowej Imości; nie tylko że człowiek słówka od niej nie dostanie, ale nawet rzadko uśmiech z ukłonem się oberwie; a przecież to poświęciło się mająteczek na usługi Ojczyzny i Króla Jegomości, nieraz się życie narażało. —

— Panie Janie, my szlachta, a oni panowie; nam się do nich nie piąć.

— Panowie! co Waćpan gadasz? to chyrlaki pohrabieni i pomargrabieni za granicami, albo tam jakieś wołokity co żyją ochłapami z pańskich stołów. Panowie polscy! to Służkowie, Radziwiłły, Sapiehowie, Zamojscy, Wiszniowieccy i tak dalej; a ich imiona: Roman, Jeremi, Adam, Michał, Jan, Piotr, Władysław. A spytaj tych fircyków, tych liziłapów, jak się nazywają? Lorenz, Gustaw, Albert, Adolf, Artur. Gdzież tam kiedy nasi przodkowie, czy poganie, czy chrześcjanie, takie miana swoim dzieciom nadawali? Ja spokojny człowiek,

a powiadam Waszmości, że to małpiarstwo cudzoziemszczyzny zgubi Polskę.

Tak dalej rozmawiali z sobą smutnie i cierpko, aż wszedł pokojowy i zawołał: — Do stołu dano. Imość prosi na obiad.

Tegóż dnia jeszcze rozeszła się wieść, iż Królestwo Ichmościowie Lwów opuszczają. Jan Sobieski przyprowadził dzielne i bitne chorągwie z Wołynia i z Polesia, Książe Kazimierz Czartoryski Starosta Wieliski przyciągnął z podolską jazdą i kupami pieszych górali. Han Perekopu, Pan Nogaju i Budziaku przysłał w pomoc lackiemu Królowi mnogie hordy Krymczaków i Nogajców, pod dowództwem Szefera Kazy Agi i młodego Sultana Nuradyna. Już wiedziano, że Wojewoda Wileński z częścią Litwy i Żmudzi tłucze Szwedów, a teraz gońce dali znać, iż Gąsiewski z resztą Litwy ciągnie w ślady Pawła Sapiehy. Z Moskwą rozejm zawarty; biały car przymierza żąda. Chmielnicki upokorzył się, przebłagał listami króla, do powinności wrócić przyobiecał, a Wyhowski w Kozaczym Bracławiu zbiera kozacze pułki na obronę matki Polski. Nawet Wiedeński Pan pieniądze i posiłki obiecuje, i ojcowie Jezuici na głos świętego Ojca otworzyli swoje skarby i dali złota i srebra na sprawę katolickiej Polski.

Jest hukiem wojska, hukiem wojennych zasobów i pieniędzy. Król Polski, jak jego przodkowie, na czele narodowej siły, przy całej powadze majestatu tronu, może teraz na śmiało bić i tępić wroga, co najechał jego państwo.

Jaśnie Oświeceni, i Jaśnie Wielmożni panowie, co gdzieś tam za granicami się przechowywali, albo Szwedowi służyli, kiedy się zawiązała Tyszowiecka Konfederacja, kiedy Stefan Czarniecki na czele garstek powstania ubijał się ze Szwedem, teraz zbiegli się do boku Króla. Ten powiada: ja to wykołatałem u Austryjackiego dworu przychylność dla Polski; tamten: ja skłoniłem Moskiewskiego Cara, żeby z nami zawarł przymierze, Inny znowu: że płaszcząc się w przedpokojach szwedzkiego najezdzcy, myślał o Polsce, i w duszy klął Szweda; drugi bez jąkania gada: iż dla tego przyjął dostojeństwa z rąk wroga, żeby mógł cichaczem służyć krajowi. Bez końca przechwalają się ze swojemi zasługami, ze swojemi poświęceniami się. Pusta prawdą, pełna fałszem ich mowa; jednak dworacy i dworskie panie służą za rozgłos i potakiwanie tym przechwałkom. Król dobry, wszystko przebacza, wszystkiemu wierzy, albo udaje, że wierzy; Królowa Imość, chociaż pani wielkiej woli, udaje przecież że wierzy, dla potrzeby, a może i też dla tego, że kobieta często woli błyszczący szych niźli niewygładzone złoto. Oni Jaśni próżniacy, bezczelni paplarze,

sztyftują się na Kanclerzy, Podskarbich, Hetmanów, Wojewodów, a powiadają, niech się szlachta bije, niech życie naraża, traci majątki na posługi Ojczyzny a potem czeka od Ojczyzny i od Boga nagrody. My zagarniemy dostojeństwa narodu i Królewskie łaski.

Byli i poczciwi panowie, co jak Zamojski, Sapieha, Czartoryski, Potoccy, Wiszniowieccy bili się w polu ze Szwedem, za Ojczyznę; ale ci do frymarki dworskiej nie należeli; bo to Książęta z Książąt, panowie z panów, niepobękarceni cudzoziemskimi tytułami, ani narowami.

Takim to otoczony dworem, ale na czele mnogiego i dziarskiego wojska, Jan Kazimierz napisawszy pismo pochwały i podziękowania Gdańszczanom za wiarę zachowaną Polsce, za dzielną obronę przeciw Szwedom, wyruszyć miał do Sokola, a ztamtąd ku Warszawie. Królowa zaś Imość z małym dworem miała udać się do Częstochowy, i tam czekać wypadków wojny.

Wieczorem, w królewskich pokojach mnóstwo ludzi się nagromadziło. Niewiasty, postrojone w klejnoty, jedwabie, tyftyki i złotogłowy; mężczyzni w aksamitach, w atłasach, w sajecie, w srebrze, w złocie i w drogich kamieniach. Komnaty rzęsisto oświecone, służba bogata i mnoga: zwyczajnie jak u Króla Polski. Ludwika Marja, jeszcze ładna, jeszcze powabna, przybywające panie i panów, na powitanie darzy uśmiechem wdzięku, ale w tym uśmiechu nie masz niewieściej zalotności, która jawnie mówi: jest serce co czuć i kochać może. U Królowej uśmiech łagodny, słodki nawet, ale zimny, dla wszystkich jednaki: widać, że go trójca rozwagi, potrzeby i musu na twarz i usta wyciska. I piękne oko tej Pani śmieje się i wdzięczy, ale nie pała ogniem czucia, co w mężczyznach krew warem zakipia, co serca z ich łon wyrywa, i co niemi rządzi jak niewolnikami.

Piękna Księżniczka z Gonzagów rodu, we Francji miłością i dla miłości żyła; zasiadłszy na polskim tronie, myślami o wielkości, o chwale zatarła w sobie niewieście uczucia i niewieście objawienie się uczuć. I dla tego każdy ją podziwiał, a nikt jej nie kochał; każdy udawał że jej chce się podobać, a nikt nie służył jej widokom szczerze, z zapałem; każdy przyrzekał wsparcie jej zamiarom, a mało kto myślał dotrzymać. Taka to kolej niewiasty, kiedy rodzime barwy serca i ciała chce przyobleć w męzkie wady i przymioty. Od młokosa aż do zgrzybiałego starca, wszyscy wszystko zrobią dla niewiasty, byle ta nie przestawała być niewiastą.

Jan Kazimierz, jak zawsze, bez wąsów, dobry, łagodny, witał polskie panie i polskich panów. Spójrzenia jego były

pełne ognia i życia; rozmowa słodka, uprzejma i rozumna. Po ojcowsku wszystkich garnął do siebie; tylko mu brak sarmackich wąsów i butnej postawy, a byłby podobny do tych Jagiellonów, co przez długie lata po królewsku, po bohatersku królowali polskiej ziemi.

Tłumem goście wiją się i przesuwają po komnatach, jak rój pszczół, nim usiądzie na spoczynek. We framudze okna stała stara Hrabina z La-Grange, gdyby koczkodan wyczupierzona; obok niej Margrabia Montresor po hiszpańsku przybrany; z cicha z sobą rozmawiali: na obydwu twarzach widać uśmiech, po którym nie można poznać, czy płacz, czy wesele w sercu; czy przyjaźń wiąże rozmawiających, czy nienawiść na zawsze ich dzieli. Ona mu mówi: — Panie Margrabio, Ludwik wszystko popsuje przez swój upór; czas nagli, trzeba korzystać z okoliczności; ci panowie Lanckorońscy za jedno Starostwo więcej, nie tylko jedną, ale dziesięć synowic by oddali. Najjaśniejsza Pani nam sprzyja, ale jak ten szlachcic rębacz pokaże się, wszystko gotów popsuć, trzeba namówić Ludwika, żeby opuścił obóz Szwedzki.

— Zostawszy jeńcem, dał słowo, że nie oddali się z Warszawy; a Pani Hrabina wie, że słowo francuza jest niezłomne.

— To prawda, to bardzo zaszczytnie; ale można temu poradzić jak Pan zrobiłeś.

— Ja? — ja nie wyjechałem, ale mnie wykradła piękna Warszawianka; z resztą jestem już obywatelem Polski. Pan Hrabia de Châtre zostając przy królu Szwedzkim, zaskarbia łaskę wielkiego Monarchy Francji i otwiera sobie drogę do zaszczytów i dostojeństw.

— Byłoby co powiedzieć i za tem, i przeciw; ale co się stało, to się stało, teraz trzeba naglić Ludwika, żeby tu przyjechał.

— Ja z mojej strony zrobię, co tylko Pani Hrabina rozkażesz; ale gdzie jest piękna rozpaczająca?

— Zawsze chora, nie wychodzi i nikogo nie przyjmuje. — Te słowa tak wyrzekła, jakby chciała dalszą rozmowę o pannie Lanckorońskiej przerwać. Ciekawość Montrezora gotowała nowe zapytania, kiedy nadeszła Pani Wojewodzina Sandomirska.

— Moja kochana matko, przychodzę do ciebie z prośbą.

— Co chcesz mój aniele! mów moja malutka Marysiu.

— Panna Rozalja Potocka prosi, aby mogła się widzieć z panną Lanckorońską.

— To być nie może, panna Lanckorońska mocno chora, lekarz nakazał spoczynek, a jutro musimy wyjeżdżać w drogę.

— Prosi także, żeby mogła być pomieszczoną w liczbie panien jadących z Królową.

— I to być nie może. Liczba osób jadących z Królową jest bardzo mała; nawet Wojewodzina Wileńska nie jedzie z nami.

— A jednak, moja matko, prosiłaś Panią Podkanclerzynę, żeby Królowej towarzyszyła — skrzywiła piękną twarzyczkę na znak niezadowolnienia.

Hrabina zakłopotała się na chwilkę, jak ułagodzić kochaną córunię, ale ją wyręczył mąż sążnistej postawy, wysokiego czoła, czarnych oczów i czarnych wąsów. Jakąś grzeczność po łacinie wypalił, a piękna Marysia serdecznie na niego oczkiem strzeliła, słodziuchno się uśmiechnęła, wykrygowała szykowną kibić i zaświegotała z całym wdziękiem francuskiej zalotności.

Montresor zapytał Hrabinię z La-Grange. — Kto jest taki ten piękny człowiek?

— Bogaty szlachcic z Wołynia, Jan Sobieski, dzisiejsza gwiazda panów, stawiony przez nich na współzalotnika Stefanowi Czarnieckiemu. I on ani Hrabia, ani Książe, ani Magnat, ale go wolę jak tego hardego rębacza. Przyznam się, że jest gładkiego wychowania i łatwiej nim rządzić.

— Piękna Wojewodzina Sandomirska dosłodzi go do reszty; o zakład idę, że nie długo będzie jej najposłuszniejszym niewolnikiem.

— Połaję ciebie Margrabio, swawolnikiem zawsze jesteś: — I wachlarzem po ramieniu go trąciła, a Montresor pocałował w rękę starą Hrabinę. Tu przybiegła Panna Potocka, i z radością w głos zawołała.

— Otóż jedziemy z Królową Panią. Wojewodzina Wileńska jedzie. Będę z moją Joasią, dziękuję Pani Wojewodzinie Sandomirskiej. — I nie czekając odpowiedzi, pobiegła dalej.

Hrabini z La-Grange skrzywiła twarz, jak gdyby jej słabo się zrobiło. Pani Sandomirska się uśmiechnęła, a pokazując Sobieskiemu Annę Sapieżankę rozmawiającą z Janem Czarnieckim, pułkownikiem królewskiej dragonji, rzekła: — Jacy szczęśliwi! Kochają się, jak czule! chciano ich rozłączyć, a teraz los ich łączy.

Sobieski poprawił pas. Los ten nie dla wszystkich jednaki; są ludzie co kochają, a nie wiedzą czy są kochanymi.

Piękna Marysia spuściła oczy w dół, a przez wykwintną zalotność chcąc odwrócić tę rozmowę, wskazała na Jerzego Lubomirskiego dzisiejszego Hetmana polnego, jak przechodził mając po jednej stronie ojca Wotę a po drugiej Drogoniusa: — Lubomirski prawdziwy czarnoksiężnik, zaklętego czarnoksiężnika światu pokazał, a teraz go godzi z kapłanem świętego kościoła. A może z buławą? — Bóg mu zesłał do-

brego i złego stróża. Teraz Hetmanowi braknie tylko ulubionej Pani.

— Ma on i Panią, ale równie srogą, jak ta, którą ja chciałbym obrać za moją Panię.

— Któż jest ta Pani?

— Pani Podkanclerzyna Radziejowska.

— Niesądziłem, aby serce tej Pani tak trudnem było do zdobycia: — I z twarzą niby obrażoną odwróciła się do matki.

Sobieski spostrzegł się, że porównanie to obraziło Panią Sandomirskę. Z razu chciał przepraszać, ale pomyślał sobie po obozowemu: przegniewa się, i zwrócił się ku drzwiom, gdzie się wszczął szmer z powodu przybycia Pani Radziejowskiej, podówczas uważanej za pierwszą piękność.

Pani Podkanclerzyna wchodząc, powiodła po zgromadzeniu na pół błyszczącem, na pół omdlałem okiem; uroczystemi dygami jak zwyczaj dworski nakazał, witała panie, a lekkim ale uprzejmem schylaniem głowy słała pozdrowienia mężczyznom. Król Jegomość do niej się zbliżył, i rozmawiał z nią dosyć długo.

Jeden z jaśnie oświeconych dworskich powiedział drugiemu na ucho: — Nowe sidła stawiają na naszego Pana. —

Tamten mu odpowiedział: — Oh! nie, to kadzą miłości własnej Pani Podkanclerzynej, żeby przez nią rządzić Hetmanem polnym. Czy nie widzisz, Król odszedł, a nas Jerzy jak się umizga?

W rzeczy samej Hetman polny szykownym układem twarzy i postawy, milił się do Podkanclerzynej, wytworną mową ryczałtem sypał grzeczności w jej ucho. Ona kobieta, grzeczność, pochlebstwo, prawda czy fałsz, łechcą jej duszę: odpowiada, uśmiecha się, ale w tych odpowiedziach tylko słowa zwyczajnego podziękowania; w tym uśmiechu tęskny przymus. Posępny smutek omglił jej czoło; piękna była, ale jasnością gwiazdki, za przezroczem białawej chmurki; barwą kwiatu, za mglistym tumanem poranku. Oko ludzi lubi to pół jawie piękności, a myśl pod jego zasłoną tworzy sobie cudne utwory.

W ustach wszystkich mężczyzn imię pięknej Elżbiety; inne niewiasty ledwie z zazdrości nie pomrą; wzrokiem udanej przychylności ciskają na Podkanclerzynę: słowa złości, przygany i oszczerstwa jedna drugiej w ucho szepce, a tak szepce, że ten tylko je nie dosłyszy, kto nie zechce.

Mowa o Krupiańskim zamku, o Samuelu Gnoińskim, doleciała już i do Podkanclerzynej, bo jak chustka zbladła, i z rozstargnieniem odpowiada, ale odpowiadając zagryza usta i chce uśmiech udać. Z uśmiechu Hetmana polnego widać, że miłość własna cierpi upokorzenie. On to dobrze poznaje,

że kto inny jest kochanym od tej, którą on kocha, ale w oczach maluje się pewność: bądź co bądź, dopnę swego.

Kiedy tak prawie wszystkich oczy, różnemi a różnemi uczuciami kierowane, bez przestanku zwracały się ku nadobnej rozwódce Radziejowskiego i ku Hetmanowi polnemu, w kącie komnaty stał Drogonius. Ospowata i brzydka twarz czasami płomieni się namiętnością, czasami krzywi się srogą boleścią, jakby tam pod serce żelazem go zapruto. Oczy jak w tęczę wlepił w Podkanclerzynę, a myślą w tym tłumie i gwarze, dumał jakby na pustyni. — Podwakroć przysięgę złamałem. — Julieto, jam ciebie zdradził! przeklęstwo na mnie! — Przysiągłem być samotnikiem, a teraz? — może za pośmiewisko ludziom służę? — Ale ona taka piękna! taka czarodziejka, jak ty Julieto! — ona mnie kochać nie będzie! — może chwilki nie pomyślała o mnie, a ja uciekłem od niej i znowu szukałem — mego nieszczęścia. Człowiek słaba istota; gdzie rozum? gdzie wola? Duchu, cząstko boska! czemu nie walczysz z losem? tyś słaby, krew ci rozkazuje; jedno nic ciągnie cię w przepaść. — Ona się uśmiecha! — jak słodko! jak mile! gdyby anioł! Wierzy, że ją kochają. — Oni kochać nie umieją, nie mogą; z miłości zabawkę, igraszkę robią. — Aniele niewiasto! wszystko ci odkryję — zdradzę tajemnicę, odkryję. — Wiedz, kto oni, a potem: kochaj! — To moje szczęście! — ot tak! — I te ostatnie dwa wyrazy swojego dumania w głos wymówił, nawet ramię podniósł i rękę do piersi przycisnął.

Ci co zauważyli dumanie, ruchy twarzy i postawy, zasłyszeli słowa Drogoniusa. Jedni myśleli: mędrzec zaciekł się w dumaniu, tak zatokował się myślą o rzeczach mądrości, że ludzi nie widzi, na ludzi nie uważa. Drudzy jeszcze przesądni, powiadają sami w sobie: szatan dręczy czarnoksiężnika za karę, po co wdał się z Jezuitami.

Na znak niemy jednego ze swoich dworzan, Hetman polny zakończył rozmowę z Panią Radziejowską, i jakby nie chciał być spostrzeżonym, wyszedł z komnaty. Drogonius to zauważył, szybko ruszył z miejsca; przez tłum dostał się do Podkanclerzynej, i coś jej na ucho gadał. Nikt się temu nie dziwował, bo to lekarz pięknej Elżbiety, widział ją bladą, cierpiącą, musi dawać rady.

Podkanclerzyna to bladła, to czerwieniała na przemiany. Wstała z miejsca, pożegnała Królowę, tłumacząc swój odjazd cierpieniem na zdrowiu i odeszła. Drogonius już na nią u ganku czekał. Zaszła kareta, siedli oboje i czarnoksiężnik ucinkowym głosem krzyknął — na Halickie przedmieście!

Kareta zajechała wpros przed dom Serbinowicza, gdzie było mieszkanie Pani Podkaclerzynej. Pan Służewski, który wcześniej jeszcze powrócił z królewskiego zamku, usłyszawszy

turkot powozu, wybiegł, wysadził Panią Radziejowskę z karety, odprowadził do jej komnat, i chciał spełnić polecenie Wąsowicza; ale bladość jej twarzy, drżenie rąk, krok niepewny i widoczne roztargnienie w odpowiedziach, nakazało milczenie dawnemu dworzaninowi Służków. Oddał dobranoc i wyszedł, myśląc: jutro powiem; biedaczka cierpi, a to Służkówna.

Drogonius sam na sam został z Panią Radziejowską. Panna Dowmuntówna pora się, a słudzy między sobą mówią: Pani musi być bardzo chorą, czarnoksiężnik lekarz przy niej. Daj Boże, żeby tylko jej nie nawroczył, albo nie opętał; bo to z djabłem rzecz nie lada.

Jeszcze kwadrans nie ubiegł od przyjazdu Podkanclerzynej, jak boczną furtką z Serbinowicza domu wyszło dwie osoby, przybrane w czarne płaszcze i jakby się kryły oka ludzkiego; po pod samemi domami przesuwały się dosyć spiesznym krokiem. Czarne chmury zawaliły tło nieba; ani księżyca, ani gwiazd nie widać: w mieście, po domach, przez okienka wyzierają ciekawe światełka; w szynkach jeszcze wrzawa i harmider; po ulicach włóczy się mnóstwo i pieszych i konnych, bo teraz pełno zbrojnych gości we Lwowie. Jeszcze słychać w karczmach muzyki; rypią skrzypce, cymbały brzęczą, tołombasy i bębnią i dzwonią, a hulaszcze krzyki na ulicę rozgłosem lecą. Tu żyda mordują jak hamana, za to że miód albo wódkę ochrzcił wodą; tam turbują zazdrośnego męża, za co się chmurzył, kiedy żona z za parawana oczkami umizgała do panów wojaków; tu dwóch towarzyszy dobrych szlachty, po pod ręce jak serdecznego przyjaciela, prowadzą łyka mieszczanina, a temczasem jego kochanka narzeczona na kuferku słucha szeptów pana porucznika; tam pijak zwalił się z nóg i nosem ziemię ryje, a jego współbiesiadnik chce go podnieść, zatoczy się, upadnie, i koci się kąpać w rynsztoku.

Dwie osoby przybrane w czerni, jak cienie nocne przesuwały się lekko, tajemniczo, i nikt im drogi nie zaszedł, nikt nawet ich nie zajrzał. Tak przyszli przed wspaniały pałac na Krakowskiem Przedmieściu.

Dokoła mierzonym krokiem przechadzali się hajducy straży. Mniejsza z dwóch osób na zapytanie: — Kto idzie? — odpowiedziała: — Swój.

— Daj hasło!

— Łancut.

— Odzew!

— Elżbieta. —

Słuszniejsza osoba wyraźnie zadrżała i wsparła się na ramieniu swojego towarzysza, i obiedwie weszły, ale nie wielką bramą, tylko tylnemi drzwiczkami przez ogród, za pomocą klucza, który miał przy sobie człowiek mniejszego wzrostu.

W dolnej powale gmachu ani światełko bryźnie, czarno, ciemno; ale u góry złocą się szyby kilku okien, a tak się cień za niemi suwa, iż zda się oku, że złota woda tamtędy bezustannym nurtem przepływa. Mały człowiek porwał za rękę swego towarzysza czy towarzyszkę. — Tam — tam oni. —

On, czy ona, westchnęła. — Tam — nawet zadrżała, i weszli oboje do gmachu.

Boczneini a krętemi schodami wdrapali się na górę. Mały człowiek znowu otworzył jakieś drzwi i weszli do ludzkiego mieszkania, bo w kącie na podłodze lampa mdławem światełkiem płonie, jak grobowa świecznica, ale koło niej siedział nie trup, tylko żywy człowiek ogromnej postawy. Powstał; Pani Radziejowska, bo to nią była owa druga tajemnicza osoba, weszła z Drogoniusem, cofnęła się w tył. Drogonius ją za rękę przytrzymał. — To nic, to Paoli — i wprowadził do drugiej komnaty.

Tu światło jeszcze bladziej i lękliwiej się słaniało, jakby chciało uciekać od komnaty w czerń przyobleczonej, jakby się strachało kościotrupa stojącego przy ścianie. Podkanclerzyna zadrżała, zbladła, ale ani słowa nie wymówiła. Drogonius na nią spojrzał; widać, że jakieś dziwne przypomnienie przyleciało do duszy; twarz się zapłomieniła, oko zabłyszczało i zaszło łzą zachwytu myśli. Padł na kolana: — Elżbieto! Elżbieto! ona taką była!

Podkanclerzyna ocknęła się z przestrachu, wzniosła w górę dumne czoło, i okiem zniewagi cisnęła na klęczącego mędrka.

On w zapale na to nie uważał: — Ona! moja Juljeta! — jam ją tak kochał i ona mnie kochała! — Oni! nie godni uwodzą ciebie! Ciebie anioła. — Ten Samuel — podniósł rękę — zbrodzień! zabiję go tu u twych nóg!

Uczucie zniewagi ustąpiło z oblicza pieknej Elżbiety. Żywy rumieniec wszedł na lice, w czarnych oczach mignęła niespokojność. — Wstań, wstań, proszę Panie Inocenty, pokaż mi, gdzie on jest? niech przynajmniej go zobaczę. — I w tych słowach powiedzianych drżącym głosem, objawiała się cała moc miłości dla niewiernego kochanka.

Drogonius pojął, co znaczą te łaskawe, niby poufałe słowa prośby, wstał z klęczek, dokoła dziko zatoczył wzrokiem, i niby zimno, ale tak gwałtownie, jak gdyby głos z pod piersi wyrywał, odrzekł. — Patrz Pani — słuchaj Pani — tylko cicho, bo przed czasem żelazo może skończyć to piękne życie. O mnie mniejsza.

Odchylił makatę nad węzgłowiem, i u góry zajaśniało! To szyba do drugiej komnaty, z wewnątrz zatarta, tak iż wszystko można widzieć na zewnątrz, samemu nie będąc widzia-

nym. Podkanclerzyna do tej szyby się przytuliła. Drogonius stanął i patrzy na nią, smutnie, dziko i miłośnie zarazem. Widać, że rozpacz, miłość i żal, na przemiany pruły po jego sercu; czasem wtrząsnął głową i pomyślał: tam moja zemsta, tam moja nadzieja! niech patrzy co się dzieje w tej komnacie. A ona nieruchomie stała, jakby przylepiona do ściany.

W tej komnacie dokoła były mnogie pułki, na nich stosy ksiąg, bielały pargaminem oprawy, srebrzyły się i złociły ozdobami misternej roboty; u spodu pełno papierów mniej więcej pokrytych butwą czasu. Tu i owdzie narzędzia gwiaździarskie i zabytki starożytności, z kruszcu, z kamienia, z drzewa, z gliny, rozmaitego kształtu i rozmaitej barwy. Na podłodze rozesłany zielony kobierzec, na środku stół przykryty kobiercem; na stole w alabastrowej urnie jasne światło płonęło, a koło stołu siedziało dwóch ludzi; jeden w bogatym pół polskim, poł cudzoziemskim stroju, drugi w bagazjowej marynatce pielgrzyma, na piersiach Agnus Dei z kryżem, w ręku trzcina z trupią głową.

Człowiek bogato przybrany, okazałej postawy, szlachetnego wejrzenia, pilnie patrzał na twarz ponurą i w szerokie czoło swojego towarzysza. — To nic, innego sąsiada nie mamy oprócz Drogoniusa, on zawsze w głos przemawia do skieleta, i pora się, jakby z djabłami harc wyprawiał; zresztą nie lękaj się, jesteś w moim domu, moim gościem; włos ci z głowy nie spadnie.

— Mości Hetmanie, ja się nie lękam; choć noszę na sobie strój cichego pielgrzyma, trzcina moja stanie za szablę. Wszędzie pokażę, że we mnie płynie krew Zborowskich. Ale czego chciałeś odemnie, Mości Hetmanie?

— Chciałem, abyś był razem z nami, z nami razem służył Ojczyźnie.

— Mości Hetmanie, przyjm polską koronę, a będę z wami; z eks-Jezuitą i z Czarnieckiemi nic wspólnego mieć nie chcę.

— Teraz nie mogę, byłoby to szwank zadać ojczystej sprawie, ale szczerze i otwarcie przed tobą mówię: eks-Jezuita wieków żyć nie będzie, a Czarnieckiego wziętość nie tak to straszna. On bije Szwedów, ale nie on i ród jego będzie zbierać plony z zasług oddanych krajowi. Panie Samuelu, tyś potomek Zborowskich, tyś nasz; masz większe prawo do dostojeństw, jak jakiś tam szlachcic z Czarncy.—

Jeszcze bardziej zasępiła się twarz Gnoińskiego. — Szlachcic z Czarncy! — Eks-Jezuita więcej w niego wierzy jak w pańską krew.

— Niech wierzy, to nam jedno. Widzisz Panie Samuelu, buława mnie się dostała; wielka pieczęć dostanie się Zamoj-

skiemu albo Koniecpolskiemu, a Panu Czarnieckiemu zostaną w nagrodzie rany i sterane siły w boju.

— Szlachta go nie opuści, za nim się upomni.

— To nie strach! Dziękujmy szlachcie, że nas ze snu budzi, ze nam zasypiać nie daje. Trzymajmy się, a będziemy wieki ją trzymać w klubach. Panie Samuelu, trzeba, żebyś był z nami.

— Mości Hetmanie, choć po kądzieli idę z pańskiej krwi, po mieczu jestem szlachcic. Zresztą, na cóż ja się wam przydam?

— Potomek Żegoty i po mieczu i po kądzieli pan, my ciebie mamy za brata, a ty nas odpychasz; chcesz żeby Panna Lanckorońska z dostatkami dostała się francuzowi jakiemuś, albo kozakowi. —

Pięścią wyciął w stół Gnoiński, aż światło zadrżało: — O gdyby nie ta niewiasta sekutnica, ta djablica, jużbym ja ją miał; ale poczekaj natrętnico kochanko, pomszczę się. — I pociągnął dłonią po czole.

Hetman zaczerwienił się; widać, mu nie miłe to gwałtowne łajanie niewiasty, którą on kocha, a która mu dotąd wzajemną nie była: — Panie Starosto, trzeba być trochę wyrozumialszym dla uczuć płci pięknej. Ja sądzę, że Pani Podkanclerzyna już więcej Panu stawać na zawadzie nie będzie. —

— Dałby to Bóg, żeby ta kobieta odemnie się odczepiła. Nic w świecie nieznośniejszego nie masz, jak natręctwo nie kochanej kochanki. Ona wywiozła Hetmanównę z Krupiańskiego zamku; ona nikczemnie mnie doniosła szwedzkiemu Królowi. Wiem o tem; ja przebaczę, niech tylko odemnie się odczepi, niech mnie zapomni. To moje życzenie, to moje szczęście: — Z takim zapałem to mówił, że Hetman nie śmiał mu przerwać, i słuchał szczerej spowiedzi jego serca.

Wtem coś jęknęło za ścianą i przeraźliwy a stłumiony krzyk dwakroć razy powtórzył: — Samuelu! — Samuelu! — potem szmer stłumiony słychać było.

Gnoiński porwał się z miejsca: — To ona! — to ona! — sekutnica! —

Hetman powstał z krzesła: obadwa przybliżyli się do ściany, spojrzeli w szybę, nic nie widać; przyłożyli ucho do ściany, milczenie; tylko czasami słychać głos Drogoniusa, i wyraźnie rozróżnić mogli wymawiane imię Juliety. Hetman się zaśmiał: — Przywidziało się nam, chodźmy, zostawmy go z jego skieletem — i znowu zasiedli przy stole.

Czas jakiś była cichość, Hetman twarzą się uśmiechał, choć może w duszy na śmiech się nie zbierało. — No, Panie Samuelu, przyznaj, że jak w zaczarowanym zamku ciebie przyjmuję; ten Drogonius dziwy wyrabia.

— Mości Hetmanie, tu śmiać się nie ma z czego; ten Drogonius to zły duch dla mnie. Wszak ja jemu oddałem ten list, który mnie poróżnił z Królem szwedzkim i o mało życia mnie nie pozbawił. Ten Drogonius może nie czarnoksiężnik, ale ma zmowę z tą. —

— Stój Panie Starosto, dajmy pokój tym rzeczom, a mówmy o Hetmanównie.

— Cóż ja mam mówić, kiedy nie wiem, co to wszystko ma znaczyć? powiedziałem już, że na wezwanie Żórawskiego, przebrany za pielgrzyma, stawiłem się tu do Lwowa, i to w nadziei, żeś przystał Mości Hetmanie na moje żądanie.

— Dziękuję ci Panie Samuelu, jeszcze czas nie przyszedł; ale możesz mieć Hetmanównę za żonę pod pewnemi małemi warunkami.

— Mości Hetmanie, i jakież to są warunki?

— Naprzód, przebłagać choć na pozór Króla Jegomości.

— Eks-Jezuitę? — to trudno!

— Ja na siebie biorę, że Król Jegomość nie będzie wymagającym; potem Panu Marcinowi Lanckorońskiemu, Wołyńskiemu Wojewodzie a stryjowi Panny Hetmanówny, odstąpić darem darmo Kitajgrodszczyznę.

— Na to zgoda; gotowem nawet co i z moich dóbr dodać.

— Zyć w zgodzie z dworem póki nie przyjdzie czas.

— Przeciwko temu ani słowa.

— Nakoniec, trzeba zniszczyć albo pomódz do zniszczenia jakiegoś tam testamentu nieboszczyka Hetmana, o którym to ja nie wiele wiem.

— Mości Hetmanie, cóż to? ja Gnoiński mam być fałszerzem?

— Nie idzie tu, Panie Samuelu, o fałszowanie; ale o to, aby oddalić Stefana Czarnieckiego od opieki nad Panną Hetmanówną a Teterę od jej ręki. —

Zamyślał się Gnoiński i dziko zmarszczył czoło na samo wspomnienie o Czarnieckim i Teterze.

Drzwi otworzyły się i wszedł Żórawski a z nim Marcin Lanckoroński, Wojewoda Wołyński. Hetman ich powitał: — Panie Wojewodo, wszystko skończone, Pan Samuel Gnoiński przystaje; masz synowca, a my towarzysza: — Gnoiński milczał, a Wojewoda Wołyński uściskał go jak dawnego znajomego.

— Niewypowiedzianie mnie to cieszy; ale Mości Starosto Hrubieszowski, trzeba, abyście jeszcze dzisiejszej nocy jechali.

— Dokąd?

— Do Pinczowa.

— Po co?

— Szwedowi najwięcej poszkodziemy, jak nam się uda zerwać jego przymierze z Rakocym. Rakocy w Pińczowie, Waszmość Pana brat, Pan Mikołaj prawą ręką Siedmiogrodzkiego Księcia. Może też zdybiecie tego draba Żytkiewicza.

— Prawda, że mam chrap na tego psa, i jak złapię to mi się na sucho nie wykręci; ale czyż to warto abyśmy gonili i szukali tego łyka Żytkiewicza.

— Przy nim jest testament nieboszczyka Hetmana, dodał ucinkowo Lanckoroński. —

Hetman Polny zbliżył się: — Wszak ztąd nikt nie wyniesie słówka, co było powiedzianem między nami. Panie Wojewodo, oświeć nas o tym testamencie.

— Jaśnie Wielmożny Hetmanie, wiesz, że w ostatnich czasach nieboszczyk Hetman mocno polubił tego Żytkiewicza, jako zbawcę swojej córki. On stał się najpoufalszym dworzaninem Hetmana; przez swoją gadatliwość wygadał się o istnieniu testamentu. Chcąc go przeciągnąć na naszą stronę, używałem sposobów, ale to się nie udało. Z rady i z ręki Becala nasadziłem pewnego człowieka, ale ten zginął przy nim, nic nie znaleziono, i ja dalibóg nic nie wiem; musi być testament przy nim, albo przez niego schowanym; bo ja, na Boga się klnę, że w oczy nie widziałem testamentu, tylko Vices-Rejent Grodu Lwowskiego potwierdził to, co mówili Wąsowicz i Błotnicki. Vices-Rejent pod moją opieką. Co się stało dalej, o tem Pan Hetman wiesz. Boję się, żeby ten Żytkiewicz nie wpadł na Podole do Pani Podkomorzynej Potockiej, ciotki Panny Hetmanówny. —

Zaśmiał się Hetman: — No, prawdziwie ten Żytkiewicz po gracku wyłgał się i może narobić wielkiego kłopotu. —

Gnoiński widać że już się sierdził, bo pielgrzymską trzciną stuknął o podłogę: — To moje utrapienie, jedźmy łotra gonić, może nam się uda. —

Jeszcze czas jakiś trwała rozmowa; Hetman ciągle nastawał, żeby Gnoiński z bratem wrócili pod znaki Króla Jegomości Jana Kazimirza. Pan Wojewoda Wołyński uniżenie i uprzejmie żegnał, wszystko obiecywał. Samuel Gnoiński dzikiem i ponurem milczeniem na te mowy odpowiadał, ale ani razu nie rzekł: tak nie zrobię, inaczej zrobię. To niejako nieme przyrzeczenie z jego strony, na ten raz i tem trzeba się cieszyć. Wyszedł z Wojewodą Wołyńskim, a Żórawski i Hetman się rozstali, winszowali sobie wzajem.

— Panie Hetmanie, ważną posługę oddałes Ojczyźnie i Królowi Jegomości. Wnukowie Zborowskich i sami dzielni, i mają licznych stronników.

— Mój Żórasiu, tobie dziękuję, zyskaliśmy dzielnego czło-

wieka. Samuel Gnoiński, komu służy, to służy z zapałem i namiętnie. —

Zostawszy sam Hetman, zacierał ręce: — Niech się żeni, jeden dzielny Polak wróci do posług Ojczyzny, i piękna Elżbieta jeźli nie przez zapomnienie, to przez zemstę przestanie go kochać. Przyznam się, że to pierwsza kobieta, co mi tak długo każe czekać. Czy kocham ją, czy nie kocham, tego nie wiem; ale mi się podoba, ale trzeba, żeby mnie kochała. Zresztą na późniejszy czas, tacy ludzie jak Gnoinski będą mi potrzebni. Zobaczmy teraz, co też ten Drogonius wyrabia ze swoim skieletem: — Otworzył kryte drzwiczki i korytarzykiem poszedł do pokoju Drogoniusa. Posłuchał — milczenie; z lekka drzwi odemknął: nie masz nikogo, tylko mdłe światło lampy bieli skielet na czarnem tle makaty; w łożu nie masz nikogo; w drugiej izbie siedzi Paoli; powstał, ale głosu Hetmana nie słyszy, mig jego nie rozumie. Hetman ruszył ramionami, uśmiechnął się: — Swoim zwyczajem musi marzyć w ogrodzie — wyszedł, czy snem spoczywać, czy także może marzyć.

Nazajutrz Drogonius idąc do mieszkania Pani Podkanclerzynej, myślał sobie: jakże ona wczoraj cierpiała? — musi być chorą; jak obumarłą złożyliśmy w łożu. Miałem ją w mojem objęciu, mogłem ją pocałować a nie śmiałem. Dziwno mi było, nie pojęcie; krew szczęściem wrzała, a rozpacz dręczyła duszę. Ona taka piękna, taka czarodziejka! — ona mnie nigdy kochać nie będzie! próżna rzecz! — Byłem panem — wszystko minęło — westchnął, zbladła mu twarz, tylko błyski uczucia w oczach migały. Wchodząc do przedpokoju zdybał Dowmuntównę: — Jak się Pani ma?

— Zdrowa, rozmawia z Panem Służewskim; taki kłopot, tu trzeba pakować, a Pani posłała prosić Hetmana Polnego na śniadanie. Niech Pan wejdzie — i drzwi mu otworzyła.

Drogonius przestępując próg, usłyszał Podkanclerzynę mówiącą do odchodzącego Służewskiego: — Możesz go uręczyć, niech będzie spokojnym, ja to wszystko biorę na siebie — a ujrzawszy Drogoniusa, powitała go uprzejmie z uśmiechem.

— Co jest Panu Drogoniusowi, taki blady, taki pomięszany? czy nie chory? może jakie nie miłe marzenie, albo straszny sen? — wymawiając te słowa siliła się na uśmiech.

Drogonius nie rozumiał uczucia kobiety. On, co wartował nad książkami, co mniemał, że zna serca ludzkie, myślą zabolał nad tą lekkością Podkanclerzynej, nad tą nagłą zmianą. W dół schylił czoło: — To nie sen, nie marzenie, ale prawda, święta prawda.

— Dajmy pokój temu, milczmy.

— To był ten zbrodzień — —

— Panie Drogonius, proszę, milczmy: — Zbladła i łza w oku stanęła. Cicho, jakby mimowolnie z piersi wydobył się głos: — Zemszczę się: — Tu drzwi się otworzyły i wszedł Hetman.

— Stawię na rozkazy pięknej pani — pocałował jej rękę.

A ona go przyjęła z tym wdziękiem nieśmiałej, zafrasowanej zalotności, co uroku i ponęty dodaje niewieście.

Przy śniadaniu rozmawiała czasem czule, czasem niby wesoło, a czasem z roztargnieniem, tak jak niewiasta, co już kocha, albo jest blizką pokochania. Ktoby wtenczas pilnie badał jej wejrzenia, łatwoby wyśledził, jak to ciężko i boleśnie, twarzą i głosem iść na wspak uczuciu; ale przy niej było dwóch ludzi, z których jeden sądził się być kochanym, a drugi kochał.

Hetman, w słowach słodki, miłośny w sercu, w duszy radośny, myśli, powtarza sobie: już moja, już moja. Drogonius rozpacz dławi w sobie, klnie piękność i ród niewieści, a siedzi jak mruk milczący.

Podkanclerzyna to spostrzegła: Panie Drogonius, Pan z nami pojedziesz, nie trzeba opuszczać swojej chorej; jakeś zaczął, tak trzeba skończyć leczenie jej zdrowia i duszy: — Ostatnie słowo dodała cichym głosem, ale taka miła w swojej proźbie, że on schylił głowę na znak, że pojedzie, a w myśli wyrzekł: pojadę i na koniec świata.

Wychodząc od Podkanclerzynej, Drogoniusowi zabłysnął promyk nadziei, i był mniej zamyślonym, a Hetman rad, wesół, dziękował Drogoniusowi, mniemając, że on swoim wpływem wspiera jego miłość i każdem słowem tego podziękowania drażnił serce Inocenciusa.

Przed wieczorem jeszcze mnogie kolasy wyjechały ze dworu, i mnogie wojska ztamtąd wyszły; a mieszkańce czerwono-ruskiego grodu za miasto Króla i rycerstwo wyprowadzili. Kapłani łacińscy, Unitcy i Armiańscy po kościołach śpiewali hymny błagalne; po dzwonnicach jęczały spiże, a setne wołania: Niech żyje Jan Kazimierz, Król i Pan nasz! Niech żyje Ojczyzna! hucznym i mnogim rozgłosem długo a długo brzmiały po całem mieście; potem ucichły, i czerwono-ruski gród zdał się tęsknić za ujechałymi gośćmi.

— Mądry polak po szkodzie — tak stara odwieczna gadka powiada. Na nieszczęście, gadka z prawdą się minęła, a polak szkodę odniósł, a nie pomądrzał.

Stefan Czarniecki pod Zujnowem, pod Chojnicami wygar-

bował skórę Szwedowi, z oblężenia wyzwolił walecznego Wejhera Malborskiego Wojewodę; czasem po kozaczemu raźno, ochoczo, wpadł na wroga, wykłuł, wysiekł, zabrał zdobycz i dalej gonił; czasem po tatarsku z nienacka przyskoczył, urwał co mógł i uciekał w drugą stronę. Jednego dnia w Sandomirskiem tłukł się ze Szwedem, a już za cztery albo pięć dni, pod Poznaniem zawiódł harc z Brandeburgiem: tydzień nie upłynął jak przeleciał Mazowsze, pokazał się za Wisłą w Lubelskiem, tam dał łupnia wrogowi, albo napędził strachu, i znowu wybrnął w Sandomierskie albo w Krakowskie. Wrogowie potoropieli, stracili hłuzd; na każdem miejscu i codzień spodziewają się Czarnieckiego, a nie wiedzą gdzie i kiedy go szukać. On na białym koniu, na czele lackiej jazdy, na czele kozaczego pułku, wichrem lata po kraju, piorunem spada na wrogów, burzą ich niszczy, i het na wsze strony rozmiata.

Król Jegomość na czele mnogiej szlachty, mnogich hufców z Korony, Litwy i Rusi, po kilkudniowym boju odzyskał ojcowską stolicę, i znowu Warszawianie witali miłego Pana; a rzecz dziwna, ten szpakowaty koń, co przed miesiącami upierał się nie wyjść z Warszawy, jakby zaczarowany obkołowaniem białej jaskółki, teraz się nie cierpliwił i rwał się, a wziąwszy na kieł niósł Króla do królewskiego zamku, niby mówiąc: tu miejsce Króla Polski, tu miejsce potomka krwi Jagiellońskiej.

Mąż Litwy, stary Hetman Gąsiewski, obeznany z wojną, pod Proskami na głowę zbił Szwedów; pokazał braciom Lachom, że pobratymce Litwini im i serdeczni i wierni. Pokazał światu, że jeszcze Żmudzka pogoń taka dzielna, taka dziarska, jak była za Kiejstutowych czasów; że Litwa tak śmiało, tak ochoczo do boju leci, jak gdyby ją wiódł podbójca Olgierd, albo rycerski Witołd.

Paweł Sapieha to wnucze Uświackiego Starosty, z białoruską jazdą biega po nad Wisłą i nie daje Szwedom ani zdobyczy, ani żywności wywieść z Polski, mówiąc: co nasze, to nie wasze; coście zabrali, to oddać musicie.

Szlachcic Michał Zebrzydowski zawołał na bracią szlachtę: Mości panowie bracia! przywileje szlacheckie na tem cierpią, że wróg dzierży Kraków, naszą starą stolicę; a szlachta hurmami skupiła się pod jego wództwo, i obległa Kraków.

Ale to wszystko zepsowało się na chwilę: póki Polska się dźwigała, póty wszystko było i składnie i ładnie; ale jak się dźwignęła trochę, natychmiast stare narowy powróciły. Szlachta poczęła wydziwiać, władzy królewskiej nie szanowała, nikogo nie chciała słuchać, a w końcu porozjeżdżała się do domów, i najpierwsza dała przykład złego.

Karol Szwedzki, hamowany w swoim zapale przez rady Radziejowskiego, który mu ciągle powtarzał: chwilka cierpliwości, zgoda i ład nie długo potrwają między polską szlachtą, skoro zobaczył, że tak się stało, jak zdrajca powiernik przepowiadał, złączywszy swoje wojska z wojskiem Brandeburga, pod Warszawę podszedł. Trzy dni zażarta bitwa pod okiem stolicy trwała; Karol Gustaw po szalonemu nacierał i Jan Kazimierz w pole wyjechał, mężnie po Jagiellońsku się znachodził; ale tą razą szczęście na stronę wroga się przeważyło; Koronne i Litewskie wojska, Tatarskie hordy cofnęły się ku Lublinowi, a Szwed po raz drugi zajął Warszawę.

Królowa Imość z całym dworem znowu schroniła się do Częstochowy, a Król Jegomość nie długo pogościwszy w Lubelskiem, przez Płock udał się do Gdańska, i tam wiernym Gdańszczanom powierzył straż swojej osoby. Stefanowi Czarnieckiemu polecił, żeby Królowej Imości ułatwił i zabezpieczył podróż do Gdańska. Najjaśniejszy Pan chciał pokazać wrogom, że jeden szwank nie stanowi rzeczy, że bez stolicy można odzyskać Polskę, a potem stolicę.

Kiedy tak się działo na wojennym świecie, w Częstochowie, w grodzie cudownego obrazu matki dziewicy, ksiądz Kordecki, przeor księży Paulinów i Pan Starosta Zakroczymski dowódca załogi Częstochowskiej, po raz drugi przyjmowali Królowę Imość, panie dworu, i wielu dostojnych Ojców Senatu z ich rodzinami.

Jasna góra zaludniła się dostojnemi gośćmi, cele klasztoru stały się ich mieszkaniem, ale nie było tam słychać wrzawy i światowych zabaw; tylko od rana do wieczora trwały modły i pobożne śpiewy. Zdałoby się, że te Jasne Panie, ci Jaśni Panowie zbiegli się na odpust przed obraz Matki Dziewicy, aby wyprosić byt i szczęście dla Polski.

Dzień Sierpniowy upałem skwarzył. Już było po wotywie, po sumie, i po mszy dla podróżnych; w refektarzu księża zasiedli do skromnego posiłku; w kuchni gotowano wystawniejszy obiad dla gości klasztoru, a w kościele wiele pań dworskich jeszcze się modli.

W kaplicy wystawionej przez Władysława Jagiełłę, przed cudownym obrazem Matki dziewicy, klęczało kilka niewiast, i modliło się. Między temi niewiastemi dwie szczególniej się odznaczały.

Jedna wzniosła w górę dziewicze czoło, oko utkwiła w obraz Boga Rodzicy; twarz jej smutna ale czysta, ale jasna; w oczach łzy i pokora, szemrze ustami pacierze, zdaje się mówić: Boże! spójrzyj w moje serce, zlituj się nademną! Matko Boża, tyś moja ucieczko, moja pociecho, wstaw się za mną! w Tobie ma nadzieja!

Druga spuściła czoło ku ziemi; nie śmie, czy nie chce podnosić oczów; może z żalu za dawne grzechy, wstyd miesza do skruchy i pokory; a może jeszcze jaka myśl nieczysta, ziemska przychodzi brudzić proźby i modły, nie śmie na obraz patrzeć.

Modliły się czas jakiś, potem wszystkie wyszły z kościoła.

Na korytarzu niewiasta, co miała spuszczone czoło przed obrazem Najświętszej Panny Marji, przystąpiła do tej co się modliła z wzniesionym wzrokiem: — Panno Hetmanówno, ja jadę z Królową Imością, proszę być spokojną, potrafiemy wszystkie zamiary Hrabinej zniweczyć; ja szczerze sprzyjam Pannie Hetmanównie.

— Bardzo dziękuję Pani Podkanclerzynie; ja sądzę, że nikt mojej woli zmusić nie potrafi: — Ukłoniła się grzecznie i odeszła z innemi pannami.

Podkanclerzyna nim weszła do pokoju Hrabiny z La-Grange, pomyślała: wszyscy mnie odtrącają; gorzko to, przykro; on temu wszystkiemu winien — o ja się zemszczę! Harda dziewico, ja ci służę, ale nie dla ciebie, tylko dla siebie. Wiem, że za innego nie pójdziesz za mąż, tylko za tego kozaka, mniejsza o to; byle on cię widział żoną innego, i to jak najprędzej; a wtenczas może — i westchnęła.

Hrabina witała ją radośnie: — Moja droga Podkanclerzyno, wszystko wyśmienicie się klei. Wojewodzina Wileńska nie jedzie, i Panna Potocka zostaje, z Królową trzy tylko będziemy; Panna Hetmanówna nie mogła odmówić rozkazowi Królowej, a w Gdańsku może do końca trafiemy z tem upartem dzieckiem. Montrezor mi obiecał, że Ludwika do Gdańska sprowadzi. —

— Ale Pan Kasztelan Kijowski nas przeprowadza, a z nim jest Pan Tetera?

— To prawda; chciałam zrobić aby kozacy byli zastąpieni przez inne jakie wojska. Używałam różnych sposobów, i różnych osób do tego. Wymogłam, że Pan Wojewodzic Kaliski ofiarował iść pod rozkazy Pana Kasztelana z pułkiem swojego ojca, ale ten rębacz na wszystko odpowiadał: nie można, nie chcę. On nie taki uprzejmy jak Hetman polny. —

— Potrzebniejszy jednak od wszystkich.

— To też jak nie będzie potrzebnym, to się go pozbędziemy; teraz moja kochana Podkanclerzyno, dołożmy starania, aby w drodze nie dać im się z sobą widywać. Hetmanówna jest w opiece Królowej, Pan Kasztelan nie będzie śmiał przeczyć tej opieki, a z czasem i dobrą wolą postawiemy na swojem. Podkanclerzyno, bądź pewna mojej wdzięczności, a teraz chodźmy do Królowej. —

Tegoż samego dnia, po obiedzie, w małej celi zeszły się

Panna Lanckorońska i Panna Potocka. Panna Potocka była smutna i zamyślona, co jej się rzadko trafiało; a Panna Lanckorońska zmuszonym uśmiechem chciała pokryć smutek: — Rozalko, czego tak się smucisz? wszak ja nie jadę na tamten świat?

— Moja Joasiu, taki mnie żal bierze, rozstając się z tobą, a potem zła jestem na tę Francuzicę; to ona nas rozdziela. Bóg wie, co z tobą zrobią.

— Nic oni ze mną nie zrobią, ja nie dwuletnie dziecko; przyjdzie czas, że wola mego ojca musi być spełnioną — westchnęła i otarła łzę żalu po ojcu.

— Moja Joasiu, ty nie wiesz jeszcze co to są ludzie. Oni jak zaczną ci nadstawiać sidła, to wprowadzą gdzie zechcą. Ty zapomnisz o Panu Teterze, a on ciebie tak kocha.

— Ja go zapomnę? — Nie, nigdy! Ja go kocham tyle co on mnie; a może więcej. W Krupiańskim zamku nie wiedziałam, że on mnie kocha, a żyłam dla niego. Wtenczas miałam ojca i ciebie i jego! i miałażbym zapomnieć, com przysięgła przed Bogiem? na co ojciec zezwolił?

— Joasiu, siłą z nami nic zrobić nie można, ale pochlebstwem, ale namowami? —

— Nic nie zrobią. Mój ojcze, ja sierota teraz! — i sparła twarz na ręce, skryła ją w dłonie i zapłakała.

— Nie płacz Joasiu, przepraszam ciebie, już nic nie powiem. Cóż ja z wami pocznę? Ty płaczesz, Anusia się smuci, bo Starościc gdzieś z Królem, a Wojewodzina Wileńska nie chce do Gdańska jechać. —

Wtem weszła Panna z Grosouvre, a nie zważając na smutek obudwóch Polek uśmiechała się. — Pan Wojewodzic Kaliski przyjechał i zostaje tu z nami.

Panna Lanckorońska płakać przestała, a Panna Potocka spojrzała na francuzkę: — Panna Ludwika widzę prędko pocieszyła się po stracie pana Starościca?

— On wcale mnie nie obchodził; a Pan Wojewodzic taki grzeczny, taki uprzejmy!

— Przed rokiem w Warszawie Starościc był takim.

— Proszę ze mnie nie żartować, i Pannie Rozalji Wojewodzic może się podobał?

— Och! co nie, to nie. Ja po nikim nie zwykłam brać w spadku kawalerów i starych sukień. I poczęła pustować; zwyczajny to nałóg młodości, ona nie lubi długo iść w parze ze smutkiem; a choć bieda, to jeszcze są chwilki, w których na śmiech się zbiera; i Hetmanówna trochę się rozsmuciła, i tak gadały aż do wieczora. —

W ciemną noc Królowa Imość, Hetmanówna, Hrabina z La-Grange i Podkanclerzyna, odebrawszy błogosławieństwo od

księdza Przeora, pożegnanie od wszystkich przytomnych, siadły do kolasy i wyjechały z twierdzy. Pięć bryk ze służbą i sprzętami szło za niemi. Za przekopem, za wałami, czekała jazda Pana Kasztelana Kijowskiego. Stefan Czarniecki powitał Królowę Jejmość, odebrał rozkazy, sprawił szyk wojska, i ruszono pochodem, bitym szlakiem do Chojnic.

Panna Joanna słyszy jak kopytami tętnią koniki jeźdców: może to koniki kozacze, może to konik Tetery. Oko nic nie widzi, ale przeczucie mówi: może to on, to on! I serce z przeczuciem się godzi, a myśl o nim, o lubym, i duma i marzy.

XII.

Królowo Korony Polskiej, Módl się za nami.

W Chojnicach, starem lackiem mieście, był dawny zamek Książąt Pomorskich na Kwidzyniu. Na zamkowem cielsku mur porysował się, porospadał i poszczerbił w setnych miejscach; dzikie ziele i mech go porosły. Tamte pocałunki zniszczenia: to barwa wieku. Oj dawne on dzieje pamiętał! — Ciekawa by rzecz była wiedzieć, jakie to tam sprawy się odbywały; jakie to były te staropolskie obyczaje i zwyczaje, tych wieków strojnych w żelazo, w żelazo zbrojnych, pasujących się z bałwochwalstwem, a przyświecanych pierwotnemi pochodniami Chrystusowej wiary. Na tę ciekawość, zamek głosem nie odgadał; nie pochwalił się piśmiennym pomnikiem; tylko zgrzybiałą postawą, przez wzrok do każdego myśli przemawiał: żem stary, to widzisz; a co się we mnie działo, to odgaduj.

Starostowie Chojniccy nie mieszkiwali w zamku, tylko na ekonomji. Załoga twierdzy w oficynach się mieściła, a zamek stał pustką. Wiatr po nim swobodnie roskoszował i dniem i nocą, i wyciem rozpłaszał szczury, nietoperze .sowy i puszczyki, dzisiejszych mieszkańców zamku. Jednak były tam jeszcze na prawem skrzydle komnaty niezupełnie sterane zniszczeniem czasu, ale ogołocone z ozdób i ze sprzętów; bano się w nich zamieszkać, czy przez poszanowanie starodawnej wielkości, czy przez strach, jaki zazwyczaj wznieca widok starego gmachu w człowieczem sercu. Teraz ten zamek tak długo od ludzi opuszczony, dał gościnność dostojnym gościom; w królewskie sprzęty te komnaty przybrano, i Królowa polska tam zajechała.

Podróż bezpiecznie się odbyła. Przez czas drogi Panna Hetmanówna widywała lubego, słała mu czarowne uśmiechy, czarowniejsze rumieńce, i najczarowniejsze spojrzenia; a on jej odpowiadał ogniem oka, krasą twarzy, panoszeniem się po-

stawy i dziarskiemi pląsami skarogniadego konia. Czasem na odpoczynku, na popasie, mimo strażnictwa francuzkiej Hrabiny, przemówili do siebie; krótko, pusto dla uszów ludzkich, ale dla swoich serc i serdecznie i zrozumiale.

Już zapalano światła i przykryto do wieczerzy; na stole śnieżna holenderska bielizna, na lśkniącem tle mszą się dziwaczne roje i ludzi i zwierząt: to warstatowe hafty popstrzyły bałwochwalcze czasy; złocone talerze i sztucce. Na złoconych półmiskach, drób pieczony, zwierzyna i ryby suto korzeniem zaprawione; bakalje różnego rodzaju; dwie półmiskowe łyżki, dwa widelce i dwa noże do rozbierania pieczystego, dwie solniczki, musztardniczka, mały przybór z flaszeczkami na ocet i oliwę, złocona flasza z czopkiem na wodę, i także srebrna na piwo, puzderko o siedmiu flaszkach, ze srebrnemi główkami u korków, a pełne zamorskich i zagranicznych win: oto była cała wystawa, całe bogactwo stołu Królowej Imości w chwilach podróży. W około składane stołki, przykryte kobiercami ręcznego haftu. Służba nie mnoga, ale po królewsku przybrana w błękitną barwę ze złocistemi ozdobami.

Królowa Imość, Podkanclerzyna i Hrabina z La-Grange, wszystkie trzy, były przybrane w jedwabne jupki papuziej barwy, napstrzone jaskrawo-żółtemi gwoździkami. Na głowach podróżne czepce, a w około szyi brabanckie kryzy, tylko u Królowej z pomiędzy kryz widać było perły jak wielko-groch duże. Panna Hetmanówna w szacie żałobnej, w czarnym kirze, i włosy pod czarną tkanką skryte; w jej ubiorze nie widać ani złota, ani drogich kamieni, ale usta rubinem się czerwienią, ząbki bieleją słoniową kością, niebieskie oko brylantem pała, a gładkie liczko jak perła przeziera.

Przyszedł Pan Kasztelan Kijowski, z tatarska po polsku przybrany, bo kuso i dostatnio, z nim Pan Stolnik Morawski, dzisiejszy dowódzca Chojnickiego zamku; Pan Stępkowski pułkownik zastępujący miejsce starego Krysztofa Wąsowicza i Tetera, Starosta Bobimowski, watażka kozaczy. Po powitaniu Pan Kasztelan wąsa podkręcił: — Miłościwa Pani, pokorną prozbę zanoszę do stóp Waszej Królewskiej Mości — i zatrzymał się chwilkę. Piękny i okazały był wódz polski, z tą pokorną a rubaszną postawą, stojący przed panią, Królową z imienia, Królową z czynów.

Królowa się uśmiechnęła słodko, ale tym uśmiechem, jednakim, sobie zwyczajnym: — Czego żądasz miły nam Kasztelanie?

— Szwedzik pod naszem okiem, pod Chojnicami napłoszył półk Księcia Wiszniowieckiego — pokręcił brodę — pozwól Najjaśniejsza Pani, żebym mu trochę uszów natarł; zostawię na straży Waszej Królewskiej Mości, chorągwie lekkiej jazdy

pójdę z mojemi Semenami i jutro wrócę na śniadanie! — Pokręcił wąsa i spojrzał w oczy Teterze.

Tetera hardo, wesoło, po kozaczemu patrzy; jakby mówił: pobijemy i wrócimy.

Na twarzy Ludwiki Marji zapał królewski wystąpił: — Niech cię Bóg szczęśliwie prowadzi, idź mężnie na nieprzyjaciela, ja spokojnie oczekiwać będę twego powrotu, a teraz kiedy wola, prosimy na wieczerzę.

Przy wieczerzy panowie wojacy smaczno i żwawo jedli, ochoczo spijali królewskie wino: i niewiasty nie okazywały smutku: bo ta nowość, to życie przygód im się podoba; tylko Panna Joanna często się zadumywała, często spozierała na Teterę okiem miłości i niepokoju. On na nią patrzał miłośnie, wesoło, tym wzrokiem co odgania niepokój, o pomyślności wróży, i zwiastuje uciechę człowieka: że nowy hołd swojego męstwa będzie mógł rzucić pod stopy kochanki. Tetera dumkę sobie w głowie roił: mam szablę ostrą, mam dziarkiego konia, czym nie pan? — Dziewcze lube kochaj mnie tylko, a ja ci się kiedyś atamańską buławą pochwalę.

Pod koniec wieczerzy Królowa Imość kazała sobie nalać wina w srebrny puhar. Wstała i wypiła: — Pomyślność wyprawy i szczęśliwy powrót.

Niewiasty i mężczyzni za przykładem Królowej Pani, powtórzyli toż samo życzenie i na prawdę winem popili.

Pan Kasztelan Kijowski w puhar wina nalał, powstał: — Bogdajeśmy na podziękowanie Najjaśniejszej Królowej Pani naszej, Jaśnie Wielmożnym Paniom i miłościwym panom braciom, Szwedzików natłukli, i jutro jeńców tu przyprowadzili. W ręce twoje mój Semenie — wypił, nalał wina w puhar, Tetera wziął kielich, powstał, powtórzył co Kasztelan powiedział, i wypił.

Po wieczerzy Królowa Imość dała rękę do pocałowania Kasztelanowi Kijowskiemu, dała ją Bobimowskiemu Staroście i do obudwóch rzekła: — Do jutra, czekam ze śniadaniem. —

Oni obadwa odpowiedzieli: — Stawiemy się — pożegnali wszystkich i wyszli.

Noc. — Wszyscy w zamku spać się układli, a Hetmanówna jeszcze przed łóżkiem klęczy i modli się. Modli się o błogi spokój, o łaskę Bożą dla duszy ojca, o szczęśliwy powrót dla kochanka. Na myśl: ja sierota! — łza w oczach stawała, i westchnienia cisnęły się z piersi. Na myśl: on mnie kocha, on mnie wszystkiem będzie, lubość lała się w sere; jakiś cień pogody rozpływał się po licu, a modły przechodziły na korne

dziękczynienia Bogu. W rogu komnaty paliła się świecznica, złotawem łunem oświecała czerwony adamaszek kotary, czerwoną kapę łoża, złote frężle i dziewicę klęczącą, całkiem obleczoną w bieli. Zdaje się, że to niebiosa się rozstąpiły, a w tej jaskrawej rozpadlinie, widać świętę Pańską, jak się korzy przed Bogiem, jak się do Boga modli.

Choć niby to spoczynek ludziom nakazany, w powietrzu widać spoczynku nie ma. Wiatr w połamane okienice klekocze, po całym zamku gwiżdże i wyje; czasem sowa świstnie, zajęczy i w kominie załopocze skrzydłami, i puszczyk to puhacze, to jak dziecko kwili, to niby pies poszczeknie, a szczury po za sklepieniem bezustannie szerkają; ciężko oka zmrużyć! Uszom się zdaje, że to jakieś dalekie tętnienia, i wrzaski wojny, albo djable harce.

Hrabina ze strachu głowę pod kołdrę skryła, drży jak w febrze, zapomniała o siostrzeńcu i o swoich układach, a w myśli klnie kraj polski, jakby tych rzeczy we Francji nie było.

Ten niepokój, ten gwar opanował duszę nadobnej Elżbiety, bo w jej sercu miłość, zemsta, gorzki żal, na przemiany klekoczą, a w duszy ciągła burza. Myśli: jak Hetmanówna będzie żoną drugiego, on wtenczas, może! i to może, całą nadzieją jej szczęścia, całym celem jej życia.

Królowa mało zważa na to co w około niej się dzieje; nie wiatr, nie sowy, nie puszczyki jej sen przerwały, ale rojenia, jak zdziałać wielkość i sławę państwa, na którego tronie los ją posadził. Biedzi się: czemu Bóg ją potomstwem nie obdarzył, nie przez uczucie macierzyńskiej miłości, ale przez chęć przejścia do potomności dalekiej, nie tylko sławą swoją, ale sławą i imieniem swego rodu. Już to nie ta młoda i piękna Księżniczka Gonzagów domu, co miłością, troską, chlubą, szczęściem i nieszczęściem niewieściem żyła. Ona teraz Królowa — i nic więcej.

Przeszła noc, dzień zabielał, słońce wzeszło wesoło i suto zajaśniało. W kaplicy służba Boża się odprawiała i już przykrywano do śniadania, kiedy w bramie trębacze gromko zatrąbili. Królowa się uśmiechnęła: — Pan Kasztelan dotrzymuje słowa.

I otworzyły się podwoje bramy, i wjechali wojacy, a na ich czele Pan Kasztelan Kijowski; obok niego kozaczy Watażka; pod Kasztelanem biały koń krwią skapany, zbrudzony kurzem, dziarsko pląsał; raba twarz Kasztelana groźna i zaweselona zarazem, jaśniała niby lice Archanioła boju; szabla już w pochwie, ale ręka gotowa na skinienie, i ją dobyć i nią świstnąć. Pod Teterą skarogniady, szczupakiem chlusta, w prawo w lewo wyskakuje, czwani się, a tak ochoczo, tak raźno, jakby tylko co ze stajni wyszedł; czy zgadł, że jakieś

tam oczko na niego patrzy, czy przeczuł myśl i wolę pana. Tetera taki hardy postawą, jak gdyby już za nim atamański buńczuk wieziono; taki radośny twarzą jak gdyby miłe dziewcze już jego było, jakby wsza Ukraina i Zaporoże brzmiały jego imieniem, jego czcią wojskową.

Co tam jeńców, co tam luźnych koni między kozaczą młodzią, i nawet jakiś oddział szwedzkiej rajtarji, na koniach i zbrojno. Królowa, Panie i Panowie wyszli na ganek. Pan Kasztelan po młodzieńczemu z konia zeskoczył, Królowę powitał. — Miłościwa Pani, chwała Polsce, cześć tobie, Szwedzik pobity, Aszemberg ledwie w kilka koni zemknął, a oto przyprowadzam gości na śniadanie — pokręcił wąsa i wskazał ręką na oddział konnych Szwedów: — Mospanowie z koni, plackiem do nóg naszej Królowej, waszej Pani.

To sami francuzi, Hrabiowie, Margrabiowie, Barony. Z pełna pięćdziesięciu ich było; zapomnieli rodzinnej bezczelności, ze sromem idą. Uśmiech Ludwiki Marji, kilka słów łagodnych z jej ust, wróciło trochę otuchy tym cudzoziemcom, co nawiozłszy narowów i złych nałogów do Polski, naprzysięgawszy miłość, jakąś tam przychylność dla Polaków, póki Król był możny a Polska potężną, potem czynem Szwedowi służyli przeciw Polsce.

Hrabina z La-Grange między niemi poznała swojego siostrzeńca Ludwika z Châtre. Już to nie ten modny mlodzieniec, co przed miesiącami szedł do królewskiego zamku w Warszawie, odbierać hołd od niewiast polskich, niby powinność. On teraz nie swój, pokorny jak jego towarzysze. Wszyscy oświadczyli chęć służenia Królowej Pani, wszyscy ją prosili aby mogli zagładzić złe, walcząc za Polskę; ale Pan Kasztelan brodę pokręcił: — Polska ma Polaków, żeby za nią walczyli, i ginęli. Cudzoziemcom gościnność daje bez żadnego warunku — i nikt na to nie odpowiedział, bo to mówił mąż Polski.

Po śniadaniu dwóch gońców jakieś wieści przywiozło Kasztelanowi Kijowskiemu, potem przyjechał stary szlachcic, widać zasobny obywatel, bo porządnie przybrany; coś długo a długo na dziedzińcu rozmawiał ze Stefanem Czarnieckim. Panna Lanckorońska spojrzała w okno i rzekła do stojącego obok siebie Starosty Bobimowskiego. — To Skarbnik: — Jakaś wesołość wystąpiła na lice obojga. Wszedł Pan Kasztelan a Starosta udał się na dziedziniec. Kasztelan żądał osobnego posłuchania u Królowej Imości.

Godziny nie upłynęło po posłuchaniu, a już Królowa Imość z całym swoim podróżnym dworem wyjechała z Chojnic, Stefan Czarniecki z swojem wojskiem ją przeprowadzał, i jeńce francuzi jechali także; ale nie szlakiem do Gdańska, tylko na powrót do Częstochowy pociągnęli.

Cało, bez żadnego przypadku, przybyli do grodu Matki dziewicy, bo Szwedzi z drogi na wsze strony zmykali, bali się lackiego męża jak gromu Bożego.

W Częstochowie kiedy żegnał Kasztelan Kijowski Ludwikę Marję, zasłyszano te słowa Królowej: — Niech ciebie Bóg prowadzi, ufam tobie że go skłonisz, że tu do nas przybędzie. —

On pokręcił wąsa: — Bóg skłoni, i przy jego pomocy niezadługo tu przybędziemy; w Bogu, w naszej szabli nadzieja. —

Wyszły z Częstochowy chorągwie lekkiej jazdy, wyszedł półk kozaczy; Semeny dumki nucili, widać tęsknią za bojem, tęsknią za Ukrainą. Pułkowódzca ciągle nazad siebie się ozierał, na Jasną Górę, a tam nie wrogi uszykowane stoją, tam nie Ukraińskie stepy i mogiły. On się ozierał, a skarogniady stąpał dalej a dalej.

W Częstochowie wszyscy się dziwią, nie dla czego Królowa powróciła, nie dla czego Pan Kasztelan z wojskiem wyszedł, ale dla czego zostawił w Częstochowie ojca Jezuitę Dąbrowskiego? To jego nierozdzielny towarzysz, wszędzie i zawsze; a teraz się rozdzielili? Jakaś ważna rzecz się kryje wtem wszystkiem.

Jakże to teraz szumno i ludno w Częstochowie. Na Jasnej górze Królowa Imość z licznym dworem, w mieście Hetman polny założył oboz, tam codzień dwornie przyjeżdżali panowie, i siła szlachty polskiej. U Hetmana pod namiotami królewski zbytek; dla panów i braci szlachty zawsze stoły otwarte; jadła hukiem, trunków podostatek. Zdałoby się komuś, że nie na wojnę wyjechał ale na elekcje, skarbić sobie łaskę u braci szlachty, i na Króla, siebie, albo kogo kierować. Żeby zjednać sobie względy u pobożnego ludu, w kościele pod obrazem cudownej matki dziewicy, zawiesił buławę hetmańską, powiadając: — Ciebie Boża Matko, za opiekunkę biorę, u stóp twoich składam znaki mej dostojności, jak się czynem stanę godny Twej opieki i tych znaków, wtenczas je dopiero wezmę: — Lud wołał: jaka chrześciańska pokora, jaka pobożność! Ojcowie Jezuici już się przygarnęli do boku Hetmana; on ich głaskał powolnością, obietnicami, jednak nieodpychał od siebie tych ludzi mędrków, zwanych wówczas filozofami. Wielkich panów blaskiem imienia do siebie wabił, szlachtę durzył że on z nią za panie bracie, że on najzaciętszy stronnik, obrońca bezgranicznej wolności, równości szlacheckiej i szlacheckich prerogatyw. Po cichu każdemu w ucho szeptał skargi na nieskwapliwość, a nawet na złą wolę Jana Kazimierza. Jawnie zaś za Królem obstawał, Królowej Imości

się kłaniał, a nawet ją ucztami i różnemi zabawami w obozie podejmował. Dobry polak, dzielny wódz, walecznie się ścierał ze Szwedem, szczerze chciał dobra Polski, ale coś knuł; bo wszystkich głaskał, wabił do siebie.

W sercu Królowej Imości nie było niedowiarstwa; ona chciała sławy, wielkości polskiej, i ufała każdemu, kto tak chciał jak i ona, albo kto zdawał się tak chcieć.

Kiedy tak ta Pani zajęta była rzeczami męża stanu, w jej dworze odbywały się kobiece zwody i korowody. Hrabina z La-Grange siostrzeńca forytowała na małżonka Hetmanównie; młody i nadobny Hrabia z Châtre na darmo popisywał się z całym swoim francuzkim dowcipem, nadarmo po nocach w klasztornym ogrodzie brzdąkał na gitarze, i zawodził jakieś hiszpańskie trele, płoszył tylko klasztorne koty i kuny, czasem mnichowi spać nie dał, rozpamiętywanie zakłócił, a najczęściej śmiech wzbudzał w dworskich pannach, w rycerskiej młodzi. Na darmo na przejażdżkach koło kolasy panny Hetmanówny na koniu niby pląsał i przedrzeźniał harcerza. Panna Hetmanówna te wszystkie zaloty za nic ważyła, nie taiła przed nikiem że jej serce już raz oddane, i często powtarzała: — I serce i ręka polki polakowi należą, a nie temu, który walczył przeciw Polsce.

Hrabina ze złości się wścieka, oziębła dla Podkanclerzynej, gdera na Montrezora, jakby to oni temu byli winni, że lackie dziewcze kocha, i swojej miłości zmieniać nie umie, nie chce. I francuzki Hrabia się nudził, on nie przywykł do żebraniny serca niewieściego; we Francji a nawet w Polsce dawano mu je, nim poprosił, nim pomyślał: chcę go mieć. Choć Hetmanówna krasiwa dziewica, dawnoby przestał swoich zalotów, ale dobra Hetmańskie, z których Bóg wie wieleby można narobić Księstw Andegwańskich, Nemurskich i tym podobnych, nęciły chciwość francuza.

Ale cóż to za nagła zmiana zrobiła się w tych zwodach? Pani Hrabina często narady odbywa z Hetmanem polnym, i z Panem Wojewodą Wołyńskim, a Hrabia Ludwik przestał udawać zakochanego; nie wzdycha już do Hetmanówny, tylko obsypuje kwieciem grzecznych słówek, to Wojewodziankę Wileńską, to Podkomorzankę Podolską. Wrócił do rodzimego stanu trzpiota, wietrznika i modnisia. Jakieś to w tem muszą być sztuki i wykręty francuskie?

Była to Sobota, dzień Matki dziewicy. Słonko jasno wzeszło, powiewał wietrzyk, jeszcze gdzie niegdzie kropelki rosy się lśkniły. Na Jasnej górze, w klasztornym ogrodzie, nie gwarzyły ptaszęta, bo je ludzie ztamtąd wypłoszyli, ale za to dostojne i urodziwe niewiasty w nim się przechadzały; w końcu

szpalerów, pod rozsochatą lipą, na darniowym siedzeniu, siedziały trzy dziewice: jedna czarno, a dwie biało przybrane, i rozmawiały z sobą.

— Moja Joasiu, ty taka smutna, taka chmurna? Czyż się nie dość już napłakałaś? przestań, bądź weselszą, z nami przynajmniej.

— Anusiu, wy się weselcie, niech mój smutek wam nie przeszkadza. Macie rodziców, macie braci, siostry, a ja sierotą; sama jedna.

— A jaż nie siostra twoją? — odezwała się trzecia dziewica, całując w czoło Lanckorońskę: — Anusiu, nie namawiaj ją do wesołości? Joasiu ja ci zaśpiewam.

Ni batka, ni radyny,
Ni maty, ni chatyny.
Syroti tut newola,
Oj dola, horka dola.

Joasiu ty płaczesz, dajmy pokój temu, mówmy o czem innem? co ty mówisz Anusiu o wtorkowych turniejach.

— Mój brat powiadał, że mają być przepyszne. Lubomirski chce nas zadziwić, w oczarowanie wprowadzić.

— Nie nas Panno Anno, tylko kogo innego; mniejsza o to; my będziemy widzieć te dziwne rzeczy; ja ciekawa jestem jak nasz Hrabia popisze się?

— Ja ci go odstępuję, moja Rozalko!

— A ja nie chcę. Wreszcie, nie mamy o co sporzyć, to nasz spadek po Joasi; ty masz swojego Starościca, a ja choć nikogo nie mam, spadkowych kawalerów nie lubię. — Obróciła się: — Joasiu, wszak ty pojedziesz z nami na turnieje?

— Nie, nie pojadę. Raz że mi się nie bardzo chce być na tych zabawach w żałobie, potem ojciec Dąbrowski powiada, że lepiej zrobię kiedy nie pojadę.

— Skądże znowu to posłuszeństwo dla ojca Dąbrowskiego? wszak i ojciec Wota, taki Jezuita jak on, a powiadał wczoraj, że turnieje to nie żadna uczta; że za dawnych, pobożniejszych czasów, Królowe i Księżne Hiszpanji, Włoch i Francji, w żałobie bywały na turniejach.

— Ojciec Dąbrowski jest przyjacielem Pana Kasztelana Kijowskiego, zostawionym przez niego aby nademną czuwał.

— A kiedy Królowa zechce?

— Nie wiem, co zrobię.

— Kiedy ty nie pojedziesz, to i ja nie pojadę.

— I ja także — rzekła Sapieżanka, i obiedwie z Potocką, jak by ich zaraził smutek Lanckorońskiej, przestały mówić: czy zamyśliły się, czy ze współczucia smutku, czy z rozdąsania się, iż nie tak rzecz poszła, jak one chciały.

Ojciec Dąbrowski tylko co powrócił z Hetmańskiego namiotu, przechadzał się po korytarzu, zamyślał się, coś rozważał, ruszał ramionami. — Oh! ja się boję, żeby nie zrobili sprawy podobnej jaka przed miesiącami stała się w Lanckoronie: — Boże oświeć swoich sług! Ja nad nią czuwać będę, przyrzekłem to mężowi Polski, mojemu przyjacielowi.

Wtem go zdybał dworzanin Królowej Imości, i oddał jakieś papiery. Ojciec Dąbrowski rozpieczętował, przeczytał, twarzą się rozpogodził. — A gdzie goniec?

— Musi być na dziedzińcu przy bramie, Wielebny Ojcze. —

Na dziedzińcu, przed bramą, stał Wojewoda Wileński, kilka Wojewodów i Kasztelanów, a przed nimi stary Owsij, sotnik kozaczy, tak opylony, że sina barwa kontusza zdaje się niby ołowiana, a twarz czarna jak u Araba, tylko siwe oczy błyszczą, i sterczą wąsy pyłem narośnięte: rozpowiadał, rękoma wymachiwał, przysiadał do ziemi czasem, czasem w górę podskoczył i dziwne ruchy stroił twarzą i postawą; widać, że niemi pomocy dodawał i myśli i językowi, a przytem chciał zarazem słowem opowiedzieć, ruchem pokazać, jak to było.

— Ot tak ojcowie! wy wiecie, że nasz Czarniecki, to choć raby pies, ale jak wsiądzie na koń, to taki rozumny, że aż dziwo. Jak tylko my wyszli ztąd, już szelmy Szwedzi wiedzieli, że do Gdańska idziemy. Tak się porozstawiali po drogach, jak strzelce na zająca, i czort by się między niemi nie przesunął; ale nasz raby, to czmut: rozglądnął po świecie i już wiedział co się tam dzieje; pokręcił się to w prawo to w lewo, niby to my na Poznań pochodem szli, to znów zwrócili się ku Wiśle niby na Lublin. Nadwoił, natroił, a Szwedy chodzą przed nami, i sami nie wiedzą co to będzie. Aż tu jednym razem Pan Czarniecki jak sunie w oczy temu Aszenbergowi, co to my już nieraz jego bili, Szwed przeląkł się, pomyślał sobie: będzie licho, taj krzyknął na swoich: ratujcie! i zbiegli się do niego Steinbok, Duglas i chmura Szwedów, a my im dulę pokazali pod nos, melk w stronę, w prawo, i jak dernęli to przez półtory doby upaliliśmy czterdzieści ośm mil, i stanęli w Płocku. Tutaj dopiero robota była. Szwedzi ze wszystkich stron nas otoczyli, a przed nami Wisła, taka szeroka, taka bystra, jak nasz Dnieper. I my i nasz Watażka i Pan Stępkowski i Lachy, krzyczemy: Panie Kasztelanie, poprobujmy, chodźmy na nich, ta może ich i podużamy. Ale on powiedział: milczeć cicho, tu będziemy stać; i pokręcił brodą, o ho! żartować nie ma co, kiedy to zrobi. Milczemy, i stojemy, ani mru mru. Kazał rostasować się, ognie porozkładać i jeść gotować. Wieczorem pociemniało, ognie się palą. Szwedzi patrzą, a Wisła prudko płynie, plaska pianą na brzegi, środkiem prądem mruczy i brzęczy jak dalekie granie tu teorbanów, drum,

drum; nam dziwno co to będzie, co to będzie. Aż tu w nocy, nasz raby schwycił się, i jakby co przystąpiło do niego nyszkiem kazał na koń! na koń! Chłopcy djabłem rzucili się do kiełznania, do podciągania kulbak, i w mig wszyscy na koniach, przeżegnali się, pomodlili. Nasz raby z koniem pornął w Wisłę i krzyknął: — Panowie bracia, za mną! a my za nim. Płynęli, płyneli, taj przepłynęli Wisłę, na drugiej stronie, podziękowali my Bogu, obliczyli się. Czterech tylko brakowało i to samych ciurów. Pan Czarniecki już pokręcał wąs i gadał: tęgo panowie bracia, to po naszemu. Jak przyszedł biały dzień, to my się śmieli do rozpuku; ztamtej strony rzeki, Szwedzi rozdziawili gęby jak gawrony i patrzą: promów szukają. My im pokazali końskie ogony — bywajcie zdrowi panowie wrogi! i poszli w Mazowsze. Tam pod Chorelami i Działdowem taki rodzimym wrogom skórę my wytrzepali, że aż ha! — Tak dużo ich nabili, jak w Kijowie prosiąt na Wielkanoc, a potem Wisłę znowu przepłynęli i do Gdańska przyszli. Tam Król jak ojciec nas przyjął, rozpłakał się, a Pan Czarniecki do niego długo gadał. Gadał, że służył w wojsku za ojca, brata jego Królewskiej Mości, i teraz służy Ojczyznie i Królowi. Powiedział, że ten szelma Rakocy grasuje po polskiej ziemi, że Królowa Ludwika Królewska żonka, że panowie Senatory proszą Króla żeby do nich przyjechał, a skończył: — Jak ty Królu, nasz panie, będziesz zdrów a między nami, to i wrażej krwi natoczymy, i Ojczyzna będzie: — Było tam i więcej, ale tak jak ja wam mówię. Przysięgam na Boga, Król obudwoma rękoma objął Kasztelana, zaprosił do siebie na objad i całą starszyznę; i tam był, ot tak jak mnie tu widzicie, przy Królewskim stole jadł i pił. W mieście tyle było litewskiego wojska, że aż dusza rosła, a wszyscy krepaki Litwini; a Gdańsk nie taki jak nasz Kijów; ale daleko większy jak Bracław i Winnica, a ludzie tam, choć Niemcy, to dobrzy; my tam trzy dni bawili, a potem z Królem i całem litewskiem wojskiem wyszli. Król Litwie kazał na Pomorzu grasować, a sam z Panem Czarnieckim tutaj idzie. Mnie nasz raby powiedział: Owsij, ty stary ale chwat, masz listy, czmychaj z niemi do Królowej Imości, tylko ostróżnie i prawornie, a oto list do księdza Dąbrowskiego; ja pokłonił się, siadł na konia i czmychnął.

Wojewoda Wileński pasa poprawił: — Mospanie, grackoś się spisał, ale gdzie teraz Król jest, i kiedy myślisz, że tu przybędzie? —

— Już to trudno zgadnąć: — Ale będzie z pięć dni najdalej — pomyślał — teraz musi być ze dwadzieścia mil za Kaliszem. Nasz Watażka z pułkiem szedł po przedzie, już pewnie w Kaliszu; ale Król wielki Pan nie oczajdusza, po kozacku nie jeździ; spostrzegłszy ojca Dąbrowskiego, powitał go,

całując w rękę, ojciec dobrodziej jak się ma, a list czy odebrał?

— Jak się masz, Panie Sotniku, odebrałem, dziękuję, a teraz pogadamy z sobą; trzeba się przytem czemś zasilić. Wszak prawda? —

— To prawda; choć człowiek swoje zrobił, trzeba jeść i pić, bo bez tego na lichą godzinę by przyszło: — Sława Bogu, bywajcie zdrowi Panowie Lachy: — pokłonił się i Senatorowie go odżegnali, a on poszedł z ojcem Dąbrowskim.

Na wieść o przybyłym gońcu od Króla, Książe Prymas, Hetman polny, Wojewodowie, Kasztelani, dostojni urzędnicy Korony i Litwy, poschodzili się do pokojów do Królowej Imości. Królowa im oświadcza prędkie przybycie Króla Jegomości, przytem oddała pismo księciu przymasowi, którem Król Senatowi oznajmuje, iż wyniósł na Województwo Ruskie Stefana Czarnieckiego Kijowskiego Kasztelana, i w nagrodę jego zasług przydaje mu Starostwa Ratneńskie i Kowelskie; iż za męstwo i poświęcenie się dla Ojczyzny Semena ze Światopełków Teterę Starostą Bolestraszyckim, pułkownikiem królewskich chorągwi kozackiej jazdy. Drugie pismo wręczyła Hetmanowi polnemu, którem Król, w brew swojemu obyczajowi dobroci, nakazuje mu surowie iść natychmiast na Ruś, wspierać Wielkiego Hetmana Koronnego, walczyć z Rakocym, i uśmierzyć szlachtę i kozackich wodzów Zielenieckiego i Popenka, co się zbuntowali przeciw prawemu panu, i jako zdrajcy połączyli się z Siedmiogrodzianami. Każe Litwie czekać na siebie, a Janowi Sobieskiemu z ruską jazdą i z Tatarami pokoju nie dawać Szwedom.

Te mianowania i te rozkazy coś w nie smak poszły wielom z wielkich panów. Oni wtem wszystkiem nie chcą widzieć woli Jana Kazimierza, ale wolę Stefana Czarnieckiego, szlachcica, co nie z rodu, nie z majątku, nie przez pokrewieństwa, nie przez opiekę mitrowych panów, ale przez szablę wzniósł się tak wysoko, i jeszcze stanąć może wyżej. Spozierali na siebie; nie jeden zagryzł usta, wąs, brodę targnął, ale nic nie powiedział.

Jerzy Lubomirski jak zawsze uprzejmie się uśmiechał, przystąpił do Królowej Imości: — Przyjazd Najmiłościwszego Pana między nas, prawdziwą radość i otuchę sprawia sercom naszym, chcielibyśmy wszyscy powitać go osobiście, ale spełnienie rozkazów Jego Królewskiej Mości pozbawia niektórych z nas tego szczęścia; tam jednak przelewając krew za Ojczyznę i Majestat tronu Waszych Królewskich Mościów, miło nam będzie tym dowodem poświęcenia się witać choć z daleka naszego prawego Pana. Jednak zanoszę pokorną prożbę, abyś Wasza Królewska Mość nie odmawiała raz obiecanej bytności w moim obozie we wtorek; trzech dni potrzebuje do ściągnię-

cia i urządzenia wojsk polnej buławy. Odwiedziny Waszej Królewskiej Mości w dzień odchodu rokować będą mnie i memu wojsku pewne zwycięstwo.

Królowa podała do pocałowania rękę Lubomirskiemu: — Panie Hetmanie, com raz przyrzekła, to dotrzymam. Nie moje odwiedziny, ale męstwo Jego i jego rycerstwa zapewniają zwycięstwo Polsce.

Hetman pocałował w rękę Królowę. — Błagałbym wstawienia się Waszej Królewskiej Mości, aby Panie dworu jej towarzyszyły; dotąd nie mogłem uprosić panny Hetmanównej Lanckorońskiej, a złeby to robiło wrażenie na rycerstwie, gdyby na wojennej uroczystości przezemnie dawanej, nie znachodziła córka mojego poprzednika, którego za życia wszyscy kochaliśmy jak ojca, a teraz szanujemy Jego pamięć.

— Wchodzę w słuszne powody Pana Hetmana i najmilej mi będzie być jego pełnomocniczką. —

Królowa każdego z Senatorów, każdego z panów i z rycerstwa tam przytomnych, jakimeś słówkiem i uśmiechem obdarzyła. Oni w zamian oddawali niskie ukłony, i każdy wypalił jaki umiał madrygał to po francuzku, to po włosku, to po łacinie, to po polsku. Królowa choć nie wiele słuchała, twarzą udaje że słucha, że rozumie, a uśmiechem dziękuje.

Po tym obrzędzie dworskim, który trwał kilka godzin, Senatorowie, panowie i rycerstwo porozchodzili się sejmikować, jedni, niby to trochę jawniej, drudzy po kątach, ale wszyscy sejmikować.

Królowa po tym trudzie mozolnym poszła trochę spocząć. Hetman polny szukał gońca przybyłego od Króla, widać chciał się z nim rozmówić, ale nadaremnie; w klasztorze powiadają: zjadł objad i poprowadził konia do miasta. W mieście nikt go nie widział. Ojciec Dąbrowski zapytywany, odpowiedział: nakarmiłem go, a gdzie się podział tego nie wiem; może gdzie pojechał, może gdzie się zaszył, zwyczajnie kozak. Pytano straży i czatów: tam widziano mnóstwo Lachów i Kozaków przyjeżdżających i odjeżdżających, ale wszyscy dawali hasło i odzew; straże i czaty się zmieniały, nie można się było nic dowiedzieć. Hetman powiedział: jak go znajdą, to zaraz tu do mnie przyprowadzić. Niedziela przeszła, poniedzialek minął, a stary Sotnik się nie znalazł, zginął gdzieś, jak gdyby kamieniem wpadł w wodę.

W nocy z poniedziałku na wtorek wielki ruch w obozie Hetmana. Przy zapalonych ogniach bezustannie wozy się snują, pracują ludzie.

We wtorek zrana Hetmanski obóz dziwnie pięknie wyglądał. Na piaskowatym wzgórku stał rozbity turecki namiot, ten sam co go Piotr Konaszewicz Sahajdaczny z mołodzcami zdobył pod Chocimem na Osmanie Sułtanie Carogrodzkim, i dał w podarku Stanisławowi Lubomirskiemu, Krakowskiemu Wojewodzie, podówczas hetmaniącemu lackiemu Wojsku. Nieboszczyk Wojewoda wielce cenił dar, bo przy śmierci dzieląc majątek między trzech synów, w testamencie napisał: — trzy rzeczy bez działu zostawiam; turecki namiot, dar od Sahajdacznego, Marszałkowską laskę dar Wolskiego Mikołaja i kamienicę w Krakowskim rynku. Ten z moich synów te trzy rzeczy odzierży, który będzie marszałkował, hetmanił, i mieszczanom Krakowskim jenerałował. Przy śmierci przepowiedział prawdę, bo Jerzy Sebastjan, średni syn, wszystkie te trzy godności na teraz piastuje.

Wspaniały to był namiot, zewnątrz cały ociągnięty pawołoczą i złotogłowem, u wierzchu księżyc ze szczerego złota, a nad nim Srzeniawa bez krzyża, herb rodowy Lubomirskich. W tyle tego namiotu, na płaszczyznie miasto namiotów różnobarwnych, różnokształtnych, nad nimi herby szlacheckie. Po przed namiotem gładka równina czysta jakby wymieciona. Na prawo na wzgórzu, jakaś niby twierdza się wznosi, po narożnikach kozacze palanki, we środku ostrokoły, i brama, przed niemi wał i przekóp, a trochę o podal z beczek smolnych popiętrzone Zaporowskie reduty, te miło-wieszcze zwiastunki, co mołodcom o przyjsciu wroga znać dają. W lewo na przeciw twierdzy lasek i krzaki. Pomiędzy namiotami snują się piesze roty, w błękitnych, w zielonych, w czerwonych barwach; kręcą się jezdni, towarzysze, szeregowce, pancernych i kozackich znaków, ciury się uwijają. Ruch i wrzawa w obozie.

Hetman Polny od samego świtu już nie spał; jedni stawili się przed nim po rozkazy, drudzy przychodzili go witać.

Już słońce wzniesło się w górę, kiedy wszedł Pan Wojewoda Wołyński. Hetman go powitał i prosił siedzieć na węzgłowiu: — I cóż Panie Marcinie, czy pewno przyjedzie?

— Przyjedzie pewno, ale ja się boję, bo tu dąży w kilkaset koni.

— Bać się nie ma czego, teraz im kto silniejszy, tem łaskawszem okiem na niego patrzą.

— Jaśnie Wielmożny Hetman go znasz, paliwoda, strasznie się lękam, żeby czego nie zbroił.

— Ja za niego ręczę. Uprosiłem Pana Żórawskiego, żeby naprzeciw wyjechał; filozofa dosyć na jednego człowieka, żeby do rozumu przyszedł, albo do reszty zwarjował — zaśmiał się.

Wojewoda już miał słowa na języku, kiedy weszli Panowie

Koniecpolscy, Książe Dymitr Wiszniowiecki, Wojewoda Wileński z synami, a za nim Senatorowie i starszeństwo rycerskie. Depczą perskie kobierce, zasiadają na węzgłowiach z kosztownych bisiorów, rozpatrują po adamaszkowych ścianach, oczepionych bronią, lśkniącemi rzędami, złotem, srebrem i kamieniami drogiemi, i rozprawiają o Królu Jegomości, o narodowych sprawach, o ojczystych rzeczach; po staropolsku otwarcie i głośno; gwarnie i żwawo, choć jeszcze kielichy z rąk do rąk nie przechodziły.

Wtem jakiś gwar wszczął się przed namiotem, wyraźnie jakiś głos wołał: — Mościpanowie, puszczajcie mnie do Marszałka Koronnego — a dworzanie wstępu mu wzbraniali.

Hetman krzyknął: — Niech go tam puszczą. —

Niebawem wszedł pod namiot szlachcic, w perłowym kontuszu już spłowiałym, karmazynowy żupan tak zblakował, że teraz miejscami żółty, miejscami różowy; na pasie złoto się wymszyło, żadnej barwy nie rozeznać, wygląda jak ścierka; przy boku szerpetyna, pochwa jeszcze jasna; na łysej głowie jak kolano, tylko jeden strzęp białych włosów, wąsy białe aż pożółkły, od zgrzybiałości twarz zaschła, pomarszczona, choć zgarbiona postawa, ale jeszcze sążnista; pokłonił się i Hetmana ułapił za kolana: — Sprawiedliwości błagam, Mości Marszałku Koronny.

Czegoż tak nagle Pan Wojewoda Wołyński zbladł? Hetman patrzy w oczy szlachcicowi, a on potrząsł głową: — Jaśnie Wielmożny Marszałku mnie sobie nie przypominasz, mnie starego sługę nieboszczyka Hetmana Polnego, Radzika Burgrabiego Lanckorony, niegdyś! a teraz! —

— Przypominam sobie dobrze, jak się masz Panie Radziku, cóż ci tam zrobiono?

— Mnie i moją starą żonę wyrzucono z Lanckorońskiego zamku, za rozkazem opiekuna mojej pani i dziedziczki. Serce mnie zabolało; ale pomyślałem sobie: on pan, taka jego wola; posłałem żonę na Podole, gdzie człowiek ma chudopacholski mająteczek, a sam ruszyłem żeby przed śmiercią zobaczyć ostatnie dziecko nieboszczyka Hetmana. Ja, jak mnie tu starego widzicie Jaśnie Oświeceni i Jaśnie Wielmożni Panowie, od chłopięcia bywałem z Hetmanem w boju, na swoje oczy widziałem jak wszyscy siedmiu synowie nieboszczyka Hetmana poginęli z ręki wrogów, samem grzebał ich zwłoki; pogrzebałem zwłoki starszej córki Hetmana; i cóż dziwnego, że ja już nad grobem chcę zobaczyć moją panią dziedziczkę? — a tu mnie jakieś draby złapali, jak zboja, jak bannitę, ciągnęli do obozu Pana Wojewody Wołyńskiego. Ledwie poczciwi ludzie mnie odbili. Sprawiedliwości błagam, Mości Marszałku, niech mnie zaprowadzą przed

Pannę Hetmanównę jedyne dziecko nieboszczyka mojego pana.

Hetman obrócił się do Wojewody Wołyńskiego: — Pan Wojewoda ukarze swoich ludzi, jeźli to oni taką swawolę zrobili, a Waszmość Panie Radziku bądź spokojny. Dziś nie można, ale jutro zobaczysz Pannę Hetmanównę.

Wojewoda Wileński powstał: — Mospanie Radziku, my się z sobą nie znamy, ale mam Waszmość Panu wypłacić się z długu wdzięczności. Proszę w goscinne do siebie — i ku zadziwieniu wszystkich podał rękę szlachcicowi, uścisnął i sam go odprowadził do swojego namiotu. Wojewoda Wołyński wyszedł takoż, zapewnie swoich ludzi wybuzować.

Ten mały wypadek zwarzył i sejmikowe rozprawiania i rycerską butność. Dawni towarzysze, przyjaciele i pokrewni nieboszczyka Hetmana zaczęli mimowolnie przemyśliwać o śmierci Stanisława Lanckorońskiego, o wieści, o testamencie, o ostatniej dziecinie hetmańskiej; niemal wszyscy żałowali starego sługę, bo to rzecz nie słychana, żeby oddalać z miejsca człowieka, który przez dawne i dobre służby stał się niejako członkiem rodziny.

Hetman chciał wesołość wrócić swoim gościom, kazał podać przekąskę i rozmaite wódki. Piją, jedzą hultajskie bigosy, kiełbasy, podgarlane kiszki i litewskie wereszczaki, i znowu popijają, ale to nie wiele pomaga. Wtem wpadł pod namiot jeden z dworzan: — Jaśnie Wielmożny Hetmanie, Jaśnie Oświeceni i Jaśnie Wielmożni Panowie, Pan Drogonius na koniu.

Wszyscy wyszli przed namiot i zajrzeli jak drogą do Jasnej Góry, pędził jeździec filozof, dropiaty koń ni to dyrdał, ni to czwałował, dziwne jakieś skoki robił, jeździec gdzieś się utopił w siodle bo go nie widać, tylko czarny płaszcz, jak ptak skrzydłem kiwał się nad koniem, niby na pożegnanie namiotowi. I starych i młodych porwał śmiech pusty, a kiedy ujrzano z przeciwnej strony jadącego na koniu Mikołaja Żórawskiego, wszyscy winszowali Hetmanowi, że takie cuda robi, alchemika wykierował na harcarza, a obudwóch mędrków na rycerzy.

On zatarł ręce, i ni ztąd ni z owąd powiedział. — Zapomnienie dawnych i nie dawnych uraz, a zgoda i jedność na teraz, to nam koniecznie potrzebne: — Domawiając te ostatnie słowa, spojrzał znaczącym wzrokiem na Wojewodę Wileńskiego, a potem wziął go na stronę i coś długo rozmawiał.

Hetman uśmiechał się, widać prosił, przekonywał, a Paweł Sapieha stał chmurny, a po ustach widać, że kiedy nie kiedy tylko przebąknął słowo.

Już po południu, na drodze od Jasnej Góry ukazały się tumany kurzu; jeden po drugim, kilku gońców przypędziło z wieścią, że Królowa jedzie. Hetman dosiadł tureckiego dżameta, przybranego w perskie tyftyki, i w rząd upstrzony koralami i złotem. Dosiedli koni Wojewodowie, Kasztelani i młódź rycerska; w pląsach, w skokach, w przechwałkach wyjechali na spotkanie Królowej Imości i Polskich Pań.

W obozie chrapawo, a dzwięczno zabrzmiały trąby, zaterkotały tarabany; jezdni i piesi przy swoich chrągwiach się szykowali, drzewce jak las sterczą, błyszczą u wierzchołków, srebrem, złotem, stalą; buńczuki od wiatru drą się na pojedyńcze włosy; chorągwie różnobarwne z wiatrem igrają i migają obrazami świętych pańskich, herbami szlacheckiemi, i zwierzętami, i ptakami.

Królowa Imość już zajechała przed namiot i wysiadła z kolasy, i wnet z mozdzierzów na wiwat palono sto i jeden razy, a janczarska muzyka brzmiała, powietrze huczało, brzmiało; rozgłos huku brzmienia słało na dalekie okolice.

Przed namiotem stały ławy zasłane kobiercami i jedwabiem dla Pań dworu; pośrodku na trzech wschodach tron wzniesiony, zdobny adamaszkiem i złocistemi burtami, obok niego po prawicy i po lewicy kilkanaście krzeseł: dla Księcia Prymasa, polskich matron, i starszych z duchowieństwa.

Hetman zaprosił Królowę na tron, i wnet zaczęły wojska przeciągać, przy odgłosie trąb, bębnów, kotłów i janczarskiej muzyki. Naprzód Hetman Polny, na gniadym arabczyku, sam prowadził dziesięć chorągwi pancernych, sześć kozaczych i pułk dragonji, wszystkie Lubomirskich znaku. Za nim Michał Koniecpolski wiódł czternaście lekkich chorągwi kwarcianego wojska; dalej szły pancerne i kozacze znaki Książąt Wiszniowieckich i Zbarazkich pod wodzą Szandarowskiego; tuż za niemi, w tropy postępował pułk Hetmański, zaciągnięty kosztem Stanisława Lanckorońskiego, i utrzymywany do dziś dnia z jego dóbr, cały w czerń przybrany, z zwiniętemi chorągwiami, i trębacze przed nim nie trąbili, i muzyka nie brzmiała, tylko po przodzie jechał Pan Wojewoda Wołyński, stępą, ale tak jakoś jakby temu pułkowi nie przywodził.

Cóż to za dziewica czarno przybrana; westchnęła, i łzawe oczy skryła w chustkę? — pułkowi ludzie ją poznali, bo po krzyku: — Niech żyje Królowa Imość! — zawołali: — Niech żyje hetmańskie dziecko! nasza pani!

Cóż to znowu za cztery chorągwie ciągną? chłop w chłopa i silny i duży; po dawnemu w stal przybrani, na piersiach zbroje, i na ramionach i na udach stalowa łuska, na głowach misiurki i twarze przyłbicami zakryte; przy bokach długie i szerokie brzeszczoty, a w rękach wysokie kopje? tak się nie-

gdyś nosili łatnicy na Rusi. Pod niemi rosłe i osadne konie, na piersiach, na głowach i na krzyżach zbrojne w żelazne siatki; najmniej ośmset takich jeźdców. Cztery chorągwie powiewały a wszystkie jednakie; z jednej strony czernią obleczone, z drugiej na błękitnem polu, na tarczy podkowa złota barkiem na dół, w niej we środku krzyż także złoty. Na hełmie nad koroną złoty jastrząb, wznoszący skrzydła do lotu, w prawą stronę obrócony, na nogach pęciny, w prawej szponie dzierży podkowę i krzyż, a wszystko złote. Przed hufcem jechał mąż na myszatym koniu, tak przybrany jak i jego łatnicy, twarzy nie widać, ale z postawy męża, z chodu konia, poznać można że to wojenna para. Kto jest ten wódz, co to za hufiec? — nie wszystkim wiadomo. Nie z obozu on przyszedł, bo jeszcze na szyjach końskich siwieje zaschły pot, na wędzidłach zielonawa piana, a na zbrojach kurzu pełno.

Hetman który już był zsiadł z konia, i stanął obok Królowej, coś do niej mówił z cicha, Królowa się uśmiechała. Drogonius zbliżył się do Pani Podkanclerzyny, i jakieś słówko powiedział. Podkanclerzyna pokraśniała i zbladła, ale z tego nic nie można odgadnąć. Królowej uśmiech jednaki, dla wszystkich i na wszystko. Nadobna Elżbieta ma tyle przyprzypomnień, że byłoby czego za nie i stu niewiastom kraśnieć i blednieć.

Za tym hufcem szły chorągwie Poznańskiej i Kaliskiej szlachty, pod wodzą Opalińskiego i Grudzińskiego Wojewodów. Panowie Wojewodowie żeby naprawić dawny błąd, mimo wiek podeszły, siły stargane, na wojaczkę przywodzili szlachcie swoich Województw. Dzielna bo to ta szlachta Wielkopolska, ochocza na boje, jak na tany, skoro lać krew swoją i wrogów, jak węgierskie wino, jak kowieński miód. Za Ojczyznę i na kraj świata pojedzie i djabła pobije.

Za temi chorągwiami szły roty piesze w czerwonej barwie, z rusznicami na ramionach, pod wodzą Michała Zebrzydowskiego; dalej prowadził Wejher Malborski Wojewoda, węgierską piechotę, strojną w niebieskie kuse kurtki, gęsto naszamerowane srebrzystemi pętlicami. Za nią ciągnęli w czarnych świtkach, z rusznicami przez plecy, z kosturkami w ręku, z siekierkami za pasem, karpaccy górale, na żołdzie Książąt Czartoryskich. Sam Książe Starosta Wieliski ich prowadzi; młody to pan, ale od dawna już jego serce skacze do boju, i ręka z bojem oswojona, od dzieciństwa w nim zagrała krew wojenna, gra i grać nie przestanie, chyba w mogile; bo to krew Jagiellońska, krew Giedyminowa i Olgierdowa.

Za piechotą, na wozach ciągnięto ciężkie armaty, przy nich szły mnodzy puszkarze, a Przyjemski, Jenerał polskiej artylerji im przywodził. Za armatami szła jazda litewska; chorągwie Sapiehów, sam Wojewoda Wileński z swojemi dwoma

synami na czele. Młodszy wiózł chorągiew, wiatr ją rozwijał; na krwawem polu w tarczy srebrna strzała, na niej dwa jelce, w krzyż złożone zdają się niby dwa krzyże; nad hełmem lis z korony wyskakuje, tylne łapy gdzieś grzęzną w koronie, kitę na krzyże zarzucił, głowę zwrócił ku Moskwie, i przedniemi łapami tam skacze, zdaje się przypominać: tam mnie nosił Starosta Uświacki, i wy mnie nieście na wrogów Polski.

Zamykały pochód dwanaście lekkich chorągwi Wołyńskiej i Podolskiej Rusi, i hordy Tatarów. Rotmistrze basowali końmi, tatarskie bachmaty w skokach się wywijały pod Mirzami i Agami, a tym jezdnym hufcom przywodził Jan Sobieski; siedział na cisawym koniu, polskiego rodu, garbonosym, zwanym: Pałasz. Jeźdca męstwo, dzielność i spryt już świadome w bojach; koń jeszcze nie ujeżdżony. Jak się koń ujeździ, jeździec na czele wojska stanie; Bogu to świętemu wiadomo, jak oni daleko poprowadzą polskich wojaków; jak szeroko rozgłoszą Polską sławę.

Muzyka brzmiała, a wojacy wołali: Niech żyje Królowa Imość, niech żyje Król Jegomość! niech żyje Ojczyzna! Królowa ich witała, dziękczyniła im ręką, uśmiechem, skinieniami głowy. Wojsko już przeciągnęło, a w powietrzu jeszcze dobrzmiewały brzmienie muzyki i gwarne wrzaski ludzkich głosów.

Pod namiotami przykryte stoły gięły się pod naczyniem ze złota i ze srebra. Służba zastawiła hukiem, pieczonego drobiu, zwierzyny, ryb, mejszpasów, ciast, bakalij, cukrów; rozmaitość w przyprawach, a wszystko strojne w pozłótki, w kwiaty, w brylantowane kameryzy. Pełno tam królewskich cyfr, różnych pań i panien; polskich orłów, pogoni litewskich, i herbów Lubomirskich domu. Wszędzie stoją bez liku zamorskie i zagraniczne wina.

Do obiadowej uczty zasiedli. Sam Hetman królowej Imości posługiwał. Wojewodowie i Kasztelani stanęli za krzesłami matron i panien, a młodź rycerska najznakomitszych rodów posługiwała jak dworzanie.

Muzyka grzmiała, a na przemiany sprowadzano szlachtę ciężarną poetyckim duchem; ci poeci okoliczności jak z płatka prawili wiersze polskie i łacińskie, krótkie i długie, skandowane i rymowe, na pochwałę Królowej, Króla, różnych pań, różnych książęcych i szlacheckich rodów, Hetmana polnego, polskiego Senatu, rycerskiego koła, i rozmaitych osób przytomnych. Jakiś łacinnik z Akademji Jagiellońskiej z Krakowa, widać na rozkaz Hetmana, samemi jambami wyciął rzęsisty wiersz na pochwałę piękności Elżbiety Służkówny, i zakończył sławieniem czynu, że rozwiodła się z mężem nie dobrym polakiem. Potem Rusin z nad Dniestru śpiewał dumę na cześć

nieboszczyka Hetmana polnego, i skończył prożbą do Boga aby nowy ród jego dziedziczki hetmanił i wojewodował Rusi w wiekopomne czasy. Jakiś Wołynianin, strojnym brzęczącym wierszem zachęcał aby się wziąść do wina węgrzyna i po staremu zahulać; w końcu stawił się Litwin, niedokoniecznie poczesny postawą, ale na twarzy litewska poczciwość; już włosy mlekiem zbielały, a jeszcze rubinowe lice, i oczy błyszczące: jak zobaczył tyle urodziwych pań, zapomniał madrygała wierszem ułożonego, zaciął się, chwilkę pomyślał i prozą zagadał do Królowej:

— Najjaśniejsza Królowo Korony Polskiej i Litwy. Najmiłościwsza nam Pani! Ty co odbywałaś tyle podróży i morskich i lądowych, i co jeszcze może odbywać będziesz podróże morskie i lądowe. Daj że Boże, żebyś z tych wszystkich podróży morskich i lądowych szczęśliwie wyszła, a wróciwszy między nas swoje dzieci, swoich poddanych, tak długo siedziała na tronie polskim, jak długo Pan Bóg Święty na to pozwoli. Skończył, i wszyscy mu poklaskiwali, bo szczerze, z duszy, co czuł, to powiedział. —

Nie zapomniano wychylać kielichy za różne a różne zdrowia. Wszystko zdawało się do wesołości zachęcać, a jednak nie wszyscy weseli. Kobiety ciekawe szukają okiem wodza łatników, a jego przy uczcie nie masz, między młodzią nie widać ani jednej nieznajomej twarzy; a one w myśli młodym go robią, pytają o niego mężczyzn; ci odpowiadają: nie wiemy, i uśmiechają się; może nie wiedzą, a może wiedzą, a nie chcą powiedzieć.

Pani Podkanclerzyna jakoś pomieszana, nie swoja; choć Hetman wyraźnie jej to okazuje, że ta uczta, te wszystkie zachody w wielkiej części są dla niej. Hetmanówna sili się na uśmiech ale smutek i zadumanie ciągle górę biorą nad chęcią. Pan Wojewodzic Kaliski swojej francuzki nie odstępuje, a Panna Potocka czyniąc chrześcjańską usługę, uwalnia Sapieżanką od natrętctwa Hrabiego z Châtre, sama z nim pustuje rozmową, śmieje się z niego. Francuz myśli że to na dobre, rad, patrzy na Lanckorońskę wzrokiem co zdaje się mówić: nie chciałaś mnie, mam inną. Hrabina z La-Grange z księciem prymasem rozmawia, a na siostrzeńca ukradkiem poziera, z uśmiechu znać, że się to jej podoba, bo Potockich dostatki nielada; ale kiedy jej oczy zdybią Hetmanównę, to skrzywi wzrok jakby chęcią pomszczenia się nad dumną szlachcianką, co wręcz odrzuciła związek z francuzkim Hrabią. Drogonius na uczcie nie był, czy przez wstrzemięźliwość mędrka, czy przez inne jakie uczucie.

Po uczcie znowu wszyscy wyszli przed namiot i zasiedli dawne miejsca. Miały się zacząć gonitwy i igrzyska rycerskie. Wojewoda Wileński został obrany Marszałkiem szranków, a

w pomoc mu dodano Koniecpolskiego Michała, i Jana Sobieskiego. Właśnie w tej chwili ukazał się ojciec Dąbrowski, do Królowej przystąpił, jakąś karteczkę jej oddał, i z cicha kilka słów przemówił; Królowa uśmiechnęła się jak zawsze i nic więcej, a ojciec Dąbrowski poszedł i rozmawiał z Wojewodą Wileńskim i z Janem Sobieskim; twarz jego była rozpogodzona.

Na cztery rogi szranków po dwunastu trębaczów na każdy skoczyło, i po trzykroć razy zatrąbili w trąby, i wnet wysypali się rycerze na dzielnych koniach, w bogatych a rozmaitych zbrojach. Rzędy końskie i rynsztunki wojenne lśkniły się i migotały; zdaje się, że konie i ludzie obrzucani brylantami, olśnieni promieniami słońca. Czterech heroldów stanęło o kilkanaście kroków od siedzenia Królowej, koło Marszałka i Podmarszałków już będących na koniach.

Każdy z rycerzy, po przed wzgórzem w pląsach przejeżdżał, trzykrotnym pokłonem szabli witał Królową Imość, poważne matrony, i urodziwe panny, a heroldowie w głos okrzykiwali jego rodowe imię, herb i urząd. Większa część rycerzy dawnym obyczajem przyłbicami poprzykrywała twarze. Kiedy nadjechał ów wódz łatników na myszatym koniu, heroldowie milczeli, a Michał Koniecpolski zawołał: — Ja znam tego rycerza, szlacheckiego i dobrego rodu.

Heroldowie powtórzyli: — Michał Koniecpolski, Wojewoda Halicki, zna tego rycerza, poświadcza, że on szlacheckiego i dobrego rodu. —

Rycerz Łatnik powitał i przejechał; za nim jechali znani rycerze; ale cóż to znowu za dwaj nieznajomi?

Pierwszy cały w bieli przybrany, jak starodawny mnich mieczowego zakonu, tylko czerwonego krzyża na nim nie widać; pod nim złotokasztanowaty koń, tylko noga lewa biała za pęcinę, i na czole gwiazdka biała. Wojewoda Wileński zawołał: — Ja znam tego rycerza, szlacheckiego i dobrego rodu. Heroldowie powtórzyli, rycerz powitał i przejechał. —

Drugi rycerz całą zbroję miał czarnym kirem osłoniętą, koń pod nim skarogniady, bez żadnej odmiany. Jan Sobieski gromko powiedział: — Znam dobrze tego rycerza, szlachcic i dobry szlachcic. Heroldowie powtórzyli, czarny rycerz witał, i wzrokiem szukał kogoś między niewiastami, koń choć dzielnie skakał, parę razy głową rzucił ku namiotowi. Panny coś szeptały do siebie, może poznały konika, zbroję, bo te wszystkie rzeczy snadnie ryją się i zostają w pamięci młodego dziewczęcia.

Trzydziestu rycerzy było gotowych do gonitwy i do igrzysk. Na rozkaz Marszałka heroldowie na całe gardło okrzykiwali. Za pozwoleniem Królowej Imości, Ludwiki Marji, małżonki Jana Kazimierza Króla i Pana naszego. Na jej

cześć odbędą się cztery próby rycerskie. Naprzód: Gonitwy. Czyj koń pierwszy doścignie do mety, ten nagrodę dostanie z rąk Ludwiki z Grosouvre Panny nadwornej Jej Królewskiej Mości. Powtóre: Nizanie przez pierścień. Kto w czwale konia trzykroć razy dziryt przeniże przez pierścień, i trzykroć razy go schwyci w powietrzu, temu wręczy nagrodę Rozalja Potocka, Podkomorzanka Podolska. Potrzecie: Cięcia szabli. Kto w czwale konia do siebie i na odlew zetnie dwadzieścia cztery głów muzułmańskich, wszystkie albo najwięcej, ten odbierze nagrodę od Anny Sapieżanki, Wojewodzianki Wileńskiej. Po czwarte: Harc. Rycerze będą harc zawodzić, wysadzać siebie ze strzemion, z siodeł, końmi konie walić na ziemię. Kto zwycięzcą wyjdzie z tego harcu, temu daną będzie nagroda przez Joannę Lanckorońskę, Wojewodziankę Ruską, Hetmanównę polną koronną, córkę i dziedziczkę rycerskiego męża.

Skończyli okrzykiwanie heroldowie, Marszałek wskazał metę tuż pod samym wzgórzem. Jeden z pod-Marszałków poprowadził w koniec równiny wszystkich rycerzy, bo prawem wszyscy musieli biegać. Drugi z pod-Marszałków stanął na środku równiny.

Już rycerze zajechali, widać jak się rozciągnęli w długi szereg, doskonale rozeznać można maście koni, barwy strojów rycerzy, nawet widać jak konie na zadach przysiadają, prą się w wędzidła.

Z moździerza wypalono na hasło: raz, dwa, trzy! i za trzecim strzałem z kopyta pomknęły konie. Jeźdce prawe ręce do góry wznieśli, jak ptaki skrzydła do lotu, pochylili się ku grzywom, jakby koniom w uszy szeptali: tatarskie — czuch — czuch! — Z początku konie ławą czwałowały, tak szparko, że widzom w oczach skakało, migało, a nie mogli wzrokiem schwycić jednego całego skoku, tuman kurzu za sobą miotły, a same wymykały się kurzowi; ale już nie ławą pędzą; raźniejsze konie tu i ówdzie naprzód powyskakiwały; widać jak skarogniady z czarnym rycerzem przed drugiemi się wymknął, rej wiedzie, sadzi posuwistemi susami, ale jak dla igraszki, to w górę wyskoczy i po za siebie na raz czterma podkowami błyśnie, to do ziemi się przyłoży: zda się że piersią piasek muska; za nim, o kilka skoków rwą gęstym czwałem koni biały rycerz i Łatnik jakby sparowami; tuż tuż za nimi inni jeźdce pędzą w przegony, w tumanie kurzu, jasne, ciemne konie majaczeją; a tak prą powietrzem, że choć dokoła cisza, wiatr się zerwał, i wieje w oczy, w twarze widzom.

Już się zbliżają, po piasku głucho, a gęsto, a tłumnie tętnią konie, na zachętę krzyczą jeźdce, jak z gradowej chmury taki szum i wrzawa ztamtąd leci. Skarogniady z czarnym rycerzem zawsze po przodzie; ale po co nagle, jakby się czego spłoszył,

w bok szczupakiem skoczył, połciem przed jeźdcami wichrem przeleciał? — Kobiety ze strachu krzyknęły, ale żaden go koń nie tknął, biegł za tłum, i zniknął w tumanie kurzu; w tym samym czasie, jakby zmownie przyzostali się łatnik i biały rycerz, a inni jeźdce ich wyminęli, teraz przodem sadzi po prawicy, na brudno kasztanowatej szkapie, z konopiatą grzywą i takim ogonem; po lewicy na siwym tatarskim bachmacie, a po środku na dropiatym koniu. Koń od konia nawet głową się nie wysunął: wszyscy trzej jeźdce ostrogami dżgają szkapy w boki, a tak się przygięli do siodeł, jak gdyby swoją postawą chcieli długości nadsztukować koniom; razem przypadli do mety, jeszcze kilka kroków przyskoczyli, nim konie zatrzymali i inni jeźdce nadbiegali i stawali ze sromem.

Łatnik, rycerze czarny i biały po samym zadzie przyjechali i stanęli na boku. Trzej zwyciężcy z koni zsiedli i stawili się przed Królową Imością, a heroldowie z rozkazu Marszałka okrzykiwali: — Przed obliczem Królowej Imości, szlachetnych niewiast i dziewic, ojców narodu i rycerskiego koła, odnieśli zwycięstwo w końskich przegonach: Aleksander Pilchowski herbu Ajszyngier Staroście Inowłodzki, Kazimierz Grudziński herbu wieża Wojewodzic Kaliski, i Jan Olizar herbu Chorągiew Kmitów, Stolnikowicz Wołyński. Szlachetna Ludwika ze starożytnego Francji domu Grosouvre nagrodą ich obdarzy. —

Nadobna francuzka wyszła przed rycerzy; oni przed nią przyklękli W ręku miała tylko błękitną szarfę, na środku śrebrnym haftem wyszyte serce; po obu końcach przed srebrzystemi frędzlami, dwie strzały srebrem haftowane, ostrzami obrócone ku sercu. Zapłoniła się rumieńcem, ale bynajmniej się nie zmieszała, nożyczkami na trzy części przecięła szarfę, śrebrne serce dała Wojewodzicowi Kaliskiemu, a dwom drugim każdemu po strzale; sama prędko wróciła na miejsce, a trębacze na czterech rogach szranków, w trąby otrąbili: cześć pięknej pannie co nagrodę dała, cześć zwyciężcom!

Pilchowski wróciwszy między rycerzy, burmusił się i mruczał pod nosem: — Djabli by to wzięli, moja kasztanowata handzia, jak mi Bóg miły, o całą chrapę naprzód wybiegła, a ona jemu dała serce, a mnie strzałę: niech to djabli wezmą te wielkie panie. Jak mi Bóg miły, nie masz sprawiedliwości na tym świecie.

Olizar się uśmiechał: — Panie bracie, nie frasujmy się; jemu dała serce, a nam strzały; wierz mi, jakem Stolnikowicz Wołyński, że serce dziewczęcia choć się komu i na prawdę odda, jeszcze je można ustrzelić. —

Hetman Polny trzem zwyciężcom, od siebie w darze na pamiątkę, dał trzy złote puhary, ozdobne herbem Lubomirskich

wysadzonym z drogich kamieni, i z napisem: Jerzy Lubomirski prosi o przyjaźń u panów braci szlachty. Do każdego przepił winem; mówiąc: — Bądźmy przyjaciółmi, i kochajmy się: — Oni do niego odpili, powtarzając też same słowa.

Wkopano w ziemię dwa słupy, na czternaście kroków jeden od drugiego, przez wierzchołki przeciągnięto jedwabny sznur, na środku na drugim sznurze zawieszono złote kolce, niby pierścień, tak wysoko od ziemi, że jeździec stojąc na siodle, tamtędyby przejechał nie dotknąwszy czapką kolca.

Heroldowie z rozkazu Marszałka zawołali: — Panowie rycerze, komu będzie wola zagrać w pierścień! — Gra w piercień nie była już próbą musu dla rycerzy, ale igrzyskiem dobrej woli.

Pierwszy z pomiędzy rycerzy wyskoczył Hrabia Ludwik z Châtre, zwyczajnie francuż najskorszy, najpokwapniejszy, a za nim wyjechało siedmiu jeźdców, lecz ku podziwieniu wszystkich, czarny rycerz i biały rycerz i łatnik stali w miejscu. Wszystkie niewiasty na nich zwróciły oczy, i szeptały między sobą: może sie domyślają, może wiedzą, nie wiadomo; ale że ciekawe, to pewna.

Hetman Polny mili się i mówi do Podkanclerzyny; ona ledwie mu odpowiada, roztargniona, to jak w tęczę patrzy na nieznajomych jeźdców, to kogoś w około siebie wzrokiem szuka. Drogonius z ponurą, z cierpiącą twarzą, przystąpi, zapyta: czy nie chora? — ona skinie głową i on odejdzie. Panna Potocka rzekła do Lanckorońskiej i Sapieżanki: — Niegrzeczni ci panowie nie znajomi, żaden nie chce być moim rycerzem, rada nierada, muszę się cieszyć francuzkim Hrabią. Ja wiem, dla was to oni tu przyjechali: — Sapieżanka zarumieniła się, a Lanckorońska jeszcze bardziej się zamyśliła.

Ośm karteczek z napisami imion Marszałek wrzucił w czapkę, zmieszał, wyjął jedną i oddał heroldowi. Los padł na Księcia Iwana Zbarazkiego, Bracławskiego Wojewodzica; hoży młodzieniec wziął w rękę turecki dziryt, na półtora łokcia długi a całkiem złocony, między palce prawej ręki włożył, okręcił nad głową, konia w cugle zebrał, dał ostrogę i w czwał pomknął. Już, już dolatywał do kolca, dziryt cisnął, a szparciej konia wypuścił. Kolce brzęknęło, drgnęło, ale dziryt pierścienia nie przenizał. Książe na drugą stronę piorunem przeleciał, w powietrzu dziryt schwycił, ale trębacz zwycięstwa nie otrąbił. On stanął, zawrócił i mimo słupów wracał stępo do swoich, smutnie, markotnie.

Jego miejsce zastąpił Hrabia Ludwik z Châtre, wypuścił konia, cisnął dziryt, dziryt gdzieś het za słup poleciał. Koń zwyczajny do igrzyska za dzirytem w bok się rzucił, a francuz hop z konia o ziemię, padł jak długi. W miejscu trębaczy pacholiki pustym śmiechem zachychotali, Hrabia się zerwał,

otrzepał i w złości zagadał koszlawą polszczyzną: — Huncwot jest, wziąść tego szelmę do stajni, wołać mi mego Pikard: — Wielu z widzów szczerze kryjomo się uśmiechnęło.

Za nim wyskoczył koniem Maciej Łubieński, Starościc Sieradzki herbu Pomian. Rzucił dziryt, gracko przenizał pierścień, trębaczę otrąbili; dziryt schwycił, w mig zawrócił konia, rzucił raz drugi, zrobił mach mimo i czwałem między swoich wrócił.

Mikołajowi Sapieże synowi Wileńskiego Wojewody, trębacze dwa razy zwycięztwo otrąbili, ale za trzecim rzutem szwankował.

Janowi Omiecińskiemu Łowczemu Wołyńskiemu herbu Junosza, wojennemu mężowi, za drugim przenizaniem koń nie doskoczył, i dziryt pod nogi upadł.

Władysław Krasicki, Podczaszy Stężycki, herbu Rogala, przydomku Bibersztejn, spylił się, bo ani kolca, ani sznura nie zaczepił.

Jędrzej i z imienia Plater i z herbu Plater, Starosta Dyneburgski, raźno i ochoczo skoczył, raz przenizał pierścien, drugi raz o kolce zawadził, ale z dzirytem w ręku między swoich wrócił.

Ostatni Sierawski, herbu Słoń, porucznik hussarzy Księcia i Koreckiego, tak serdecznie cisnął dzirytem, że aż kolce w górę podskoczyło, a dziryt się odbił i padł na krzyże koniowi, ale nie skaleczył. Sierawski zatoczył koniem w prawo, w lewo popląsał; nie udało się dzirytem, przynajmniej pokazał co on jeździec umie, co umie jego konik; choć niepoczesny, i maści brudno białej, ludzie go ścierką zwali, a ród jego wywodzili od cygańskiej kobyły, po tureckim ogierze, jednak taki dziarski, taki zwinny, taki bundiuczny, że aż serce rośnie jeźdcowi, co na nim siedzi, że aż miło patrzeć na niego.

Nie było zwycięzcy: heroldowie z rozkazu Marszałka zawołali: — Komu wola zagrać w pierścień: — Czarny rycerz wysunął się naprzód; uważano, że przez cały czas tego igrzyska skarogniady koń, to przedniemi nogami ziemię kopał, to podsadzał się na zadzie; nawet jeździec tak kilka razy się pochylił, jak gdyby postawa w brew woli chciała się pomknąć do pierścienia. Gładko okręcił dzirytem w około głowy, w skokach konia zbliżył się do kolca, dziryt cisnął, koniem przeleciał, trębacz otrąbił, a on dziryt schwycił, konia w czwale w miejscu zwrócił, zdało się że przewali się na ziemię; znowu pędzi: cisnął dziryt, przenizał pierścień, i na drugiej stronie ręką złapał dziryt, po swojemu koniem zmotał, błyskawicą nazad poskoczył, i po swojemu dziryt cisnął. Nie jeden ale wszyscy trębacze w trąby zatrąbili, heroldowie głosili zwycięzcę, wezwali Pannę Podkomorzankę Podolską do dania na-

grody. Czarny jeździec z dzirytem w ręku przypląsał pod wzgórze, skoczył z konia, dziryt rzucił pod nogi Panny Potockiej, i sam przykląkł, ale z twarzy przyłbicy nie odkrył.

Ona mu na szyję włożyła złoty łańcuch, w spojeniu ogniw wysadzany rubinami; na łańcuchu zawieszony obraz Matki Dziewicy, trzymającej Zbawiciela na ręku, na kości słoniowej pęzlem sztukmistrza wymalowany, a oprawny w złoto i w brylanty. Takim upominkiem darzyła Potockich dziewica. Lubomirski przydał w darze sygnet szczerozłoty. Hetmanówna przez ten czas kraśniała, bladła a kiedy czarny jeździec wracał między rycerzy, łzami zaszły jej oczy. Czarna barwa stroju, kir żałoby, wzbudzały te uczucia. Może myślała: on musi być sierotą? — ja sierota.

W szrankach ustawiono dwa rzędy tyczek, wzrostu człowieka na pieszo; na każdą tyczkę przy końcu cieniutko zaciesaną, wetknięto głowę, z papieru wyklejoną, a strojną w zawój, to czerwony, to zielony, to żółty, to biały. Między tyczką a tyczką przedział na pięć kroków, głowy wprost na siebie nie patrzą, tylko każda stoi naprzeciw przedziału. Między dwoma szeregami w szerz pięcio krokowa drożyna. Z rozkazu Marszałka heroldowie okrzyknęli: — Komu wola pomachać szablą po bisurmańskich głowach? — Jedenastu rycerzy wybiegło: między niemi Łatnik i biały jeździec, a w końcu i czarny; ten ostatni widać woli konia się podał, bo w zadzie za wszystkiemi kopnął.

Przelosowali. Pierwszy Stefan Różycki chorąży pancerny, szlachcic herbu Rola, w szranki wybiegł. W powietrzu szablą krzyż święty zrobił, wypuścił konia między bisurmańskie głowy; to w prawo, i w lewo się przeginał, czabłą ciął to na odlew, to do siebie. Pięć głów z tyk zrąbał, dwie po zawojach skiereszował i przebiegł na drugą stronę. Pacholiki nowe tyki z głowami zatknęli, i młody Roman Załuski herbu Rawicz, Kasztelanic Mazowiecki, bułanym konikiem poskakał, namachał szabelką, sześć głów zrąbał, siódmę tyką zwalił i wrócił między swoich. Po nim Bonifacy Pac, herbu Gozdawa, pułkownik królewski, Trockich chorągwi, na cześć litewskiej panny chciał pokazać co umie; ale na nieszczęście jakiś djabeł go nawroczył, czy rękę, czy szablę zamówił, bo na wiatr się namachał, a ani jednej głowy nie zawadził; wróciwszy dąsał się i mruczał.

Tu wszyscy ciekawie patrzą; Łatnik wyjechał. Myszaty koń parskał i chrapał. Musiała go ostroga załoskotać, bo po szalonemu skoczył, i w czwał pędził. Łatnik jakby zniechcenia płatał na lewo, na prawo, i głowy precz odskakiwały, pięć dwójek jedną po drugiej zrąbał, szóstą prawą minął, lewą uciął, i znowu mu gładko szło. Kiedy przeleciał na drugą

stronę, tylko pięć głów na tykach sterczało, reszta wszystkie zrąbane. Widzowie pomyśleli: to będzie zwyciężca, a on widać jeszcze nierad bo targał cuglem, ubódł ostrogą, aż myszaty się zeslupil, a mało nie przewalił. Kobiety patrzały po sobie, po widzach, czy nie wyczytają czego z twarzy, tylko Królowa się uśmiechala, jak zawsze jednakowo, a Podkanclerzyna i oczami i licem od początku igrzysk objawiala cierpienie.

Po Łatniku wysunął naprzód Antoni Jełowicki szlachcic herbu Jelowicki z Kniaziów na Perejasławiu, syn dziedzica Łanowiec, mąż dzielny, po madziarsku wyuczony szablą robić, trzynaście głów ściął, ale dziewietnastu nie doliczył. Józef Zaleski herbu Prawdzic, krew z krwi, kość z kości Ukraińskiej, po kozaczu się wywijał, ale dwanaście głów sterczących zostawił. Po nim Paweł Potocki herbu Pilawa, Bracławski Wojewodzic, szczęścia probował ale mu się nie udało; cztery tyki zwalił, a dwie głowy tylko zrąbał. Pod Samuelem Mickiewiczem litwinie, herbu Poraj, w pierwszem cięciu koń się związał i wielką konfuzją rycerza nabawił; przed wszystkiemi się on klął, że to Żmudzki konik, z tego samego rodu co Kiejstutowe rumaki, na których to Żmudzkie Książe doganiało tatarskie bachmaty; ale to na nic się nie przydało. Oktawiana Plichtę Gostyńskiego Starostę, jeszcze większy przypadek spotkał: za trzeciem cięciem szabla wypsnęła się z dłoni, i gdzieś het poleciała daleko, a choć to szlachta herbu półkozic uchodziła za sławnych rębaczów od dawien dawna.

Dziesiąty wyjechał biały jeździec, kasztanek przysadzal się na zadzie i hasał jak panienka w tańcu, i jeździeć kształtnie, zgrabnie panoszył się postawą. Wielu ze starych wyjadaczów pomyślało sobie: to marymont, nic nie zrobi; ale on wczwalował między tyki, i tnie, a bisurmańskie głowy lecą, przemachał, trzy głowy tylko sterczały, jedna przy początku, jedna we środku, a jedna na końcu; przesadził Łatnika, wszyscy mu klasnęli, ale jeszcze kolej na czarnego jeźdca. Skarogniady djabłem z miejsca czmychnął, tylko się piasek za nim zakurzył, jeździec jedną po drugiej dwanaście głów zrąbał; szablę wzniósł do góry: czy narowisty koń jak w pierwszej gonitwie czegoś się spłoszył, czy jeździec z umyślnie cuglem go skręcił, melknął w bok, czwałem wrócił do koła rycerzy, i stanął obok białego jeźdca, i skarogniadego po szyi poklepał.

Po otrąbieniu zwycięstwa, biały jeździec stanął i ukląkł przed Wileńską Wojewodzianką. Ona mu w upominku dała złote pióro suto upstrzone brylantami, szmaragdami, turkusami i rubinami, on z pokłonem przyjął dar, ale widno, że

piękniejsze mu były brylanty w oczach dawczyni, bo długo z pod przyłbicy na nie patrzał.

Hetman polny dał od siebie rząd bogaty, srebrem i koralami nasadzany.

Tu trębacze na gwałt w trąby zatrąbili. Rycerze za tępe kopje porwali, w szranki wybiegli, końmi koła toczą, w powietrzu kopje potrząsają. Na dwa oddziały się podzielili, rozbiegli się wstecz od siebie, zawrócili się, rozwinęli w szeregi, i pędem na siebie natarli. Tumany kurzu powstały; czasami tylko jeźdce zamajaczeją w tej chmurze, a tam gdzie najgrubsze słupy kurzu, muszą zawodzić najzawzięciej.

Oho! już dwa konie bez panów bieży wybrykiem ku obozowi, jeden siwy, drugi gniady; pacholiki krzyknęli: to chorążyca Koniecpolskiego, a to Nabielaka, tego szlachcica z Halicza.

Znowu zakrzyczeli: patrz, jak Pan Namiestnik Budzyński prowadzi konia, a sam sztykurla, musieli mu nie pożałować szturchańca.

Oho! i stary Witwicki za koniem bieży, a koń mu się wymyka!

Już kilkanaście koni biega bez jeźdców, tuman zaczął upadać; widać konie leżą, jeźdce się podnoszą, ledwie dziesięciu jeszcze walczy. Czarny jeździec na Odrowąża pędzi, już dotarł; pod Odrawążem koń się zachwiał i zwalił o ziemię. Łatnik kopją wysadził z siodła Wojciecha Grzymałę, Stolnikowicza Płockiego, i pędzi na białego jeźdca, który tylko co ściągnął z konia litewskiego tatara Abramowicza.

Dwie pary jeszcze harc zawodzą. Biały jeździec z Łatnikiem, jeździec czarny z Szandorowskim rotmistrzem pancernych księcia Wiszniowieckiego, przesławnym harcarzem po wszej ruskiej i lackiej ziemi. Rozbiegli się, przykoczyli do siebie, starli się. Szandorowski złomkiem kopji wymierzył wprost w pierś czarnego rycerza. W samem pchnięciu skarogniady półskokiem w bok się zemknął, Rotmistrz pancerny pchnął na wiatr, pochylił się z natężeniem, o mało strzemiona z nóg nie wyleciały, a czarny rycerz migiem konia skręcił i całą siłą drzewcem w kark palnął Szandorowskiego. Siwosz Rotmistrza zwyczajny do harców, umknął się trochę; a Rotmistrz równowagę w siodle stracił i klapnął na ziemię. Tymczasem biały jeździec z Łatnikiem do reszty pokruszyli kopje i jak dwa koguty się szczepili, końmi na siebie prą, chwytają się za barki, za misiurki, jak raki trzymają się siodeł; nareszcie Łatnik pod szyję schwycił białego jeźdca, sam się w siodle aż na tył osadził, myszatego naparł ostrogą. Widać żelazne siatki zakłuły kasztana, bo skoczył w tył, a

Łatnik z siodła wychwycił białego jeźdca i na piasek go zwalił.

Wszyscy ciekawie patrzą, co tu będzie. Łatnik wziął nową kopję, i czarny jeździec takoż potrząsa nową kopją; trzykroć razy stępą koło objechali, potem stanęli na przeciw siebie i patrzą. Nagle z kopyta pomknęli do siebie, o siebie się uderzyli, konie sobie dały pocałunek piersiami i jeźdce kopjami się pocałowali. Obudwóch konie na zadzie przysiadły, i obadwa jeźdce w tył na siodłach się podali. Znowu odskoczyli, znowu przyskoczyli i starli się. Tą razą kopja Łatnika prysnęła na piersiach czarnego jeźdca, a carny jeździec ani się zachwiał w siodle, i pod pachę tak dźgnął Łatnika, że ten nogi wypuścił ze strzemion, i o ledwie ręką zatrzymał się na siodle. Za trzeciem natarciem czarny rycerz rzucił kopję o ziemię, skarogniady dziarsko skoczył, a tak silnie uderzył piersiami, że myszaty zatoczył się i zwalił na piasek, a Łatnik z niego; i koń się schwycił na nogi i Łatnik wskoczył na siodło, ale już trębacze otrąbili zwycięstwo czarnego jeźdca.

Sierdził się Łatnik, ostrogami na myszatym złą wolę spędzał, ale nie ma rady, heroldowie już okrzykiwali. Hetmanówna w czarny kir odziana stanęła przed Królową, a przed nią ukląkł rycerz w czarny kir strojny. Ona drży i łzami brylantuje oczy, i on jakoś głowę schylił ku ziemi i takoż drży. Dziwne to było to nieme a wymówne współczucie żałoby. Skarogniady pod wzgórzem stał sam, nie trzymany, obrócil ku nim szyję, wyciągnął głowę, i zarżał, jakby mówił: gadajcież! Ona dała rycerzowi złoty pierścień z brylantem soliterem, jeszcze to ślubny pierścień Przecława Lanckorońskiego; takich dwóch w Polsce nie ma, jak nie masz w Polsce takich dwóch dziewic jak hetmanówna. Wstał czarny jeździec, pokłonił się, przez przyłbicę popatrzył, jakoś niby w brew swej woli się zwrócił i siadł na koń.

Jerzy Lubomirski w upominku dał mu czarnego rumaka, prawdziwego arabskiego Neżdę, ale po twarzy Hetmana widać zafrasowanie się ze szwanku Łatnika; do niego przystąpił i z nim rozmawiał; pacholik Jana Sobieskiego wziął czarnego Neżdę.

Wszyscy rycerze już byli na koniach, widać że żaden kości nie połamał, a choć który tęgo się potłukł, to postawą nadrabiał żeby i srom i ból zakryć. Przejeżdżali pod wzgórzem, pokłonami szabli żegnali Królowę Imość, matrony, dziewice i ojców narodu, a trębacze trąbili, muzyka brzmiała i z moździerzy na wiwat palono.

Potem Wojewoda Wileński, Michał Koniecpolski i Jan Sobieski, złożyli u stóp Królowej laski chwilowej godności marszałkowania turniejowi. Królowa długo rozmawiała z Wo-

jewodą Wileńskim. O jej odpowiadał, ale z chmurną twarzą, ona nastawała i uśmiechem i słowem, póki Wojewoda nie powiedział: — Na rozkaz Waszej Królewskiej Imości, dla dobra Ojczyzny, czy się pojednam, czy zapomnę, to mniejsza; ale przyrzekam, że ani ja, ani moi żadnego niesnasku nie zrobimy — i daną sobie rękę przez Królową pocałował.

Temczasem Lubomirski uprzejmie błagał o jakąś rzecz Wojewodzinę Wileńską, i Hetmanównę i Pannę Annę. Hetmanówna pobladła, Panna Anna oczy ku ziemi spuściła, Wojewodziny twarz nie wesoła, ale widać, nie odmówiła prożbie Hetmana, bo on stanął przed Królową: — Najjaśniejsza Pani, matką nam jesteś; dziś uszczęśliwiłaś swoją przytomnością twojego najwierniejszego sługę; do tej łaski dodaj drugą, Królowo i Pani, przebacz winnemu a żałującemu. —

Królowa skinęła głową: — Dziękuję Panu Hetmanowi, że mi dajesz sposobność przebaczać i wyjednywać przebaczenie. —

Hetman poszedł między rycerzy, i niebawem wrócił z Łatnikiem. Łatnik ukląkł przed Królową, podniósł przyłbicę, zdjął misiurkę. Pani Radziejowska krzyknęła: — Samuel Gnoiński! — i wszędzie powtarzano: — Samuel Gnoiński!

On chmurny, ponury, nic nie mówił. Hetman go wyręczył: — Najmiłościwsza Pani, polak co pobłądził przeciw Ojczyźnie, co przekroczył przeciw Majestatowi Waszych Królewskich Mościów, błaga o przebaczenie. —

Ludwika Marja z uprzejmością odpowiedziała: — Panie Starosto Hrubieszowski, proszę wstać. Ja przebaczam, i przyrzekam u Króla Jegomości uzyskać przebaczenie; a pewną jestem, że krzywdę wyrządzoną Ojczyznie Pan Starosta zagładzi teraz swoimi czynami: oto ręka zgody — i podała mu rękę.

On wstał, pocałował Królowej rękę, ale widać że uprzejmem przebaczeniem wzrok jego nie złagodniał; bo tą razą uśmiech ten jednaki nic nie znaczący nie dopisał Królowej; na twarzy chwilowe zmieszanie się odbiło, a potem zmuszone rozpogodzenie. Na krótką i ponurą mowę Gnoińskiego Wojewodzina Wileńska sucho i obojętnie odrzekła. Hetmanówna ani spojrzała, ani odpowiedziała, tylko skinęła głową że nie pamięta. Podkanclerzyna pokraśniała, a kiedy wnuk Zborowskiego ją powitał, ogień radości zabłyszczał w jej oku, i tak była piękną, że aż gorzki uśmiech zazdrości przesunął się po twarzy Hetmana, a Drogonius zbladł jak chusta i nagle odszedł. Na zgodę Wojewoda Wileński powiedział:

— Teraz dajmy pokój Mości Starosto, a po wojnie skończemy. —

— Mości Wojewodo, gotowem wszędzie i zawsze skończyć choćby i dziś: — Hardo i dziko w około spojrzał, a Lubomirski czemeś zagadał, żeby zwada się nie wznieciła. —

Hrabina z La-Grange z pod oka patrzyła na Hetmanównę i na ucho mówiła siostrzeńcowi: — Teraz się przebłagała, a potem żoną jego zostanie; to godne szlachcianki polskiej, co nie chciała być Hrabiną. Ludwiku nie zapominaj Potockiej, ma ładny posag. —

Królowa i Panie dworu ciekawie okiem szukają czarnego i białego jeźdców; Hetmana, Marszałka i Podmarszałka o nich pytają; ale na darmo, oni zwyciężyli i precz pojechali.

Na złotych i srebrnych tacach roznoszono cukry, bakalje, owoce i zamorskie wina, a w szrankach gotowano jakiś nowe igrzysko, bo koło twierdzy i polanek snuli się i jezdni i piesi.

Już słońce zachodziło, jasne jego oblicze, ale smutne, jak oko kochanki co mówi kochankowi: dobranoc, do jutra. Od promieni złoci się Jasna Góra ze świętym kościołem, z murami twierdzy; do koła złocą się i sioła, i przylaski, i szczery piasek, jakoś tęskno oku patrzeć na tę konającą jasność.

Cóż to za jeźdce w cwale konia biegną? — to towarzysz i dwóch szeregowych z czatów. Przybiegli, jeszcze nie zupełnie osadzili konie, a towarzysz na całe gardło krzyknął: — Mości Hetmanie Polny, Król Jegomość z wojskiem ciągnie, już musi być nie daleko czat; przednie straże przyszły. —

Hetman Polny przeprosił Królowę Imość, z pośpiechem dosiadł konia, a za nim mnodzy panowie i szlachta, i wszyscy ruszyli kaliskim szlakiem na spotkanie Króla Jegomości. Hetman jakieś rozkazy dawał, a Królowa Imość i Książe Prymas, i panie dworu, i ojcowie narodu z miejsc powstali, i szli drogą na spotkanie Króla. Łatnik postępował obok Wojewody Wołyńskiego i obadwa milczeli.

I ćwierć godziny nie upłynęło, jak się kurz ukazał na drodze, z moździerzów wypalono raz, drugi, trzeci, i palono bez przestanku. Po samym przodzie Jan Kazimierz dziarsko jechał na szpakowatym koniu; po prawicy hasał białym arabczykiem Pan Wojewoda Ruski, jak zawsze z kusa po tatarsku, przybrany w jaskrawe barwy wschodnim obyczajem; po lewicy truchtował szkapą ojciec Krajewski, jezuita, spowiednik i kapłan Króla. Za Królem szła królewska dragonja,

i przed nią jechał Jan Czarniecki Staroście Zakroczymski, dalej ciągnęły chorągwie lekkiej jazdy, pod wodzą Stępkowskiego pułkownika; na samym końcu raźnym pochodem następował pułk kozaczy, a na jego czele dziarsko czwanił się koń stepowy, pod Semenem Teterą, Starostą Bolestraszyckim i Bobimowskim, pułkownikiem kozaczym.

Król skoro zoczył Królowę Imość, przypuścił, osadził i zwinnie skoczył na ziemię; tego nigdy nie bywało. Wesoło patrzył, ucałował żonę, wszystkie panie uprzejmie i śmiało witał, przed panami i szlachtą oczów w ziemię nie spuszczał, nie był smutny jak to bywało dawniej, wziął za rękę Wojewodę Ruskiego: — Ludwisiu, winniśmy jemu, ty męża, Polska Króla, a ja koronę i Królestwo - i Ludwika Marja z zdwojonym uśmiechem, z zapałem nawet, witała Stefana Czarnieckiego. Ze wszech stron wołano: Niech żyje Jan Kazimierz Król i Pan nasz! — niech żyje Stefan Czarniecki Wojewoda Ruski!

Król zbliżywszy się do namiotu, rzekł do Hetmana: — Mości Hetmanie Polny, w goście się zapraszamy, każ dać przekąskę, bo nam głód i pragnienie dokucza. Co tchu koni, biegliśmy wam w pomoc, bośmy myśleli że macie do czynienia ze całem szwedzkiem i siedmiogrodzkiem wojskiem, takeście strzelali.

Hetman skłonił się i zaprosił Króla pod namiot, a potem tam wprowadził starszyznę przybyłą z Królem. Stoły już były zastawione i jadłem i napojem. Król wychylił kielich węgrzyna w ręce Wojewody Ruskiego: — Niech żyje Polska! —

Raby Wojewoda musnął wąsa i wypił. Królowej zdrowie i różne inne zdrowia wychylali; jednem słowem dużo pili, a co wszystkich zdziwiło, Król Jegomość pił zdrowie Hetmanówny Lanckorońskiej, mówiąc: — W ręce twoje Panie Starosto Bolestraszycki, wszak to córka twojego opiekuna, drugiego ojca — a potem wypił sam i kazał pić Staroście Zakroczymskiemu zdrowie Sapieżanki; znowu Tetera z jego rozkazu pił zdrowie Panny Rozalji Potockiej.

Szlachta między sobą szemrała. Co mu się zrobiło? — coś tak zaczyna pić jak świętej pamięci nieboszczyk Król Władysław IV z imienia; może i zacznie bić tak jak on. Na rękę mu poszedł chleb Gdańszczanów. Ja mówiłem że jagiellońska krew prędzej czy później zagra po swojemu. Daj Boże żeby tak długo było; z takim Królem pobijemy i Szweda i djabła. A jeden ze szlachty co był przy owej pomyłce Wąsowicza, dodał: szkoda że bez wąsów, a byłby prawdziwy Jagiellon, prawdziwy Król.

Królowa chwilkę pomówiła z Królem na stronie, i sta-

wiła przed nim Samuela Gnoińskiego. Hardy wnuk Zborowskiego na klęczkach musiał błagać Króla Pana; choć w twarzy ani pokory, ani żalu nie było, ale ugiął kolana i w rękę całował. Król mu rzekł zimno: — Mości Starosto, wstań; ani pamięci, ani urazy nie mam za to, żeś przeciwko mnie Królowi przekroczył, ale coś zawinił prawu, przed prawem odpowiesz. Ja Król, praw łamać nie mogę i nie chcę; korzę się przed niemi, i Waszmość musisz się ukorzyć. —

Nigdy takiej mowy nie słyszano z ust Jana Kazimierza. Samuel Gnoiński wstał, ale nic nie śmiał odpowiedzieć, a odszedłszy rzekł do Wojewody Wołyńskiego — zobaczemy czy odpowiem, czy się ukorzę? — Wojewoda Wołyński jakoś nie swój, bo Król go zimno przyjął, a Stefan Czarniecki nawet do niego nie zagadał.

Jan Kazimierz przybierając weselszą twarz obrócił się do Królowej: — Zadość uczyniliśmy rozkazowi Waszej Królewskiej Imości, a teraz prosiemy o wzajemność; nie o przebaczenie, ale o karę. Mości Starosto Bolestraszycki, Mości Starościc Zakroczymski na kolana — i obadwa uklękli przed Królową: — Ci Ichmościowie pod pozorem zrobienia wyprawy na Szweda, opuścili naszą osobę; w prawdzie przyprowadzili sto jeńców, ale dowiadujemy się że byli tu na turniejach; prosiemy o karę. Mościpanowie złożcie dowody waszej winy. —

Tetera pokazał pierścień Przecława Lanckorońskiego, i łańcuch złoty dar Rozalji Potockiej, a Jan Czarniecki pochlubił się piórem srebrnem, darem Anny Sapieżanki.

Królowa rzekła: — Oto kara — i podała im rękę do pocałowania — a poresztę odsyłam do dawczyń darów.

Jakże była piękna i urocza, i tęskna i szczęśliwa Hetmanówna, kiedy ją Tetera w rękę całował. Jaka rada i hoża, i rumiana i śliczna Sapieżanka kiedy wymierzyła karę Starościcowi Zakroczymskiemu.

Panna Rozalja powiedziała Teterze: — Tak nie ładnie i sobie nie wziąść i nikomu nie dać, poskarżę się Panu Wąsowiczowi: — Potem obadwa owi winowajcy za coś cerdecznie dziękowali ojcu Dąbrowskiemu, a szlachta na wyścigi zapoznawała się z białym i z czarnym jeźdcami, powiadając: to chwackie chłopcy, dzielni mężowie.

Zatrąbiono przed namiotem. Hetman Polny prosił Ich Królewskich Mościów i wszystkich znowu przed namiot. Choć już mrok szary, jasno na dworze; jak gwiazd na niebie, taka mnogość beczek smolnych na ziemi, a wszystkie rzęsisto płoną, złotem łunem oświecały ziemię, i jasność aż pod obłoki się wiła. Widać twierdzę i polanki, ztamtąd dolatuje terkot tarabanów, i niby jęk dzwonów. Koło radut uwijają się jezdni

kozacy, a tam za laskiem zagrzmiała muzyka, kozacy zażegli raduty i kopnęli ku twierdzy. Suną się z za lasu tłumy piechoty, ciągną tarany, armaty idzie jazda; a wszystko czerwone od płomieni jak djable wojsko, i na wałach, w twierdzy i w polankach snują się ludzie, a z armat walą a walą.

Palą się raduty, jak słupy ogniste, wojsko podstąpiło pod twierdzę, armaty zaryczały; już taranami mury walą, i ludzie na wałach za czuby się wodzą. Taki płomień i dym, że tylko ludzie majaczeją; ucichły armaty, tylko ręczna broń puka, a słychać terkot, druzgotanie, tłumne wrzaski i jęki. Potem, wszystko zciemniało, ucichło, i po chwili jakby z tej ciemności wyleciał, ukazał się srebrny orzeł w czerwonem polu, i srebrny jeździec na błękitnem tle, a pod niemi jaskrawe litery J. K. L. M. cyfry Jana Kazimierza i Ludwiki Marji. Z moździerzów wypalono, muzyka zabrzmiała, tysiączne głosy wołały: niech żyje Polska! — niech żyje Jan Kazimierz Król i Pan nasz! — niech żyje Ludwika Marja Królowa i Pani nasza! —

Aż do łez rozczulili się oboje Królestwo, dziękując Hetmanowi Polnemu i panom i szlachcie i żołnierstwu.

Całe wojsko kosztem Hetmana biesiadowało aż do późnej nocy, a kiedy Królestwo oboje i panie dworu odjeżdżały na Jasną Górę, Król wszystkim powtarzał: — Do jutra! do jutra! razem pójdziemy na wroga — a zewsząd odzywały się głosy: I pobijemy! — Niech żyje Królestwo Ichmość! — Niech żyje Polska! —

Ale nazajutrz dzień, cóż to za uroczystość, cicha ale pobożna, ale wielka, na Jasnej Górze. Król Polski na klęczkach u stóp ołtarza Najświętszej Marji Panny, składał koronę polską, błagając: — Najświętsza Marjo Panno, Matko i Niepokalana Dziewico. Tyś swoją opieką sprawiła, że naród polski wziął się do oręża, przyjm tę koronę, bądź naszą królową; ja będę twoim najwierniejszym poddanym, sługą i obrońcą.

Korzył sie Jan Kazimierz. Chmurno na niebie, a oblicze obrazu Najświętszej Panny tak zajaśniało jakby je olśniły promienie słońca. Zdaje się uśmiechać i oczyma przyzwalać na pokorną prośbę.

Panowie, panie, rycerstwo, przytomni w kościele zawołali: cud! cud! Marja Panna przyjmuje koronę polskę! Marja Panna Królową polskiej korony! — Król wzniósł oczy ku obrazowi. — Marja Panna nasza Królowo! — i czołem w ziemię uderzył, i wszyscy czołami biją w ziemię i śpiewają hymny chwały na cześć, na dziękczynienie Matce Dziewicy.

A kiedy Prymas otoczony orszakiem kapłanów przybranych w świąteczne szaty, zawieszał koronę nad obrazem, zdało się że obraz zajaśniał świetlejszym blaskiem jak brylanty, jak same słońce nawet, a wszystkich głosy chórem brzmiały: — Najświętsza Marjo Panno Królowo korony polskiej, miej twoje państwo w opiece po wieki wieków, Amen.

Po takim obrzędzie Król Polski, poddany Najświętszej Panny Marji, siadł na koń i poprowadził swoje rycerstwo przeciw wrogowi.

XIII.

> O Boże Ojców! prowadź nas do Ukrainy,
> Do której jak do matki tęsknim twoje syny;
> Pójdziem za Tobą przez ognie przez miecze,
> Przed Twem imieniem wszelki wróg uciecze.
>
> ALEKSANDER JEŁOWICKI.

Ledwie dziesięć dni upłynęło od owego turnieju, którym Hetman polny pokazał Królestwu Ichmościom i szlachcie polskiej zamożność Lubomirskich domu, a swoją uprzejmość; pokazał wrogom że kiedy polak poczuje w sobie otuchę, to i bić się i bawić zarazem umie, i że go wojna i nie nudzi i nie trudzi; po prawdziwej wojaczce, na chwilowy spoczynek wojennych igrzysk używa, i znowu bieży w pole, na wroga i bije; a już Lackie i Litewskie wojska kopnęły na wsze strony gonić i mordować wroga.

Litwa pod Gąsiewskim i Wojniłowiczem w Prusach, na Pomorzu i Żmudzi za łby się wodzi, ze Szwedem i z Brandeburgiem, dzielnie, po swojemu się popisuje, aż Karol Gustaw i Elektor Brandeburski tam na ratunek pobiegli. Jan Sobieski z Rusią i Tatarami, Wojewoda Sandomirski, Pan Zamościa, dziedzic mnogich i pięknych włości, a jeszcze duższej i piękniejszej sławy, na czele chorągwi Zamojskich domu, Lubelskie, Bełzkie, Podlasie i nadgraniczną Litwę oczyszczali ze Szweda. Paweł Sapieha Wojewoda Wileński, i Pan Wojewoda Kaliski na czele Wielkopolskiej szlachty i kilkunastu Litewskich chorągwi, po Wielkopolsce i Mazowszu uganiali Aszemberga, Sztejnboka Douglasa i zdrajcę Radziejowskiego, a Zebrzydowski znowu obległ Kraków.

Hetman polny z kwarcianem wojskiem i z chorągwiami wielu Panów polskich pociągnął do Siedmiogrodzkiej krainy, ogniem i mieczem pustoszyć tę dziedzinę Rakocego, i jak to mówią oddawać wet za wet. Król Jegomość ze Stefanem Czarnieckim i z jego ulubionemi hufcami ruszył pod Pinczów, wprost przeciw Rakocemu.

Cała szlachta w obozach raźno i ochoczo się ruszyła, a sprawiała się w bojach dzielnie; przy szale i zapale był skład i ład, a wszystko to dziełem Stefana Czarnieckiego. On poszanowaniem władzy Królewskiej dodał powagi Majestatowi tronu; groźną wolą i niezmordowaną pracą, jako Wódz Tyszowieckiej Konfederacji, i wojsko i naród wdrożył w porządek, w posłuszeństwo, a czynami wojennemi zarobił na cześć i wziętość u swoich, na cześć i postrach u wrogów. Za jego przykładem lud kupił się do Króla, uznawał Królewskie rządy i szanował Królewską władzę. Zewsząd wołano: jest Król, potomek krwi Jagiellońskiej, pan nasz prawy, a z nim jedność, zgoda i porządek między nas zawitały. Jest wódz co Króla słucha, wojsko na wodzy trzyma, i bije wroga; jest naród, co przed Bogiem się korzy, w Boga wierzy, wiarę przodków święcie zachowuje, a Ojczyznę kocha, dla niej żyje, dla niej gotów umierać. Będzie Polska.

Pod Zatorem wojsko Hetmana polnego po moście i statkami przeprawiło się na prawy brzeg lackiej Wisły, potem podzieliwszy się trzema szlakami, ciągnęło chrobacką i czerwonoruską ziemią ku Siedmiogrodzkiej krainie.

Dzień był nie jasny, chmury za chmurami gnały po niebiosach; szumią i huczą, jakby grad w sobie niosły, a takie bure i moręgowate, jakby na raz miały sto piorunów wyrzucić. Wiatr powiewał od zachodu, a jednak w powietrzu duszno i parno; choć to południe, nie widać ptaków, gdzieś się pochowały, tylko kruk samotnik kracze i skrzydłami wiosłuje po pod same chmury, oczami piorunom w oczy zaziera, ociera się grzbietem o grad; tylko sine orły siedzą po mogiłach i w dzioby klekoczą, a po nad rzeczką niewieliczką jaskułki świegotuszki nad samą wodą, to koła, to zygzaki kreślą. Na wodzie gładko, nigdzie prędzika; widać, rybka modrem skrzelem nie pluszcze po wodzie, nie mizga oczkiem światu, ani nad wodę wyścibi pyszczka; gdzieś głęboko w kołbanie musiała się schować. Konie z paszy, stuliwszy uszy, w czwał biegły do sioła, czasem klacz matka zarżała, i źrebię naprzód przed nią wyskoczyło; hurmami pędzą owce w różne głosy pobekując, i bydło ciężkim skokiem telepie się z pola i ryczy.

W taki dzień, w taką chwilę, od Skawiny, szlakiem ku południowi jechało przodem dwóch jeźdców, a za nimi mnogi poczet zbrojnego ludu. Muszą to być dzieci wojny, bo jakby się naśmiewali z burzy, szli pochodem, stępą; oba przedni jeźdce byli w czamarach, u prawego wąs niegdyś czarny, już dobrze zeszpakowaciał, u lewego jasno siwe oko błyszczy ogniem młodego jeszcze męża, a jasny wąs coś trochę na rudawy zakrawa. Tuż podle siebie jechali i rozmawiali.

— Mosanie Wojewodo, czy mnie djabeł spokucił pójść za waszemi radami? Zdrową głowę włożyłem pod Ewanjelją, a teraz djabełże to wie, jak z tego wszystkiego wybrnąć?

— Mości Starosto, nic się złego nie stało, wszystko dobrze pójdzie.

— Dobrze, dobrze — i niby się uśmiechnął. — Widziałeś Waszmość Pan, jak dmą te Czarnieczuki, i ten cham, łyk! a eks-jezuita mnie prawem straszył.

— Wiesz Waćpan przysłowie naszych chłopów: strachy na lachy, a rusin niczego się nie boi. Król zwyczajnie podbechtany, nasrożył się na chwilkę, a potem, co zrobił? nic. Wolnym jesteś Panie Samuelu, i wolnym będziesz. Wojewoda Wileński processu pewnie nie zrobi, a szablą potrafisz się wyprocessować i z nim i z synkami; ja opiekun Joasi, z mojej strony przed trybunał nie zapozwę, a jak się pobierzecie to i pogodzicie.

— Mniejsza o prawo i procedury, ale Waszmość nie wiesz, jak to boli być upokorzonym choć na chwilkę, przez chama, albo jakiegoś tam szlachetkę. O! trzeba było pod Częstochową koniec z nimi zrobić, i z tym eks-jezuitą! jabym im to zrobił, żeby nie Lubomirski. —

Wtem błysnęło, i grom zahuczał, Wojewoda Wołyński przeżegnał się krzyżem świętym: — Mości Starosto, nie gadajmy o tem, wszak Jan Kazimierz nasz Pan prawy, a Stefan Czarniecki zbawił Ojczyznę. —

— Mosanie Wojewodo, coś Waszmosć jak niańka dziecka gadasz; nie gadajmy bo Bozia się gniewa. I Króla takiego, i takich zbawców niech djabli biorą! obeszłaby się Polska bez nich i obejdzie. Djabeł —

A tu piorun razem z błyskiem wypalił przed samemi końmi, aż siarka do nosów zaleciała; Wojewoda zbladł, przeżegnał się znowu: — Panie Samuelu, nie żartuj z Pana Boga, nie wzywaj imienia djabła — i począł po cichu odmawiać: pod twoją obronę uciekamy się.

Marcin Lanckoroński był z tych ludzi, co nie wahał się robić pewnego rodzaju złe, ale nim to złe zrobił, zawsze się pomodlił, żeby złe na złe nie wyszło, albo też naprzód modłami chciał sobie wytargować przepuszczenie grzechu; a kiedy złe już zrobił, to się modlił, żeby złe na dobre wyszło dla niego, albo w przeprosinach Pana Boga. Na wojnie był mąż dosyć dzielny, ale piorunów i burzy okropnie się bał; przywyczka została od dzieciństwa, że błysk i grom uważał za znaki Bożego gniewu; w czasie burzy o złem nie chciałby myśleć, a cóż dopiero o nim gadać? —

Gnoiński popatrzył na niego i poruszył parę razy ramionami. — Mosanie Wojewodo, a cóż u licha będzie z naszemi układami? teraz mamy czas, pogadajmy. Do djabła —

— Nie gadajmy. Ja mówiłem, trzeba było przestać tę burzę w Skawinie.

— No i cóż się nam stało? wszak Lanckorona przed nami, przed deszczem jeszcze zajedziemy; podkłusujmy trochę.

— Niech nas Pan Bóg od tego broni, zarazbyśmy sprowadzili pioruny na siebie.

— Mosanie Wojewodo, cóż Waszmości jest takiego u djabła?

— Waćpan temu nie uwierzysz, a to prawda: że kiedy Pan Bóg się gniewa, to wtenczas aniołowie święci piorunami strzelają; ludzie się korzą, a kiedy który ma nieszczęście uciekać, to aniołowie myślą, że to ten co Waćpan wymówiłeś jego imię i palą w niego.

— Przyznam się, że tego nie wiedziałem. Waszmość Mości Wojewodo, korz się i moknij, ja chcę na sucho wyjść. Poprobuję udawać djabła — zaciął konia ostrogą, a koń pomknął wolnym a szerokiem skokiem.

— Na miłość Boga, stój Waćpan, co robisz Mości Starosto? — Krzyknął Wojewoda, a tu błyskało, grzmiało; pioruny jedne po drugich waliły, i kroplisty deszcz z rzadka zaczął spadać. Jeszcze czterysta kroków Gnoiński nie ubiegł, kiedy wężykiem błysnęło, palnęło jak z działa, i w mig koń z jeźdcem kłębkiem przewrócił się na ziemię i leżą.

Kilku jeźdców z pocztetu w cwał kopnęło w tę stronę. Darmo Wojewoda wrzeszczał: — Stój na miłość Boga, pogubicie się i nas zgubicie: — Oni nie zatrzymali koni, a Wojewoda żegnał się krzyżem świętym, modlił się i przyobiecywał nic złego nigdy nie robić.

Samuel Gnoiński już wstał z ziemi, potrącił nogą konia zabitego piorunem, i obejrzał się na drogę, a widząc nadbiegających jeźdców zawołał: — Strynża, dać mi myszatego. Coś widzę te lanckorońskie pola nie na rękę moim koniom? jeden zginął od kuli a teraz drugiego djabli wzięli.

Strynża podając konia chciał Panu odpowiedzieć, ale spojrzawszy na groźną twarz Pana, bąknął i zamilkł.

Gnoiński klasnął dłonią po swojem udzie, jakby za karę, że pozwolił sobie parę słów niepotrzebnie przemówić do sługi, włożył nogę w strzemię: — Trzymajże psie kiedy trzymasz! — wsiadł; spinał i targał konia. Oj nie zapomniał on mu jeszcze szwanku odniesionego na turniejach.

Nadjechał Wojewoda, Gnoiński zaśmiał się z jego przestrachu: — Widzisz Waszmość Pan, żem zdrów, żyję jeszcze, jakoś mnie piorun za djabła nie wziął. O szkapę mniejsza, zobaczemy czy piorun tęższy, czy ja upartszy — i w cwał wypuścił konia ku Lanckoronie.

Wojewoda pomyślał sobie: może on djabeł! wtem grad jak sypnie w oczy, konie się w stecz zwróciły, głowy pochyliły ku

ziemi, ogony do siebie przytuliły, jedne do drugich się cisną, a stoją w miejscu choć grad praży, a woda potokiem podmywa nogi; ludzie zgarbili się do grzyw końskich, do kołnierzy się zeszczulili, a gradowiny im w plecy i po tebinkach gęsto dźgają. Zda się każdemu, że już ma odzienie i skórę na rzeszoto podziurawione; świata Bożego nie widać, w uszach huczy i szumi, w oczach to żółcieje, to ciemnieje. Wojewoda myśli: Bóg mnie ostrzega, poprawię się, poprawię.

Ustał grad, ulewa jeszcze jak z cebra leje, zwrócili konie i brodzą przeciw wodzie, jeźdce głowy pospuszczali, tylko z pode łba patrzą. Poczęła trochę ulewa zwalniać, a znowu grzmi niebo, błyska, i pioruny walą a walą. Przy takich wiwatach dojeżdżał Lanckoroński do Lanckorońskiego zamku. Przed samym przekopem stał Samuel Gnoiński, i patrzał na mury, na stary zamek; zamek woda myje, z wałów strugami cieknie woda, niby to łzy po nieboszczyku Panie, niby to umywanie się ze starości na przyjęcie nowego Pana. Gnoiński wśród deszczu i burzy, błysków i gromów głowę miał w górę wzniesioną, wzrokiem dziko do koła rzucał; postawy jego i jego konia były harde, zdawałoby się że to szatan rozpatruje gmachy świętych pomników, a nie widząc słońca, bożego oka, w swojej dumie powiada: jak machnę ręką, to będą zwaliska.

Wojewoda wzdrygnął się, dreszcz jakiś mu po ciele przebiegł, Starosta spojrzał mu w oczy: — Mosanie Wojewodo, przyjmże nas przecie do zamku twoich praojców, nie każ nam czekać jak psom pod przyżbą. —

Wojewoda nic nie odpowiedział, ale trębacz znanem zadęciem dziewięćkroć razy potrąbił; straże na wałach i przed bramą się ukazały. Długo się przypatrywano, trębacz znowu musiał trąbić, nareszcie otworzono bramę i spuszczono most. Gnoiński pierwszy wjechał, jak gdyby już był panem tego zamku. Smutne twarze i głuche milczenie, a jasne błyski, i gromkie pioruny nieba przy wjeździe ich powitały; nie tak to bywało przy wjazdach nieboszczyka Hetmana.

I w zamku nie lepsze mieli przyjęcie od dawnych sług Hetmańskich, tylko nowy Burgrabia nastawiony przez Pana Wojewodę Wołyńskiego, nisko się kłaniał i o rozkazy pytał. Całkiem przemokli donitki, przebierali się panowie, i żołnierze gdzie który mógł szukał kąta żeby się osuszyć, a deszcz jeszcze padał, a na przemiany i grzmiało i błyskało.

Kiedy po chwili Starosta i Wojewoda zeszli się w komnacie, gdzie wisiały na ścianach wizerunki Lanckorońskich, nic nie mówili do siebie, tylko patrzali na wizerunki. Ten Przecław Ataman kozaczy zdawał się grozić, wąsem ruszać i łypać oczyma; i tych trzech Stanisławów praojciec, Wojewoda Sandomierski, pradziad Wojewoda Podolski, a wnuk zmarły Het-

man, jakimeś nie miłem wejrzeniem patrzą na przybyłych gości; i wszystkie wizerunki niewiast i mężczyzn zdają się wyrzucać: pocoście przyszli mieszać naszą spokojność. Wojewoda blady, nie swój; rzekł: — Chodźmy ztąd — a Starosta słowa nie odgadawszy, mruknął, zachmurzył się i poszedł za nim.

W drugiej komnacie zasiedli naprzeciw siebie. Gnoiński potarł czoło: — Mosanie Wojewodo, pogadajmyż teraz o naszych układach. —

— Będzie jeszcze czas — spojrzał w okno — deszcz pada, nie ustaje.

— Mniejsza o to, niech sobie pada u djabła; teraz nas nie zmoczy, mnie już znudziły te zwody, korowody, skończmy z sobą.

— Co tu kończyć? — błysnęło i zagrzmiało znowu, przeżegnał się Wojewoda: — Widzisz Waćpan jakie pioruny, to sądny dzień!

— I cóż z tego że pioruny? zostawmyż u licha tym Waszmość Pana Aniołom, niech się nastrzelają i djabłów nabiją.

— Mości Panie Starosto, na miłość Boga, nie żartuj.

— Zgoda, nic nie powiem; ale mówmy o rzeczy. Wiesz Waszmość Pan, że coś mi się ta Lanckorona wcale nie podoba, lepiej żeby ona została się przy Lanckorońskich rodzie. Ot tak zróbmy: jeźli się ożenię z Waszmość Pana synowicą, w miejsce Kitajgrodu dam ci Panie Wojewodo Lanckoronę. —

Wojewoda pilnie słuchał, a od czasu do czasu patrzał w okno: — Coś się wypogadza. — Ja nie wiem — znowu spojrzał w okno, posłuchał trochę, nie grzmi: — Ja na wszystko się godzę.

— Mosanie Wojewodo, mówmy z sobą otwarcie. Może na piśmie chcesz mieć jakie zapewnienie odemnie?

— O broń Boże, Panie Samuelu. Na co te rzeczy między nami szlachtą? U nas verbum nobile debet esse stabile — popatrzył w okno — patrz Waćpan Mości Starosto, deszcz zupełnie ustał, ale to sęk, jak ten testament znajdą gdzie?

— To prawda, że sęk. Ten przeklęty łyk Żytkiewicz gracko się zaszył, nie trzeba go było straszyć; łatwiej było wszystkiemu urwać łeb na miejscu, a teraz ten raby szlachetka będzie nam w drogę zachodzić, ten Czarnieczuk ekonomczuk: to prawda że swój swego znajdzie — jak się zwąchali z chamem — uderzył się dłonią po udzie: — Ale zjedzą djabła jak dokażą; puściłem ja za tym Żytkiewiczem gończaka, co jeźli go nie znajdzie, to go nikt nie znajdzie.

— Kogoż za nim posłałeś?

— Tego szelmę Becala. Obiecałem tysiąc, dwa i trzy tysiące dukatów, byle go dotropił.

— Oho, już to jak ten nie dotropi, to już on pewnie nie musi żyć na tym świecie.

— Ale jest tu druga ważniejsza rzecz. Waszmość Pana synowica jawny wstręt do mnie okazuje.

— To fraszka, mam ja na to sposób. Moja żona już musi teraz być w Częstochowie, a wiesz Waćpan że moja żona Sanguszkówna z domu. Choć to ród co dotąd jeszcze siła dobrego nie zrobił Polsce, ale zawsze Książęcy, z krwi Jagiellońskiej. Otóż tedy moja żona będzie starała się przynęcić do siebie synowicę, a jak się jej to nie uda, to powagą opiekunki weźmie, i tu przywiezie do Lanckorony, a wtenczas co zechcemy, to zrobiemy.

— Czy tylko Waszmość Pana żona zechce nam być pomocą?

— I dla czego nie? — Ona życiem przypłaciłaby widząc jak jej synowica idzie za jakiegoś kozaka, Bóg wie, czy szlachcica, czy nie? — A Waćpan Panie Starosto, wszak jesteś wnuk Zborowskiego.

— No, więc rzecz skończona? —

— Zupełnie skończona; ale teraz pomówmy o tem, żeby to można jakim sposobem skłonić Pana Michała Gnoińskiego, żeby Rakocego odstąpił, a z nami się połączył.

— Widziałeś Waszmość com robił, żeby to można zrobić, teraz już nie czas; takie to nasze losy; on pod Krakowem przeciwko mnie walczył, a teraz ja może walczyć będę przeciw niemu: — Zamyślił się, i wstał z krzesła: — Ha, ten raby szlachetka! Lubomirski wymógł na mnie szlacheckie słowo, inaczej dałbym ja tam w Częstochowie i Czarneczukowi i temu chamowi, i eks-Jezuita by nie pomógł; ale tu na cień Zborowskiego Samuela przysięgam, że nie ujdą oni moich rąk — i szerokim krokiem chodził po pokoju, pomrukując: — Djabli ich porwą.

Wojewoda patrzał, to na niego, to w okno. Na dworze choć już mrok ale piękna pogoda; twarz Gnoińskiego choć dzika, ale nadzieja posiadania Lanckorony strach odpędza.

Po wieczerzy obadwa niby to spać poszli, a obadwa nie spali. Wojewoda pacierze poodmawiał, zrobił postanowienie budowania kościoła i klasztoru i uposażenia onych; a potem myślał o Lanckoronie, i marzył że z temi dobrami przyjdą buławy, starostwa, cała znamienitość i cała sława Lanckorońskich rodu. Pewny był, że pacierzem, kościołem i klasztorem naprzód rozgrzeszył się od złego, jakieby mógł zrobić; z resztą czyż nie godniej Pannie Lanckorońskiej być za szlachcicem starego rodu, jak za kozakiem!

Samuelowi Gnoińskiemu zaś ciągle lazły a lazły do głowy myśli, kochanki i dręczycielki dumy; aż zębami zgrzytał, kiedy sobie przypomniał ten szwank odniesiony na turniejach,

swego zwycięzcę kozaka, i to przyklęknięcie przed Królem i Królową, ten wzrok pogardy Sapiehy, tę zimną obojętność Hetmanówny, i ową cześć oddawaną Stefanowi Czarnieckiemu. Na raz mu stawało przed oczy: całe jego upokorzenie się, całe pomiatanie, jakie w tym dniu — wieku doznała jego duma. Sierdził się, kłął Jerzego Lubomirskiego, że wymógł na nim słowo szlacheckie, i gwałtem kazał mu być takim, jakim on nie był, ani nie będzie nigdy: pokornym, żałującym. Wstał, chodził po pokoju, a głowa marzyła: jak on będzie mężem hetmańskiej dziewicy, znamienity tym związkiem, znamienity swoim rodem i sławą, kanclerskiej pieczęci, hetmańskiej buławy dostąpi, wszystkich swoich nieprzyjaciół, i tych co mu kiedykolwiek i jakkolwiek na zawadzie stawali, potępi, pod nogami zgniecie, a nawet się pomści śmierci Samuela Zborowskiego. Znajdzie sposoby! A tu gwałtem nasuwała się myśl o Elżbiecie Radziejowskiej, myśl co nie wyrzucała ale przypominała sumieniowi, że on ją ciągle sprowadzał z drogi cnoty, z drogi szczęścia. Odpędzał od siebie to przypomnienie słowami: — Ta djablica, ta czarownica gotowa wszystko popsuć.

Tak obudwom przeszła noc w Lanckorońskim zamku. Równo ze świtem wyszli w dalszy pochód za Hetmanem Polnym. Oni wyszli, a słońce jasno, pięknie zaświeciło; i krzyże, i kopuły, i herb Zadora, i stary zamek, wszystko jaśnieje, złoci się, srebrzy i różnobarwi pod promieniami słońca; jakby się weseliło, że niemili goście precz sobie odjechali.

W Częstochowie wszystko poweselało. Królowa Imość co dzień odbiera wieści o nowych zwycięztwach, widzi jak się gromadzą koło niej senatorowie, panowie i szlachta Polski i Litwy; to jawne znaki powagi majestatu tronu, i przyszłej świetności Polski. Piękna Ludwika Marja, co za jedynego kochanka swemu sercu obrała wielkość i potęgę polskiego królestwa, już teraz rozpoznaje swojego kochanka, jak rozsuwa grube chmury niepewności i wychodzi na jawie świata.

Hetmanówna dziewica krasy i serca widziała lubego, jak okryty sławą wojenną, zwyciężał w bojach, zwyciężał na turniejach; tamto dla Ojczyzny, dla niej, a tu dla niej samej tylko. O jakże to miło dziewczęcej chlubie, kiedy zewsząd mówią: twój luby najdzielniejszy w boju, najdzielniejszy na igrzyskach! tak to samo, kiedy młodzieńcowi powiadają: twoja luba najpiękniejsza, najlepsza. Król pijąc zdrowie Hetmanówny w ręce Tetery, niejako potwierdził ich miłość, a Pan Wojewoda Ruski wyraźnie oświadczył: — Da Bóg skończy się wojna, musi się stać zadość woli nieboszczyka Hetmana.

Te rozpamiętywania lały słodycz do duszy i koiły potrochu żałobę po stracie ojca; choć czasem popłakała nad sieroctwem, to się pomodliła i uśmiechnęła nadzieją: oj nie zawsze będzie moja taka dola, oj nie długo ja sama jedna będę na tym świecie! Tak w marzeniu sama do siebie mówiła, kiedy otworzyły się drzwi i wpadła Panna Potocka: — Joasiu, pełno a pełno mam rzeczy do powiedzenia; będziesz się śmiała, ale nie wiem od czego zacznę.

— Od czego chcesz.

— No dobrze, słuchaj — usiadła: — Naprzód, po wielu ceregielach Pani Hrabina z La-Grange oświadczyła miłość swojego siostrzeńca Ludwika Hrabiego z Châtre muszkietiera gwardji francuzkiego króla, przyszłego Admirała albo Hetmana, co zechcesz, dziedzica zamków w Szampanji i już zapomniałam reszty, ku mojej osobie. Zgadnij, co odpowiedziałam?

— Że nie chcesz Hrabiego, bo go nie kochasz.

— Ba, żeby znowu wrócił ciebie nudzić, a Hrabina żeby swojemi zwadami pokoju nam nie dawała? Jak stary nasz Wąsowicz mówi: w pole wyprowadziłam francuzów. Odpowiedziałam, już tego nie pamiętam czy z rumieńcem: nie wiem, zobaczemy, to od moich rodziców zależy; i Pan Hrabia jutro ma jechać na Podole z listami opiekuńczemi, a ja temczasem do matki i do ojca napiszę, że go nie chcę.

— Tak nie dobrze, moja Rozalko.

— Dajże mi pokój ze swoim nie dobrze; niech Pan Hrabia trochę popodróżuje po naszym kraju. Ze Szwedami bił się przeciwko naszym, niechże się teraz pobawi z Tatarami albo z Kozakami. Z resztą, sam mówił, że kobiet więcej nabałamucił jak ma włosów na głowie. Jeźli to prawda, niech się na nim sprawdzi: nosił wilk barany lat kilka, poniosą też i wilka; i to wszystko zrobi ta czarnobrewa rusinka z nad Dniestru — i mrugnęła oczkiem. —

Lanckorońska się uśmiechnęła: — Widzę, prawdę mówił nasz Wąsowicz, nie masz większego bałamuta dziewczyny nad Pannę Rozalję.

— Alboż to nie ma czem bałamucić? patrz Joasiu, jak się ubiorę w moją suknię z tureckiej termołamy, i ot tak po francusku siądę — wystawiła malutkie nóżki, wzięła wachlarz i poczęła się nim wachlować — to wiem, że nie jednemu głowę zawrócę.

— A sama czy pokochasz kogo?

— O co nie to nie. Jak mi się uprzykrzy być panną, wyjdę za mąż. Ale co tam przed czasem o tem gadać. Nie powiedziałam ci że Pani Wojewodzina Wołyńska dziś jeszcze ma tu przyjechać.

— Skądże ta wiadomość?

Pan Wojewodzic Kaliski mówił nam, że widział jej służbę w mieście.

— Nic jednak do mnie nie pisała.

— Stryjeneczka chce niespodzianą przyjemność sprawić synowicy. Czegoż się zamyśliłaś? czy przybycie stryjenki grozi jakiem zmartwieniem?

— I od nas samych; ale mniejsza o to. Ot jeszcze ci powiem, że Anusia skacze z radości, bo państwo Wojewodztwo Wileńscy rozmawiali z wielkiemi pochwałami o Panu Staroscicu Zakroczymskim. A ostatnia wiadomość, że Pan Inocencius Drogonius niegdyś czarnoksiężnik i mędrzec, dziś doktor Pani Podkanclerzyny, oszalał, ale to zupełnie.

— Dajże przynajmniej pokój temu biednemu Drogoniusowi.

— O moja duszko! ja mu daję całkowity pokój i wcale nie ubiegam się z Panią Radziejowską; słuchaj, wiesz że w czasie turniejów, kiedy Podkanclerzyna taką była szczęśliwą z powitania Starosty — czego ty drżysz Joasiu, jakbyś jeszcze była w Krupiańskim zamku.

— Ja nie wiem, dla czego mnie strach przejmuje na każde wspomnienie o tym człowieku.

— Bo też on straszny; na życiu mojem ani jednego człowieka podobnego jemu nie widiziałam; ale słuchaj: wiesz że Drogonius wtenczas gdzieś uciekł, w siedem dni później myśliwi napotkali go w Częstochowskich górach, jak rozprawiał z drzewami i z wiatrem. Już jeden z nich, wziąwszy go za djabła, nabijał strzelbę srebrną kulką, żeby go w smołę obrócić; na szczęście, drugi z nich poznał, że to czarownik karzeł z królewskiego dworu, i gwałtem go przyprowadzono tu; wiesz, że Pan Żórawski zamknął go u siebie; otoż teraz uciekł Bóg wie dokąd i którędy, bo i drzwi i okna pozamykanemi były, a co najzabawniejsza, napisał list do Pani Radziejowskiej. Hrabina powiada, że to dziwnego rodzaju adonis co ośmielił się kochać naszą Wenerę — Pusto się śmiała, zwyczajnie młoda dziewczyna, u której na sercu nic nie cięży, a w myśli wesołość mieszka i rzadko kiedy z niej wyjeżdża. —

Cóż to za starzec wszedł do komnaty? Obiedwie panny powstały, on ich uniżenie wita, one go witają z poszanowaniem jakby córki; proszą siedzieć, on nie chce; naglą, usiadł: — Jaśnie Wielmożne Panny tak każą, ja stary sługa siadam przy nich; i nieboszczyk Hetman pan mój, nieraz mi takie rozkazy dawał — popatrzył w oczy Hetmanównie, i z jego oczu łzy pociekły, a Hetmanówna chustką twarz sobie zakryła, żeby łez starca nie widzieć, i swój płacz przed nim schować. Oboje sobie zapłakali. Panna Rozalja patrzy i jej się w oczach łzy kręcą.

— Joasiu, Panie Radziku, dajcie pokój; po co płakać, co płacz pomoże? — i sama zapłakała. Wszyscy troje milczą.

Stary Radzik otarł ręką oczy, westchnął: — Jaśnie Wielmożna Panno Hetmanówno, przyszedłem po rozkazy, ja jadę — a głos jeszcze łkał, jakby dopłakiwał łzy zatrzymane w oku.

Hetmanówna smutnym głosem odrzekła: — Czy i ty Panie Radziku chcesz mnie opuścić?

— Jaśnie Wielmożna Pani, stary Radzik nigdy nie opuści dziecka swojego pana; mój ojciec służył dziadowi, a dziad pradziadowi Jaśnie Wielmożnej Pani; od wieków Radziki byli na usługach Lanckorońskich — podniósł czoło i powstał: — Ale Lanckorońskich od świętej pamięci nieboszczyka Przecława, nie tych — i zagryzł usta. — Ja wiem co tu się dzieje; teraz się dowiedziałem. Ja znajdę tego Żytkiewicza choćby i na końcu świata. Bóg mi dopomoże. To będzie ostatnia posługa woli nieboszczyka Hetmana, mojego pana i dobrodzieja.

Hetmanówna wzięła go za rękę: — Dziękuję, dziękuję. —

Stary Radzik odważył się pocałować w rękę córkę Hetmańską — pojadę, zrobię; zdaje mi się że Bóg mi mówi: jedź Radziku a zrobisz: — Już się zabierał do pokłonu pożegnania, kiedy Panna Rozalja zapytała.

— Gdzie, w którą stronę jedzie Pan Radzik?

— Na Podole; coś mi mówi że go tam znajdę. Starą moją odwiedzę.

— Panie Radziku, niech Pan od nas ucałuje Radzikunią i weźmie list do moich rodziców — i nie czekając odpowiedzi zaczęła pisać, a Radzik jak w tęczę patrzał na Hetmanównę, jakby nie mógł się dość napatrzyć na dziecko nieboszczyka Pana.

Skończyła pisać, Hetmanówna się przypisała. Przy pożegnaniu znowu zapłakano, a kiedy Radzik odszedł, obiedwie rzuciły się w swoje ramiona: — Joasiu, nie płacz.

— Rozalko przestań płakać — i obiedwie płakały.

Już po północy; oprócz straży wszyscy na spoczynek, na sen poszli, ale nie wszyscy śpią i spoczywają. W jednej z izb klasztoru, na stoliku stoi jarzęca świeca, a przy stoliku siedzi piękna niewiasta. Rozpuszczone warkocze kruczych włosów, jakby potokiem w dół ciekną, po szyi, po ramionach i po śnieżnem odzieniu; czarne oko omdlałe i twarz tęskna, trzyma w ręku jakiś papier i czyta:

«Piękna Elżbieto! łaski, łaski u ciebie żebrzę! chwilkę jedną posłuchaj spowiedzi mojego serca. Tam w pięknej wło-

skiej krainie, tam gdzie oko nie może się nadziwić dziwom utworów Bożych, dziwom ręki ludzkiej, gdzie teraźniejszość wielka, przeszłość stokroć razy większa, a przyszłość choć daleka ale największa od nich! — tam był anioł na ziemi w ludzkiem ciele między ludźmi, anioł niewiasta; sercem, i duszą, i ciałem anioł! Ja proch ciała, ale duch ducha, kochałem ją, i ona mnie kochała; może przez miłość, może przez litość, ale kochała! Ona słońce piękności mnie lichej istocie podała rękę, i rzekła: Ty sierota świata, ty odrzutek świata, chodźmy w parze, i szliśmy; ale Bóg zabrał co Boże, ziemia wzięła co ziemskie, a ja co moje; i znowu zostałem sierotą, odrzutkiem. Łzy jednej nie usączyłem, serce mi zmartwiało i myślałem: już ono na zawsze przestało czuć, a cierpieć nigdy a nigdy nie przestanie. Ustami bez potrzeby, bo w sercu wszystko to było, zaprzysiągłem czcić pamięć anioła, i zachować martwość serca dla innych. Długo — długo tak było — zamknąłem się przed ludźmi, a ludzie do mnie biegli; dnie i noce pracowałem i dumałem — i w mojem nieszczęściu miałem szczęście. Przyjaciel mnie wyrwał z mojej samotności. — Ciebie piękna czarodziejko ujrzałem; nie klnę jemu ale go błogosławię! Myślałem, że widzę mojego anioła — wielbiłem — kochałem ciebie Pani przez pamięć dla niej, a teraz dla ciebie! Daruj! ach daruj to wyznanie. Ach! wiem ja, wiem, że w moich ustach słowo kocham jest to zniewagą dla ciebie. Oni mają bogactwa, dostojeństwa, imię i krasę, a ja nic oprócz serca; serca, dla którego życie bez ciebie nie jest życiem, które znieść nie może wszystkiego na świecie, co nie jest tobą. — Elżbieto ' ty go kochasz, niewdzięcznika. Mnie nie brak na chęci, wola by się znalazła, ale nie bój się! serca twego nie skrwawię! Nieszczęściem, cierpieniami chciałbym okupić choć jedną chwilkę twojego szczęścia, a ty się nademną nie użalisz. Ja krzywoprzysiężca, bo stargałem przysięgę wykonaną pamięci mojego anioła. Ja przestępca, bom śmiał kochać ciebie Pani! Przebacz! użal się nademną! przyrzekam — przysięgam — nie zobaczysz już mnie nigdy. Z daleka tylko czuwać będę nad tobą i kochać ciebie wszędzie i zawsze.»

Póki list czytała, zdawało się, że jakieś tęskne użalenie przewijało sie po twarzy pięknej niewiasty, ale kiedy oko jej doszło do podpisu I n o c e n t y D r o g o ń, zadrżała, a potem gorzko i z przymusem się uśmiechnęła. — Na to żem przyszła? rzuciła list pod stół, twarz skryła w dłonie; może jej na gorzki a suchy płacz się zebrało, a może ją porwał śmiech złej woli, bo tak dobrą chwilę posiedziała.

Odsłoniła twarz i cierpienie na niej. Wzięła drugi papier, czyta:

«Jaśnie Wielmożna Pani! Nieznajoma ręka do ciebie te wyrazy kreśli. Jaśnie Wielmożny Hetman Polny o Jaśnie Wielmożnej Pani tylko mówi i marzy, a Pan Starosta Hrubieszowski pewnym jest swojego małżeństwa z Panną Hetmanówną Lanckorońską; wszystko do tego przygotowuje i powiada: że jeźli powitał Jaśnie Wielmożną Panią w Częstochowie na turniejach, to jedynie to zrobił na rozkaz Jaśnie Wielmożnego Hetmana Polnego. Polecając moje najpowolniejsze służby Jaśnie Wielmożnej Pani,

Zostaję jej najniższym sługą. NIEZNAJOMY.»

Ledwie doczytała tego listu, wstała, zmięła papier w ręku, i przechadzała się po komnacie: — Nie, nic z tego — nigdy — nigdy ona żoną jego nie będzie — i na koniec świata pójdę, a swoje zrobię — okiem błyskała, twarzą żarzyła, i piękną była uczuciem zawiści, a może i zemsty.

Na drugi dzień przyjechała do Częstochowy Wojewodzina Wołyńska. Już to nie młoda Pani, z górą dziesiątek jesieni jak dla niej przeminęła trzydziestka; ma synów pod wąsem, zawodzących harc na koniu, ma córki i dziś nie płaczące na wspomnienie o zamęściu, ale sama jeszcze sztywna choć już oddawna nie zalotna, a może nią i nigdy nie była. Postawa jej dość okazała, w twarzy duma i jakaś cierpkość; wzrok niemiły, nie wesoły, zda się wszystkiem pomiatać, i niczemu nie być radą. W słowach skąpa, nierozmówna, krótko zapytuje, kródzej jeszcze odpowiada, widać, że od kolebki nawykła słuchać i rozkazywać; było to i dobrze i źle. Umiała być grzeczną, uprzejmą, ale to wtenczas kiedy Pan mąż kazał; tak to niegdyś w panieńskim stanie czyniła na rozkazy Pana ojca. Wyrosła i wyhodowała się z tą myślą, że niewiasta zawsze i wszędzie powinna mieć Pana: gotowa do ślepego posłuszeństwa synowi, byle ten stał się głową rodziny. Dawny to a w części może i dobry obyczaj kniahiń moskiewskiego rodu, a do Sanguszków domu z kądzielą przymieszało się wiele krwi szczepu Rurykowego.

Wojewodzina Wołyńska kornie kłoniła się przed Królową Imością, ale prawie wszystkim paniom, ni rozmową, ni obejściem się do smaku nie przypadła, ale to Sanguszkówna, Księżniczka z domu, zatem ją znoszono choć nie lubiono.

Hetmanówna szczerze, serdecznie witała Stryjenkę; było tam w głębi myśli trochę uprzedzenia, czy to z powodu postępowania stryja, czy też z gadania jakie wprzódy krążyło o stryjence, ale one prędko znikły. Pani Marcinowa Lanckorońska mimo swoją sztywność czule i rzewnie garnęła do siebie synowicę, jakby to było jej własne dziecię, a sierota Hetmańska

myślała, że znalazła drugą Matkę i przylgnęła do niej; i Panna Potocka takoż dała się pociągnąć uprzejmości swojej dalekiej krewnej. Nic tedy dziwnego, że obiedwie nie tylko przystały na wyjazd do Lanckorony, ale gorąco pragnęły tego. Królowa Imość z całym dworem i Senatem miała jechać znowu do Lwowa; żadnej trudności nie robiła w przyzwoleniu na odjazd Hetmanówny i Podkomorzanki Podolskiej, tylko Pani Radziejowska kilka razy powtarzała: — Panno Hetmanówno, nie jedź do Lanckorony, tam ciebie nieszczęście czeka — i do Panny Potockiej coś przemawiała, ale obiedwie Panny nic na to nie zważały, nawet widocznie stroniły od tej rozmowy, bo te rozmowy ludzkie o Podkanclerzynie: Podkanclerzyna piękna, ale — Podkanclerzyna czuła, dobra, ale — Podkanclerzyna dobroczynna, jedyna na przyjaciółkę, ale — i te przeklęte a bez końca, ale, snadno mogły i powinny były nakazać stronienie od niej wszystkich Panien i Pań nawet, z cnotliwych szlacheckich rodów. Jej słowa były tedy grochem rzucanym o ścianę, nie usłuchano ich i pojechano do Lanckorony. A rzecz dziwna, że nazajutrz dzień po tym wyjeździe, Pani Podkanclerzyna, mimo namowy Hrabiny z La-Grange, mimo uśmiech i kilka słów Królowej aby została, wyjechała z Częstochowy; gdzie? nie wiadomo.

Kiedy tak Hetmańska córa pojechała do dziedzicznego zamku, na wojennym świecie pomyślność i sława wiernie polskiem orężowi służą. Nowy Wojewoda Ruski pod okiem Króla Jegomości zdobył Pinczowski zamek, Mikołaja Gnoińskiego przeniewiercę zmusił czołem uderzyć przed prawym Panem, bić się w piersi za grzechy przeciw ojczyźnie, odpuszczenia żebrać i obiecywać poprawę, a potem pognał w pościgi za Rakoczym; dognał pod Magierowem, i jakto mówią: tęgo wytatarował skórę Siedmiogrodzianom. Po zwycięstwie, kiedy Stefan Czarniecki wąsa pokręcał, przyprowadzono jakiegoś szpiega Niemca Szlychtynga, co pisma i wieści rozwoził to od Szwedów, to od Siedmiogrodzianów. Raby Wojewoda brodę pokręcił i rzekł: — Powiesić psa! — i jak gończaka bałamuta na pierwszej lepszej gałęzi zawieszono, a Wojewoda Ruski z wojskiem kopnął ku Żółkwi, ztamtąd odgonić Rakocego, i przeć go dalej na przepadłe imię. Tymczasem Jerzy Lubomirski tęgo, dzielnie, tatarskim obyczajem przegrasował po Siedmiogrodzkiej krainie ogniem, mieczem; napustoszył, nagrabił, i na rozkaz Króla Jegomości wracał do Polski.

Stara to i dawna prawda, że jak kto wyprasza sobie u ludzi, pomożcie mnie: to mu ludzie mówią: niech ci Bóg pomoże, a rzadko kto z pomocą przybiegnie. Ale jeźli powiada ludziom: obejdę się bez was, wtenczas ludzie sami mu z pomocą biegną, bo wolą zobowiązywać jak zniechęcać człowieka, co

ufa swojej sile. Tak też i z Polską się stało. Austryjacki Leopold przysłał Janowi Kazimierzowi swoje kajzerskie wojska pod wodzą Montekukulego, w pomoc przeciw Rakocemu; obiecał nawet najechać kraj Siedmiogrodzki i zabrać go, jeźli tego potrzeba dla dobra sąsiada. Car moskiewski takoż uwziął się pomagać Lackiemu Królowi i na Szwedach zagrabia Inflantskie ziemie na rzecz Moskwy. I Fryderyk Duńskie Królątko, wziąwszy na zadatek holenderskiego złota, wojnę wypowiedział Szwedowi i uzbrojone okręta na morze wysłał; nawet Brandeburskie Książ zaczyna się chwiać w przymierzu ze Szwecją, a widocznie kłoni się ku Polsce. Han Tatarski i Turecki Sułtan, poczciwym muzułmańskim obyczajem, jak w nieszczęściu szczerze i serdecznie wspierali Polskę, tak i teraz w pomyślniejszych chwilach jej nie odstępują. Han w stotysięcy tatarskich jeźdców przybiegł na pomoc bratu Królowi polskiemu. Sułtan zagroził odebraniem lennego państwa Rakocemu, jeźli natychmiast nie ustąpi precz z granic polskich, i mówił: co mam, to dla Polski dam. Bohdanka Chmielnickiego zostawiono na boku, i on też na boku stał i w szałbierskiej głowie jakieś nowe zaskoki, wykręty układał; darmo mu kilka razy na dzień powtarzał Iwan Wyhowski: bieżmy na ratunek matki Polski; darmo kozactwo wołało: — Ojcze Atamanie, ta chodźmyż się bić za króla, to nasz pan; za Polskę, to nasza matka; wiedź ojcze nas! tęskno to, założywszy ręce w domu siedzieć, kiedy bracia Lachy się biją. On na wszystko odpowiadał — czekajmy póki nas nie zawołają: — Psia gadzina, czekaniem, oglądaniem się i targami gubił matkę Polskę, gubił dzieci kozaków.

Szwedzi nie z pyszna wynosili się z Polski; Karol Gustaw rad nierad, musiał myśleć o obronie swoich niemieckich zaborów; ze złością i z żalem żegnał się z nadzieją posiadania polskiej korony. Jeszcze po różnych miastach i zamkach, i w Warszawie i w Krakowie, stały szwedzkie załogi; jeszcze mu zdrajca Radziejowski dodawał otuchy, ale już on jego słowom nie wierzył, w czynie widział, że naród co prawemu Panu w rządy się oddał, jego wolą kierowany, ma siłę do zrzucenia obcego jarzma. Król Jegomość Polski z austryjackiem wojskiem pociągnął do Lwowa, z ztamtąd miał iść pod Kraków; obudwom zaś Hetmanom Korony i Panu Wojewodzie Ruskiemu kazał się złączyć i do ostatka mordować Rakocego.

W Międzyborzu, dziedzicznym grodzie Książąt Czartoryskich roztasował się obozem Rakocy; z nim krągło trzydzieści tysięcy żołnierstwa. Pod wodzą Kiminiego, Madziarska jazda na dzielnych koniach; pod wodzą Mikiczego Siedmiogrodzka

piechota wprawna i do strzelby i do chodu; a przytem dwadzieścia siedem armat spiżowych. Siedmiogrodzkie Książ stanęło w starodawnym zamku, i biedzi się jak tu przebyć srebrny Boh, co się pienistą falą sierdzi, i pomrukiem prędu grozi: wrogu, sprawię ci kąpiel, porniesz nurka, nie wybrniesz na wierzch. Aż tu podjazdy znać dały, że ciągną lackie wojska: jedno Halickim szlakiem, drugie gdzieś z Ukrainy od Chmielnika, a takie ich mnóstwo, a sama jazda.

Rakocemu ze strachu w piętach pocierpa; zimnym potem poci się czoło, woła — promów, promów a prędzej! — a tu ani rady, bo promów nie ma.

W czystem polu, o cwierć mili od Piławy, obadwa Lackie wojska rozbiły namioty jedno obok drugiego; przed obudwoma wojskami wieziono buńczuki i hetmańskie buławy, bo dwaj Hetmani ich wodzami; od Czerwono-rusi przyszło wojsko pod wodzą Jerzego Lubomirskiego Hetmana polnego; z Ukrainy przyprowadził pułki Wielki Hetman Koronny Stanisław Potocki. Natychmiast Hetman polny złożył cześć należną Hetmanowi Wielkiej buławy i o rozkazy pytał. Wielki Hetman cześcią za cześć podziękował i dał rozkazy, zwyczajnie wódz.

Słońce zaszło oddawna, mrok szary zapadł; księżyc w górę pomalutku po niebie się podsuwał, na pogodę zadarł różki i gwiazdy powyskakiwały na sklepienie, srebrnemi złocistemi oczkami umizgają się mrugami i połyskami, jakby przedrzeźniały czarnobrewe dziewice ziemi. W około lackiego obozu porozstawiały się czaty; podjazdy rozeszły się na wsze strony. Panowie obożni zrobili ład w obozie, każdemu pułkowi, każdej chorągwi stanowisko wytknęli, wszędzie pozawodzili straże, nakazali po żołniersku czuwać i paść konie.

Konie chrupoczą owies, posmykują siano; żołnierze, jedni śpią, drudzy jeść warzą a inni w koło posiadali, witali się i wzajem sobie bałakali, co to tam się działo w tej Siedmiogrodzkiej ziemi; co też to się stało tu na Ukrainie i na Podolu; czasem jeden stary bywalec rozprawiał o dziwnych przygodach wojny i miłostek obozowych, a reszta w milczeniu słuchała jak kościelnego kazania; czasem też wszyscy zagadali na przekrzyki, nieraz się poswarzyli, dłoniami na siebie zamierzyli i pogrozili sobie, jakby się za czuby mieli wziąść, ale zaraz tę kłótnię zapili gorzałeczką, zakąsili przypiekaną szperką i wracali do dobrej zgody, a nie odstępując od polskiego żołnierskiego obyczaju, zaczynali rozmowę od wojny, od Ojczyzny, od domów rodzinnych, od koni i tak dalej, a zawsze kończyli na dziewczynie i na miłostkach, czy młodzi, czy starzy; młodzi przechwalali się swojemi miłostkowemi dziełami, a starzy nad dawnemi wspomnieniami się rozwodzili: jak ci wysłużeni furmani, kiedy wozić nie mogą, to bicze

kręcą, tak i oni językiem bicze kręcili i wprawiali młodzież jak mają niemi klaskać.

O dobrą gonę w tył za lackim obozem, nad ruczajem w jarze był futor; na bagnie sterczało kilkadziesiąt olch strojnych w ciemne wianki i nie wielka liczba rozłożystych wierzb, a pomiędzy niemi krzewiła się gęsta łozina i wił się dziki chmiel. Przed chatą na przyźbie na przeciw pasieczyska, siedziało dwóch ludzi; przy świetle księżyca widać było na jednym szlachecki kubrak, na drugim koszula na wierzch na szarawary wyrzucona i pasem podpasana, zwyczajny strój starych chłopów na Rusi. Z siwej brody chłopa, z białych wąsów szlachcica widać, że nie dwa nie cztery i nie sześć dziesiątków lat już przeżyli na tym Bożym świecie; może oni zasieli te olchy, i kiedyś młodzieńcami jeszcze w wierzbną niedzielę zaśpiewawszy — ne ja biju, werba bije; za tyżdeń, wełygdeń; i pochłostawszy mołodyce i dziewice gałęziami święconej wierzby, zasadzili je na dowiedzenie się jak wysoko urośnie, jak się szeroko rozłoży ich szczęście. Przy szlachcicu stała strzelba gwintówka, u chłopa w ręku gruby kij, a u nóg jego spał czarny kundys. Rozmawiali, ale nie o wierzbach, nie o olchach, nie o wierżbnych niedzielach, choć to takie pogadanki o wspomnieniach zawsze miłe starym.

— Powiedzże mi Waść Mykito; co się z nim stało?

— Tażeż ja mówię Jegomości: jak mnie Imość zawołała do Karpowiec i powiedziała: Mykito, przechowaj tego panka, to ja go tu przyprowadził do futoru. Miałżeż ja miał z nim do roboty, bo to nawidzone licho, cały dzień jak pies bresze, a czort wie o czem; a do wszystkiego się miesza; on i pasiecznik i basztannik, i żołnierz, i muzykant, i strzelec, i rybak; wszystko chce robić a nic nie umie; istny cudak. U niego pana w głowie nie ma; już nieraz chciałem go wypędzić, ale to gość, i Imość kazała, żeby go przechować a Imość dobra niewiasta. Mykita wszystko dla nich zrobi; z resztą my z Jegomością kiedyś razem wojskowo służyli, wszak prawda Jegomość?

— Prawda Mykito, służyliśmy i dobrze i długo. Pamiętasz pod Kluzynem.

— Ba czemu nie. Nasz Pan, Boże świeć nad jego duszą, wtenczas był młodzieńki, rotmistrzem i starostą tylko; oj nabiliż my tam Moskala; a Pan Żołkiewski, to to był człowiek.

— Co człowiek, to człowiek; ale mówno mi Mykito o twoim czorcie.

— Już ja mówił Jegomości, że on nawiedzony; taki zuch że językiem wszystkich by przebił, a jak przyszło do rzeczy, to do gruby się schował. Śmiech ludziom powiedzieć: temu będzie ze cztery dni, tak to było w piątek rano a dziś mamy wtorek, przyjechał tu żyd kupiec za miodem, stary już parch, dobrego

szczutka ma dać, toby przewrócił się do góry nogami i zastygł. Nasz panek, jak zobaczył żyda, tak się przeląkł, że mu w oczach pozieleniało; dernął z chałupy i w konopie się schował; ot i zuch. Żyd pyta: co temu człowiekowi? ja jemu powiedział, to mój synek, to durny warjat. Żyd się zaśmiał, nic nie kupił i pojechał, mówiąc, po szabasie przyjadę; aż wieczorem wylazł nasz panek z konopi i dawaj krzyczeć: milion! milion! nie pamiętam jak dalej się klął, szelma żyd; ja mówię prawda, bo co żyd to szelma; aż tu on dawaj wydziwiać na Króla polskiego; że on na niego nasyła żyda, żeby go zamordować; ja jemu gadam: przystąpiło licho do ciebie panku, co tobie jest? a on jak swoje, tak swoje: że Jan Kazimierz nic nie wart, że trzeba jego z tronu zrzucić; wtenczas ja na niego po prawdzie: słuchaj no Waszeć, co Król to nie ty ani ja. Milcz i wiedz o tem, że jak jest Król Polski, to jest i Polska; a jak Króla nie będzie, to i Polski nie będzie.

— Dobrześ Waść powiedział Mykito, dobrze; tak zawsze mawiał nieboszczyk nasz Pan, nieraz gniewnie ofuknął tych, co Królewskiego Majestatu nie szanowali.

— Ta to Jegomość, tak chłopski rozum mówi: i najsilniejsze pszczoły szczezną, jak matki nie ma, a najlichsze podołają jak jest matka; tak i w Polsce, póki będziemy mieli Króla, póty nie przepadniemy. Ale słuchaj Jegomość: w sobotę przyszli Węgry, ta dawaj gospodarować po futorze; ja wiem co to żołnierz w czasie wojny, jak wrzodowi dogadzam Węgrom; a on panek do nich się wyźwierzył i chce się bić. Wziąłem za kołnierz i w chacie zamknąłem, a im powiadam, że to mój synek, durny, warjat. Węgrzy nabrali co chcieli i mogli i pojechali. Rudy panek krzyczał, wygadywał, a ja ruszałem ramionami, i myślałem sobie: to dziwne licho, żyda parcha boi się, a Węgrom w oczy skacze. Wczoraj już my zasłyszeli, że nasze Lachy idą, aż tu wieczorem przyjechał ten sam żyd; panek jak tylko go zobaczył, tak dernął, że już nie powrócił; żyd już nie o miód, ale o niego wypytywał; ja powiadam, że to mój synek, on nie wierzy; czerwońce dawał, żebym prawdę powiedział, obiecał jutro przyjechać, a mówił, że da miarkę złota jak mu pokażę mojego synka. Wyprawiłem żyda, zwyczajnie parcha — jedź precz psie, a więcej nie powracaj, a dałem natychmiast znać Imości, że coś to w tem jest nie jasnego.

— Żeby go tam można znaleść, to by to dobrze było.

— Nie turbuj się Jegomość, jutro go znajdziemy; pojedziemy od futora do futora, a weźmiemy o nim opyt; daleko nie zaszedł, on lepiej językiem biega jak kuterlawą nogą. —

Wtem kundys obudził się, nadstawił uszy, warknął, głucho poszczeknął i wstał na nogi. Mykita także wstał z miejsca,

słucha, ruszył ramionami, widać, nic nie słyszy, a pies ciągle warczy, odszedł kilka kroków od chałupy, na murawie się położył uchem do ziemi, poleżał trochę i wstał. Na psa skinął żeby nie warczał: — Jegomość od lackiego obozu wprost na futor jadą, ziemia tętni, musi być ich ze czterdziestu, ale stępą. —

Szlachcic pomyślał: — Wiesz Waszeć, nie chciałbym żeby mnie widzieli, schowaj mnie gdzie.

— W chacie nie można, znajdą; las taki że i kijem można przerzucić, ale czekajcie; Jegomość zna dawną krynicę pod olchą, otoż tam wody ani troszkę nie ma, a nie głęboka, i w boku jest wypłocz, tam i czort nie zobaczy; może to podjazd tędy przejeżdża, tylko stańcie Jegomość tam w olszynie, bo już nie daleko: — Pies dziawknął, spojrzał na Mykitę, i ucichł tuląc mu się pod nogi. —

Stary szlachcic rzekł — tylko cyt o tym czorcie — skrył się w olszynie, a Mykita wszedł do chaty; psa zostawił przededrzwiami.

Pies zaczął naszczekiwać; pobiegnie w pole i znowu wraca pod chatę, a coraz mocniej ujada, jakby czuł wilka, albo wściekłego psa, podedrzwi się ciśnie i skowycze. Już przed chałupą zatętniały kopyta końskie, i kilka głosów razem zawołało: — Hej człowiecze. —

Mykita wyszedł, przeciąga się, niby ze snu się obudził i patrzy. Kilkunastu było jeźdców, a na ich czele dwóch, musi być panów, bo konie dzielne, choć to przy księżycowem świetle nie dobrze widać, jednak i postawy i stroje po pańsku wyglądają. Między kupą jeźdców na niepoczesnej chebecie siedział żyd. Mykita nie kiep, poznał ramotę; pokłonił się nisko: — Sława Bogu, co Jaśni Panowie każą? —

Jeden z jeźdców gromkim a ostrym głosem zawołał: — Stary, a gdzie ten człowiek, co u ciebie był wczoraj z rana? —

— Jaki, Jasny Panie? tutaj dużo ludzi bywa i z Międzyborza i z sioł.

— Psie nie wykręcaj się, ten którego żyd u ciebie widział.

— Jaki żyd Jasny Panie, ja nie pamiętam.

— Becal naprzód: — Jeźdce pałaszami skropili żydowską szkapę, a szkapa wyginając boki, ogonem kiwając na obiedwie strony jak kropidłem, postąpiła z żydem kilka kroków naprzód: — Czy to tu?

— Jaśnie Wielmożny Panie., na cherym, ja go tu widział; żeby mi tak Bóg szczęście dał, i mojej Surze i moim bachurom; a on mówił, że to jego synek. —

Mykita niby się przypatrywał żydowi: — To mój synek durny; pomandrował gdzieś, a czort wie gdzie; jak przybędzie, to ja sam go Jasnym Panom przyprowadzę; ale naprzód mówię, że do wojska nie zdatny, bo wielki dureń.

— Chamie nie łżyj, bo cię obwiesić każę.

— Ta że to pańska wola, a ja przysięgam Bogu, że prawdę mówię.

— Słyszysz Becalu.

— No, on łże; co to ja jego nie znam, tamtego kuternogę? czy to on mi się dobrze we znaki nie dał? Rudy, kuterlawy, nu, ja jego tu dwa razy widział, tak jak teraz do Jasnego Pana mówię, i on przedemną uciekał — zachłysnął się: — Niech Jaśnie Wielmożny Pan każe tu szukać, on tu jest.

— Hej z koni! związać tego szelmę chama, a wszędzie szukać. —

Duchem jeźdce z koni skoczyli, dwóch porwało Mykitę, on się nie bronił: — Panowie żołnierze, ja nie uciekam, i ja kiedyś był żołnierz; żyd bresze jak pies, szukajcie, a zobaczycie czyja prawda? — Jednak oni mu ręce wiązali, a drudzy wpadli do chaty, do stebnika, i po za szopy. Żyd siedział na koniu, bał się zleść.

Obadwa panowie konie oddali jednemu z jeźdców, a sami poszli w róg pasieczyska pod olszynę, i tam z sobą rozmawiali.

— Wiesz Waszmość, wszystko dobrze idzie, jesteśmy już na tropie, żeby się tylko nam nie wymknął.

— Nie bój się Mości Wojewodo, tak się tam nasi obstawili na około futora, że choć to noc, to i mysz się tamtędy nie prześliźnie, złapiemy psa.

— Dałby to Pan Bóg, wszystko by się skończyło. Żona mi pisze z drogi, że już wyjechały z Częstochowy. Ja jutro albo pojutrze wyjadę; tam wszystko zrobiemy, czy to dobrą wolą, czy musem. Wszak Waszmość Panu wszystko jedno?

— Wszystko mi jedno u djabła, bylem ja miał Hetmanównę a ty Mości Wojewodo Lanckoronę: — Ledwo skończył mowę, huknął strzał z olszyny. —

Wojewoda Wołyński w bok odskoczył: — Wszelki duch chwali Pana Boga, po co Waćpan wymienił imię djabła? —

Gnoiński schwycił ręką za czoło: — To nic, hej tu do mnie! —

Żyd wrzasnął: — Aj waj! ja zabity — i jak długi zsunął się ze szkapy na ziemię.

Na głos Gnoińskiego przyskoczyli jeźdce; wtem po za futorem kilka strzałów jeden po drugim huknęło.

Gnoiński otarł czoło, spojrzał: — Na koń! — i sam do konia skoczył. W cwał wybiegli za futor, aż tam nic.

Jeźdce porozstawiani do koła, myśleli, że nieprzyjaciel w futorze, i na ściągnięcie posiłku z obozu kilka razy na wiatr wypalili. Gnoiński się gniewał: — Błazny, baba stęknęła na piecu, a oni rejwachu narobili, to mi wojacy! stać tu i pilno-

wać — na drugich ręką skinął: — Za mną! i koniem nazad ruszył.

Wojewoda podbiegł: — Mościpanie Starosto, czyś ranny? —

— Szelma, dobrze strzela, w sam łys wymierzył, kula zestrychowała po czole. —

Wojewoda spojrzał: — Panie Samuelu, krew ci z czoła płynie.

— To nic, czerep cały — dłonią w czoło stuknął, a ostrogami konia uderzył. —

Pod chałupą siedział Mykita związany, a kundys odgryzał sznury; żyd jak bez duszy leżał na ziemi, a chebeta obróciła się zadem do niego i skubała trawę. Gnoiński koniem przyskoczył do Mykity, o mało go nie stratował, i dobytą szablą groził: — Szelmo chamie, to twój synek, poczekaj huncwocie, powieszę. —

Kundys do konia się rzucił, a Mykita schylił głowę: — Ta że to pańska wola, przysięgam Bogu że ja nic nie wiem, niech mi tak Pan Bóg do jutra dożyć da; może jaki Węgier wystrzelił, toć oni przybiegają, a może i czort, bo tu w olszynie są czorty. —

Wojewoda przybliżył się i słuchał. Gnoiński chciał pałaszem płatnąć Mykitę, ale Wojewoda za rękę go schwycił: — Stój Panie Samuelu, jak go zarąbiesz, to się nic nie dowiemy.

Gnoiński mruknął: — Szelma cham, jutro powiesić każę — i odwrócił konia.

Jeźdce wzięli się do żyda, podnoszą: — Aj gwałt, ja zabity, zastrzelony! a Sura, a bachury, aj gwałt! ja nie żywy. —

— Co ci jest? mów, gdzieś ranny?

— Nu, ja zabity, wszędzie, po całem ciele. Aj gwałt! —

Panowie szeregowi zaczęli go rozbierać; jak wrzaśnie żyd — aj gwałt tylko trzosa nie tykaj; ja zabity, nie żywy — i wyrwał się im z rąk, wyskoczył z pomiędzy nich, jakby go ukropem oparzyli; szeregowi w śmiech, nawet Gnoiński trochę się uśmiechnął.

— Gdzież ty ranny Becalu?

— Nu Jaśnie Wielmożny Panie, ja tego nie wiem, ale pewnie wszędzie zabity; tak głośno strzeliło, aj waj!

— Et daj pokój, żydowskie tchórzysko — obrócił się do Wojewody — do ranku przestojemy, a w dzień przepatrzemy wszystko; w nocy nie damy sobie rady do djabła. —

Wojewoda się przeżegnał krzyżem świętym: — Na miłość Boga Panie Samuelu, nie szafuj tak imieniem złego ducha, bo znowu jakieś licho sprowadziemy. —

Jeszcze godziny nie upłynęło, księżyc zniknął z niebiosów, tylko gwiazdki błyszczą, kiedy zatętniały mnogie kopyta konnego hufcu, jeden jeździec przodem przybiegł: — To Pan Oboźny Wielkiego Hetmana: — Na to doniesienie Panu Wo-

jewodzie Wołyńskiemu coś się zrobiło nie bardzo w smak. Samuel Gnoiński poszedł do Oboźnego i krótko się rozmówili jak się rzecz stała.

Krzysztof Wąsowicz był owym Oboźnym, dłonią wąs musnął: — Myślałem Mosanie że tu całe wojsko Rakocego się zwaliło, a to widzę na wróble strzelano. Waszmość Mości Topczewski, kopnij co tchu do obozu, i daj wiedzieć że to nic: — Towarzysz zwrócił konia i z kopyta w cwał pomknął. Wąsowicz zlazł z konia — a dajcie mi tu światła, niechno ja zobaczę tego czarownika co ma djabłów na swoje zawołanie.

Kiedy zapalono świecę w chacie i Wąsowicz zbliżył się do Mykity; ten zawołał: — Jegomość Pan Pułkownik Wąsowicz.

— A to ty bestyja Mykita Bezwerchy? Dobrze to mówią: góra z górą się nie zejdzie, a człowiek z człowiekiem zawsze. Cożeś Mosanie tu nabroił?

— Serdeczny ojcze, przysięgam Bogu ja nic nie winien, nie wiem czego ci panowie do mnie się przyczepili, chcą powiesić; to ja powiadam, cóż robić: raz matka rodziła, raz ginąć; ale dalibóg że to nie będzie sprawiedliwie.

— Dajcie mu pokój, to stara bestja, najtęższy hetmański kozak, poczciwe człowieczysko. Nie od dziś go znam, ręczę jak za siebie. Mospanie rozwiązać go. —

Kilku towarzyszy Pana Oboźnego rzuciło się do rozwiązywania: — Gnoiński zadrżał ze złości: — Ani mi go tknij — i skoczył ku nim.

Wąsowicz musnął wąsa: — Rozwiązywać! Mosanie Starosto Hrubieszowski, nie wadźmy się o takie rzeczy. Waszmość rycerski człowiek, ja Waścia szanuję, choć pokrewiłeś, to się poprawisz; teraz w zgodzie służmy Ojczyźnie i majestatowi Króla Pana naszego.

— Na to nie pozwolę, powiesić muszę tego chama. Kto mi śmie tego wzbronić?

— Ja, Krzysztof Wąsowicz, Oboźny Pana Wielkiego Hetmana Koronnego. Ja tu przedstawiam samego Pana Hetmana. Starszy jestem od Waszmości, a Waszmość, wiesz, że w wojsku starszeństwo jedno z drugiem w parze nie chodzi, tylko jedno pod drugiem być musi, rozkazywać i słuchać a sejmikować nie.

— Co to? ja z Waćpanem się rozprawię, nauczę że tu odemnie starszych nie masz.

— Mospanie Hrubieszowski proszę sobie nie pozwalać; po wojnie się rozprawiemy, a teraz słuchać, bo kulą w łeb i do piechoty.

— Kroćset tysięcy djabłów, za mną panowie bracia — i szabli dobywał, ale żaden z jego jeźdców ani kroku nie zrobił, nawet Wojewoda Wołyński z miejsca nie ruszył. —

Wąsowicz popatrzył na niego: — Mospanie opamiętaj się, bo każę rozrąbać, będzie źle. —

— Krocset tysięcy djabłów — z dobytą szablą chciał się cisnąć w oczy Wąsowiczowi, ale jakby paraliżem tknięty padł na ziemię, widać, że go zmogły rana na czole i gniew. —

Wąsowicz zawołał: — Ratować Pana Starostę, zanieśmy go do chaty — i sam pomógł towarzyszom zanieść do chałupy Gnoińskiego charczącego i zgrzytającego zębami.

Wyszedł ztamtąd i rzekł do obecnych — to przejdzie — a potem długo rozmawiał na boku z Mykitą już wolnym, zawołał na towarzysza: — Mosanie Trypolski, każ Waszmość wziąść tego żyda na sznur, to szpieg Rakocego.

Wojewoda Wołyński przystąpił: — Mościpanie Oboźny, to znaczny kupiec, mój faktor, targnięcie się na jego osobę zrodzi między nami sprawę. —

— Mospanie Wojewodo, już jedną sprawę między nami zawiesiliśmy na kołeczku, zawieśmyż tam i drugą, a teraz Waszmość Pan pozwól mnie się rządzić jak mnie się zdaje; ja za wszystko odpowiadam a nikomu wtrącać się nie dam — i obrócił się tyłem. —

Wojewoda Wołyński nie śmiał mu w oczy zachodzić i zamilkł. Żyda brano na postronek, a on po koziemu wrzeszczał i chlipał ze strachu: — Aj waj! ja zabity, ja powieszony. Panie Wojewodzie, Panie Staroście, ratujcie, nu ten szelma rudy! a moja Sura, a moje bachury, aj waj! aj waj!

Niebawem dzień zajaśniał, szukano po całej olszynie, tam nie było duszy ludzkiej. Sam Wąsowicz do krynicy się zbliżył, kamyszki rzucał — tam chyba djabeł siedzi, a nie człowiek, a z djabłami nie nasza rzecz się wdawać — potem powrócono do obozu, żyda jeden z szeregowych wiódł na postronku jak barana do rzeźni; Mykita nie chciał na żydowską szkapę siadać, mówiąc: — Hetmańskiemu kozakowi lepiej na kiju jechać, jak na parszywej chebecie, i to jeszcze z pod parcha. —

W parę godzin później Gnoiński przyszedł do siebie; dobrze mu krwi upłynęło z nosa, ranę czoła przewiązano zmoczoną chustą; trochę się ochłodził, wstał, siadł na konia, i wracał z Wojewodą, a w drodze pomrukiwał: — Krocset tysięcy djabłów! to mnie djabeł opętał, a byłbym temu staremu łeb na dwoje rozpłatał; to Czarnieczuk. Nie ręczę za to, czy nie umyślnie wypuścił tego rudego hycla, co mało mnie nie posłał na tamten świat.

— O nie, ja sam patrzałem; wszędzie pod krzakami, po drzewach, po wszystkich dziurach szukano, ale nigdzie nie znaleziono. Musiał wczoraj jeszcze w czasie strzałów wymknąć się.

— Oj to te błazny nasze wszystkiego narobiły. Dam ja im

za to; ależ ten stary na swoim postanowił, będzie przed nami nosa do góry zadzierał — to mi djable na sercu cięży.

— Mniejsza o to, ale tu żeby wyrwać Becala i chłopa z jego rąk, a może się uda naprawić złe; ja dziś pojadę do Lanckorony, trzeba spieszniej rzeczy prowadzić, a Waszmości Panie Samuelu dam wiedzieć.

— Hetman polny dla nas wszystko zrobi. Mości Wojewodo jedź, to nasza wspólna potrzeba. Stary ćwik nie przełknie łakoci jakie ja mu dam. Nie traćmy czasu — puścili konie w lekkie skoki, a ich jeźdce także za nimi w skoki posunęli. —

W Lackim obozie już się naradzali obaj Hetmani, kiedy przybył Pan Oboźny, opowiedział im rzecz krótko i dobitnie, żyda Becala kazał pod swój namiot zaprowadzić, Mykitę gościnnie uraczyć; sam przemienił konia, objeżdżał obóz, czaty: tu pochwalił porządek, czujność, tam naganił ospałość, nieład i dawał rozkazy, a wojacy między sobą gadali: — stary to ćwik, ale krzepki, nie leniwy; tu nic jego ani ucha, ani oka nie ujdzie, tak jak na polu bitwy mało kto wyśliznie się z pod jego szabli; taki Oboźny, to perła w obozie.

Przyjechali Pan Wojewoda Wołyński, i Pan Starosta Hrubieszowski; długo rozmawiali z Hetmanem polnym, ten ich prosił, zaklinał, żeby zaniechali zwad i kłótni osobistych, wtenczas kiedy idzie o sprawę Ojczyzny; nareszcie uspokoił trochę obiecaniem, że wstawi się do Wielkiego Hetmana, i całą sprawę weźmie na siebie; a przytem radził, aby Pan Wojewoda Wołyński, jak tylko układy z Rakocym się rozpoczną, co mu się zdaje że nastąpi, jechał czem prędzej do Lanckorony i tam rzecz kończył. Samuel Gnoiński sierdził się, pomrukiwał, w djabła łajał starego Wąsowicza, ale przyrzekł zostawić rozprawę z nim na później. To wnuk Zborowskiego, na jego słowie szlacheckiem można polegać.

Przed południem czerwono-ruskim szlakiem przyciągnęło czterdzieści znaków litewskiej jazdy, pod wodzą Pawła Sapiehy Wileńskiego Wojewody i Połubińskiego Mścisławskiego Starosty. O samem południu stepem od Hreczanej przybiegła konnica Pana Wojewody Ruskiego, kozacy Tetery, chorągwie lekkiej jazdy Stępkowskiego. Pan Wojewoda Ruski i jego biały arabczyk całkiem kurzem opyleni; i pod konnicą konie dobrze zgrzane, bo ona od samego Pińczowa dniem i nocą siedziała na karku Rakocemu, i teraz parła i rozbijała tylne straże jego wojsk.

Witali się wojacy i wodzowie się witali; ludzie popijali i żywili się, konie karmiono, a pod namiotem Wielkiego Hetmana zebrała się starszyzna na wojenną radę. Obadwa Hetmani obliczali wojsko, że tylko dziesięć tysięcy jazdy mają, i to na pomęczonych koniach, że Rakocy ma trzydzieści tysięcy

wprawnego do boju i dzielnego ludu; radzili, żeby zatrzymać się chwilkę, czy Rakocy nie opamięta się i nie przyśle posłów z żądaniem układów.

Stefan Czarniecki przez cały czas tych gadań kręcił brodę, ale milczał, a kiedy przyszła na niego kolej, powstał.

— Wasza wola Jaśnie Wielmożni Mości Panowie Hetmani. Król Jegomość Pan nasz miłościwy wam władzę powierzył, nam jej słuchać, bo ona pochodzi od Króla Pana naszego; ale kiedy chcecie mego zdania, ono jest takie: nie słowem obliczać nieprzyjacielskie wojsko, ale spisą i pałaszem; nie czekać tu, ale iść i bić. On ucieka, my gonim; polak nie ustaje, nie morduje się, kiedy walczy za Ojczyznę, za Majestat Królewskiego tronu. Wierzcie mi Mościpanowie bracia, że siądźmy na koń i idźmy zaraz, to albo pobijemy wroga na miazgę, albo do poddania się zmusimy. —

Paweł Sapieha, Jan Sobieski, a za niemi reszta starszyzny poparła mowę Stefana Czarnieckiego. Stary Wąsowicz dodał: — To tak trzeba, nie stójmy, nie liczmy, nie czekajmy, a chodźmy i bijmy, dla całości Ojczyzny, dla chwały i potęgi Króla Jegomości, ze krwi Jagiellona — i mruknął pomiędzy zębami — choć na nieszczęście jeszcze bez wąsów: — Nagle usta dłonią zatknął i szczęściem nikt tego nie dosłyszał, a on pomyślał: cnota nad cnotami, trzymać język za zębami; kto wiele gada, to się przegada.

Panowie Hetmani, rozważni ludzie, doświadczeni, ale i w nich kipi warem krew lacka; nie spierali się, tylko od razu przystali na to co powiedział Pan Wojewoda Ruski. Wydali rozkazy, otrąbiono; zakrzyczano na koń, na koń, i całe wojsko ruszyło w pochód.

Ku nizowi, do Bohu wiatr wieje, kurzawą powiewa. Na cztery części podzieliło się lackie wojsko i pochodem idzie; prawe skrzydło wiedzie Jan Sobieski i Krzysztof Wąsowicz; lewe Sapieha z Połubińskim; środkowi obadwa Hetmani przywodzą. Po przodzie, po przed wojskiem szeroką stępą rusza konnica Pana Wojewody Ruskiego; po przed całą konnicę wysunęli się Semeny Tetery, przy powodyrach Wojewoda Ruski w parze jechał z Teterą.

Słońce jasne, niebo czyste. Rakocego podjazdy i przednie czaty w cwał koni ku Bohowi zmykają, a Pan Wojewoda Ruski gonić nie każe; choć pod kozakami konie rwą się naprzód, choć kozacy za spisy schwytają, sercem i duszą do boju skaczą. Ale Bóg to święty wie, co Stefan Czarniecki rozmyśla, układa; o tem nie wiedzą ani sotnik rotmistrze, ani Stępkowski, ani Tetera, tylko Bóg święty i on.

Daleko, daleko, jak błędny blask, pobłyskuje kopuła Międzyborskiego kościoła. Daleko, daleko, niby przy zetknięciu się obłoków z ziemią, siwieją wieże i baszty zamku Książąt

Czartoryskich. Wtem kilkunastu jeźdców ukazało się na szlaku od Międzyborza, jadą wprost na spotycz lackiego wojska; a jadą spiesznie to kłusem, to skokami; przedni jeździec chorągwią białą w powietrzu wywija, obok niego trębacz w trąbkę potrąbuje, widać z proźbą o zgodę. Wojewoda Ruski kazał stanąć kozaczemu pułkowi. Wysłannicy się zbliżyli, jeden na dzielnym koniu w bogatą husarkę przybrany naprzód wyjechał, zdjął czapkę, zsiadł z konia i jak w dym podszedł do Pana Wojewody Ruskiego; poznał że to wódz, pokłonił się, ręką dotknął buta i strzemienia. — Jaśnie Wielmożny Panie wodzu, mój Pan, Książe Siedmiogrodu, mnie Hrabiego Weseliniego wysyła do ciebie, z przeproszeniem za najście granic Polski, z obietnicą ugody i wynagrodzenia poniesionych krzywd, byleś Jaśnie Wielmożny Panie czas jakiś był cierpliwy, i na nasze wojska nie uderzał.

Stefan Czarniecki uchylił trochę czapki, podkręcił wąsa: — Jeżeli żądania wasze są szczere, niechajże Książe Wasze nie myśli o ucieczce, ale czeka na miejscu na przybycie nasze; tam stanowić będziemy o pokoju i o krzywdzie, któreśmy ponieśli, mając oręż w ręku.

— Spieszę odnieść twoją odpowiedź, Jaśnie Wielmożny Panie, bo mój Pan zabiera się do przeprawy, już nazbierano promów.

— Niech czeka, bo u nas promami konie, a i za Bohem go dostaniemy. —

Hrabia Wesselini pożegnał, dosiadł konia, i cwalem popędził do miasta, a orszak jego za nim.

Wojewoda Ruski kazał iść i wojsko szło naprzód. Nie daleko od Międzyborza, bo już jak na dłoni widać miasto i kościół i zamek, i na błoni ku Bohowi oboz Rakocego, nowe poselstwo przybiegło; to sam Mikezy, Kanclerz i dowódca piechoty Siedmiogrodzkiego Książęcia. Stanął koniem, zaraz uniżenie witał Pana Wojewodę Ruskiego i tak przemówił: Jaśnie Wielmożny Panie, nie przelewaj krwi chrześcjańskiej. Pan mój chce zgody, dobrej przyjaźni z Królem Jegomością i Rzecząpospolitą polską. Co dotąd zdarzyło mi się słyszeć o męztwie i dzielności twojej, Jaśnie Wielmożny i Miłościwy Panie, tego dziś w skutku doznaję. Jeszcze raz dopraszam się imieniem Księcia Pana mego, abyś nie dozwolił swojemu wojsku przelewać krwi chrześcjańskiej, i przynajmniej przez jedną godzinę wstrzymał w zapędzie swoich, aż nastąpi pokój, który przyrzekam z przysięgą — założył palec jednej ręki na palce drugiej, i ten krzyż pocałował; a tu już nadciągały wszystkie wojska Koronne i Litewskie.

Stefan Czarniecki wąsa pogładził: — A czy Waszecie i wasz Książe gotowi jesteście wynagrodzić krzywdy zadane polskiemu narodowi?

— A jakimże sposobem, Jaśnie Wielmożny miłościwy Panie?

— Krwią i złotem — i ręką musnął się po brodzie. —

Ten ruch ręki, ta groźna postawa Czarnieckiego na chwilę obudziły godność w siedmiogrodzkim kanclerzu; nakrył głowę: — Jaśnie Wielmożny miłościwy Panie, nie damy złota, póki ręce nasze władać mogą orężem.

Tu Wojewoda Ruski pokręcił brodę: — Cóż to, wy myślicie że my nie wiemy w jakim stanie są wasze rzeczy? Nie macie ochoty nagrodzić za krzywdy, zdzierstwa, coście narobili w naszym kraju? — nam nie braknie na sercu, i na dowodach męztwa, za ojczyznę, za króla i za dostatki, z którycheście nas złupili.

Zatrwożył się Mikezy: — Jaśnie Wielmożny miłościwy Panie, upraszam łaski jego, abym mógł się widzieć z Panem Hetmanem Koronnym. —

Wojewoda Ruski wskazał ręką jednemu z kozaków: — Wasze zaprowadź do Wielkiego Hetmana — potem rozglądnął po nieprzyjacielskim obozie, na Stępkowskiego ręką skinął: — Trębacze niech do boju trąbią, za mną! — I ze swoją konnicą ruszył w kłus na prawe skrzydło siedmiogrodzkiego obozu, gdzie stała węgierska jazda. Połubiński z litewskiemi znakami za Czarnieckim posunął. Ziemia zajęczała i tętni, rozgłos po powietrzu huczy pokrzykami wojny, brzęczy szczękiem broni.

Nadbiegł Mikołaj Sieniawski, Oboźny Pana Hetmana Polnego, zapytał czemu bez opowiedzenia się Hetmanom Pan Wojewoda Ruski na nieprzyjaciela uderzył.

Stefan Czarniecki spojrzał mu w oczy, pokręcił brodę: — Czy Waszmość z rozkazem Hetmana do mnie przyjechałeś? —

— Nie, Mości Wojewodo Ruski, ale Hetmanów i nas wszystkich to zastanawia, że wtenczas, kiedy poseł Księcia Siedmiogrodskiego o pokój prosi, Waszmość Pan na nieprzyjaciela biegniesz.

— Mam zwyczaj starać się zawsze o to, abym nie był pośledni między tymi, którzy chcą się bić z nieprzyjacielem — kazał się rozwijać wojsku i szykować do natarcia. —

Wyjechał Kimini z przedniejszymi panami węgierskiemi, z koni pozsiadali; z odkrytemi głowami na pieszo, błagają Pana Wojewodę Ruskiego o chwilkę cierpliwości, przysięgając, że o przeprawie ani myślą, proszą, aby kazał zwiedzić ich obóz komu ze swoich. Stefan Czarniecki dwie godzin dał czasu, wysłał Stępkowskiego do węgierskiego obozu, a sam ciągle brodę pokręca. Towarzysze i kozacy pochylili spisy nad uszy końskie, szeregowce szabel dobyli; czekają tylko na słowo, na skinienie, żeby końmi pomknąć, zakrzyczeć:

— Sława Bogu! — hura! — kłuć, rąbać i tratować wroga.

Aż tu zadyszanym dereszem przyskakał Pan Krzysztof Wąsowicz; staremu wojakowi nie wesoło z oczów patrzy, nie tak, jak to zawsze u niego bywa w chwili kiedy mają się bić, wąz mu nawet postrzępił się; osadził konia, potrząsł głową: — Mościpanie Wojewodo, Jaśnie Wielmożny Hetman Koronny kazał boju nie rozpoczynać, wracać nazad i stawać obozem — i ciężko westchnął, jakby mu się w piersiach co urwało, i łzami zaszło oko starego.

Wojewoda Ruski tak targnął brodę, jakby ją chciał het z korzeniem wyrwać, kazał trębaczom trąbić odwrot, i z wojskiem wracał nazad, w milczeniu, sierdzisto, ponuro.

W obozie wręcz powiedział Panom Hetmanom: — Waszmość Panowie macie władzę od Króla Pana naszego, naszą powinnością was słuchać, usłuchałem; ale pomnijcie, nie moja wina, że zwycięztwo z rąk wypuszczamy, pozwalamy wrogowi, aby się wymknął i nas oszukał. Nie moja wina Mościpanowie Hetmani ale wasza, ja czekam rozkazów — i odszedł.

Darmo ojciec Dąbrowski chciał go uspokoić. On na słowa jego nie zważał, zły, chodził po polu i rady sobie dać nie mógł; potem na stronie rozmawiał z Teterą; u Starosty Bolestraszyckiego zaiskrzył się kozaczy zapał na twarzy, postawa choć i tak dziarska jeszcze zapanoszała, nawet Pan Wojewoda Ruski zdawało się że parę razy do wąsa dotknął.

W godzinę poźniej Marcin Lanckoroński z nielicznym poczetem odjechał z obozu, i szedł czerwono-ruskim szlakiem na powrót ku Lwowowi, a Semen Tetera coś krótko pogadał z Wąsowiczem, uściskali się, dosiadł skarogniadego i pokłusował, w step, z ujściem Bohu, a za nim tylko bieżał wierny Sak Bohodarenko, i nikt więcej.

Panowie Hetmani prosili Pana Wojewody Ruskiego, aby im pomógł w postanowieniu warunków do układu z Rakocym, on nie chciał; kazali w moc władzy sobie danej przez Króla Jegomości: on poszedł, warunki postanowił i sam całą ugodę zawarł. Na tem stanęło, żeby Książe Siedmiogrodu wysłał posłów do Króla Jegomości i do Rzeczypospolitej, z pokornem i uniżonem przeproszeniem za swoją lekkomyślność i przewinienia ciężkie. Żeby wojsku polskiemu wyliczył milion złotych polskich, a wodzom dwakroćstotysięcy takichże złotych; wszystkie łupy powrócił, odstąpił przymierza z nieprzyjaciołmi Króla i Rzeczypospolitej polskiej, i kazał ustąpić swoim załogom z Krakowa i Brześcia Litewskiego.

Po podpisie i zaprzysiężeniu tej umowy, Panowie Hetmani pojechali w odwiedziny do Księcia Siedmiogrodzkiego. Stefan Czarniecki nie chciał, powiadając: — Nie mogę przenieść na sobie, abym patrzał spokojną twarzą na zniszczyciela tylu kościołów i pokłonił się zbójcy krwią ziomków zbroczonemu — i coś z cicha Lubomirskiemu powiedział.

Hetmani powrócili, Lubomirski rzekł do Stefana Czarnieckiego — przestrzegłem, niech się dzieje co chce, nie nasza wina.

Rakocy przeszedł za Boh ze swojem trzydziesto tysiącznem żołdactwem. Lackie wojsko stanęło na krótki wypoczynek w Międzyborzu, tylko Paweł Sapieha z litewską jazdą poszedł w tropy za Rakocym, aby go przeprowadzić aż do granicy; czy to przez uprzejmość Hetmana polnego, czy to przez niewiarę, jaką Wojewoda żywił zawsze ku wszystkim wrogom Polski.

Dziewiątego dnia doszła wieść przez gońców, że pod Kołomyją Tatarowie Sułtana Gałgi i kozacy Zielenieckiego i Popeńka dawni sprzymierzeni Rakocego, wpadli na Siedmiogrodzki obóz, wojsko pobili i rozpędzili, sprzęty, broń, konie, cały obóz do szczętu zabrali. Sam Książe Siedmiogrodzki ledwie w siedemset koni do swego panstwa uciekł i to pod opieką straży dodanej przez Sapiehę. Dziesiątego dnia późnym wieczorem przyjechał Tetera, a za nim wierny Sak Bohodarenko. Skarodniady koń dobrze podkasany, musiał się zhasać, u Saka na twarzy dwa szramy, niby dwa pocałunki szabli. Wojewoda Ruski jak rodzoniuteńkiego syna witał Starostę Bolestraszyckiego, długo z nim rozmawiał, a ciągle wąsa pokręcał.

Nazajutrz z rana trzeciego Sierpnia, Pan Wojewoda Ruski poszedł z swoją konnicą do Lwowa, powiadając; nam nie stać, nie próżnować, póki choć jeden wróg znachodzi się na ziemi polskiej, póki Król Jegomość nie będzie jedynym panem w swojem królestwie. Starosto Bolestraszycki na wronego konia się przesiadł, skarogniadego kazał luzem prowadzić, a wielce radował się sercem i myślą, że zobaczy swoje kochanie, czarnobrewą dziewicę.

Samuel Gnoiński męczył się i dręczył jak pies na uwięzi; dał słowo Hetmanowi polnemu, że w żadne zwady się nie wda, że żadnego sporu nie rozpocznie. A tu jakby na przekorę dumnemu szlachcicowi, stary Wąsowicz tak dobrze adwokatował przed Panami Hetmanami, że uzyskał wolność powieszenia żyda Becala; bez wielkich zachodów w czystem polu szubienicę wystawiono; żyd w dziwne głosy wrzeszczał: — Aj waj; aj waj — i choć stary, jeszcze dyndał na powrozie: — Żyd przewrzeszczał, przedyndał, ludzie się rozeszli; od czasu do czasu drzewce szubienicy skrzypiało, w dzień kruki kracząc

zlatywały się nad szubienicą, w nocy wilcy z wyciem podbiegały, niby płaczki pogrobowe; to po Becalowe ciało, a psią żydowską duszę djabli już musieli zataszczyć gdzieś het na dno piekieł w najsmolniejszy ogień.

Kiedy tak Międzyborzem obozowało lackie wojsko obudwóch Hetmanów, w Karpowcach nie wielkiej wioseczce, w małym dworku, który podobnie na dwór pański zarywał, jak bronowłoka na rycerskiego konia, w izbie wylepionej zewnątrz białuteńką gliną, o podłodze dębowej czysto wyszorowanej, i potrzęsionej tatarskiem zielem, żeby się pchły i robactwo nie mnożyły, pod oknem siedziała zgrzybiała już niewiasta w białym płóciennym pudermanie; na głowie wysoki czepiec, za pasem wiązka kluczów rozmaitej wielkości i kształtu, a na szyi szkaplerz i na paciórkach mnóstwo obrazków świętych. Naprzeciwko niej siedział mężczyzna już w wieku ale jeszcze rydzowaty, dostatnio po staropolsku przybrany. Po izbie chodziły dwie synogarlice i dziobały po zielu; czasem z pod piecowych dziur wyskoczył królik, podniósł się przedniemi łapkami, pyszczek umył, skręcił i nazad szustnął w dziurę; z alkierza wyjrzała kura kwoka, kudkudacze, i grono piskląt z piskiem do niej się zbiegło: i kotka ulubiona miauczała, i gołąb garłacz brukał, i wysłużony gończak pod stołem chrapał; czyżyk, makolągwa, szczygieł i sikorka latały po pod belkami płóciennego sufita i czepiały się po obrazach ŚŚ. Pańskich zawieszonych na ścianie, a stara Imość i niedzisiejszy Jegomość nic na to nie zważali, tylko rozmawiali z sobą.

— Wiesz Wasani Dobrodziejka, że już mnie swierżbi język wszystko powiedzieć, a to nie dobrze. Pamiętam w Połucku u ojców Jezuitów, kańczugiem nas nauczano: choćby cię smażono, pieczono w smole, nie mów co się dzieje w szkole; a teraz tem bardziej, zwłaszcza, że to tajemnica o pańskiem dziecięciu — potrząsł głową.

— Święta Urszulo módl się za nami. Dalibóg, że nie pokusa ciekawości mnie wiedzie; tak mi Boże odpuść wszystkie grzechy moje, jak ja słówka nie powiem z tego co usłyszę od Jegomości Pana Starosty Dobrodzieja.

— Słuchaj tedy Wasani Dobrodziejka. Wiesz o tem, że Służków rodzina, to prawdziwy i jeden z najdroższych klejnotów szlacheckich Litwy i Korony.

— Święty Stanisławie, opiekunie Polski, wstaw się za nami! Panowie Służkowie tem są na Litwie, czem byli Lanckorońscy za życia nieboszczyka Hetmana w Koronie; bo teraz — westchnęła, nawet łzy jej stanęły w oczach. — Święty Pietrze Apostole, wpuść do nieba duszę świętej pamięci nieboszczyka Hetmana. Pamiętam jak raz wróciwszy z Warszawy, mówił mi: Rádzikuniu, Pan Służka Woje-

woda Trocki, to wielki Pan, chciałbym jednego z moich synów ożenić z jego córką; wtenczas jeszcze trzech Hetmanowiczów żyli, a teraz — mów Jegomość Panie Starosto Horodelski.

— Otóż to Pan Wojewoda Trocki był bardzo wielki a wielki Pan. Ze wszech stron Polski a nawet z zagranicy, z Włoch i Francji; Boże zachowaj z Niemiec, zjeżdżali się panowie w konkury do Panny Elżbiety, bo też to była Panna i urodziwa i posażna, i teraz jeszcze piękna pani, ale — tu przygryzł sobie język — ona sobie podobała tego Samuela Gnoińskiego, podówczas jeszcze młokosa. Nieboszczyk Wojewoda ani słyszeć o tem nie chciał; ciągle powtarzał: nie wydam córki za smarkacza, precz, niech jedzie z mego domu. Pan Gnoiński rąbał się z Wojewodzicem, chciał się rąbać z Wojewodą, jednak musiał wyjechać; ale już to było zapóźno, miłostki opętały serce Panny Wojewodzianki bardzo a bardzo.

— Święta Marjo Panna Boża Rodzicielko, ulituj się nad nami; już by u nas tego nie było, a tak mi Boże dopomoż, że ja sama wychowałam moją Joasię. Co to za nieszczęście w pańskim domie miłostki.

— Uspokój się Waćpani Dobrodziejka, nic tam złego nie była, tylko się zakochała; a nieboszczyk Wojewoda zapobiegając dalszym rzeczom, wydał Pannę Elżbietę za Pana Kanclerza Kazanowskiego. Złe to małżeństwo, gdzie Imość fertyczna, młoda, cały dzień radaby hasać w tańcu, na miejscu ani chwilki nie posiedzi, tak ją tam wesołość i krew burzy; a Jegomość stary, pedogrzysta, ani do tańca ani do rożańca, bo nogami ledwie powłacza i to jak nie swojemi, a ciągle kawęczenie i mówić i myśleć przeszkadza. W takiem małżeństwie bez ale się nie obejdzie; to też trzeba prawdę powiedzieć, choć to Służkówna, córka mojego Pana i Dobrodzieja, nieboszczyk Kazanowski nie bardzo był szczęśliwy w małżeństwie.

— Jezu, Marjo, Józefie, ratujcie nas od złego; co też ja słyszę?

— Ja to tylko Wasani mówię; przed wszystkimi i ręką i językiem bronię i bronić będę sławy i cnoty Panny Elżbiety. Z resztą ja nie wierzę, żeby tam złego co było; nie mogli się z sobą zgodzić; a to nie wielka zbrodnia.

— Święty Izydorze Biskupie, żadna Lanckorońska takich rzeczy się nie dopuściła; nawet Pani Wojewodzina Wołyńska, niech Bóg przebaczy jej mężowi; ale mów dalej Jegomość Panie Starosto.

— Ten niecnota Gnoiński nabroiwszy, gdzieś odjechał. Czy to po ludzku, po chrześcjańsku tak się mścić zniewagi poniesionej od ojca. Po śmierci Kazanowskiego, Gnoiński ani

chciał słuchać o małżeństwie, a Panna Elżbieta młoda, bez opieki ulegając różnym namowom poszła za mąż za tego łotra Radziejowskiego; tam nie było ani szczęścia, ani pożycia dobrego. Wieleby o tem gadać, co tam się porobiło; koniec końców, nastapił rozwód; żeby go zakończyć, przepadła większa połowa posagu Służkówny, rozwód nastąpił; ale co tu robić? szlachcic uparty jak żyd w tańcu, nie chce się żenić, w inszą stronę strzela, a ona nieboraczka się kocha! Dla niej to, dla Służkówny przyjechałem tu dowiedzieć się, co on tu robi. Mąż Wacani miał wczoraj z Międzyborza powrócić, a temczasem już nie zadługo słońce ku zachodowi się zabierze, a jego nie ma.

— Święty Antoni, patronie zgubionych rzeczy, zlituj się nademną; niech i moja zguba się znajdzie. Ale Jegomość Panie Starosto, nie wszystko mi powiedziałeś o Pani Podkanclerzynie. Co to za śliczna pani! widziałam ją w Lanckoronie, nim Pan Marcin, niech mu święty Marcin tego nie pamięta, nas wypędził z zamku, gdzie mój stary myślał do śmierci zostać. Na świętą Barbarę się zaklinam, że nie przez ciekawość; ale też to musiała zawracać głowy chłopcom? —

Wtem czarny kurta na dziedzińcu zaszczekał, i z za wrót całym pędem konia stary Radzik przycwałował; żona to zobaczywszy, złożyła ręce jak do modłów: — Święty Michale, święty Gabrielu, święty Rafale, zmiłujcie się nad nami. — Aż tu stary Radzik już w izbie, wąs jednym strzępem do góry zadarty, drugim na dół spuszczony; nie wielki kosmyk białej czupryny takoż powichrowaciał, oczy aż krwią zaszły, powitał żonę i Pana Starostę, ale widać nie o powitaniu myślał, bo jakby sam do siebie w głos mówił: — Pierwsze kotki za opłotki. nie mów jeszcze hoc, póki nie przeskoczysz; srebrną kulką jak na szatana nabiję sztuciec, a zobaczemy.

— Święta Brygido opiekunko opętanych! mój kochanku, co ci jest takiego?

— Mospanie Radzik, cóż Waszeci jest takiego? cóż nam za wiadomość przywiozłeś z Międzyborza? czy Hetmani ruszają z wojskiem? czy Pan Gnoiński z nimi idzie?

— Oho! pójdzie. Ja Radzik dawny porucznik, sługa hetmański, miałbym zaspać? — oho! nic z tego nie będzie, nie dla psa kiełbasa; nie dla kota sadło. Urszulo, ułoż mi matelzak, zaraz jadę.

— Święty Karolu Boromeuszu, a dokąd?

— To nie Waćpani rzecz pytać dokąd i po co? jadę i koniec. Ja przy szabli, a Waćpani w spódnicy i basta.

— Mospanie Radzik — przemówił Służewski — ależ Waszmość nic mnie nie mówisz o rzeczy?

— Chodź Waćpan Dobrodziej na dziedziniec, tam pogadamy: — Widać że stary bardzo zagniewany, bo kiedy gończak wylazł z pod stołu, on go kopnął nogą — poszedł won, Duda leżeć. Urszulo spiesz się — i wyszedł. —

Pani Radzikowa wymieniła po imieniu wszystkich świętych męczenników i wyznawców, a sama bez pomocy służebnicy ani żadnego sługi, układała matelzak. Przypomniała sobie dawne czasy, że z Jegomością nie ma rady, kiedy na kieł weźmie; żonka wtenczas powinna słuchać, zgadywać wolę pana męża, i dopiero za swoje wetować kiedy mężulko się udobrucha, a potem i opuści uszy.

Już świeży wierzchowiec stał przed dworkiem, i zaprzężono konie do bryczki Pana Starosty Horodelskiego, a Radzik wchodząc do izby jeszcze dogadywał Staroście: — Szelma przy kwaterce ze wszystkiego się wygadał; dobrzy oni ale i my niegorsi. Żebyś to Waćpan Dobrodziej dopędził Pana Wojewodę Ruskiego, Pan Starosta Bolestraszycki dałby temu wszystkiemu radę: ale i tak nie zgryzą nas; trafiła kosa na kamień — widząc jak żona stoi i patrzy mu w oczy, a nie śmie słowa powiedzieć, żal mu się jej zrobiło: — Urszulo chodźno, coś ci powiem — wziął ją za rękę i poszedł do alkierza.

Tam starzy cicho ale krótko z sobą pogadali, i jakaś nagła zmiana w twarzy i w oczach Pani Radzikowej. Zapyrzyła się, sama podała mężowi gwintowy turecki stuciec: — Niech ciebie Bóg prowadzi, jedź, to nasza powinność. Święty Łukaszu apostole, tylko gubiąc ciało, nie gub jego duszę. A Iwan jak tu przyjdzie? —

— Jak go przyprowadzi, to go dobrze trzymać; jutro rano nasz rubacha przyjedzie — uściskali się jak za młodych czasów, Radzik siadł na koń, czepko i żwawo jak to bywało niegdyś, i pojechał; niebawem i Pan Służewski w drogę ruszył.

Stara Radzikowa pobłogosławiła ich na drogę, a potem modląc się, to się gniewała, to narzekała: — O najsłodszy, o najłaskawszy Panie Jezu! te szelmy gwałt chcą wykonać na biednej sierocie, Synu jednorodzony Boga Ojca, niech ginie pies przeklęty, tylko duszy jego nie zagradzajcie zbawienia. Prawdziwy Boże i człowiecze! Semenku mój Semenku! ach żebym ja ciebie z nią już prędzej widziała! — Któryś na ten świat zstąpił. — Po co to było umierać? — Ażebyś grzechy odpuszczał. — Tuzin kurczaków upiekłam, dwie kopy lemieszczanych pirogów nagotowałam i śmietana jak w maju, wszystko w niwecz przepadnie. — Strapienie ratował — tu gończak przyszedł, trącił mordą o kolana, i na chwilę przerwał modły, i kotka wskoczyła na podołek, i tak było aż do nocy.

Ciemno na dworze, czeladź spać się kładła, i pani modliła się przed spoczynkiem, kiedy psy zaszczekały korowodem, a nie słychać ni tententu koni ni turkotu kół. Radzikowa wybiegła na przeciwną stronę do piekarni: — Święty Ezechielu! może wilcy wpadli do obory. Święta Giertrudo! może pies wściekły: — Wtem psy ucichły i niebawem wszedł Iwan, a z nim człowiek przybrany w chłopską siermięgę. Pani Radzikowa krzyknęła: — Święty Janie Kanty! Pan Żytkiewicz!

On ją w rękę pocałował, Iwan się pokłonił. — Milion pareset bomb, Mości Pani Burgrabino, co też to człowiek się nawłóczył! co też to rzeczy narobił! Słuchaj Waćpani: bo proszę, ten Han kochaneczek dowiedział się że ja tu, i pisze do mnie: Julko lubunio — —

Iwan go targnął za rękę: — Poczekajcie panku, potem już będziecie mówić, a teraz poprośmy Imości żeby nam jeść kazała dać, bo przysięgam Bogu, tak się wygłodził człowiek nim was znalazł, że teraz i całego wołuby zjadł, a wiecie Imość że ot jak tu widzicie tego panka dernął aż do Ostropola. No miał ja roboty, nim jego przydybał, a Jegomość czy wrócił?

— Boże miej go w swojej opiece. Jutro przyjedzie Pan Wąsowicz. Jawdocho nakryj w izbie i daj kurczęta i pirogi.

— Milion pareset bomb, Krysztofek, Krzysztofeczek, lubunia; tażesz to mój wujaszek, cioteczno rodzoniuteńki brat wszystkich Ziomeckich; no co teraz to śliczota, pojedziemy do Sułtana Sakatmusy, ja go zrobię pierwszym Baszą. Wszystko po sobie jemu zostawię, bo mnie to na co? —

Nakryto do stołu, Pani Radzikowa gościnnie po staropolsku zaprosiła, Iwan pił i jadł, jakby cztery kopy żyta jednego dnia wymłócił, a Żytkiewicz po swojemu łgał jak najęty: — Milion pareset bomb, ja to dawno wiedział; Han to mój serdeczny, lubunia, napisał do mnie: Julku każesz, przyjdę zaraz z Tatarami, wypędzę Szwedów, Niemców, Węgrów z Polski, i twojego Jana Kazimierka na tronie posadzę. Ja to wszystko, ja zrobił; milion pareset bomb! Stefuś, Jurko, Staś, oni ciągle ze mną mieli konszachty przez Krzysztofka. Pamiętasz Waść tego żyda, co to chciałem powiesić a Waść ledwie wyprosiłeś; bo to wyobraź sobie Mościa Pani, jakem złapał żyda parcha za pejsy, to aż mu oczy na wierzch wylazły.

— A już Panku dajcie pokój; uciekaliście przed parchem gdzie pieprz nie rośnie.

— O ho ho; pokręcił głową; a znasz ty lubuniu, kto rodzi Samuela Gnoińskiego? —

Stara Radzikowa zrobiła znak krzyża świętego. Żytkiewicz na to nie uważał: — Otóż Zborowska. — Milion pareset bomb, on mi zabrał sto tysięcy czerwonych złotych przysłanych dla mnie Juljana Żytkiewicza przez Sułtana ze Stambułu; nasłał Włocha żeby mnie zabił; złodziej, bestja, dałem Włochowi, dam jemu; i wykrzykiwał, rąbał, siekł ale językiem. Niezapomniał też o jedzeniu i o napitku, i kurczakom i pirogom i wódce dał tęgiego łupnia. Przez całą noc, jak to mówią, duby smalone prawił Iwanowi, i dopiero wtenczas dał mu usnąć kiedy sam zachrapał.

Nazajutrz dzień przyjechał Krzysztof Wąsowicz. Żytkiewicz wybiegł na przeciw niemu i chciał go oburącz uściskać: — Lubuniu wujaszeczku, Jaśnie Wielmożny Panie; milion pareset bomb, po tylu latach niewidzenia. —

Wąsowicz spójrzał na niego: — Jak się Waćpan masz? — a wszedłszy do izby i powitawszy Panią Radzikowę zapytał — czegoś Waść wtenczas tak drapnął ze Lwowa, i po coś zabrał z sobą papiery?

— Wielmożny Mości Dobrodzieju, milion pareset bomb. Sułtan Sakatmusy napisał: Julku tam na ciebie spiski. —

— I do sto djabłów, precz z temi bajami: mów Waść prawdę.

— Jaśnie Oświecony Jenerale, Mości Krzysztofie, ja prawdę powiem. Pan Wojewoda Wołyński zagroził, że mnie powiesić każe za to żem podpisał testament. Milion pareset bomb, ja się nie zląkłem; nie takie to ja przeprawy odbywałem koło piramid Egipskich.

— Hola, hola! Mości do rzeczy; precz mi z temi kłamstwami.

— Ja nic, Wielmożny wujaszku, otóż w wigilją śmierci nieboszczyka, ja zdrzymałem się trochę, a ten Włoch lekarz czuwał, a tam coś stuknęło; zrywam się na nogi, Włoch sięgnął pod poduszkę Hetmana i w nogi; ja za nim, on z pałacu na ulicę, ja za nim, za łeb bestję, a to peruka. Milion pareset bomb! Jakem był nad Nilem —

— Do rzeczy Mospanie.

— On do puginała, zwyczajnie Włoch, a ja do szabli; milion pareset bomb! jak krzesnę, raz, drugi, trzeci, a tu ze wszech stron na mnie ludzi zbrojnych sunie do półtora kopy. Ja wołam na ratunek, a rąbię, i milion pareset bomb, wszystko porąbałem.

— Ależ Mospanie skąd testament?

— Milion pareset bomb, zniżam się do jednego trupa, poznaję, to ten szelma Carlo Senior, wspólnik huncwota żyda i Gnoińskiego. Koło niego jakiś papier podejmuję; przy świetle księżyca poznaję ten sam testament na którym ja podpisałem, wracam, Hetman stękał, poczciwe Stanisławisko

do mnie mówił z płaczem: Juljanie na pamięć twojej matki, zaklinam ciebie, opiekuj się mojem dziecięciem; milion pareset bomb, myślę sobie: Han mój przyjaciel, wszystko zrobi. Jak Staś ostatniego ducha oddał, ja siadłem i pojechałem do Hana.

— I tu Waszeć zajechałeś, do Pani Radzikowej.

— Milion pareset bomb, mój serdeczny, moja lubuniu Panie Krzysztofie. Niech powie Pani Radzikowa czy mnie tu nie zastała?

— Święta Barbaro, jak teraz dzień tak prawda że kiedy nas wypędzono z Lanckorony, to zastałam Pana Żytkiewicza. —

— Milion pareset bomb, ja już powracałem od Hana.

— Mniejsza o to, a gdzież jest testament?

— Oto jest, Jaśnie Wielmożny Panie — wydobył z zanadrza papier obwinięty w chustę i wręczył Wąsowiczowi: — Milion pareset bomb, sam Han mi go wczoraj przywiózł, i ja po to jeździłem do Ostropola. —

Iwan pokręcił głową: — Nie wierzcie Wielmożny Panie, wszystko nie prawda. Dwa tygodnie siedział w kłuni u kuma Jakowa w sianie, a taki przelękniony jakby od szubienicy się wyrwał.

— Milion pareset bomb! co ty rozumiesz chłopie łyku? czy Han chamowi jeszcze miał się pokazywać, to by była śliczota, jeszcze czego nie stało? —

Wąsowicz otworzył testament: — Ten sam — pokazał Pani Radzikowej, ona ze łzami w oczach całowała podpis Hetmański.

— Już jego dusza musi być w niebie, bo to taki dobry Pan. Jezu Chryste, Święta Marjo, wstawcie się za nami abyśmy i my tam byli. —

I Panu Oboźnemu łzawo w oku: — No Mości Żytkiewicz, pojedziesz ze mną. —

— Milion pareset bomb, choćby na koniec świata mój lubuniu, wujaszku — i uściskał go. Oboźny nie wzbraniał się tą razą.

— Mościa Pani Radzikowa wybieraj się także w drogę, nazad do Lanckorony; wszystko się skończyło, ale dałby Pan Bóg, żeby Radzik czego nie zmalował, bo już mnie nie będzie żebym w studnią patrzył. To to Semen podskoczy do góry.

— Boże miłosierny dzięki tobie, nie opuszczaj nas, mojego starego. Ale Wielmożny Pan Oboźny przekąsi cokolwiek?

— Dobrze, ale prędko bo czas nie stoi. —

Radzikowa krzątała się żywo, a Żytkiewicz ciągle jak łgał, tak łgał. Po dobrej przekąsce, i po kilku kielichach

starki i wiszniaku, Oboźny z Żytkiewiczem wyjechali. Radzikowa nie odkladając do jutra, zaraz zaczęła porządkować w domu, rozkazy wydawać, żeby można za kilka dni Karpowce opuścić, a Iwan popatrzył: — Wielmożna Imość, bywajcie zdrowi, pokłońcie się Panu, już ja teraz pójdę do futoru: Sława Bogu — pokłonił się i wyszedł.

Radzikowa za nim przeżegnała krzyżem świętym: — Niech ci Bóg pomaga — padła na kolana, złożyła ręce: — Boże Wszechmocny, jakeś zaczął, tak i do końca miej nas w swojej świętej opiece.

XIV.

> Na południe tam staniemy,
> W wieczór bitwę odbędziemy,
> Że nie minie jeszcze doba,
> Wrócisz, sam, lub wrócim oba.
>
> Stefan Witwicki.

Wesoło to teraz, hulaszczo na tej polskiej ziemi. Król Pan potomek krwi Jagiellońskiej, precz wypędził wroga ze starej stolicy Piastów i Jagiellonów, i zasiadł na praojców tronie. Psy najezdcy na Litwie i na Rusi, jedni do szczętu szczeźli pod polskim orężem, drudzy co tchu zemknęli za góry za rzeki. I ze starolackiej dziedziny, na łeb na szyję wynoszą się wrogi, o drogę nie pytają, byle uciec przed polską pogonią. Lachy Litwini i mołodce Rusi, zwyczajnie serdeczni bracia, dzieci jednej matki, ze znojem, z bojem, ze śmiercią oswoili się jak z chlebem powszednim, i choćby może już czas wracać do chatki, do rodziny, oni jeszcze radzi tłuc się na koniach, wywijać bronią; gonią ochoczo za resztkami, za niedobitkami wrogów. Jak w zapustne ostatki dziewczyna wietrznica za tańcami, tak oni tęsknią za wojną; jak tamta wzdycha, rączki załamuje i żali się czterdzieści dni bez tanów, tak oni sierdzą się, smucą i krzyczą: co będziemy robić, jak wroga nie stanie?

Sąsiedzi pokornie, uprzejmnie o przyjaźń polskiego Króla proszą; na wyścigi z pomocą Polsce biegną, choć jej nie potrzeba. A Król Jegomość z tego trapiącego się i dobrego ojca, stał się panem woli, panem czynu, prawdziwym królem. I czem to się wszystko stało? — cudem Bożym. Bóg się ulitował nad Polską, biedną, osieroconą, znękaną; swojem Bożem natchnieniem tchnął w Polaków myśl zbwienia: uznajcie królewską władzę, w imię króla i Ojczyzny powstawajcie a zwyciężycie.

Dzielni mężowie Polski powiedzieli sobie: nie rwijmy się pojedyńczo i każdy na swoją rzecz; weźmy się wszyscy za ręce

i przyznajmy: że jest Król Pan nad nami, a my pod nim; on niech rozkazuje, a my słuchajmy i róbmy co on każe. Za ich przykładem poszedł naród. Na imię króla i Ojczyzny po wszej polskiej ziemi, jak jeden człowiek powstali mieszkańce przeciw wrogowi; bili i zwyciężyli, a Bóg im pobłogosławił, bo wywalczyli Ojczyznę, zachowali świętą wiarę praojców, i mieli Króla prawego pana. I dla tego to też w polskiej ziemi tak wesoło, tak hulaszczo.

Czemuż w jednej Lanckoronie nie wesoło, nie hulaszczo? A i tam jednak Polacy, Polki mieszkają, ale tam nie ma pana. Stary Hetman zmarł, a opiekun to nie pan. W Lanckorońskim zamku cicho, ponuro jak w więzieniu, jak w klasztorze; nie tak to bywało za hetmańskich czasów. Tam wtenczas było dwornie, wrzawnie i huczno; nawet sam zamek zdaje się zczerniał, sponurzał, jakby i on przybrał żałobę po śmierci Hetmana.

Lud dóbr hetmańskich smutny, powiada: te pola, te lasy, te zamki, to córki hetmańskiej; niechaj Bóg wszechmocny nagrodzi duszę nieboczczyka; dobry to był Pan, oj szkoda, szkoda że on pomarł. A wszyscy zapierają się w mowie, że temi dobrami rządzi jakiś opiekun.

Dziedziczka, sierota po Hetmanie, dni i noce we łzach w żalu i w zgryzocie trawi; jedyną dla niej ulgą, pójść do kaplicy, uklęknąć na grobie ojca i pomodlić się. Choć często płakała, jednak niebieskie oko niesterało rodzimego blasku; lice choć posępne i pobladłe, ale czasami na wspomnienia, zarumieni się krasą, łagodnie się umili, ale to szybko przemija; żal patrzeć na cierpiącą dziewicę: piękna ona krasą córki płaczącej śmierci ojca, krasą kochanki utyskującej za kochankiem. I Panna Rozalja wesołość swoję straciła, smutno jej i nudno w Lanckorońskim zamku, a nie chce odjechać swojej Joasi.

Od czasu wyjazdu z Częstochowy, Pani Wojewodzina Wołyńska nie umiała nawet ani razu trafić, ni do serca Hetmanówny, ni do serca Podkomorzanki; niby to dobra, niby to uprzejma, ale taka nijaka w uczuciach, taka sztywna w słowach, taka jednaka w ruchach, że mimo swej woli i ich woli, obiedwie panny odpychała od siebie. Był to rodzimy piołun słodzony cukrem: oczy widzą że tam cukier topniał, a usta krzywią się od goryczy, i podniebienie nie chce go kosztować. Panny Wojewodzianki Wołyńskie do matki podobne, nie wesołe, nie serdeczne, same do nikogo nie lgną i nikogo też nie ciągną do siebie.

Jednak pół biedy było w Lanckoronie, póki nie przyjechał sam Pan Wojewoda Wołyński. On z początku po stryjowsku pocieszał synowicę, z nią razem ubolewał nad śmiercią nieboszczyka Hetmana, nawet wspominał o testamencie i narze-

kał, że on tak gdzieś zniknął jakby w wodę wpadł; a widząc że synowica trochę do niego się tuli, zaczął przedstawiać, prosic, błagać, żeby wybiła sobie z głowy miłość dla Tetery. i o niej zapomniała. Panna Joanna odpowiedziała wręcz, że nigdy a nigdy nie zapomni o Teterze, kochać go nie przestanie, i jeźli nie jego to niczyją małżonką nie będzie. Marcin Lanckoroński inaczej się obrócił; zaczął wychwalać rodowitość, związki, zamożność Zborowskich i Gnoińskich rodzin; powiadał, że Samuel Gnoiński mimo niektóre przywary był to rodzimy brylant, okryty iłem ziemi; niewiasta co ten ił zrzuci, będzie mogła poszczycić się przed światem najpiękniejszym klejnotem jaki dotąd był między mężczyznami; nareszcie jawnie mówił, jak ten waleczny szlachcic kochał zapamiętale jego synowicę. Panna Joanna albo nic na to nie mówiła, albo wyraźnie okazywała niechęć i wzgardę ku Gnoińskiemu.

Po jakimeś czasie takiego niby łagodnego dręczenia sieroty dziewicy, przywieziono pozew Panu Wojewodzie Wołyńskiemu, którym Pan Skarbnik Błotnicki, zapewne z namowy Pana Wojewody Ruskiego, zapozywa jego Marcina Lanckorońskiego przez Trybunał Lubelski, o zdanie sprawy z zatachlowania testamentu Hetmańskiego, który on Skarbnik i Pan Oboźny Wąsowicz podpisali; zapozywa do stawienia się przed sąd Wąsowicza, Żytkiewicza, i Vices-Rejenta Lwowskiego. Na nieszczęście ów Vices-Rejent przytrzymany w Wołyńskich dobrach Pani Wojewodziny Wołyńskiej, gdzieś zniknął, i jak wieść niosła, był u przyjacioł Stefana Czarnieckiego.

Z drugiej strony dano wiedzieć, że Paweł Sapieha, mimo to że chciał szablą rozprawić się z Samuelem Gnoińskim, na żądanie Króla Jegomości, który usiłował dać poszanowanie i wartość prawom, przyrzekł dochodzić przed Trybunałem sprawiedliwości na Gnoińskim za porwanie i więzienie żony i córki, i wezwać Marcina Lanckorońskiego aby z nim wspólnie upomniał się jako opiekun porwania i więzienia synowicy. Mimo to Wojewoda Wileński mawiał: prawo prawem, a szabla szablą; co nie wyprawuję to wyrąbię. Mam synów, jeden po drugim będziemy go dojeżdżać; nauczę szlachcica co to gwizdać po kościele.

Pan Wojewoda Wołyński wysłał z temi wieściami do Międzyborza gońcem Pietrowskiego, dawnego sługę Sanguszków, człowieka pewnego, ale trochę pijaka. Od tego czasu Marcin Lanckoroński okazywał się surowszym dla synowicy, ale nic nie mówił.

Wtem dano wiedzieć, że Pan Stefan Czarniecki uroczysty wjazd odbył do Lwowa. Lud, mieszczanie, szlachta Województwa Ruskiego, naprzeciw swojemu Wojewodzie wycho-

dzili, i witali zbawcę Ojczyzny, najzaufańszego namiestnika Króla Jegomości; ale Czarniecki nie długo tam bawił, z wojskiem pociągnął do Krakowa, z nim Pan Tetera Starosta Bolestraszycki i Bobimowski. A tu odpowiedzi z Międzyborza nie ma. Pan Wojewoda Wołyński mozoli sobie głowę w wielkim kłopocie. Zamek wprawdzie obronny, załoga złożona z wiernych jemu ludzi; ale on nie ufa sobie, czuje, że nie zdobędzie się na krok zuchwały, a żal stracić Lanckoronę.

Dzień Sierpniowy dopiekał skwarnym upałem, duszno w powietrzu, i Wojewodzie Wołyńskiemu duszno, nie od skwaru słońca ale od skwaru niepokoju. Przyszedł do żony: Ireno, Pietrowski nie powraca; nie pisałem nic do Samuela, żeby czasem Czarneczuki go nie złapali, ale boję się żeby ten hultaj gdzie w drodze się nie zapił, albo zapiwszy czego nie wygadał.

Ona ani troszeczkę nie zmieniła wyrazu obojętnej twarzy: — Jegomość lepiej to wiesz jak ja.

— Ja się boję, żeby ten raby Czarniecki nie uzyskał od Króla Jegomości rozkazu zajęcia Lanckorońskiego zamku aż do ukończenia testamentowej sprawy.

— Nie wiem; jak się Jegomości zdaje?

— A co gorzej Królowa Imość może zażądać, żeby Joanna udała się do dworu, a tak wszystko przepadnie.

— Nie wiem. Jegomość lepiej to rozumiesz.

— Czy nie dobrze by było, żebyś natychmiast wyjechała z Joanną do Sławuty, tak żeby nikt o tem nie wiedział? Zyskalibyśmy na przewłoce czasu.

— Nie wiem, jak Jegomość każesz. —

Na ten raz, widać że nie w smak Wojewodzie to nie wiem, to ślepe posłuszeństwo żony, bo się odwrócił i wyszedł, a wychodząc mruczał: — I tóż to przyjaciel taka żona! niuńka, co mi po niej, ani się poradzić, ani się pocieszyć. — I szedł na dziedziniec, zapewne wydawać rozkazy do narządzania powozu do podróży dla żony i synowicy, kiedy przed bramą zatrąbiono. Wojewoda zadrżał, pomyślał, że to goniec Królewski i sam wyszedł ku bramie.

To Pietrowski przyjechał, a widać tęgo zaszołomiony, bo się przewala na siodle jak na hojdawce; przygina się ku ziemi, jak gdyby się przypatrywał czy jaki ufnal z podkowy nie wyleciał, albo czy się nie przytępił ocał. Na widok Pana zsiadł z konia, o mało się nie zatoczył: — Jestem Jaśnie Wielmożny Panie.

— Chodź Waść tu za mną, zostaw konia.

— Jaśnie Wielmożny Panie, za trzy dni stawi się tu.

— Milcz Waść; pójdź tu: — Pietrowski zatulił sobie gębę dłonią, i szedł za Wojewodą. Długo a długo z sobą rozmawiali

w osobnej komnacie i to zamknięci; po tej rozmowie Wojewoda żadnego rozkazu do podróży nie dał, a Pietrowski poszedł spać. —

Wieczorem Marcin Lanckoroński przyszedł do komnaty swojej synowicy. Ona sama jedna siedziała przy otwartem oknie, oczyma patrzyła na niebo cieniące się szarym mrokiem, a myślą dumała zapewne o ojcu, o kochanku. Wietrzyk poigrywał sobie ze splotami kruczych włosów, a połjaśnia wieczoru lała jakiś urok czarowny a tęskny zarazem na przymglone lice dziewicy. Na wejście stryja obróciła się i podniosła z krzesła; on ją powitał, a nie wiedział od czego zacząć; prosił żeby usiadła: — Moja Joasiu, nie siadaj przy oknie, wilgoć rosy może ci zaszkodzić.

— Dziękuję Stryjaszkowi za troskliwość, mnie to nic nie szkodzi. —

Milczał chwilkę, spójrzał w okno: — Dziś wietrzno, w nocy może być burza.

— Mnie się nie zdaje, tak cicho, tak pięknie w powietrzu — i westchnęła.

— Czemuż Joasiu nie jesteś teraz razem z siostrami, z Panną Rozalją?

— Chciałam być samą.

— Może ci przeszkadzam.

— O nie stryjaszku. —

Popatrzył na krosienka: — Cóż to haftujesz Joasiu? —

— Kapszuk.

— A czy nie można wiedzieć dla kogo?

— Ja go przeznaczyłam dla Pana Starosty Bolestraszyckiego; zarumieniła się dziewica, ale nie rumieńcem wstydu że źle robi, tylko zwyczajnie wspomnieniem o kochanku; w oczach, na czole, widać że rada prawdę powiedzieć, a nawet nią się pochlubić. —

Wojewoda zmarszczył brew: — Panno Joanno, chciałbym z tobą pomówić. —

— Słucham Stryjaszka.

— Wiem, że twoja roztropność pozwala ci łatwo rozeznać złe od dobrego; ale ja jako twój opiekun, jako głowa Lanckorońskich po śmierci nieboszczyka brata czuwać winieniem nad twojem dobrem, nad sławą Lanckorońskich rodu. — Ona milczała, a on to milczenie brał za pochop do ulegania jego woli; podniósł mowę na głośniejszy dźwięk: — Tak, ja nie powinien i nie dam splamić sławy Lanckorońskich! —

Hetmańska dziewica podniosła się, spojrzała w oczy Stryjowi, a w tym wzroku była godność dziewicy, duma hetmańskiej córy: — Czemże ja splamiłam moje imię? —

On spuścił czoło ku podłodze: — Ja nie mówię, żebyś już

splamiła, ale mogłabyś splamić nasze imię, idąc za mąż za tego Teterę, kozaka bez rodu, bez dawnego znaczenia. —

— Ojciec mój niesławy nie przyniósł Lanckorońskich rodowi, a on chciał tego połączenia.

— Ja tego nie wiem.

— Ale ja wiem, i są ludzie co o tem wiedzą.

— Może w chorobie; ale ja na to nie pozwolę.

— Zobaczemy — i oboje zamilkli. Wojewoda przyjść do siebie nie mógł rozpamiętując skąd tyle woli w dziewicy, zwyczajnie tak łagodnej, tak cichej, i tą razą wolałby żeby synowica była podobną do jego żony. —

Po chwili przerwał milczenie: — Panno Joanna moją wolą i całej naszej rodziny jest, abyś obrała sobie za męża Pana Samuela Gnoińskiego. —

Jej twarz przybrała wyraz pogardy — a moją wolą, nie.

— Waćpanna pójdziesz za Pana Gnoińskiego.

— Nie pójdę.

— Dziś, jutro tu będzie, i zaraz ślub.

— Zobaczemy; Marcin Lanckoroński rozgniewany wyszedł z komnaty, a Hetmanówna osunęła się na krzesło. Ta gra woli zmogła ją i rzuciła do broni niewieściej, do płaczu, i do proźby do Boga. Zalała się łzami i gorąco się do Boga modliła. —

Weszła Panna Potocka, pyta co jej jest takiego: Hetmanówna opowiada swoją rozmowę ze stryjem, a Panna Rozalja nie wiele myśląc, rzekła; uciekajmy!

— Dokąd?

— Do moich rodziców.

— A jakim sposobem?

— Ja nie wiem, ale uciekajmy.

— Rozalko, i ja miałażbym uciekać z zamku mojego ojca? nie!

— Ty ich nie znasz, oni gotowi użyć najniegodniejszych środków.

— Jest Bóg w niebie co nad sierotami czuwa. Piękną głowę schyliła ku łona Panny Potockiej, obiedwie się pocałowały i zapłakały, a wietrzyk powiewał przez okno jakby wzdychał, i niebo łzami rosy płakało. —

W tymże samym czasie Pan Wojewoda Ruski przybył z swoją konnicą do Krakowa. Krakowiacy witali wodza i jego wojsko z zapałem, serdecznie. Król Jegomość, Królowa Imość już w królewskim zamku, na królewskim tronie przyjmowali Stefana Czarnieckiego i wojskową starszyznę. Król Jegomość już teraz Król; mimo krzywienie się Jaśnie Oświeconych Panów, mimo szepty dworaków, jak przyjaciela przyjmował Pana

Wojewodę Ruskiego i przed wszystkimi pierwszeństwo mu dawał. Królowa Imość Pani wielkiego umysłu, szczęśliwa powodzeniem Polski, szczęśliwa swojemi kochankami marzeniami o wielkości, o potędze korony polskiej, już nie tym jednakim uśmiechem, co to go ma dla wszystkich, raczyła Stefana Czarnieckiego, ale tym uprzejmym wyrazem twarzy, temi szczeremi słowami, co to wyraźnie mówią człowiekowi zasługi i szlachetnej dumy: umiano cię ocenić; a zarazem bodzą do dalszych zasług, do bezgranicznego poświęcenia się. Oj dzielna to broń, niczemu niezrównana w ręku królewskiej niewiasty, kiedy jej umie użyć w czas i w porę.

Stefan Czarniecki nic się nie zmienił; komu przyjaciel to przyjaciel, ale takich mało; ze wszystkimi innymi hardy, nie bardzo przystępny, kłaniać się, hołubić do siebie, jak nie umiał, tak nie umie: a na domiar, po dawnemu szlachcic z Czarncy nie wszystkim dowierza, i zdaje mu się że mu wielu nie sprzyja. Jak bogobojny syn ojcu, takie on posłuszeństwo i poszanowanie okazywał Królowi Jegomości i Królowej Jejmości, powtarzając to zawsze: słuchajmy królewskiej władzy, szanujmy królewski majestat, bo bez tego nie będzie Polski.

Królestwo Ichmościowie łaskawi byli na Pana Starostę Bolestraszyckiego; męstwem w boju zakupił sobie zachowanie u mężów i młodzieży. Urodą i mutornością miał zjednane dla siebie względy u niewiast i dziewic. Gadano: dzielny wojak, urodziwy młodzieniec, ale on czegoś teraz nie samowity; ledwie doba jak przybył do Krakowa, a już się tam na śmierć nudzi, za czemś tęskni; czy że bojom już koniec? czy że krasnolicej Hetmanówny tu nie masz? bo u kozaka choć ręka lubi machać szablą, i serce kochać lubi, a kochanie to robota kozaczemu sercu; ani jeść, ani pić, ani na miejscu posiedzieć nie można. Tak nudno, tak tęskno, że duszy chce się wyprzeć z ciała, nic w skład nie idzie; wtenczas to tylko albo koło kochanki żyć, albo bić się na wojnie. Już Teterze chciałoby się orlim lotem świstnąć do Lanckorońskiego zamku, chciałoby się niebieskie oczy powitać spojrzeniem a białą rączkę pocałunkiem; nie ma rady, Pan Wojewoda Ruski, jak charta na smyczy trzyma; powiada: poczekaj, a tymczasem u Króla Jegomości jakieś rzeczy wyprasza.

Wieczorem w królewskim zamku, w komnatach przeznaczonych dla Pana Wojewody Ruskiego, Pan Wojewoda Ruski rozmawiał ze Starostą Bolestraszyckim. Wojewoda częściej wąsa pomuskiwał, a brodę kiedy nie kiedy tylko pokręcał, a Tetera był jakoś zadumany, zafrasowany.

— Mój Semenie, co tu tak się chmurzyć, słyszałeś co za dobre wieści nam przyniósł ojciec Dąbrowski; poczciwy, on ciebie kocha jak ja, jak syna. Wynalazł tego Wicerejenta.

Król Jegomość pozwolił nam cztery dni czasu; wiesz Waść że to wiele; zwłaszcza kiedy jeszcze tam po nad granicami snują się wrogi, a na dobitek nasz stary Wąsowicz złapał testament i dziś w nocy tu ma z nim przyjechać; a tak z woźnym, z testamentem i z wojskiem zajedziemy jutro wieczorem do Lanckorony. Nie wszyscy nam będą radzi, ale mniejsza o to.

— Ależ Panie Wojewodo, oni tam gotowi zrobić jakie nieszczęście?

— Co Waści się zdaje, że to tak łup cup i ożenić się; mój Semenie, i my rano wstajemy, nie damy się uprzedzić. Ten panek — pokręcił brodę — może się tego dochrapać, czego się dochrapał jego dziadek od Zamojskiego. Bezprawia wyrabiać w kraju wolnym, pod królewską władzą; na to są prawa, wieże i miecz. Semenie spuść się na mnie, co nieboszczyk Hetman mój najlepszy przyjaciel, najdawniejszy towarzysz w testamencie postanowił, to ja to wypełnię; teraz idź, każ pułkowi być gotowym do pochodu i śpij spokojnie. Jutro będziemy w Lanckoronie. —

Tetera żegnając Wojewodę Ruskiego i odchodząc, nie powiedział ale pomyślał sobie: czemu nie dziś.

Odszedł Tetera, a Stefan Czarniecki sam do siebie mówił. Tęgi chłopiec, czemu to ja nie mam takiego syna? po mojej śmierci służyłby ojczyźnie i Królowi Jegomości. Za życia bym go usposobił do wojny, patrzałbym jak na drugiego siebie, a mnie Bóg tylko dał dwie córki. Dobytek mój i sława szablą nabyta, przejdą w obce rodziny. Nie powie kiedyś tam jakiś Czarniecki, prapradziadkiem moim w prostej linji był Stefan, co od młodości aż do zgrzybiałego wieku, bez przestanku służył wiernie Ojczyźnie i Królowi. Bóg mi nie dał syna — zamyślił się, chodził po komnacie i brodę pokręcał. — Nieboszczyk Stanisław miał siedmiu synów, i wszystkich w boju stracił; ale gdyby żył teraz, byłby widział w zięciu wojennego męża. Moja Aleksandro, żebym ja tobie takiego męża dobrał, przynajmniej mógłbym sobie powiedzieć: krew moja nie będzie ani za pismakiem, ani za dworakiem — i znowu zamilkł. — Ród Czarnieckich nie zaginie. Jaś to dziarski chłopiec, ożenię go z Sapieżanką. Pan Wojewoda Wileński mi to przyrzekł. Dla córki znajdę męża szlachcica ale wojaka. Semena ożenię, bo go kocham jak mego syna, a potem póki sił stanie, służyć będę Ojczyźnie i Królowi Jegomości; to powinność polaka. — Tak sobie rozmyślał ten niegdyś szlachcic z Czarnecy, a dziś Wojewoda Ruski, mąż znamienity w Polsce zasługą, znaczeniem a nawet i dostatkami, a wszystko to zyskał przez szablę.

W Lanckoronie Wojewoda Wołyński coś bardzo się rozradował, czy to na prawdę, czy udaje tylko. Z rana jeszcze winszując dnia urodzin swojej żonie, rzecze do niej:

— Ireno, dziś wszystkiemu będzie koniec; wieczorem Pan Samuel przyjedzie z licznym orszakiem, a co lepsza z księdzem, wszystko mamy za sobą, wszystko dobrze pójdzie. Proszę ciebie żebyśmy suto, jak na nas przystoi, przyjęli gości.

— Wszystko tak będzie jak Jegomość kazał.

— Chwała Bogu, Czarneczuki o niczem się nie dowiedzieli, a tak uda się wszystko bez kłopotu; jednak dla wszelkiej ostróżności, kazałem Pietrowskiemu jechać do Pana Samuela, i opowiedzieć jakich ma znaków użyć przyjeżdżając pod zamek, bo inaczej dalibógże nikogo nie każę puścić. Nie na tom tak długo się mozolił, żebym wszystko przez jakiś przypadek tracił; nie wpuszczę, choćby sami Królestwo Ichmość przyjechali. Jak ty myślisz Ireno?

— Ja tak myślę jak Jegomość każesz.

— Ten Pietrowski choć pijak, prawornie się sprawił raz, to się sprawi i teraz; to dobry, przywiązany człowiek. Z resztą cóż on może zrobić? — Ztąd nie daleko, przed nikim się nie wygada, zakazałem stawać przed karczemkami; pójdę zobaczyć czy już pojechał. Ireno staraj się łagodnością uspokoić Joannę, ja muszę być surowym. —

Na dziedzińcu swoim zwyczajem przeżegnał się krzyżem świętym i pacierz mówił; złe robił i o tem wiedział, a myślał że pacierzem winę odkupi. Spojrzał na niebo, tam czysto, jasno, słońce świeci: ani podobieństwa do burzy i piorunów, powiedział sobie: Bóg na mnie się nie gniewa. Zobaczył jak od bramy szedł Pietrowski, z jakimeś dziadem przybranym w Ukraińską świtę, z teorbanem przewieszonym przez plecy, zbliżył się do niego i groźnie zapytał.

— A Waść jeszcze tu?

— Jestem Jaśnie Wielmożny Panie, zaraz jadę.

— Cóż to za człowieka z sobą przyprowadziłeś, i gdzieżeś go zdybał?

— To poczciwe jakieś dziadzisko, gra ślicznie; przyprowadziłem go z karczmy, niech zagra Jaśnie Wielmożnej Pani i Pannom. Co gra — to gra i zabełkotał językiem, widać nie jedną już kwaterkę wódki albo miodu wychylił.

— Idź Waść, siadaj na koń i jedź; a ty człowieku zkąd jesteś i co robisz? —

Dziad już podgrzybiały ale jeszcze czerstwy, ognistego oka, pokłonił się nisko Panu Wojewodzie Wołyńskiemu: — Jaśnie Wielmożny Panie, ja z Ukrainy od Dniepru, dziad sobie, jak wilk włóczę się z sioła do sioła, z chaty do chaty, taj gram i śpiewam pieśń dobrym ludziom za kawałek chleba.

— Hej! zawołał Wojewoda na jednego ze sług; — nakarmić i napoić tego człowieka.

— Dziękuję Jaśnie Wielmożnemu Panu, niech Wam Bóg wszystko dobro daje, ą ja wam zagram pieśń naszą Ukraińską.

— Graj sobie. —

Dziad siadł na przedganku, zdjął z pleców teorban, palcami po strónach uderzył; brzęczą strony: drum — drum — drum — a on głosem pieśń zawiódł.

Iz niza Dnipra, tychy witer wije, powiwaje,
Wojsko kozackoje, w pochod wystupaje.
Tylko Boh światy znaje,
Szczo Sahajdaczny hadaje, dumaje.
Noznały o tom, ni sotniki,
Ni Atamany Kurenny, ni połkownyki;
Tylko Boh światy znaje,
Szczo Sahajduczny, hadaje, dumaje.

Drum — drum — po strónach teorbanu brzdęknął i umilkł, spójrzał do koła, na dziedzińcu ludzie gromadą się zbiegli, w oknach stoją wielkie panie, a jedna z nich najśliczniejsza, najurodziwsza, choć twarzą zasmucona, zatęskniona, pilniej jak inne patrzy na starca; rumieńcem krasi lice, łzą brylantuje oko. Pieśń ta musi być dawna jej znajoma, przypomnieniem zagadała do duszy, i druga dziewica czarno-oka i czarno-brewa, co stała obok tej najśliczniejszej, takoż łakomie uchem chwytała pieśń, a okiem patrzy na starca.

Starzec na inny dźwięk w strony zadrumkał, i inną pieśń zapiał:

Ne żurysia diwcza harne,
Ne propadesz ty nam marne,
Pod Hanom kiń choćby jaki,
Ne ubiżyt' win kozaki.

Wże nasz kozak, dosiw konia,
Szwydko, żwawo tut prykotyt';
Meczem machne, skresze ohnia,
Wrahy, zamki, wse skołotyt'.

Wyjchaw wże win w dorohu,
Biżyt szparko, zemla hude;
Weczorom pry tobi bude,
Pokłonytsia: Sława Bohu.

Ucichła pieśń; cichym rozgłosem w powietrzu konało drumkanie teorbanu, a najśliczniejsza dziewica stoi w oknie i jeszcze patrzy i jeszcze słucha, a starzec nowemi dźwiękami zadrumkał po strónach, ale już nie śpiewał; hojną jałmużnę mu

dano, nakarmiono, napojono, i mimo że sam Pan Wojewoda Wołyński namawiał go by został i odpoczął sobie jak najdłużej, bo go rozrzewniły te dźwięki ukraińskiego teorbana, bo i w nim czasami choć rzadko odzywała się krew Lanckorońskich.

Starzec pokłonił się: — Niechaj Bóg Jaśnie Wielmożnemu Panu nagrodzi; mnie droga daleka, śmierć za pasem, a chciałoby się, żeby pogrzebali moje ciało w mogile nad Dnieprem. Jest tam u mnie rodzina, jest i chatka; tam mnie zbudują drugą chatkę, bez drzwi, bez okienic, jak przyjdzie na mnie koniec: — Pożegnał dobrych ludzi i błogosławiąc zamkowi, wyszedł z zamku.

Czegoś obiedwie panny i najśliczniejsza i czarno-oka wyszły na wał, i wypatrują w stronę, kędy starzec się powlókł.

On szedł drogą ku wschodowi, nigdzie się nie zatrzymywał, nawet zdało się, że pod laskiem przydwoił kroku, i w lasku zniknął, i nic nie widać; aż za dobrą chwilę, gdzieś za górą z tego lasu zamajaczał człowiek na koniu i cwałował het w pole, w stecz od zamku. Oprócz obudwu panien nikt na to nie uważał, a gdyby i uważał, cóż dziwnego że po lackiej ziemi bieży koń pod jeźdcem? Czarnooka panna odezwała się do najśliczniejszej: — Joasiu nie płacz, dziś wszystko się skończy; Bóg nad nami czuwa.

W Hetmanówny oku nadzieja błysła: — Rozalko, chodźmy dziękować Bogu — i obiedwie poszły do kaplicy i tam się modliły na grobie nieboszczyka Hetmana.

Nad wieczorem w zamku robiono wielkie przygotowania do biesiady, do uroczystości jakiejś. W jadalnej izbie w podkowę ustawiano stoły i przykrywano bieliznę, stołowym srebrem i złotem jeszcze nieboszczyka Hetmana. Na dziedziniec i na wały powytaczano beczki smolne; z kuchennego komina dym gęstemi kłębami się kurzy, w kuchni i ogień i ruch jak w hucie w czasie roboty. Z piwnicy noszą a noszą butelki różnego kształtu, różnej barwy; zdałoby się że nieboszczyk Hetman Polny zmartwychwstał, i przyszedł na ziemię uraczyć się biesiadą w rycerskiem kole swoich wojaków, dawnych podwładnych i towarzyszy.

Pani Wojewodzina Wołyńska strojna w jasne barwy, w klejnoty, i Panny Wojewodzianki takoż strojne. Hetmanówna i Podkomorzanka obiedwie przybrane w bieli; choć już od dawna skończyła się żałoba po nieboszczyku Hetmanie, one jednak nie chcą kłaść na siebie ani klejnotów, ani jasnych barw. Wojewodzina przystąpi do synowicy: widać chce do niej łagodnym słówkiem przemówić, ale słowa nijakie mrą na ustach, i uśmiech którym chce oblec swoją twarz, podobny do uśmiechu dawno już zmarłego nieboszczyka.

Hetmanówna blada, posępna. Przez szaty widać, jak jej pierś z lekka wzdyma się i opada cichemi a bezustannemi westchnieniami; zdaje się, że przez szaty widać, jak przysporzonym a nierównym ruchem serce w łonie kołace; choć słaba nadzieja zwiastowała się duszy, ale i obawa zarazem się do niej cisnęła. Złe i dobre w nie dalekiej oddali przed nią się jawią, a to spodziewanie się, to oczekiwanie tęsknotę i strach leją w duszę, dręczą serce; myśl wikła się w dziwną plątaninę. Na raz układa, przyspasabia wolę, upor, prożby, przebaczenie i radość i rozpacz. Biedna dziewica srogo cierpi, jedna tylko Panna Rozalja pociechami nadziei potrafi wydobyć na jej usta półuśmiech słodki, łagodny ale tęskny; ona była jak kwiat w więdnieniu, jak kropla osychającej rosy, jak barwa rozpierzchającej się tęczy, co to jednej i tejże samej chwili szlą na oko ludzkie i smutek, i słodycz; na które i miło i żal patrzeć.

Marcin Lanckoroński niby wesół, niby surowy, pora się, rozporządza, ale widać po twarzy, po mowie, że i jemu czegoś nie dostaje; może strach Bożego gniewu, może obawa ludzkich przeszkód; jednak niebo jasne; nie masz poznaki, żeby ludzie w czem przeszkadzali, ale to oczekiwanie, przeklęta rzecz, nie na rękę każdemu człowiekowi.

Już w zamku zapalono rzęsiste światła, pozapalano i beczki smolne. Kto zdala patrzy na Lanckoronę, widzi, jak ze złotego łuna wystrzela zamek wieżami i murami, jasno mu i na polach; ale kto z zamku patrzy na okolice, dla oka, tak tam ciemno, jakby do koła była pieczara bez szczelin.

Wszystkie panie siedziały w bawialnej komnacie; nie było między niemi rozmowy, tylko milczenie, kiedy nie kiedy przerwane słówkiem, co przypadkiem wyrwie się z ust, zabrzmi, skona, a nikt go odpowiedzią nie poratuje. Już Pan Wojewoda Wołyński zaczynał się niecierpliwić, kiedy za bramą od strony sioła wojenna trąba głośno i dzwięcznie zabrzmiała. Odtrąbiono w zamku; jakby mróz po za skórą wszystkich przebiegł, choć ten mróz był nie jednakiemi uczuciami wzniecony, nawet i Wojewodzina i Wojewodzianki go uczuły. Wtem za bramą palnięto jak ze sztucca, raz drugi, trzeci, czwarty, piąty, i szósty; Marcin Lanckoroński zerwał się: — Otwierajcie, to Pan Samuel — i wybiegł na ganek.

Jak pioropusz kwiatu kaliny zwiany wiatrem, tak Hetmanówna z krzesła osunęła się na ziemię. Panna Rozalja i Wojewodzina podnoszą ją; ona omdlona spojrzała, westchnęła i znowu zamknęła oczy, zawarła usta; służebnice przybiegły, trzeźwią ją; a tu most mocuje się i huczy pod tentnieniem koni, i na dziedzińcu już konie tentnią, podkowami z kamieni ognia krzeszą.

Przybyli goście; już z koni pozsiadali, na ganek weszli i do komnat idą. Czemuż Pan Wojewoda Wołyński ich nie wita, oczy w słup obrócił i stoi jak z kamienia wykuty, jakby go paraliż ruszył, mowę odebrał, taki niemy; wszak taką świetną biesiadę dla gości przysposobił? Oni mu nic nie mówią, przeszli koło niego, ostatni wziął go pod rękę i prowadził z sobą, a on słowa nie rzekl, nie oparł się, szedł jakby bez woli.

W komnatach rozbieglo się wołanie. — Pan Stefan Czarniecki! Pan Tetera! Pan Wąsowicz! — Hetmanówna już zaczynała przychodzić do siebie; na to wołanie zerwała się na nogi.

— Pan Czarniecki! — Semen! — i dłoniami złożyła ręce.

Tetera już przy niej, na kolanach, całował białą rączkę: — Mój Boże, Panno Joanno — i ciszej dodał — moja jedyna, moje kochanie, co ci jest takiego?

U niej łzy radości w oczach, krasa szczęścia na licach: — Nic, nic, mój Semenie; ja teraz szczęśliwa — i rzuciła się w objęcia Wojewody Ruskiego, jakby to był jej ojciec. Stefan Czarniecki jak córkę pocałował ją w czoło, potem wziął Wojewodę Wołyńskiego za rękę.

— Panie bracie, nie przyjechaliśmy tu z zajazdem, ani w chęci robienia złego Waszmość Panu. Waszmość Pan jeźliś pobłądził, to nie ze swojej woli, i my też na nim nie myślemy nic poszukiwać; patrz Waszmość Pan i czytaj — i pokazał mu testament nieboszczyka Hetmana i królewskie listy. —

Marcin Lanckoroński jakby nie swojemi rękoma przewraca papiery, jakby nie swojemi oczyma poziera po nich, a nic nie mówi.

Panna Joanna w zbytku radości w ręce całuje stryjenkę, w ramię stryja, siostry stryjeczne ściska, przeprasza jakby ona w czemkolwiek zawiniła; ta jej radość, ta jej serdeczność zaczęła rzewnić wszystkich, nawet w oku Wojewodziny łzy widać. Wojewoda Wołyński zaczął z osłupienia przychodzić i przemówił: — Ale Pan Gnoiński gotów na nas napaść? —

Stefan Czarniecki trochę pokręcił brodę: — Nie bój się Waszmość Pan, na siłę siłę mamy; a jest prawo i sprawiedliwość tu na ziemi, co się o swoje i upomni, nim przyjdzie zdać rachunek z życia przed Bogiem. —

Pan Wąsowicz, który swoim zwyczajem wszystkie niewiasty po staropolsku całując w rękę, powitał, stał teraz koło Panny Rozalji i muskał wąsa: — Mosanie, tyle lat przeżyłem nie w chałupie; włóczyłem się po tylu krajach, na wojnach z Turkiem, z Tatarem, z Moskalem, i z Niemcem. Niech mi tak

Bóg pozwoli jeszcze kilka lat powojować, jeźli nieszczerą prawdę mówię, że nic podobnego w życiu nie widziałem jak dziś. Płacz, strach, śmiech, radość, wszystko w kupę zmieszane. Niechajże Bóg święty da, żeby to wszystko było na szczęście Panny Joanny i Tetery, jak tego warci, a na chwałę i pożytek Ojczyzny, i Majestatu królewskiego tronu Polski.

Biesiadę spożywali choć nie ci goście, dla których była przyrządzoną; Ojciec Dąbrowski błogosławił, a Żytkiewicz jak na mękach prawił o Sakatmusie, o strusiach, o piramidach, o Nilu i Bóg święty wie o czem. Po swojemu w opowiadaniach ni razu z prawdą się nie spotkał, ni razu się nie zmieszał na zaprzeczenie jak gracz zając przed chartami, z obrotów się wymykał, przypadał, kominki dawał, a nie zostawił chartom w pysku ani omyka, ani turzycy nawet; tak on w mowie się wykręcał obrotami i kominkami. Kiedy już, już schwytano na łgarstwie o Czarnem morzu, zamydlił mowę, i ni ztąd ni z owąd, jednym susem skoczył do wywodzenia rodu Mniszcha, albo tam innego szlachcica polskiego, a kiedy go i tam złapano na gorącym uczynku, to rozpoczął rozmowę o źródle Nilu. Przyjechał od wody i zajechał do wody, wszyscy słuchali tej paplaniny o niestworzonych rzeczach; na raz taka nowość się podoba, wreszcie w gronie ludzi, między któremi jest coś na zawadzie otwartej rozmowie, taki człowiek, to nieoszacowany klejnot; gada za wszystkich, daje innym czas do rozmyślania, a śmiechem i żartami z siebie niejako łączy i jednoczy całe grono.

Pan Wojewoda Ruski, co mu nie często się zdarza, uśmiechał się i wąs gładził: — Waszeć bywalec, nie lubisz zagrzać miejsca, gdzież teraz powędrujesz, czy do Sakatmusy, czy do źródła Nilu?

— Jaśnie Wielmożny Mości Wojewodo, mój wielce miłościwy Panie, starość nie radość, milion pareset bomb, nie czas już mi tłuc kości po świecie; choć to jeszcze jakby trzeba za Króla naszego Jana Kazimirka, siadłbym na konia, i tego szelmę zdrajcę Herubka na drobnebym kawałki porąbał; ale teraz milion pareset bomb, Herubek i sam jak pies na śmieciu zginie, a ja wyproszę sobie u Jaśnie Wielmożnej Panny Hetmanówny, daj Boże jak najprędzej Jaśnie Wielmożnej Starościny Bolestraszyckiej, pasieczysko gdzieś tu na Rusi; założę pasiekę i będę pasiecznikiem, milion pareset bomb; ja to znam nad Nilem. —

Wąsowicz mu przerwał mowę: — Mosanie, bądź sobie i pasiecznikiem, mniejsza o to, tylko proszę Waszeci nie ucz łgać swoich pszczół, bo jak nauczysz ich łgarstwem miód robić, to ten trunek naszych ojców z Waszecia pasieki, będzie nam po brodzie ciekł, a w gębę ani kropelki się go nie dostanie: — Żytkiewicz się śmiał i dalej prawił.

Wychylano kielichy starego wino za rozmaite zdrowia. Pan Wojewoda Wołyński pił także, sam wniósł zdrowie przyszłych małżonków, synowicy swojej i Starosty Bolestraszyckiego; tem go mianem zwał, nie Teterą; bo wtem chciał postawić na swojem i postawił, i nikt mu nie przeczył tej pociechy. Chcąc pokazać, jak szczerze chce poprawić złe co zrobił, oświadczył, iż jego życzeniem jest, aby zaraz po biesiadzie obchodzić uroczyście zaręczyny, ale Panna Joanna chciała aby dnia jutrzejszego była msza żałobna w kaplicy za duszę nieboszczyka ojca, a potem zaręczyny, i na to się zgodzono.

Już miano się zabierać do spoczynku, a żadnej wieści nie było o Samuelu Gnoińskim. Pan Wojewoda Ruski wysłał wprawdzie Stępkowskiego na drogę ku Kalwarji, żeby zapobiedz zamiarom Starosty Hrubieszowskiego, a nawet go pojmać do stawienia przed trybunał, jak go do tego trybunalski Lubelski wyrok upoważnił, myślał tedy, że tak się stało. Wtem nagle zasłyszano jakiś głuchy rozruch na dziedzińcu. Tetera i Wąsowicz wybiegli już z komnat, kiedy drzwi się otworzyły i wszedł sotnik Owsij, a z nim szlachcic z białym wąsem, z białym kosmykiem włosów na głowie. W wytartych zapylonych szatach, w ręku trzymał gwintowy sztuciec, a tak silnie jakby mu palce zaklęsły w żelazo lufy. Wąsowicz zawołał: — Radzik.

Hetmanówna, Panna Potocka i Tetera powtórzyli: — Radzik — i przystąpili ku niemu.

On roztwiera oczy, i dziwnym blaskiem z nich strzela na Hetmanównę: — Boże wielki! cud! cud! to ona — mara — ja ją widziałem — tam — tam — ha — ha — ciało trup — dusza djabłu — ha — ha. — Krew mu wystąpiła na lice, z łysiny zda się kurzy, a usta gorączką się zapiekły, zęby o zęby stukają, a słowa nad to co powiedział dopytać się nie można.

Stary Owsij kręcił głową: — Ojcze Wojewodo, Ojcze Watażko, jakieś licho przystąpiło do Pana Radzika. To my jego znamy nie od dziś, nigdy takich sztuk nie robił; to tak przyleciał od Kalwarji drogą, jakby djabeł i jego i konia poganiał, koniaka pewnie zdechnie. Jak nawiedzony krzyczał: chłopcy za mną! Hetmanównę zabrali! chodźmy odbijać. My jemu mówimy: Hetmanówna, a on swoje: tam, tam, ja zabił szelmę; na koń chłopcy! ruszajcie! To ja jego, jak dobrego przyjaciela z konia zdjął i tu przyprowadził. Sztuciec tej nocy wystrzelony, jeszcze jest farba, ale z prochu — wsadził palec w lufę, wyjął usmarowanego czarno, powąchał — proch dzisiejszy.

Radzik ciągle bełkotał: — Ha — ha — ciało trupa — dusza djabłu. Ona tam, ona tu. Cud! cud! ha — ha i chciał się do nóg rzucić Hetmanównie.

Ona się go nie boi, podnosi: — Panie Radzik. —

— Ha — ha — to ona, moja pani. Ciało trup — dusza djabłu! ha — ha — i bełkotał, nim go wzięli i zawiedli do spoczynku.

Wojewoda Wołyński jak w tęczę patrzy w starego Owsija. Sotnik przybliżył się do niego: — Jaśnie Wielmożny Panie, dziękuję wam za chleb i sól coście mi dali dzisiejszego ranka, daj Boże wam odpłacić, ta inaczej jak ja teraz zrobił. Ja wam zagrał i zaśpiewał, a dobrze, widzicie. Jaśnie Wielmożny Panie: kulawego do tańca, ślepego do strzelania, a pijaka do posyłek nie używajcie; na ten raz to dobrze się stało, a na drugi, to możeby i niekoniecznie było dobrze.

Tego samego dnia w Kalwarji inaczej się działo jak za zwyczaj; choć to ani jarmark, ani odpust, ani niedziela, ani święto kościelne, tylko dzień powszedni, roboczy. Od wczoraj rana naściągało się mnóstwo zbrojnego ludu, jakby tam obóz miano zakładać. Mieszczanie Kalwarji wiedzieli, że już wroga wyparowano z polskiej ziemi, ale myśleli sobie, że nowy jakiś przyszedł, bo to nie nowina. Nie dziwi ich tedy kupienie się ludu zbrojnego nieznanego im po większej części; tylko z lackiej i ruskiej mowy wnoszą że to bracia, i na jakiegoś wroga gonią.

O świcie organista przedzwonił na Anioł Pański, i wtenczas kiedy dziadek kościelny zamiatał w kościele, on z założonemi w tył rękoma przechadzał się koło karczmy tuż stojącej podle kościoła. Spluwał, i do koła patrzył, jakby nudził się i czekał żeby kto go zaprosił na wódeczkę.

W karczmie już drzwi i okna otwarte, żydówka zamiata, za stołem siedzi kilku wojaków i popijają sobie, żyd boruchy odprawia i posługuje panom wojakom, a pod stołem, na ławach i pod ławami, na żydowskich pieluchach, leżą i chrapią takoż wojacy co całą noc pili i hulali.

Nareszcie nadszedł sołtys: — Niech będzie pochwalony, Jędrzeju, czy nie będzie wola na kwatereczkę?

— Dziękuję Janku, teraz nie mogę; nie mam czasu — i patrzył w ulicę.

— Co tam czas, to nie zabawi, wypijemy i pójdziemy.

— Słuchajcie no Jędrzeju, jacy to goście do klasztoru dziś w nocy zajechali?

— Ksiądz jakiś, z Krakowa czy z kąd inąd, przyjechał w odwiedziny do naszego.

— Ksiądz dwoma kolasami? — Jędrzeju nie prawdę mówicie; przechodziłem koło klasztoru, kolasy pochowane, ani śladu żeby tam kto był; ci wojacy, te kolasy, coś to się wtem święci. Jędrzeju chodźcie, napijemy się.

— Dajcie mnie czysty pokój, co wam tam się po głowie roi — wtem jakiś mały człowieczek przybrany w ciemną kapotę, przeszedł koło nich i wszedł do kościoła.

— A widzicie Jędrzeju, znowu jakieś nowe djable; Ksiądz Gwardjan Pawsza mawiał: że na dworze królewskim są jakieś malutkie niedorostki, jak on ich nazywa karliki. Może to Król Jegomość przyjechał. Otoż by to było szczęście dla Kalwarji. Powiedźcie Jędrzeju prawdę; chodźmy, napijemy się za zdrowie Króla Jegomości, to nasz Pan, Król Polski — i ciągnął organistę za rękę do karczmy. —

Organista wyrwał mu się: — Janku puśćie mnie; teraz nie mogę, bądźcie zdrowi. — Pośpieszył ku idącemu szlachcicowi i razem z nim zaszli za kościoł.

Sołtys zajrzał zgrzybiałą twarz szlachcica i wypłowiałe szaty, nawet zdawało mu się widzieć, że pod kontuszem miał skryty czy buzdygan czy laskę, bo na stronie przeciwnej szabli poła w jednym tylko miejscu odymała się i to grubym basamanem. Przez ciekawość, zwyczajnie Sołtys co wszystko chce widzieć i słyszeć, nie poszedł na wódeczkę, ale zakradł się pod murem kościoła, czy nie zasłyszy jakiego słówka. Jakby mu na rękę, oni za dzwonnicą gadali, a on mógł się wsunąć do dzwonnicy. Oku nie bardzo mógł dogodzić, bo szlachcic ciągle do niego był plecami obrócony, a organisty twarz nie ciekawa dla niego, ale uchem chwytał niektóre dźwięki ich mowy.

— Ona tu.

— Tu.

— A widziałes?

— Nie, ale wiem.

— A jego nie ma?

— Nie, ale dziś będzie, tylko co nie widać.

— Szelmy! a ten huncwot stryj?

— Nie wiem.

— Widziałeś jak przywieźli?

— Żonka widziała, zamknięta, nikogo nie puszczają.

— A co robi?

— Płacze.

— Ha szelmy! a ksiądz?

— Ten sam, co wtenczas. —

Coś ciszej rozmawiali, potem znów trochę głośniej. — A tam nie można?

— Nie, ale u mnie; a potem przez furtkę pod lipy.

— Dobrze, pamiętaj daj znać zaraz, my dawni znajomi.

— O dawni, pamiętam i ja służył u nieboszczyka pod Panem. Bądźcie spokojni, idźcie teraz do starej, nikt nie będzie widział. —

Stary szlachcic oddalił się, a organista jeszcze patrzał za

nim. Sołtys cichutko wysunął się z dzwonnicy, a dla tego żeby go nie posądzono o podsłuchiwanie, a może też przez nową ciekawość wszedł do kościoła, trochę pomyślał: gdzieś ja znam tego starego panka; taki głos, taki wzrost, szkoda żem twarzy nie widział, ale ten Jędrzej na starość nie zapomniał, że był kiedyś hajdukiem. A ta ona? coś tu się święci. To przemyślanie przerwał głos modlącego się człowieka; patrzy, to ten mały karlik przed ołtarzem klęczy i modli się, ale jak głośno?

— Boże Wielki, Niepojęty, i Nieśmiertelny, zlituj się nademną, przebacz mi; bezbożnik, chciałem rozumem twoje wyroki odgadywać; grzech wielki popełniłem. Żal mój wielki, szczery; korzę się przed Tobą, nie odpychaj mnie od siebie, Ojcze nasz, Panie nasz. Zlituj się nad nią, zachowaj ją od nieszczęścia. O Boże mój Boże! — podnożek ołtarza całował, bił się w piersi, przeżegnał się krzyżem świętym, wstał i wyszedł z kościoła, a Sołtys za nim. —

Wprost udał się do klasztoru, a śledzącemu Sołtysowi różni ludzie zachodzili drogę, o różne rzeczy pytali; on musiał gadać i w duszy ich klął, że mu nie dali dogodzić zaoskomionej ciekawości.

Już po południu; w klasztorze ojców Bernardynów wszystko coś tajemniczo się odbywa. Na dole okienice od dziedzińca pozamykane, chociaż promienie słoneczne nie z tej strony się cisną. Jak kto przyjdzie z potrzebą do księdza Gwardjana, to natychmiast go odsyłają do oficyn do księdza gospodarza; chociaż ksiądz gwardjan Pawsza dobry, przystępny, z każdym człowiekiem rozmawia, każdemu rady i pomoc daje, po chrześćjańsku, po kapłańsku. Zakazano nawet księżom Bernardynom chodzić do ogrodu a oni to lubią po nabożeństwie czytać żywoty świętych pańskich, albo rozpamiętywać pod staremi lipami.

Sam ksiądz Gwardjan siedział teraz w ogrodzie na ławce i rozmawiał z młodym jezuitą.

— Jak to Wielebny Ojcze, on chce wstąpić do zakonu?

— Tak Ojcze, z tego co mi mówił, widać że ma powołanie szczere; będzie to z chwałą Bożą, z pożytkiem kościoła. —

Młody jezuita się uśmiechnął: — Dałby to Bóg. —

— Ojcze, skąd to powątpiewanie, może co wiesz?

— Nie chcę mówić, bo to by mogło przeszkodzić jego nawróceniu; Gwardjan usta otwierał do nowego zapytania, kiedy z klasztoru wyszedł mężczyzna dostatnio przybrany, poważnego wieku; Gwardjan prosił go siadać. — I jakże Mości Starosto, czy ma się lepiej?

— Lepiej trochę, ale ciągle płacze nieboraczka. —

Jezuita ruszył ramionami: — Panie Starosto, pozwól sobie powiedzieć, że ta podróż wcale nie była potrzebną i jeszcze

Bóg wie jak się to wszystko skończy; jabym go potrafił może uchodzić, a teraz nie wiem czy mi się uda; żeby przynajmniej można wymódz, aby odstąpiła zamiaru widzenia go.

— Trudno ojcze Woto; ona chce, a to kobieta, córka mojego dobrodzieja. —

Gwardjan zażył tabaki: — Ojcze Woto, ja z tego wszystkiego nie wiele rozumiem; jeźli potrzeba, wiedzieć chciałbym, ale nie myślcie aby to miało być zapłatą gościnności jaką wam z serca daję, i bez tego wszystko zrobię co zechcecie. —

— I owszem. Wielebny ojcze, wiesz o układach między Wojewodą Wołyńskim a Starostą Hrubieszowskim?

— Wiem i naganiałem one.

— Otoż ja z mego obowiązku i przez przyjaźń dla ojca Dąbrowskiego umyśliłem temu wszystkiemu przeszkodzić; za pomocą Chorążego Koronnego potrafiłem kilka dni zatrzymać Starostę Hrubieszowskiego we Lwowie, aby temczasem Pan Wojewoda Ruski mógł ubiedz i zniweczyć zamiary. Pani Podkanclerzyna wiedziała o zbiorze służby Gnoińskich w Kalwarji, o wyjeździe Starosty, zgoła o wszystkiem. Jakim sposobem, to tego nie wiem, ale wiem że przez Pana — wskazał rękę na Służewskiego: — Ja przyznam się, że czuję jakiś pociąg do tego Starosty, mimo że mnie więził; chciałbym go ocalić, a innego ratunku nie masz, tylko małżeństwo z Panią Podkanclerzyną.

— Ojcze, miejmy nadzieję w Bogu, jakoś to się zrobi. —

Służewski aż powstał z ławy. — I jakieżby to dobrodziejstwo było, ona go kocha, a to Służkówna.

Ojciec Wota tylko ruszał ramionami: — Dałby to Bóg, ale nie wiem. —

Ku wieczorowi się zanosiło, słońce na dobry wieczór ziemi słało promienie złote, piękne a tęskne, i oblicze jego choć jasno błyszczy, ale nie wesoło. Słońcu żal za ziemią i ziemi żal, ale nie bardzo, bo znużona skwarem, chłodem się teraz cieszy. Po jednej z dolnych komnat klasztoru przechadzała się Pani Podkanclerzyna, a sama jedna w niej była. Pięknie jej było, z tem okiem stroskanem a pałającem miłością, z tą twarzą na przemian to bladą jak chusta, to rumianą jakby krwią się farbowała, z tym kruczym włosem jakby umyślnie w bezładne sploty rozpuszczonym na szyję i ramiona; z tą kibicią roskoszną i okazałą, a nadewszystko z tym wyrazem oblicza, na którem zwiastowały się co do jednego wszystkie a wszystkie uczucia rozkochanego serca, roznamiętnionej duszy: — Oni chcą żebym ja go nie widziała, ludzie bez litości! Jak dziecko chcą mię ukołysać obietnicami, wycackanemi słowami, ja przyrzekłam! O nie, nie, ja go muszę widzieć; do nóg mu nawet padnę; nich mnie odepchnie, umrę — a po-

tem. — Oh, ja tego nie przyżyję — ja go tak kocham. On mnie kiedyś kochał: — Wtem drzwi się otworzyły i weszła Panna Dowmuntówna.

— Przyjechał.

— Kto? on?

— Pan Starosta Hrubieszowski.

— Gdzie jest? — i chciała wybiegać.

— Tu — i porwała ją w pół: — Na miłość Boga, niech Pani nie wychodzi, on tak się gniewa.

— Puść mnie moja droga, puść mnie — i całowała jej ramiona. —

Tam w drugiej komnacie słychać wyraźnie gromki głos Samuela Gnoińskiego: — U sto djabłów niech zaraz na koń siadają. Ja was tu nauczę. Dajcie mi pokój z temi księżowskiemi radami; zaraz w drogę, u stu djabłów: — Słychać było jak uderzył nogą we drzwi od ogrodu, szklanne szyby z brzękiem się roztłukły, z trzaskiem i hałasem odźwirki roztwarły się na rozciesz.

Dowmuntówna ze strachu wypuściła z ujęcia kibić swej Pani, a Podkanclerzyna wypadła z komnaty, krzyknęła: — Samuelu! i czyli chciała mu się rzucić w objęcie, bo osunęła się na ziemię, przed jego kolana.

On cofnął się, ręce splótł nad swoją głową, i tak przycisnął, jakby chciał czaszkę sobie zmiażdżyć: — Ona! — jeszcze ona!

Tu strzał huknął w ogrodzie. Gnoiński przeraźliwie krzyknął: — Djabeł! — rękoma złapał się pod lewą pierś; zębami zgrzytnął, zbladł, zachwiał się i padł na ziemię. Podnoszą go z ziemi, kładną na łożu.

Pani Radziejowska koło łoża klęczy, ojciec Wota krzyż święty do jego ust podaje, on nie jęczy, nie skarży się, nic nie mówi, tylko spojrzał. Zdaje się ustami poruszył po świętym krzyżu; zdaje się jakby chciał podać rękę Podkanclerzynie, otworzył usta jak do mowy, westchnął i skonał.

Tymczasem ludzie rzucili się do ogrodu, znaleźli i do komnaty prowadzą, niosą raczej, kogo? Drogoniusa. On targany, przestraszony, bez żadnej broni, woła: Puszczajcie mnie, ja niewinny — ale skoro zobaczył trupa, i piękną Elżbietę przy nim, łzami zalaną, w łkaniach, cisnącą do swych ust trupa rękę, przeraźliwym głosem krzyknął: — Zabijcie mnie, zabijcie.

Już szable wzniosły się nad jego głową, ale ojciec Wota zasłonił go od śmierci: — Ludzie, nie gubcie duszy grzesznika: — Darmo szukano strzelby w ogrodzie, nigdzie jej znaleść nie można było; po całem mieście gadano, to pies czarownik, djabłu zaprzedany, bez strzelby i prochu strzela; bez kuli zabija; trzeba go utopić, bo od miecza i szubienicy

jeszcze gotów się wywinąć. Organista tylko nic a nic nie mówił, a Sołtys słuchał, przemyślał, i pokręcał głową.

Nazajutrz przybył do Kalwarji Pan Stępkowski z wojskiem i rozkazem Króla Jegomości; powieziono ciało Samuela Gnoińskiego w Lubelskie do Krupy, Strynża przy niem jechał, a mnoga i zbrojna służba szła przy grobowym wozie.

Powieziono rozpaczającą Podkanclerzynę do Krakowa; z nią pojechał wierny Służewski, ojciec Wota i Panna Dowmuntówna.

Poprowadzono więźnia Drogoniusa do Lanckorony do Pana Wojewody Ruskiego.

Tam w Lanckoronie stary Radzik w ciągłej gorączce gada a gada — ha ha, ciało trup, dusza djabłu; ona moja Pani, ona tu — jam ją tam widział na klęczkach u nóg, u niego. — Tam — ciało trup, dusza djabłu, ha ha: — Darmo go pytają, darmo księża chcą go spowiadać, on nic więcej nad to nie mówi. Trzy dni tak się męczył, czwartego — stara Radzikowa przyjechała, wszystkich świętych i święte wzywa ku pomocy; gorączka zwolniała, wyspowiadał się, przyjął ostatnie pomazanie i umarł jak chrześcjanin.

Radzikowa ręce załamała: — Boże zmiłuj się nad jego duszą. Święta Marjo, Jezu Chryste wstawcie się za nim. Święta Urszulo dzięki ci, że przynajmniej umarł w Lanckoronie, i po spowiedzi.

Pan Wojewoda Ruski kazał wypuścić na wolność Drogoniusa, i wszyscy z Lanckorony wyjechali do Krakowa.

W niewiele tygodni później, kiedy już nogi Szweda nie było na Polskiej ziemi, w Krakowie uroczystym festynem obchodzono jednego dnia ślubowiny Joanny Lanckorońskiej, Hetmanówny polnej Koronnej Wojewodzianki Ruskiej z Semenem ze Swiatopełków Teterą Starostą Bolestraszyckim i Bobimowskim, pułkownikiem kozaczego pułku, i zaręczyny Anny Sapieżanki Wojewodzianki Wileńskiej z Janem Czarnieckim Starościcem Zakroczymskim, pułkownikiem królewskiej dragonji.

Na tym uroczystym obchodzie przytomni byli: Król Jegomość i Królowa Imość, Pan Wojewoda Ruski, Państwo Wojewodzstwo Wileńscy, Państwo Wojewodzstwo Wołyńscy, Panna Podkomorzanka Podolska, Hetmanowie Korony i Litwy, dostojni Senatorowie, duchowni i świeccy Panowie, Pan Oboźny, stary Owsij, szlachta rycerskiego koła, kozacy, Skarbnik Błotnicki, Służewscy, ojcowie Jezuici, Wojewodzic Kaliski, Ludwika z Grosouvre, Panie, Panny, Margrabia Montresor, Hrabia z Châtre, Hrabina z La-Grange, Żytkiewicz, i inni wszyscy, oprócz Podkanclerzyny unikającej świata; oprócz Drogoniusa gdzieś rozpaczającego, czy modlącego się

na pustyni; oprócz Radzikowej w żałobie, i oprócz Szwedów i zdrajcy Radziejowskiego.

Do ślubu pannę młodę prowadzili: Potocki brat Panny Rozalji i Sapieha brat Panny Anny. Od ślubu odprowadzał sam Król Jegomość z Wojewodą Ruskim. Do ślubu prowadziły pana młodego: Rozalja Potocka i Anna Sapieżanka nowo zaręczona. Od ślubu odprowadzała sama Królowa Imość z Panią Wojewodziną Wileńską.

Przez dwanaście dni bez przestanku gody trwały, biesiadowano, hulano. Wojewoda Ruski ciągle wąs pomuskiwał, brody ni razu nie pokręcał. Krzysztof Wąsowicz ciągle przy kielichu powtarzał: Szanujmy majestat tronu, słuchajmy królewskiej władzy; nie wadźmy się między sobą, bijmy wroga, a będzie Polska potężna, wielka, po wieki wieków.

A ojciec Dąbrowski, takoż z kielichem w ręku zawsze dodawał: Amen.

P R Z Y P I S Y.

Aby uniknąć za nazbyt częstego powtarzauia, że to lub owo jest historycznem, naprzód uznaję za potrzebę oświadczyć czyteluikom, że wszystkie główne osoby tej powieści, równie jak większa część wypadków są historycznemi; źródła z których czerpałem są: Klimaktera Kochowskiego, podróże Pana Labonreur o poselstwie Pani de Guebriant do Polski, Korespondencje Pana Desnoyers z Panem Bouillot, Wojna szwedzka przez Puffendorfa, życie Stefana Czarnieckiego przez Ks. Krajewskiego, i inne dzieła ściągające się do Panowania Jana Kazimierza w Polsce.

Stronica 3, *wiersz* 18. Clermont sławny perukarz w Polsce za panowania Jana Kazimierza i Jana Sobieskiego przywiezionym był z Francji przez Marją Kazimirę, naprzód żonę Zamojskiego Wojewody Sandomirskiego, a póżniej Króla Jana III.

Str. 2, *w.* 25. Diana z Poitiers najpiękniejsza kobieta we Francji za panowania Franciszka I. i kochanka tego Króla.

Str. 4, *w.* 25. *Marty*, *mantele.* Salopki kobiece, mantalety płaszczyki krótkie kanonicze, przez kobiety używane i zwane przez nie mantylkami. Robrona z francuzkiego robe ronde, gatunek sukni francuskiej noszouej za czasów Jana Kazimierza.

Str. 4, *w.* 27. Agnieszka Sorel kochanka Karola VII, niewiasta wielkiego serca i szlachetnej duszy; ona swoją odwagą i wytrwałością utrzymywała ducha w tym Królu, który z całego państwa swojego nie mając tylko jedno miasto Bourges, i dla tego zwany Królem z Bourges, doczekał się chwili, w której Boże natchnienie dziewicy Orleann i waleczność Dubois wróciły mu i koronę i królestwo zawłaszczone przez Anglików.

Str. 5. Strój Hrabiego z Châtre jest taki jaki noszono wówczas we Francji; *gradetur* rodzaj materji tęgiej jedwabnej, *mora* takoż materja jedwabna, mniej mocna; *cielistego pudru* używano do posypywania peruk. Ob. *ubiory w Polsce* przez Gołębiowskiego.

Str. 15. Hieronim Radziejowski Podkanclerzy Koronny, ożeniony z Elżbietą Służkówną Wojewodzianką Trocką, pierwszym ślubem zamężną Kazanowskiemu Kanclerzowi Koronnemu i owdowiałą po nim. Radziejowski wprzódy protegowany przez Jana Kazimierza, potem z przyczyny milostek żony, do których się przymieszały i zawiście prywatne zazdrośnych Radziejowskiemu, został sądzonym i wskazanym na bannicją. Udał się w tenczas do Szwecji i tam polubiony przez Kanclerza Szwedzkiego Oxenstjerna potrafil nakłonić Karola Gustawa do najechania na kraj Polski.

Str. 6. *w.* 8. *Wić*, powolanie szlachty do pospolitego ruszenia.

Str. 6. *w.* 17. *Ujście*, liche miasteczko nad Notecią.

Str. 6. *w.* 23. Ludwika Marja Księżniczka Gonzagi, żona naprzód Władysława IV. a po jego śmierci Jana Kazimierza. Wszyscy historycy zgadzają się, iż to była Pani wielkiego animuszu i nieugiętej woli; kochała ona serdecznie Polskę, marzyla i wszystko robiła dla sławy i wielkości królestwa, które ją przybrało za Królowę. W jednym z jej listów znajdujących się w rękopiśmie, pisze: Polacy są stworzeni do wielkich czynów, tylko brak im jedności, ładu i dzielnego Króla; powiada, że gdyby Gustaw Adolf albo Karol Gustaw był Królem Polskim, zawojowałby cały świat z nimi, i panował nad nim. Historycy francuscy a szczególniej Romansiści spotwarzają Ludwikę Marją, jakoby miała kochankiem hrabiego Cinq-Mars polubownika Ludwika XIII. Są jednak dowody w listach osób przybocznych Ludwiki Marji, iż ona umarła w dziewictwie.

Str. 6. Ubranie Królewskich komnat stósowałem do opisów robionych przez Laboureur. *Altembas* materja jedwabna turecka grubo tkana ze złotem, w tureckim języku tak zwana od *altyn*, zloto. *Brokadja* rodzaj złotogłowu wyrabiany we Włoszech.

Ubiory niewiast i mężczyzn są jak najwierniej opisywane według podań pisarzy owoczesnych, albo piszących o ówczesnych czasach. *Beret* strój na głowę. *Alszmbant* ubior do przyozdobienia szyi, rodzaj halsztuka ozdobiony drogiemi kamieniami, używany przez kobiety, a przywieziony z Niemiec. *Kiwior* wysoka a szeroka czapka kobieca z aksamitu ozdobna kamieniami. *Bawolet* ubior kobiecy na glowę, z francuskiego Bawel. *Regina* rodzaj wysokiego czepca.

Szłyk, kołpak sobolowy używany przez poważne matrony.

Str. 7. Hrabina z La-Grange, ochmistrzyni Ludwiki Marji jeszcze Księżniczki Gonzagi, Matka Wojewodziny Sandomirskiej, później Królowej Marji Kazimiry.

Str. 7. Margrabia Montrezor wskazany na wygnanie za należenie do spisku Hrabiego Cinq-Mars, osiadł w Polsce, i do dziś dnia ta rodzina istnieje na Ukrainie.

Str. 8. Jan Stefan Czarniecki, Syn Piotra Czarnieckiego Starosty Zakroczymskiego, dowódzcy twierdzy Częstochowy za panowania Jana Kazimierza.

Czarnieccy; Czarnieckich rodu dziś w Polsce nie masz, ale są Czarneccy którzy się pieczętują herbem Łodzia; oni utrzymują, że są z tej samej rodziny co Stefan Czarniecki. Historycy Rossyjscy mówiąc o Stefanie pisali go Czarneckim. Nasz znakomity bibliograf i pisarz Karol Sieńkiewicz, powiadał mi o dokumencie podpisanym przez ojca Stefana nazwiskiem Czarne-

cki; ja jednak poszedłem za powagą słuszną czy nie słuszną ale używaną przez wszystkich pisarzy historycznych w Polsce, jako za rzeczą lepiej znaną, i zwę wszedzie Czarnieckimi.

Str. 9. Szata z różowego atłasu była przysłaną przez Szacha perskiego w podarku Ludwice Marji żonie Władysława IV., poseł Szacha oddając podarek zwał Władysława Wielkim Królem; *historyczne.*

Strój Jana Kazimierza jest takim, jakim go opisuje Pan Laboureur; nosił się bez wąsów i miał czapkę bobrową jeznicką.

Str. 11. Sapiehowie byli dawnymi Książętami Ruskimi, ale nie nosili tego tytułu, aż po wojnie Wiedeńskiej, kiedy Cesarz Niemiecki mianował ich Książętami Cesarstwa.

Str. 14. Nieszczęsne zdarzenie pod miasteczkiem Ujściem nad Notecią jest historycznem; szlachta poczciwa chciała wojować za Ojczyznę, ale Wojewodowie kwiat Wielkopolskiej ówczesnej arystokracji, uciekli i pociągneli szlachtę za sobą do sromotnego czynu.

Str. 15. Chorążym Koronnym był podówczas Aleksander Koniecpolski, brat Michała Koniecpolskiego Wojewody Halickiego, po nim Chorążostwo dostało się Janowi Sobieskiemu.

Str. 16. Zastawa wieczerzy jest opisaną częścią z opisu znajdującego się w podróży Pana Laboureur, częścią z innych starożytnych opisow.

Str. 17. Służba Króla i Królowej tak była ubraną; obacz: ubiory i stroje starożytnej Polski.

Str. 17. Krzysztof Wąsowicz Starosta Żytomirski, później Chorąży Sandomirski, mąż historyczny.

Str. 19. Mnogość zdrowiów (toastów) była spijana na ucztach Królewskich i wielkich panów, a potem ten obyczaj przeniósł się do szlachty; obacz Reja z Nagłowic.

Str. 20. Samuel Gnoiński potomek sławnego Żegoty herbu Warmja Burgrabiego Krakowskiego za Bolesława Krzywoustego, wnuk Zborowskiego, dumny szlachcic; to co o nim mówię, jest po większej części historycznem.

Str. 29. Stefan Czarniecki nosił się zawsze z arabska, i w jasnych barwach, na wielkie uroczystości nosił starożytną zbroję i w niej tańcował; w młodym jeszcze wieku zrobił uroczyste wotum nie tańcować inaczej jak w zbroi. Mimo nawykłość do wojennego życia, lubił bardzo zabawy; kiedy był w dobrym humorze, pokręcał wąsa; kiedy zaś był gniewnym, kręcił brodę. Miał małą rękę i nogę, oczy czarne, twarzy śniadej, nadzwyczajnie żywy i często się niecierpliwił.

Str. 29. Semeny, pułk kozacki, który ciągle na wszystkich wyprawach był ze Stefanem Czarnieckim, zwał się Semenami, od imienia dowódcy pułku Semena Tetery z rodu Ruskiego Światopełków. O Semenach wspomina w swoich pamiętnikach Pasek. O Semenie Teterze wzmiankuje korespondencja Pana Desnoyers, a obszernie pisze Bantysz Kamiński w swojej historji Mało-Rossji.

Str. 37. Mieszczanie Magistratu Warszawskiego, Krakowskiego, Wileńskiego i Kijowskiego mieli przywilej noszenia szabel, inni zaś nosili laski

ze złoconemi lub srebrzystemi gałkami. Łyczakami zwano mieszczan małych miasteczek dla tego, iż nosili łyczakowe pasy.

Str. 51. Kiedy Jan Kazimierz wyjeżdżał z Warszawy, jaskółka białego koloru wyleciała i okołowała królewskiego konia, koń się rosparł i nie chciał kroku ruszyć; tenże sam koń, kiedy Król wracał do Warszawy, brał na kieł, i niósł go całym pędem do stolicy; obacz korespondencje Pana Desnoyers.

Str. 57. Karol Gustaw w poczcie kilkudziesięciu koni przyjechał na obiad do Wojewody Kaliskiego Andrzeja Grudzińskiego do Piątka, gdzie było kilka tysięcy szlachty zbrojnej. Szwedzi przyboczni naigrawali się już wtenczas ze szlachty korzącej czoła przez obcym panem; *historyczne*.

Str. 57. Szlachta Wielkopolska przeszedłszy na stronę Karola Gustawa, za największe powody swojego przeniewierstwa ku prawemu Panu oświadczała: że Jan Kazimierz wywlokł się z księżowskiej sukni, i ożenił się z wdową po bracie.

Str. 58. Żytkiewicz Julian, szlachcic z Podlasia, używany przez Radziejowskiego do rozmaitych posług, jest osobą historyczną.

Str. 60. Rabin Aron Becal jest osobą historyczną, jego syn był używanym do rozmaitych interessów przez Króla Jana Sobieskiego; obacz życie tego Króla przez księdza Coyer.

Str. 66. Drogonius znakomity alchemik za czasów Władysława IV. i Jana Kazimierza, był przyjacielem Mikołaja Żórawskiego professora akademji krakowskiej, i Łysińskiego oskarżonego o czarnoksięstwo, o których mówią Klimaktera Kochowskiego i l'abbé Coyer w życiu Jana III. Ten Drogonius nie jest wcale z rodziny Drogoniów znanej w Krakowskim i na Wołyniu dziś żyjącej. Inocenty Drogoń, mój dawny znajomy i dobry przyjaciel jeszcze w kraju, a dziś podzielający ze mną tułactwo, powiadał mi, że jego ród pochodzi z Francji, i w samej rzeczy w dawnych kronikach francuskich znajdujemy wzmiankę o rycerskim rodzie les Seigneurs de Drogognes; jeden z nich za Ludwika XI. był Biskupem w Nantes. Nienależy tedy za jedno brać rodziny szlacheckiej Drogoniów za Drogoniusów Krakowskich. Przydałem mu imię Inocencius dla tego, iż w starych rekopismach znalazłem J.......us Drogonius..

Str. 74. Elżbieta Służkówna Wojewodzianka Trocka, zamężna po raz pierwszy Kanclerzowi Kazanowskiemu, później za Hieronimem Radziejowskim, z nim się rozwiodła i udała się pod opiekę Króla; niektórzy pisarze powiadają o miłostkach Jana Kazimierza z Panią Radziejowską, i Radziejowskiej przyznają wielką zalotność.

Str. 102. Ta przepowiednia z ksiąg Liwjusza jest historyczną. Klimaktera Kochowskiego tom II.

Str. 124. Zbieranie kul przez dzieci mieszczan Krakowa i ich przegróżki, są historycznemi; obacz życie Stefana Czarnieckiego przez księdza Krajewskiego.

Str. 129. W roku 1832 zwiedzałem zamek Lanckoroński; jeszcze są ślady dawnego przekopu, wałów i strzelnic; wszystko tam było na podobieństwo zamków rycerzy Templarjuszów; zupełnie na to podobieństwo

jest pobudowanym zamek w Hochsted w Szląsku nad drogą z Białej do Cieszyna.

Str. 131. Stara piosnka ruska: śpiewają ją wszyscy chłopi, każdy polak zrozumieć ją łatwo może, jednak daję jej dosłowne tłumaczenie.

Kto chce Annę poznać,
Proszę mnie popytać,
Ja wam powiem prawdę szczerą
Tylko proszę was o wiarę.
Ona ładna jak jagoda,
Miła jak na wiosnę pogoda,
A w rumieńcu taka siła,
Że wszystkie kwiaty pogasiła.

Str. 132. Na Ukrainie Stefana Czarnieckiego przezwali chłopi: raba sobaka, raby pies, z przyczyny ospowatej twarzy, a razem przez nienawiść, jaką ku niemu mieli za okrutne postępowanie na Ukrainie w czasie kozackich wojen. Pod Monasterzyskami kula wyrwała Stefanowi Czarnieckiemu podniebienie; w Monasterzyskach dowodził wtenczas Bohu pułkownik kozaczy Bracławskiego pułku.

Str. 139. Tłumaczenie snu opisałem zupełnie według sławnego sennika drukowanego w Berdyczowie, nie pamiętam już którego roku, ale bardzo ciekawego. Zdaje mi się, że autorem tego sennika był Pan Kisłowski, professor matematyki w Berdyczowskich szkołach, i astronom obserwatorjum tego miasta; pamiętam, że ile razy który z nas do domu wracał, musiał zawieść rodzicom przynajmniej parę eksemplarzy tego sennika, a za powrotem przywieść pieniądze za nie; poczciwy professor tym sposobem utrzymywał swoją liczną rodzinę.

Str. 150. Konie poczuwszy świeżą krew czy ludzką, czy bydlęcą chrapią i nie śmiało stąpają po ziemi nią zlanej; tam gdzie wilcy świeżo przeszli, trudno zmusić konia aby poszedł.

ANNALIUM POLONIAE

CLIMACTERIS IIDUS LIBER 2DUS

VESPASIANI KOCHOWSKI.

«Świat nie uwierzy i nikt wiary nie da, że dzielny naród Polski, pochlebnemi narzucającego się monarchy obietnicami złudzony, odstąpił króla wolnemi wybranego głosami; chociaż wyznać przychodzi, iż Najjaśniejszy Król Kazimierz równie jak stan rycerski, przeciwnemi losami nielitościwie nękani, w takiej znaleźli się ostateczności, że w śród napływu wojsk obcych zewsząd walących się na zgubę Polski, i J. K. Mość z granic państwa

ustąpić i szlachta protekcji Króla Szwedzkiego koniecznie poddać się musiała; temu zaś królowi na mocy zaszłej umowy należało wiary dochować, pókiby ou sam pierwszy onej nie złamał. Wszakże przywodząc sobie na pamięć, iż bez żadnej przyczyny, ani nawet pozoru do wojny, owszem, przeciw zawartym z Władysławem IV., w Stumdorfie ugodom, niesłusznie rzeczpospolitę wojskiem uciskał; i chociaż, od zuacznej liczby mieszkańców za protektora uzuany, przyrzekł był zachowanie wiary rzymsko-katolickiej, wkrótce atoli jej srodze nieprzyjazny i uciążliwy, zaczął przemieniać wszystkie nasze dawne świętości i obrzędy; dobra narodowe swojem wojskiem pustoszyć, zamki szlacheckie na łup puszczać, stan rycerski wyderkafami obciążać, magistraty i sądownictwa duchowne jako też i świeckie znosić, starożytne prawa i zwyczaje przekręcać, i procedurę obcym ludziom nieznającym praw naszych powierzać; duchownych i szlachtę, ani oskarżonych, ani przekonanych o winę, ba nawet nie słuchauych do więzień pakować, zabijać, i ćwiertować pozwalał; świątynie ku czci boskiej przeznaczone ze wszelkich wystaw i ozdób ogałacać, od duchownych złoto i srebro kościelne gwałtem wydzierać, dzwonów, jeźli sowicie nie oplacono, używać zakazał; kościoł Częstochowski, nie tylko w Sarmacji, lecz i w całym chrześcijańskim świecie najsławniejszy z ofiar i cudów, mnogiem wojskiem obtoczywszy, świętokradzką odwagą miotany, na rabunek przeznaczył, (a to, aby zburzywszy teu fundament polskiej pobożności ku Bogu i jego Przenajświętszej Matce, mógł niezwłocznie wziąść się do zagłady wiary katolickiej, a na jej miejsce zaprowadzić jaką inną nieznaną); dobra rzeczypospolitej zasłużonym obywatelom nadane, przeciw obietnicy słowem królewskim stwierdzouej odbierał, dobra duchowne osobom świeckim rozdawał, nawet tym co się różnili w zdaniach co do religji, zabierał; w tym celu, aby zabrawszy przychody kościelue, chwałę Bożą i dawną wiarę zupełuie w tym królestwie wytępił. Nadto, już zaniedbuje ugod dawniej zawartych z mocarstwy Polsce przyjaznemi, przysięgłych nieprzyjaciol Polski do spólki z sobą wojennej wciągać, aby rzeczpospolitę tylu klęskami dotkniętą, w końcu na łup Turkom ostatecznie wystawił. Słowem, co tylko rzeczypospolitej i wojsku przyobiecał, i na piśmie podpisem własnoręcznym i słowem królewskim stwierdzając warował, to wszystko wkrótce odmienił, przekręcił, zponiewierał. Przywileje kościoła i dawny kształt rzeczypospolitej, swobodę stanów, owszem wszelkiego rodzaju ludzi, mieszkańców naszego królestwa ugniatał. Wprzódy zatem, niż ten czyuem twardy, w słowie wiarołomny, w wierze płochy monarcha, dalej rząd swój posunie i dzielniej ustali, zamki i twierdze zajmie, lud i wojsko pod jarzmo wbije, tej niepomiarkowanej żądzy panowauia oprzeć się całemi siłami postanowiliśmy, zwłaszcza gdy Najjaśuiejszy Jau Kazimierz Król nasz wolnemi obrany głosami, na oswobodzenie rzymsko-katolikiej wiary i kościoła i państwa swego podejmuje się, i dla ocalenia Ojczyzny gotów swoją królewską głowę na wszelkie losy wystawić, i niepłonną pomoc dostarczyć przyrzeka. Temi uwagami powodowani, ukrzepiając w sobie wrodzoną miłość ku królom i wiarę narodu polskiego, zapobiegając, aby dalej niszczenie świątyń i całej Ojczyzny uie postępowało, wszelkiej protekcji wspomnionego Króla Szwedzkiego wyrzekamy się, protekcją usuwamy, wszelkie jego akta znosimy, i pod jakimkolwiek miauem wyszłe przywileje lub dyplomy, za nieważne i nie mocne uznajem, samego zaś z jego sprzymierzeńcami, jakkolwiek są obywatelami królestwa, jeźli się upamiętać nie zechcą, za nieprzyjaciol spólnej ojczyzuy ogłaszamy, i ua uiego lub na nich, za wiarę katolicką i kościół Boży, za tak okrutne krzywdy i szkody rzeczy-

pospolitej naniesione, za naruszenie swobód, i wszyscy łącznie i każdy z osobna, na takiego nieprzyjaciela nastawać obowiązujemy się, na wiarę, honor i sumienie nasze. Tymczasem wojsko rzeczypospolitej zaległego żołdu niech nie wybiera; upomnienie się oń do zupełnego rzeczypospolitej uspokojenia zostawiwszy, w czasie wojny toczącej się, wszyscy stale aż do gruntownego Ojczyzny uspokojenia się, za pomocą Najwyższego, wytrwać w zgodzie i jedności przedsiębierzemy i obowiązujem się, i wszystkich dla przystąpienia do tego zamiaru wzywamy i zaklinamy. Żaden z nas w najgorszym nawet razie, jeden drugiego nie odstąpi, tem mniej na inną stronę pokwapi się, w zamieszki, kłótnie, kluby lub tajemne z wrogiem namowy wdawać się będzie, żaden nie odbieży chorągwi, ani na szkodę naszego związku knować będzie, lecz wszyscy nierozdzielnie, z niezmordowaną wolą i pracą dotkliwie cierpiącą ojczyznę ratować przyrzekamy. A ponieważ w takim rzeczypospolitej stanie dotąd jeszcze niektórzy mieszkańce królestwa trzymają się strony Króla Szwedzkiego, albo do jego narad należą, takim wszystkim spółobywatelom, naszej spólnej matki synom, braterską miłość odmawiamy, jeżeli, o niniejszej konfederacji zawiadomieni, przed rozpoczęciem wojny, do tego stowarzyszenia czyli związku nie przyłączą się, i razem z nami tego prawowiernego królestwa i ojczystych swobód bronić nie będą; tych zaś, coby uporni stali przy swojem, majątki pójdą pod sąd hetmanów i komissarzy rzeczypospolitej. Z drugiej strony, wszystkim będącym pod sądem, obrażonym na sławie, i jakiegokolwiek, nawet włościańskiego stanu ludziom, nawet cudzoziemcom, nie tylko podajemy sposobność okazania swojej dzielności, lecz i drogę do przywileju i nabycia prawa szlachectwa nastręczamy, dla tych wszystkich co w naszym zostając związku, zaszczytnie wedle sił swoich i możności w obecnej dla rzeczypospolitej usłudze działać będą.»

DRUKIEM F. A. BROCKHAUSA W LIPSKU.